

# Mandanna Sarita

## Tygrysie wzgórza

tłumaczenie Anna Gralak

WYDAWNICTWO

otwarte

Kraków 2011

Tytuł oryginału: Tiger Hills

Copyright © Sarita Mandanna 2010

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Projekt okładki: Adam Stach, Katarzyna Bucko

Fotografie na okładce: kobieta - © Vivek Sharma / Asia Images / Corbis / FotoChannels,

krajobraz - © Marvin Wax / Graphistock / Corbis / FotoChannels

Fotografia autorki: © Taylor Hooper

Grafika na okładce i s. 1, 3: B iStockphoto.com / HiDesign Graphics

Opieka redakcyjna: Anna Małocha

Konsultacja językowa (języki hindi i kodawa takk) i merytoryczna

oraz opracowanie słowniczka: Tatiana Szurlej

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Zuzanna Szatanik / d2d.pl

Korekta: Małgorzata Poździk, Anna Woś / d2d.pl

Łamanie: Robert Oleś / d2d.pl

ISBN 978-83-7515-124-4 (oprawa broszurowa)

ISBN 978-83-7515-125-1 (oprawa twarda)

WYDAWNICTWO

otwarte

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,

tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,

w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Dla moich dziadków

Dechi i Muddayyi Kambeyandów

oraz Seethy i Biddappy Charimandów

Wzloty i upadki tworzą nasz los na tym świecie;

serce zawsze jest ślepe, lecz prawdę widzi najlepiej.

przysłowie z Kodagu

1878

uthawwa wiedziała, że jej siódme dziecko jest wyjątkowe,  
wiedziała o tym od dnia jego narodzin - dnia czapli. Był lipiec  
i świeciło słońce. Do terminu porodu zostały jeszcze prawie  
dwa miesiące i nadeszła pora siewu, więc Muthawwa odłożyła wyjazd  
do domu matki. Zamiast tego mozolnie powlekła się na pole i stała po  
kostki w wodzie. Nagle usłyszała szelest. Spojrzała w niebo, osłaniając  
oczy przed słońcem i masując się po plecach. W górze majestatycznie

sunęło stado czapli. W zasadzie nie było w tym nic dziwnego. Na każdym polu w Kodagu widywano czaple, błysk ich skrzydeł zaskakiwał na tle jaskrawej zieleni pól ryżowych. Przez te wszystkie lata Muthawwa nie widziała jednak stada równie ogromnego jak to, które właśnie powoli zniżało lot nad równiną. Sto ptaków, może więcej, leciało skrzydło przy skrzydle, rzucając cień na rozgrzane słońcem pola. Szelest ich piór zagłuszał kumkanie żab, krakanie kruków, a nawet nieustanny harmider wywoływany przez cykające świerszcze.

Muthawwa nie słyszała już unoszonego przez wiatr głosu szwagra, który wydawał polecenia robotnikom zatrudnionym do pomocy przy siewie. Jego słowa zostały stłumione przez miarowe bicie skrzydeł. Ptaki kołowały wolno, coraz niżej, aż w końcu wykonały ostatni ostry zakręt i wylądowały u jej stóp. Otoczona tym niezwykłym wieńcem Muthawwa stała i odruchowo masowała plecy pośród morza milczącej bieli. A potem, bez ostrzeżenia, czaple znów wzbily się do lotu. Wzniosły się na jakiś tajemny znak, przysłaniając całe niebo i zraszając Muthawwę połyskliwymi

11

kropelkami wody, które stoczyły im się ze skrzydeł i z koniuszków nóg. Właśnie w tamtej chwili, ani sekundy wcześniej i ani sekundy później, Muthawwa poczuła ciepły płyn oblewający jej uda. Na świat przychodziła jej córka.

Góry. Muthawwa zawsze uważała, że najpierw zmarli dostrzegają właśnie te góry. Na samym początku, kiedy wznoszą się nad stosem pogrzebowym, prześlizgują się przez popiół i niesieni wiatrem, szybują wysoko w chmury. Widzą stamtąd pierwszy, oszałamiający, wspaniały krajobraz Kodagu.

Kodagu było niegdyś malutkim księstwem o kształcie przypominającym dziergany niemowlęcy bucik, wetkniętym w najwyższe rejony gór Sahjadri okalających południowe wybrzeże kraju. Góry te zatrzymywały się na oceanie, opadając gwałtownie w lśniący błękit Morza Arabskiego. Droga w dół klifów była tak śliska, tak najeżona ruchomymi skałami i ostrymi kamieniami, że tylko najbardziej chciwi handlarze byli wystarczająco lekkomyślni, by się tam zapuszczać. Dwa razy w roku, wyposażeni w kosze ze schwytanymi wcześniej małpami, którym malowali łapy na czerwono sokiem betelowym z wapnem, zbierali się na skraju urwiska, szykując się na powitanie zacumowanych w dole arabskich statków. Wypuszczali małpy na klify i zganiali je na dół donośnym dudnieniem w bębny. Przerażone małpy skakały ze skały na skałę, pozostawiając handlarzom mapę z maleńkich czerwonych śladów. Mimo to co roku zdarzały się wypadki - krzyżący mężczyźni wirowali w powietrzu i w końcu roztrzaskiwali się na skałach, daleko w dole.

Stojąc twarzą do ładu, można było dostrzec srebrzysty blask rzeki Kaweri, która niczym wstążka pośród oliwinowych gór zgrabnie dzieliła Kodagu na dwie części przypominające połówki kokosa. Na północy ciągnęły się falujące wzgórza bambusowej krainy, delikatnie zaokrąglone, upstrzone strzelistymi łukami bambusów i kępami smukłych drzew. Akacje i rzewienie, drzewa dindul i sandałowce, eukaliptusy, lagerstroemie i palisandry, przeplatane wietrznymi polanami z lśniącą od słońca trawą. Indyjska Szkocja. Właśnie tym mianem wielu białych mieszkańców Kodagu nazywało tę część kraju, która tak bardzo przypominała im

Europę. Postanowili ucywilizować główne miasto, Madikeri, przechrzcić ulice na Tenth Mile, Queens Way i Mincing Lane. W mieście pojawiły

12 się ich tworzące skupiska posiadłości, a z cejlońskich ziaren, które błyskawicznie puściły korzenie w tej dziewiczej glebie, wyrosły plantacje kawy. Parterowe domy plantatorów tworzyły w mieście nieregularne kręgi. Niskie, z czerwonymi dachami i lśniącymi szybami, dopełnione werandami, trawnikami do krokieta i kortami tenisowymi.

Lasy Sola na południu wyglądały zupełnie inaczej. Dzikie, nieujarzmione połacie drzew pipal, chinowców, hebanu, cedreli chińskich i gumiaków, stłoczonych, ozdobionych zbitym mchem i bujnymi, bezwonnymi storczykami. Spomiędzy pni wytryskała plątanina kolczastych krzewów, a obnażone fałdy korzeni połączone były rozległymi, mozolnie utkanyymi pajęczynami.

Tu i ówdzie, rozrzucone prawie równomiernie między północą a południem, leżały lokalne wioski. Tam, gdzie wykarczowano las, rozciągał się aksamitny patchwork z gleby dżungli, wilgotnej, żyznej i ciemnej niczym nocne niebo. Zielone skrawki płaskich pól ryżowych biegły wzdłuż bagien nad strumieniami. Stały tam bezładne skupiska pokrytych złotą strzechą domów, a każdy z nich miał swoje mokradła, pastwiska i charakterystyczne smużki dymu unoszące się z palenisk ku drzewom. Wreszcie, u podnóża gór rozpościerał się las. Wydziergany gęstym ścięciem palec niemowlęcego bucika tworzący ochronną powłokę na koniuszku Kodagu wystającym w stronę Majsuru. Rosła tam zwarta dżungla, mieniąca się niebezpiecznym, fascynującym pięknem, przecięta jedynie najsubtelniejszymi szlakami. Znali je tylko mieszkańcy Kodagu i służące im plemię Poleja o skórze czarnej jak węgiel.

Szlaków zawsze zazdrośnie strzeżono, szczególnie w dawnych czasach, kiedy Kodagu było obleżone. Sułtani Majsuru przez wiele pokoleń usiłowali podbić niezależne księstwo, które uparcie stawiało im opór. Wyniszczająca wojna, wprowadzenia, wymuszone obrzezania i masowe egzekucje tylko zjednoczyły najaków - patriarchów ośmiu najważniejszych rodzin w Kodagu. Połączyli oni siły, nakazując podległym sobie klanom powstać przeciwko Majsurowi. Mieszkańcy Kodagu oparli się sułtanom, zatopiwszy stopy w ziemię i przywarłszy do niej niczym kraby o barwie miedzi, które zakopywały się w tamtejszych polach.

Gdy w końcu Brytyjczycy i ich John Company podbili Majsur, uradowali się wszyscy mieszkańcy Kodagu. W podpisanym wówczas traktacie pokojowym Kodagu zostało przekazane Brytyjczykom. Nowi władcy uważnie obejrzeni tę małą prowincję, oszacowali wartość spowitych mgłą wzgórz i korzystnego klimatu, bardzo sprzyjającego uprawie

13 kawy. Zwrócili uwagę na mieszkańców Kodagu, wysokich, zaciekłych i porywczych, którzy śmiało patrzyli im w oczy i rozmawiali jak równy z równym. Roztropni Anglicy uzbroili się w cierpliwość i forsowali swoje zasady z grzeczną, wystudowaną determinacją. W końcu, pięćdziesiąt lat po przejęciu Majsuru, zostali oficjalnie powitani w Kodagu. Jednak mimo dni pokoju i wycinania przez Brytyjczyków ciemnoszarzych dróg okrążających lasy, by połączyć nowe terytorium z sąsiednimi prowincjami, mieszkańcy Kodagu zachowali dobrą pamięć. Grupa uzbro-

jonych i krzepkich mężczyzn nieustannie stacjonowała na zakręcie z widokiem na wejście do lasu, gdzie droga z Majsuru łączyła się z głównym szlakiem. Najakowie na zmianę obsadzali posterunek swoimi ludźmi. Co pięć tygodni - z wyjątkiem trzech monsunowych miesięcy, kiedy lawiny błotne i powalone przez pioruny drzewa czyniły szlaki nieprzejezdnymi - każdy z nich przysyłał tam mężczyzn z podległych sobie klanów.

Dziś w punkcie obserwacyjnym panował spokój. Mężczyźni chrapali w prymitywnym macanie z bambusa i płótna, a na straży stał Thimmaja Naćimanda. Popołudniowy wiatr, przybrawszy na sile, szumiał w gałęziach drzew nad ich głowami i gonił po macanie suche liście. Thimmaja zadrżał i ciasniej opatulił się bluzą. Jaka szkoda, że w tym roku nie wylosował białej muszelki! Kiedy najak Pallada, wódz wioski, ogłosił termin losowania, Thimmaja specjalnie poszedł do świątyni Iguthappy, by ofiarować potężnemu bóstwu Iguthappie swamiemu całe dwie rupie - kwotę, na którą ledwie mógł sobie pozwolić. Ofiarował jedną kurę przodkom i drugą wirom, duchom bohaterów. Chwyając się każdej szansy, Thimmaja przebłagał nawet leśne duchy, zostawiając wśród drzew pękate zawiniątko z wieprzowiną i ryżem. W dniu losowania, kiedy kapłan wyciągnął ku niemu dwie zaciśnięte pięści, Thimmaja skierował do Iguthappy swamię kolejną żarliwą modlitwę. Ale nie, gdy wskazał pięść, kapłan otworzył dłoń, ukazując czarną muszelkę. Thimmaja znowu, trzeci raz z rzędu, został wybrany, by stanąć na posterunku.

W tym roku było wyjątkowo ciężko. Nastął czas siewu i na polach przydawała się każda para rąk. Muthawwa powinna być teraz w domu matki, a nie pracować w polu - nie kiedy jej brzuch już się zaokrąglił, nabrzmiały kolejnym dzieckiem. To była trudna ciąża: kropelki krwi w pierwszych tygodniach, ból pleców towarzyszący rośnięciu brzucha. Jej brat Bopu zaproponował, że zastąpi szwagra na posterunku, ale Thimmaja odmówił. Bopu miał własną rodzinę do wykarmienia, a poza tym najak Pallada nie byłby zadowolony z takiej zmiany. Thimmaja westchnął.

14

Jeśli w tym roku znowu spadnie cena kardamonu w Malabarze, rodzina będzie musiała zacisnąć pasa.

Siedział, błądząc myślami, lecz nagle się otrząsnął. Ktoś biegł przez dżunglę i wołał go.

- Hej, kto tam?! - krzyknął, chwytając muszkiet i wpatrując się w gąszcz.

Ukazał się przybysz, a rozpoznawszy go, Thimmaja poczuł ukłucie strachu. Był to jeden z pracowników najaka Pallady, pomagał przy bydle.

- Co się stało? - zapytał krótko, odbiegając od namiotu.

- Dziecko... - wysapał Poleją, ocierając pot z twarzy. - Dziecko się rodzi.

Twarz Thimmai zastygła. Dziecko miało przyjść na świat dopiero za kilka tygodni, czy nie tak powiedziała Muthawwa? Dlaczego bóle zaczęły się tak wcześniej?

Kiedy wiązał sandały i wsuwał sztylet za pas, otoczyli go mężczyźni. Poklepywali go po ramieniu i powtarzali, żeby się nie martwił. Prawie ich nie słyszał, całą energię skupił na tym, by jak najszybciej dotrzeć do żony. Biegł wielkimi susami ku wiosce Palladów, a Poleją z trudem za nim nadążał.

- Błagam, Iguthappo swami - modlił się bez przerwy Thimmaja. -  
Błagam.

Dotarł do wioski tuż przed zmrokiem, ale najpierw poszedł do domu  
Pallady, by oddać mu cześć. Właśnie zapalano wieczorne latarnie, które  
oświetliły sylwetkę najaka chodzącego tam i z powrotem po werandzie.

- Ach, Thimmaja, przyszedłeś? - powiedział z zadowoleniem, kiedy  
ten ukląkł, by dotknąć jego stóp. - To dobrze, to dobrze - ciągnął. - A te-  
raz idź do żony.

Thimmaja pokiwał głową, nie mogąc wydusić ani słowa.

- Nie ma powodu do obaw - uspokoił go najak. - Wszystko jest  
w porządku.

Mężczyzna znowu przytaknął, chociaż pierś nadal ścisnęły mu złe  
przecucia. Dotknął stóp najaka, a potem popędził do swojego domu,  
oddalonego o dobrych sześć furlongów\*. Gdy dotarł na miejsce, było  
już ciemno, latarnie płonęły, psy zostały nakarmione i spuszczone na  
noc. Szczekając, podbiegły do niego, gdy przystanął na podwórzu przy  
aimadzie, świątyni przodków.

\* 1 furlong = 201 metrów (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

15

- Przodkowie klanu Naćimandów - modlił się, przesuając dłonie  
nad migoczącymi płomieniami - ofiaruję wam kurę. Proszę, niech moja  
żona będzie cała i zdrowa.

Po chwili wybiegli mu na spotkanie bratankowie, syn i matka, która  
śmiała się z rozpostartymi rękami. - O! Przybyłeś, monae.

- Co z Muthawwą?

- Czuje się dobrze. Obie czują się dobrze, monae. Chodź zobaczyć  
swoją śliczną córeczkę.

Przynieśli mu gorącej wody znad paleniska, żeby umył ręce i nogi,  
a potem ruszył do sypialni, gdzie na ich wspólnym posłaniu leżała za-  
czerwieniona i wyczerpana Muthawwa. Matka podała mu niemowlę.  
Spuścił wzrok na wierzgającą córkę i węzeł w jego piersi w końcu się  
rozluźnił, rozpluwając w emocji tak silnej, że Thimmaja musiał zamrugać,  
by powstrzymać łzy.

Muthawwa nigdy nie powiedziała mężowi o czaplach, które zwiastowały  
narodziny dziecka. Poród zaczął się tak szybko i ból był tak uporczywy,  
że szwagier musiał zarzucić ją sobie na plecy i biegiem wrócić z pola do  
domu. Dziecku bardzo się spieszyło. Wydostało się na świat tuż po przy-  
byciu wezwanej akuszerki. Gdy wokół krzątały się kobiety szukające mie-  
dzianego dzwonu, by ogłosić narodziny dziewczynki, a służba wyruszyła  
do wioski, chcąc częstować mieszkańców dmuchanym ryżem i bananami,  
Muthawwa podjęła decyzję. Urodziła wcześniej sześcioro dzieci. Sześciu  
zdrowych, wrzeszczących chłopców, z których tylko najstarszy, Ćengappa,  
przeżył okres niemowlęstwa. Dotknęła palcem koniuszka zadartego,  
idealnie ukształtowanego noska córki. Czuła, że to będzie wyjątkowe  
dziecko. Po co psuć jego narodziny gadaniną o omenach i znakach? Nie,  
postanowiła, że nikomu nie powie o czaplach.

I konsekwentnie trwała w tym postanowieniu. Tylko raz zdarzyło jej się  
wspomnieć o niezwykłych okolicznościach, w jakich narodziła się jej  
córka. Po czterdziestu dniach rytualnego oczyszczenia, gdy Muthawwa  
rozwiązała pasy materiału ciasno opinające jej brzuch, wstała z łóżka,

na którym urodziła, i znowu uznano ją za zdolną do wykonywania

16

domowych obowiązków, rodzina zaniósła dziecko do wiejskiej świątyni, aby postawić mu horoskop. Stary kapłan sięgnął po manuskrypt ze zniszczonych liści figowca. Był on zawinięty w pomarańczowy jedwab i przez pokolenia przekazywany z ojca na syna.

- Dziewczynka wyjdzie za mąż - przepowiedział - i wyda na świat potomstwo. Poza tym są jej pisane pieniądze. Ale... - tu zamilkł. Muthawwa i Thimmaja spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

- Co się stało, aj ja? Co widzisz? - zapytała wystraszona matka Thimmai, przytulając dziecko, aż maleństwo zaczęło się wiercić na znak protestu.

- Nic... Nic się nie stało... A jednak... - Kapłan ponownie zamilkł i zajął do manuskryptu. Podniósł głowę i spojrzał na otaczające go wystraszone twarze, jakby się zastanawiał, co powiedzieć. - Nic, nic - rzekł w końcu, szukając czegoś w zniszczonym drewnianym pudełku. - Proszę. - Wyciągnął z niego amulet. - To ją ochroni.

Wyjaśnił, że na amulecie wyryto mantrę o wielkiej mocy, która ochroni dziecko przed złem. Najlepiej, żeby dziewczynka nigdy się z nim nie rozstawała. Ucisząc zaniepokojonych członków rodziny, naznaczył ich czoła cynobrem i przywiązał amulet czarnym sznurkiem do rączki dziecka.

Dotknęli stóp kapłana i padli na twarz przed bóstwem. Kiedy wyszli ze świątyni, mrugając na widok nagłej światłości, Muthawwa krzyknęła, że zgubiła kolczyk, który na pewno spadł podczas stawiania horoskopu, i wbiegła z powrotem do środka.

- Ajja?! - zawołała cicho. Upłynęła chwila, zanim jej oczy przyzwyczyły się do chłodnego mroku sanktuarium. Kapłan właśnie zbierał resztki ich pudzy i kiedy podniósł głowę, był nieco rozdrażniony.

- Słucham, dziecko. Co znowu?

Opowiedziała mu o ptakach, które widziała tamtego dnia, o niepokojącej precyzji ich manewrów, jakby przybyły po to, by zwiastować narodziny dziecka. Co to znaczyło? Co kapłan zobaczył w liściach? Może o czymś im nie powiedział? O okropnym losie, który czeka ich córkę?

Starzec westchnął. Któż mógł wiedzieć, co znaczą jakieś ptaki? Podobno gdy kobra wzniesie się nad śpiącym mężczyzną i zamiast zatopić zęby jadowe w jego ciele, pochyli się, by osłonić go od słońca, mężczyzna ten zostanie pewnego dnia królem. Ale czaple... Może coś przepowiadały, a może nie. Któż zdoła odgadnąć zamysły boga?

17

Nazajutrz, kiedy Thimmaja odwiedził najaka Palladę w drodze powrotnej na posterunek, najak wspaniałomyślnie zwolnił go z pozostałej części służby. Tak będzie sprawiedliwie wobec Muthawwy, wyjaśnił. Poza tym nastał czas siewu, a Thimmaja ma drugie dziecko do wykarmienia. Najak postanowił posłać na miejsce Thimmai swojego najmłodszego syna.

Tamtego roku pole ryżowe przyniosło tak obfite plony, że za zarobione dzięki nim złoto Thimmaja mógł kupić dwie krowy mleczne. Ceny kardamonu były najwyższe od sześciu lat. Rodzina złożyła przodkom w ofierze

kogucika, dziękując za to, że pobłogosławili ich córką, która przyniosła im tyle szczęścia. Dali jej na imię Dewamma, na cześć prababki Thimmai, ale wszyscy nazywali ją Dewi, swoją własną boginią.

Muthawwa nigdy nie zapomniła o czaplach. Pilnowała, żeby amulet ciasno oplatał rączkę córki i ukradkiem zerkała na niebo za każdym razem, kiedy wychodziła z dzieckiem z domu. Mijały jednak kolejne miesiące i nic złego się nie wydarzyło, więc z czasem jej niepokój minął. Tłumaczyła sobie, że ptaki były tylko wytworem jej wyobraźni, urojeńmi ciężarnej kobiety. W wieczór zaślubin Gaurammy miała zdecydowanie zbyt dużo na głowie, aby ponownie je dostrzec.

Cała wieś od tygodni żyła tym wydarzeniem. Gaurammie trafiła się doskonała partia. Córka najaka Pallady miała poślubić trzeciego syna najaka Kambejmady z wioski oddalanej o dwieście furlongów na południe. Kambejmada był jednym z najbogatszych ludzi w Kodagu: miał półtora tysiąca akrów mokradeł pod uprawę ryżu, a do tego kilkaset akrów kardamonowych pól i wiele plantacji kawy. Plotka głosiła, że nawet jego spluwaczka była ze szczerego złota. W zasadzie nikt jej nigdy nie widział, ale któż przy zdrowych zmysłach paradowałby z takim skarbem przed zazdrosnymi Polejami? Zresztą, czyż w ubiegłym miesiącu starzec nie zamówił w Madikeri wspaniałej laski wyrzeźbionej z najszlachetniejszego palisandru, inkrustowanej kością słoniową? Cała wieś zgodnie uważała, że dziewczyna wchodząca do rodziny Kambejmadów jest szczęściarą - a która zasługiwała na to bardziej niż ich skromna Gauru?

Najak Pallada nie szczędził pieniędzy na wesele. Gdy wysoko nad skwerem zawisł księżyc, polał się mocny trunek, a z kuchni pod gołym niebem przytaszczono sagany pełne curry z dzika, kurczaków, baraniny,

18

warzyw i jaj. Dwie zmiany grajków przygrywały bez przerwy, a Thimmaja i inni mężczyźni opadali i kołysali się przy zawodzeniu trąbek. Przybył pan młody z rodziną. Wszyscy zostali radośnie powitani i nakarmieni. Kobiety krzątały się w połyskujących jedwabiach, a w świetle księżyca ich twarze były jeszcze bardziej urzekające niż zwykle. Na tle satynowej skóry błyszcząły klejnoty. Wokół szyi połyskiwały szerokie naszyjniki adige z nieoszlifowanych rubinów, złote sznury dżomale i korale pathak z wisiorkiem w kształcie kobry o rubinowych, ognistych oczach. Na pierśiach kołysały się kokkethati w kształcie półksiężyca, zrobione z drobnych pereł i złota. Na nadgarstkach pobrzękiwały bransolety zdobione głowami słoni, wysadzone drogimi kamieniami, gładkie lub filigranowe, a wśród siedmiu gwiazd w kiściach kolczyków połyskiwały diamenty.

Muthawwa siedziała z karmiącymi i ciężarnymi kobietami, zwolniona z obowiązku podawania do stołu. Wokół biegały dzieci, a gdzieś pośród tego zamieszania bez wątplenia psocił jej syn. Matka Thimmai obiecała mieć go na oku i dopilnować, żeby się najadł. Muthawwa była zadowolona, że może siedzieć i przysłuchiwać się rozmowom, trzymając w ramionach słodki ciężar, śpiącą córkę.

Kobiety zachwyciły się panną młodą - trochę przydużą, to fakt, ale któż mógł zaprzeczyć urokowi jej twarzy? Jej mąż był szczęściarzem i...

- Aaj! - zawołały, kiedy grupka roześmianych chłopców wybiegła z tłumu i wpadła na Muthawwę.

- Cóż to za zachowanie? - zganiły ich kobiety, gdy zakłopotani chłop-

cy odsunęli się od Muthawwy. - Macie kamienie zamiast oczu? Nie widzicie, dokąd biegniecie? Patrzcie, obudziliście dziecko i mała płacze.

- Przepraszamy, bardzo nam przykro - powiedzieli, wycofując się.

Ale jeden z nich, zaledwie dziesięcio- albo jedenastolatek, nie ruszył się z miejsca i wpatrywał się we wrzeszczącą Dewi.

- Bogowie! Ależ ona głośna! - skomentował, a jego złotobrazowe oczy rozbłyły z uciechy. - Dziwię się, że jeszcze nie ogłuchłem. - Zanim Muthawwa zdążyła zaprotestować, wyciągnął brudny palec, żeby dotknąć policzka Dewi, a potem, posyłając jej ujmujący uśmiech, który ukazywał dwa śliczne dołeczki, zniknął w tłumie.

Usypiając Dewi, Muthawwa wyrzucała sobie, że nie dała chłopcu porządnej bury. Nie zauważyła stada czapli, które cicho wzleciało nad drzewami i ukazało się na tle księżycy, przelatując nad skwerem.

Jako pierwsza dziewczynka od przeszło sześćdziesięciu lat urodzona w rodzinie Naćimandów, Dewi była wdzięcznym obiektem uwielbienia wszystkich domowników. Ćengappa i kuzyni spełniali każdą jej zachciankę: nosili ją na barana, paradując po wiejskim skwerze, wdrapywali się na dzikie mangowce na podwórzu, aby zerwać dla niej najdojrzalsze, najbardziej skąpane w słońcu owoce, i napychali kieszenie podarunkami - aksamitnymi piórami ptactwa żyjącego w dżungli, plastrami dzikiego miodu zawiniętymi w liście figowca lub fioletowymi kamykami, które czasami znajdowało się wkopane w leśne ścieżki.

Wystarczyło, że Dewi zmarszczyła brwi, a jej babcia, jej taji, przybiegała, aby przekupywać ją solonym agrestem i kostkami cukru palmowego, póki mała nie raczyła znowu się uśmiechnąć. Taji zwijała dziesiątki puszystych, wielowarstwowych ćiroti, smażyła je na złoto i posypywała cukrem pudrem, by móc częstować tymi smakołykami swoje maleństwo. Kiedy rodzina zauważyła, że Dewi lubi ryby, taji, nie zważając na pogodę, pędziła na cotygodniowy targ o tak wczesnej porze, że zastawała sprzedawców rozkładających towar. Wymieniała ciężkie kosze bananów rosnących w zagajniku za domem na wijące się jeszcze sardynki, nadziewała ryby kolendrą i owocami tamaryndowca, a potem smażyła na chrupko w skwierczącym smalcu, specjalnie dla swojego aniołka.

Taji siadywała na trzinowej macie, prostując nogi. Sadzała Dewi na swoich miękkich, wygodnych łydkach i nacierała jej włosy kwiatami

20  
hibiskusa nasączonymi olejkiem kokosowym. Gdy sękate palce miarowo przesuwały się po główce Dewi, taji opowiadała niekończące się historie o jej dziadku, o wojnie z sułtanami i o chadzających ścieżkami duchach wirów, które sprawiają, że psy szczekają, a drzewa drżą bez żadnej widocznej przyczyny.

- Jesteś moim najdroższym kwiatuszkiem - powtarzała wnuczce - moim słońcem, moim księżycem i wszystkimi gwiazdami na niebie.

Nikt jednak nie był bardziej zakochany w Dewi niż Thimmaja. Hołubił on swoją córkę i twierdził, że przed wyjściem w pole zawsze musi spojrzeć na jej twarz, bo w przeciwnym razie nic nie będzie szło tak jak trzeba. Gdy Cyganie Kandahari zeszli z gór do Kodagu, by sprzedać konie i szale, dowiedzieli się o nowej dziewczynce i wolnym krokiem przybyli do domu Naćimandów. Zwyczaj nakazywał, by każda dziewczynka i ko-



bieta w Kodagu nosiła na czole maleńki tatuaż, śliczną niebieskozieloną kropkę. Cyganie zaproponowali, że wytatuują ją na czole Dewi.

- A tak, czekałam na was - zaczęła Muthawwa, ale Thimmaja tylko się skrzywił. Nie mogąc znieść choćby myśli o chwilowym dyskomforcie, na jaki naraziłoby to jego córkę, i ignorując rady przejętych domowniczek, Thimmaja zerwał z tradycją i odesłał Cyganów z kwitkiem.

- Dlaczego uwzięłaś się na moją księżniczkę? - ganił Muthawwę, kiedy ta dawała burę utyłanej błotem Dewi i wyrzucała córce, że jest brudna jak Poleja. - Daj jej spokój, już wkrótce nas opuści i wyprowadzi się do domu męża - upominał żonę, kiedy krzyczała na Dewi, żeby siedziała spokojnie podczas zaplatania włosów w warkocze.

- Zepsujesz tę dziewczynę - ostrzegła Muthawwa, ale nawet jej miętko serce, kiedy Dewi wtulała głowę w matczyne kolana i szeroko się uśmiechała. - Małpie dziecko - utyskiwała, pochylając się, by pocałować córkę w czubek głowy pachnącej słońcem i polnym wiatrem.

Gdy Dewi miała pięć lat, wioską wstrząsnął skandal, o którym plotkowano całymi tygodniami. Gauramma, córka najaka Pallady, wróciła do domu rodzinnego. Przyjechała pewnego popołudnia, bez zapowiedzi i bez eskorty, z małym synkiem na biodrze. Niczego nie wyjaśniła, powiedziała jedynie, że jeśli nie ma dla niej miejsca, pójdzie gdzieś indziej, jeszcze nie wie dokąd, ale za żadne skarby nie wróci do domu męża.

21

Jej matka płakała. Ciotki prosiły i ganiły. Najak Pallada pospieszył do domu Kambejmadow z pięcioma workami aromatycznego czerwonego ryżu sesari, wozem bananów, dwoma solonymi udźcami sarny i wyszywaną złotem szarfą, którą jedna z ciotek Gauru trzymała na ślub własnego syna. Najak Kambejmada zareagował uprzemie, ale stanowczo. Dziewczyna wyjechała z własnej woli, zauważył, gładząc wąs. Wrócić też będzie musiała sama.

- Co my pocniemy? - lamentowały ciotki Gauru, skarżąc się taji, Muthawwie i innym mieszkankom wsi, które przybyły z wyrazami współczucia. - Ona nikogo nie słucha. Poza tym spójrzcie na to dziecko, ta sytuacja odbija się również na nim. Ma cztery lata, a prawie nic nie mówi. Trzyma się tylko maminej spódnicy i całymi dniami ssie kciuk. Gauru udawała, że nie słyszy, i spokojnie kołysała syna na kolanach, siedząc na kuchennym ganku. Dewi, znudzona i niespokojna, wykrzywiła się w stronę chłopca. Odwrócił się i wtulił twarz w szyję matki. Dewi przestała robić miny, zanim Muthawwa zdążyła to zauważyć i trzepnąć ją w ucho, lecz kątem oka nadal obserwowała chłopca. Gdy znowu na nią zerknął, zrobiła najstraszniejszą minę, jaką znała, tę, której nauczył ją Cengappa: wydęte nozdrza, wysunięty język i zezujące oczy. Chłopiec popatrzył na nią ponuro, a potem znowu się odwrócił. Zafascynowana jego stanowczym oporem, Dewi chyłkiem zbliżyła się do Gauru.

- To twoje dziecko? - zapytała w końcu.

Gauru pokiwała głową.

- Jak ci na imię? - zapytała Dewi, ale chłopiec udawał, że nie słyszy, i tylko głośno ssał kciuk.

- Dewanna - odpowiedziała za niego matka, delikatnie wyjmując kciuk z ust syna.

- Dlaczego on nic nie mówi?
- Odezwie się, jeśli będzie miał coś do powiedzenia.
- Wszyscy powtarzają, że nie powinnaś była wracać.
- To mój dom - odparła Gauru z prostotą.

Dewi zrozumiała. Ona także kochała swój dom, taji, która piekła dla niej gorące roti z leciutkimi odciskami palców na krawędziach, dereszowatą krowę, skundloną sukę ze szczeniętami o ciepłych brzuskach, brata i kuzynów, appaiję i awwaiję, i młodego Poleję Tukrę, i żaby kumkające na polach, i mangowca na podwórzu, i...

- Ja nigdy nie opuszczę swojego domu - oświadczyła stanowczo.

Gauru uśmiechnęła się i zmierzwiła jej włosy.

22

Upłynęły trzy tygodnie i rodzina powoli traciła nadzieję, że Gauru wróci do męża. Najak Pallada ogłosił, że ona i jej syn dostaną pokój w jego domu na jak długo zechcą, lecz poza tym zupełnie ignorował córkę. Jej wujowie z niesmakiem spluwali na ziemię, gdy przechodziła obok nich, a kuzynki łapały się za głowę. Rozpaczały, powtarzając, że nie ma dla nich nadziei - bo któż chciałby wziąć żonę z rodziny, w której kobiety tak bezwstydnie porzucają mężów?

Taji i odwiedzała dom Palladów, gdy tylko miała okazję. W końcu Palladowie byli jej dalekimi kuzynami, więc dotkliwie odczuwała ból rodziny.

- Którzy rodzice byliby szczęśliwi - rozmyślała na głos - widząc, jak dorosła córka szarga rodzinne nazwisko, porzucając dom męża i odmawiając powrotu?

- Ależ taji i - wtrącała się Dewa - akka Gauru tęskniła za domem.

- Bądź cicho, małpie dziecko - odruchowo zganiła ją Muthawwa.

Dewa teatralnie przewróciła oczami za plecami matki. O co tyle krzyku?

Lubiła odwiedzać akkę Gauru, która pozwalała jej się bawić swoimi sari.

A Dewanna był jej przyjacielem, prawda? Bo Dewa, która nie zwykła się zrażać początkowym niepowodzeniem, powzięła silne postanowienie, że prędzej czy później oczaruje chłopca. Malec nie miał żadnych szans.

Już wkrótce, podobnie jak inni, uległ jej urokowi.

Taji próbowała przemówić Gauru do rozumu.

- Chłopiec chyba już się zadomowił - powiedziała pewnego dnia, gdy patrzyły, jak Dewanna bawi się z Dewą. Gauru uśmiechnęła się.

- Rozważałaś powrót do jego ojca? - dociekała taji. - To twój mąż, Gauru. A Dewanna jest jego jedynym synem...

- Daj spokój, taji. Nie ma sensu wracać.

- Ale kunji - naciskała taji - jako żona masz wobec męża obowiązki.

Poza tym pomyśl o dziecku. Nie wolno ci stawać między ojcem i synem.

Bez względu na małżeńskie niesnaski, dziecko nie powinno cierpieć.

Gauru nie odpowiedziała, jej oczy wypełniły się łzami. Taji miała miękkie serce, więc szybko zmieniła temat.

- Aaj! - zawołała. - Tylko spójrz na tę moją wnuczkę. Dorwała się do twoich sari.

Gauru spojrzała w stronę owiniętej jedwabiem Dewy, która właśnie paradowała przed Dewanną. Na ustach Gauru zadrgał uśmiech.

- Lubi wkładać moje sari i klejnoty. Nie znosi jedynie bransolet. -

Dewa jak na komendę sięgnęła po podwójne kokkethati i włożyła je na szyję. Wisior sięgał jej do pasa. Zachwycony Dewanna zaklaskał w dłonie.

Wszyscy patrzyli, jak Dewi wkłada na głowę welon, potykając się o jego obszyty cekinami koniec. - Lubię, jak Dewi mnie odwiedza. To dobrze robi Dewannie.

Taji czule poklepała Gauru po ramieniu. „Jest jeszcze mnóstwo czasu - pomyślała - znajdzie się inna okazja, by przemówić dziewczynie do rozumu”.

Dwa dni później Gauru wskoczyła do rodzinnej studni. Znaleźli ją służący, kiedy rankiem poszli zaczerpnąć wody. Unosiła się twarzą do dołu, a sięgające pasa włosy wiły się wokół jej ciała niczym wasy lilii wodnej. Naćimandowie poszli do domu Palladów razem z innymi mieszkańcami wioski, aby złożyć kondolencje. „Nie zasłużyła na to, latawica jedna - psioczyła cała wieś - ale jesteśmy to winni najakowi Palladzie”. Ciało ułożono na trzcinowej macie na podwórzu i ludzie zdawkowo zegnali się ze zmarłą. Gdy nadeszła pora kremacji, wybuchło zamieszanie. Gdzie się podział Dewanna? Podpalenie stosu pogrzebowego matki było zadaniem syna. Gdzież się znowu schował ten chłopak? Szukali go w całym domu i na podwórzu, służących wysłano aż na pola. Rozzłoszczony najak Pallada wołał wnuka, lecz Dewanna zniknęła bez śladu.

Dewi wysunęła dłoń z uścisku Muthawwy i poszła po przyjaciela. Znała tajemne miejsca, w których dorosłym nie przyszłoby do głowy szukać. Zajrzała do szafy Gauru, już ogołoconej z sari, za miedziany bemaar w kuchni i w krzaki lantany, aż w końcu znalazła go leżącego na plecach pod kurnikiem.

Wcisnęła się obok niego. Dewanna ją zignorował, ale Dewi instynktownie wyczuła, że słowa są zbędne. Szukała po omacku, aż w końcu znalazła w piachu jego palce. Mocno złapała go za rękę i trwali w ukryciu, współwinni w milczeniu, słuchając, jak dorośli zdzierają sobie gardła. Trzeba było skremować Gauru bez Dewanny. Stos podpalił kuzyn. A gdy popołudnie dobiegło końca i pogrzebowe bębny wreszcie zamilkły, dwoje dzieci nadal leżało pod kurnikiem, trzymając się za ręce pośród błota i ptasich odchodów.

Najak Pallada polecił służącym zasypać studnię i zasadzić w niej bananowca. Bez wahania w głosie zwrócił się do synowych: „Co się stało, to się nie odstanie. Na razie korzystajcie z wody ze strumienia. Wezwałem różdżkarza, który znajdzie nam inne źródło, póki studnia nie zostanie

oczyszczona. I nie chcę więcej słyszeć złego słowa o Gaurammie ani o jej synu”.

Kambejmadowie przybyli zabrać Dewannę do domu, ale nękany niewyraźnym, acz uporczywym poczuciem winy, najak Pallada zasugerował, że byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby chłopiec wychowywał się pod opieką babki ze strony matki. Miał wrócić do domu Kambejmadów, kiedy podrośnie. Było to wygodne rozwiązanie. Ojciec Dewanny skwapliwie na nie przystał, zastrzegając, że co miesiąc będzie przysyłał piętnaście rupii na utrzymanie syna. Wkrótce potem ponownie się ożenił, pojmując za żonę pulchną, ładną dziewczynę ze swojej wioski, która szybko obdarzyła go gromadką dzieci. Rzadko odwiedzał syna, choć wyraźnie zaznaczono, że dom Kambejmadów oczekuje swojego potomka z otwartymi ramionami. Dewanna mógł

wrócić, kiedykolwiek zechce.

Śmierć matki podziałała na Dewannę tak, jak można się było spodziewać. Zaczął moczyć łóżko, budził się w środku nocy i płakał za nią. Domownicy gładziły go po ramieniu, tłumacząc ze smutkiem, że Gauru wybrała najlepsze rozwiązanie. Jej śmierć zmyła hańbę, którą zbiegła żona przyniosła rodzinie. „Nasz radża kunji, nasz mały król”, nuciły, próbując na powrót uspić chłopca, lecz jedyną rzeczą, jaka mogła go ukołysać do snu, była obietnica porannej wizyty u Dewi. Działo się to tak często i tak wiele razy prowadzono go potem do domu Naćimandów, że już wkrótce taji zaproponowała, aby u nich został, bo tak będzie łatwiej. Ułożono dla niego materac obok materacy innych chłopców mieszkających w domu i dzięki temu spokojnie spał aż do rana. Po jakimś czasie zupełnie przestał pytać o matkę.

Błada, psotna dziewczynka i jej mizerny wielbiciel stali się częstym widokiem w wiosce. Dewi fascynowała Dewannę już wcześniej, ale teraz trzymał się jej jak głodne szczenię. Za to ona była jego opiekunką i ochroną. Jeśli Dewi była w pobliżu, żadne dziecko nie mogło krzywo spojrzeć na Dewannę ani stroić sobie z niego żartów. „Wy nic niewarte gamonie!”, wrzeszczała, rzucając się na winowajców, by kopać, drapać i okładać pięściami, póki nie zaczynali błagać o litość. Naćimandowie również zaakceptowali tę najnowszą zabawkę Dewi, przyjmując chłopca pod swoje skrzydła.

25

Dzieci były jeszcze zbyt małe, aby iść do wiejskiej szkoły, więc hasały całymi dniami, wędrując po polach i okolicznych lasach z Tukrą i innymi dziećmi służących, które wyprowadzały bydło na pastwisko. Polej owie uczyli je robić proce z włóknistej kory drzewa, które nazywają bairi, i strzałki z kolców jeżozwierza. Odkrywali przed nimi sekretne miejsca, w których rosły najbardziej soczyste morwy i największe grzyby. Pokazywali im lepkie plastry miodu w dziuplach drzew zwanych kabba i skapanie w słońcu skały, gdzie nocą parzyły się fantastyczne, strojne w klejnoty kobry - a przynajmniej tak mówiono. Uczyli je znajdować zarośnięte trawą nory dzikich zajęcy i łapać kraby na przynętę z kurzych wnętrzności.

U podnóża pól płynął krabi strumień, pomarszczone pasmo wody, które w zależności od oświetlenia czasami wydawało się błękitne, a innym razem bladezielone. Dewi i Dewanna pluskali się w płyćźnie, a małeńkie czerwone, zielone i żółte żabki, nie większe od monety, wystraszone odskakiwały na bok. Ciepła woda obmywała dzieciom łydki, kiedy zanurzały w wodzie kurze jelito, mocno trzymając za różowe końce. Czekwały, uśmiechając się niecierpliwie, a wokół nich połyskiwała woda, której powierzchnię co jakiś czas poruszała przepływająca w dole ryba. Kraby pędziły ku jelitu i zatapiały w nim szczypce. Wtedy Dewi i Dewanna podnosili jelito jednym zgrabnym ruchem, wyjmując z wody zaskoczone skorupiaki, które wisały na nim niczym klejnoty na jakimś dziwnym, obwisłym naszyjniku.

Zaczęły się deszcze. Taji godzinami dusiła nad ogniem baranie kości przyprawione cebulą i ziarnkami pieprzu, szykując rozgrzewający bulion. Grzyby porosły korę drzew, a droga prowadząca do Naćimandów przemieniła się w błoto. Dewanna z radością siedział w domu, grzejąc stopy

przy ogniu, grając w muszelki i w kulki, lecz Dewi ciągle była niespokojna. Podchodziła do okien, żeby wpatrywać się w ulewny deszcz, i wymykała się na werandę, by złowić kilka kropel, mimo protestów Muthawwy, która zabraniała córce moknąć.

W końcu chmury rozstały się. Sezon sadzenia roślin z jego długimi dniami i mozolną pracą dobiegł końca i nastał sezon polowań. Dewanna siedział na werandzie domu Naćimandów, pochylony nad stertą kory z drzewa kanni. Nazajutrz Thimmaja zabierał Dewi i Dewannę na polowanie, ale najpierw powierzył im zadanie zrobienia lontów do starych strzelb. Dewi szybko się znudziła, ale Dewanna sumiennie pracowała. Rolował włókna w palcach, skręcając je w lonty, czerpiąc przyjemność

z dotyku gruzłowatego drewna i lekkiej woni dymu z kuchennego paleniska, nad którym potem się suszyły.

Przykucnął i przyjrzał się rosnącej stercie lontów. To była jedyna część polowania, którą lubił. Mógł tak siedzieć godzinami, pilnując, by lonty miały dokładnie taką samą długość i grubość. Kotka wygrzewająca się w słońcu na werandzie przeciągnęła się i otarła o jego nogi. Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził ją po głowie. Ogólnie rzecz biorąc, nie cierpiał polowań. Odgłosów wydawanych przez konające zwierzęta, rozpaczliwego błagania w ich oczach, zapachu krwi i trzasku chrząstek, kiedy mężczyźni obdzierali zdobycz ze skóry i ją ćwiartowali. Ogarnięty nagłym niepokojem, Dewanna spojrzał na pola, zastanawiając się, dokąd poszła Dewi.

Nazajutrz wyruszyli z samego rana. Thimmaja przywiązał sobie Dewi do pleców starym sari Muthawwy, a jeden ze starszych chłopców wziął Dewannę na barana. W milczeniu kroczyli przez dżunglę otaczającą wieś, uważając na węże i trzycentymetrowe, rdzawe skorpiony, których ukąszenie wywoływało tak potworne męki, że nawet dorośli mężczyźni mdleli z bólu. Nagle brat Dewi Ćengappa uniósł dłoń i wszyscy się zatrzymali. „Tam”, szepnął, pokazując palcem.

Serce Dewanny zaczęło łomotać. Szybko odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Dewi. Zastygła w bezruchu, dyszała z przejęcia i wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Wpatrywał się w nią, zmuszając się, żeby nie myśleć o niczym innym - ani o muszkiecie, który właśnie unoszono, ani o jego celowniku, który skupiał się na ofierze. Rozległ się nagły, wstrząsający huk, któremu towarzyszył pomarańczowy błysk prochu. Dżungla ożyła, w gałęziach nad ich głowami rozwrzeszczały się małpy, a wystraszone ptaki wzbiły się do lotu, kracząc i nawołując. Dewanna powoli wypuścił powietrze.

Zazwyczaj mężczyźni dawali młodszym dzieciom przywilej ścigania się do ustrzelonego zwierzęcia. Jak zwykle wygrała Dewi. „Jestem bal battekarą - dyszała zwycięsko, gładząc ciepłe ciało dropiatej sarny. - Jestem odważna jak myśliwy, najszybciej przybiegłam do ofiary!”

Gdy dumna i trochę poplamiona krwią grupka myśliwych wróciła do wioski, Muthawwa jak zwykle wydała okrzyk przerażenia: „Aaj, tylko spójrzcie na to dziecko! Iguthappo swami, dlaczego moja córka nie może się zachowywać jak dziewczynka, zamiast psocić niczym mały łobuz?”.

Taji sięgnęła po szczypce i wyjęła z paleniska kilka rozżarzonych węgielków, które ułożyła na metalowym talerzu obok garści ryżu, a potem

zalała odrobiną wody. Pospiesznie skropiła popielatym płynem dziecięcę głowy, żeby odpędzić złe duchy, które mogły przyjść za nimi z dżungli, a następnie podała talerz Muthawwie. „Szybko - powiedziała do synowej - oczyść resztę i zwierzynę, zanim załęgnie się tu jakiś pisać”. Odwróciwszy uwagę Muthawwy, zagoniła Dewi i Dewannę do wyłożonej kamieniem łazienki, z dała od gniewu synowej. Polewała gorącą wodą chichoczące dzieci, które przykucnęły na podłodze, i śpiewała im piosenkę, strasznie przy tym fałszując:

W końcu wróciła piękna dziewczyna,

Witają cała bliska rodzina,

Na szyi dziewczyny rubiny lśniące,

A na jej kostkach złoto błyszczące,

Przysła do nas w deszczu, cała mokrusieńka,

Przysła do nas wreszcie ta dziewczyna piękna.

Dewi zacisnęła powieki pod strugami wody. W oczach Dewanny wyglądała właśnie tak jak skąpiana w deszczu piękność z piosenki.

Minał rok, a potem następny. Bananowiec w zasypanej studni

wypuścił zwoje wachlarzowatych liści, a następnie grubą

fioletową bulwę, która rozwinęła się i odsoniła rzędy pach-

nących białych kwiatów ciasno upakowanych w środku. Kwiaty uschły

i spadły na ziemię, pozostawiając na roślinie kiście maleńkich zielonych

owoców. Gdy banany w końcu stały się żółte i dojrzały, roślinę ścięto i odkopano studnię. Jej wodę uznano za oczyszczoną i znów zdatną do picia.

W tym samym tygodniu Thimmaję odwiedził najak Pallada.

- Jak wiesz, Thimmajo - powiedział, obierając jedną z przyniesionych przez Muthawwę pomarańczy o odstającej skórce - zapisałem Dewannę do szkoły misyjnej w Madikeri. Przynajmniej tyle powinienem zrobić dla tego chłopca, dać mu dobre wykształcenie. Ale spójrz na głupotę młodego pokolenia: ten bęcwał płacze jak baba!

Uderzył laską w werandę, aby podkreślić swoje zniesmaczenie. Chłopak naprawdę wystawiał jego cierpliwość na próbę. Dewanna ciągle prosił, by pozwolono mu chodzić do wiejskiej szkoły razem z Dewi, ale najak był nieugięty i postanowił zrealizować swój plan. Ojciec chłopca nie odwiedzał go od przeszło czterech miesięcy. Czyżby uważał, że Dewanna nie jest dla niego wystarczająco dobry? Co z tego, że Kambejmadowie byli obrzydliwie bogaci? Palladom też się przecież nieźle powodziło. Urażony najak poprzysiągł, że uczyni z Dewanny jednego z najlepiej wykształconych młodzieńców w całym Kodagu, że ukształtuje go na dumę klanu Kambejmadów. Gdyby tylko Dewanna zechciał wykazać więcej rozsądku.

29

Najak prosił i tłumaczył, od czasu do czasu nawet sprawiał chłopcu tęgie lanie, ale ten ciągle płakał.

- Ech... - zadumał się najak, błędząc gdzieś myślami, i wypluł pestki pomarańczy do skórki. Thimmaja współczująco pokiwał głową, zastanawiając się, co to wszystko ma wspólnego z nim. Najak wstał, odchrząknął i postanowił przejść do sedna sprawy. - Thimmajo - zaczął z entuzjazmem - może ty też zapiszesz Dewi kunji do szkoły? Oczywiście nie musisz się przejmować chesnym, tym zajmę się ja. Niech dzieci uczą się razem. Może dzięki temu Dewanna wreszcie się uspokoi.

Thimmaja był zadowolony. Jego aniołek miał iść do dobrej szkoły, uczyć się angielskiego tak samo jak biali. Szybko wyraził zgodę, ale Muthawwę ogarnęło przerażenie. Ich córka już teraz była niesforna, czy Thimmaja naprawdę chciał ją zepsuć jeszcze bardziej, posyłając dziewczynkę do tej nowej, modnej szkoły? Kto wie, jakich bezeceństw nakładają jej tam do głowy? Czy Thimmaja pragnął, żeby jego jedyna córka zapomniała o tradycji? - Ludzie mówią - szepnęła, czerwona ze wstydu - że ci misjonarze nie myją nawet tyłka!

Thimmaja wybuchnął śmiechem.

- Skąd bierzesz takie bzdury, kobieto? Skoro tak bardzo cię to martwi, daj Dewi mosiężny dzban, żeby mogła go zabierać do wychodka.

W końcu to taji doprowadziła do zawieszenia broni.

- Czy edukacja kiedykolwiek komuś zaszkodziła? - zapytała. - Dewi ma szczęście, że dostała szansę pójścia do tak drogiej szkoły. To łaska bogów - oznajmiła - że naszemu dziecku trafia się okazja zdobycia nowoczesnego wykształcenia. Trzeba iść z duchem czasu. Poza tym od czego są starsi domownicy? Czyż nie powinni dopilnować, by dorastająca Dewi dobrze poznała tradycje Kodagu? Nie martw się - uspokoiła Muthawwę. - Razem zadbamy o to, żeby poznała wszystkie nasze zwyczaje i siedem śastr. Dzieci zostały zapisane do pierwszej klasy szkoły prowadzonej przez misjonarzy. Nowicjuszki skierowały Thimmaję do sklepu z tkaninami w Madikeri, gdzie kupił dwa jardy\* kraciastej bawełny z Kannuru.

- Też coś! - prychnęła oburzona taji, kiedy Thimmaja przyniósł jej materiał z wytycznymi, prosząc o uszycie koszuli z krótkim rękawem i fartuszka.

Pocięła stare sari, nie skąpiąc tkaniny na koszulę, aby rękawy sięgnęły nadgarstków Dewi. Następnie dodała do fartuszka szeroki pas tkaniny, 1 1 jard = 91,4 centymetra.

30

którego krawędź skromnie kołysała się nad kostkami. Misjonarzy tak bardzo cieszyło przybycie ślicznej dziewczynki - zaledwie piątej uczennicy w szkole - że przyknęli oko na swobodę, z jaką taji podeszła do kwestii mundurka.

Mając Dewi u boku, Dewanna przestał pochlipywać i odkrył w sobie niezwykle zacięcie do nauki. Chłonał wiedzę jak sucha fasola deszcz. Zagłębiał się w książkach niczym ryba tańcząca w falach. Opanował alfabet i bez trudu nauczył się czytać - ku rozdrażnieniu Dewi, która brnęła przez wyrazy sylaba po sylabie. Szybko pojął zawiłe zasady matematyki, podczas gdy inne dzieci zmagaly się z mnożeniem i dzieleniem. Rachował tak sprawnie, że nauczyciele ledwie nadążali pisać zadania na tablicy. Grono pedagogiczne nie szczędziło mu pochwał, wielokrotnie stawiając za wzór reszcie uczniów jakoś jego prac domowych i nienagannej kaligrafii. Z początku, gdy tylko nauczyciel się odwrócił, klasowe osiłki rzucały Dewannie mordercze spojrzenia i szeptem obiecywały lanie po lekcjach. Dewi jednak szybko ukróciła ich zapędy. Z błyskiem w oku wygrażała im bezgłośnie dopóty, dopóki chłopcy potulnie nie wściubili nosów z powrotem w książki. Wkrótce zupełnie przestali dokuczać Dewannie.

Dewanna był pupilkiem wszystkich nauczycieli, ale nikt nie hołubił go bardziej niż wielebny Gundert, przełożony misji.

Hermann Gundert przybył do Kodagu przeszło trzy lata wcześniej. Przebywał tam dokładnie trzy lata, pięć miesięcy i szesnaście dni. Gdy zwierchnicy zasugerowali, że powinien otworzyć misję w Kodagu, Gundert wiedział, że będzie to strata czasu. Mieszkańcy Kodagu byli upartymi, kochającymi grog sybarytami, zbyt przywiązanymi do swych pogańskich nawyków, by zechcieli się zmienić. Uważali się za wyznawców hinduizmu, lecz gdy stawili skuteczny opór sułtanom z Majsuru i podejmowanym przez nich wysiłkom na rzecz nawrócenia Kodagu, sprytnie uniknęli także wpływow braminiów. Przebierali w tradycjach hinduizmu, odmawiając porzucenia wiary w przodków i duchy ziemi. Skoro udało im się przeżyć najważniejsze chwile - narodziny, nadanie imienia, ślub i ostatnie namaszczenie - bez żadnego bramina w zasięgu wzroku, to jakież szanse miał Kościół katolicki? Mimo tych wszystkich wątpliwości Gundert się zgodził. Spędził w Indiach ponad ćwierć wieku i prosił,

31

by przenoszono go co trzy lub cztery lata, więc nie pozostało mu zbyt wiele miejsc do wyboru.

Zaczął tworzyć misję z typowym dla siebie zaangażowaniem, śląc petycje o przydzielenie ziem sąsiadujących z kościołem w Madikeri i sprawnie je pozyskując. Następnie zaczął gromadzić informacje o mieszkańcach Kodagu i o ich ojczyźnie. Godzinami rozmawiał z plantatorami z Europy, ciekaw ich opinii. A te były różne: czarujący, ale nieco prostaccy; wojowniczy, lepiej trzymać się od nich z daleka; w gorącej wodzie kąpani, ale uczciwi aż do przesady; urodziwa rasa, ujmujące kobiety. Zajrzał do miejscowej biblioteki, gdzie przeczytał relacje sędziów, żołnierzy, urzędników i innych strażników Imperium, których los zaprowadził do Kodagu. Zatrudnił prywatnego nauczyciela, aby opanować lokalny język, oraz prowadził długie dyskusje z personelem misji i z mieszkańcami miasta. Podczas tych rozmów robił szczegółowe zapiski, streszczając w licznych notatkach wszystko, czego się dowiadywał.

Notatka 1: Rasa słynie z urody. Pochodzenie tego ludu jest nieznane. Jego członkowie tworzą górski klan, wolny od jarzma kasty, cechujący się męstwem i niezależnością typową dla ludzi, którzy od niepamiętnych czasów są prawdziwymi panami tej ziemi. Kroczą z pewnością siebie, co wygląda bardzo efektownie. Wielokrotnie mnie zagadywali, okazując szczere, otwarte zaciekawienie moim pochodzeniem i serwując mi miłą odmianę w postaci braku służalczości tak często spotykanej w innych miejscach. Bez wahania ściskali mi dłoń z siłą, jakiej nigdy wcześniej nie spotkałem. Mężczyźni są znacznie wyżsi od przeciętnego mieszkańca Indii. Mają imponująco szerokie ramiona i rozbudowaną klatkę piersiową. Zazwyczaj są gibcy i muskularni, poruszają się z łatwością, którą bez wątpienia zawdzięczają aktywnemu życiu, czas spędzają w polu i na leśnych łowach. Włosy mają gęste i kręcone, nos często zakrzywiony, oczy zniewalająco kształtne i jasne, często o szarych albo zielonych tęczęwkach. Ich karnacja jest zróżnicowana, jedynie nieliczni mają brązową skórę typową dla mieszkańców innych części tego kraju. Zdecydowana większość ma ładną, oliwkową cerę, która często bywa tak jasna, że mogliby niemal uchodzić za Europejczyków. Ubierają się wyjątkowo atrakcyjnie, w czarną tunikę zwaną kupja, podkreślającą wyrzeźbione plecy i silne ramiona. Spiczasty dekolt z przodu ukazuje bujne loki porastające pierś w nieokiełznanej



proklamacji męskości, a szeroka szarfa i zdobiony sztylet nieubłaganie przyciągają spojrzenie ku szczupłej talii i biodrom.

32

Zaprawdę, z całym przekonaniem można powtórzyć słowa sirPerryego, który nazwał ich najbardziej ponętą i atrakcyjną rasą mężczyzn, jaką napotkały oczy od wielu lat.

Uwagi na temat kobiet były znacznie bardziej zwięzłe.

Notatka 2: Kobiety mogłyby zostać uznane za atrakcyjne, gdyby nie zgubny zwyczaj żucia betelu\*, rozpowszechniony zwłaszcza wśród starszych matron, który nadaje ich zębom i ustom jaskrawy, karmazynowy odcień. Wyglądają zdrowo i dość krzepko, lecz większość z nich ma słabość do nietwarzowych, rażąco krzykliwych kolorów przyodziewku, uwielbianych przez ich siostry w całym Indiach.

Notatka 12: Obowiązuje tu wyraźna hierarchia społeczna. Osoby starsze darzy się wielkim szacunkiem. Dotknięcie ich stóp jest wyrazem szacunku i szansą otrzymania błogosławieństwa od kogoś, kto żyje dłużej niż my. Do każdego starszego mężczyzny należy się zwracać „anna” (wymawiane jak an-na) co oznacza starszego brata, a do każdej starszej kobiety mówi się „akka” (ak-ka). Robotnicy i służący zwracają się do swoich panów i pań, niezależnie od wieku, „anna” albo „akka”. Wszystkie teściowe nazywa się tu „mawi” (ma-wi), a teściów „mawa” (ma-wa). Bardzo starych ludzi traktuje się jak wspólnych dziadków i babcię, nazywając ich „taji” (ta-ji), czyli babcia, lub „thatha” (ta-ta), czyli dziadkiem.

Notatka 36: Podobnie jak inne górskie rasy, mieszkańców Kodagu łączy niepodważalne poczucie wspólnoty. Każdy człowiek winien jest posłuszeństwo rodzinie, a każda rodzina jest związana z innymi rodzinami i z całym krajem. Człowiek jest tu w pierwszej kolejności mieszkańcem Kodagu, a dopiero potem obywatelem Indii, czy nawet wyznawcą hinduizmu. Mimo to wszyscy modlą się do szerokiego panteonu pogańskich bogów, z których za najpotężniejszych uznawani są tu Pan Iguthappa lub Iguthappa swami, czyli bóg wzgórz, oraz Ajappa swami, czyli bóg dżungli.

\* Betel - liście pieprzu betelowego, używka rozpowszechniona w krajach Dalekiego Wschodu. Wykazuje działanie pobudzające i odkażające. Żucie betelu powoduje barwienie zębów na czarno a śliny na czerwono.

33

Mieszkańcy Kodagu byli gościnni aż do przesady. Wizyty Gunderta niezmiennie wywoływały w ich domach ogromne poruszenie i krzątaninę, gdyż kobiety pędziły, by dołożyć do ognia w kuchni, a do tego wkładały na jego cześć czyste sari i masę ozdób. Podejmowano go na werandzie, gdzie mężczyźni okazywali mu niebywałą uprzejmość, a gromadki dzieci o podejrzenie czystych buziach i starannie zaczesanych do tyłu włosach chłoneły każde słowo rozmowy. Raczyli go jedzeniem i napojami, lecz gdy tylko poruszył temat nawrócenia, stawali się wyniośli i zdystansowani. Mówili mu bez ogródek, żeby trzymał się z dala od ich prywatnych spraw. Kiedy nalegał, spoglądali na niego z niedowierzaniem, a potem, być może dostrzegając nieustępliwość pokrewną własnej, reagowali rozbawieniem. Z wielkim namaszczeniem kładli przynoszone przez niego krucyfiksy i różańce wśród bibelotów w swoich domach - oczywiście z dala od miejsc, gdzie stały symbole ich własnych bogów. Na pożegnanie również obdarowywali go prezentami - figurkami z drzewa

sandałowego, ładnym porożem jelenia, słojami przetworów z owoców ubosu - i radośnie zapraszali, by odwiedził ich ponownie.

Po roku sumiennej pracy wielebnemu udało się nawrócić jedynie grupkę handlarzy z sąsiednich stanów, którzy osiedlili się w Kodagu. Spośród rdzennych mieszkańców namówił tylko jednego, niepoprawnego pijaczka skuszonego obietnicą ziemi i propozycją uregulowania jego długów. Wielebny ochrzcił go, nadając mu imię Madappa John, lecz wszelkie nadzieje na zapoczątkowanie w ten sposób fali nawróceń szybko zgasły. Rodzina natychmiast wyrzekła się Johna, nawet jego własna żona oświadczyła, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. John znowu zaczął spędzać wieczory w miejscowej pijalni grogu, a niedługo potem zaginął i nikt go więcej nie widział.

Zrozumiawszy, że kluczem do sukcesu misji jest młodsze pokolenie, wielebny postanowił zmienić taktykę. Zaniechał głośnego wygłaszania kazań, obierając sobie za cel otwarcie szkoły w Madikeri. Gdy tylko bogatsze rodziny zaczęły stopniowo posyłać do niej dzieci, mieszkańcy Kodagu zareagowali natychmiast, acz ostrożnie. Poziom nauczania był niewątpliwie wyższy niż w innych szkołach w regionie, a kiedy mijały miesiące i zobaczyli, że dzieciom nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo zarażenia się chrześcijaństwem, powoli nabrali do szkoły zaufania. Wielebny wiedział, że wypełnienie klas to tylko kwestia czasu. We właściwym momencie zamierzał wprowadzić do programu studia biblijne, a może nawet cotygodniową mszę.

34

Wielebny bardzo się troszczył o swoich uczniów. Byli nadzieją tego kraju, jego przyszłością. Gundert obrał sobie za cel wykształcenie ich i ucywilizowanie w duchu najlepszych tradycji zachodniego świata. Wyznaaczył wysokie standardy, lecz od siebie wymagał równie dużo. Biada temu, kto przyszedł nieprzygotowany na lekcję u Hermanna Gunderta. „Nie - oświadczał beznamiętnym tonem. - Neirt, źle”. Nieszczęsny uczeń stał na środku klasy, a wielebny odprawiał go do kąta.

Dziwne, zdumiewali się uczniowie, że choć wielebny nigdy nie podnosił na nich różgi ani nie kazał jak inni nauczyciele przykucać i trzymać się za uszy, aż mięśnie zaczynały wyć z bólu, to właśnie kary wymierzane przez niego były najtrudniejsze do zniesienia. „Wszystko przez to jego spojrzenie - drżeli - przez te niebieskie oczy koloru popołudniowego nieba”. Sposób, w jaki do nich przemawiał, ten opanowany, prawie przesadnie niski ton głosu i wytworna precyzja jego rozczarowania, doprowadzały do łez nawet najbardziej zatwardziałego rozrabiakę.

Gundert nie potrafił powiedzieć, co dokładnie sprawiło, że zwrócił uwagę na Dewannę. Może strzęp zasłyszanej rozmowy nauczycieli o jego matce, niech spoczywa w pokoju, która odebrała sobie życie? Chociaż nie, to nie mogło być to. Samobójstwo było tu prawie stylem życia, jeśli można sobie pozwolić na taki kalambur. Wkrótce po przyjeździe Gundert odkrył ku swojemu przerażeniu, że mieszkańcy Kodagu uważają odebranie sobie życia za honorowe rozwiązanie całej gamy problemów. Nie mógł upłynąć miesiąc bez wieści o kimś, kto przystawił sobie pistolet do głowy, połknął diamentowe pierścionki albo wykonał śmiertelny skok do wezbranej rzeki.

Chodziło o coś innego. Uczył dzieci bardziej ujmujące niż Dewanna,

lecz w bladej twarzy chłopca i w jego zalęknionych oczach było coś, co sprawiło, że tamtego dnia Gundert zamilknął podczas sprawdzania obecności. Wielebny został na następnych lekcjach i przyjemnie zaskoczyła go widoczna sprawność intelektualna chłopca. Kiedy nauczyciel matematyki zadał uczniom wyjątkowo skomplikowane działania, które Dewanna rozwiązał w pamięci, nawet nie zbliżając kredy do tabliczki, sprawa była przesądzona. Gundert wziął chłopca pod swoje skrzydła. Gdy najak Pallada wezwał do siebie Dewannę, chłopiec stanął przed dziadkiem, próbując zapanować nad drżeniem i zastanawiając się, czym zawinił tym razem. Ku jego zaskoczeniu najak poklepał go po plecach, rechocząc, że najwidoczniej małemu dobrze idzie w szkole, skoro wielebny zwrócił się do najaka o pozwolenie na udzielanie Dewannie dodatkowych

35

lekcji dwa razy w tygodniu. Wszystko wskazywało na to, że Dewanna został pobłogosławiony umysłem najaka, w przeciwieństwie do reszty jego tępotłego potomstwa.

Dewanna nie mógł uwierzyć swoim uszom. Wielebny wybrał jego. Jego!

Siedzieli naprzeciw siebie w gabinecie wyłożonym palisandrową boazerią, siwiejący Gundert i jego protegowany, i studiowali teksty z prywatnej kolekcji wielebnego. Dewanna uwielbiał dotykać tych książek, uwielbiał ich kremowy papier, chropowate, pozłacane krawędzie i nadtalinową woń unoszącą się nad kartkami, która łaskotała go w nos. Lubił gardłowy głos wielebnego, kiedy ten czytał. Dewanna nie rozumiał wszystkich słów, ale wiersze tworzyły w jego głowie obrazy, cudowne wizje zielonych łąk, kamiennych ścieżek i kwiatów, których nigdy nie widział, kwiatów o takich nazwach jak kro-ku-sy, i-ry-sy i żon-ki-le, brzmiących równie pięknie jak jedna z piosenek Dewi.

Pewnego popołudnia, kiedy wielebny czytał na głos, spomiędzy kartek książki coś wypadło. Dewanna natychmiast się pochylił, żeby to podnieść, i z zaciekawieniem dostrzegł widniejącą na odwrocie rozmazaną niebieską pieczęć studia fotograficznego z napisem: „William Henderson i Synowie”, oraz dopiskiem: „Madras, około 1861 roku”. Odwrócił kalotypię na drugą stronę. Śmiał się z niej do chłopca znacznie młodszego wielebny Gundert. Stał obok innego młodego mężczyzny o masywniej szej budowie, który wyglądał na równie rozbawionego i pozował z jedną ręką opartą na biodrze, a drugą wsuniętą za klapę marynarki.

- Kto to jest, wielebny? - nieśmiało zapytał Dewanna, kładąc kalotypię na stole. Gundert czytał dalej, jakby nie usłyszał pytania, a potem nagle zamilkł w połowie wiersza.

- Olaf- powiedział szorstko, sięgając po kalotypię i wsuwając ją z powrotem do książki. - Mężczyzna, o którego pytałeś, miał na imię Olaf. - Spojrzawszy za okno na gasnące słońce, gwałtownie zamknął książkę i niespodziewanie zakończył lekcję. Urazony opryskliwością wielebnego, Dewanna w milczeniu zabrał swoją tabliczkę i wyszedł.

Gundert siedział sam w klasie, nadal ściskając w dłoniach książkę. Powoli przesunął kciukiem po skórzanej oprawie. Olaf. Ile upłynęło lat, odkąd po raz ostatni głośno wypowiedział jego imię? Olaf, ukochany Olaf. On

36

i Olaf, najlepsi przyjaciele, bratnie dusze na wieki, beztrosko biegający

po lesie. Olaf wyglądał tak pięknie, z wiatrem we włosach, roześmiany, gdy jego latawiec wzbijał się ku błękitnemu niebu.

Bracia we wszystkim oprócz krwi.

Dopiero później, kiedy na ich policzkach pojawił się pierwszy chropowaty meszek, ich światy zaczęły się od siebie oddalać. Olaf nagle przestał się interesować wyprawami na ryby, nawet kiedy stary Uwe wrócił do domu z największym pstrągiem, jakiego kiedykolwiek widziano w tamtych stronach. Nie palił się już do polowania na króliki ani do hasania po lesie z psami. Wolał przesiadywać na skwerze w centrum wsi i obserwować przechodzące kobiety. „Patrz na tę”, szeptał do Gunderta, dając mu bolesnego kuksańca w żebra za każdym razem, kiedy pojawiała się wyjątkowo ponętna dziewczyna. Ku swojemu zadowoleniu Olaf odkrył, że przedstawicielkom płci pięknej wydawał się równie atrakcyjny jak one jemu. Uśmiechał się do nich, zdejmując kapelusz i bezczelnie puszczając oko, a one nagradzały go rumieńcem zakłopotania, ukradkowymi spojrzeniami, a czasami też do niego mrugały, zamieniając jego nogi w watę.

Hermann był zniesmaczony. Wściekał się, kiedy dziewczyny z fałszywą skromnością słały Olafowi kokieteryjne uśmiešky, a badawcze spojrzenia, jakimi oceniały szerokość jego klatki piersiowej, przepelniały Gunderta obrzydzeniem. Jeśli niebacznie spojrzęły w stronę Hermanna, rzucał im pogardliwe spojrzenie, a wtedy pospiesznie odchodziły, rezygnując ze zrobienia pierwszego kroku. Próbował wybić Olafowi z głowy tę nową obsesję. Krytykował dziewczęta, które spodobały się przyjacielowi, wytykając im grube kostki albo przydługie włosy płaczące się na ramionach. Olaf wcale się nie zrażał.

- Oj, przestań narzekać - mówił beztrąsko. - Lepiej poszukaj jakiejś dla siebie i skosztuj jej rozlicznych wdzięków.

- Nie mam zamiaru robić czegoś tak prostackiego - wyniośle oznajmił Hermann.

Zbyt dumny, aby domagać się od przyjaciela uwagi, Hermann ukrywał cierpienie za każdym razem, gdy Olaf go spławiał. Unosił brew albo obojętnie wzruszał ramionami, kiedy Olaf mówił, że nie ma dla niego czasu. „To minie - tłumaczył sobie. - To tylko taki okres”. Wkrótce znudzą mu się te... te ladacznice. Już wkrótce znów będą tylko oni dwaj, senny Olaf słuchający w popołudniowym słońcu lektury czytanej przez Hermanna, na przykład Rampsenita Heinego albo nawet Mitologii greckiej.

37

W głębi duszy wiedział jednak, że właśnie traci przyjaciela. Z rozpaczą patrzył, jak Olaf hula we wsi, z udawanym zainteresowaniem słuchał relacji z kolejnych schadzek, czując, jak serce skręca mu się z zazdrości i z mrocznej, niepojętej tęsknoty.

Z pomocą przyszedł mu Kościół. Hermann zawsze lubił uczestniczyć w mszy, podobał mu się chłód alabastrowych rzeźb, kanciaste ławki i powściągliwy śpiew chóru. Zawsze trochę się bał braci zakonnych, śnieżnej bieli ich szat i nieodłącznej czystości ich abstynencji. Teraz spokojne wnętrze miejscowej parafii przyciągało go jeszcze mocniej. Zaczął tam spędzać całe godziny, kiedy ból w jego sercu stawał się nieznośny, a wstyd pokrywał mu język grubą, niewyartykułowaną warstwą. Siedział w spowitych cieniem zakamarkach kościoła przez nikogo niezauwa-

żony i w milczeniu patrzył na wiernych, którzy napływali z nieznanymi błaganiami o łaskę. W stoickiej akceptacji jednego, obfitych łzach drugiego i mamrotanych żalach trzeciego zdawał się znajdować chwilowe pocieszenie.

„Christus, du Lamm Gottes, der du tragst die Siinde der Welt, erbarm dich unser“\*, modlił się żarliwie w myślach.

Gdy przełożeni misji przybyli do wioski w poszukiwaniu nowicjuszy, Hermann z lekkim zdumieniem zdał sobie sprawę, że zwracają się właśnie do niego. Pan w swojej nieskończonej łasce wskazał mu drogę. Gundert prawie natychmiast wyruszył do Bazylei, gdzie ku rozpaczycy jego rodziców odbyła się konfirmacja.

- Dlaczego? - płakała matka. - Dlaczego wybrałeś Kościół, skoro masz tu tyle innych możliwości? Ziemia, majątek, to wszystko jest twoje. Dlaczego musisz wyjeżdżać?

Hermann zachował milczenie, zaprzeczając mętlikowi, który miał w głowie. Wyjechał, nawet nie pożegnawszy się z Olafem.

Wrócił prawie dwa lata później, poukładany i wyniosły. Był już wyświęcony, znał angielski, botanikę, historię i podstawy medycyny, dysponował wszystkimi narzędziami potrzebnymi do szerzenia Słowa w zamorskich krajach. To miała być krótka wizyta w domu, związane pożegnanie z rodzicami przed wyprawą do Indii. Wieść o jego przybyciu, tak jak inne nowinki, szybko rozeszła się jednak po wsi i Olaf wpadł z wizytą. W Hermannie od razu obudziły się stare, zakazane uczucia, które podźwiгнаły się z błota i wezbrały z siłą zrywającą cumy.

\* Chryste, Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami (niem.).

38

Miał przed sobą posepnego, markotnego Olafa, po raz kolejny porzuczonego i leczącego złamane serce. Hermann z rozkojarzeniem słuchał jego rozpaczliwych wynurzeń. Dobrze znał przyjaciela i wiedział, że już wkrótce pozbiera się po najnowszej porażce. Gundert wyglądał jak wzór opanowania, lecz w jego głowie maszerował Dante, dotrzymując kroku tykaniu zegara z kukułką:

Naprzód porzucisz najśłodsze kochania:

To pierwsza będzie z twych losów przygody

Strzała puszczona po łuku wygnania\*.

Wygłodniałe oczy Hermanna błąkały się po twarzy Olafa, zapisując w pamięci ledwie dostrzegalną bliznę na skroni po upadku w lesie, burztynowe koniuszki rzęs, które w słońcu stawały się jasnozłote...

I nagle Hermann doznał olśnienia.

Gwałtownie pochylił się do przodu i zaczął namawiać Olafa, by wyruszył z nim do Indii. „Tylko pomyśl - nalegał - misja potrzebuje wolontariuszy. Spędzisz z nami rok, a kiedy wrócisz, będziesz tu bohaterem”.

Stłumił lekkie wyrzuty sumienia, tłumacząc sobie, że robi to dla dobra Olafa. A misja naprawdę potrzebowała wolontariuszy. Podróż mogła dać Olafowi szansę na poszerzenie horyzontów, na zgromadzenie doświadczeń i zapomnienie o odejściu kochanki.

Plan, choć szalony, przemówił do kapryśnego serca Olafa. Indie! Ileż przygód tam na nich czeka! Ależ Margarethe będzie płakała, kiedy się dowie o jego wyjeździe! Pożałuje, że nim wzgardziła!

Już wkrótce stali na pokładzie parowca płynącego do Madrasu. Gdy na

horyzoncie w końcu ukazała się zamglona linia brzegowa, Olaf wdrapał się na barierkę.

- Indie! - krzyknął. - Magiczne, stare Indie!

Hermann stał obok ze śmiechem, czując na ustach sól i rozkoszując się radością przyjaciela.

- Hermannie, razem zmienimy ten kraj na zawsze - oznajmił mu

Olaf z błyskiem w oku. - Ileż historii będziemy opowiadać po powrocie.

Margarethe nie będzie w stanie mi się oprzeć.

Zrobili sobie kalotypię niespełna dwie godziny po zawinięciu do doku, odurzeni młodością, upojeni mnogością zapachów i dźwięków,

\* D. Alighieri, Boska Komedia, tłum. E. Porębowicz, Warszawa 1978, s. 429.

39

pobudzeni entuzjazmem Olafa i ogromnym szyldem przed studium fotograficznym, który informował, że właściciel przyjmuje zapłatę we wszystkich europejskich walutach.

- Gruźlica - zawyrokował beznamiętnym głosem lekarz w szpitalu Matki Boskiej Miłosiernej niespełna miesiąc później. Stykał się z nią bez przerwy. Hermann patrzył, jak poszturchuje ciało Olafa, i miał ochotę go rozszarpać. Zamiast tego zapanował nad głosem i grzecznie podziękował mężczyźnie za poświęcony im czas. Przez te wszystkie tygodnie prawie nie odstępował Olafa na krok, kołyszając ukochanego przyjaciela w ramionach, mamrocząc słowa pocieszenia albo skruchy, których tamten nie był w stanie rozróżnić, w spocone, cuchnące włosy. Bezsilnie patrzył, jak Olaf gaśnie: widział skrzepy krwi i śluzu wielkości feniga, wysięki, które zmieniły złote rzęsy w mokry, błotnisty brąz, słyszał zagubienie pobrzmiwające w jego głosie, kiedy wołał matkę lub Margarethe.

Gdy Olaf umarł, Hermann wiedział, wiedział bez cienia wątpliwości, że to on go zabił. Zupełnie jakby przystawił mu pistolet do głowy. Olaf przyjechał do Indii wyłącznie za jego namową, zmarł tą straszną śmiercią przez niewyartykułowane żądze wijące się w słabym, godnym pogardy sercu Gunderta.

„Hermannie, razem zmienimy ten kraj na zawsze”.

Gundert rzucił się w wir pracy, jakby postanowił urzeczywistnić te optymistyczne słowa na własną rękę. Młody misjonarz był niezmordowany, głosił ewangelię, otwierał szkoły, lobbował u miejscowych władz i rekrutował konwertytów, pracował do późna i wstawał wcześniej niż inni. Ale bez względu na to, ile z siebie dawał, bez względu na to, jak często odmawiał sobie spania, w końcu i tak dopadały go sny.

Iglica kościoła odznaczała się na tle bezchmurnego wiosennego nieba, lecz po chwili w powietrzu zaczynały tańczyć ich latawce. „Pospiesz się, Hermann”, wołał Olaf, biegnąc przez las po igłach szeleszczących pod stopami. „Zaczekaj, Olafie, zaczekaj na mnie”. Lecz Olaf pędził przed siebie. Bez względu na to, jak szybko Hermann biegł, jak bardzo błagał, Olaf zawsze go wyprzedzał, zawsze był poza jego zasięgiem, i ze śmiechem znikał za zakrętem. Gundert budził się roztrzęsiony, z rękami wyciągniętymi za duchem, który już dawno mu się wyslizgnął. Potykając się, szedł do kaplicy i klęczał w niej z imieniem Pana na ustach, błagając

40

o przebaczenie, póki światło dnia nie zaczęło ponownie wlewać się przez

witraże w oknach.

Rankiem znów prosił o przeniesienie.

Grzmot wstrząsnął niebem, wyrwijąc Gunderta z zamyślenia. Jak długo tak siedział? Powoli otworzył okno i wystawił dłoń w ciemność. Jakiś czas wcześniej zaczęło padać i krople mocno uderzały w jego otwartą dłoń. Do środka wpadł podmuch chłodnego powietrza zaprawiony nutką drzewnego dymu, jaśminem i ledwie wyczuwalną wonią obornika. W oddali zawył szakal. Dźwięk rozbrzmiał niesiony wiatrem, a potem ucichł. Gundert pomyślał o matce, o jej zbolątych palcach, które śledziły każdy rys jego twarzy, muskając ją w chwili pożegnania niczym ptasie skrzydła. Pomyślał o Olafie, na wieki zespolonym z krajem, który ledwie znał. O pewności, którą nosił w sercu i która nakazywała mu wierzyć, że pewnego dnia on też zostanie tu pochowany. „Bracia na zawsze”. Pomyślał o Dewannie, o niewinnej czystości malującej się na jego twarzy i o wrodzonej, niewytłumaczalnej strunie tkwiącej głęboko w swoim wnętrzu, którą poruszył ten chłopiec.

Po raz pierwszy od śmierci Olafa Gundert poczuł, że do jego serca wkrada się spokój. Pan dał mu kolejną szansę w osobie tego chłopca, namiastkę syna, którego mógłby nazwać swoim własnym.

- Spoczywaj w pokoju, Olafie - szepnął, a bryza pochwyciła te słowa z jego ust. - Mein Schatz, mein Liebling, żegnaj.

Stał tam dłuższą chwilę, póki nie przyszły po niego nowicjuszeki.

Deszcz smagał Gundertowi twarz, gdy patrzył na potop za oknem, na rozwidlone, trzaskające błyskawice i na niebo wylewające wszystkie łzy, których on nie był w stanie uronić.

Wielebny zdwoił wysiłki. Co sobotę tworzył listę tematów, które zamierzał omówić z Dewanną w następnym tygodniu. Historia i geografia, język angielski i literatura - co miesiąc ustawiał poprzeczkę nieco wyżej, a Dewanna co miesiąc żarliwie za nim podążała, rozkwitając pod okiem wielebnego. Pozostałe dzieci Naćimandów z zaciekawieniem zbierały się wokół, kiedy wieczorami Dewanna pomagał Dewi w odrabianiu lekcji, i wkrótce je również zaczął uczyć alfabetu. Pokazał im atlas, który pożyczył mu wielebny Gundert, a w nim Niemcy, Anglię i liczne archipelagi leżące na wschodzie. Uczył ich wierszy, które opanował

41  
w ciągu tygodnia. - „Ahostoffgoldun daffadils”\* - papugowały po nim, przepełniając Dewannę pewnością siebie.

Nagle przestało się liczyć to, że nigdy nie wygrał żadnego z wyścigów, które co roku organizowano na świeżo zaoranych, nawodnionych polach, ani że nigdy nie wdrapał się jako pierwszy na mangowiec, ani że podczas polowania nigdy nie został bal battekarą. Pewnego dnia nawet łobuziaki ze wsi podeszły do niego i zapytały, czy nie mógłby ich nauczyć „angilskiego”. Dewanna odruchowo się skrzywił, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że tym razem obejdzie się bez lania.

Nikt nie był z niego bardziej dumny niż Dewi. Ich relacje uległy zmianie: Dewanna nie potrzebował już jej ciągłej ochrony i teraz to ona zaczęła go podziwiać. Kiedy małe kukuleczki wypadły z gniazda i żałośnie popiskiwały pod mangowcem, pobiegła po Dewannę, pewna, że będzie wiedział, co zrobić. To jemu się skarżyła, kiedy Muthawwa robiła jej awanturę. Wysłuchiwał jej cierpliwie z tak zagadkowym wyrazem twarzy,

że Dewi niezmiennie przerywała swoją tyradę w połowie i zaczynała chichotać. Gdy biegali boso po polach, to Dewanna przyklękał przy jej stopie i delikatnie wyciągał kolce, które czasami raniły jej podeszwy. Tylko on się nie śmiał i nie mówił, że jest niemądra, kiedy mu wyznawała, że naprawdę nie znosi bransolet.

Później, gdy Dewanna spoglądał wstecz na swoje życie, to właśnie tamte lata wydawały mu się najdoskonalsze, najbardziej nieskażone, przesycone ciepłą poświatą wspomnień.

Pewnego razu do kurnika wpadł szakał. Dwie kwoki miały młode i maślany puch piskląt leżał rozwleczony po całym podwórzu. Dewi i Dewanna obudzili się rano, jednak to nie kwilenie wyrwało ich ze snu, lecz potok złorzeczeń dobiegający od strony kurnika. Pobiegli sprawdzić, co się dzieje, i zaciekawieni zerknęli za plecy Thimmai, który stał na werandzie i miotał przekleństwa. Szakał zabijał jak popadło i zostawił po sobie porozrzucane, na wpół zjedzone ptaki oraz wnętrzności i zakrwawione pióra, które znaczyły drogę jego ucieczki. Kiedy Dewi zobaczyła, co zostało z kurcząt, zaczęła płakać. Thimmaja wziął ją w ramiona, pocałował w czubek głowy i prosił, żeby była dzielna, ale - choć połykała łzy - nadal była blada i osowiała.

Taji zapakowała im do szkoły kawałki mango obtoczone w soli, a Muthawwa założyła Dewi swoje łańcuszki na nogi i pozwoliła córce nosić je

\* A host of golden daffodils - fragment znanego wiersza The Daffodils (Żonkile) Williama Wordswortha.

42

przez cały dzień, ale z oczu dziewczynki ciągle płynęły łzy. W drodze do szkoły Dewanna próbował ją rozweselić.

- Spójrz, Dewi, spójrz na te kwiaty - powiedział, wskazując kępę orchidei wylewającą się spomiędzy gałęzi drzewa athi. - Dewi, popatrz tam - zachwycił się pajęczą siecią w mokrej trawie i połyskującymi na jej niciach kropelkami rosy.

Kolorowy zimorodek, bąbelki na powierzchni pól ryżowych będące obietnicą czającej się pod spodem tłustej ryby - nic nie było w stanie poprawić jej humoru. Mały służący Tukra, który szedł razem z nimi, wykonał nawet prześmieszny taniec - chwyciwszy się pod boki, przytupywał, uderzał kolanem o kolano, podskakiwał i zwinnie stukał piętą o piętę - lecz Dewi nawet się nie uśmiechnęła.

Nagle Dewanna doznał olśnienia:

- Urządźmy kurczętom pogrzeb.

Spojrzała na niego.

- Pogrzeb? Co masz na myśli?

- Zostaw to mnie - powiedział, improwizując. - Mogę cię jedynie zapewnić, że to będzie bardzo wyjątkowa uroczystość.

Dewi wreszcie się rozchmurzyła.

Później tego samego popołudnia zebrali dzieci Polej ów nad brzegiem krabiego strumienia. Dewanna zbudował prostą tratwę z gałązek i liści bananowca. Tukra przyglądał się temu z przejęciem. Wygrzebali sponiewierane szczątki kurcząt ze sterty odpadków i opatulili ich sztywne ciała rozrzuconymi na ziemi włóknami drzewa kapokowego. Delikatnie ułożyli kurczęta na tratwie, a potem, obsypując kapokowe całuny płatkami nagietka i bezgłośnie poruszając ustami w żarliwej modlitwie,



Dewi wypchnęła tratwę na wodę.

Tratwa krążyła przez chwilę wśród przybrzeżnych wirów. Dewi obserwowała ją z niepokojem, przygryzając wargi. Potem, jakby podążając za snopami światła przebijającego się przez chmury, tratwa, kołysząc się w przód i w tył, wesoło ruszyła w dół strumienia.

Dewi odprowadzała ją wzrokiem jak urzeczona, póki ostatni skrawek puszystego całunu nie zniknął za horyzontem. Potem odwróciła się do Dewanny.

Nigdy nie zapomniał uśmiechu, jakim go wtedy obdarzyła - wydawało mu się, że jej błyszczącą twarz rozświetla od wewnątrz nie jedno, lecz dwadzieścia, albo i tysiąc złotych słońc.

Małeńka tratwa, którą puściły dzieci, bez trudu wirowała w dół strumienia, zadając kłam swej lichej konstrukcji. Minęła granice wioski, niosąc delikatny ładunek przez otaczające ją łagodne wzgórza, przez bambusowe gaje i otwarte polany upstrzone różowymi niecierpkami, a potem przez sąsiednią wioskę, gdzie zgrabnie ominęła ryjące na brzegu świnię. Sunęła obok eleganckich kęp srebrnego dębu i palisandrów, aż zaszło słońce i na niebie zabłyśły gwiazdy. Płynęła całą noc, do rana, mijając pasące się bawoły i dropiate sarny, słodko pachnące krzewy dzikiej róży i siedmiowarstwowego jaśminu, a potem spadając z małego wodospadu, który łączył strumień z wartką rzeką. Wirowała na zielonej wodzie, nabierając rozpędu, aż w końcu ostro skręciła w dżunglę sąsiadującą z wioską Kambejmadów. Tam pochwycił ją zbłąkany prąd i zmiótł w stronę jednego z dopływów, gdzie w końcu zatrzymała się przy wodopoju.

Przyczajony nad wodą tygrys wydał z siebie niski pomruk. Przez chwilę patrzył na chyboczącą się tratwę, a potem, podejrzliwie węsząc, zbliżył się wolnym krokiem. Przyciągnął tratwę masywną łapą i powąchał sztywnie kurczęta. Widząc, że to tylko padlina, kichnął i rozpryskując wodę, ruszył ku cichej, lekko parującej dżungli. Podczas nocnych łowów najadł się do syta. Teraz bezgłośnie podszedł do kępy paproci kiełkujących pod cienistym drzewem pipal. Potarł pyskiem o pień i uniósł muskularną nogę, by zaznaczyć swój teren strumieniem moczu. Zadowolony, położył się na paprociach i wkrótce zasnął.

44

Nieco dalej, w sąsiedniej wiosce, myśliwi wyruszali na łowy. Wczesnym rankiem wrócili tropiciele, przynosząc dobre wieści. Ziemię pokrywały ślady racic, dżungla obfitowała w zwierzynę. Zebrali się na wiejskim skwerze, razem ze strzelcami, opiekunami psów i Polejami grającymi na bębnach, i przykucnąwszy, kreślili w błocie trasę polowania. Zamierzali otoczyć wybrany teren luźnym kręgiem, rozmieszczając strzelców po jednej stronie i zapewniając najlepszym z nich najkorzystniejsze pozycje do oddania strzału. Bębniarze i opiekunowie psów mieli podejść od drugiej strony, naganiając zwierzynę.

Każdy mężczyzna jeszcze raz sprawdził noże wsunięte za pas - krótki, ostry piékathi u boku i przymocowany z tyłu, cięższy odikathi o szerokim ostrzu. Strzelcy złożyli broń i wiejski kapłan uniósł dłonie, aby zapewnić im pomyślność. Potem, wśród radosnych okrzyków i bicia w bębny, myśliwi ruszyli w drogę.

Maćaija Kambejmada szedł na czele milczącej już kolumny, utrzymu-

jąc miarowy krok i torując sobie drogę spokojnymi cięciami odikathi. Od miejsca polowania dzieliło ich jeszcze kilka furlongów, ale mieli dobry czas. Z niecierpliwością czekał na rozpoczęcie sezonu polowań. W porze siewu i monsunu odliczał dni do chwili, w której wreszcie będzie mógł wypróbować strzelbę ze spłonką naboją, którą kupił w Madikeri na początku roku. Handlarz nie musiał go długo namawiać. Twierdził, że wcześniej broń należała do angielskiego żołnierza, który po zakończeniu służby wrócił do ojczyzny. Maću wziął strzelbę, zważył ją w dłoniach, zbliżył do ramienia i wycelował. Broń z pewnością była wspaniała, ale kosztowała stanowczo zbyt dużo.

- Dużo? Ależ skąd - zdziwił się handlarz. - Zresztą jakież to wydatek dla Kambejmadów? To potężna broń stworzona dla potężnego strzelca. Któż zasługuje na nią bardziej niż Maćaija Kambejmada, który zwyciężył w pięciu zawodach strzeleckich w wiosce, mimo że ma zaledwie dwadzieścia? dwadzieścia jeden lat? Ach, ta strzelba jest ci pisana, anna, prawie jakby została stworzona tylko i wyłącznie dla ciebie. Wystarczy ją przystawić do ucha, by prawie usłyszeć, jak w lufie dudni twoje imię.

Maću głośno się roześmiał, słysząc tak niewyszukane pochlebstwa, lecz mile połączony i ujęty połyskiem lufy, kupił strzelbę, zapominając o targowaniu się.

Tydzień później obietnica handlarza spełniła się podczas zawodów w strzelaniu do kokosów. Maću wiedział, że tak będzie - kokos

45

ekspłodował po jednym strzale, a młody mężczyzna wzmocnił swój status jednego z najbardziej poważanych strzelców w wiosce.

Zapowiadało się dobre polowanie, czuł to w kościach.

Myśliwi rozdzielili się na łagodnym zboczu pagórka. Bębniarze i opiekunowie psów ruszyli, by okrążyć las u podnóża, a strzelcy utworzyli luźny szereg na szczycie, gdzie każdy z nich miał sąsiada w zasięgu wzroku, aby uniknąć dostania się w krzyżowy ogień. Cicho przykucnęli w mokrej trawie i czekali na dudnienie bębnow, żując otti z cukrem palmowym przygotowane przez kobiety ze wsi specjalnie z myślą o polowaniu. Maću stanął pod tulipanowym drzewem nandi, obok kępy dzikiego kardamonu.

„Tropiciele dobrze wybrali”, pomyślał, sięgając po nasionko kardamonu, aby rozgnieść je w palcach i uwolnić ciepły aromat. Tuż poniżej jego stanowiska rozciągała się polana, dająca mu doskonały widok na zwierzynę, która mogła pędzić w jego stronę. Zmrużył oczy i spojrzał na słońce. Obliczył, że zanim bębniarze zajmą pozycje, upłynie jeszcze z piętnaście minut. Poranna mżawka ustała, pozostawiając jasne, piękne niebo. Niespokojnie poruszył się w trawie, czując przesuwające się po ramionach ciepło słońca.

Zerknął na drzewo nad głową, wypatrując pytonów. Chwała Ajappie, nie dostrzegł nic niepokojącego. Nie żeby spodziewał się węża, ale... Nagle zamarł. Zamknął oczy i powoli znowu je otworzył. Ale nie, nie przywidziało mu się. Wstał i dał znak czekającemu z tyłu tropicielowi, cicho wskazując drzewo. Na pniu, kilka stóp nad ziemią, widniało dziesięć wyżłobionych śladów.

„Dokładnie w tym miejscu stał tygrys, całkiem niedawno. Wspiął się

na tylnych łapach, żeby zaostrzyć pazury o korę".

Tropiciel z niedowierzaniem pokręcił głową, zdumiony wysokością, na jakiej widniały rysy, rozstawem pazurów. Bestia musi być ogromna. Upadł na czworaka i przyjrzał się podszyciu.

- Musiał tu być dziś rano - szepnął do Maću. - Nie widzieliśmy tych tropów, kiedy byliśmy na zwiadach.

Serce Maću zaczęło łomotać. Tygrys. Upłynęło wiele lat, odkąd w Kodagu po raz ostatni upolowano tygrysa. Ajappo swami, pozwól, żeby ten tygrys trafił na niego. Gdyby go ustrzelił, na zawsze zostałby bohaterem. Zadudniły bębny, wstrząsając ciszą, a po chwili dołączyło do nich gorączkowe szczekanie psów. Dżungla ożyła. Zaszleściły zarośla i strzelcy unieśli strzelby. Skomląc ze strachu, z krzaków wyskoczył zdziczały pies,

46  
potem drugi. Myśliwi opuścili strzelby i znowu zastygli w oczekiwaniu.

W oddali rozległ się tupot racic, który stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu prawie zagłuszył dudnienie bębnow. Strzelcy skwapliwie unieśli strzelby, lecz tętent racic gwałtownie się oddalił. Stado roztropnie skręciło w inną stronę. Mężczyźni zaklęli i splunęli w trawę, lecz Maću zachował milczenie. Nawet nie patrzył na polanę. Skupił wzrok na drzewach. W polu widzenia pojawił się dzik. Maću zobaczył, jak jego kuzyn mierzy do zwierza, kątem oka zauważył błysk prochu i usłyszał kwik padającego odyńca. Z dziwną obojętnością patrzył na mężczyzn pędzących do dzika. Każdy z nich chciał, by to jemu przypadł w udziale zaszczyt pierwszeństwa. Bębny dudniły coraz głośniej, lecz Maću stał spokojnie. I wtedy się zaczęło. Wstrząsający, przeraźliwy ryk zmroził strzelców i na straszną chwilę uciszył nawet bębny.

Dżungla eksplodowała. Zwierzęta pędziły przez zarośla, małe jazgotowały ze strachu, przeskakując z pnącza na pnącze. Bębny znów zadudniły, nieśmiało, a spomiędzy drzew wypadło mnóstwo papug i gwarków, wykrzykując ostrzeżenia. Tętno Maću przyspieszyło. Właśnie na to czekał. „Tygrys ruszył w drogę”. Ptaki gorączkowo odlatywały ze stoku, co mogło oznaczać tylko jedno: tygrys kierował się prosto na myśliwych. Niech jego oczy wypatrzą tę bestię. „Pobłogosław mnie, Ajappo swami, pozwól, żeby powaliła go moja kula”.

Uniósł strzelbę do ramienia, wpatrując się w dżunglę. Bębny dudniły coraz głośniej. Rozległ się drugi ogłuszający ryk, od którego włoski na szyi Maću stanęły dęba, a przedramiona pokryły się gęsią skórą. Wreszcie go zobaczył: płynny ruch pomarańcza i czerni, szybki, pokonujący dystans ogromnymi susami, pędzący prosto na polanę.

„Chwała ci, Ajappo - pomyślał Maću. - Cóż za wspaniałe stworzenie”. Ukłął na jedno kolano, nie odrywając oczu od tygrysa. „Zaczekaj, zaczekaj, spokojnie, TERAZ!”

Strzelba słabo zakasłała, uderzając go w ramię. „Pieprzony złom! Nie teraz, nie zawieź mnie teraz!”

Odciągnął zamek i strzelił jeszcze raz. Tym razem kula wyleciała z lufy, ale zacięty mechanizm zmienił jej tor lotu. Kula pognała, zepchnięta o ułamek milimetra, minęła lewe ucho tygrysa i trafiła go w ramię. Bestia zatoczyła się, wyprostowała i pobiegła dalej. Maću klęczał, zastygł z przerażenia. Spudłował. Maćaija Kambejmada, najlepszy strzelec w wiosce, spudłował. Za karę wychłostają mu nogi kolczastymi gałęziami,

wychłostają go jak kompletnego amatora.

47

W uszach dudniły mu bębny - a może było to tylko bicie serca? Wokół słyszał przeładowywane strzelby, po prawej stronie ujrzał unoszoną przez kogoś lufę. Jeszcze chwila, a tygrys ucieknie, zniknie mu na zawsze. „Aaa!...” zawołał, zrywając się na nogi i pędząc za nim. Odikathi spoczywał mu w dłoni, choć nie pamiętał, żeby go wyciągał zza pasa. Pędził w dół wzgórza, spod stóp tryskał mu żwir. „Dokąd biegiesz, skurwysynu?!”

Tygrys gwałtownie się odwrócił i zmierzył go gniewnym spojrzeniem. „Cóż za doskonałość”, pomyślał Maću. Czas zwolnił. Dżungla zlała się w zieloną plamę. Maću czuł, że inni myśliwi próbują wycełować do zwierzęcia, lecz teraz stał im na drodze. Był sam na sam z wielkim kotem.

Ranny tygrys spiął się do skoku. Pod pasiastymi, masywnymi ramionami zadrgały mięśnie. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, człowiek i bestia. Maću czuł, jak wypełnia go dzika, pierwotna furia. Niebo nad nim i ziemia pod stopami zdawały się łączyć w jedno, a krew uderzała mu do głowy. Przeszłość, przyszłość, imię, tożsamość - to wszystko stało się nieważne, a jego energia, cała jego istota zwarła się w jednym podstawowym równaniu: myśliwy i ofiara.

Tygrys znów wydał z siebie ogłuszający ryk, a potem, zanim Maću zdążył mrugnąć, skoczył. Mężczyzna poruszał się wiedziony pierwotnym instynktem. Krew przodków zawrzała mu w żyłach, a w uszach rozległ się śpiew wiry. Ajappo swami! W tej samej chwili on także skoczył w stronę tygrysa i wylądował dokładnie pod jego pierśią.

Ogromne łapy dorównywały wielkością głowie myśliwego. Długie, ostre zęby. Ajappo swami, nie miał pojęcia, że mogą być aż tak długie. Cuchnący oddech. Pomarańcz, jaskrawy pomarańcz barwy słońca wschodzącego nad polami, przybrudzonego sadzą nocy. Chwycił strzelbę za lufę i trzasnął kolbą w szczękę tygrysa. Bestia lekko drgnęła w powietrzu. Maću upadł na kolano, nie zważając na to, że trafił na kamień. Tygrys leciał prosto na niego. „Cóż za pazury”. Uniósł drugą dłoń tym samym, pełnym gracji ruchem, którym czasami rozłupywał jagody kolokazji zakrzepłe na polach. Słońce połyskujące na ostrzu odikathi, jaskrawo-pomarańczowa sierść tygrysa. Przebił się przez skórę i mięso, jego ostrze wniknęło głęboko.

- Jesteś mój! - wydyszał Maću. - Tylko mój!

Ciepły strumień krwi. Ciężar zwierzęcia napierający na nóż. Wstrętne soki żołądkowe obryzgały myśliwemu twarz. Łapy świsnęły w jego stronę,

48

lecz Maću dalej zagłębiał odikathi w tygrysie wnętrzości. „Jesteś mój”.

Runęli na ziemię. Bestia przygniotła mu pierś.

Przez chwilę bardzo wyraźnie ujrzał dżunglę, a potem nastąpiła ciemność.

Dzień po polowaniu na tygrysa, ku wielkiemu zakłopotaniu Dewanny, najak Pallada złożył wizytę w misji. Wparował do klasy, nie zważając na dezaprobatę wyrażoną przez wielebnego wymownym zaciśnięciem ust.

- Aa, Dewanna, tu jesteś, monae! - radośnie zawołał najak. - Dlaczego siedzisz jak wystraszona myszka na krawędzi krzesła, tylko jednym

póldupkiem?

Najak zwrócił się do wielebnego. Tubalnym głosem oświadczył, że przychodzi w imieniu ojca Dewanny, aby zaprosić wielebnego na bardzo wyjątkowe święto w wiosce Kambejmadów. Szykowano tam nari mangalę, po raz pierwszy od przeszło trzydziestu lat. Ponieważ obecność Dewanny była obowiązkowa, chłopca nie będzie w szkole do końca tygodnia. Nie udzielając żadnych dodatkowych wyjaśnień, najak szybko zabrał wnuka ze sobą.

Tamtego wieczoru, kiedy Dewi wróciła do domu, nadąsana, że Dewannie pozwolono opuścić lekcje w środku dnia, a jej nie, rozbawiony Thimmaja zmierzwił jej włosy.

- Chciałabyś się wybrać na tygrysie wesele? - zapytał.

- Tygrysy biorą śluby? Gdzie? Jak? - zapytała zdziwiona Dewi, przypominając o wcześniejszym rozżaleniu. Thimmaja roześmiał się i odpowiedział, że już wkrótce przekona się sama, bo nazajutrz wyruszają na tygrysie wesele do wioski Dewanny.

- Taji, słyszałaś, jadę na tygrysie wesele! - Dewi wbiegła do kuchni. -

- Na tygrysie wesele! Tygrys bierze ślub i zaprosił mnie na swoje wesele. -

Dewi wyśpiwywała to przez cały wieczór, aż w końcu zrozpaczona

Muthawwa uciszyła ją krzykiem. - Tygrysie wesele... - śpiewała Dewi

pod nosem. - Co ona tam wie, będę na tygrysim weselu...

Wstała przed wschodem słońca, nie czekając na prośby, którymi zazwyczaj wyciągano ją z łóżka. Wierciła się niecierpliwie, kiedy Muthawwa zaplatała jej włosy w warkocz i obrysowywała oczy kajalem. Wychylała

49

się przez okno i wołała do zaspanych Polej ów, którzy zaprzęgali woły do powozu na zamglonym podwórzu.

- Hej, słyszeliście, że jadę na tygrysie wesele? Tukra! - krzyknęła na widok młodego służącego. - Jedziesz z nami? - Tukra posepnie pokręcił głową. - Och... nie przejmuj się! - krzyknęła jeszcze raz. - Jak wrócę, wszystko ci opowiem, minuta po minucie.

- Mogłabyś przestać przeszkadzać służącym i pozwolić im dokończyć pracę? - zganiła ją Muthawwa. - Stój prosto, albo warkocz wyjdzie krzywo. - W końcu załadowano powóz, taji skończyła poranną modlitwę, po czym razem z Thimmają i dziećmi wyruszyli do wioski Kambejmadów. Dewi przez całą drogę zadrezczała ich pytaniami. Dlaczego nikt jej wcześniej nie powiedział o tygrysiach weselach? Czy ryby i ptaki też biorą śluby? Czy tygrysica musi włożyć sari?

- Poczekaj, a sama zobaczysz - powiedział jej brat Ćengappa z szerokim uśmiechem. - I lepiej bądź miła dla panny młodej, bo inaczej pożre cię żywcem.

Thimmaja uśmiechnął się, słuchając tej paplaniny. Dobrze, że wyruszyli wcześniej, dotrą do wioski Kambejmadów przed zmrokiem. Niektóre z tych okolic słyneły ze słoni, a on nie chciał ryzykować spotkania. Przesunął palcami po spuście. Wszystko będzie dobrze... Poza tym bez względu na słonie, za nic na świecie nie opuściłby tygrysięgo wesela. Kiedy po raz ostatni upolowano w Kodagu tygrysa? Dwadzieścia lat temu? Trzydzieści? A może nawet jeszcze dawniej...

Dotarli do wioski Kambejmadów tuż po zachodzie słońca. Niebo było nabrzmiące, soczyście fioletowe niczym przejrzały dziki owoc z tu

i ówdzie pękniętą skórką odslaniającą pierwsze gwiazdy. Młodzieńcy z wioski stali na skwerze i witali gości, a kobiety śmigaly jak świetliki, napełniając mosiężne urny wodą, po której pływały pachnące pąki róż i bazylii azjatyckiej. Dewi pobieżnie spryskała odrobiną perfumowanej wody twarz i dłonie, po czym z niecierpliwością rozejrzała się w poszukiwaniu Dewanny. Wokół był jednak zbyt duży tłum.

Ludzie tłoczyli się na skwerze, a zgiełk zagłuszał nawet muczenie uwiązanych wołów i dudnienie bębnow. Na skraju otwartej przestrzeni wzniesiono ogromny namiot, zgodnie z obyczajem otwarty na wschód. Przed namiotem stały rzędy krzesel i drewnianych ławek dla tych, którzy byli zbyt starzy lub zbyt pijani, aby ustać na nogach. Pośrodku skweru płonęło wielkie ognisko, odganiając chłód i mleczone pasma mgły unoszące się w powietrzu. W tłumie lawirowali: komisarz policji, doktor Jameson,

50  
wielebny oraz kilku ważnych plantatorów wraz z żonami. Ich obecność była dodatkowym świadectwem zasięgu i wpływów klanu Kambejmadów. Biały żagiel namiotu wydymał się na wietrze. Dewi niecierpliwie pociągnęła Thimmaję za rękę. Mężczyzna uśmiechnął się i posadził ją sobie na ramionach.

- Spójrz - powiedział - oto twój tygrys.

W ognisku przesunęło się polano, wzbijając iskry wysoko w mrok. Dewi zamrugała. Zza ściany dymu spoglądał na nią olbrzymi tygrys, zastygły w połowie skoku w jej stronę. Zwisiał z dachu namiotu z głową uniesioną na linach, rozłożonymi łapami i wargami wykrzywionymi w grymasie bezgłośnego ryku. Pasy na jego grzbiecie jaśniały w świetle płomieni, a reszta sierści była pomarańczowa, ogniście, błyszcząco pomarańczowa. Miała kolor kwiatów sampige, które Muthawwa lubiła wplatać córce we włosy.

Muzyka osiągnęła apogeum, grajkowie uderzali w obite skórą kotły, naśladując odgłosy piorunów. Tłum instynktownie się rozstał.

- Popatrz - powiedział Thimmaja, wskazując palcem. - Tam jest pan młody.

Grajkowie ruszyli w stronę namiotu. Ich bębny wybijały miarowy rytm. Zaczęli śpiewać:

O przyjacielu, bądź błogosławiony i zechciej wysłuchać pieśni tej.

W głębi lasów, w samym sercu dziczy,

Przechadzał się zły tygrys, głodny całe noce i dnie.

Rozjuszony ten zwierz zaległ pod starym drzewem,

Księżyc wzeszedł i zgasł, lecz on czekał na próżno,

Drzemiąc pod jaśniejącym o poranku niebem.

Rozległy się brawa. Pan młody był wysoki, wyższy niż większość otaczających go mężczyzn. Poruszał się z naturalną gracją, idąc za orkiestrą, a trzymający jego parasol drużba musiał niemal stawać na palcach, żeby osłonić pana młodego przed wilgocią.

Śniło się tygrysowi polowanie w tej dziczy,

Ludzie zręczni, ostrożni, zbrojni w strzelby i strzały,

i tropiąca go sfora spuszczonej ze smyczy.

51

Usłyszał szczekanie i wnet się obudził,

Z błyskiem w ślepiach nadstawił uszu,

Zgrzyt jego kłów twą krew by ostudził.

Kupja pana młodego miała odświętny, biały kolor, czysty jak mleko, a jego szarfa była karmazynowa i obszyta złotem. Na złotym turbanie w kropki spoczywał udrapowany kawałek czerwonego jedwabiu, którego końce opadały mężczyźnie na ramiona. W jednej ręce swobodnie trzymał strzelbę, a w drugiej ceremonialną laskę przystrojoną jedwabnymi frędzlami i maleńkimi dzwoneczkami ze srebra i złota. Dewi patrzyła na niego jak urzeczona. Jeszcze nigdy, przenigdy nie widziała kogoś równie pięknego.

Odwrocił się, śmiejąc się do kogoś z tłumu, a złote kolczyki w jego uszach zalśniły na tle skóry koloru drewna tekowego.

Dziś, pomyślał ponuro, nie chce mi sprzyjać los,

Lecz jeśli myśliwy stanie mi na drodze,

Rozerwę go na strzępy, z głowy spadnie mu włos.

Dziś, pomyślał tygrys z wściekłym błyskiem w oku,

Ozdobią jego strzelbę i zapłacze żona.

Dziś, postanowił, pogrążę go w mroku.

- Ale... ale... nic nie rozumiem - powiedziała oszołomiona Dewi. -

Dlaczego on poślubia tygrysa?

Thimmaja czule pociągnął ją za warkocz.

- To takie udawane wesele, kunji, stary zwyczaj uhonorowania myśliwego, który zabił tygrysa. - Wyjaśnił córce, że mężczyzna, którego właśnie widzą, to wielki wojownik, Maćajja Kambejmada. Dziś wieczór wszyscy zebrali się tu po to, aby świętować jego zwycięstwo i podziwiać jego ofiarę.

Wielki tygrys wstał i ryknął na całe gardło,

A potem, warcząc, dziarsko ruszył naprzód,

Gdzie myśliwi czekali na sarenkę ładną.

Bohater wycelował, kula zwierza drasnęła,

Ten zatoczył się, ryknął i skoczył ku niebu,

Padł jednak na ziemię i dusza jego zasnęła.

52

Dewi powoli pokiwała głową, pochłaniając wzrokiem udawanego pana młodego.

Kiedy weszli do namiotu, żeby pogratulować Maću, Dewi po raz pierwszy w ciągu całego swojego dziesięcioletniego życia odkryła, że zupełnie nie wie, co powiedzieć. Z bliska Maću był jeszcze bardziej zachwycający. Siedział na niskim, trójnogim taborecie, trzymając na kolanach strzelbę. Od czasu do czasu w jego policzku pojawiał się dołek, a gdy zerknął na Dewi, zobaczyła, że ma radosne, błyszczące, brązowe oczy.

Thimmaja posypał głowę Maću ryżem i wcisnął mu w dłoń jedną rupię.

- Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni, monae - powiedział z prostotą. -

Prawdziwy z ciebie syn Kodagu.

Maću pochylił się, aby dotknąć stóp Thimmai.

- Wszystko zawdzięczam waszym błogosławieństwom, anna - powiedział, a jego głos wydał się Dewi miodem spływającym po wewnętrznej stronie ręki. Schowała się za plecami ojca, zapominając nawet spojrzeć na tygrysa.

- Jesteś zmęczona, kunji? - zaniepokoił się później Thimmaja, kiedy

w tłumie kurczowo trzymała go za rękę. - Dlaczego nic nie mówisz?

Chcesz, żebyśmy poszukali taji i poprosili panie o coś do jedzenia?

Dewanna przybiegł do nich, kiedy się posilali.

- Dewi! Tu jesteś, wszędzie cię szukam. Widziałaś wielebnego? Też tutaj jest. A tygrys? Widziałaś tygrysa? Zabił go mój kuzyn Maću. Mój kuzyn! Poznałaś go? Chodź, musisz go poznać!

- Nie, nie... - protestowała Dewi, ale Dewanna już ją za sobą ciągnął. Przełknęła ślinę, czując nagłą suchość w gardle, i nieśmiało zerknęła na pana młodego. Kobiety z wioski przyszły tu chwilę wcześniej, przynosząc fajki i małe mosiężne naczynia wypełnione wodą. Gdy ogłoszono kolację, tłum wokół namiotu się rozproszył. Maću wstał z taboretu i brylował w towarzystwie, a grupa rozchichotanych młodych ślicznotek chłoneła każde jego słowo.

- Och, Maću - wołały z przejęciem, przyciskając ręce do jędrnych piersi - powiedz jeszcze raz, jak zabiłeś tę bestię.

- Maću anna - zawołał Dewanna zza brokatowej płataniny ich sari - to moja przyjaciółka Dewi.

Maću przyjaźnie mignął dołączkiem i pomachał. Dewi poczuła, że ściskają w żołądku. Zmusiła się do uśmiechu, odsłaniając zęby.

- Mój ojciec mówi, że... - zaczęła radośnie, ale nagle zamilkła w pół słowa. Maću odwrócił się już do tamtych kobiet.

53

- Maću anna - powtórzył Dewanna z nadzieją w głosie, lecz Maću był zbyt pochłonięty swoją opowieścią, by zwrócić na nich uwagę. - No cóż, trudno - westchnął zrezygnowany Dewanna - przynajmniej go poznałaś. - Wziął Dewi za rękę i odwrócił się do wyjścia. Dziewczynka poczuła jednak nagły przypływ złości i wyszarpnęła dłoń z jego uścisku. - Zabiłeś tego tygrysa, tak?! - zawołała niegrzecznie. - I o co tyle krzyku? Moim zdaniem wcale nie jest taki groźny.

Kobiety wydały z siebie pisk oburzenia.

- Tylko posłuchajcie tej smarkuli! - zawołała jedna z nich. - Nie jest groźny?! - krzyknęła inna. - Pewnie nie wygląda na groźnego, kiedy tak wisi martwy pod sufitem, ale ciekawe, co byś zrobiła, gdybyś go spotkała w dżungli? Pewnie nasikałabyś w majtki!

- Wcale nie! - zawołała oburzona Dewi. - Ja... jestem bał battekarą, dorównuję każdemu myśliwemu. - Już kiedy te słowa wyszły z jej ust, czuła, że brzmią strasznie głupio. Kątem oka widziała Dewannę, który gapił się na nią z rozdziawioną buzią. - Poza tym - dodała w nagłym przypływie inspiracji, triumfalnie splatając ręce na piersi - ten tygrys nie ma nawet pazurów.

Kobiety spojrzały na siebie i parsknęły śmiechem. Wyjątkowo wysoka dziewczyna pochyliła się nad Dewi.

- On nie ma pazurów, kunji - powiedziała, celowo podkreślając ostatnie słowo - bo ucięto mu je, kiedy Maću go zabił. Przerobiono je na broszki i kolczyki dla Kambejmadów. Takie jak ta - wskazała broszkę, która spoczywała na jej piersi i spinała sari z jedwabną bluzką pod spodem. Półksiężyc pazura w kolorze bladej zieleni przechodzącej w kość słoniową, odarty z całej złowrogości przez złotą oprawę.

Policzki Dewi zapłonęły ze wstydu. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zanim zdążyła to zrobić, odezwał się Maću.

- Zostawcie ją - powiedział, uśmiechając się do kobiet. - Widocznie nie zrobiłem większego wrażenia na mojej małej przyjaciółce, ale nie



można zadowolić każdego, prawda? - Mrugnął do Dewi, a ona poczuła, że na jej twarz występuje głupkowaty uśmiech. - Hej, Dewanna - ciągnął Maću - czy twoja przyjaciółka zawsze jest taką tygrysią? - Wysoka dziewczyna zaczęła protestować, ale Maću pokręcił głową. - Daj spokój. Wystarczy. To tylko dziecko.

Dewi zastygła w przerażeniu, a uśmiech od razu znikł z jej twarzy. Czyżby on właśnie nazwał ją dzieckiem? Rozbawiony Maću ruszył ku wyjściu, krocząc na czele swojej świty.

54

W namiocie zapadła cisza i słychać było tylko rozpaczliwe skrzypienie bambusowej ramy, która podtrzymywała martwego tygrysa kołyszącego się wolno nad ich głowami. Dewi przygryzła usta, bliska płaczu. Stojący obok niej Dewanna teatralnie westchnął.

- Czyś ty oszalała? - zapytał. - Dlaczego byłaś taka niemiała?

Nazwał ją dzieckiem. Pochyliła się, żeby podnieść kwiat jaśminu, który spadł z girlandy okalającej szyję Maću.

- Dewi, mówię do ciebie. Co w ciebie wstąpiło, że byłaś dla niego taka niemiała?

Dewi zacisnęła jaśmin w dłoni i odwróciła się do zdumionego Dewanny

- Zostaw mnie w spokoju! Dlaczego nie pójdziesz dokuczać jemu, swojemu nowemu kuzynowi, i grupie jego gdaczących kur? - Wybiegła z namiotu, ignorując ból w oczach urażonego Dewanny. - Gdzie jest mój tata? Chcę do domu.

Tamtej nocy miała niespokojny sen. Oddech taji świszczał jej w uszach. Następnego dnia, podczas podróży powrotnej, także była przygaszona, nieświadoma zatroskanych spojrzeń taji i innych. Kiedy ciągnięty przez woły powóz w końcu skręcił na podwórze przed domem Naćimandów, Dewi, ku miłemu zaskoczeniu Muthawwy, w milczeniu rzuciła się matce w ramiona.

- Co się stało? - mruknęła Muthawwa, całując córkę w czoło. - Stęskniłaś się za mną? - Dewi nie odpowiedziała, tylko jeszcze bardziej wtuliła głowę w szyję Muthawwy.

Wieczorem, gdy Muthawwa położyła ją do łóżka, Dewi zapytała:

- Awwajja... kiedy wyjdę za mąż?

Muthawwa czule uszczypnęła córkę w policzek.

- A co? Tak bardzo ci się spieszy, żeby opuścić matkę?

- Nie żartuj, awwajja. Kiedy będę miała swoje wesele?

- Cóż, zastanówmy się. Na początek musisz być grzeczna i słuchać mamy. A potem, kiedy dorośniesz i staniesz się powabną, dobrze wychowaną młodą kobietą, znajdziemy ci chłopca z dobrej rodziny i wyprawimy wspaniałe wesele. Co ty na to?

Zniecierpliwiona Dewi pokręciła głową.

- Awwajja, nie jestem dzieckiem. Poza tym poślubię tylko Maću anę.

55

- Kogo? - zapytała zdumiona Muthawwa.

- Tego, który zabił tygrysa... Maću anę, kuzyna Dewanny Poślubię go.

Muthawwa się roześmiała.

- Też coś! Co to za bzdury? Małe dziewczynki nie powinny mówić

w ten sposób, to nieładnie. Poza tym jeśli nazywasz go anna, to będzie raczej twoim bratem, a nie mężem.

- Zapamiętaj moje słowa, awwaija. Poślubię Maću.

Muthawwa spojrzała na twarz córki w świetle lampy i poczuła dziwny dreszcz biegnący w dół kręgosłupa.

- Małpie dziecko - ucięła. - Dość tych bzdur. Śpij.

Poprawiła amulet na ręce Dewi i zacieśniła supełki, próbując stłumić niepokój. W końcu, zadowolona, że amulet jest dobrze zamocowany, zgasiła światło i ucałowała córkę w czoło, wyszła z pokoju.

Dewi patrzyła przez okno na jasne, gwieździste niebo. Jej dłonie pod kocem zacisnęły się w małe piąstki i paznokcie wbiły się w skórę. Jeszcze raz pomyślała o tygrysim weselu i o panu młodym.

- Tylko Maću - powtórzyła cicho. - Tylko z nim wezmę ślub.

i8gi

Promienie słońca wpływały przez otwarte drzwi, zalewając rdzawoczerwoną, lakierowaną podłogę misji. W nocy niebo ogłosiło wreszcie rozejm i ustał atak deszczu. Tamtego ranka mieszkańców Madikeri obudził zapomniany śpiew ptaków. Wodniste smugi światła wylały się zza ciemnych szarych chmur, powlekając miasto opalizującą powłoką. Pod koniec poranka słońce nabrało pewności siebie, rozgoniło chmury i rozbłysło pełną świetnością. W całym mieście otwierano okna, trzepano i wietrzono materace, a wilgotne ubrania ściągano z koksiaaków, by wyschły rozwieszane na słońcu. Zwaśnieni sąsiedzi nawoływali się jak dawno rozdzieleni kochankowie, a ich dzieci puszczały kaczkę w kałużach na drodze. Na każdej powierzchni tańczyło słońce - zamknięte w kroplach deszczu zawieszonych na liściu, odbite w szynach, rozproszone nad wzgórzami w połyskliwej mżawce.

Gundert stał na werandzie swojego apartamentu i patrzył na ociekający wodą ogród. Pomachał przechodniowi, który wesoło go zawołał. Był zachwycony codziennymi dźwiękami, które tak długo tłumili deszcz: okrzykami garncarza zachwalającego swoje wyroby, podzwanianiem rowerowych dzwonek, piskiem dzieci, szczekaniem podeksytowanych psów, które otrzępywały sierść w słońcu. Spojrzał na niebo i uśmiechnął się.

- Dewanna - zawołał. - Podejź tu na chwilę. Dewanna - powtórzył, tym razem nieco głośniejszym głosem. Lekko zmarszczywszy brwi, wrócił

57

do środka. Chłopiec siedział przy oknie w jadalni, pochłonięty malowaniem. Kolory musiały być idealne, róż z domieszką fioleto. Cedrela toona. Jak pięknie brzmiały te nazwy po łacinie, ile majestatu zyskiwały dzięki temu drzewa. Prostsze i wyższe, dumnie wypinały pierś. Nawet zwyczajny kanarecznik, przeklinany i opluwany przez najaka Palladę za to, że zapuszczał płatanię korzeni pod polami ryżowymi, nawet to denerwujące drzewo miało w sokach poezję. Ca-nar-ium stric-tum.

Zapoznając go z botaniką, wielebny otworzył przed Dewanną zupełnie nowy świat. Dewanna lubił recytować w myślach tytuły książek:

„Flora Syhatica, Flora Indica, Spicilegium Neilgherrense, Leones Plantarum, Hortus Bengalensis, Hortus Calcuttensis, Prodromus Florae Peninsulae Indiae”.

Wielebny pokazał mu kolorowe ilustracje i litografie, drobne różnice ząbkowania, które mogły czynić z rośliny zupełnie nowy gatunek. Jako zapalony botanik amator, po przyjeździe do Madikeri Gundert rozgłosił, że poszukuje egzotycznych roślin i że zapłaci uczciwą cenę za wszystko, co spotka się z jego zainteresowaniem. Na początku ludzie bez przerwy pukali do drzwi misji, pewni, że zainteresują go przynieszone przez nich rośliny: orchidee o jaskrawym kolorze, słodko pachnące drzewka sam-pige i smukłe pędy dzikiego jaśminu. Gundert grzecznie przyjmował te rośliny do misyjnego ogrodu, wyjaśniając, że wszystkie zostały już dobrze opisane. On pragnął jednak czegoś nowego, może jakichś lokalnie występujących roślin o leczniczych właściwościach?

Przyniesli mu święty tulasi, tak uwielbiany przez przodków i bogów, oraz delikatnie opierzoną narwiś rosnącą przed każdym domem. Liście narwiś wydzielały ostry zapach zniechęcający przez węże i trujący podobno nawet dla potężnego tygrysa. Za nie również Gundert dziękował z żalem, uznając je za nieciekawe. Potem przyniesiono mu najpotężniejszą z roślin, madh toppu lub inaczej lecznicze ziele, które po ugotowaniu z cukrem palmowym i mlekiem kokosowym na początku monsunów barwiło mocz na czerwono i zapobiegało aż czterdziestu siedmiu chorobom. Gundert westchnął. „Justicia wynaadensis - powiedział. - Tak nazywa się ta roślina i już dwie jej odmiany rosną w ogrodach botanicznych w Bangalurze”. Większość mieszkańców miasta wzniosła wtedy ręce ku górze i pokręciła głową nad uporem wielebnego. Nie sposób go zadowolić, wołali, próżne nadzieje. W końcu wielebny poprzestał na pieszych wędrówkach i znalazł w Dewannie utalentowanego ucznia.

58

Pokazał chłopcu, jak ważna jest dyscyplina, staranne rysowanie mapy okolicy, baczna analiza i rejestrowanie najmniejszego szczegółu. Przechodzili wzgórza w Madikeri i wokół miasta, przebierając w mnóstwie gatunków i drobiazgowo dokumentując najciekawsze z nich. Dewanna miał bystre oko i pewną rękę, ale, co ważniejsze, drzemał w nim naturalny talent do tej pracy. Jego zdolności zaskoczyły Gunderta, a potem wzbudziły w nim podziw. Pędzle Dewanny zanurzały się w farbie i wiorowały, a pewność, z jaką dobierał barwy, tłumiała typową dla chłopca nieśmiałość.

Patrząc, jak Dewanna kopiuje okaz, w jednym miejscu pozostawiając odważny ślad zieleni, a w drugim kapkę ochry i odrobinę różu, wielebny poczuł, że coś głęboko w nim ożyło. Miał wrażenie, że do jego okutego żelazem serca chyłkiem wkradła się wiosna.

W końcu miał przed sobą ucznia, którego szukał.

Miał przed sobą swojego syna.

Stał w drzwiach, uśmiechając się z kubkiem kawy w dłoni, i patrzył na Dewannę z głębi cienia. „Oto synowie są darem Pana, a owoc łona nagrodą”\*.

Dewanna szkicował kontur kwiatu pewną dłonią, zatopiony w myślach i nieświadomy obecności wielebnego. „Ced-rela-toona”. Dewi nie miała większej ochoty na tę jego wymyślną gadaninę, jak ją nazywała. Z niecierpliwością wzruszała ramionami, kiedy jej pokazywał zarodniki nabrzmiałe życiem na spodniej stronie paproci albo mówił, że figa tak

naprawdę nie jest owocem, lecz kwiatem.

- Co za różnica! - wołała. - Figi smakują tak samo, obojętnie, czy uznasz je za owoc czy za kwiat, prawda?

Oznajmiła, że znacznie bardziej interesujące byłoby poznanie historii drzew z czasów, gdy - zanim zapuściły korzenie - chodziły i rozmawiały z bogami.

Drzewa masłowego, tak uwielbianego przez Krisznę swamiego, który używał jego liści w kształcie łyżki, aby kraść masło z matki maselnicy. Świętego drzewa pipal i dzikiego agrestu, odwiecznych kochanków.

Wkopanie sadzonek obok siebie i wyprawienie im wesela, kiedy już urosły, przynosiło mnóstwo szczęścia.

Przystojnego aśoki, drzewa odganającego smutki, które uwalniało od wszelkich zmartwień, kiedy usiadło się pod jego gałęziami, a kwitło

\* Psalm 127, 3. Tłumaczenia wszystkich psalmów podajemy za Biblią Tysiąclecia.

59

tylko wtedy, gdy piękna kobieta oparła o jego pień umalowaną henną stopę.

Agniędzy o błyszczących liściach i wabiących kwiatach, które wywoływały gorączkę nawet u tego, kto jedynie stanął w jego cieniu.

Pistoletowych kwiatów, które porastały gaje w dżunglach Kodagu, ale w niewoli od razu więdły. Kwitły co roku w tygodniu Kailpodh, święta broni. Tylko w tym jednym tygodniu w ciągu roku pomarańczowo-żółty kwiat zdobił lufę każdej wyczyszczonej i wypolerowanej strzelby w Kodagu, a potem więdnął równie cicho, jak się pojawił.

Kiedy Dewanna opowiedział jej o ogromnym herbarium w Kew, skrywającym największą na świecie kolekcję gatunków, Dewi odrzuciła warkocz na plecy i powiedziała, żeby przestał ją zanudzać.

- Idź sobie, Dewanna - ziewnęła. - Zostaw mnie w spokoju i nie zwracaj mi głowy.

Po twarzy pogrążonego w pracy Dewanny przemknął cień. Dewi zachowywała się coraz dziwniej, warczała na niego bez powodu i pod byle pretekstem wybuchła płaczem.

- Przestań za mną łązić - powiedziała mu w złości. - Dlaczego zamiast tego nie pójdziesz na polowanie, nie wdrapiesz się na drzewo albo nie zrobisz czegoś, co zwykli robić inni chłopcy?

Wołała spędzać czas z dziewczynami z wioski, z tymi samymi, które jeszcze parę lat temu wydawały jej się zbyt lalusiowate. Teraz wyglądało na to, że marzy jedynie o szeptaniu i chichotaniu.

- Dorastasz, monae, obydwójce dorastacie - tłumaczyły mu Muthawwa i taji, próbując powstrzymać uśmiech na widok zasepionego Dewanny wchodzącego do kuchni. - A Dewi jest od ciebie starsza, ma prawie czternaście lat. Dziewczynki dojrzewają szybciej niż chłopcy, zmieniały jej się zainteresowania i tyle.

Udawał, że wcale się nie przejmuje, a kiedy szkoły pozamykano z powodu monsunów i Gundert zaproponował najakowi Palladzie, by Dewanna został w misji na dodatkowych lekcjach, chłopiec, ku zaskoczeniu wszystkich, ochoczo się zgodził. Niech Dewi zobaczy, jak bardzo będzie za nim tęsknić.

Zerknął przez okno. Nie był w wiosce od dwudziestu dni, od dwudziestu dni niekończącego się, ulewnego deszczu. Odliczał każdy dzień

i cierpliwie czekał na rozstąpienie się chmur. A tego ranka zbudził się w dormitorium z niewyraźnym poczuciem, że coś się zmieniło. „Jest ciicho”, zauważył nagle i w pełni już rozbudzony, zaczął uważnie nasłuchi-

60

wać. Bębnienie deszczu o dach w końcu ustało. Odrzuciwszy koc, nie zważając nawet na zimny przeciąg muskający mu kostki, podbiegł do okna i otworzył je. Dziś mógł wreszcie wrócić do domu.

- Cedrela toona - powtórzył pod nosem, wracając do malowania.

Jeszcze dwa pociągnięcia pędzlem, postanowił, i zapytał wielebnego, czy może już iść.

Podskoczył, kiedy wielebny czule położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie słyszałeś, jak cię wołałem? Dobrze ci idzie, bardzo dobrze - powiedział Gundert, spoglądając na obrazek. - Chociaż tutaj przydałoby się chyba trochę więcej ostrości - wskazał na koniuszek liścia. - Nieważne - ciągnął - na dzisiaj dość dokumentowania. Odłóż pędzle i wyjdź na zewnątrz. Pokazała się piękna tęcza, chyba największa, jaką to miasto kiedykolwiek widziało. Zajrzymy do sklepu, zobaczymy, co nowego ma dla nas Hans.

Misyjny sklep! Dewanna pospiesznie uprzątnął słoiczki z farbą i włożył buty. Wyszedł na zewnątrz, mrugając w słońcu jak sowa. Wielebny miał rację. Na czystym niebie, otaczając miasto łukiem, wisiała ogromna tęcza. Największa tęcza, jaką Dewanna kiedykolwiek widział. Podekscytowany odwrócił się do wielebnego i wskazał ją palcem.

- Taji mówi, że to Indra swami wyjmuje swój łuk.

Gundert parsknął śmiechem.

- Daj spokój, Dew! - zawołał. - Chyba nie wierzysz w takie rzeczy? To tylko złudzenie optyczne. Słońce odbite w wilgoci wiszącej w powietrzu. Piękno tęczy wykracza poza ludzkie zdolności i właśnie na tym polega jej boskość i cudowność. Ale nie ma w tym żadnego łuku, a już z pewnością żadnego wojowniczego boga deszczu.

Dewanna poczerwieniał ze wstydu. Po co w ogóle otworzył usta?

Często odnosił wrażenie, że ma dwa oblicza: Dewanny z misji i Dewanny z Kodagu. Dewanna ze szkoły misjonarskiej umiał malować, recytować Wordswortha, zrobić idealny znak krzyża oraz doskonale wiedział, czym jest odbicie i załamywanie się promieni słonecznych. Bez przerwy nosił buty, nawet wewnątrz misji, a kokardki jego sznurówek zawsze miały równą wielkość.

Z kolei Dewanna z Kodagu znał się na innych, nie do końca oczywistych sprawach. Wiedział o istnieniu wirów, duchów dawnych bohaterów, którzy, zaskoczeni gwałtowną śmiercią, snuli się teraz za żywymi. Znał słodycz nektaru zbierającego się wewnątrz kwiatów lantany, czuł na bosych stopach ciepło kiełkującego na polach ryżu, błota przeciekającego

61

między palcami. Doskonale wiedział, że rozżłoszczony Indra swami miota pioruny ze swojego miejsca w niebie.

Zazwyczaj Dewannie udawało się oddzielać od siebie te dwa oblicza.

Każde z nich, niekwestionowane, trwało na swoim miejscu, lecz raz na jakiś czas jedno przerzucało nogę na drugą stronę i wdierało się na obcy sobie teren. Tak jak teraz. Zawstydzony pokiwał głową, czując się jak głupiec.

Rozchmurzył się już wkrótce, w sklepie.

- Wielebny! - ryknął na ich widok Hans, przysadzisty właściciel, napędzając stracha dwóm angielskim klientkom. - Wiegehts? - Podbiegł do nich w podskokach i przez chwilę wyglądał tak, jakby zamierzał zamknąć wielebnego w niedźwiedzim uścisku.

Gundert mimowolnie zrobił krok w tył i zerknął w stronę kobiet.

- Ach, Hans - odpowiedział z wyraźnym akcentem. - Wszystko w porządku, dziękuję. A u ciebie?

Uniósł kapelusz, zwracając się ku damom, a one się uśmiechnęły.

- Od jakiegoś czasu nie widzimy wielebnego w klubie. Czy misja tak bardzo wielebnego pochłania?

- Za bardzo! - wtrącił się Hans. - Nasz wielebny potrzebuje do szczęścia jedynie książek. Żadnych pań ani wina. W przeciwieństwie do reszty z nas, którzy nie potrafilibyśmy się bez nich obejść w tej krainie wiecznego deszczu. - Wybuchnął śmiechem, nie zważając na zszokowane miny dam.

- Proszę spojrzeć - ciągnął uprzejmie, unosząc nogawki, by odsłonić czerwone, pokryte strupami golenie. - Przez te cholerne deszcze wszystko mnie swędzi.

- Powinieneś pójść z tym do doktora Jamesona, Hans - powiedział Gundert, pochylając się, by obejrzeć rany. - Albo wpadnij do misji. Polecę komuś przygotować odpowiedni lek w naszym ambulatorium. A może od razu zbadam cię na zapleczu?

- Panie wybaczą... - Gundert skłonił się grzecznie i pokierował Hansa z dala od kobiet.

- Och, niech się wielebny nie przejmuje - paplał wesoło Hans, kiedy znikali na zapleczu. - Doktor Jameson coś na to poradzi, nie ma problemu. Zamówiłem dla niego skrzynkę pimmsa.

Kobiety zapłaciły za towar i naburmuszone wyszły ze sklepu. Dewanna uśmiechnął się, słysząc ich oburzone głosy dobiegające z ulicy. Że też musiały znosić takie zachowanie. Ten człowiek to straszny prostak.

62

Przynajmniej oferuje rozsądne ceny, co zapewne zawdzięcza zwierzchnictwu misji. Mimo to nie mogły się doczekać, kiedy w Madikeri zostanie otwarty sklep Spencera...

Wziął głęboki oddech, wciągając zapach lawendy i pasty do butów, który zawsze unosił się w sklepie. Uwielbiał tu przychodzić. Porcelanowe lampy ustawione w piramidę, arki Noego rzeźbione w drewnie, zawieszony na krokwiach sprzęt wędkarski, sterty oprawionych w skórę książek ze złotymi literami. Dewanna leniwie krążył po sklepie, muskając koniuszkami palców fotele na biegunach i solidne sekretery. Nagle zatrzymał się przed gablotą. Hans miał nowy słój landrynek.

To wielebny zapoznał Dewannę z ich słodko-kwaśnym urokiem, nagradzając landrynką każdy postęp swojego pupila. Dewannie pociekła ślinka, gdy tęsknie patrzył na słój. Dewi także je uwielbiała. Raz, kiedy wielebny zobaczył, jak Dewanna wkłada cukierka do kieszeni, zapytał, dlaczego nie zjada go od razu.

- Nie smakuje ci? Wolałbyś coś innego?

Lekko zmarszczył brwi, kiedy Dewanna wyjaśnił, że odkłada landrynkę dla Dewi.

- Dobrze, kupię landrynkę również dla twojej przyjaciółki. Ale ta jest dla ciebie, zgoda?

Od tamtej pory Dewanna natychmiast wrzucał cukierki do ust, żeby sprawić wielebnemu przyjemność. Zachowywał jednak papierki, a gdy wielebny się odwrócił, wypluwał cukierki na dłoń i starannie zawijał je z powrotem dla Dewi.

Z nadzieją przycisnął nos do szyby gabloty, podziwiając papierki o metalicznej barwie. Sorbet cytrynowy. Draże gruszkowe, rabarbarowe i waniliowe. A tam, w głębi słoika, lśniące, anyżowe świderki... Może któregoś dnia dostanie od wielebnego jeden z nich?

Wielebny i Hans wyszli z zaplecza. Hans zarechotał.

- Dew, oglądasz cukierki, co? - zagrział tubalnym głosem. - Zmoczyłeś mi całą czystką szybę? - Dewanna pospiesznie odsunął głowę, wycierając gablotę.

- Zaśliniłeś, a nie zmoczyłeś, Hansie - poprawił go wielebny z uśmiechem. - Daj chłopakowi spokój. I zważ nam cukierków za rupię.

Dewanna wytrzeszczył oczy. Za całą rupię? Razem z cukierkami, które gromadził przez te wszystkie dni spędzone ostatnio w misji, dawało to szesnaście, nie, siedemnaście sztuk. Z rozdziawionymi ustami patrzył, jak Hans otwiera gablotę i wsypuje do torby tęczową masę cukierków.

63

- No, dalej, weź je - zachęcił go Gundert, przesuwając torebkę w stronę chłopca. - Jesteś bardzo pilnym uczniem.

- Dzięki... dziękuję, wielebny - powiedział oszołomiony Dewanna. -

Wielebny - podjął pospiesznie - czy mógłbym wrócić dziś do domu? Gundert pokiwał głową.

- Tak, nie byłeś tam już od dobrych paru tygodni. Poza tym mam wiadomość dla najaka Pallady. Wyruszysz dziś po południu i zanieziesz mu mój list.

Dewanna zsunął buty, gdy tylko stracił misję z oczu. Związał sznurówki i przerzucił buty przez ramię. Przyciskając do piersi torebkę z cukierkami, boso popędził drogą. Wyobrażał sobie minę Dewi na widok cukierków. Ależ cię ucieszy! Usiądą razem na werandzie i opróżnią całą torebkę. Będzie słuchał jej paplaniny i patrzył na tańczące w powietrzu ręce, kiedy będzie mu opowiadać, co się działo w ostatnich tygodniach... Rozmarzony Dewanna biegł przed siebie i dotarł do domu Naćimandów późnym popołudniem.

- Dewi! - zawołał i zaburczało mu w brzuchu na myśl o gorącym ryżu, który taji hojnie nałoży mu na talerz, i o smażonej baraninie, którą będzie musiał spałaszować do ostatniego kęsa. - Dewi, taji! - zawołał jeszcze raz, poklepując psy, które skomlały na sznurkach. W domu panowała jednak zaskakująca cisza.

- Dewi! - zawołał, ustawiając buty pod ławką na werandzie. - Na miłość boską, gdzie... O! - ucieszył się Dewanna, gdy na werandzie stanął Ćengappa.

- Ach, Dewanna, to ty - powiedział posepnie starszy brat Dewi. - Wejdz, ale bądź cicho, przyszedł waidja.

Waidja! Taji często opowiadała o szamanie i o jego magicznych tantrach. Wywodził się z plemienia mieszkającego gdzieś za wzgórzami.

Od wieków on i jego krewniacy wędrowali po Kodagu, obdarzając swo-

imi uzdrawiającymi mocami tych, którzy najbardziej ich potrzebowali. Waidja nie był kimś, kogo wzywało się z byle powodu, przypomniał sobie Dewanna, ogarnięty złym przeczuciem. Po co szaman tu przybył? Pospiesznie umył nogi i wszedł do środka. Rodzina siedziała pogrążona w ciszy przed główną sypialnią należącą do Thimmai i Muthawwy. Precisnąwszy się do drzwi, Dewanna ujrzał Dewi. Stała przy łóżku blada

64  
jak zjawa. Waidja, rozczochrany i nagi od pasa w górę, z ciałem pokrytym znakami wyrysowanymi szarym i białym popiołem, pochylał się nad osobą leżącą w łóżku. Na chwilę zmienił pozycję i Dewanna ujrzał pacjenta. To Muthawwa, zrozumiał wystraszony. To do niej przybył Waidja. Muthawwa leżała pod kocem, trzęsąc się i mamrocząc. Rodzina z niepokojem patrzyła, jak waidja ujmuje jej nadgarstki, aby sprawdzić puls. Lekko zmarszczył czoło i pokręcił głową. Twarz Thimmai zastygła. - Nie jest dobrze - powiedział waidja, unosząc powieki Muthawwy, żeby zająrzeć jej w oczy. - Nie jest dobrze. Opętał ją silny pisaści, który nie zechce jej tak łatwo oddać. Mimo to spróbuję. - Odwinął kawałek białego sznurka oplatającego mu ramię i odgryzł go. Nucąc mantrę, zaczął wiązać supełki - jeden supełek za jeden wers modlitwy. Nucił i nucił, tłumiąc głosem mamrotanie Muthawwy, otoczony przez milczącą rodzinę. Powoli sznurek zaczął się zapełniać supełkami. W końcu, zrobiwszy ostatni supełek, waidja zawiązał modlitewny sznurek wokół ręki Muthawwy. Mamrocząc kolejną modlitwę, rozsmarował jej na czole grubą warstwę popiołu.

Tłum przed drzwiami rozstał się, kiedy waidja wyszedł razem z Thimmaja.

- Ofiarujcie czarną kurę - nakazał Thimmai. - To może udobruchać ducha. Ja zrobiłem wszystko, co mogłem. Nie, nie chcę zapłaty - warknął, gdy Thimmaja próbował wsunąć mu do ręki kilka rupii. - Moc mantry znika, jeśli skala się ją pieniędzmi.

Ostatecznie, acz niechętnie, przyjął porcję dmuchanego ryżu. Dewanna podszedł do taji, gdy ta przygotowywała zawiniątko.

- Co się stało, taji?

Taji wyglądała mizernie i słabo.

- Och, Dewanna, wróciłeś? Czy Dewi wie? Wszystko w porządku, monae?

- Tak, taji, ale co się stało z Muthawwa akką?

- Pisaści... - westchnęła taji. - Opętał ją w ubiegłym tygodniu i nie chce odejść. Wczoraj temperatura jeszcze bardziej wzrosła. Masz, zanieś to zawiniątko Thimmai annie.

Dewanna zaniósł ryż Thimmai, który siedział w towarzystwie waidji.

- A może... - zwrócił się nieśmiało do Thimmai, zerkając nerwowo w stronę szamana - może... wezwiemy lekarza z Madikeri?

Waidja gwałtownie się odwrócił i wbił w Dewannę spojrzenie oczu obrysowanych czerwonym barwnikiem.

65

- Lekarza? Czy na świecie jest lekarz, który potrafiłby zrobić to co ja? - wychrypiął. - Czy lekarze potrafią wprawiać duchy w taniec, czy umieją je obezwładnić? Czy potrafią wzywać półbogów z niebios, demony z podziemnego świata i wydawać im rozkazy? Uczą ich tego w tych



zamorskich krajach? Zapamiętaj moje słowa - warknął, odwracając się do Thimmaj. - Wezwij lekarza, jeśli taka twoja wola, ale nie będzie w stanie zrobić niczego, czego ja nie potrafię, ani nawet połowy tych rzeczy.

- Oczywiście, nie wezwę go, nie obawiaj się, o uczony - pospiesznie zapewnił Thimmaja. - Nie będziemy wzywać nikogo innego. Proszę - błagał - proszę, nie odbieraj jej ochrony twoich modlitw. Próbowaliśmy, monae - westchnął do Dewanny, kiedy waidja odszedł. - Zawiadomiliśmy doktora Jamesona, ale odmówił. Twierdzi, że to za daleko, że droga po deszczu jest zbyt śliska dla jego koni. Dlaczego nie przyjdzie pieszo? Dlaczego ten skurwysyn nie może przyjść pieszo?

Dewanna na chwilę się zasepił, ale po chwili z nadzieją pociągnął Thimmaję za rękę.

- A może wielebny? Zna się na medycynie. Przybędzie, jestem tego pewny. Będzie wiedział, co zrobić.

Thimmaja dumnie uniósł głowę.

- Nie - powiedział. - Nie będę więcej prosił żadnego z nich. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Niech Iguthappa swami i nasi przodkowie mają nas teraz w opiece. Dość - uciał, kiedy Dewanna ponownie otworzył usta. - Nie chcę o tym więcej słyszeć.

Minał wieczór, potem noc, a jęki dobiegające z sypialni stały się jeszcze głośniejsze. Błyskawicznym ruchem skrecono szyję czarnej kurze, a jej martwe ciało rzucono na stertę odpadów. Taji paliła papryczki chili i ziarna gorczycy na rozżarzonych węglach, okadzała gryzącym dymem zakamarki domu, żeby wypędzić złe duchy, ale Muthawwa nadal trzęsła się i zawodziła.

Dewi też warknęła na Dewannę, kiedy próbował przemówić jej do rozsądku.

- Wielebny, wielebny, wielebny. Tylko tyle potrafisz powiedzieć? Nie słyszałeś, co mówił waidja?! - krzyknęła. - Chcesz, żeby pozbawił nas swojej ochrony? Tylko dlatego, że twoja matka umarła, chcesz, żeby umarła także moja?

Taji uciszyła ją, cmokając językiem.

- Co to za zachowanie?

66

Dewi wybuchnęła płaczem.

- Awwaija - łkała. - Awwaija. - Płakała tak bardzo, że nawet taji zaczęła pochlipywać. Dewanna dał za wygraną.

- Wola boska - powtarzał sobie. - Nic więcej nie możemy zrobić.

Wszystko w jego rękach.

Wielebny umiałby pomóc. Dewanna był tego pewien.

Nazajutrz Muthawwie się pogorszyło. Sznurek zawiązany przez waidję ciągle zsuwał się ze spoconego ramienia. Muthawwa przestała jęczeć i wpadła w stan odrętwienia, jej oczy lśniły, kiedy cicho mamrotała pod nosem. Dewanna nie mógł tego dłużej znieść. Poszedł do kuchni, do taji. Pospiesznie otarłszy oczy rąbkiem sari, usiłowała się do niego uśmiechnąć.

- Po co przyszedłeś, monae? Jesteś głodny?

- Taji, proszę, przynajmniej ty mnie posłuchaj. Poślij kogoś po wielebneho, on będzie wiedział, co zrobić. Proszę, taji. Jestem pewien, że

przyjdzie.

Taji zamilkła, a po chwili wstała i poszła poszukać Thimmai.

- Poślij kogoś do misji - nakazała synowi. - Nic nie mów - ucięła jego protesty. - Nie czas na dumę. Jeśli dziś głowa zostanie ocalona, turban można nałożyć jutro. Wezwij wielebnego. A jeśli chodzi o waidję, poproszę Iguthappę swamiego, aby wszelkie nieszczęścia, jakie mogą spotkać ten dom za sprawą jego przekleństw, spadły na moją głowę. Ale poślij po wielebnego. Zrób to dla mnie.

Wielebny wyruszył, gdy tylko otrzymał wezwanie, i przybył przemochny, bo po południu znowu zaczęło mżyć. Zdejmując buty na werandzie, zasypał Thimmaję pytaniami. Jak długo to trwa? Jakie są objawy? Dlaczego nie wezwali doktora Jamesona? Zacisnął usta, słysząc, że Jameson odmówił przybycia.

- Powinniście byli zawiadomić mnie wcześniej - powiedział, zerkając na Dewannę, który zaczerwienił się i spuścił głowę.

- Duchy nie mają tu nic do rzeczy - oświadczył, ucinając wyjaśnienia Thimmai, który towarzyszył mu podczas badania Muthawwy. - Musimy działać szybko. Przynies mi trochę posłodzonej wody.

Taji pospiesznie rozpuściła grudkę cukru palmowego i przyniosła Gundertowi lepki syrop. Wsyłał do niej jakiś proszek z fiołki i unosząc

67

głowę chorej, powoli napoił ją miksturą. Zamknął jej usta, kiedy zaczęła się krztusić, a gdy połknęła cały płyn, zwrócił się do Thimmai:

- Podałem jej silne lekarstwo - wyjaśnił. - Powinno zbić gorączkę, przynajmniej na jakiś czas. Żona może się skarżyć na dzwonienie w uszach i zawroty głowy, ale potem zaśnie. - Westchnął i podał mężczyźnie drugą fiołkę leku. - Podajcie jej to jutro rano. Nie wiem, czy zdołam ją wyleczyć. Choroba jest w zaawansowanym stadium.

Thimmaja wysłał uzbrojonego w strzelbę Ćengappę i służącego z bambusowymi pochodniami, aby odeskortowali wielebnego z powrotem do Madikeri. Wszyscy mieszkańcy domu Naćimandów usiedli i czekali.

Dewi przytuliła się do Thimmai, mocno ściskając jego kupję. Dewanna patrzył, jak ojciec gładzi ją po głowie i bez końca zapewnia, że wszystko będzie dobrze. Uniosła ku ojcu zażawioną twarz. Szepnęła coś, a on mocno ją przytulił i pokręcił głową.

- Nie, kunji, nie mów tak. Wszystko będzie dobrze...

Dewanna mocno potarł twarz, próbując powstrzymać się od płaczu.

Gdyby tylko mógł jakoś pomóc. Nagle przypomniał sobie o cukierkach, które schował do kieszeni poprzedniego dnia. Nikt nie zauważył, jak po cichu wyszedł na werandę. Znowu lał deszcz, cuchnąca woń wilgoci unosiła się nad psami, które otoczyły go, niecierpliwie merdając ogonami, kiedy sięgał do kieszeni. Dewanna złożył dłonie i pochylił głowę.

- Panie w niebiosach - modlił się - spraw, by Muthawwa akka wyzdrowiała. Zlituj się nad Dewi, nie pozwól, żeby... nie pozwól, żeby... Proszę, pozwól jej matce żyć. Zrób dla mnie tę jedną, jedyną rzecz, a ja... obiecuję, że już nigdy więcej nie zjem cukierka. Obiecuję. Do końca życia.

Dewanna otworzył torebkę i rozsypał swój cenny skarb na werandzie. Tęczowe cukierki zaśniły w słabym świetle, a po chwili dopadły do nich psy.

W domu Muthawwa trzęsa się i jęczała, jej uszy wypełniały dźwięki. Błagała Thimmaję, by je uciszył. Drżała i dygotała, a pot spływający z jej ciała moczył pościel. Nagle zapadła w głęboki, spokojny sen.

- Widocznie lekarstwo działa - szepnęła taji do syna, kiedy przyszła zobaczyć, jak się czuje chora. - Chwała Iguthappie, lekarstwo działa.

Muthawwa obudziła się rano, kiedy piał koguty. Odwróciła się do Thimmai, a on dotknął jej chłodnego czoła.

- Boję się - powiedziała, zupełnie przytomna.

A potem umarła.

68

Pogrążony w smutku Dewanna uczestniczył w rytuałach pogrzebowych, nie będąc w stanie choćby spojrzeć na Dewi. Dlaczego nie zadbał, by go wysłuchali? Gdyby tylko wielebny został wezwany wcześniej. Gdyby tylko Dewanna wiedział, co robić.

- Nigdy więcej - poprzysiągł sobie. - Nigdy więcej nie będę tak bezradny.

Gdy w końcu, po pogrzebie, poszedł do domu najaka Pallady, wręczył dziadkowi list od Gunderta. W liście wielebny przedstawił swoje plany wydłużenia obecności w szkole dzięki zbudowaniu internatu. Napisał, że w przyszłym roku Dewanna powinien zamieszkać w tym internacie. Chłopiec był wyjątkowym uczniem, a zamieszkawszy w misji, nie musiałaby codziennie tracić czasu na dotarcie do szkoły i powrót do wioski. Najak zastanawiał się kilka dni, a następnie uznał, że to doskonały pomysł. Ku zaskoczeniu wszystkich Dewanna zgodził się, mimo że Dewi nie mogła dłużej chodzić do szkoły. W domu było za dużo pracy dla taji i nowo poślubionej żony Ćengappy. Dewanna nie odwiedzał Naćimandów aż do końca pory monsunów, do dnia poprzedzającego powrót do szkoły.

Taji bez słowa wyszła na werandę i mocno go przytuliła.

- Gdzie się podziewałeś, monae? - zapytała. - Zapomniałeś o nas?

Popatrz, kto przyszedł, Dewi.

Wyszli na pola, nad strumień.

- Słyszałeś, że nie wracam do szkoły? - zapytała.

Dewanna pokiwał głową. Dewi zanurzyła dłoń w wodzie.

- Pamiętasz, ile krabów tu kiedyś złowiliśmy?

- Jak mógłbym zapomnieć? Było ich mnóstwo, sprzyjało nam szczęście. Policzyliśmy je. Złapaliśmy trzydzieści trzy w jedno popołudnie... a taji ugotowała mnóstwo krabiego ćatni...

- Którym tak się objadłeś, że zwymiotowałeś w krzakach - cicho dodała Dewi. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, machając nogami w strumieniu.

- Dewi, naprawdę mi przykro - wyznał pospiesznie. - Żałuję, że... że... że nie odezwałem się wcześniej. Może gdyby... gdyby wielebny zjawił się szybciej...

Dewi zbladła i do oczu napłynęły jej łzy. Otarła je grzbietem dłoni.

69

- Nie... - powiedziała drżącym głosem. - To nie twoja wina.

Dewanna spojrzał na jej naznaczoną smutkiem twarz i cały jego żal, cały ból ostatnich tygodni bulgocząc, wypłynął na powierzchnię. Chłopiec zaczął płakać.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam, Dewi.  
- Głuptasie! - zawołała Dewi, z furią ocierając oczy. - Zawsze wygadujesz bzdury. Awwaija... - Przełknęła ślinę, nie umiejąc dokończyć zdania. Sięgnęła po dłoń Dewanny i mocno ją ścisnęła. - Słuchaj - powiedziała w końcu. Na jej twarzy malował się smutek, ale dzielnie próbowała się uśmiechnąć. - Mam pomysł. Odwiąż to. - Podwinęła rękaw i wskazała amulet, który Muthawwa przywiązała tam wiele lat temu, a potem, kiedy córka rosła, musiała poluzowywać spłowiały czarny sznureczek. Metalowa płytką była zniszczona i poobijana, a inskrypcja w sanskrycie prawie całkiem się starła. Dewanna odwiązał sznurek, męcząc się z supełkami.  
- Awwaija zawiązała mi go, kiedy byłam mała. Powiedziała, że to na szczęście. Masz - położyła amulet na dłoni Dewanny i zamknęła mu palce.  
- Nie mogę go wziąć. Jest twój.  
- A ja ci go daję - uśmiechnęła się lekko. - Już go nie potrzebuję - wyjaśniła, pocierając ramię w miejscu, gdzie amulet odcisnął się przez te wszystkie lata. - Awwaija jest tam, pośród chmur, i opiekuje się mną razem z innymi przodkami.

Odchylili głowy i spojrzeli na chmury, które przesunęły się i goniły inne przezroczyście kłęby na gładkim niebie. Tu był zakrzywiony nos, tam zarys ucha. A jeśli dobrze się przyjrzeć, to z drugiej strony można było dostrzec tył kobiecej głowy ozdobionej pękiem kwiatów sampige. Wysoko nad ich głowami, w ciepłym powietrzu szybowała samotna czapla, wznosząc się i opadając na lekkim wietrze.

Chinina - odpowiedział Gundert na pytanie Dewanny. - To była sproszkowana chinina. Alkaloid pozyskiwany z chinowca. Cinchona succirubra. - Sięgnął po książkę stojącą na regale przy biurku i otworzył ją na stronie pokrytej na marginesie notatkami zapisanymi jego drobnym, starannym pismem. - Tutaj - powiedział, delikatnie stukając palcem w pożółkły papier. - Jak ekonomicznie pozyskać chininę z kory chinowca. Po raz pierwszy podane do wiadomości publicznej dzięki hojności rządowego chininologa w Bengalgu. Masz, przeczytaj to na głos.

- „The Calcutta Gazette”. - Gundert oprószył strony gazety kawałeczkami liścia drzewa nim, aby rybiki trzymały się od niej z daleka. Naftalina przeżarłaby cienki papier. - „Proces rafinacji dla uzyskania siar... siarczanu chi... chininy, siarczanu chininy autorstwa C.H. Woodsa, rządowego chini... chinino... chininologa w Bengalgu” - ostrożnie zaczął Dewanna, potykając się na nieznanym słowach i skomplikowanych równaniach. Woods oznajmiał, że jego przywilejem jest po raz pierwszy w historii przedstawić szczegółową, praktyczną i opłacalną metodę uzyskiwania chininy dzięki olejowemu rozpuszczalnikowi oleju fuzlowego i ropy naftowej. - „Alkaloidy pochodzą z kory o znacznie większej czystości, dzięki czemu końcowe zabiegi uzyskiwania czystego i gotowego produktu są wyraźnie uproszczone. Cały proces produkcji można przeprowadzić w temperaturze pokojowej, a wymagana aparatura i przyrządy są powszechnie dostępne...”

71

Dewanna umilkł w połowie zdania, ogarnięty niewytłumaczalną furią.

- Nie rozumiem - zawołał. - To zupełnie bez sensu. Przecież... prze-

cież. .. - urwał, sfrustrowany, stukając palcem w tekst.

Gundert nic nie odpowiedział. Splótł tylko ręce na piersi i spojrzał na chłopca. Dewanna beczelnie patrzył mu w oczy, ale po chwili, czerwony ze wstydu, odwrócił wzrok.

- To nie była twoja wina - cicho powiedział Gundert. Twarz Dewanny drgnęła, lecz chłopiec nadal milczał. - Posłuchaj, Dew - ciągnął Gundert. - Nic nie mogłeś na to poradzić. Może gdyby doktor Jameson ją zbadał albo gdybym ja dotarł tam wcześniej... Ale nawet wtedy nie mielibyśmy pewności, że chinina zadziała, rozumiesz? Choroba była w bardzo zaawansowanym stadium.

Dewanna przełknął ślinę, nie patrząc w stronę Gunderta.

- Mówią, że po wizycie wielbnego przeklął ją waidja - powiedział cicho.

Wielebny westchnął i pokręcił głową.

- To nie była sprawka demonów ani klątw, lecz moskita, który mimo swych drobnych rozmiarów przenosi śmiertelną chorobę. Malarie, Dew. Ta choroba nazywa się malaria.

Okrażył biurko i wyjął gazetę z rąk Dewanny.

- Chinina... Widzisz? Tu, na tej stronie. To lek dla milionów. Musimy tylko nauczyć ludzi, jak go stosować, musimy ich zapoznać z nowoczesną medycyną.

Zaległa między nimi cisza. Gundert oparł się o biurko, patrząc na chłopca.

- Trzeba się tylko uczyć - powtórzył.

- Ja chcę się uczyć - wybąkał Dewanna. - Niech mnie wielebny nauczy, jak robić tę chininę, niech mi wielebny przekaze całą swoją wiedzę medyczną. Proszę, zrobię, cokolwiek wielebny zechce, będę się uczył najpilniej, jak tylko można, ale muszę się tego wszystkiego dowiedzieć.

- „Zmienił się stary porządek, ustępując miejsca nowemu, a Bóg spełnia się na wiele sposobów” - cicho zacytował Gundert. - Bóg zesłał mi ciebie nie bez powodu, Dewanno. Wybrał cię, byś wprowadził tę misję i nasze posłanie w następny wiek. Nauczę cię wszystkiego, co sam wiem, obiecuję, a kiedy mnie prześcigniesz, bo z pewnością się tak stanie, wykorzystaj tę wiedzę dla dobra swego ludu.

\* Sir Alfred Tennyson, Idylls of the King.

72

Kilka dni później Gundert wezwał Dewannę do swojego gabinetu.

- Chciałbym ci o czymś opowiedzieć - zaczął. - O czymś, co jest dla mnie ogromnie ważne i co chyba cię zainteresuje. - Dewanna patrzył z zainteresowaniem, gdy wielebny sięgnął po klucz wiszący na jego szyi i otworzył szufladę swojej sekretery.

- Pamiętasz naszą rozmowę o tym, jak trudno sklasyfikować różne gatunki bambusa?

Dewanna pokiwał głową. Problem polegał na tym, że wszystkie gatunki bambusa wyglądają w zasadzie tak samo, dopóki nie zakwitną. A kwitną nieznośnie rzadko za sprawą cyklu zapyłania przydarzającego się tylko raz na jakieś trzydzieści lat, które u bardziej krnąbrnych gatunków wydłużają się do pięćdziesięciu albo i sześćdziesięciu. Prawdopodobnie istniały dziesiątki nieodkrytych jeszcze gatunków w dżunglach Indii, Jawy i Sumatry.

Gundert wyjął z szuflady zawiniątko z białego jedwabiu i ostrożnie położył je na biurku. Wyjaśnił, że po przyjeździe do Kodagu żywił wielkie nadzieje na odkrycie jednego z takich gatunków, które, dotąd niesklasyfikowane, kwitły w dziczy. Lokalni mieszkańcy pokręcili głowami, kiedy ich o to zapytał. Gaje bambusowe wytworzyły nasiona dwa lata temu - oznajmili. Obsypały się kwieciami i wkrótce potem umarły, zgodnie ze swoim zwyczajem. Upłynie co najmniej pięćdziesiąt lat, nim dojrzeją sadzonki, które po sobie zostawiły. Mimo to Gundert nie porzucił nadziei. Z pewnością istniały rośliny, które nie żyły zgodnie z tym ogólnym cyklem, przynajmniej jedna kępka bambusów zaszyta gdzieś w dżungli albo na wzgórzach, która szykowała się do kwitnienia. Mijały jednak miesiące, a gdy nie znalazł niczego, co wskazywałoby na istnienie takiego bambusa, niechętnie pogodził się z tym, że być może rzeczywiście musi upłynąć pięć lub sześć dekad, zanim nowe gatunki zostaną poznane i sklasyfikowane. Po jakimś czasie, pewnego ranka, pod bramą misji znaleziono nieprzytomnego mężczyznę trawionego gorączką. Gundert pospieszył go zbadać. Na podstawie skóry zawiązanej wokół pasa nieznanego oraz jego naszyjnika z maleńkich ptasich kości domyślił się, że to członek plemienia Korama. Słyszał wcześniej o odizolowanym plemienu żyjącym głęboko w dżungli, które w przeciwieństwie do potulnych Polejów, gardziło cywilizacją.

73

Dewanna skwapliwie pokiwał głową. On też widywał Koramów. Od czasu do czasu pojawiali się w wioskach, sprzedawali wydrążone tykwy pełne tygryziej krwi albo pawiego tłuszczu. Ostrzegano dzieci, żeby trzymały się od nich z daleka, gdyż pomimo drobnej postury Koramowie mieli gwałtowne usposobienie i nosili kołczany pełne zatrutych strzał. Czasami, kiedy księżyc wisiał wysoko na niebie, słychać było ich bębny cicho rozbrzmiewające w głębokiej dżungli.

Gundert ostrożnie wyjął strzały o poczernionych koniuszkach z kołczanu Koramy i zawołał pomocników, aby przenieśli go do infirmerii. Wyleczył Koramę z gorączki, zdumiony tym, jak szybko ciało mężczyzny reagowało na najprostsze zabiegi lekarskie. Gundert urwał i spojrzał na Dewannę.

- Zadałem o to, by wypocić gorączkę - wyjaśnił. - Poleciałem natrzeć mu stopy solą, a potem przykryć go wszystkimi kocami, jakie zdołaliśmy znaleźć. Gdyby to nie podziałało, zamierzałem upuścić mu krwi, ale pijawki okazały się zbędne.

Nazajutrz, gdy zawiadomiono Gunderta, że Korama się obudził, wielebny zadał mu swoje ulubione pytanie: czy Korama zna jakieś niezwykle rośliny?

Mężczyzna wpatrywał się w Gunderta błędnym wzrokiem. „Tak” - odparł w końcu - jest taka roślina, najbardziej niezwykła w całym lesie. Kwitnie tylko raz w ciągu życia człowieka. Jej gaje właśnie obsypały się kwiatami, więc przyniosę wielebniemu jedną z tych roślin”. Opuścił misję tego samego popołudnia, zupełnie wyleczony.

Gundert nie liczył na jego powrót. Nie był pewien, czy Korama w ogóle zrozumiał jego pytanie. Zupełnie o nim zapomniał, aż tu pewnego ranka jedna z nowicjuszek przyszła do Gunderta, ostrożnie niosąc jakieś zawiniątko. Marszcząc nos z obrzydzeniem, wyjaśniła, że to małpia skór-

ra. Zostawiono ją rano na schodach prowadzących do misji.

Korama! Gundert odchylił skórę i ujrzał prowizoryczny pakunek z liści. A w nim... Gundert spojrzał na skupioną twarz Dewanny.

- Był ogromny, jak moje dwie złożone dłonie. Miał lekko woskowane płatki. Idealny okaz, na jego słupkach połyskiwały jeszcze krople rosy. I wydzielał taki zapach! Słodszy od woni róży, bogatszy niż zapach jaśminu, z piżmową nutą orchidei. Zapach, który przez wiele dni unosił się na korytarzach misji.

- Kwiat bambusa! - triumfalnie zawołał Dewanna.

74

- Tak, kwiat bambusa, dokładnie tak, jak obiecał Korama. - Gundert westchnął i zaczął odwijać biały jedwab. - Niestety, sam Korama zniknął, a kwiat w końcu zwiędnął. Bez całej rośliny nie można było przygotować opisu ani wysłać okazu do ogrodów botanicznych w Bangalurze, a może nawet w Anglii.

Zafascynowany Dewanna spojrzał na ususzony kwiat, który odsłonił przed nim wielebny. Był wielki jak książka. Chłopcu wydawało się, że nadal czuje ślad woni, którą opisał Gundert, że odurzający zapach łaskocze go w nos.

Gundert wyznał, że nadal żywi nadzieję. Kwitnący bambus gdzieś tam istnieje i czeka na kogoś, kto go odkryje.

- Może ty, Dewanno - powiedział - pomożesz mi go znaleźć.

Dewanna powoli pokiwał głową.

- Jak go wielebny nazwie? - zapytał.

Gundert uśmiechnął się, ostrożnie odkładając kwiat.

- Bambusea indica olafsen - odpowiedział z prostotą.

Na pamiątkę przyjaciela z kalotypii. Dewanna przez chwilę milczał, a potem zapytał:

- A jeśli ja znajdę go pierwszy?

Wielebny roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

- Cóż, zachowasz się jak dobry uczeń i oczywiście przyniesiesz go do mnie, prawda? - Złożył jedwab i nadal rozweselony, schował zawiniątko do szuflady.

„Znajdę go - obiecał sobie w duchu Dewanna, z determinacją zaciskając zęby. - A kiedy to zrobię, nazwę go na jej cześć. Bambusea indica devi".

1896

Otarłszy twarz rąbkiem sari, Dewi uniosła żelazną pokrywę i dmuchnęła w płomień. Z garnka bulgoczącego na ogniu oleju buchnęło gorąco, a nad jego powierzchnią uniosły się spiralne smugi dymu. Dewi przesunęła dłońmi nad garnkiem i ciepło uderzyło w jej otwarte dłonie. Jedną ręką chwyciła skreconą ścierkę, a drugą owinęła krawędzią sari, po czym podźwignęła garnek i przez otwarte drzwi kuchni wyniosła go na podwórze.

Na zewnątrz czekała kadź gorzkich limonek. Dewi własnoręcznie zerwała je z dwóch drzew, które Muthawwa posadziła wiele lat temu obok warzywnika. Tydzień wcześniej limonki zostały przekrojone na ćwiartki i oproszone solą, chili, cukrem i ziarnkami zielonego pieprzu, a następnie wystawione na słońce. Leżały tam, zwijając się powoli, w miarę jak z ich skórek ulatywała wilgoć, a przyprawy przenikały do środka. Odwiązawszy rzadkie płótno pokrywające drewniany wylot kadzi, Dewi wlała dymiący

olej. Wyschnięte limonki rozkosznie rozciągnęły się w gorącym tłuszczu, mięknać i puchnąć, a gruby, kręty warkocz dymu wzbil się z kadzi i wleciał nad podwórzem.

Gdy olej przestygł, zanurzyła w piklach palec i uniosła go do ust. Słona, słodka, marszcząca usta doskonałość. Taji będzie musiała przyznać, że tym razem Dewi prześcignęła nawet ją samą.

- Ej, kunji! Czy właśnie tego cię uczyłam? Żeby wsadzać brudne paluchy do garnka? Czy wszyscy musimy się delektować twoją śliną?

Taji wyszła z domu. Dewi przykucnęła i posłała jej psotny uśmiech.

76

- Moja słodka taji, ja tylko próbowałam. Pierwszy i ostatni raz, przysięgam. Czyż narażałabym się na twój gniew, wsadzając swoje brudne, zaślinione palce po raz drugi?

- Owszem - szorstko odpowiedziała taji. - Nie próbuj mnie czarować, nie jestem twoim ojcem, który tańczy, jak mu zagrasz. Wnieś pikle do kuchni, muszą zupełnie ostygnąć, zanim zaniesiemy je do spiżarni.

- Ależ taji, dlaczego się tak złościysz? Masz, spróbuj i powiedz mi, czy jadłaś kiedyś lepsze pikle. - Dewi zanurzyła chochlę w kadzi i przyciągnęła dłoń taji, by położyć na niej kawałek limonki. Taji spróbowała, ciągle jeszcze zdenerwowana.

- W porządku... niezła - przyznała niechętnie.

- Niezła! - Podnosząc się jednym, płynnym ruchem, Dewi zarzuciła staruszce ręce na szyję. - Daj spokój, taji, doskonale wiesz, że twój kwiatusek przeszedł samą siebie. No, dalej, przyznaj to albo zacznę cię łaskotać! Twój kwiatusek zrobił najlepsze pikle na całym świecie, powiedz to! Twoje słońce i księżyc to najlepsza kucharka, twoje słońce i księżyc...

Taji próbowała ukryć uśmiech.

- Też coś! Co to za zachowanie? Masz już osiemnaście lat, jesteś dorosłą kobietą, a nadal zachowujesz się jak mała, głupiutka dziewczynka - pociągnęła Dewi za ramię. - Dostyc już, mam mnóstwo pracy. Przestań ścisnąć mnie jak niedźwiedz i przynieś pikle. A potem pójdz poszukać Tukry. Dopilnuj, żeby dobrze związał kurczaki.

Dewi czule pokręciła głową, patrząc, jak taji pędzi z powrotem do kuchni. Biedna taji. Dlaczego brała sobie do serca krążące we wsi plotki? W ubiegłym tygodniu Dewi złożono kolejną propozycję małżeństwa.

Thimmaja, zgodnie ze swoim zwyczajem, zapytał córkę o zdanie.

- Nie - odpowiedziała bez namysłu, a on grzecznie odrzucił propozycję.

Wieść rozeszła się po wiosce i kobiety zaczęły cmokać z niezadowoleniem. Biedna dziewczyna, użalały się nad nią obłudnie, kolejny zalotnik odszedł z kwitkiem. Dlaczego ojciec nie pozwala jej wyjść za mąż? Tak bardzo brakuje mu rąk do pracy, że będzie trzymał córkę przykutą do swojego domu? Choć z drugiej strony czego się tu spodziewać? Dziecko bez matki zostało na łasce ojca, wzdychały. Dziewczyna bez matki to jak pole bez deszczu.

Dewi przywykła do plotek, nie raniły jej już tak jak kiedyś. Od śmierci matki upłynęły cztery lata, w ciągu których dziewczyna zdążyła się na nie

77

uodpornić. Ze złością zamieszała pikle, przyskając olejem na piach. Podłe



plotki. Z początku na nie reagowała, mówiąc plotkarom, żeby zajęły się własnymi sprawami, że nie mają pojęcia o jej prywatnym życiu.

- Też coś! - prychały kobiety. - Spójrzcie, jak ta smarkula się do nas odzywa. No ale czego tu oczekiwać, skoro nie ma matki, która mogłaby ją wychować.

Z upływem czasu nauczyła się, że lepiej je ignorować, a przynajmniej trzymać głowę wysoko, wzruszać ramionami i udawać, że ich słowa nie mają dla niej znaczenia. Kaśliwe uwagi spływały po niej jak krople deszczu po liściach kolokazji. Mimo to słowa kobiet głęboko raniły taji. Taji i Dewi chroniły Thimmaję od najgorszych oszczerstw, ale biedna taji nadal czuła się dotknięta i płakała.

- Czy my też jesteśmy martwi - żaliła się Thimmai - czy nie chcemy dla Dewi jak najlepiej?

- Daj spokój, awwaija - odpowiadał zmęczony Thimmaja. - Niech psy szczekają, dlaczego się nimi przejmujesz?

Te samozwańcze „życzliwe” doradzały Thimmai, żeby się powtórnie ożenił. W sąsiedniej wiosce jest wdowa, która mu się spodoba, zachęcały. Thimmaja odmówił. Powiedział im, że jest za stary i zależy mu już tylko na tym, by ustatkowały się jego dzieci. Ach, zawołały, przynajmniej pod tym względem Iguthappa mu sprzyjał: Dewi wyrastała na niezaprzeczalną piękność, każdy mężczyzna będzie szczęśliwy, mogąc ją nazwać swoją żoną. Usłużnie zasypywały dom Naćimandów propozycjami, oferując własnych synów i braci, siostrzeńców, kuzynów i kuzynów kuzynów. Thimmaja najpierw zwracał się do Dewi i pytał córkę o opinię na temat kandydata. Dewi za każdym razem kręciła głową i odmawiała.

W ubiegłym tygodniu taji, podpuszczona przez kobiety ze wsi, próbowała zastosować inną taktykę.

- Zabierz ją ze sobą do Tala Kaweri - namawiała Thimmaję. - Zabierz Dewi na obchody święta.

Znów nadchodził czas odwiedzin bogini Kaweri w Kodagu. Co roku, kiedy ustawały deszcze i złociły się pola, kiedy o zmroku na podwórzach połyskiwały robaczki świętojańskie, a powietrze przypominało aksamit, kiedy gwiazdy wisiały tak nisko, że było wyraźnie widać połyskującą na niebie konstelację siedmiu mędrców, Kaweri, Bogini Matka, dawczyni życia, święta rzeka Kodagu, odwiedzała staw w świątyni na szczycie góry Bhagamandala. Dokładnie w drugim tygodniu października, w porze skrupulatnie wyliczonej przez kapłanów na podstawie ruchu planet

78  
i kąta padania promieni słonecznych, wpadała do stawu z zadziwiającą punktualnością.

Mieszkańcy Kodagu mieli w zwyczaju wysyłać co najmniej dwóch domowników na powitanie bogini. Wysłannicy wyruszali do Tala Kaweri z każdego zakątka kraju, razem z mnóstwem wiernych aż z Majsuru, Kanary i Kerali. Młodzi i starzy, zdrowi i chorzy, otyli bogacze ciągnięci przez woły i konie, żebracy pochyleni nad swoimi miskami, łysi kapłani i ogolone na łysy żony braminów, wszyscy na chwilę się jednocyli, zmierzając na to święto, aby ujrzeć cud ponownych narodzin Kaweri i poprosić ją o błogosławieństwa.

Jako lud bardzo praktyczny mieszkańcy Kodagu szybko odkryli inny potencjał święta: Tala Kaweri było w tym czasie ogromnym i do-

godnym miejscem spotkań panien i kawalerów na wydaniu, którzy mogli tam kogoś dostrzec i zostać dostrzeżeni. Na festiwalu pełno było zatroskanych matek odgrywających role przyzwoitek swych ponętnych, młodych córek. Grupki dziewcząt z kwiatami we włosach zerkały spod przymrużonych powiek na chmary młodych kawalerów zuchwale kroczących po świątyni. Wiele małżeństw zostało szybko zaaranżowanych po spotkaniu na festiwalu i Dewi doskonale wiedziała, dlaczego taji chce ją tam wysłać. Pewnie gdyby nie sękaty, powykręcane artretyzmem nogi, staruszka osobiście by ją tam zaciągnęła.

- Pojedziesz ze mną, kunji? - zapytał Thimmaja córkę w ubiegłym tygodniu.

- Nie - odpowiedziała z prostotą.

Taji rzuciła synowi wściekle spojrzenie.

- Chyba powinnaś - nalegał. - Wkrótce będę musiał ci znaleźć dobrego męża, a na święto przybywa tylu chłopców...

Dewi uroczo wydeła usta.

- Tak bardzo ci się spieszy, żeby się mnie pozbyć, appaija?

- Nie, oczywiście, że nie. Dobrze, już dobrze - powiedział Thimmaja, bezradnie zerkając na zrozpaczoną matkę.

Dewi zamyśliła się, taszcząc każdą z limonkami na werandę. Nawet jej ojciec zaczynał się niecierpliwić, czuła to. Jak długo jeszcze pozwoli jej odrzucać propozycje? Wołając Tukrę, okrążyła dom i zbliżyła się do kurnika.

Pochyliła się nad gdaczącymi kurczakami i westchnęła.

- Tukra! Ten sznurek nie jest dobrze naciągnięty. Chcesz, żeby kurczaki pouciekały do lasu? Tak bardzo ci się spieszy na targ?

79

Ciemna twarz Polei zarumieniła się wbrew jego woli i zaczął z zakłopotaniem pocierać stopą o stopę.

- Co? - Dewi zmrużyła oczy, sprawnie poprawiając sznurek. - Aaa, Tukra, więc miałam rację. Ty coś knujesz! Dlaczego tak bardzo spieszysz się na targ? Czyżby ktoś tam na ciebie czekał ze wzrokiem wbitym w drogę? Nieszczęsny Tukra zacerwienił się jeszcze bardziej.

- Bo... ja... ona... nikt, Dewi akka - jąkał się.

- A więc jednak! - zwycięsko zawołała Dewi. - Kim ona jest? Lepiej mów, bo inaczej wszystkim rozpowiem.

- Oj! Dewi akka, proszę! Bo... ona... ja... my... to sprzedawczyni sardynek - wyznał. - My... umówiliśmy się na dzisiaj.

- Romans! I to pod nosem mojego brata! Mam mu powiedzieć, co będziesz wyrabiał na targu, kiedy on nie będzie widział?

- Ojej! - zawołał wystraszony Tukra i Dewi ustąpiła.

- Nie bądź takim cykorem, niczego nie powiem - zapewniła ze śmiechem. - No, ptaki są już dobrze powiązane, więc teraz mocno je przytrzymaj. - Z uśmiechem wyrwała po jednym piórku każdemu kurczakowi. - Załatwione. O, słyszę, że woła cię Ćengappa.

Rzeczywiście, Ćengappa stał na werandzie i nawoływał. „Tukra! Ach, przeklęty Tukra! Gdzież on się podziewał? Czyżby zamierzał dotrzeć na targ, kiedy wszystkie stoiska będą już pozamykane? Czy kurczaki sprzedadzą się same? I kto zanieś kosz z bananami?” Tukra pobiegł do drzwi z kurczakami przewieszonymi przez ramiona. Ptaki machały

skrzydłami i Tukra wyglądał tak, jakby obrósł w pióra i lada chwila mógł się wzbić w powietrze, by trzepocząc rękami i gdacząc, pofrunąć na targ. Dewi wybuchnęła śmiechem, wyobrażając sobie odlatującego sługę. Nagle jednak zamilkła. Wyglądało na to, że nawet Poleja znalazł miłość, i to w tak przyziemnym miejscu jak lokalny targ. Tymczasem ona czekała i czekała, lecz uparty Maćaija nie przybywał.

Raz zobaczyła go z daleka na czymś weselu.

- Spójrz, czy to przypadkiem nie Maćaija Kambejmada, pogromca tygrysa? - szepnęła podniecona do przyjaciółki.

- Kto? Gdzie? Hmm... chyba masz rację.

- Oczywiście, że mam rację! Nie widzisz jego galla misa'? Tylko ten, kto zabił tygrysa, może nosić długie wąsy i takie bokobrody.

- Tak - przyznała przyjaciółka bez większego przekonania - ale...

- Żadne ale. Dlaczego jeszcze tu siedzimy? Chodź, przejdziemy się i zobaczymy, kto przyszedł - zaproponowała radośnie, nie zważając na 80

podejrzliwą minę przyjaciółki. Zaciągnęła ją na drugi koniec zatłoczonej sali, ale gdy tam dotarły, Maćaii już nie było.

- Dewi... daj sobie z nim spokój - poradziła jej przyjaciółka. - Nie, nie patrz na mnie tymi swoimi wielkimi oczami. Wiem, co knujesz.

Maćaija jest poza twoim zasięgiem. Nie słyszałaś, że to wyznawca Ajappy swamiego, boga myśliwych?

Dewi pokiwała głową, nadal niespokojnie rozglądając się w tłumie.

- I co z tego? Podobno sam Ajappa swami zstąpił z niebios w dniu polowania na tygrysa, żeby nagrodzić swego wyznawcę. Mówią, że to On stanął wtedy u boku Maćaii, że pokierował jego odikathi, bo w przeciwnym razie żaden człowiek nie powaliłby tygrysa jedynie nożem. Słyszałam o tym. I co z tego?

- W takim razie musisz też wiedzieć - upomniała ją przyjaciółka, szczypiąc Dewi w ramię - że ludzie mówią coś jeszcze. Zdajesz sobie sprawę, ile propozycji małżeństwa odrzucił ten człowiek? Podobno tak jak jego samotny bóg, Maćaija nie jest zainteresowany ożenkiem.

- Phi - prychnęła Dewi. - Pewnie dlatego, że nie widział jeszcze takiej piękności jak ja. - Zrobiła zeza i gapiła się na przyjaciółkę, póki obie nie parsknęły śmiechem.

To było tak dawno temu, rozmyślała teraz Dewi. Pech chciał, że od tamtej pory go nie widziała. Wypuściła wyrwane kurczakom piórka na chropowatą, drewnianą podłogę kurnika. „Swami, kapad - modliła się w zamyśleniu, gdy piórka powoli opadały. - Panie, pobłogosław nas”. Piórko od każdego kurczaka, który opuścił kurnik, a każde piórko to poręczenie od bogów. Tak ją uczyła taji. Żeby na miejsce każdego sprzedanego ptaka zjawiało się kilka nowych...

Przyjaciółka, z którą była na tamtym weselu, wyszła za mąż prawie dwa lata temu. W zasadzie jej mąż najpierw poprosił o rękę Dewi. Gdy ta odmówiła, złożył propozycję przyjaciółce, która od razu się zgodziła. Dewi czuła się niezręcznie, kiedy poszła pomagać przy szykowaniu wyprawy ślubnej.

- Och, niepotrzebnie - zapewniła ją przyjaciółka. - To oczywiste, że najpierw zapytał ciebie, któż zrobiłby inaczej? - uśmiechnęła się panna młoda. - Chyba powinnam ci podziękować, że mu odmówiłaś.

Dewi przygryzła usta i nie odpowiedziała, zajęta wkładaniem miedzianych garnków do skrzyni wyściełanej muślinem.

- Wyrabiasz sobie paskudną reputację, wiesz? - słodko ciągnęła przyjaciółka. - Odmawiaj im tak dalej, a wkrótce przestaną cię prosić o rękę. Żaden mężczyzna nie lubi być odrzucony, Dewi, a jeśli mówisz „nie” nawet najlepszym... - pokręciła głową.

- Och, nie martw się o mnie - odparła Dewi, równie słodkim tonem. - Nie zamierzam przyjąć pierwszego, który się zjawi. - Ledwie zauważalna pauza. - Nie ma takiej potrzeby, zawsze znajdę kogoś lepszego. Przyjaciółka oznajmiła jej, że ma zbyt duże wymagania. Czego ona właściwie oczekuje? Dewi rozłożyła ręce i roześmiała się:

- Dowiem się, kiedy go zobaczę.

Przytuliła wspomnienie Maću mocno do serca. Zresztą co miała im wszystkim powiedzieć? Że jej serce jest już przeznaczone komuś innemu, że było mu przeznaczone od chwili, w której po raz pierwszy go ujrzała? Że czeka na pogromcę tygrysa? Jak miała wyjaśnić taji i przyjaciółkom to, co czuła, tę pewność, która wypływała z samego środka jej duszy, pewność, że urodziła się po to, by być z tylko z Maću?

Od tygrysiwego wesela upłynęło wiele lat. Nie pamiętała już dokładnie jego twarzy. Pozostały jej tylko wrażenia. Głęboki tembr głosu przypominający szmer wody obmywającej kamienne dno rzeki, wysoką posturę, oczy zmarszczone w śmiechu. Tyle lat! A mimo to pewność jej uczuć pozostała niezachwiana, twarda jak skała.

Dewi wiedziała, że będą ze sobą, tak samo jak wiedziała, że po jednym oddechu nastąpi drugi. Maću będzie jej.

Nadal był kawalerem. Minęło tyle lat, a pogromca tygrysa nie poślubił żadnej kobiety. W głębi serca cieszyła się na wieść o odrzuconych przez niego propozycjach. Nie zważała na plotkę, że przysiągł żyć w celibacie, że najzwyczajniej nie chce się żenić. Jak tak piękny mężczyzna mógłby zostać mnichem? To niemożliwe. On po prostu czekał na nią, wiedziała o tym. Bo przecież musiał słyszeć o najpiękniejszej dziewczynie w wiosce Palladów? Wkrótce, już niedługo, przybędzie, wiedziony ciekawością. Ujrzy ją i od razu będzie wiedział: „Zaczekaj, czy ty przypadkiem nie byłaś na tygrysim weselu?” - zapyta. - „Ależ wyrosłaś...”.

Och, to bez sensu. Dewi szorowała podłogę kurnika z nieuzasadnioną wściekłością, rozpędzając wystraszone ptaki. On i te jego przeklęte polowania! Jeśli nadal będzie się włóczył po dżunglach, jak jakiś... jakiś... dżunglista... i nie pojawi się na żadnych weselach, pogrzebach i na całej

82

reszcie uroczystości, to jak zdołają się spotkać? „I jeszcze ten Dewanna”, pomyślała ze złością, kierując wściekłość w inną stronę. „Nie kiwnął palcem, żeby mi pomóc”.

Na początku gnębiła go pytaniami o starszego kuzyna:

- Opowiedz mi o swoim kuzynie Maću - poprosiła po tygrysim weselu z najbardziej ujmującym uśmiechem. Co Dewanna o nim wie? Kiedy zamierza odwiedzić ojca? Czy Maću przyjedzie do wioski Palladów? Mile połączony tym nagłym zainteresowaniem swoją rodziną, Dewanna ochoczo podzielił się z Dewi wszystkim, co wiedział. Kiedy z domu Kambejmadów przybył sługa z pieniędzmi od ojca Dewanny,

chłopiec, za namową Dewi, wręczył mu nawet kwiecisty list dla Maću, w którym zachwalał uroki wioski Palladów i zapraszał kuzyna w odwiedziny.

Obydwoje z niecierpliwością czekali na odpowiedź. Po kilku miesiącach dotarła do nich bolesna świadomość, że odpowiedzi nie będzie. Pocieszyli się myślą, że Maću jest po prostu zbyt zajęty. Prawdopodobnie był gdzieś głęboko w dżungli i zabijał następne tygrysy. Może, jeśli uważnie się wsłuchają, do ich uszu dotrze ryk konającego, pechowego tygrysa odbijający się echem od wzgórz.

Dewi się nie poddała i postanowiła spróbować innej taktyki.

- Może wybierzesz się do domu ojca? - podsunęła pewnego dnia, kiedy grali w muszelki. Dłoń Dewanny zastygła w powietrzu i spojrzał na nią zaskoczony.

- Jak to? Chcesz, żebym wyjechał z wioski?

- Och, nie, nie, głuptasie - roześmiała się. - Dlaczego miałabym tego chcieć? Po prostu wizyta u ojca dobrze by ci zrobiła. Mógłbyś poznać wszystkich swoich kuzynów, a potem może wpadłabym cię odwiedzić... Dewanna buntowniczo wydał usta i pokręcił głową. Dewi straciła cierpliwość.

- Och, to bez sensu! - zawołała, zapominając o subtelności. - Dlaczego Gauru akka w ogóle musiała opuszczać dom Kambejmadów? Mógłbyś być teraz tam i... i...

Nawet ona od razu poczuła, że przeholowała. Dewanna zerwał się na nogi i zacisnął zęby.

- Gdyby moja matka nadal tam mieszkała, Dewi, pewnie nigdy nie zostalibyśmy przyjaciółmi. - Rzucił muszelki na trawę i odszedł.

- Dewanna. Dewanna! Nie chciałam. Dewanna! Nie wygłupiaj się, wracaj. Dokończmy przynajmniej grę...

83

Długo wołała, zanim w końcu się odwrócił. Kilka miesięcy później, wspominając to zdarzenie, Dewi kręciła głową. Powiedziała mu wtedy tyle okropnych słów. A mimo to wracał, zawsze wracał, by być u jej boku. Odsunęła nioski i dotknęła jajek w poszukiwaniu pęknięć na skorupkach. W przypływie sympatii zaczęła się zastanawiać, jak mu się wiedzie, sprawdzając po kolei wszystkie jajka w słomianych gniazdach. Nie widziała go tak długo. Może poprosi taji, żeby jutro posłała Tukrę do misji z odrobiną limonkowych pikli. Dewanna zawsze uwielbiał je z ryżem. Ćengappa żartował sobie, że to całkiem jak bramin. Rozchmurzona Dewi włożyła jajka w fałdy sari i poszła do domu.

Nazajutrz po południu Tukra wrócił z misji, przynosząc wieści. Tak, Dewanna anna wygląda dobrze. Tak, Tukra dał mu pikle i powiedział, że Dewi akka przygotowała je własnoręcznie. Nie, nie ma dla niej listu, ale Dewanna anna kazał przekazać wiadomość. Nie wróci do wioski na październikowe święta, gdyż w tym roku wybiera się na festiwal Kaweri. Jego dziadek najak Kambejmada postanowił ufundować świątyni miedziane drzwi. Wszyscy mężczyźni z rodziny Kambejmadów muszą towarzyszyć patriarsze w drodze do Bhagamandali.

- Wszyscy? - zapytała Dewi, wytrzeszczając oczy. - Jesteś pewien, że powiedział „wszyscy” mężczyźni z rodziny Kambejmadów? - Serce zabiło jej szybciej. Kochany Dewanna! Pobiegła do kuchni. Niedawno ocieliła

się krowa i taji gotowała kremowy, słodzony cukrem palmowym ginn z pierwszego, tłustego mleka. Dewi stanęła za nią, objęła babcię w tali i położyła głowę na jej ramieniu.

- Naprawdę chcesz, żebym pojechała na ten festiwal, taji?

Taji odchrząknęła i dalej mieszała mleko.

- Powiedz, taji, bo jeśli to dla ciebie ważne, pojedę.

Taji odłożyła chochlę i szybko się odwróciła, żeby spojrzeć na wnuczkę.

- Naprawdę, kunji? - zapytała z nadzieją. - Pojedziesz?

Dewi odpowiedziała jej szczerym spojrzeniem.

- Tak, taji... Skoro tego pragniesz, nie mam innego wyjścia.

Do oczu taji napłynęły łzy, które otarła rąbkami sari.

- Moja kochana kunji. Moje urocze dziecko. Czy to twoja wina, że tylko osły prosiły cię o rękę? Mój kwiatuszku, przecież nie możesz przyjąć pierwszej lepszej propozycji. Niech tak będzie, niech tak będzie, kunji,

84

pojedziesz do Tala Kaweri. Wiem, że Iguthappa swami ześle nam kogoś, kto będzie ciebie godzien. Masz, przypilnuj ginnu, a ja poszukam twojego ojca i o wszystkim mu powiem.

Wołając Tahimmaję, taji wyszła z kuchni. Dewi przygryzła usta i z poczuciem winy spojrzała na plecy babci. To nic, pocieszyła się, wkrótce modlitwy taji zostaną wysłuchane. Bo na festiwalu Kaweri ktoś będzie na nią czekał. Czyjaś ścieżka w końcu skrzyżuje się z jej ścieżką. Ten ktoś nie miał jeszcze pojęcia, że niedługo jego świat zadrży w posadach. Dewi wpatrywała się w bezksiężycową ciemność nocy. Dokładnie naprzeciw stała góra Bhagamandala, bryła najgłębszej czerni na stałe wbita w mrok. Jechali od dwóch dni, ona i Thimmaja, obdarowując mieszkających na trasie kuzynów wędzoną dziczyzną i marynowanymi grzybami w podziękowaniu za gościnę. W końcu dotarli do podnóża góry Bhagamandala. Dewi zatrasnęła okno w swoim pokoju i pragnąc, by wlekące się minuty szybko upłynęły, znów spróbowała zasnąć. Jutro. Niespokojnie przekręciła się na bok. Po tych wszystkich latach pogromca tygrysa w końcu był tuż-tuż, gdzieś na tej samej drodze. Wyobrażała sobie, że gdyby mocno przyłożyła ucho do ziemi, mogłaby nawet usłyszeć bicie jego serca, wznoszące się ponad odgłosy dnia, mogłaby poczuć jego oddech wpleciony w przepychanki i gonitwy nocy.

W końcu zapadła w chaotyczny, niespokojny sen. Miała wrażenie, że zaledwie kilka minut później Thimmaja obudził ją delikatnym potrząsaniem za ramię. Wyruszyli wcześniej, jeszcze przed wschodem słońca, ale mimo tak małej ilości snu Dewi nigdy nie czuła się bardziej rozbudzona. Wierciła się niespokojnie w ciągniętym przez woły powozie, śledząc wzrokiem rozedrgane wzory pozostawiane przez podskakującą i rozkołysaną lampę na jarzmie. Przycisnęła dłonie do policzków. Jeszcze tylko kilka godzin. Zerknęła na Thimmaję, który spał pomimo bujania, i pochyliła się do przodu, gdzie siedział Tukra, powożący z dziarskimi okrzykami „Hara, Har-ra!”

86

- Hej, Tukra - szepnęła. - Nie mógłbyś bardziej popędzić tych swoich słabowitych byków? Przysięgam, że nawet taj i zdołałaby je prześcignąć.

- Ech, Dewi akka - zachichotał Tukra. - Zawsze stroisz sobie ze mnie

żarty. Woły idą bardzo szybko i doskonale o tym wiesz.

Dewi oparła się o ścianę powozu i westchnęła.

W końcu zatrzymali się u podnóża góry, na wielkiej polanie sąsiadującej z terenami świątyni. Stało już na niej mnóstwo powozów zaprzęgniętych w woły, więc ze wszystkich stron mrugały do nich latarnie. Thimmaja zgramolił się z powozu i wyciągnął rękę do Dewy.

- Chodź, kunji - powiedział. - Rzeka.

Dewi wiedziała, że jego pewnie tam nie ma. Maću i reszta rodziny Kambejmadów przybyli do świątyni znacznie wcześniej, żeby wstawić drzwi. Mimo to niespokojnie się rozejrzała, przyglądając włosy i próbując rozpoznać w mroku znajomą twarz.

Thimmaja zostawił Dewy nad brzegiem, razem z innymi kobietami, i poszedł w górę rzeki, gdzie mężczyźni brodzili przy świetle pozostawionych nad wodą latarni.

- Kaweri amma - szepnęła Dewy.

Zebrała włosy w luźny kok i zakasując sari nad kolana, weszła do wody, nadal zabarwionej na czarno przez noc. Woda była tak lodowata, że Dewy wydała zduszony okrzyk. Górską wodą. Świętą wodą, poprawiła się. Spływ rzeki Kaweri i jej dwóch mniej czczonych sióstr: wartkiej, spienionej Kanniki oraz powściągliwej Sudźothi, która wołała nieśmiało płynąć pod ziemią. Zanim pielgrzym mógł ruszyć dalej pod górę, musiał wejść do wody i oddać cześć trzem siostrom.

Ostrożnie weszła dalej z rękami wyciągniętymi przed siebie, szukając palcami stóp pewnego oparcia. Mgła wisiała nad rzeką, tworząc ogromne, zaokrąglone zwały i kołysząc się lekko z boku na bok pod naporem porannej bryzy. Dewy weszła głębiej. Jej oddech nadal był chrapliwy i płytki z powodu zimna. Mgła owijała się wokół niej, muskając jej policzki i ramiona mokrymi, miłymi palcami i zamykając ją w zwiewnym kokonie. Dewy, przyzwyczajając się do zimna, brnęła jeszcze dalej. Powoli zaczął w niej wzbierać spokój, który rozprzestrzenił się delikatnie na odrętwiałe kończyny. Jak we śnie odwróciła się, by spojrzeć na brzeg, ale brzeg wraz z innymi kobietami zniknął - ukryła go wirująca mgła. Dewy została sama w cichym, magicznym świecie. Tkwiła w wodzie między przeszłością i przyszłością, balansując delikatnie na granicy tego, co było, i tego, co się jeszcze stanie. Wyciągnęła rękę i z zachwytem patrzyła, jak dłoń znika pośród szarości.

87

Gdzieś w oddali zapiał kogut.

Jak na komendę ciemność zaczęła ustępować. Noc powoli odpływała, niebo oblało się szkarłatem, a we mgle zarysowały się kształty: pnie drzew, rozłożyste krzewy dzikich róż, skała pośrodku strumienia przypominająca zniekształcony garb czarownicy. Dewy wzięła głęboki oddech, a potem, zatkawszy nos, zanurzyła się w wodzie. Jeden. Czerwone słońce zaczęło się przeciskać nad horyzontem. Wynurzyła się, by zaczerpnąć tchu i na chwilę otworzyć oczy, a potem znowu zanurkowała. Dwa. Mgła zaczęła się przeredzać, niebo tętniło już kolorem. Dewy znowu się wynurzyła, żeby złapać powietrze, i po raz ostatni zniknęła w wodzie. Trzy. Wstała i zastygła urzeczona. Cała rzeka połyskiwała. Woda marszczyła się, odbijając rozpuszczone na niebie chmury. Dewy stała skąpana w ognistej płynnej rudzie. Mgła poddana zbyt silnej alchemii, powleczone tym nowym słońcem, mieniła się i połyskiwała

wokół niej. Dziewczyna stała spokojnie, oszołomiona tym pięknem. Z poświaty zaczęły się wyłaniać zarysy gałęzi, liści i rozkwitającej powoli szkarłatnej róży, a na garbatej skale ukazała się para czapli. Spoglądały prosto na nią. Ślad słońca na ich piersiach i skrzydłach przypominał misterny złoty filigran. Zanim zdążyła mrugnąć, wzbiły się w powietrze i zniknęły w poświacie.

Chwila minęła równie szybko, jak się zaczęła. Światło przygasło, gdy słońce wycofało się w przytłumione migotanie daleko za chmurami. Znowu napłynęła mgła, ołowiana i szara.

Rozpryskując wodę, Dewi pospieszyła na brzeg, czując na sobie gęsią skórę. Dzisiaj go zobaczy. Gdy owijała się sari, drżały jej ręce i materiał wymykał jej się z palców.

- Przestań - zganiła się. - Taka chcesz mu się pokazać? Jak pozbawiona wdzięku małpa?

Zerwała dwie róże i wplotła je w warkocz. Popatrzyła na swoje odbicie w emaliowanym lusterku, które Thimmaja przywiózł jej aż z targów bydła w Majsurze. Spojrzały na nią ciemne oczy obrysowane czarną kreską.

- W tym roku bogini przyoblekła się w tajemnicę - cierpko skomentował Thimmaja. Świątynię Bhagamandala spowijała mgła i tylko iglica na jej dwupoziomym dachu mężnie górowała nad szarością. Pokręcił głową i spojrzał na tłum. - Pewnie próbuje uniknąć tych wszystkich ludzi.

88

Mimo wczesnej pory dziedziniec przed świątynią był zatłoczony. Ludzie potracali Dewi i Thimmaję wchodzących do dusznego sanktuarium, napierali na siebie jak liczne warstwy wilgotnego ciasta, zupełnie zasłaniając miedziane drzwi. W drodze powrotnej Dewi zrobiło się słabo.

Tłum wiernych zalewał schody świątyni, ludzie popychali się, sięgając ku mosiężnym dzwonkom zwisającym z okapu i rozpychali się łokciami, idąc do sklepu po dary dla bogini („moje są większe, świeższe, dłuższe niż twoje”): orzechy kokosa wysmarowane kurkumą i cynobrem, grudy skarmelizowanego cukru oraz girlandy z liści mango i nagietków. Słoń ze świątyni został przykuty do drzewa na krańcu dziedzińca, obwieszony kwiatami i przyozdobiony czaprakiem z żółto-czerwonego jedwabiu.

Przed nim także roilo się od wiernych.

- Ganeśa! O, Ganapati swami!

Z bananami w dłoniach padano na kolana przed rzekomym wcieleniem Boga Słonia, podczas gdy zwierzę beztrosko żuło belę siana i machało trąbą nad głowami swoich czcicieli. Kapłan krzyczał, żeby nie podchodzić do bóstwa zbyt blisko. Mimo chłodu z ogolonej głowy próbującego zapanować nad tłumem mężczyzny spływały krople potu.

Dewi położyła dłoń na ramieniu Thimmai.

- Appaija! - krzyknęła, próbując zagłuszyć rejwach. - Gdzieś tu powinien być Dewanna. Poszukajmy go.

Thimmaja pokiwał głową, ale napotkany właśnie przyjaciel odwrócił jego uwagę. Mężczyzna podszedł do niego i serdecznie się przywitali, poklepując po plecach.

- Aa, Thimmaja - ucieszył się przyjaciel - znowu przyszedłeś prosić boginię o odpuszczenie grzechów?

Thimmaja się roześmiał.

- Pozostawiam to tobie - powiedział. - Ja przybyłem tylko po błogo-



sławieństwo dla córki.

Mężczyzna z uznaniem spojrział na Dewi, która pochyliła się, by dotknąć jego stóp.

- Zdaje się, że to dziecko już zostało pobłogosławione... Widziałeś drzwi? - zapytał Thimmaję. - Cudowne. Wiesz, że są z czystej miedzi? Musiały kosztować fortunę.

- Widziałeś ich, anna... to znaczy, czy widziałeś rodzinę? - zapytała Dewi.

- Kogo? Kambejmaków? Nie, kunji, jeszcze nie, ale chyba powinni już być nad stawem. Drzwi wstawiono kilka godzin temu.

89

Wzrok Dewi mimowolnie podążył w kierunku drogi prowadzącej na szczyt góry. Serce zaczęło jej gwałtownie bić. Tam, zaledwie kilka godzin od niej, nad stawem w świątyni, gdzie miała się ukazać Kaweri, czekał na nią Maću.

Czuła dziwne zawroty głowy, kiedy wdrapywali się na górę. Drogę spowijała gęsta mgła, skręcając kosmyki włosów Dewi w miękkie loki okalające twarz. Oderwane od ciał głosy niosły się we mgle, wzywając boginię:

„Kaweri amma, Kaweri amma” albo nawołując towarzyszy podróży: „nie oddalaj się, trzymaj się blisko mnie”. Sprzedawcy handlujący idli, dosą i „bambusowym ciastem” z dzakfruta duszonym w liściach bananowca ustawili się w strategicznych miejscach na trasie, a ludzie ciągnęli jak ćmy do ciepła ich ognisk.

Thimmaja przystanął przy straganie, wokół którego panował wyjątkowo duży tłok.

- Zjedźmy tu coś, kunji - powiedział. - Od tych wszystkich zapachów burczy mi w brzuchu.

Dewi uśmiechnęła się, choć na myśl o jedzeniu ścisnęło ją w żołądku. Thimmaja skinął na sprzedawcę, który wylał porcję rzadkiego ciasta na skwiercząca blachę. Dosa była koronkowa i chrupiąca, lecz drapała w gardło jak piasek.

Grupa młodych mężczyzn o nagich torsach wbiegała na górę z trójzębami w dłoniach. „Kaweri amma, kapadl” - zagrzmieni, a porwani ich młodością i entuzjazmem pielgrzymi podchwycili melodię. „Witaj, Kaweri amma” - zawołali w odpowiedzi. Ich głos odbił się echem od wzgórz. „Kaweri amma, nasza Matka!”

Jakaś żebraczka zbliżyła się do Dewi i wyciągnęła kościstą dłoń.

- Amma...

Dewi nawet nie zauważyła, kiedy sprzedawca dosy odpędził kobietę serią przekleństw. „Kaweri amma, Kaweri amma”. Dewi czuła, jak ten śpiew wibruje jej we krwi. Zamknęła oczy.

- Kaweri amma, daj nam swoje błogosławieństwo - modliła się. - Pozwól nam się spotkać.

Wchodzili coraz wyżej, mijając ojców niosących zaspane dzieci wtulone w ich ramiona, wyprzedzając wilgotne od mgły sari i białe, mokre mundu przylepione do brzuchów i pośladków. Pewien mężczyzna

90

pokonywał drogę na czworakach, a dwaj inni fikołkami, nie zważając na kamienie, które raniły im twarze, skupieni wyłącznie na zadowoleniu bogini. Dewi zastanawiała się, czego tu szukają, lecz szybko o nich

zapomniała i zaczęła go wypatrywać we mgle.

Nagle poraziła ją pewna myśl. A jeśli w ogóle go nie rozpozna? Od tygrysiwego wesela upłynęło osiem lat. „Nie - próbowała uspokoić samą siebie - co za bzdura”. Oczywiście, że od razu go sobie przypomni. Za każdym razem, gdy słyszała za sobą jakiś męski głos, jej serce zaczynało bić szybciej. „Nie wygłupiaj się - powtarzała sobie. - Przecież on nie będzie sam, przybył tu z całą rodziną, ze wszystkimi mężczyznami rodu Kambejmadów”.

Mimo to zaczynała szybciej oddychać, gdy tylko rozlegały się czyjeś kroki, gdy z mgły wyłaniały się czyjeś szerokie ramiona.

Wspinali się coraz wyżej, pokonali zakręt i ich oczom ukazał się staw, w którym miała się objawić Kaweri. Było tam jeszcze tłoczniej niż w świątyni. Gęsta mgła ludzkich ciał zasłaniała schody prowadzące nad staw.

Dewi poczuła, jak łomocze jej serce. Maćaija.

- Appaija, którędy... - zaczęła, ale nagle umilkła. Gdzie się podział jej ojciec? Przygryzła usta. Gdzieś po drodze nad staw odłączyła się od Thimmai.

Ktoś z tyłu popchnął ją i Dewi pospiesznie odsunęła się na bok. Spojrzała na tłumy ludzi ciągnące nad staw. Kobieta raczej nie powinna była przebywać w takiej cizbie sama. Naprawdę lepiej poczekać, aż Thimmaja ją znajdzie. Ponownie spojrzała na staw. Maću tam był, czuła to. Znowu się rozejrzała w poszukiwaniu Thimmai. Śpiew stawał się coraz głośniejszy, za chwilę miała się objawić Kaweri. Dewi zerknęła na staw i podjąwszy decyzję, dołączyła do tłumy. „Kaweri amma - grzmieli pielgrzymi, wpatrując się w pusty staw i czekając na jej przybycie - Kaweri amma!”. Musiała się przedostać do pierwszych rzędów. To właśnie tam stali Kambejmadowie, w najlepszym punkcie widokowym. Wzięła głęboki oddech, a potem ruszyła w dół śliskich kamiennych schodów. Róże wysunęły się jej z warkocza i zostały rozdeptane na miazgę. Ludzie napierali na nią od tyłu, wgniatając jej biodra i piersi prosto w plecy mężczyzny z przodu. Mężczyzna obejrzał się i posłał jej przepaszające spojrzenie, ale Dewi nawet tego nie zauważyła. Błądziła wzrokiem po pierwszych rzędach tłumy, wyciągając szyję jak mogła najwyżej. „Gdzie jesteś?” Kapłani unieśli dłonie i tłum zamilkł. „Maću, gdzie jesteś? Proszę, Kaweri amma...” Nastąpiła szczęśliwa godzina. I nagle... rozległo się cichutkie

91

bulgotanie wody. Kaweri wytrysnęła z ziemi, wzbierając i pieniać się w stawie. Tłum oszalał. Ludzie napierali jeszcze silniej, chcąc podejść jak najbliżej i ujrzeć cud.

- KAWERI AMMA...

Poziom wody gwałtownie się podniósł. Kapłani wlewali do stawu dzbany mleka, wrzucając gałązki jaśminu i wielkie grudy cynobru, aż woda spłynęła czerwienią. Tłum ruszył naprzód i świat wokół Dewy zawirował. Zamknęła oczy. „Nie mogę oddychać”. Jej stopy stały się tak lekkie, jakby oderwały się od ziemi - a może pielgrzymi z tyłu dosłownie ją unieśli? „Nie mogę oddychać”. Twarze wokół niej zdawały się pochylać i wpadać na siebie. Spojrzała na wodę, żeby odzyskać równowagę, lecz woda też zmieniła się w wir, który obracał się coraz szybciej. Tłum za jej plecami parł do przodu. Mężczyzna stojący przed Dewy poślizgnął się, potknął, a ona niebezpiecznie zakołysała się nad krawędzią. „Kaweri

amma, kapad". Zamknęła oczy i poczuła, że przechyla się ku wodzie tak czerwonej, czerwonej niczym krew. Zemdląca.

Gdy upadała, para rąk pochwyciła ją w pasie, podtrzymała i wyniosła z tłumu.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła po otwarciu oczu, był Dewanna. Na jego bladej twarzy malował się niepokój. Dewi jak przez mgłę dostrzegła meszek zapowiadający wasy. Przypatrywało jej się tyle twarzy... a pośród nich wyraźnie dostrzegła jedną. Parę oczu koloru bursztynu. Delikatne zmarszczki rozchodzące się promieniście w kącikach. Wcześniej ich nie zauważyła, ale przecież od wielu lat nie przyglądała mu się z tak bliska. Galla misa, znak rozpoznawczy pogromcy tygrysa, okalały mu usta. Leżała wyprostowana, podtrzymywana jego ręką, z głową opartą na jego ramieniu. Jak mogła kiedykolwiek wątpić, że go rozpozna? Jej usta rozchyliły się w powolnym, uroczym uśmiechu. Maću.

- Dewi, Dewi! - Dlaczego Dewanna szarpał ją za ramię? - Dewi, wszystko w porządku?

Dewi usiadła zacerwieniona i wyswobodziła się z ramion Maću. -

Co... jak... Nic mi nie jest - powiedziała. - To przez ten tłum. Chyba...

chyba zakreśliło mi się w głowie. - Zakłopotana zerknęła na Maću. - Naprawdę - powtórzyła - nic mi nie jest.

- Czujesz się na siłach, żeby wstać? - zapytał Maću, a ona pokiwała 92

głową, przygryzając usta. Maću zwinnie podniósł się z ziemi.

- Dobrze, dziękujemy wszystkim za zainteresowanie, sytuacja została opanowana. Proszę się rozejść - mówił Maću do gapiów. - Nie ma tu już nic do oglądania, nikomu nic się nie stało.

Tłum niechętnie się rozszedł z niewyraźnym poczuciem, że został oszukany.

- Nic się nie stało - mówili rozczarowani ludzie - po prostu zemdląca jakaś dziewczyna. Pewnie od rana nic nie jadła...

Zaniepokojona Dewi rozejrzała się wokół.

- Appaija. Widziałeś mojego ojca, Dewanna?

Dewanna pokręcił głową.

- Porządnie nas wystraszyłaś. Znajdziemy Thimmaję annę, nie martw się. - Wyciągnął rękę, jakby chciał ją pogłodzić po głowie, ale Dewi się odsunęła i dłoń Dewanny szybko opadła. - Jesteś naprawdę niemądra -

powiedział łamiącym się głosem. - Co robiłaś sama nad stawem? Nie widziałeś, jak tam tłoczno? Gdyby Maću anna nie stał akurat za tobą...

- Sam jesteś niemądry - odparowała z oburzeniem. - Zabrakło mi tchu, wielkie rzeczy. Po co to całe zamieszanie? Staw nie jest przecież aż tak głęboki.

Maću się roześmiał. Ten swobodny dźwięk poszybował nad jej skórą niczym ogrzane słońcem szkło.

- No cóż, mnie też miło cię poznać - powiedział. - A teraz, skoro już wiemy, że nic ci się nie stało, może uda nam się znaleźć twojego ojca. Oczywiście pod warunkiem, że będziecie łaskawi przestać się kłócić jak para zadziornych kurczaków.

Dewi się zarumieniła.

- Nie chciałam być niegrzeczna - powiedziała, podźwigając się na nogi. - Ja... jestem oczywiście bardzo wdzięczna, dziękuję. Gdyby nie

twoja przytomność umysłu...

- Pluskałabyś się teraz w wodzie głębokości metra - dokończył. -

Chodźmy stąd - powiedział, oddalając się. - Za dużo tu ludzi. Najprawdopodobniej znajdziemy twojego ojca przy wylocie drogi.

Ruszyli za nim. Dewi pospiesznie wtykała pasma włosów z powrotem w warkocz i przyglądała sari, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Zaczekaj - zawołała do Maću, przypomniawszy sobie o czymś. -

Nektar. Nie zaczerpnęłam jeszcze nektaru. - Wyjęła bambusową buteleczkę, którą powierzyła jej taji. Zgodnie ze zwyczajem każdy pielgrzym przynosił ze świętego stawu odrobinę wody Kaweri, którą skrapiało się

93

świątynię przodków, pola ryżowe, oborę, kurnik i chlew. Kropelki świętej wody miały trafić do wyczekujących ust wszystkich domowników i Polejów, aby oni również skorzystali z błogosławieństw bogini. Resztkę przechowywano obok innych bóstw w kąci modlitwy i używano jej w ciągu roku z okazji festiwalów, narodzin, śmierci i ślubów, aż do następnej wizyty bogini w Kodagu.

Maću pokręcił głową i nawet się nie zatrzymał.

- Nie teraz - powiedział. - Najpierw poszukamy twojego ojca.

Dlaczego czuła się przy nim jak krnąbrne dziecko? Uparcie przystąpiła i położyła dłoń na ramieniu Dewanny.

- Proszę, Dewanna - jęknęła. - Pójdiesz po nią? Taj i byłaby taka zawiedziona...

- W porządku - powiedział zrezygnowany Dewanna, biorąc od niej bambusową buteleczkę. Jego głos znowu śmiesznie zaskrzeczał. - Ale proszę, tym razem po prostu tu zaczekaj. Maću anna, nie pozwól jej znowu zniknąć. Za chwilę będę z powrotem. - Po tych słowach wmieszał się w tłum.

- Zawsze stawiasz na swoim? - zainteresował się Maću.

- A ty? - odparowała.

Stali w milczeniu, mijani przez ludzi sunących w obu kierunkach.

Trybiki w głowie Dewi obracały się z wściekłością. Nie tak to miało wyglądać. Miał zareagować na jej widok jak inni, poczuć, że uginają się pod nim nogi i opada mu szczęka. Zamiast tego stał beztrząsco obok niej, z niemal znudzoną miną. Wezbrała w niej nieodparta chęć, żeby wyciągnąć rękę i uderzyć go w twarz. Ta chęć natychmiast ustąpiła jednak miejsca irracjonalnemu strachowi. „Maću znowu zniknie i już nigdy go nie zobaczę”. Jej serce zaczęło łomotać. Musiała spędzić z pogromcą tygrysa trochę więcej czasu. Nie miał okazji dobrze jej się przyjrzeć. „Myśl, Dewi, myśl”.

Spojrzała na stopnie prowadzące na szczyt. Odważy się?

Odważyła się.

Nie patrząc za siebie, ruszyła w stronę schodów.

- Hej, ty. Dziewczyno. Dewi! - zawołał za nią zdumiony Maću. - Dokąd to?

Dewi posłała mu olśniewający uśmiech.

- Podobno widok ze szczytu jest fantastyczny.

- Chyba żartujesz. A jeśli w międzyczasie zjawi się twój ojciec?

Dewi westchnęła.

94

- No cóż - powiedziała powoli, jakby miała do czynienia z kompletnym głupcem. - Zastanówmy się: appaija nie wyjedzie beze mnie. Poza tym sam widziałeś, ilu ludzi jest wokół stawu. Wrócę szybciej niż Dewanna. Nie martw się - dodała wesoło. - Nie musisz iść ze mną. Aha, miło było cię poznać.

Maću z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Naprawdę, niezłe z ciebie ziółko. Jakim ryżem karmi cię matka, że jesteś taka nieposłuszna?

Dewi odrzuciła warkocz na plecy i ruszyła po schodach.

- Dobrze - powiedział. - Skoro tego chcesz.

Czyżby naprawdę zamierzał ją puścić samą? Dewi odwróciła się zaniepokojona, ale on już wbiegał za nią po schodach.

- Skoro chcesz tam wejść, to chyba i ja będę musiał. - Wielką dłońią złapał ją za ramię. - Ale - zapowiedział ponuro - to będzie najszybszy kurs tam i z powrotem, jaki ta góra kiedykolwiek widziała.

Biegł w morderczym tempie. Ledwie zdążyła dotknąć stopnia palcami, a już musiała wskakiwać na następny. Wkrótce zaczęła dyszeć, a mięśnie łydek rozrywał jej ból, lecz zacisnęła zęby i nie pisnęła ani słowa. Wypuścił ją dopiero kiedy wbiegli na szczyt. Odwróciła się do niego z wściekłością.

- Ty, ty... - dyszała, próbując złapać oddech. - Zrobiłeś to specjalnie... - sapała rozjuszona, pocierając ramię. Spojrzał na jej czerwoną, rozżłoszczoną twarz i jego usta zaczęły lekko drgać. Na jednym policzku pojawił się dołeczek, a po chwili Maću wybuchnął śmiechem.

- I z czego tu się śmiać? - wyrzuciła z siebie Dewi. - Ty, ty... -I nagle ona też parsknęła śmiechem.

Thimmaja odwrócił się, żeby spojrzeć na śpiącą córkę. Rano napędziła mu porządnego stracha. Powinien był wiedzieć, że nic złego jej się nie stanie, w końcu nie była już dzieckiem. Zachodzące słońce przenikało przez bambusową plecionkę powozu, ozłacając wysoką kość policzkową Dewi i połyskując w jej ciemnych włosach, które opadły na ramiona. Westchnął. Kiedy zleciały te wszystkie lata? Miał wrażenie, że zaledwie wczoraj po raz pierwszy trzymał ją w ramionach. Była taką kruszynką, lekką jak piórko.

95

Wiedział, że cała wieś plotkuje za jego plecami. Ludzie mówili, że za bardzo kocha córkę, że tak bardzo ją uwielbia, iż nie może ścierpieć myśli o jej wyprowadzce do domu męża. Czyżby nie widzieli, jak bardzo pragnie szczęśliwie wydać córkę za męża, zanim sam podąży śladem Muthawwy? Chciał jej znaleźć kogoś naprawdę wartościowego, istnego księcia. Czyja córka była bardziej urocza, oddana i wykształcona niż jego cudowne dziecko? Mógł do niej pasować jedynie najsilniejszy, najodważniejszy mężczyzna w całym Kodagu. Z rodziny solidnej jak drzewo w dżungli, zakorzenionej od pokoleń w historii tej ziemi.

Dewi poruszyła się we śnie.

- Jedź trochę ostrożniej, Tukra - zganił sługę Thimmaja. - Czy musisz wpadać w każdą dziurę po drodze? - Dokładniej opatulił córkę kocem, a potem, wracając do bieżących spraw, zagadnął Dewannę, który postanowił zabrać się z nimi do wioski Palladów.

- Posłuchaj, monae - zaczął cicho, żeby nie obudzić Dewi - ten twój

kuzyn Maćajja sprawia wrażenie porządnego człowieka. Powiedział mi, że nie ma rodziców. Wiesz może, czy posiada jakąś ziemię?

Wypytywał Dewannę, póki nie uzyskał zadowolających informacji na temat przodków Maću, a potem oparł się o ścianę powozu.

- Dobrze z ciebie dziecko, monae - powiedział czule, klepiąc Dewannę po ramieniu. - Naprawdę, jesteś dla mnie jak syn. Jak drugi syn.

Ziewnął i wyrzwał na zewnątrz. Maćajja Kambejmada. „Spodobałby ci się, Muthawwo - pomyślał, uśmiechając się pod nosem. - Pogromca tygrysa dla naszego dziecka. On chyba też jest zainteresowany, bo jakżeby inaczej? Powiedział, że niebawem nas odwiedzi”.

Thimmaja jeszcze raz ziewnął i zamknął oczy.

Gasło słońce i pojawiały się pierwsze gwiazdy. W powozie panowała cisza, przerywana jedynie uderzaniem drewnianych dzwonek o szyje wołów i cichym „Harr-ra... Harr-ra...” powożącemu lukry.

Dewanna markotnie wpatrywał się w zapadający mrok. Thimmaja anna nazwał go swoim synem. Swoim drugim synem. I cały czas wypytywał go o Maću annę. Czy Dewanna sądzi, że Maću to dobra partia dla Dewi? Czy jego kuzyn byłby dobrym mężem?

Dewanna był tak zdumiony, że mógł jedynie potakiwać. Chciał zaprotestować i powiedzieć, że to on poślubi Dewi, on i nikt inny. Przecież

96

już wówczas, gdy byli mali, cała wieś powtarzała, że są nierozłączni. Jak skórka pomarańczy i jej miąższ, mawiano, tak byli z sobą zżyci - jak ziarenko ryżu i jego łuska. Dlaczego teraz, kiedy już dorośli, miałyby się to zmienić?

Oczywiście nie rozmawiał o tym z Dewi... O niektórych sprawach nie trzeba było głośno mówić. Przynajmniej tak uważał Dewanna. Kiedy taji żaliła mu się, że Dewi odrzuciła kolejnego adoratora („Przemów jej do rozumu, Dewanna”), w głębi serca się cieszył. Dewi bywała swarliwa - a do tego bezmyślna i nieodpowiedzialna, przyznał, marszcząc lekko brwi na wspomnienie popisu, jaki dała nad świętym stawem - ale wiedział, że na niego czeka.

„Dobrze przynajmniej, że związek z Maću anną nie ma szans”, pomyślał, nadal jeszcze zmartwiony. Przecież widział na własne oczy, jak krnąbrnie postąpiła z jego nieszczęsnym kuzynem na górze świątyni. Tak samo jak wiele lat temu na tygrysim weselu. Nie wiedzieć czemu, była wtedy okropnie niegrzeczna, a dzisiaj znowu... Maću anna i Dewi? Nie ma szans. Jej język potrafił ciąć naprawdę głęboko.

Potrzebował jedynie trochę czasu. Skończy studia i będzie mógł stanąć na własnych nogach. „Harr-ra... Harr-ra...” - mruknął Tukra, popędzając woły, a drewniane dzwonki na ich szyjach postukiwały w zmięczeniu. Dewanna powoli się uspokajała. Trochę czasu, potrzebował jedynie trochę czasu... Rozmarzył się i w rytmie wybijanym przez postukiwanie dzwonek, zaczął recytować w myślach tytuły ukochanych książek. „Flo-ra Syhatica. Flo-ra Indica. Spi-cile-gium Neilgherrense. Leo-nes Plantarum. Hor-tus Bengalensis. Hortus Calcut-tensis. Pro-dro-mus Flo-rae Pe-nin-sulae Indiae”.

Nagle jego zadumę przerwały słowa Thimmai. „Naprawdę jesteś dla mnie jak syn, monae - powiedział. - Jak syn”.

Racjonalne myślenie i wszelkie argumenty zostały gwałtownie wy-

pchnięte z umysłu Dewanny, a dziwne złe przeczucie sprawiło, że włoski na jego rękach stanęły dęba. Odwrócił się w stronę śpiącej Dewi.

- Jesteś moja - powiedział bezgłośnie, podkreślając każde słowo. - Moja. Nie będę twoim bratem.

Pańska lemoniada, sir - cierpliwie powtórzył służący, wyrywając Gunderta z zamyślenia.

- A tak, dziękuję, Ćimma - odpowiedział wielebny, zdejmując szklankę z tacy. Służący uśmiechnął się, odsłaniając rząd zdumiewająco białych zębów, a następnie z powrotem wtopił się w przyciemnione wnętrza klubu. Gundert przyłożył chłodne szkło do czoła i westchnąwszy w duchu, po raz kolejny się rozejrzał.

Dzień przebiegł inaczej, niż się spodziewał. Odpowiedź na jego list przyszła po południu, razem z codzienną stertą misyjnej korespondencji i najnowszym numerem „Deutsche Morgenlandische Gesellschaft”. Gundert od razu zauważył herb college'u na kopercie: Iwa stojącego na tylnych łapach i trzymającego berło wiedzy. I napis: „Lucet et Ardet”. Świeci i płonie. Zważył list w dłoni, oceniając jego ciężar i próbując oszacować na podstawie wagi naturę zawartych w nim słów. Po chwili, mimo ciekawości, odłożył go na bok. Przebrnął przez resztę korespondencji i dopiero gdy każda przesyłka została otwarta i przeczytana, a każda starannie rozważona odpowiedź napisana, wrócił do pierwszego listu. Rozciął kopertę i wygładził kartki na kolanie. „Całe dwie strony papieru kancelaryjnego - zauważył. - To z pewnością dobry znak”.

Miesiąc wcześniej Gundert napisał do dziekana college u medycznego w Bangalurze. Przedstawił się, powołując na wspólnych znajomych w Kościele. Nadmienił, że ich drogi wielokrotnie się krzyżowały, lecz nigdy nie miał przyjemności poznać ojca Dunleavyego. Wyraził nadzieję,

98  
że ojciec nie ma mu za złe tej śmiałości, lecz ufał, iż po przeczytaniu listu uzna zasadność celu przyświecającego jego nadawcy.

Gundert wyjaśnił, że pisze w imieniu swojego ucznia, Kambejmady Dewanny. Chłopiec został obdarzony nieprzeciętną inteligencją i pracowitością, które zazwyczaj okazują się nieosiągalne nawet dla mężczyzn dwukrotnie od niego starszych. Wywodził się ze znakomitego rodu posiadaczy ziemskich od wielu znamienitych pokoleń i choć nie urodził się chrześcijaninem i nie został jeszcze ochrzczony, Gundert osobiście ręczy za jego charakter i kręgosłup moralny. Chłopiec doskonale radził sobie w szkole misyjnej, uzyskując najwyższe wyniki w nauce. To oczywiste, że został stworzony do czegoś więcej niż jedynie praktyka w lokalnym rządzie.

„Dewanna doskonale poradziłby sobie w zawodzie lekarza - napisał Gundert. - Przez te wszystkie lata, które spędziłem w tym kraju, nigdy nie spotkałem nikogo, kto bardziej niż on zasługiwałby na wkroczenie w podwoje prowadzonej przez Ojca szacownej instytucji”. Zakończył list skromnym postscriptum. Napisał, że załącza swój artykuł na temat podobieństw sanskrytu do łaciny. Słyszał, że Ojciec jest zapalonym poliglota, więc miał nadzieję, że załączony artykuł wzbudzi jego zainteresowanie.

Przed wysłaniem listu Gundert zabrał go ze sobą do kaplicy na poranną mszę i dziesiątki razy analizował starannie ułożone zdania,

nawet już po nadaniu przesyłki. List miał doskonały ton. Wielebny wiedział, że przedstawił w nim silne argumenty. Teraz pozostało mu jedynie czekać.

Wyglądziwszy na kolanie długo wyczekiwana odpowiedź ojca Dunleavy'ego, Gundert zaczął czytać. Dunleavy pisał, że oczywiście słyszał o wielebnym. Cieszył się, że w końcu mają okazję się poznać, mimo że jedynie korespondencyjnie, i z zainteresowaniem przeczytał artykuł, który Gundert był uprzejmy dołączyć do listu. Rzecz jasna trudno było stwierdzić bez dalszej analizy, czy rzeczywiście istnieją podobieństwa między łaciną i sanskrytem, lecz Gundert bez wątpienia sformułował kilka pouczających uwag. Skoro Dewannę rekomenduje osoba o tak wielkiej erudycji, college medyczny w Bangalurze z przyjemnością przyjmie chłopca w poczet swoich studentów.

Niemniej jednak, ciągnął Dunleavy, istniało jeszcze lepsze rozwiązanie. Uzdolnienia akademickie tego chłopca wydały mu się niezwykle. Czy Gundert brał pod uwagę Anglię? Dlaczego nie Oksford? Dunleavy

99  
był pewien, że odpowiednio przygotowany chłopiec poradzi sobie z egzaminami. Poza tym przyjaźnił się z wicerektorem, do którego z przyjemnością mógłby skierować list polecający.

„Intelekt takiego kalibru to rzecz niezwykle rzadka - napisał - a zarazem światło przewodnie naszych działań podejmowanych w Indiach w imieniu Kościoła. Byłbym zaszczycony, mogąc przyjąć Dewannę do swojego collegeu, lecz uważam, że postąpilibyśmy znacznie właściwiej, posyłając go w uświęcone mury Oksfordu”.

Gundert czytał list z beznamiętnym wyrazem twarzy i tylko mały tik drgał mu na policzku. Przeczytał list jeszcze dwukrotnie, a potem starannie go złożył i wsunął do koperty. Mieszkający w misji kot wskoczył mu na kolana. Pograżony w rozmyślaniach wielebny, odruchowo gładził go po grzbiecie.

Anglia. Nigdy nie brał takiej możliwości pod uwagę. W swoim umyśle już dawno wytyczył dla Dewanny prostą ścieżkę. Po skończeniu szkoły misyjnej z najwyższym wynikiem chłopiec miał rozpocząć studia w najlepszym collegeu medycznym na południu kraju. Po powrocie do misji, już jako lekarz, miał zostać ochrzczony i zamieszkać tutaj, u boku Gunderta, wykorzystując swój zawód i szacunek mieszkańców Kodagu do nawracania ich na chrześcijaństwo.

Wszystko szło dobrze - miał wrażenie, że aż zbyt dobrze. Odpowiedź Dunleavy'ego przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Anglia. Gundert wiedział, jak wspaniała byłaby to szansa. A mimo to cichy głosik w jego głowie pytał: czy to naprawdę konieczne? Po co wysłać Dewannę tak daleko i na tyle lat, skoro może się kształcić w Bangalurze, gdzie dotrze zwykłym powozem? Poza tym, nawet jeśli pojechałby do Anglii, po powrocie nie wyruszyłby do żadnego z wielkich miast: do Madrasu, Bombaju, ani nawet do Kalkuty. Nie, Dewanna wróciłby z powrotem tu, do misji, do maleńkiego Kodagu. Poza tym spójrzmy prawdzie w oczy: na co tu komu aż tak szeroka wiedza medyczna?

„Wiesz, że dla rodziny tego chłopca byłby to zaszczyt wykraczający poza najśmielsze oczekiwania? - zauważył inny głos. - Lekarz, wykształcony w Anglii. To w ich rękach powinieneś pozostawić ostateczną decyzję”.



Ale wysyłać go aż tak daleko? A jeśli spotka go tam coś złego? Zmieni plany, ciężko zachoruje? Co, jeśli los odbierze mu Dewannę? Olaf... „Nie”, pomyślał Gundert, czując, jak z porów sączy mu się głęboko pogrzebany odór szpitala w Madrasie. Nie chciał, nie zdołałby przeżyć tego po raz drugi.

100

Tamtego dnia pracował z typowym dla siebie zacięciem, lecz gdy nastał wieczór, jego skronie ogarnął tępy ból. List ciążył mu w kieszeni, gdy zmierzał do Klubu Plantatorów w Madikeri na organizowany co dwa tygodnie turniej bilardowy.

Nie miał ochoty tam iść, lecz wiedział, ile znaczy poparcie lokalnej społeczności. Jak zdołałby bez niego pozyskać fundusze na gazetę w języku kannada redagowaną przez misję w Majsurze albo zdobyć prawa do ziem na południu Kodagu? Był doskonale świadomy roli, jaką odgrywają kontakty towarzyskie w działalności Kościoła. Zatem wkładał najbielszą ze swoich sutann, włączał swój urok osobisty i uczestniczył w klubowych imprezach, przyjmował zaproszenia na domowe przyjęcia i turnieje tenisa oraz pamiętał, by przynajmniej raz zatańczyć eleganckiego walca z córką ministra rezydenta na dorocznym balu organizowanym w formie w Madikeri.

„Miły facet”, chwalili go między sobą plantatorzy. Może trochę powściągliwy, ale kulturalny, w przeciwieństwie do tego jego prostackiego krajana ze sklepu misyjnego. Poczytywali sobie za obowiązek zapraszać go na domowe przyjęcia, turnieje parćisi albo bilardu w klubie. Tak po prostu wypadało.

Gundert musiał przyznać, że czasami dobrze się bawił. W tych dzikich zakątkach południa można było spotkać nieprzeciętne osobistości - na przykład Johna Gammiego, komisarza policji, albo Marcusa Updikea, plantatora z kilkoma akrami kawy na południe od Madikeri. Był też Charles Anderson, naczelnik wydziału leśnictwa, cichy, przysadzisty mężczyzna o wyjątkowo smukłych palcach, który podobnie jak Gundert interesował się botaniką. Gundert był głęboko wzruszony, gdy rząd udostępnił wydziałowi leśnictwa egzemplarze Bambusów Indii Brytyjskich w preferencyjnej cenie siedmiu rupii, a Anderson, wiedząc o zamiłowaniu Gunderta, postarał się o jeden egzemplarz specjalnie dla niego. Wszyscy trzej byli dziś jednak nieobecni. Na południu Kodagu grasowały słonie, tratując plantacje, więc Anderson pospieszył oszacować zniszczenia. Gammie przebywał akurat w Majsurze i nikt nie był do końca pewien, gdzie podziewa się Updike.

Gundert miał nadzieję, że uda mu się pomówić z Gammiem na osobności o praktykach dla dwóch uczniów. Gammie był jednak w Majsurze,

101

więc wizyta w klubie okazała się stratą czasu. Gundert właśnie wychodził, kiedy pani Hutton, żona jednego z plantatorów, wychyliła się z części dla kobiet.

- Wielebny - zaszcebiotała. - Hop, hop, wielebny! Zapraszamy, proszę z nami na chwilę usiąść i porozmawiać. Gundert nie miał innego wyjścia, jak tylko spełnić jej prośbę. - Tutaj - zarządziła pani Hutton, z fałszywą skromnością poklepując sofę, na której sama siedziała. - Proszę spocząć obok mnie.

Zdawała nużąco szczegółową relację z niedawnej wizyty Huttonów w Bombaju. Gundert ponownie zbliżył szklanę z lemoniadą do skroni i powstrzymał się od westchnienia. Kiedy zaczęła paplać o pokazie kinematografu braci Lumiere, trochę się ożywił. Rzecz jasna, widział reklamy w „The Times”. Kinematograf po raz pierwszy odwiedził wybrzeże Indii. Irytacja Gunderta gwałtownie jednak wzrosła, kiedy stało się oczywiste, że to towarzyska strona wydarzenia, a nie zalety samych filmów tak bardzo urzekły damę.

- Hmm? Tak, pięć filmów - potwierdziła z roztargnieniem, odpowiadając na jego pytanie.

- Sześć, mamó - poprawiła ją chuda jak patyk córka, nieśmiało zerkając w stronę Gunderta. - Przyjazd pociągu, Kąpiel w morzu, Damy, Żołnierze na kółkach... - zamilkła speszona, dostrzegając obojętne spojrzenie Gunderta. Jego niebieskie oczy przeszywały ją jak szpilka przykuwająca motyla do tablicy.

„Doprawdy - pomyślał - cóż za niewiarygodnie nieatrakcyjna kobieta”. Zazwyczaj dokładał starań, by usiąść przy pani Hutton i chwilę z nią porozmawiać, zauważając z pewną satysfakcją rumieniec zalewający jej twarz w obliczu zainteresowania, do którego nie przywykła. Dziś jednak za bardzo bolała go głowa i nie miał ochoty silić się na uprzejmości. Nieświadoma tego pani Hutton paplała w najlepsze.

- Wspaniali ludzie! Szkoda, że wielebny ich nie widział. Creme de la creme socjety. - Wymawiała to z angielska i córka już chciała ją poprawić, lecz zamknęła usta z głośnym kłapnięciem, gdy matka zmroziła ją spojrzeniem. - Wszyscy byli zaintrygowani naszymi losami w tym zakątku kraju - ciągnęła pani Hutton. - Och, na plantacji żyje się zupełnie jak w ojczyźnie, zupełnie jak w Anglii, powiedziałam im... Pomijając pijawki i słonie! Gundert odstawił szklanę i grzecznie się uśmiechnął.

- Zatem była pani na premierze w Watsons, tak? - upewnił się słodkim tonem. - Na tej wyłącznie dla Europejczyków, a nie dla miejscowej hołoty?  
102

- Ja... cóż, nie do końca. Mieliśmy taki zamiar, ale bilety okazały się zbyt trudne do zdobycia. Poszliśmy na jeden z późniejszych pokazów, w Novelty, oczywiście mieliśmy miejsca w łoży... - Dama zamilkła. Gundert skwitował to pomrukiem współczucia, a potem przeprosił i wyszedł.

Wolnym krokiem wracał do misji. Odźwierny pospieszył otworzyć bramę i Gundert skinął mu na powitanie. Światła w internacie były pogaszone, paliło się tylko kilka słabych lamp na korytarzach i w apartamencie Gunderta. Idąc cicho przez pogrążony w mroku budynek, Gundert skierował się do swojego gabinetu. Zatrzasnął za sobą drzwi i zasiadłszy za sekretarą, podkręcił światło lampy. Wyjął list z kieszeni i ponownie zważył go w dłoni. „Dewanna powinien dostać tę szansę, powinien tam pojechać”. Wielebny wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. Co robić? Anglia... Tylko czy chłopiec naprawdę jej potrzebuje? Czy nie byłoby lepiej, gdyby Dew został bliżej domu? Niepokojnie krążył po gabinecie, a potem zdjął klucz zawieszony na szyi i jeszcze raz otworzył szufladę sekretary. Wyjął jedwabne zawiniątko. Po tych wszystkich latach tkanina była bardziej kremowa niż biała. Dostosowując światło lampy, tak by padało na materiał, przyjrzał się jego wysuszonej zawartości. Zachwyliła go czystość formy

i wyrazistość konturu. Pogładził delikatny słupek, przesuwając kciukiem po żłobionej powierzchni płatka. *Bambusea indica* olafsen.

Długo wpatrywał się w kwiat bambusa, czując, jak panika powoli ustępuje. A potem, podjąwszy decyzję, zawinął kwiat z powrotem i ostrożnie odłożył go do szuflady. Sięgnął po kałamarz, wyjął arkusz papieru kancelaryjnego i zaczął pisać.

„Drogi Ojciec Dunleavy. Dziękuję Ojcu za uprzejmą odpowiedź, którą otrzymałem dziś po południu, 9 grudnia 1896 roku. Choć chłopiec pochodzi z bogatej rodziny, niestety jest ona również konserwatywna. Pragnie wspierać edukację Dewanny, lecz pod żadnym pozorem nie zgodziłaby się wysłać go za granicę. W sumie Bangalur wydaje się optymalnym rozwiązaniem. Jeśli Ojciec będzie łaskaw polecić podwładnym, aby wysłali mi odpowiednie formularze do egzaminów wstępnych, dam je Dewannie do wypełnienia”.

Skończył pisać, przeczytał list dwa razy, a gdy w końcu poczuł się całkowicie usatysfakcjonowany - nieświadom mechanizmu, który wprawia w ruch, ani tragicznych konsekwencji swoich działań - zgasił lampę i poszedł spać.

Dewi, gdzie jesteś? Dewi! - krzyczał Dewanna, pędząc ścieżką prowadzącą do domu Naćimandów. Taji wyszła mu na powitanie, wkładając okulary.

- Dewanna? Wszystko w porządku, monae?

Zadyszany Dewanna dotknął jej stóp.

- Tak, taji. - Szeroko się uśmiechnął. - Dewi, gdzie jest Dewi?

- Jest przy oborze, ale zaczekaj, monae, co się stało?

Lecz Dewanny już nie było. Gdaczące z przerażenia kury uciekały mu sprzed stóp, kiedy gnał wokół domu. Dewi klęczała i odwrócona do niego plecami, nawoziła dynie. Uśmiechnął się. Zbliżył się chyłkiem, przechodząc bezszelestnie obok pomidorów i płożących się pędów fasoli. Dziewczyna pracowała dalej, zupełnie nieświadoma jego obecności. Mieszała krowie łajno z popiołem, zanurzając ręce głęboko w ziemię, żeby zasilić ją garściami obornika. Przyczaił się za jej plecami, a po chwili wyskoczył z głośnym okrzykiem.

- Ojej! - zawołała wystraszona Dewi, wypuszczając z dłoni naczynie z popiołem. Z wściekłością spojrzała na Dewannę, który związał się ze śmiechu. - Co ci strzeliło do głowy? Musisz się wygłupiać, jakbyś ciągle miał pięć lat?

- No wiesz, to ty się starzejesz i zawodzi cię słuch...

- Nie mam cierpliwości do twoich wygłupów. Spójrz! - zawołała. -

Wypadł mi cały popiół. Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko cały dzień chodzić do kominka i z powrotem?

104

- De-wi! Ja tylko żartowałem. Nie złość się. Daj - zaproponował - wezmę garnek i przyniosę ci trochę popiołu.

- Nie. Ja... nic się nie stało - mruknęła. - Głuptas... - wpatrywała się posepnie w ziemię.

- Oj, Dewi... - powiedział cicho, kucając obok niej. - Masz dziś taki humor, że prawie widać błyskawice wokół twojej głowy. - Rzuciła mu mordercze spojrzenie, a on udał, że kuli się ze strachu. - O, właśnie strzelił piorun!

Usiłowała zachować powagę, ale wbrew sobie zachichotała.

- O! - zawołał. - Nareszcie promyk słońca!

- Głuptas! - krzyknęła, kręcąc głową. - No więc mów, czemu zaszczy-  
ciłeś nas wizytą w dniu nauki szkolnej?

Wziął głęboki oddech.

- Nie uwierzysz. Zostałem przyjęty do college'n medycznego!

Spojrzała na niego, nie bardzo rozumiejąc.

- Jak to?

- Jak to: „jak to”? Zostanę lekarzem!

- Lekarzem? Jak doktor Jameson?

Dewanna pokiwał głową.

- Tak, tak - potwierdził z uśmiechem. - Dokładnie tak jak doktor

Jameson. Doktor Dewanna Kambejmada.

- Ojej! - pisnęła Dewi, tym razem z zachwytu. - Lekarz! - Klepnęła go  
w ramię. - A czego dokonasz potem? Masz mózg ze złota czy co? Lekarz?!  
Czy taji wie? Chodź - zerwała się na nogi - pobiegniemy wszystkim  
powiedzieć!

Dewanna przekazał im szczegóły, a taji pospieszyła zapalić lampę  
w pokoju modlitwy. Miesiąc wcześniej wielebny skierował chłopca na  
egzamin wstępny. Dewanna nikomu o tym nie mówił, wołał poczekać  
na wyniki, które tego dnia rano wreszcie przyszły. Zerknął na Dewi. Gdy  
tylko się dowiedział, przybiegł prosto do Naćimandów, żeby przekazać  
dobrą wiadomość.

- Monae - przerwał mu zafrasowany Thimmaja - nie byłeś jeszcze  
u najaka Pallady? To on powinien się dowiedzieć jako pierwszy.

- Ja tylko... po prostu chciałem... - Wzrok Dewanny uciekł w stronę  
Dewi. - Właśnie do niego idę - dokończył nieprzekonująco.

- Nauka w college u rozpoczyna się w czerwcu - oznajmił Dewi na  
werandzie, gdzie chwilę później zawiązywał sznurówki butów. - Wyjeż-  
dzam do Bangaluru mniej więcej za miesiąc.

105

- Do Bangaluru? - zapytała zdziwiona. - Nie wiedziałam, że wyjeż-  
dzasz tak daleko, myślałam, że będziesz bliżej, na przykład w Majsurze.  
Nie ma tu szkół medycznych?

Dewanna wyszczerzył się w uśmiechu.

- College ów medycznych - poprawił ją. - College medyczny w Ban-  
galurze to najlepsza uczelnia medyczna w okolicy. A co? - zapytał. - Bę-  
dziesz za mną tęskniła?

Dewi uderzyła się w czoło.

- Co za chłopaczysko! - powiedziała figlarnie. - Niedługo zostanie  
lekarzem, a nadal gada głupoty. Oczywiście, że będę za tobą tęskniła,  
przecież jesteś jednym z moich najbliższych przyjaciół, prawda?

Po twarzy Dewanny przemknął cień.

- Tak. Jestem jednym z twoich przyjaciół. - Zawahał się chwilę. - Po-  
słuchaj, zamierzałem ci o czymś...

- Spójrz! - zawołała Dewi. - Ale mamy szczęście! To ptak ćembuka!

Tam, przy krzaku jaśminu, nie widzisz jego rdzawych skrzydeł? Szybko,  
pomyśl życzenie, zanim odfrunie. - Podeksytowana wychyliła się za  
barierkę werandy, a gdy wyciągnęła palec, zakołysał się jej warkocz. Wpa-  
trywała się w ptaka, bezgłośnie poruszając ustami. Potem odwróciła się

do Dewanny z błyskiem w oku.

- Wypowiedziałam dla ciebie życzenie - oznajmiła z prostotą. - Żebyś został najlepszym, najwspanialszym lekarzem w całym Kodagu. Tamtego wieczoru w kuchni Naćimandów nadal rozmawiano o wieści przekazanej przez Dewannę.

- Jego matka byłaby taka dumna - smutno podsumowała taji. - Nie-mądra dziewczyna. Że też musiała zostawić męża i zrujnować sobie życie.

- Daj spokój, awwaija - powiedział Thimmaja - po co przywoływać nieprzyjemne wspomnienia? Nastął radosny dzień dla naszego Dewanny. - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Taki cichy chłopiec. Kto by pomyślał? Zostanie lekarzem!

Brat Dewi, Cengappa, na chwilę oderwał wzrok od talerza.

- Tak, a teraz zobaczycie, jak szybko jego ojciec przypomni sobie o synu.

Thimmaja wybuchnął śmiechem.

106

- Tylko ojciec? Dziadek, kuzyni i cały klan Kambejmadów! Zobaczycie, jak przytulą Dewannę do piersi, kiedy usłyszą najnowsze wieści... Wystarczy, awwaija, wystarczy - zaprotestował, kiedy taji nakładała mu na talerz następną porcję ryżu. - Ta rodzina - ciągnął, sięgając po ghi - musiała się narodzić pod najszczęśliwszą gwiazdą. Najpierw stary Kambejmada i jego złoto. Potem Maćaija i jego tygrys. A teraz będą mieli pierwszego lekarza w Kodagu. - Westchnął. - Miałem nadzieję, że Maćaija... - Thimmaja zerknął na Dewi i zmienił temat.

Dewi udała, że nie słyszała, i dalej karmiła jednego ze swoich małych bratanków.

- Aaa, powiedz aaa, nie chcesz otworzyć buzi dla swojej cioci?

Ona też miała nadzieję, pomyślała z goryczą. Po Tala Kaweri przez kilka tygodni chodziła z głową w chmurach. Nieustannie przypominała sobie każdy szczegół ich spotkania. Widoki z wierchołka Bhagamandali, gdzie stali obok siebie, nie za blisko, żeby ich zachowanie nie zostało uznane za niewłaściwe przez kilku innych pielgrzymów, którzy wdrapali się na szczyt, lecz wystarczająco, by poczuła, jak żar jego skóry pali ją w bok.

- Spójrz - powiedział z prostotą.

Dewi odgarnęła włosy z oczu i powoli wzięła głęboki oddech. Słońce wreszcie wyszło zza chmur, wypalając ostatnie resztki mgły. Powietrze było tak rześkie, że oddychanie prawie bolało, a bryzę przenikała woń kardamonu i róż. Otaczały ich falujące wzgórza, gobelin we wszystkich odcieniach błękitu i zieleni poprzecinany połyskliwymi nićmi wodospadów. Widzieli Kudremukh\* w kształcie konia, stary punkt orientacyjny dla powracających żeglarzy. Wzgórze Ćamundy w Majsurze, nazwane tak na cześć bogini, której świątynia zdobiła stok niczym wysadzany złotem kolczyk do nosa. A w oddali wiła się wstążka Morza Arabskiego koloru indygo. W sercu Dewi zagościł spokój.

- Moje korzenie - cicho powiedział stojący obok Maću. - Przyjeżdżam tu co roku, tylko po to, by spojrzeć na całe Kodagu rozciągnięte przed moimi oczami. - Miękkim głosem zaczął recytować słowa modlitwy: - O Kaweri amma, o błogosławiona dziewico, po cóż ci girlandy

z kwiatów? Po cóż ci złoto i naszyjniki z drogich kamieni? Przyoblecz się w tę ziemię, Matko. W tę ziemię pełną złotych pól i perłowych deszczy.

\* Kudremukh - góra w stanie Karnataka. Jej nazwa w języku kannada oznacza „głową konia”, co odnosi się do charakterystycznego kształtu jej wierzchołka.

107

W naszą drogocenną ziemię. W te lśniące wzgórza, w lasy skąpane w słońcu księżycy. Tu - powiedział, wskazując połacie wzgórz - tu jest moje miejsce.

Dewi ogarnął spokój, poczuła pełnię, której nigdy wcześniej nie doświadczyła, przynależność naturalną jak oddech. Jak drewniane deski statku nasłuchujące rodzimego portu, jak ptak, który składa skrzydła, by wreszcie odpocząć w domu.

Powoli pokiwała głową.

- To także moje miejsce - powiedziała cicho. - Nigdy go nie opuszczę. - Wzięła głęboki oddech, a chłodne górskie powietrze zaszczypało ją w gardle. Odwróciła się do Maću i spojrzała mu w oczy. - Tu - powtórzyła. - Tu jest moje miejsce.

Spojrzał na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Zaczął coś mówić, ale się powstrzymał.

- Nie mogę pozwolić, by twój ojciec czekał - powiedział i odwróciwszy się, ruszył w dół zbocza.

Wracali w milczeniu. Dewi próbowała za nim nadążyć, czując wzbie-  
rające w jej wnętrzu zakłopotanie. Czyżby powiedziała za dużo, czyżby była zbyt bezpośrednia? Powinna dodać coś jeszcze? Tylko co? Miała wrażenie, że zeszli na dół jeszcze szybciej, niż weszli na górę. Zobaczyła, że Dewanna wrócił znad stawu i że znalazł Thimmaję. Z poczuciem winy spojrzała na zatroskaną twarz ojca.

- Dewi! - zaczął Thimmaja, lecz przerwał mu Maću.

- Jestem Maćajija z rodu Kambejmadów - przedstawił się i pochylił, by dotknąć stóp Thimmai. - Pańska córka zapragnęła zobaczyć widok ze szczytu. Proszę się nie obawiać, eskortowałem ją na górę i z powrotem. Schodzili na dół, wszyscy czworo. Maćajija pogrążony w rozmowie z Thimmają, a Dewi i Dewanna tuż za nimi. Dewanna zepchnął milczenie Dewi na karb złego humoru, zupełnie nieświadom tego, że przez całą drogę zerką na plecy Maću.

Gdy dotarli na padok, gdzie zostawili woły, Maću się pożegnał.

- Wkrótce znów się zobaczymy - powiedział grzecznie do Thimmai, lecz jego wzrok powędrował w stronę Dewi. Tylko krótkie spojrzenie, ale ona natychmiast zrozumiała. Ta wiadomość była przeznaczona dla niej. Skromnie spuściła głowę, mimo że jej serce zabiło mocniej.

Niedługo potem złożył im wizytę, rzekomo po to, by odwiedzić Dewannę przed końcem wakacji. Dewi pracowała akurat w polu, brnąc w błocie podczas przesadzania sadzonek. Z domu przybiegł Tukra.

108

- Hop, hop, Dewi akka! Hop, hop, Dewi akka, gdzie jesteś? Wzywają cię do domu, pospiesz się.

Wyprostowała się i zmrużyła oczy w promieniach słońca.

- Hej, Tukra! Jestem tutaj! Co się stało? Po co tyle krzyku? Czyżby twoja ukochana sprzedawczyni sardynek zostawiła cię i uciekła ze sprzedawcą krabów?

- Oj, Dewi akka, dlaczego zawsze musisz mnie gnębić? - szepnął wystraszony Tukra, rozglądając się, czy nikt nie usłyszał. - Ktoś przybył się z tobą zobaczyć - powiedział posepnie.

- Kto taki? - zdziwiła się Dewi.

- Dewanna anna. Jest z nim jakiś mężczyzna. Taji kazała ci natychmiast przyjść.

Przybył, dokładnie tak, jak obiecał! Dewi popędziła do domu, pośpiesznie umyła nogi przy kuchennych drzwiach i wplotła we włosy czerwony hibiskus. Żona Ćengappy wcisnęła jej w ręce półmisek gorących bananów w cieście.

- Gdzie się podziewałaś?! - zawołała. - Masz, zanieś je.

Siedział na werandzie z Thimmają i Ćengappą. Kiedy się pojawiła, podniósł głowę i jego oczy zespoliły się z oczami Dewi w skupionym, badawczym spojrzeniu. Jej usta rozchyliły się, jakby miały własną, odrębną wolę. Jego wzrok powędrował na jej wargi w krótkiej pieszczocie, która roztopiła jej wnętrzości. Potem szybko się odwrócił. Podała banany i postawiwszy swój talerz na parapecie, skromnie usiadła obok Thimmai. Ku jej zaskoczeniu i zakłopotaniu wszystkich zgromadzonych Maću niemal natychmiast wstał. Wkrótce zapadnie mrok, upierał się, zarzucając strzelbę na ramię. Do wioski Kambejmaków daleka droga. Odchodząc, nawet na nią nie spojrział.

Potem żadnego znaku, aż przez pięć miesięcy. Czasami zrozpaczona Dewi zastanawiała się, czy przypadkiem sobie tego wszystkiego nie uroiła. Ich wspólnego śmiechu na szczycie góry, ulotnej wrażliwości, którą dostrzegła w jego twarzy, zanim ta znów przybrała nieodgadniony wyraz. Przez tyle lat miała całkowitą pewność. Czekwała, niewzruszona w przekonaniu, że muszą się jedynie spotkać. Że spojrzy na nią i od razu będzie wiedział. Będzie wiedział, tak jak ona wiedziała od dnia tygrysięgo wesela wiele lat temu.

Jakże była naiwna, próżna, głupia, że ani razu nie przyszedł jej do głowy inny scenariusz. Stała się osowiała i posepna, zamknęła się w sobie, nie zważając na zatroskane spojrzenia taji i przyjaciół. Złożono jej

109  
dobrą propozycję małżeństwa. Chłopiec odbywał staż w biurze komisarza w Madikeri i tym razem Dewi chwilę się zastanowiła, zanim jak zwykle odmówiła.

„Miło było zobaczyć się z Dewanną”, pomyślała Dewi, karmiąc bratanka. Po święcie Kaweri miała wrażenie, że nieustannie na niego wpada. Trzymał się jej jak w dzieciństwie, chodził za nią krok w krok.

- Dewanna! - zawołała rozdrażniona. - Nie chcę dłużej słuchać o twoich roślinach, nie chcę! Dlaczego nie możesz po prostu zostawić mnie w spokoju?

Kiedy rozpoczął się rok szkolny, odczuła ulgę i natychmiast ogarnęło ją z tego powodu poczucie winy. Oczywiście gdy tylko wyjechał, zaczęła zanim tęsknić...

Uśmiechnęła się, wycierając dziecku brodę. Lekarz! Dewanna zawsze był zdolny, ale kto by pomyślał! Najak Pallada będzie wniebowzięty. I rzeczywiście był, podobnie jak najak Kambejmada. Obaj zaciekle rywalizowali o honor, jaki ich cudowny wnuk przyniósł rodzinie. W końcu osiągnęli kompromis. Dewanna miał wyruszyć do Bangaluru z domu

Kambejmadów. Najak Pallada miał jednak wyprawić wielką ucztę na jego cześć i zaprosić wszystkich Kambejmadów.

Cała wioska czekała na to święto z rosnącą niecierpliwością, aż w końcu, po tygodniach przygotowań, nastał dzień uczyty. Dewi udawała obojętność, lecz tamtego popołudnia ubrała się ze szczególną starannością. Włożyła szmaragdowe jedwabne sari, podkreślające bladość skóry. Miała lekko zapadnięte oczy i policzki, ale zgubione kilogramy przyciągały jedynie uwagę do delikatnych kości, wąskich ramion i nadgarstków. Włożyła palec do małego, cynowego pojemniczka cynobru i namalowała na czole idealną, okrągłą kropkę. Przypuszczała, że wspaniały pogromca tygrysa przybędzie wraz z resztą klanu Kambejmadów. Wysoko uniosła głowę. Cóż, niech ma na co popatrzeć. Odwinąwszy pakiecik z liści bananowca, który Ćengappa kupił rano na targu, owinęła warkocz długimi pędami jaśminu, aż po same biodra.

Thimmaja urwał w pół zdania, kiedy wyszła z pokoju. Nawet Ćengappie zabrakło słów. Dewi wyglądała zjawiskowo, jak ze snu. Taji rozsmarowała jej za uchem drobinę sadzy.

- Żeby cię ustrzec przed złem - mruknęła. - Ludzie będą zazdrośni.

110

Goście gapili się na nią przez całe popołudnie. Dewi promieniała, a jej oczy błyszczały. Kobiety prychały: „Patrzcie, to ta córka Naćimandów, która uważa się za nie wiadomo kogo” - a ich synowie i bracia ciągnęli je za sari jak mali chłopcy, błagając, by porozmawiały z Thimmają w ich imieniu. Na jej widok Dewannie zakręciło się w głowie, jakby ktoś zdzielił go pięścią w brzuch.

- Wyglądasz... bardzo ładnie - wybąkał, a Dewi ze śmiechem odrzuciła swój jaśminowy warkocz na plecy.

Poczuła obecność Maću, jeszcze zanim go ujrzała. Podszedł, żeby dotknąć stóp Thimmaj. Do niej nie powiedział jednak ani słowa, ledwie na nią spojrział, kiedy wymieniał uprzejmości z Thimmają, który postanowił potraktować go dość chłodno. Maću ignorował ją przez całe popołudnie. Mijały kolejne godziny, a Dewi, która czuła coraz większą złość, roztaczała coraz więcej uroku, aż w końcu zdawała się olśniewać, wypalać i oślepiać oczy zgromadzonych gości. Choć pozostali mężczyźni nie mogli oderwać od niej wzroku, Maću trwał w błogiej nieświadomości jej powabu. Parę razy zdawało jej się, że czuje na sobie jego spojrzenie, ale kiedy się odwracała, zawsze był pogrążony w rozmowie, całkowicie odprężony i obojętny wobec niej.

Zaproszono na obiad. Dewi podała mu niecałą łyżkę ryżu z kardamonem, goździkami i orzechami nerkowca, choć liście bananowca leżące przed gośćmi, którzy go otaczali, wypełniła po brzegi. Przyjął tę zniewagę, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem. Podawano kolejne potrawy z warzyw i mięs, a gdy nawet najpojemniejszy żołądek został napełniony, zaserwowano kadzie słodkiego, mlecznego pajasamu z uwięzionymi w środku rodzynekami, pomarańczowe dżangiry ociekające syropem i kokosowe barn sprowadzone z Majsuru specjalnie na tę okazję, różowo zabarwione i powleczone tłuczonym srebrem. Poczęstowano liśćmi betelu i orzechami arekowymi, a na koniec parującą kawą. Cienie wydłużyły się, wkraczając w późne popołudnie, i goście zaczęli się rozchodzić. Trawiący Dewi ogień powoli przygaszał.



To wszystko nic nie znaczyło. Góra Bhagamandala, ukryta treść jego spojrzeń i słów.

To wszystko było jedynie wytworem jej wyobraźni.

Tracąc nadzieję, patrzyła, jak Maću odchodzi z domu najaka Pallady. Poklepał Dewannę po plecach.

- Masz nam przynieść dumę, słyszysz? - powiedział, po czym żwawym krokiem opuścił podwórze i nie oglądając się za siebie, ruszył drogą. Patrzyła, jak się oddala. Jego wysoka, muskularna sylwetka odznaczała się na tle drzew. Odchodził. Stała na werandzie, nie zważając na tłum gości. Oddech uwiązał jej w gardle. Oparła się o rzeźbioną kolumnę z palisandru i odprowadzała go żalonym spojrzeniem. Znowu go traciła. Wezbrała w niej fala rozpaczy tak ponurej i beznadziejnej, że przez chwilę pociemniało jej przed oczami.

A po chwili, ogarnięta przekonaniem, którego nigdy do końca nie rozumiała, jeszcze zanim w jej głowie zdążyła się ukształtować myśl, zerwała się z miejsca i wbiegła do domu. Pomieszczenia były puste, w kuchni nie zastała żywego ducha, popołudniowa krzątanina wreszcie dobiegła końca. Nie było nikogo, kto by ją zatrzymał, wołając „Hej, Dewi, dokąd się wybierasz?“, kiedy wymknęła się z kuchni i z uporem ruszyła w stronę ścieżki biegnącej obok domu. Ścieżka okrążała kuchnię, znikwała w zaroślach sąsiedniego gaju bananowego, a dalej przecinała drogę, którą właśnie podążał Maću.

Dewi podkasasa sari i pobiegła ścieżką niczym błysk szmaragdowego ognia. Jaśmin wysunął jej się z włosów, a gdy jego płatki wirowały ku ziemi, Dewi gnała przed siebie, nie zważając na błoto obryzgujące łańcuszki wokół jej kostek ani na kwieciste ślady, które za sobą zostawiała.

- Maću! - zawołała, kiedy w końcu go dostrzegła. - Maćaija!!!

Odwrócił się. Błysk zaskoczenia w jego oczach szybko zgasł i Maću zacisnął usta.

Zrównała się z nim, próbując złapać oddech. Spojrzał na nią z kamienną twarzą, a gdy przemówił, od jego głosu powiało chłodem.

- Co ty wyrabiasz? Czyżbyś w ogóle nie dbała o swoją reputację?

Zdajesz sobie sprawę, jak ludzie będą gadali, jeśli ktoś cię zobaczy?

Odrzuciła głowę do tyłu, wyzwalając świeży deszczyk jaśminu. Ukłula ją kolka i przycisnęła dłoń do boku.

- Nie dbam o to.

- Nie dbasz o to? Nie masz za grosz wstydu? A może wszystkie kobiety w twojej rodzinie zachowują się w tak rozwiązły sposób?

- A co powiesz o kobietach z twojej rodziny? - odparła zdumiona. -

Muszą być bardzo źle wychowane, skoro wydają na świat takich prostaków.

Podszedł do niej. Ku jej konsternacji na jego napiętej twarzy malowała się wściekłość.

- Kobiety, które znam, nie robią maślanych oczu do każdego napotkanego mężczyzny, nie chichoczą z nimi godzinami jak pospolite szmaty.

112

Dewi zbladła.

- Coś ty powiedział?

- Słyszałaś.

- Jak śmiesz? - zawołała, równie wściekła jak on. - Jakim prawem

mówisz do mnie w ten sposób?

Pochylił się nad nią tak bardzo, że dostrzegła ciemne kręgi wokół jego tęczyówek i poczuła woń grogu.

- Będę do ciebie mówił, jak mi się podoba - warknął.

Dewi uderzyła go w twarz z całej siły.

Przez sekundę myślała, że jej odda. Rzuciła mu wściekle, wyzywające spojrzenie. Nagle, nie wiedząc czemu, jego ramiona zaczęły podrygiwać, wstrząsane śmiechem. Dołeczek wyciął w policzku głębokie wyżłobienie, a Maću ze skrucną podrapał się po brodzie.

- Tygrysica.

- Wiejski głupek - warknęła z płomieniem w oczach.

- Skoro jestem głupkiem, to dlaczego przez całe popołudnie wierciłaś mi wzrokiem dziurę w plecach?

Dewi otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale nagle zabrakło jej słów.

Stali i wpatrywali się w siebie. Słońce opadało coraz niżej, a w koronach drzew rozległo się kukanie kukułek. Dewi natychmiast minęła złość, a jej nogi zrobiły się jak z waty.

- Dlaczego nie przyszedłeś? - zapytała bezradnie. - Dlaczego się nie pokazywałeś przez te wszystkie miesiące?

- Ja... Dewi... - zaczął słabym głosem. Gwałtownie odwrócił głowę i zaczął nasłuchiwać. Ktoś się zbliżał. - Musisz wracać do domu.

- Nie. Nie wrócę, dopóki mi nie wyjaśnisz, dlaczego się nie pokazywałeś.

- Tu nie ma nic do wyjaśniania. Przestań się zachowywać jak dziecko - powiedział i zaczął się oddalać.

- Już kiedyś mnie tak nazwałaś.

Przystanął zdumiony.

- Na tygrysim weselu - jej głos drżał. - Dziewięć lat temu. Byłam tam. Nazwałaś mnie... nazwałaś mnie wtedy dzieckiem. Obiecałam sobie, że pewnego dnia zobaczysz, jak bardzo się pomyliłeś.

Wbił w nią wzrok, a potem pokręcił głową. Głosy wracających z przyjęcia gości stawały się coraz bliższe.

- Uciekaj. Jeśli zobaczą cię tu samą...

- Nie pójdę, dopóki mi nie odpowiesz.

113

- Dobrze - powiedział, niemal ze złością. - Musimy porozmawiać.

Spotkajmy się o dziewiątej na drodze prowadzącej do twojego domu.

A teraz idź!

- Wieczorem? Jak to... zaczekaj... Maću.

Ale jego już nie było.

Wieczór upływał w atmosferze kompletnego zamętu. Dewi na zmianę narzekała, że jest za zimno („Spójrzcie, jaką mam gęsią skórę”) albo za gorąco („Pozamykaliście wszystkie okna? Ledwie mogę oddychać”). O mały włos nie upuściła półmiska otti na nogi taji i trzeba jej było trzy razy powtarzać, żeby zamieszała curry, zanim w końcu do niej dotarło. Taji bardzo się zaniepokoiła i zbliżyła dłoń do ogorzałego czoła wnuczki.

- Nie wygląda na to, żebyś miała gorączkę - powiedziała zdziwiona.

Zanim w końcu zjedzono kolację i domownicy udali się na spacer, zrobiło się dość późno. Od pory wyznaczonej przez Maću

upłynęła prawie godzina. Dewi skradała się ścieżką, czując przyspieszone bicie serca. Tak dobrze знаła tę drogę, chadzała nią tysiące razy, a mimo to miała wrażenie, że wszystko się zmieniło. Księżyc, powlekający każdą gałązkę, konar i liść srebrzystą poświatą, wydobywał kałuże płynnego cienia spod kamieni. Pędziła połyskującą ścieżką jak we śnie. Nietoperz zrobił w powietrzu bezgłośnie pętlę, a drugi poszedł za jego przykładem.

Nagle go dostrzegła. Czekał.

Wojowniczo uniosła głowę, ale zamiast ją zganić za spóźnienie, spojrział na nią tylko, a w grymasie jego twarzy dostrzegła niemal cierpienie.

- Nie byłem pewny, czy przyjdiesz.

Wszystkie przygotowane wcześniej cięte odpowiedzi wyleciały Dewi z głowy.

- Jak mogłabym nie przyjść?

Patrzyli na siebie wygłodniałym wzrokiem. Upłynęło pięć miesięcy.

Pięć długich, pustych miesięcy. Kiedy Dewi przemówiła, miała zachrypnięty głos.

- No więc dlaczego chciałeś się tu ze mną spotkać?

W jego policzku mignął dołek, ale Maću nie odrywał od niej wzroku.

- W świetle księżycy prezentujesz się znacznie lepiej.

Zarumieniła się.

114

- Masz mi coś do powiedzenia czy nie? - zapytała drżącym głosem.

Wtedy on spuścił wzrok, wziął głęboki oddech i przeczesał włosy palcami.

- Tak. My... Dewi, nie możemy być razem.

Poczuła się tak, jakby przeszył ją nożem.

- Czy ja... nie podobam ci się?

Roześmiał się. Był to niski, pełen goryczy śmiech.

- Czy mi się nie podobasz? Czy mi się nie podobasz? - powtórzył, wpatrując się w jej twarz, w pełne usta. - Od festiwalu Kaweri nie mogę spać. Odkąd cię zobaczyłem, nie przespałem ani jednej nocy. - Jego głos przypominał bujny, gęsty mech. - Nie mam pojęcia dlaczego. Wiem tylko tyle, że nie mogę spokojnie polować, jeść ani pić. Potrafię myśleć tylko o tobie. Zatem, odpowiadając na twoje pytanie, owszem, podobasz mi się. Mimo to nie możemy być razem. Mam inne zobowiązania.

Wpatrywała się w niego zdumiona.

- Kto...? Jak to? Kim ona jest?

- Nie chodzi o kobietę. - Opowiedział jej o swojej przysiędze. W nagłym przypływie wdzięczności, stojąc nad tygrysem, którego pozwolił mu powalić Ajappa swami, Maću przysiągł, że nie weźmie sobie żony przez dwanaście lat. Miał żyć w celibacie, podobnie jak jego bóg, przez dwanaście lat: dwa lata za każdy płąt tygryziej wątroby. Upłynęło już dziewięć, pozostały niespełna trzy. Ta przysięga nigdy mu nie przeszkadzała, dopóki nie poznał Dewi.

- Przysięga? - zapytała Dewi, czując przetaczającą się przez serce falę ulgi tak wielkiej, że o mało nie zemdląca. - Zatem to prawda, te wszystkie plotki... Przysięga. Co z tego? Przecież możemy się zaręczyć.

- Czy zaręczyny to nie to samo co ślub? - zapytał. I powiedział, że nie może, że nie chce podejmować oficjalnego zobowiązania wobec żadnej

kobiety, nim upłynie dwanaście lat. Kazał Dewi przysiąc, że nikomu o tym nie powie. Ujawnienie tajemnicy osłabiłoby moc przyrzeczenia. Musiał to wyznać Dewi, ale nikt inny nie powinien poznać jego sekretu. Po chwili zastanowienia uśmiechnęła się.

- Zaczekam na ciebie.

W oczach Maću na sekundę rozbłysnął płomień nadziei, lecz zaraz mężczyzna pokręcił głową.

- Jak mogłabyś na mnie czekać bez oficjalnych zaręczyn? Jakie powody będziesz podawać, odrzucając oświadczenia innych mężczyzn? Jeśli nadal będziesz odmawiać, ludzie zaczną gadać. Wynajdywać skazy, 115

których nie ma, mówić, że jesteś niespełna rozumu albo jeszcze gorzej, że jesteś skalana.

- I co z tego? - zapytała cicho. - Mimo to będę na ciebie czekać. A gdy w końcu poprosisz mnie o rękę, zamkniesz im wszystkim usta. - Podeszła do niego tak blisko, że poczuła żar jego ciała. Stał w miejscu, ale jego ramiona się napięły, a oddech spłycał. - Jesteś dla mnie stworzony - szepnęła. - Jesteś tym jedynym.

- Narażasz na szwank swoją reputację.

- Nigdy za bardzo nie dbałam o to, co mówią ludzie - powiedziała z uśmiechem.

- Nie będziemy mogli się widywać - oznajmił, dumnie unosząc głowę. - Nie będę się z tobą spotykał tak jak teraz, w tajemnicy, ukrywając się przed wszystkimi.

- Czekałam latami, nie mając pewności, czy w ogóle cię jeszcze zobaczę. - Dewi uniosła rękę do jego twarzy, zaskoczona swoją śmiałością. Położyła mu dłoń na policzku i przesuwając palcem wzdłuż żuchwy, poczuła, że gwałtownie wciąga powietrze. - Przychodź do mnie, kiedy będziesz mógł, kiedy będziesz chciał. Raz w miesiącu albo raz w roku, to bez znaczenia. Zaczekam.

- Nie - powiedział uparcie zachrypniętym głosem i odsunął jej dłoń. Mocno ścisnął jej palce. - Nie wiesz, co mówisz. Jak zamierzasz odprawiać potencjalnych kandydatów na męża? Jak długo jeszcze będziesz mogła im odmawiać? - pytał. - W domu coraz bardziej będą naciskać, żebyś wyszła za męża. Twój ojciec wygląda na dobrego człowieka, ale nawet jemu skończy się cierpliwość. Już teraz jesteś starsza niż większość panien w Kodagu. Trzy lata to sporo czasu. A jeśli coś mi się stanie?

- Dopilnuj, żeby nic ci się nie stało - odpowiedziała spokojnie.

Szumiało jej w głowie, serce łomotało tak bardzo, jakby miało eksplodować, a mimo to przepełniał ją spokój. Odnalazła swoje miejsce. Bycie u boku tego mężczyzny wydawało się takie naturalne, takie właściwe... takie oczywiste. Wątpliwości, rozpacz, przekonanie i wyczekiwanie - to wszystko na chwilę zniknęło, zamieniając się w gładką taflę spokojnego morza. Uniosła drugą dłoń i delikatnie zbliżyła do policzka mężczyzny. Nagle jej oczy wypełniły się łzami, co nawet dla niej samej było zaskoczeniem.

- Jesteś mój. Mój. Zawsze będę na ciebie czekała.

1897

Wszyscy jesteśmy pedałami

Z dupą wypchaną robakami.

Posuwamy się bez gaci,  
Bracia braci.

Spedalone, zarobaczone, w dupę walone CIOTY!

Dewanna posepnie wykrzykiwał słowa wierszyka. Było już późno, okna w ciemnym internacie zostały starannie pozamykane, żeby głosy nie dotarły do kwater nauczycieli. Nagie pierwszaki znowu stały w szeregach niczym szyny jakichś perwersyjnych torów.

Martin Thomas i jego banda stali przed chłopcami i mierzyli ich chytrym spojrzeniem.

- Głośniej - rozkazywali. - Głośniej, pedały, nie słycać was.

Dewanna po raz kolejny zastanawiał się z rozgoryczeniem, dlaczego wielebny go nie ostrzegł. Starannie przygotował Dewannę do pierwszego semestru w college'u, zamówił podręczniki u Higginbothama, żeby razem mogli powtórzyć materiał. Odwiózł go do Bangaluru, spotkał się z ojcem Dunleavym, żeby osobiście przedstawić mu swojego ucznia, zresztą ku wielkiemu zakłopotaniu chłopca. Odprowadził go nawet do internatu, a odchodząc, pospiesznie uściskał, zaskakując Dewannę nieprzywykłego do takiego okazywania emocji. Obiecał, że będzie przyjeżdżał tak często, jak pozwoli mu praca, i nie zważając na protesty podopiecznego, wsunął mu do ręki dziesięć rupii „kieszonkowego”, które miały mu pomóc

117

przetrwąć do ferii. Wielebny zrobił dla niego tak dużo, więc dlaczego nie przygotował go na kotowanie?

Zaczęło się już pierwszej nocy. Martin i jego banda zaczęli, aż strażnik skończy obchód, a potem napadli na nowych studentów jak sępy, które zwietrzyły ścierwo. Powyciągali ich z łóżek i zapędzili na korytarz.

- Rozbierać się - rozkazali. Dewanna z ociąganiem zdjął piżamę, podobnie jak inni chłopcy, ale na tym się nie skończyło. Starsi uczniowie rozdali im drewniane linijki i rozkazali pierwszacom, aby zmierzyli sobie nawzajem długość członków i zestawili wyniki w tabeli. Pierwszaki spojrzeli po sobie i ktoś nerwowo się roześmiał. To jakiś żart, prawda? Przez kilka sekund nikt się nie ruszał. W powietrzu śmignął kij do hokeja i pierwszak osunął się na ziemię, głośno jęcząc.

- No, na co czekacie? Do roboty, cioty, chyba że któryś jeszcze chce dostać.

Dewanna z niedowierzaniem kucnął przed pachwiną kolegi z roku, próbując się zdystansować od gąbczastego, sflaczałego kawałka ciała, który ocierał się o jego palce. Każdy musiał głośno podać długość, pośród donośnych szyderstw prześladowców. Potem pierwszaki zbiły się w gromadkę i maszerowały korytarzami internatu. „Wszyscy jesteście pedałami...”

Takich męczarni doświadczali regularnie. Praktycznie nie było nocy, żeby nie zostali wywleczeni z łóżek pod takim lub innym pretekstem. Ci nieliczni, którzy odważyli się zaprotestować, od razu dostawali lanie. Dewanna szybko zrozumiał, że najlepiej trzymać buzię na kłódkę i szybko maszerować. Mimo to Martin, obdarzony niezawodnym instynktem drapieżcy, który zawsze wypatrzy najsłabszego członka stada, szybko zwrócił na niego uwagę.

Martin Thomas, krzepki student ostatniego roku o zielonobrazowych

oczach koloru brudnej wody, był potomkiem donkiszotowskiego porucznika oddelegowanego do Indii razem z Second Sappers i córki jego sekretarza. Ginny miała brązowe włosy angielskiego ojca i ponętne kształty indyjskiej matki. Oczarowała porucznika Thomasa już w chwili, kiedy po raz pierwszy obok niego przeszła, kołysząc biodrami. Przeżył szok, gdy trzy szybkie, spocone schadzki później oznajmiła mu, że jest w ciąży,  
118

lecz jako dżentelmen obiecał jej małżeństwo. Pobrali się w kaplicy garnizonowej, a na przyjęciu, które zorganizował dla kolegów oficerów, przetańczył z Ginny całą noc przy dźwiękach orkiestry dętej. Wkrótce nastąpiło jednak rozczarowanie. Kiedy saperów oddelegowano na Malaje, Thomas odetchnął z ulgą.

Martin szybko się nauczył, że nie należy pytać o ojca, gdyż matka może wpaść w szał albo wybuchnąć histerycznym płaczem. Urodził się w Indiach, więc w jego rodzinnej kolonii nazywali go tłustym mieszaneńcem Thomasem. „Szybciej, mieszaniec - krzyczeli, kiedy grał w obronie w drużynie krykieta - łap piłkę, szybko, albo następnym razem zagrasz sobie ze swoimi braciszkami ćhokrami”.

Tak głośno się śmiał - najgłośniej z nich wszystkich - z tych niesmacznych uszczypliwości, z głupich żarcików na swój temat, że pewnego ranka, kiedy w ogrodach przed domami w kolonii znaleziono sześć sztywnych, otrutych psów, nikt nie wpadł na to, aby powiązać ten incydent z Martinem. Nikogo nie zastanowił fakt, że w każdej z poszkodowanych rodzin był chłopiec w wieku Martina, który grał w drużynie krykieta. Nikomu nie przyszło do głowy zamienić z Ginny słówko na temat trucizny na szczury, którą kupiła zaledwie kilka dni wcześniej i schowała pod zlewem.

Dziadek Martina wykorzystał swoje wpływy w wojsku, żeby umieścić chłopca w Armii Rezerwowej. Ginny z wdzięczności zapaliła trzy świece w kościele św. Tomasza. Wojskowe życie odpowiadało Martinowi. Tam nikomu nie przeszkadzało jego anglo-indyjskie pochodzenie. Z zacięciem wykonywał ćwiczenia fizyczne, wyobrażając sobie, jak jego czarne buty z satysfakcjonującym trzaskiem lądują na szyi ojca. Po roku spędzonym w wojsku jego ciało zaczęło się zmieniać. Dziecięcy tłuszcz wytopił się i Martin w ciągu jednego tylko lata urósł prawie jedenaście centymetrów. Świeżo wyrzeźbione ramiona pokryły się wystającymi żyłami, barki rozrosły się, a stwardniałe uda zyskały namacalną fizyczną obecność, która, ku jego zdumieniu, przyciągała jak magnes chmary bardziej wåtłych kadetów.

Ktoś zasugerował college medyczny i Martin zdał do niego śpiewając. Kiedy go przyjęto, nikt nie był bardziej zdumiony niż on sam. Tym razem jego matka zamieściła małe ogłoszenie w „Madras Herald”, by podziękować Dzieciątku Jezus. Mimo swej postury i grona pochlebców, Martin nigdy publicznie nie protestował, kiedy go kotowano. A gdy uczeń ostatniej klasy nazwał go kulisem, pytając, czy tak jak ojciec ma  
119

słabość do czarnego aksamitu - czyli do miejscowych kobiet - Martin wybuchnął śmiechem razem z resztą chłopaków.

Na balu studentów pierwszego roku, który oficjalnie kończył sezon kotowania, ten sam chłopak podszedł do Martina i uściskał mu dłoń.

- To się nazywa luzak! - zawołał, klepiąc Martina po plecach.

Studenci drugiego roku wzniesli toast.

- Za luzaka Martina Thomasa - zagrzmieli z uznaniem. Jeszcze tego samego wieczoru Martin i jego banda osaczyli studenta czwartego roku w toalecie. Jeden z nich wykręcił mu rękę, a Martin tłukł jego twarzą o ścianę.

- Piśnij słowo - zapowiedział mu w przeblysku geniuszu - a następnym razem będzie gorzej. Zrozumiano? Rozerwę cię na kawałki, zaczynając od jaj.

Rok później Martin ustanowił zupełnie nowe standardy kotowania w collegeu.

- To dla waszego dobra - zapewniał pierwszaków, wymuszając uległość przemocą. - Jeśli wytrzymacie ze mną, nie będzie takiej rzeczy na świecie, której nie stawicie czoła jak prawdziwi mężczyźni.

Władza, którą miał, była niezmiernie uzależniająca. Rok później, mimo że od pierwszaków dzieliły go już dwa lata, zerwał z tradycją i nadal przewodził oprawcom.

Nie potrafiłby wyjaśnić motywów swojej odrazy do Dewanny, nawet gdyby spróbował. Wiedział tylko, że była natychmiastowa i absolutna. Inne chokry w grupie były replikami tych, które gnębił wcześniej: chuchra z brązowymi tyłkami, które drżały na sam jego widok. Dewanna miała jaśniejszą skórę, niemal o takim samym oliwkowym odcieniu jak skóra Martina: prawie wystarczająco błądą, by można ją było uznać za białą - prawie, ale nie do końca, bo oliwkowy odcień zdradzał pulsującą pod skórą rdzenną krew. Jak gdyby nigdy nic, wypytał o pochodzenie Dewanny. Powiedziano mu o bogatej rodzinie. Posiadacze ziemscy, pieprzeni myśliwi ze wzgórz.

Martin nigdy by tego nie przyznał, nawet przed samym sobą, ale w sposobie, w jaki Dewanna przechylał głowę, w jego spokojnych ruchach było coś, co przypominało mu jego samego. Uprzywilejowaną, udoskonaloną, niedościgłą wersję jego samego.

120

Na początku, dyrygując co wieczór kołowaniem, tylko obserwował Dewannę kątem oka. Dewanna nie stawiał oporu jak co bardziej porywczy studenci pierwszego roku, lecz także nie pękał. Bez względu na to, jak bardzo wymagające było zadanie, Dewanna wykonywał je ze stoickim spokojem.

Pewnego dnia Martin nie wytrzymał i sam zaczepił Dewannę. Jak on śmiał spojrzeć mu w oczy? Zaskoczenie, które zobaczył na twarzy chłopca, jeszcze bardziej go rozjuszyło.

- Nie próbuj zaprzeczać - warknął Martin. - Nie znasz kodeksu pierwszaków? Mam cię go nauczyć?

„Fotel Salomona”, zarządził, każąc Dewannie ugiąć nogi w kolanach i wyciągnąć ręce na kształt fotela. Na wyprostowanych rękach położył mu rakietę do tenisa.

- Stój prosto, słyszysz?

Dewanna stał ze stoickim wyrazem twarzy, czując narastający ból w kolanach. Gdy w końcu nogi nie wytrzymały, Martin uderzył go w twarz i nazwał babą.

- Kim jesteś, chokra?

- Jestem babą. - Choć w oczach Dewanny zapłonęła złość, nadal mówił opanowanym głosem.

Studenci pierwszego roku za bardzo się wstydzieli, żeby rozmawiać o kotowaniu. Wracali do łóżek po kolejnej nocnej paradzie, z piersią wypiętą w spóźnionej manifestacji odwagi, starannie unikając wzroku kolegów. To tylko kotowanie, wołali, rytuał dojrzewania. Wszyscy je przechodzili. Tak po prostu było. Musieli to znosić po męsku.

Dewanna także znosił to po męsku. Zaspany wstawał z łóżka, krzyczał hymn pierwszaków, wykonywał wszystkie niedorzeczne zadania. Dokładał wszelkich starań, by trzymać się jak najdalej od Martina, lecz najwyżej po dwóch dniach niezmiennie rozlegało się za nim znajome słowo:

- Ćhokra!

Dewanna odwracał się zgnębiony i czekał na nowe upokorzenie.

Jego opanowanie, rezygnacja, z którą wykonywał każde polecenie Martina, tylko zwiększały złość oprawcy. Rozkazy herszta bandy stały się jeszcze surowsze, skierowane wprost na Dewannę, i w końcu wszyscy mieszkańcy internatu wiedzieli, że z jakiegoś powodu Thomas upatrzył sobie pierwszaka ćhokrę.

Dewanna niewystarczająco szybko wstał od stołu, by zaproponować Martinowi miejsce.

121

- To prawda, Martin - spokojnie potwierdził Dewanna.

- Dwieście przysiadów.

- Tak jest.

Oczywiście nie był w stanie zrobić dwustu przysiadów, więc Martin kopnął go z taką siłą, że Dewanna wbił zęby w wargi, by powstrzymać się od krzyku. Zszokowany zdał sobie sprawę, że krwawi. Czuł w ustach słony, mineralny smak krwi. Na jego skórze, w miejscu, gdzie wylądował but Martina, powoli rozkwitał siniak. A pod siniakiem zaczęła wzbierać septyczna gorycz.

Dreszcz rozkoszy, którą poczuł oprawca w chwili zetknięcia się jego buta ze skórą Dewanny, odcisnął wyraźny ślad w jego umyśle, więc następnego ranka Martin znów zaczął Dewannę. Zarzucił chłopcu, że nie powiedział mu dzień dobry. Dewanna zagotował się ze złości, słysząc tak niesprawiedliwe oskarżenie, ale starał się tego nie okazywać.

- Przecież dopiero wszedłeś na stołówkę, Martinie - zauważył przytomnie. - Stałem plecami do drzwi.

Za tę krnąbrność zarobił pięścią w ucho. Musiał wypucować Martinowi wszystkie buty. I to już, natychmiast.

- Tak jest.

- Buty mają niewystarczający połysk! - krzyknął Martin, okładając Dewannę pięściami. - Cholerny ćhokra! Teraz będziesz je musiał wylizać do czysta. Zrozumiano?

- Ta... tak - Dewannę tak bardzo bolało, że ledwie mógł mówić.

- Ciągłe tylko tak i tak. Nie potrafisz powiedzieć nic innego, cioto?

Jesteś mężczyzną czy owcą?

-Ja...

- Wiesz, co myślę, cioto? Myślę, że trzeba cię nauczyć, co to znaczy być mężczyzną. - Twarz Martina wykrzywiła się w obleśnym uśmiechu. - Biercie go! - krzyknął do swoich pomagierów, którzy podźwignęli De-



wannę do góry. Zanieśli go do okna i - Tylko uważajcie, gnój spocił się jak mysz! - wystawili na zewnątrz głową w dół. Kołysał się, krew napływała mu do głowy, a palce chwytały powietrze, gdy studenci ostatniego roku trzymali go za kostki, pohukując i gwiżdżąc:

- I co? Jesteś już mężczyzną, cioto? Jesteś?

W końcu wciągnęli go do środka.

- Bez urazy, óhokra - prychnął Martin. - To tylko kotowanie, próbujemy cię zahartować, nic więcej.

122

Dewanna ledwie zdążył do łazienki, gdzie zwymiotował kolację i walczył z konwulsjami jeszcze długo po tym, jak żołądek się opróżnił.

„To tylko kotowanie”, powtarzał sobie tamtej nocy. Leżał sztywny, czekając pod kocem, nadstawiając uszu, by znów usłyszeć huk otwieranych drzwi i „cholerne robaki, wyłazić z łóżek, no, dalej, słyszeliście, szybko”.

„To tylko kotowanie. Podejść do tego po męsku”.

Martin zaczął mu wymierzać jeszcze więcej kar, chcąc, żeby Dewanna pękł, żeby się załamał. Nie spodobało mu się, jak Dewanna zaczesał włosy.

- Wybieraj - rozkazał, wymachując przed nim kijem do hokeja i kijem do krykieta.

Dewanna wskazał kij do krykieta.

- Pochyl się, pochyl się, óhokra. I powiedz - ciągnął Martin uprzejmym tonem - jakie wolisz uderzenie? Sierpowe czy defensywne?

Dewanna odruchowo ścisnął kolana, próbując powstrzymać drzenie.

- Defensywne. - Wybrał to lżejsze.

Martin pokiwał głową.

- Dobry wybór. Zatem defensywne.

Dewanna zamknął oczy i w napięciu czekał na uderzenie w uda i pośladki. Kij spadł na niego z tak miażdżącą siłą, że powalił chłopca na twarz.

- No i popatrz, kocie, zmieniłem zdanie. Ostatecznie musiałem ci zaserwować sierpowy, miałem ochotę rozprostować ręce.

Dni zaczęły zlewać się w jedną, mglistą masę. Dewanna zamknął się w sobie i zamienił w postać, która niewzruszona stała przed swoim oprawcą, bez względu na to, jaki ten zgotował jej los. Recytował w myśli tytuły starych, ukochanych książek, żeby odgrodzić się od tego, co go spotykało:

„Flora Syhatica, Flora Indica, Spicilegium Neilgherrense, Leones Plantarum. Hortus Bengalensis. Hortus Calcuttensis. Prodromus. Florae. Peninsulae. Indiae. Flora Syhatica. Flora Indica..”

Zaczęły go nękać koszmary, zrywał się w środku nocy - czasami, ku swojemu zawstydzeniu, miał policzki mokre od łez, choć nie pamiętał, żeby płakał. „To tylko kotowanie - powtarzał sobie - to nic nie znaczy”.

Lecz każde lanie, które dostawał od Martina, każde nagie upokorzenie zaczęło w nim podsycać trującą, oszałamiającą wściekłość.

123

Kilku pierwszaków otwarcie okazywało mu współczucie, poszturchując go, kiedy zasnął na wykładzie po zarwanej nocy, albo podsuwając mu do biurka anonimowe notatki, gdy po raz kolejny opuścił zajęcia z powodu wizyty w izbie chorych, gdzie opatrywano mu rany. Przeważnie omijali go szerokim łukiem, bojąc się wściekłości Martina. „Głowa

do góry - szeptali do niego w dormitorium - do balu pierwszaków zostały jeszcze tylko trzy miesiące".

Pielegniarka z izby chorych kręciła głową na widok kuśtykającego Dewanny i zaciskała usta, kiedy jękając się, wyjaśniał, że znów zderzył się z drzwiami. W końcu podzieliła się swoimi podejrzeniami z lekarzem. Ojciec Dunleavy wezwał Dewannę do swojego gabinetu i zauważył siniaki na rękach chłopca. Co się działo? Oczywiście słyszał pogłoski o kotowaniu, ale przecież była to tylko zabawa, prawda? Miał pewne podejrzenia: dwa lata temu jeden z chłopców złamał sobie nos - jak, na miłość boską, można się zderzyć ze ścianą? No i jak miał wymierzyć odpowiednią karę, skoro nikt nie został oskarżony? Zderzanie się ze ścianami i z drzwiami, też coś! Czyżby jego studenci nagle powariowali?

Złożył dłonie w piramidę i spojrzał na Dewannę. Życzliwe oczy ojca Dunleavy'ego zasnuły się niepokojem. Czy powinien wiedzieć coś jeszcze, może coś, co ma związek z Martinem Thomasem i jego kolegami?

- Nie - powiedział Dewanna. - Nikt nie ponosi za to winy. Proszę, ojczy - dodał - niech ojciec nie wspomina o tym wielebnemu, będzie się tylko martwił. Ja... ostatnio jestem trochę niezdarny, to wszystko.

Dewanna nie wspominał o swoich męczarniach nawet w długich listach do domu. Zresztą co mógłby napisać, jak w ogóle miałby zacząć opis tego, co go spotykało w collegeu<sup>7</sup>. To było tylko kotowanie i musiał je znieść jak mężczyzna. Pisał do Gunderta wielostronicowe listy, szczegółowo relacjonując zajęcia. Kiedy wielebny będzie mógł go odwiedzić? Pisał długie, chaotyczne listy do Dewi, opowiadając jej o Bangalurze i o wycieczkach organizowanych studentom co dwa tygodnie.

Dwa tygodnie wcześniej byli w teatrze. „Ale byś się uśmieła na widok mężczyzny, który grał główną bohaterkę - pisał. - Miał wyjątkowo dużą grdykę, która robiła się jeszcze większa, kiedy śpiewał falsetem". W tym tygodniu poszli do ogrodu botanicznego. „Ogrody należały do Tipu Sułtana, tak, do tego samego sułtana z Majsuru, który okrył się złą sławą, próbując wtargnąć do Kodagu po trupach jego mieszkańców. Jak to możliwe, że udało mu się stworzyć coś tak pięknego... Powinnaś zobaczyć te ogrody, Dewi. Opiekują się nimi eksperci sprowadzeni

124

specjalnie aż z Kew Gardens. Podobno nowe herbarium jest identyczne jak to w Kryształowym Pałacu w Hyde Parku". Opisywał wykładowców i posepnego bibliotekarza oraz skromne angielskie śniadania złożone z jaj na miękko, grzanek i (wodnistej) herbaty.

„Napiszesz do mnie? - pytał tęsknie. - Raz na jakiś czas, tylko parę zdań?"

Dewi z wysiłkiem czytała jego listy, słowo po słowie, tłumacząc je najakowi Palladzie, taji i Thimmai. Przechowywała je wszystkie w szkatułce razem z klejnotami Muthawwy.

Czytała je również dla Maću, który przychodził na potajemne schadzki, nie potrafiąc znieść rozłąki, przyciągany do Dewi wbrew każdej drobnej swojej woli. Po raz pierwszy spotkali się w kotlinie obok pól ryżowych. Było już po południu i pola świeciły pustkami. Stanął naprzeciw niej z zaszczutym, wściekłym wyrazem twarzy. Dewi stanęła na palcach i zbliżyła dłoń do jego policzka. Odwrócił wzrok, nie chcąc jej spojrzeć w oczy.

- Musiałem przyjść - oznajmił sztywno. - Nie umiałem bez ciebie wytrzymać.

- Oszalałabym, gdybyś nie przyszedł - wyznała cicho.

Nie odpowiedział, a potem smutno na nią spojrział.

- Łowczyni.

Zaczęli się spotykać tak często, jak mogli, zazwyczaj na polach granicznych z ziemiami Naćimandów, a raz, późnym wieczorem, na ścieżce prowadzącej do domu. Dewi cytowała mu fragmenty listów Dewanny - Jest taki inteligentny. Zawsze był, już jako dziecko. Zachwycali się nim wszyscy nauczyciele, zresztą całkiem słusznie. I spójrz, będzie lekarzem. Wiesz, że oni ćwiczą na prawdziwych martwych ciałach? Tak właśnie napisał, o tutaj. A wiesz, że...

Maću kiwał głową z zamkniętymi oczami i wciągał ją na swoją pierś.

- Jak bardzo mnie kochasz? - zapytała go kiedyś pod wpływem impulsu. Leżeli obok siebie na polu, a wokół nich kołysało się jasnozielone zboże. W strumieniu pławiły się bawoły, a od czas do czasu rozlegał się cichy plusk, kiedy podskakująca ryba przecinała tafelę wody i spadała z powrotem. Motyle, maleńkie i pastelowe, śmigały tu i tam, a czaple szybowały na popołudniowych podmuchach powietrza.

125

- A kto mówi, że kocham?

- Oj, przestań. Powiedz mi. Powiedz, jak bardzo mnie kochasz.

Rozbawiony, pokręcił głową.

- Powiedz, powiedz, powiedz.

- A może ty mi powiesz? Jak bardzo mnie kochasz, łowczyni?

Milczała tak długo, że otworzył oczy, by na nią spojrzeć. Usiadła i wpatrywała się w niebo rozmarzonym wzrokiem.

- Kochać cię to jak mieć skrzydła. To tak, jakby wielka, potężna para skrzydeł wyrosła mi na plecach, żebym nie musiała już więcej dotykać ziemi stopami.

Odwróciła się do niego, rozpromieniona.

-A ty?

Znowu zamknął oczy.

- Nie odpuścisz mi, prawda?

- Nie odpuszczę - powiedziała z prostotą.

Pokręcił głową i westchnął.

- Jak bieganie.

- Jak bieganie?

- Tak. Jak bieganie w lesie.

Odczekała chwilę, a gdy nic więcej nie dodał, zjeżyła się.

- Jak bieganie? Kochasz mnie tak samo, jak się lubi sport? Jak bieganie?

Ze zdziwieniem uniósł brew.

- Dewi...

Zerwała się na nogi.

- Jak bieganie?

Wyciągnął rękę i chwycił ją w ramiona.

- Hej, tygrysico - powiedział czule. - Tak, kocham cię jak bieganie.

Jak bieganie w lesie, szybciej niż ktokolwiek inny. Jak wtedy, kiedy biegnę tak szybko, że drzewa zaczynają się ze sobą zlewać, a w ich cieniach prawie dostrzegam cienie wirów. Jak wtedy, kiedy moje stopy

poruszają się tak szybko, że czas, odległość i wszystko inne znika, a pozostaje jedynie magia chwili, tej jednej chwili, w której niesie mnie wiatr. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Właśnie tak jest. Czas, odległość i wszystko inne tracą znaczenie. Liczy się tylko ta jedna chwila, ten czas spędzony z tobą.

126

W Bangalurze czas płynął powoli, a studenci pierwszego roku odliczali dni do balu. Obsesja Martina na punkcie Dewanny przybierała na sile. Dewanna stał się dla swojego oprawcy swędzącym miejscem, które trzeba drapać, czasami trzy albo i cztery razy dziennie.

Tamtego ranka Martin nie potrafił odpowiedzieć na pytanie profesora.

- Ćhokra, gdzie ty się podziewasz?

Martin dostał kolejny list od swojej głupiej matki, która pytała, dlaczego syn nie pisze do niej częściej. Czyżby zapomniał, ile dla niego poświęcił? Małżeństwo, urodę, wszystko, byleby tylko znalazł się tam, gdzie teraz jest. Poczucie winy pełzało po jego skórze jak armia czarnych mrówek. Gdzie, GDZIE się podział ten pieprzony ćhokra?

- Jebany, robaczywy gnój - wymamrotał, rozmasowując delikatne knykcie.

Mimo to im częściej lał Dewannę, tym mniejszą miał z tego przyjemność. Czuł jednak potężny, łaskoczący kręgosłup dreszcz, widząc nienawiść odcisniętą w oczach Dewanny, jego bezsilną złość. Tyle że to mu nie wystarczało. Chciał, żeby ćhokra... na przykład żeby padł mu do stóp, błagał o litość - „proszę, Martin, proszę, zostaw mnie w spokoju”. Pewnego ranka zatrzymał Dewannę na korytarzu. Chłopca ogarnęła rozpacz.

- Dzień dobry, Martinie.

Martin nie odpowiedział. Strzelał tylko knykciami i w zamyśleniu wpatrywał się w Dewannę.

- Martin - zaczął jeszcze raz Dewanna, próbując zachować spokój. -

Muszę iść na zajęcia, czy mogę... - Skinął w stronę korytarza, gdzie za plecami Martina pospiesznie przechodzili studenci pierwszego roku ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Muszę iść na zajęcia - powtórzył. Martin milczał. - Przepraszam - powiedział Dewanna i nie bardzo wiedząc, co zrobić, ruszył korytarzem.

Martin gwałtownie wyciągnął rękę, tarasując mu drogę.

- Kompletny brak szacunku - mruknął. - Rozmawiałem z tobą, a ty po prostu sobie poszedłeś. A przecież jestem studentem ostatniego roku. - Odwrócił się. - Dzisiaj nie pójdziesz na zajęcia, ćhokra. Widzimy się w moim pokoju. Natychmiast.

Dewanna stał pośrodku pokoju, a oparci o ścianę kolesie Martina przyglądali mu się z zaciekawieniem. Cóż ich przywódca wymyślił tym razem?

Martin powoli chodził tam i z powrotem, nawet nie patrząc na Dewannę.

127

- Kompletny brak szacunku - powtórzył cicho, sięgając po kość łokciową, która leżała na jego biurku. Studenci drugiego roku byli akurat w samym środku kursu anatomii i w każdym pokoju można było znaleźć mnóstwo kości. Martin pogładził kość, przesuwając palcami po zwapnionej powierzchni z jednego końca na drugi i delikatnie badając

krawędzie, a następnie powoli wrócił do początku. Włoski na karku Dewanny stanęły dęba.

Martin pokręcił głową, a potem z nagłym ożywieniem odwrócił się w stronę chłopca.

- Nie pozostawiasz mi innego wyjścia. Spuść spodnie, chokra. Spuść spodnie i pochyl się.

Dewanna siedział skulony na podłodze w bibliotece, w zatęchłym kąciku antropologicznym. W tej części biblioteki zawsze panowała cisza i było pusto. Poza tym reszta studentów pierwszego roku nie wróciła jeszcze z zajęć. Usiadł na zimnej podłodze, przyciągnął kolana do piersi i próbował powstrzymać drżenie.

- Nic się nie stało - powtarzał sobie bez końca. - NIC się nie stało. „Flora Syhatica. Flora Indica”.

W gardle wezbrała mu żółć i głośno ją przełknął.

- Przestań. PRZESTAŃ.

Zimno, było mu bardzo zimno... Zaczął się kołysać w przód i w tył, mocno opleciony rękami, i tył jego głowy stuknął o ścianę biblioteki. Tępy ból i twardość cegieł okazały się dziwnie pokrzepiające. Odruchowo uderzył głową jeszcze raz, a potem znowu. Bum. Bum.

Zamknął oczy, próbując się odciąć od koszmaru ostatnich godzin, oderwać się od tego miejsca. Podmokłe niziny otaczające wioskę Naćimandów. Dewanna z Kodagu.

Bum.

Bum.

Ból rozkwitł pośrodku jego czoła niczym kwiat o pomarańczowych płatkach. Dewanna z Kodagu, znowu w misji. Wioska Palladów. Spójrz, trawa. Kiełkuje między palcami stóp. Zapach jej włosów, świeży, hibiskusowy.

„Dewi”.

Byli ze sobą zżyci, odkąd sięgał pamięcią, jak dwa jajka w gnieździe.

128

W końcu pierwszy semestr dobiegł końca i nadszedł czas balu studentów pierwszego roku. Ojciec Dunleavy rozpoczął uroczystość przemówieniem.

- Koniec - ostrzegł z podium. - Sezon kotowania dobiegł końca, chłopcy. - Spojrzał wymownie na Martina, który stał z kamienną twarzą. - Oczekuję, że od tej pory będziecie się do siebie odnosić uprzejmie, jak profesjoniści i dżentelmeni.

Później wezwał Martina do swojego gabinetu.

- Mam cię na oku, Thomas - oznajmił. Jeszcze jeden niestosowny incydent, a z dowodami czy bez, Martin miał zostać pociągnięty do odpowiedzialności. Ojciec Dunleavy zapowiedział, że jeśli Dewanna jeszcze raz zderzy się z drzwiami, władze uczelni nie będą miały innego wyjścia, jak tylko zawiesić podejrzanego w prawach studenta. Martina ogarnęła wściekłość z powodu tak wielkiej niesprawiedliwości, lecz mimo to nie był w stanie spojrzeć ojcu Dunleavy'emu w oczy.

- Kapuś! - wrzasnął na Dewannę, obryzgując mu twarz kropelkami śliny. - Pieprzony donosiciel, zapłacisz mi za to.

Nie mając odwagi tknąć Dewanny, Martin rozgłosił w internacie, że od tej pory nikt nie może zwracać na Dewannę uwagi, a tym bardziej

z nim rozmawiać. Jeśli zobaczy, że ktoś choćby zerka w stronę ókry, zgotuje mu piekło.

Dewanna był tak wdzięczny losowi za to, że kotowanie wreszcie dobiegło końca - a przynajmniej tak mu się wydawało - że na początku nawet nie zdawał sobie sprawy z tego wykluczenia. Bał mieli już za sobą, prawda? Sezon kotowania nareszcie się skończył. Zniósł to jak mężczyzna, spełnił swoją powinność. Upajał się panującym wokół spokojem, tym, że może chodzić korytarzami i nie musi ze strachem zerkać przez ramię. Tym, że może przespać całą noc, nie zadrezczając się myślami o nowych torturach, jakie szykował dla niego nadchodzący dzień.

Odwrócił się od męczarni minionych miesięcy, pragnąc upchnąć okropne wspomnienia, dziką wściekłość i gorzką nienawiść do Martina w twardą, ciemną grudkę i zakopać ją gdzieś głęboko w sercu.

Wreszcie koszmar się skończył.

Powoli zaczął to jednak zauważać: ciszę, która zapadała, kiedy wchodził do pomieszczenia. W końcu gwar ostrożnie wracał, lecz gdy tylko

129  
Dewanna próbował się przyłączyć, koledzy odchodzili. Kiedy siadał przy stole w stołówce, chłopcy przenosili się do innego. Kiedy chciał z kimś porozmawiać, odnosił wrażenie, że mówi do głuchego. W końcu zwrócił się do jednego z indyjskich uczniów z grupy, drobnego, pilnego studenta z wyraźną wadą zgryzu. Chłopiec usiłował odejść, ignorując pytania Dewanny, lecz powstrzymało go bezgraniczne zdumienie na twarzy kolegi. Przyciskając książki do piersi i rozglądając się nerwowo, powiedział Dewannie o zakazie Martina.

Wstrząśnięty Dewanna stał i patrzył na umykającego Indusa, a nienawiść, którą starał się zagrzebać, wrzała, zmieniając się powoli w tępą furję. Co takiego zrobił Martinowi? Pójdzie do niego i zażąda sprawiedliwego traktowania, rozkwasi mu głowę najcięższym kamieniem, jaki znajdzie, a potem...

Nie. To było poniżej jego godności. Powoli wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić. Dewanna z misji wiedział, co należy zrobić. Niech przemówią czyny. Nie da się sprowokować, w żaden sposób się nie zemści. Postara się jednak zostać najlepszym studentem, jakiego kiedykolwiek widział ten college.

Tak. Zasłuży na szacunek uczelni, zdobędzie go wytrwałą pracą.

Dewanna starał się ze wszystkich sił, lecz fatalnie oszacował wyniki. Bo im więcej uwagi poświęcali mu profesorowie, tym bardziej drażnił kolegów. Współczucie, którym go darzyli w pierwszym semestrze, natychmiast zniknęło, przysłonięte widokiem jego dłoni, która na zajęciach wiecznie sterczała w górze. Zaczęli omijać Dewannę na korytarzach, a w internacie otwarcie go unikali. Widzieli w nim pupilka wykładowców, nieznośnego lizusa. Raz znalazł w łóżku zdechłą żabę, a innym razem ktoś oblał jego książkę do zajęć praktycznych kwasem siarkowym. I nadal nikt nie chciał z nim rozmawiać.

Zdezorientowany Dewanna nie poddawał się, zbyt dumny, by postąpić inaczej. Cały czas czuł jednak w ustach kwaśny smak. Egzaminy końcowe zdał śpiewając i w końcu nastał ostatni dzień roku akademickiego.

Dewanna natychmiast wyruszył do Kodagu, chudszy i wyższy, niż gdy

z niego wyjeżdżał, z blizną na żebrach i przebarwieniem w dolnej części pleców po wyjątkowo brutalnym laniu. Rozpromieniony Gundert  
130

wybiegł ze swojego gabinetu, gdzie przez pół godziny stał przy oknie, niby przeglądając korespondencję, lecz tak naprawdę czekając, aż Dewanna pojawi się w bramie. Nowicjuszek zebrały się wokół Dewanny i skupione na gościu dziwiły się, jak bardzo urósł, ale Gundert od razu zwrócił uwagę na jego zmizerniałą twarz. W chłopcu wyczuwało się napięcie jak w zbyt mocno naciągniętej sprężynie.

- Wszystko w porządku, Dew? - zapytał później, kiedy zostali sami w gabinecie. Wcześniej złożył w sklepie misyjnym specjalne zamówienie na ciasto owocowe, które Dewanna uwielbiał, lecz chłopiec ledwie je skubnął.

- Żałuję, że nie mogłem cię odwiedzić. Naprawdę bardzo chciałem, wierz mi, ale nie zdołałem się stąd wyrwać.

Dewanna pokiwał głową.

- Dew... - Gundert spróbował jeszcze raz. - Wszystko w porządku? Chcesz mi o czymś opowiedzieć, moje dziecko?

Przez ułamek sekundy Dewanna miał to na końcu języka. Brutalność pierwszego roku nauki, gwałtowny przyływ wściekłości, jaki czuł na myśl o Martinie. „Dlaczego ja? - miał ochotę zapytać. - Co ja takiego zrobiłem temu draniowi?” Słowa uwieźły mu w gardle i zamiast tego wbił wzrok w podłogę. Jakaś mrówka zwęszyła okruchy ciasta i mozolnie taszczyła łup. Wystarczyłby jeden mały ruch nogi, żeby ją unicestwić. Dewanna zerknął w stronę Gunderta.

- Wszystko w porządku, wielebny - powiedział beznamiętnym tonem i ponownie skupił się na obserwacji zmagania mrówki.

- Wiesz, że możesz mi mówić o wszystkim, moje dziecko - Gundert na chwilę zamilkł, zaniepokojony oschłym tonem Dewanny, szukając odpowiednich słów. - Znam cię, odkąd biegałeś w krótkich spodenkach i byłeś taki mały. - Uśmiechnął się i wyciągnął rękę na wysokości pół metra od podłogi, lecz Dewanna nawet tego nie zauważył. Chłopiec tracił mrówkę nogą, patrząc, jak stworzenie się chybotze, a potem, odzyskawszy równowagę, zaczyna pędzić po podłodze. Ręka Gunderta powoli opadła.

- Dew... - spróbował jeszcze raz - jeśli mógłbym dla ciebie coś zrobić, mój synu, jeśli mógłbym ci jakoś pomóc, pamiętaj, że wystarczy poprosić.

Dewanna milczał, a potem spojrzał na wielebnego i pokiwał głową. Mrówka uciekła, znikając w bezpiecznej szczelinie między deskami podłogi.

131

- Chodź - powiedział Gundert, próbując stłumić niepokój - temu wieczorowi brakuje odrobiny poezji. - Sięgnął po jeden z tomików stojących na regale i zaczął głośno czytać.

Spałem na wargach poecie

Snem o kochanej kobiecie

Nim szmer oddechu go zmiecie.

Z początku Dewanna tylko słuchał, znajoma intonacja głosu wielebnego koła mu zmysły, szlifowała postrzępioną, odsłoniętą płataninę jego

myśli. Stopniowo jego usta zaczęły się nieśmiało poruszać, spiesząc za ukochanymi słowami.

Od świtu po zmierzchów cienie

Patrzy w odbicia promieni

Od fal na skrzydełkach pszczelich

W bluszczu, choć nie widzi, nie wie\*.

Tamtej nocy spał, po raz pierwszy od długiego czasu, ukołysany do snu człowieka wyczerpanego, pozbawionego marzeń sennych.

Dopiero gdy następnego dnia ujrzał Dewi i usłyszał jej dziki okrzyk radości, cienie zasnuwające mu oczy zaczęły się w końcu rozstępować.

Rozległe połacie pól. Wypełniona dymem kuchnia taji. Maleńki pieprzyk obok ust Dewi, baldachim lasu na tle błękitnego nieba. To wszystko wsiąkało w jego świadomość jak deszcz w wyschniętą ziemię, pobudzając do życia słowa, które przez cały rok leżały uśpione. Dewanna znowu zaczął mówić. Mówił, prawie nie zaczerpując oddechu, zdania wylewały się z niego nieskończonym, czasami bezładnym potokiem, jakby mogły pogrzebać nieszczęścia minionego roku.

Z początku Dewi słuchała go z przejęciem, okazując na zmianę rozbawienie i fascynację, kiedy opisywał niekończące się, wymaginowane sceny ze studenckiego życia.

- Mam tam tylu przyjaciół - chwalił się. - A czy już ci mówiłem, że najlepiej na roku zdałem egzaminy semestralne? Szkoda, że nie widziałaś, jak mnie tam rozechwytają: „Dew, chodź, zjedz z nami obiad”, „Dew, co powiesz na odrobinę tenisa? Pójdiesz z nami do Cubbon Park?”.

Dewi śmiała się zachwycona.

\* P.B. Shelley, Prometeusz wyzwolony, tłum. L. Elektorowicz, Kraków 1982, s. 61.

132

Rozochocony jej zainteresowaniem, zaczął snuć jeszcze bardziej wymyślne opowieści, rozdmuchując wspaniałość Bangaluru do granic możliwości.

- Naprawdę, Dewi - powtarzał - szkoda, że nie możesz zobaczyć tego miasta.

- Hmm - zamyśliła się w końcu. - Jestem pewna, że w Bangalur jest wspaniały, ale nie powiesz chyba, że nasze Madikeri wypada dużo gorzej? Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Madikeri? Moja droga, nie wiesz, co mówisz. Kiedy człowiek ujrzy Bangalur, od razu widzi, że Madikeri to tylko senne, prowincjonalne miasteczko!

Dewi, ugodzona jego zarozumiałością, zerwała się na nogi.

- Może ja lubię senne miasteczka - odparowała - bo wcale nie mam ochoty oglądać tego twojego wspaniałego Bangaluru.

- Nie, Dewi - wołał za nią zdumiony. - Zaczekaj, nie to miałem na myśli. - Pobiegł za nią, czując rosnący ucisk w gardle. - Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałem... jak bardzo czekałem... Dewi, stój...

Choć Dewi nie mogła się doczekać, kiedy znowu zobaczy starego przyjaciela, Dewanna coraz bardziej działał jej na nerwy. Te jego niekończące się historie. Od świtu do zmierzchu nie robił nic innego, tylko łąził za nią i głądził. Zaczęła go unikać, wymykała się z domu, kiedy widziała, jak pogwizdując, zbliża się ścieżką do domu Naćimandów.

- Iguthappo swami, to znowu on. Taji, powiedz mu... Po prostu po-



wiedz, że poszłam odwiedzić przyjaciółkę - szeptała, wymykając się tylnymi drzwiami.

- Też coś - oburzała się taji. - Jak można tak traktować tego biednego chłopca? I zmuszać mnie, żebym go okłamywała... - Zapędzała Dewannę do kuchni, piekła mu gorące otti, napychała go ćatni z krabów i smażonymi pędami bambusa, póki nie wytrzebiła z jego ust mdłego smaku stołówkowego jedzenia, lecz było to marne pocieszenie. Im bardziej Dewanna pragnął się spotykać z Dewi, tym mniej czasu dla niego miała.

Wybierała się na targ i nie, nie mógł jej towarzyszyć, po prostu miała tam za dużo roboty.

Musiała odwiedzić przyjaciółkę.

133

Bolała ją głowa i chciała odpocząć.

Pewnego razu postanowił za nią pójść, choć Dewi wołała iść sama.

- Dlaczego nie mogę iść z tobą? - dopytywał się. - Przecież na polach nikogo nie ma, nie widzisz? Co jest aż tak pilnego, jakaż to praca nie może poczekać, że musisz tam iść akurat teraz, w popołudniowym upale? Chyba że... - dodał półzartem, kiedy do głowy nagle przyszła mu pewna myśl - chyba że umówiłaś się z kimś na potajemną schadzke? Sfrustrowana Dewi wybuchnęła płaczem, a on, zmieszany, próbował ją przeprosić.

- Dlaczego nie możesz mnie zostawić w spokoju? - zawołała. - Dobrze, nie pójdę na pole, zadowolony?

- Przepraszam, przepraszam, nie powinienem był tego mówić...

- Przestań za mną łazić! Gdziekolwiek się obejrzę, widzę ciebie, jesteś jak cień. Zostaw mnie w spokoju, błagam cię, daj mi spokój.

Wkrótce potem wyruszył do domu Kambejmadów, ku wielkiej uldze Dewi. Tam zarżnięto dwie świnię, by wyprawić ucztę na jego cześć, i po raz pierwszy w życiu pozwolono mu pić alkohol. Ryżowy trunek wypalił ognistą ścieżkę w jego gardle. Wirowało mu w głowie i w końcu wszędzie widział Dewi, uśmiechającą się z luster w palisandrowych ramach, odbitą w srebrnych kieliszkach, tańczącą na belkach pod sufitem.

Kiedy Maću napomknął, że pod koniec tygodnia wybiera się do Madikeri po broń, Dewanna poprosił, żeby zabrał go ze sobą.

- Musisz bardzo kochać najaka Palladę - zagadnął go Maću po drodze. - Tak szybko chcesz do niego wracać.

Dewanna zaczerwienił się i wymamrotał niezrozumiałą odpowiedź.

Tamtego popołudnia, kiedy Maću powiedział Dewi, że wrócił Dewanna, dziewczyna się uśmiechnęła. Stęskniła się za tym głuptasem.

- Chłopak jest w tobie zakochany - powiedział Maću. - To ze względu na ciebie tu przyjeżdża.

Dewi spojrzała na niego ze zdumieniem i wybuchnęła śmiechem. -

Nic podobnego - wyrzuciła z siebie. - Przyjaźnimy się od dziecka i tyle.

- Nie istnieje coś takiego jak przyjaźń między dorosłym mężczyzną i kobietą - beznamiętnie oświadczył Maću. - Widziałaś kiedyś w dżungli dwa słonie trzymające się za trąby i będące jedynie przyjaciółmi? A może widziałaś przyjaźń w oborze, między bykiem i krową? W naturze takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Dorosły mężczyzna i dorosła kobieta

nie mogą być tylko przyjaciółmi.

134

- Hmm - odpowiedziała z psotną miną, obrzucając go garścią trawy. - Jeśli masz rację, to może powinnam potraktować jego zaloty poważnie. Lepszy lekarz niż taki nieokrzesany myśliwy jak ty...

Maću wcale nie wyglądał na rozbawionego. Dewi także, mimo żarcików, była tamtego wieczoru zamyślona i zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Kiedy Dewanna przybył z wizytą, zachowywała się powściągliwie i była skrepowana. Choć nie mogła znieść bólu, jaki jej wyniosłe zachowanie budziło w Dewannie, nie była w stanie się powstrzymać. Wakacje zbliżały się ku końcowi i Dewanna coraz bardziej zamykała się w sobie. Początkowa fala słów, która wypływała z jego ust, ożywienie towarzyszące powrotowi w rodzinne strony, ustąpiły miejsca cichemu, pełnemu napięcia skupieniu. Wielebny nieustannie słał listy, zapraszając Dewannę do misji, aż w końcu najak Pallada, nie zważając na to, że zwraca się do przyszłego lekarza, stracił cierpliwość i krzyknął do chłopca:

- Ile razy wielebny będzie cię musiał prosić, baranie jeden?

Dewanna wyruszył do misji, lecz późnym popołudniem był już z powrotem w domu Naćimandów i siedział z taji na werandzie, powoli machając nogami. Dewi była dla niego coraz bardziej oschła, lecz Dewanna w ogóle na to nie zważał i pochłaniał ją wzrokiem, aż w końcu znów wybuchnęła płaczem i taji musiała zasugerować, że byłoby najlepiej, gdyby na jakiś czas przestał ich odwiedzać.

Mijał dzień za dniem. W sercu Dewanny coraz bardziej rósł śmiertelny strach, gdyż znowu zawisa nad nim wizja powrotu do internatu. W jego głowie kłębiły się szalone plany. Zaręczy się z Dewi i za rok wezmą ślub. Mogliby zamieszkać w kwaterach dla żonatych studentów - nie musiałby więcej przebywać w internacie. Potem przypominała mu się twarz Dewi, na której, kiedy pewnego razu nagle się odwróciła i napotkała jego wzrok, zagościł wyraz obrzydzenia. A może, co gorsza, nie było to obrzydzenie, lecz politowanie? Powoli ulatywała z niego energia. Wkrótce znowu zmizerniał i stał się nieszczęśliwy.

W dniu, w którym miał wyruszyć do Bangaluru, Dewi przybyła z wizytą do domu najaka Pallady.

- Co? - zapytała z wyrzutem. - Zamierzałeś tak po prostu wyjechać bez pożegnania?

- Chciałem...

- Tak, tak, z pewnością. Masz - powiedziała. - To dla ciebie.

Podawała mu dwa słoiki marynaty z mango, trzy - solonych gorzkich limonek, pięć - peklowanej dziczyzny i sześć paczek pełnych kokosowych kuleczek laddu, które Dewanna uwielbiał. Ze zdumieniem wpatrywał się w tę górę jedzenia.

- Jak mam to wszystko zjeść?

- Hmm - powiedziała, odrzucając warkocz na plecy. - Może i twój Bangalur jest wspaniały, ale powiedz, gdzie tam znajdziesz równie cudowne pikle jak te zrobione przeze mnie?

Uśmiechnął się.

- Zaczekaj - powiedziała. - To jeszcze nie wszystko. - Podawała mu małe, ruszające się zawiniątko. - Tukra znalazł ją na naszym polu. Pomyślałam.. . pomyślałam, że powinieneś ją dostać, żeby ci o nas wszystkich

przypominała.

Dewanna spojrzał na małą wiewiórkę posapującą na jego dłoni.

- W internacie nie wolno trzymać zwierząt - zaczął, ale zamilkł na widok zawiedzionej miny Dewi. - Nieważne, ukryję ją. - Delikatnie pogładził wiewiórkę kciukiem po rudym futerku i zwierzątko popatrzyło na niego jasnymi, ciekawskimi oczkami.

- Dewi - powiedział pospiesznie. - Muszę cię o coś zapytać...

Wiewiórka zaczęła trącać go noskiem w kciuk.

- Och, tylko spójrz - zawołała Dewi. - Biedactwo jest głodne!

Dewanna tulił wiewiórkę przez całą drogę do Bangaluru, nie puszczając jej nawet na chwilę, mimo że osikała mu cały płaszcz. Uśmiechał się do siebie na wspomnienie poranka. Razem z Dewi nakarmili wiewiórkę, nasączając rozrzedzonym mlekiem włókno drzewa kapokowego. Napięta atmosfera poprzedniego tygodnia ulotniła się jak za sprawą czarów i śmiali się z wyczynów małej wiewiórki, sypiąc głupimi żarcikami, aż ich wzajemne relacje stały się takie jak dawniej.

Za rok, obiecał sobie Dewanna. Jeszcze rok. A gdy wróci do Kodagu na wakacje, oświadczy się Dewi.

Dewanna postanowił zatrzymać wiewiórkę. Nie wiedział jeszcze, jak ją ukryje przed resztą mieszkańców internatu, ale jednego był pewien: nic nie zdoła ich rozdzielić.

Z początku szło gładko. Inni studenci prawie nie zwracali na niego uwagi, więc mógł przemycić maleństwo do pokoju i przez dwa dni z powodzeniem ukrywać je w pudełku po butach. Ale trzeciego dnia koledzy weszli do pokoju, akurat kiedy karmił wiewiórkę.

- Jeśli któryś z was odważy się choćby... - zaczął surowym tonem, ale oni z fascynacją wpatrywali się w zwierzątko.

- Co to takiego?

W obronnym geście przytulił maleństwo do piersi.

- Wiewiórka malabarska.

- Wiewiórka? Są aż tak duże?

- Ta jest jeszcze mała - odpowiedział nieufnie. Pogładził wiewiórkę po główce, a ona w zamyśleniu otarła pyszczek o jego palce.

- Jaka duża urosnie? Johnson, chodź tutaj, musisz to zobaczyć. Ma takie rude futerko. Gryzie? Mogę ją potrzymać? Czym się żywi? Zamknij drzwi, pacanie, chyba nie chcesz, żeby nas zobaczył strażnik?

Chłopcy otoczyli Dewannę. Wiewiórka ziewnęła, odsłaniając maleńkie, różowe dziąsła, a potem, pośród okrzyków zadowolonej widowni, wspięła się po ręce Dewanny i owinęła się wokół szyi uśmiechniętego chłopca.

137

Wiewiórka została czymś w rodzaju maskotki jego rocznika, ich wspólną tajemnicą. Przekupili sprzątacza dwiema rupiami, żeby nie doniósł o wiewiórce strażnikowi, i na zmianę przemycali dla niej mleko ze stołówki. Sprawdzili w bibliotece, czym należy ją karmić, a potem przynosili jej małe łakocie, orzechy ziemne, siekane owoce i kawałki ugotowanego jajka. Nazwali ją Nancy, na cześć żony uczelnianego nadzorca odpowiedzialnego za dyscyplinę - te same rude włosy, stwierdzili - a Nancy robiła wszystko, by oczarować studentów swoim wdziękiem. Siedziała na karniszu, a gdy ktoś otwierał drzwi do pokoju, ze świergo-

tem delikatnie łądowała gościowi na głowie. Jadła im z ręki, kokieteryjnie muskając ich przedramiona ogonem, a gdy dzwoniło na pobudkę, biegła po dormitorium, skacząc z łóżka na łóżko, póki wszyscy się nie pobudzili.

Choć sprawiedliwie rozdzielała swoje sympatie, miłość zarezerwowowała wyłącznie dla Dewanny. Gardząc wyściełanym pudełkiem po butach, które dla niej przygotował, upierała się, żeby spać obok niego, zwinięta na poduszce. W końcu Dewanna oddał jej całą poduszkę i zaczął spać na plecach, w obawie, że mógłby się obrócić we śnie i niechcący ją przygnieść. Budziła go codziennie rano, delikatnie trącając palce noskiem, a kiedy siedział przy biurku, wdrapywała mu się na koszulę i dreptała po brzuchu. Przymilała się, zwłaszcza kiedy wracał z zajęć. Sadowiła mu się wtedy na ramionach i trącała noskiem jego szyję, wydając pełne wyrzutu dźwięki: „gdzie się podziewałeś, jak mogłeś mnie zostawić samą?”.

W Kodagu Dewannę zawsze otaczały zwierzęta. Koty, które ocierały się o nogi, psy na werandach, krowa na podwórzu Naćimandów - delikatne, czułe stworzenie, któremu największą przyjemność sprawiało gładzenie po rogach, świnie, które opierały racice o ścianę chlewu, żeby obserwować, co się dzieje na podwórzu. Dewanna nigdy jednak nie miał zwierzęcia, które należałoby tylko do niego. Wkrótce kompletnie stracił głowę dla swojej wiewiórki.

Ze strachu przed Martinem studenci omijali Dewannę szerokim łukiem w miejscach publicznych: w stołówce, w bibliotece i w salach do nauki. Mimo to ich zachowanie zmieniło się i zdumiony Martin patrzył, jak - prawie przepaszająco, z poczuciem winy - mijają stół, przy którym siedzi Dewanna. Spojrzał na Dewannę, który w milczeniu jadł owsiankę. W óchorku też coś się zmieniło. Nie wiedział, co dokładnie, ale chłopak był jakiś inny.

138

Wieczorem, po powrocie do dormitorium, koledzy Dewanny opróżniali kieszenie, wyjmując z nich łakocie dla Nancy i podając je Dewannie, jakby próbowali zmyć swoje winy.

- Hej, trzymaj, stary... i to też. Jadła coś dzisiaj?

Dewanna przyjmował te fanty bez komentarza, patrząc z dumą na Nancy, która wprawiała jego kolegów w zachwyt swoimi wodewilowymi popisami.

- Hej, Dew, powiedz, żeby do mnie przyszła... - A on delikatnie strząsał Nancy z ramienia.

- Wszystko gra, stary? Trzymaj, zdobyłem to dla niej...

- Popatrzcie tylko! Gdzie ona się tego nauczyła. Prawie zrobiła przewrót w tył, no nie?

- Nancy, masz, Nancy, grzeczna dziewczynka. A co to? - zawołał któryś z chłopców, spoglądając na kartki spoczywające w dłoni Dewanny. - Już napisałeś pracę?

- Nie jest taka trudna, pod warunkiem że... Mogę ci wszystko wytłumaczyć, jeśli chcesz - nieśmiało zaproponował Dewanna. Koledzy z grupy zaczęli korzystać z jego uprzejmości.

Dzięki Nancy semestr wydawał się Dewannie zdecydowanie łatwiejszy niż poprzednie. Nadal nie był w stanie patrzeć na Martina bez

odrazy, ale przynajmniej nie musiał znosić dotkliwej wrogości innych studentów. Pogodził się z tym, że nigdy nie sprzeciwią się Martinowi, żeby otwarcie stanąć w jego obronie, ale prawdę mówiąc, przestało go to obchodzić. Po prostu nie przejmował się już tym, czy go lubią, ani czy go szanują.

A wszystko dzięki Dewi. Słał jej szczegółowe opisy każdej eskapady Nancy, bez końca dziękując za подарowane zwierzę. „Nawet sobie nie wyobrażasz, ile ona dla mnie znaczy, Dewi. Dziękuję, dziękuję ci po tysiącokroć za najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek ktokolwiek otrzymał”. Nigdy nie odpisała. W czasie wakacji zapytał ją, dlaczego nigdy nie przysłała mu listów. Silił się na beztroski ton, jakby odpowiedź wcale nie była istotna.

- Och, wiele razy chciałam to zrobić - odpowiedziała niespeszona - ale zawsze mi coś przeszkadzało. Znasz mnie, nigdy nie byłam dobra w pisaniu.

Jego odpowiedź zabrzmiała oschlej, niż zamierzał.

- Wiesz, Dewi, list to nic trudnego. Nie trzeba być... chininologiem, żeby go napisać.

139

Słyszając obce słowo, zmarszczyła brwi, dokładnie tak jak przewidział, lecz była uparta i nie zapytała, co ono znaczy.

- Ty piszesz ich tyle, jeden po drugim, bez przerwy - odparowała cierpko - że nie mam czasu nawet ich przeczytać, a co dopiero na nie odpowiedzieć.

- Gdybyś w ogóle mogła je zrozumieć... - zaczął, lecz nagle pokręcił głową. - Mniejsza z tym.

- Co się stało? - zapytała taji, gdy sztywno wszedł do kuchni. - Skąd ta smutna mina?

- Ech, nic... - westchnął, obracając łyżki. - Dewi powiedziała, że piszę do niej zbyt wiele listów.

Taji się uśmiechnęła. Później, gdy pozmywała naczynia, przyniosła z pokoju pudełko i postawiła je chłopcu na kolanach. Było z palisandru, okute mosiądzem. Otworzył je ze zdumieniem, a tam, pośród bransolet i innej biżuterii, leżały jego listy, wszystkie co do jednego, otwarte.

- Spójrz, monae - powiedziała taji łagodnym głosem. - Zachowuje każdy z nich.

Zatem pisał do niej dalej, sumiennie. Nie liczył już na odpowiedź, ale gdy dostarczano korespondencję i tak niecierpliwie czekał, aż wywołają jego nazwisko. Gdy je usłyszał, trudno mu było powstrzymać przyпіływ podniecenia, po którym nieuchronnie następowało rozczarowanie - aczkolwiek niesprawiedliwe - kiedy spoglądał na kopertę i rozpoznawał staranną kaligrafię wielebnego.

- Nie napisała - smutno żalił się Nancy, biorąc ją na ręce. - Nie przyszedł żaden list. Przynajmniej dzisiaj.

Nancy, jak gdyby wyczuwała jego smutek, rozpoczynała wędrówkę po koszuli, trącąc go noskiem w uszy i szyję i zwijając się wokół ramion, póki Dewanna w końcu się nie uśmiechnął.

- Wiem, wiem, gadam głupoty. Tęskni za nami, wiem, że tęskni. Po-czekaj do przyszłego roku. Jeszcze tylko kilka miesięcy, Nance.

Wiewiórka ze współczuciem owijała się wokół jego szyi i Dewannie

robiło się lżej na sercu.

W collegeu pojawili się studenci pierwszego roku. Ojciec Dunleavy wyraźnie zabronił Martinowi i jego bandzie jakiegokolwiek, choćby najmniejszego udziału w kotowaniu. Ostrzeżenie okazało się zbyteczne.

140

Koledzy Dewanny z radością rzucili się na młodszych studentów, szykując zemstę za to, przez co sami musieli przechodzić rok wcześniej.

- To dla waszego dobra - zapewniali pierwszaków. - Powinniście być nam wdzięczni, hartujemy was przed wkroczeniem do prawdziwego świata.

Dewanna trzymał się z dala od kotowania, ale pewnego wieczoru, kiedy wracał z biblioteki, niosąc stertę książek, koledzy z roku zawołali go na korytarz. Nie bali się, że wzbudzą wściekłość Martina. On i reszta jego bandy wyjechali do wioski w głębi stanu w ramach szkolenia terenowego przewidzianego w programie nauki.

- Chodź, Dew - wołali koledzy. - Przyłącz się.

Dewanna się zawahał. A potem, nie umiejąc zlekceważyć tej gałązki oliwnej, z ociąganiem przyłączył się do tłumu, który otoczył zalęknionych pierwszaków.

- Ściągać gacie - zawołali studenci drugiego roku, rozdając drewniane linijki. Wzrok Dewanny spoczął na pewnym pulchnym chłopaku, tak wyraźnie wystraszonego tym zadaniem, że nawet jego obwisłe pośladki spłonęły jaskrawą czerwienią. Dygocząc, pochylił się przed kolegą z roku i otarł pot z czoła.

- Co jest, grubasie? - zawołał ktoś. - Szybciej.

- Ja... ja... - Trzęsły mu się ręce. A potem odłożył linijkę na podłogę. - Ja nie potrafię. Tak nie można, to grzech...

Rzucili się na niego, wykręcili mu ucho, pohukiwali i gwizdali, kopiąc ten obwisły tyłek.

- Jesteś święty czy co, grubasie? A masz, damy ci nauczkę. Gruba beksa!

Dewanna w milczeniu stał z boku i czując w ustach lekki smak żółci, patrzył, jak pierwszak pada na ziemię niczym ogromna, zapłakana kupa nieszczęścia. Chciał krzyknąć „przestańcie!” Chciał powiedzieć temu chłopakowi, żeby zachował się jak mężczyzna, żeby wstał z podłogi, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Nikt nie zauważył, kiedy Dewanna wyszedł. Ruszył prosto do opuszczonego dormitorium i ciężko usiadł na swoim łóżku. Po piętrach niósł się przytłumiony śmiech. Dewanna przełknął ślinę. Wyobraził sobie płaczącego na podłodze chłopaka. „Zachowuj się jak mężczyzna”. Znowu śmiech. Serce zaczęło mu gwałtownie bić i czoło oblał pot, kiedy nagle po raz kolejny wróciły wspomnienia ubiegłego roku.

„Flora Syhatka. Flora Indica. Spicilegium Neilgherrense. Leones Plantarum”.

141

Dewanna wydał z siebie zdławiony okrzyk i wstał. Gwałtownie otworzył szufladę biurka, w której zaczął szukać kałamarza i wiecznego pióra. Prawie nie zauważył Nancy, która wskoczyła mu na kolana. Wyrwał kartkę papieru kancelaryjnego i ciężko oddychając przez usta, zaczął pisać. „Dewi”. Dość, dość tej powściągliwości, tego czekania. Powie jej o wszystkim. O kłębiących się w nim emocjach. O obrzydzeniu, jakie

poczuł na widok łez tamtego chłopaka, o duchach, jakie obudził widok gnębiącego go tłumu. Stał z boku i przyglądał się. Mimo wszystkiego, przez co sam przeszedł, milczał, nie potrafił, nie chciał nic powiedzieć, żeby przerwać ten upokarzający proceder. Do tej pory potrafił jedynie siedzieć cicho. Przy kolegach z college u. Przy niej. Ale dość tego. „Dewi”, napisał, a dobiegające z dołu szyderstwa podzwaniały mu w uszach. Stałówka pióra drapała o papier. „Dewi. Tęsknię za tobą. Tak bardzo za tobą TĘSKNIĘ. Bez ciebie zamieniam się w cień. Dewanna z Kodagu jest bez ciebie zgubiony. Dewanna z misji staje się pustą muszlą, przyjmującą sztuczne pozy. Dewi-Dewi-Dewi”. Pisał z taką gwałtownością, że stałówka rozdarła papier, pozostawiając duży kleks atramentu, który zaczął się rozlewać na jego słowa.

Zgniół zmarnowaną kartkę w kulkę i odrzucił ją z taką siłą, że Nancy zeskoczyła mu z kolan. Wystraszona, wspięła się po zasłonach, fukając na niego i robiąc mu wyrzuty, póki w końcu nie westchnął i nie odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Przepraszam, milady - powiedział, pojednawczo wyciągając rękę. - Masz rację, nie powinienem się tak niecierpliwić.

Nancy ostrożnie zeszła na dół, nadal wydając z siebie pomruki niezadowolenia. Dewanna zamknął pióro i posadził ją sobie na kolanach. Gładził futerko wiewiórki, czując, jak niepokój stopniowo ustępuje. Śmiechy na parterze ustały. Prawdopodobnie zarządzono przerwę.

Na schodach rozległ się stłumiony tupot. Dewanna mocniej przytulił Nancy, podenerwowany wydarzeniami wieczoru. Niechętnie rozstawał się z krótką chwilą samotności. Smutno spojrział przez okno. Na zachodzie zmierzch zalewał wzgórze. Dewi pewnie zapalała lampę na podwórzu. Nieświadomie przygryzała usta, stojąc na palcach. Ostrożnie, tylko ostrożnie, żeby nie rozlać oleju. Światło migotało na jej twarzy, niesforny kosmyk włosów zwinął się w lok na policzku.

142

Wiewiórka, jakby wyczuwała jego nastrój, owinęła się wokół szyi Dewanny i nawet nie podniosła główki, gdy do dormitorium zwycięsko wkroczyła reszta lokatorów.

Podczas całej wycieczki Martin był ponury i drażliwy. Myślał o tym pedale chókrze. Pieprzony chókra. Miał wrażenie, że w czasie wakacji coś się w nim zmieniło. Był tego pewien. Tylko co?

Kiedy kilka tygodni później wracali do college u, nawet kumple omijali Martina z daleka, wyczuwając jego podły nastrój. Siedział na samym końcu autokaru, rezerwując dla siebie wszystkie miejsca i w zamyśleniu strzelając z knykcii. Do college'u dotarli po południu. W internacie panowała cisza, wszyscy studenci byli na zajęciach. Wiedziony nagłym impulsem, pomaszerował do dormitoriów drugiego roku. Zamaszystym ruchem otworzył drzwi do pokoju Dewanny i wrzasnął przerażony, kiedy na głowie wylądowała mu Nancy.

- Złaż, złaż ze mnie! - krzyknął. Wiewiórka wdrapała się po zasłonach i usiadła na karniszu, fukając na niego ze złością.

- Co do chole...? - Martin zerknął do góry. Potrząsnął zasłonami i cicho zagwizdał. Co to takiego? - Chodź... Chodź do mnie. - Wyciągnął rękę. Nancy powoli zeszła na dół, przystając co chwilę, żeby go ofuknąć. - Chodź tutaj. - Ledwie zdążyła zbliżyć nosek do jego dłoni,

złapał ją mocno drugą ręką, zamykając zwierzątko w uścisku. Ogarnięta przerażeniem, Nancy zaczęła się wyrwać. Otworzyła pyszczek i zatopiła maleńkie, ostre jak igły zęby w jego kciuku.

Zawodząc z bólu, odrzucił ją na bok i wiewiórka jeszcze raz szybko wdrapała się po zasłonach, popiskując ze strachu. Martin potrząsnął nimi tak mocno, że spadła. W połowie lotu wyprostowała się i wylądowała na parapecie. Puściła się biegiem i skoczyła prosto na łóżko Dewanny. Dygocząc, zanurkowała pod swoją poduszkę.

Masując zranioną dłoń, Martin zaczął się śmiać. Ćhokra.

Wracając do dormitorium, jeszcze zanim wszedł do pokoju, Dewanna od razu poczuł, że stało się coś strasznego. Tłum chłopaków wokół jego łóżka i ich przerażone, piskliwe głosy. Skamieniały stanął na progu.

143

- Dew, stary... tak mi przykro.

Ktoś wziął od niego książki. Kiedy ciężkim krokiem zbliżał się do łóżka, tłum powoli się rozstąpił.

Nancy leżała na jego - na swojej - poduszce. Ktoś przeprowadził na niej wiwisekcję, przyczepiając ją do tablicy dysekcyjnej i rozcinając jej ciało od brody do ogona. Choć w umyśle Dewanny kłębiła się mgła, nie mógł nie zauważyć precyzji cięcia. Było wzorowe. Absolutnie wzorowe. Czyste rozcięcie naskórka, okaz przedstawiony w idealnej perspektywie grzbietowej. Staranne etykiety przyklejone do wnętrzości.

Przełyk.

Nerka.

Serce.

Nancy lekko drżała.

- Ona nadal żyje - powiedział czyjś przerażony głos po jego prawej stronie. - Ten drań nie użył nawet chloroformu.

Dewanna odzłapał od tablicy łapki Nancy i wziął ją na rękę.

- Nancy? - szepnął błydy na twarzy. - Nance? - Wiewiórka próbowała się do niego odwrócić, ale nie była w stanie. Otworzyła pyszczek i wydała z siebie okrzyk agonii. - Cii. Cicho... Nie, Nance, już dobrze.

Zaniósł ją do ogrodu, szepcząc do niej przez całą drogę. Puszysty, ruchliwy rudy ogon muskał mu przedramiona, a z tyłu podążał tłum posepnych kolegów. Położył ją na trawie obok ogródka skalnego. Nancy znowu zadrgała, próbując ostatkiem sił otrzeć się główką o jego kciuk.

- Grzeczna dziewczynka, kochana dziewczynka. Nancy, moja droga Nancy... - załamał mu się głos. Dewanna pogładził wiewiórkę po futerku. Potem sięgnął po duży kamień, uniósł go wysoko nad głowę i roztrzaskał nim czaszkę Nancy. Łapki zwierzęcia na chwilę gwałtownie zadrgały, a potem Nancy znieruchomiała.

- Dlaczego? - zapytał ochryplym głosem. - Dlaczego ona, dlaczego, na Boga, dlaczego akurat moja wiewiórka?

- Jaka wiewiórka? - niewinnie odparł Martin. - Trzymałeś w internacie zwierzę? Na pewno nie, ćhokra, przecież to wbrew przepisom.

- Wiem, że to twoja sprawka.

Po twarzy Martina przemknął błysk zadowolenia. „Nareszcie”. Podszedł do Dewanny, rozciągając swoje masywne ramiona.

144

- No i? Co zamierzasz mi zrobić, cioto?



W Dewannie zapłonęła wściekłość, ukrywana dotąd z tak wielką determinacją. W pokoju panowała całkowita cisza. Serce Dewanny łomotało tak głośno, że z pewnością wszyscy je słyszeli.

- No chodź, cioto - szepnął Martin. - Daj mi pretekst, daj mi tylko pretekst.

Dewanna zacisnęła dłoń w pięść i z dzikim, niezrozumiałym okrzykiem rzucił się na Martina.

Martin pacnął go jak muchę. Ze śmiechem i bez najmniejszego wysiłku odpierał ciosy.

- Teraz moja kolej, ćhokra.

Dewanna nawet nie zauważył żadnego ruchu. Po prostu nagle znalazł się na podłodze i poczuł w ustach słodko-słony smak krwi. Martin pochylił się nad nim z szerokim uśmiechem.

- Spedalony ćhokra.

Próbował wstać, ale Martin z całej siły rąbnął go pięścią w bok głowy. Dewanna się zakrztusił.

- Powiedz to głośno - zachęcił Martin, po czym uniósł pięść i jeszcze raz uderzył go w głowę. - Mów, cioto. Trzymanie zwierząt jest zabronione.

- Przestań, Martin - odezwał się czyjś głos. - Zostaw go.

Martin gwałtownie się odwrócił, by powiedzieć temu komuś, żeby nie wbieprzał się w nie swoje sprawy, lecz dostrzegł w tłumie jakąś wrogość i zawahał się.

- Przestań - powtórzył ktoś inny. Martin poczuł strach łaskoczący go w kręgosłup.

- I tak szkoda mojego czasu - wrzasnął wściekle, nietypowo wysokim głosem. Zawołał swoich kumpli i przeciskając się przez tłum, wyszedł z pokoju.

Chłopcy powoli zaczęli się rozchodzić.

- Wstawaj, stary - prosili Dewannę.

Dewanna leżał nieruchomo. Nieznośnie huczało mu w głowie, a w ustach czuł wyraźny smak smutku i upokorzenia.

Tego samego popołudnia wyruszył do Kodagu. Tylko to jeszcze się dla niego liczyło. Dewi... Chwiejnym krokiem wyszedł z internatu, nie zważając na kolegów, którzy próbowali go zatrzymać. Przecież powinien był iść do lekarza, mówili.

- Doznałeś wstrząśnienia mózgu, stary, musisz odpocząć. Daj spokój, wracaj do środka, zanim strażnik rozpocznie obchód.

145

Kiedy zobaczyli, że ich wysiłki są daremne, wcisnęli mu do kieszeni kilka rupii i dali całe jedzenie, jakie zdołali znaleźć. Małą puszkę herbatników, ciasto ze śliwkami, a nawet drogocenną ćwiartkę ginu.

Złapał autokar do Madikeri. Jechał z odrobiną zakrzepłej krwi we włosach. Ciągłe miał przed oczami obraz Nancy rozciągniętej na tablicy. Dźwięk, jaki wydała jej czaszka, kiedy spadł na nią kamień - suchy trzask, jak rozbijana skorupka jajka. Zaczął dygotać. Przez otwarte okna wpadła rześka bryza, chłodząc mu twarz. Zbliżył dłoń do policzka i z zaskoczeniem poczuł, że płacze.

W połowie drogi autokar się zepsuł. Ostatecznie udało się go naprawić, lecz gdy ukazały się światła Madikeri, było już dobrze po drugiej w nocy. Dewannę bolała głowa, jakby ktoś rozłupał ją siekierą, a szum w uszach

był jeszcze głośniejszy niż wcześniej. Chłopiec wytoczył się z autobusu w koc mgły tak gęstej, że widoczność ograniczała się do paru metrów. W Madikeri było pusto, nie dostrzegł nawet zebra, który zawsze snuł się po przystanku, a teraz pewnie spał gdzieś skulony. Dewanna zadrżał i spojrzał - tylko raz - w stronę misji. Potem odwrócił się na zachód i niezdarne ruszył biegiem ku wiosce Palladów, nie zważając na dzikie słońce i nawiedzającego drogę ducha.

Dawniej Ćengappa Anna straszył Dewi i Dewannę opowieściami o kobiecie-duchu.

- Jest bardzo wysoka i piękna, tak piękna, że wystarczy jedno spojrzenie, by mężczyznę rozpałała gorączka. Ale rzut oka na dół, na jej stopy, pozwala od razu poznać, że to pisać. Bo widzicie, stopy ma zwrócone do tyłu.

Dewi wsuwała rączkę w jego dłoń, a on zdecydowanie ścisnął jej palce. Sam też się bał, ale starał się tego nie okazywać.

Teraz uniósł rękę, przedzierając się przez mgłę. Jeśli tej nocy zobaczy ducha, przejdzie prosto przez niego. Prosto przez niego. Zachichotał. Dotknął palcami boku głowy. Opuchlizna się powiększyła, zauważył obojętnie, ale przynajmniej ustało krwawienie. Za to szum w uszach stawał się coraz głośniejszy, jakby otoczył go rój dzikich pszczoł.

- Flora Syhatica. Flora Indica - mrucał pod nosem, szcękając zębami. - Spicilegium Neilgherrense, Leones Plantarum.

Takie różowe, tak nieznośnie maleńkie. Różowe, pulsujące serce. Czekała na niego, wiedział o tym, trzymała się życia, póki jej nie znalazł.

- Hortus Bengalensis, Hortus Calcuttensis, Prodromus Florae Peninsulae.  
146

Nie mógł zapanować nad drżeniem. Została rozplątana jak u rzeźnika, a mimo to nie był w stanie nic zrobić. Czuł ogromne pragnienie... Przypomniał sobie o butelce spoczywającej w kieszeni, pociągnął łyk i zakaszał, kiedy gin uderzył go w usta. Była jego. Była tylko JEGO. Dewi... Zaczął biec jeszcze szybciej, zataczając się na drodze.

Kiedy zbliżył się do domu Naćimandów, nastał już stalowoszary świt. Mgła zaczęła się podnosić, lecz mimo to nic nie zapowiadało słonecznego dnia - nadciągały ponure chmury. Odezwwał się chór ropuch, wyśpiewując chmurom serenadę i zachwycając się zapachem deszczu w powietrzu.

Dewanna szedł dalej, potykając się.

Psy wydały z siebie kilka ostrych szcęknięć, a gdy go rozpoznały, podbiegły, skacząc z radości.

- Tak, tak - mamrotał, odruchowo klepiąc je po głowach.

Postanowił, że posiedzi chwilę, zaczeka na werandzie, póki nie ustąpi ból głowy. A potem porozmawia z Dewi i się oświadczy. Na wschodzie zamigotało srebrzyste światło, gdzieś za domem zapał kogut.

- Flora Syhatica. Flora Indica...

Dewanna ruszył naprzód, a po chwili gwałtownie przystanął, czując jak krew w jego żyłach zamienia się w lód. Tam, w dole, obok pól. Czy to kobieta? Duch... Stał skamieniały, a jego oddech wymykał się do ołowianego powietrza zamknięty w małych obłoczkach. Kiedy postać zniknęła mu z oczu, szum w uszach się nasilił.

Wtedy Dewanna puścił się biegiem.

- Dewi - powiedział niewyraźnie. - Dewi! - zawołał, tym razem

głośniej. - Dewi!

Zawsze lubiła takie poranki jak ten, już jako dziecko. Dewanna był pograżony w półśnie, czerpiąc każdą dodatkową minutę ciepła z kołdry, a ona wbiegała do jego pokoju i otwierała okna.

- Och, przestań narzekać - mówiła. - Tylko odetchnij tym powietrzem. Ten zapach, Dewanno, ta woń deszczu. Nic jej nie dorówna.

- Dewi - zawołał jeszcze raz. Gdy za nią biegł, potykając się, mgła tłumiała jego głos.

Kiedy w końcu ją dogonił, była już zaskakująco daleko, prawie przy zbiornikach do nawadniania pól.

- Dewi! - zawołał i tym razem go usłyszała.

- Kto tam? - odwróciła się zdumiona. Szal zsunął jej się z ramion. - Dewanna? Dewanna?! Co tu robisz o tej porze?

147

Myśli kłębiły mu się w głowie. Wspomnienia poprzedniego popołudnia. Nancy... Martin stojący nad nim ze śmiechem. Ze śmiechem...

- Dewanna? - powtórzyła Dewi z niedowierzaniem, a potem, kręcąc głową, zaczęła się uśmiechać. - Głuptasie, nie wierzę własnym oczom. Co tutaj robisz? Czy semestr już się skończył?

- Dewi, ja... - Zaczął się trząść. Zamknął oczy, żeby się uspokoić, a potem znowu je otworzył.

- Co się stało? - Podeszła bliżej, zaniepokojona, i pobladła, czując zapach ginu w jego oddechu. - Piłeś?

Od czego zacząć? Jak mógłby rozpocząć tę rozmowę? Czy istniały słowa, które mogłyby opisać... Dewanna objął się rękami, cicho jęknął i zaczął się kołysać na piętach w przód i w tył. „Spicilegium Neilgherrense. Leones Plantarum”. Tym razem nie będzie po prostu stał z boku. Tym razem...

- W... wyjdź za mnie.

- Co? Co? Co to ma znaczyć, Dewanno? Kto cię namówił, żeby mi zrobić taki kawał?

- Kawał? To nie jest żaden... - Zacisnął zęby, żeby powstrzymać drżenie. - Wyjdź za mnie - powtórzył.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Przestań gadać bzdury. Wracam do domu. Idziesz ze mną?

Odwróciła się, ale złapał ją za nadgarstek.

- Puść mnie.

Puścił od razu, gdy tylko usłyszał ostry ton jej głosu. Nic nie szło tak, jak sobie zaplanował. To piłowanie w jego głowie, jakby ktoś próbował ją rozłupać na pół. Powoli pokręcił głową, żeby ucichło. Roześmiany Martin patrzył na niego z góry.

Niezdarnie jeszcze raz sięgnął po jej rękę.

- PUŚĆ MNIE. Co się z tobą dzieje?

- Co się ze mną dzieje? - Wpatrywał się w nią udręczonym wzrokiem. - Nic, poza tym że jestem w tobie całkowicie, nieodwołalnie zakochany.

Dewi znieruchomiła.

- Przestań - powiedziała, a potem drżącym głosem dodała: - po prostu przestań.

Dziki pszczoły bzyczały mu w głowie, w uszach. Jej maleńkie ser-

duszek, ciągle jeszcze bijące. Rozpruta jak jakiś laboratoryjny okaz.  
„Przełyk. Nerka. Serce”.

148

- Jesteś moja, Dewi. Moja, słyszysz? Tylko moja. - Niespodziewanie zachichotał. - „Jak cię kocham? Pozwól, niech wyliczę”\* - wyrecytował z błyskiem w oczach, a potem pochylił się i niezdarnie ją pocałował.

Próbowała wyrwać się z jego uścisku, ale trzymał ją tak mocno, że pod jego napastliwymi palcami na jej ramieniu tworzyły się czerwone ślady. Zaczęła krzyczeć, okładając go wolną ręką. Hałas w jego uszach był tak głośny, że nie rozumiał jej słów. Szal spadł jej z ramion, odruchowo po niego sięgnął, ale zamiast szalu, dotknął piersi. Wydała zduszony okrzyk.

Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Ten dźwięk, jakby nagle krew stanęła w płomieniach. Zaczął ją całować bez opamiętania, po twarzy, szyi, ramionach, przytulał ją coraz mocniej.

- Jesteś moja.

Walczyła zaciekle, gryząc, drapiąc i kopiąc, lecz był tak otumaniony, że opór tylko go rozpalał.

Nie potrafił już myśleć. Nic oprócz tego nie miało znaczenia - oprócz bycia z nią, oprócz ognia szalejącego w jego wnętrzu i uporczywego ucisku w pachwinach. Oddychał bardzo szybko, prawie dyszał pomimo chłodu. Jej paznokcie orały mu twarz. Popchnął Dewi na trawę i upadł na nią, gorączkowo szarpiąc swoje ubranie. Krzyknęła, ugryzła go w ramię. Skrzywił się i złapał ją jeszcze mocniej.

„Pochyl się, ćhokra - powiedział do niego Martin tamtego popołudnia w ubiegłym roku, gładząc kość łokciową. - Nie pozostawiasz mi innego wyjścia”.

- Nie pozostawiasz mi innego wyjścia, Dewi, nie pozostawiasz mi innego...

Spuścił spodnie i powoli się pochylił. Martin czekał, celowo przedłużając napięcie. Dewannie zaczęły drżeć kolana, włosy opadły mu na czoło. A potem, szybkim, brutalnym ruchem, Martin mocno wepchnął mu kość głęboko w odbyt. Ból był tak silny, że Dewanna głośno krzyknęła. „To cię nauczy szacunku” - wydyszał Martin za jego plecami. Pot zalał mu czoło, gdy pchał i parł do przodu, coraz mocniej, i nieświadomie poruszając biodrami, wdzierał się w ćhokrę, trzymając rytm.

Pod jego skórą rozkwitła gorycz. Płatek po płatku rozwijała się, rozpościerała, czarna jak smoła.

\* E. Barrett Browning, Poezje wybrane, tłum. L. Marjańska, Warszawa 1976, s. 142.

149

Dłoń Dewanny gorączkowo przesuwawała się w górę uda Dewi. Leżąca pod nim dziewczyna zamarła, jej źrenice rozszerzyły się z przerażenia. Chciał ją nauczyć szacunku, to dla jej dobra. Rozległ się grzmot i powoli zaczął padać deszcz, rozpryskując krople na ziemi. Wokół panował niesamowity zapach. „Woń deszczu, nic nie może się z nią równać”. Zadrzał. Uniósł się nad nią, pchnął, ale spudłował. Pchnął jeszcze raz. Miękka skóra pękła pod nieustępliwym naporem, otwierając ciepłe przejście, miękkie jak puch z drzewa. Dewanna zamknęła oczy i jęknęła. Zaczął dźgać szybciej, jeszcze szybciej. Był dla niej stworzony, to na nią czekał.

Odkąd pamiętał, byli ze sobą blisko jak dwa zarodniki paproci. Krople deszczu spadały na Dewannę. Cicho stęknął i przewrócił się na plecy. Miał wrażenie, że jego głowa rozpadła się na pół, gin nucił mu do ucha miłosne piosenki.

Kocham głęboko, daleko, jak zbiec

Potrafi dusza, gdy nie musi wlec

Dawnych pęt, po kres bytu i łaski najwyższej... \*

Otworzył oczy i spod przymrużonych powiek spojrzął na deszcz. „Co się... Gdzie...” Poprzednia noc wracała do niego przebłyskami. Podróż autokarem do Madikeri. Gin, który wypalił mu gardło. Dewi...

Dewanna zadrżał. Próbował się podnieść, ale dygotał tak mocno, że ciągle upadał na czworaki. Błagała, przypomniał sobie, walczyła, prosiła, a potem całkowicie znieruchomiała. Poczł mdłości i wymiotował na trawę, aż w żołądku zrobiło się zupełnie pusto. On... Co on... Dewi. Cengappa anna go zabije, weźmie strzelbę i rozwali mu łeb. Taji, najak Pallada... Co on narobił?

Z wysiłkiem stanął na nogach. Deszcz przybrał na sile, przylepiając mu włosy do głowy. Dom tkwił wysoko w górze, pogrążony w ciszy. Zrobił jeden niepewny krok w jego stronę. Dewi. Musi... Drzwi wejściowe się otworzyły, ktoś wychodził. Zabijają go. Dewanna rzucił się do ucieczki. Ogarnięty paniką biegł przez pola i wstrząsany histerycznym płaczem, zmierzał w stronę misji.

\* Ibidem.

150

Przerażony Gundert rzucił na chłopca jedno spojrzenie i od razu zaciągnął go do swojego gabinetu.

- Usiądź - rozkazał z łomoczącym sercem. - Masz, to woda. Wypij ją. Uspokój się, synu. Co się stało? Dlaczego nie jesteś w college<sup>^</sup>? Dew, spójrz na mnie. SPÓJRZ na mnie. Co się stało? Kto ci to zrobił?

Dewanna pokręcił głową, usiłując wydobyć z siebie słowa.

- Wy... wybacz mi, wielebny. Wybacz mi, ojczy, bo zgrzeszyłem - łkał.

W Gundercie zaczął kielkować zimny strach.

- Co się stało? - powtórzył krótko. Złapał Dewannę za ramiona. -

Uspokój się, Dew. Co się stało? Powiedz mi.

Dewanna złapał się za głowę i zaczął się kołysać jak szalony, w przód i w tył.

- Ona... ja... Dewi... ubiegłej nocy... Ona jest moja, wielebny, po prostu wzięłem to, co moje.

Gundert zamarł. Jego ręce ześlizgnęły się z ramion Dewanny. Chłopiec osunął się na podłogę i objął jego kolana.

- Pomóż mi, wielebny. Obiecałeś mi pomóc. Proszę, wielebny, zrób coś. Dewi... Wielebny, zrób coś.

„Mój Dew”.

Gundert mocno go odepchnął, wkładając w ten ruch całą siłę swoich szczupłych, żylastych nóg. Wymierzył Dewannie częściowo chybiony cios poniżej brody i chłopak padł na nawoskowaną podłogę.

- Poganin - syknął Gundert z bładą, wykrzywioną twarzą. - Brudny, pospolity tubylec. Olaf... Wcale, wcale nie jesteś do niego podobny. Myślałem, miałem nadzieję, że... Jak mogłeś mnie zdradzić? Wynocha - powiedział drżącym głosem. - Wynoś się i żebyś nigdy więcej nie widział

twojej paskudnej, kurewskiej gęby.

Trzęsąc się, Dewanna wstał z podłogi. Pokuśtykał do kaplicy i ukląkł przed ołtarzem.

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie - zapłakał - święć się imię Twoje.  
1899

Ślub odbył się w pośpiechu i w niczym nie przypominał wyszukanego pożegnania córki, jakie zawsze wyobrażał sobie Thimmaja. Pięć dni po tragicznej nocy, posyłając Ćengappę na poszukiwanie Dewanny, Thimmaja nakazał porywczemu synowi zachować powściągliwość.

- Na szali leży reputacja naszej rodziny - powiedział. - A raczej to, co z niej zostało.

Dewanna podszedł do Ćengappy jak koza, która zbliża się do rzeźnika.

- Anna - zaczął, lecz zamilkł na widok kamiennej twarzy Ćengappy.

- Ani słowa - powiedział mężczyzna. - Nie odzywaj się do mnie i nie waż się choćby spojrzeć w moją stronę, bo przysięgam na Iguthappę swamiego, że rozetrę cię na miazgę.

Najak Pallada nie okazał równie wielkiego opanowania i rzucił się na chłopaka z rykiem wściekłości, okładając go swoją laską. Matka Gauru i inne kobiety przybiegły wystraszone i krzyknęły na służących, żeby jak najszybciej pędzili na pola („Dlaczego stoicie jak osły, BIEGIEM!”) i zawołali ich mężów, zanim najak rozerwie Dewannę na strzępy.

- Co się stało, na miłość boską? Co takiego zrobił ten chłopak? - wołały wystraszone, próbując odciągnąć najaka od Dewanny.

- Co zrobił? - zagrmiał najak. - Powinnyście raczej zapytać, czego nie zrobił. Zhańbił ten dom, ot co. Nie bacząc na nią, na to niewinne dziecko... - Najak zamilkł, widząc nieme błaganie na twarzy Ćengappy. Z niesmakiem odrzucił laskę i roztrzęsiony opadł na parapet na

152  
werandzie. Kiedy ocierał czoło, drżała mu dłoń. - Chłopak... chłopak nie chce wracać do Bangaluru - zaimprovizował najak. Spojrzał na pobladłego Dewannę i jego twarz przeszył nowy spazm obrzydzenia. - Tak. Nie wróci tam i nie dokończy studiów.

Fakt, że nikomu nie przyszło do głowy zakwestionować pospiesznego ślubu ani zapytać o krwawe zadrapania na policzkach pana młodego, był chyba najlepszym świadectwem autorytetu, jakim najak cieszył się w wiosce.

- No tak - mówili plotkarze. - Ci dwoje zawsze byli nierozłączni, bliscy sobie jak otworki w łupinie kokosa, już od czasów dzieciństwa. Sprytna ta Dewi, odrzucała wszystkich po kolei, a teraz patrzcie, wżeniła się w taką bogatą rodzinę, wyszła ni mniej, ni więcej, tylko za lekarza. Wieść, że Dewanna nie wróci do college u medycznego, zabiła ich z tropu tylko na chwilę. Uznali, że to wszystko sprawka Dewi. To ona poprosiła Dewannę, żeby nie wracał do Bangaluru, a chłopak, zakochany po uszy, natychmiast się zgodził. Była smukła jak promień księżyca, ale nawet ona wiedziała, że nie może się równać z wymalowanymi, odsłaniającymi nogi kobietami z miast. Bystra dziewczyna, wiedziała, jak zatrzymać męża przy fałdach swojego sari.

Dewi siedziała pośród weselnego gwaru jak wyjątkowa, alabastrowa lalka ubrana w brokatowe sari, które taji miała na własnym ślubie. Wło-

zenie ślubnego sari należącego do kogoś, kto miał za sobą długie małżeństwo, przynosiło szczęście. Był to krwistoczerwony talizman, a w jego fałdach, które po wielu latach zmiękły jak masło, kryła się obietnica małżeńskiego szczęścia.

Kobiety krzątały się wokół niej, a Dewi starannie wypełniała ich zalecenia.

- Usiądź - powiedziały, więc przycupnęła na trójnogim taborecie panny młodej.

- Pochyl się - powiedziały, kiedy jedwabny welon zahaczył o półksiężycę zdobiące warkocz, więc pochyliła głowę, żeby mogły go wyplątać. Przez całą ceremonię nie odezwała się ani słowem, wykonując polecenia jak we śnie. Posypali jej głowę garściami ryżu i wsunęli na ręce bransolety z czarnego szkła. A jeśli ktokolwiek zauważył, że rani sobie dłonie, wbijając w nie paznokcie, zepchnął to na karb zdenerwowania panny młodej.

153

Tak bardzo wtedy krzyczała, walczyła z nim, prosiła przymilnie, błagała. Podrapała mu twarz, próbowała odczepić jego ręce od swojego ciała, gorączkowo wzywała śpiących domowników, kogokolwiek - „proszę, Iguthappo swami, proszę!” - ale jej wołania tłumiła nadciągająca burza. Wreszcie wpadł w odrętwienie, leżał na niej bezwładnie i zdołała się uwolnić. Woda w łazience była lodowata, ale w ogóle na to nie zważała. Bolał ją żołądek, gdzieś głęboko w środku, ściśnięty silnym skurczem. Sięgnęła po pumeks i zaczęła trzeć. Wyszorowała każdy centymetr ciała, dokładnie, patrząc jak we śnie na różowiącą się skórę i usuwając z porów skóry wspomnienie Dewanny.

Taji domyśliła się od razu, gdy tylko na nią spojrzała. Zapukała do drzwi łazienki.

- Czyżbyś postradała rozum - oburzyła się babcia - że postanowiłaś się wykapać w zimnej wodzie? Chcesz się rozchorować? Zaczekaj chwilę - zawołała do wnuczki - zagrzej wodę w kominku i ci przyniosę.

Dewi otworzyła drzwi i wstrząśnięta taji zamilkła, patrząc na poplamione sari na podłodze, na kawałki gałązek, trawy i innych szczątków poranka porozrzucane wokół jej wnuczki.

Wtedy Dewi zaczęła płakać. Był to piskliwy lament przywodzący na myśl ptaka schwytanego w gąszcz jeżyn.

- Taji - łkała. - Taji. - Jej płacz przeszywał serce babci. - To De...

Dewanna...

Taji drżącymi rękami owinęła Dewi szalem.

- Cii, kunji, cicho dziecko. Moja kochana, moje słońce i mój księżycu, proszę, uspokój się, zanim usłyszysz służba. Wszystko będzie dobrze, taji o to zadba. Chodź, kunji... - Zapędziła Dewi do domu najszybciej, jak pozwalały jej artretyczne nogi. Położyła wnuczkę do łóżka, okryła ją warstwą koców, a potem zbudziła Thimmaję.

- Dewi... - taji powiedziała do syna. - Nasza Dewi, mój kwiatu-szek. .. - Zaczęła płakać.

Wpatrywał się w nią, niczego nie rozumiejąc. Słyszał słowa, ale nie chciał ich przyswoić. Nie mógł uwierzyć, że jego aniołka spotkało coś tak potwornego. A potem Thimmaja wydał z siebie krzyk przepełniony taką udręką, tak wielką furją, tak niepodobny do typowej dla niego ła-

godności, że zabrzmiał wręcz nieludzko. Wybiegł z pokoju, a ogarnięta przerażeniem taji pokuśtykała za nim.

- Zaczekaj, monae, dokąd idziesz? Posłuchaj mnie, Thimmaja, zaczekaj chwilę, co robisz?

154

Ćengappa wypadł na korytarz, ocierając zaspane oczy.

- Kto... co... appaija? Co się stało, appaija, o co chodzi? - zapytał zaniepokojony. Thimmaja ładował strzelbę, owładnięty dziką wściekłością.

- Rozwalę mu łeb. Tak nam odpłaca za gościnność po tych wszystkich latach? Ma za nic to, że traktowaliśmy go jak syna? On... moją własną córkę. Moją krew! - Thimmaja tak bardzo się trząsł, że knot ciągle wypadł mu z dłoni. Taji delikatnie wzięła od niego strzelbę i położyła ją za sobą, z dala od syna i od Ćengappy.

Thimmaja gwałtownie usiadł, jakby nogi nie potrafiły dłużej utrzymać jego ciężaru.

- Jak to możliwe, awwaija? - zapytał, a serce taji przeszył ból na widok zdumienia w jego oczach. - Dlaczego? Co powie Muthawwa, kiedy mnie zobaczy? Jak mam jej spojrzeć w twarz?

- Co się stało, to się nie odstanie, teraz musimy myśleć o przyszłości. Znajdź tego chłopca - poradziła synowi. - Znajdź Dewannę. Nie wiem dlaczego... dlaczego to zrobił... Nie rozumiem tego. Ale wiem jedno. Wiem, że darzy Dewi głęboką miłością. Idź do najaka Pallady. On podejmie właściwą decyzję. Musimy... musimy ich ze sobą ożenić. Ćengappa został wysłany po Dewannę, a taji wróciła do Dewi z kubkiem gorącego mleka.

- Cii, kunji - powiedziała. - Cii. Taji to wszystko załatwi. A teraz się uspokój.

Gładziła wnuczkę po głowie, nucąc kołysanki i szepcząc słowa pocieszenia, aż w końcu wyczerpana Dewi zapadła w głęboki sen.

Było już dobrze po południu, kiedy w końcu się obudziła. Nieruchomo leżała na łóżku.

- Dewi? Nie śpisz już? Zjesz coś?

Wspomnienia wróciły ogromną falą. Jego ręce na jej ciele, pod nią, w niej. Zaczęła wymiotować.

Znowu zasnęła i obudziła się dopiero, gdy na niebie świeciły gwiazdy.

- Dewi? Musisz coś jeść, kunji.

Leżała jak zamroczona, tępo wpatrując się w ścianę. Do oczu taji znowu napływały łzy. Pochyliła się i otarła je ukradkiem, gmerając przy knocie lampy naftowej. Wysoki płomień rozbłysnął z sykiem, rzucając złote światło na pobielone wapnem ściany.

155

- Kunji - powiedziała taji, próbując nadać głosowi pogodny ton. - Mam dla ciebie wyjątkową nowinę. Wiesz, co się stanie za dwa dni? Dewi nie odpowiedziała.

- Za dwa dni... za dwa dni... - taji załamał się głos. - Już za dwa dni mój ukochany kwiatusek wyjdzie za mąż.

Dewi odwróciła się i nic z tego nie rozumiejąc, spojrzała na babcię.

Taji pokiwała głową i spróbowała się uśmiechnąć.

- Moje małe słońce i mój mały księżyc zostanie panną młodą.

- Ślub? Z kim?



- Z Dewanną.

Dewi się wzdrygnęła.

- Po tym, co się stało? Nigdy. Nawet gdyby...

- To jedyne rozwiązanie. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw... twoja reputacja... Po czymś takim nie zechce cię żaden mężczyzna. Co się stało, to się nie odstanie. Dewanna zawsze cię kochał. On... - taji znowu zamilkła. - Tak będzie najlepiej - dokończyła po chwili. - Nie ma innego wyjścia.

„Maću”.

- Maću - wychrypiała Dewi. Drżąc, chwilami ledwie dosłyszalnym głosem, złamała obietnicę daną Maću i opowiedziała taji o nim, o nich dwojgu. O jego przysiędze, o konieczności zachowania tajemnicy. Na ostatnim spotkaniu powiedział jej, że wkrótce wyruszy do Kerali z karawaną ryżu z pól Kambejmadów na handel wymienny. Nie będzie go prawie miesiąc.

- Wyślij mu wiadomość. Musisz to zrobić, taji. Poślij Tukrę. Maću przybędzie. Wiem, że przybędzie.

- Dość! - Taji wstała. - Ani słowa więcej. Ani mnie, ani nikomu innemu, a zwłaszcza twojemu ojcu. Coś ty wyrabiała za naszymi plecami?

- Nie, taji, niczego nie rozumiesz.

- DOŚĆ, Dewi. Przestań. Mam posłać po Maćaiję? I co mu wtedy powiesz? Że zgwałcił cię inny? Nawet jeśli miał wobec ciebie szlachetne zamiary, czy myślisz, że w nich wytrwa po tym, co się stało? On jest z Kodagu. Zapomniałaś o tym? Nigdy cię nie przyjmie, nawet gdyby chciał, duma nigdy mu na to nie pozwoli.

156

Była mężatką. Powtarzała to sobie w myślach, lecz te słowa były puste, pozbawione znaczenia. Dewi spojrzała na swoje pomalowane henną ręce, dostrzegła srebro połyskujące na podbiciu stóp, złote łańcuszki oplecione wokół palców i zachodzące na dłonie. Orszak weselny wyruszył nocą do wioski Kambejmadów. Zaprowadzono ją do studni, gdzie rozłupała kokos i rytualnie po raz pierwszy zaczerpnęła wody.

Jak to ujęła taji?

„Będziesz dla niego jak spróchniały ząb, w którym grzebało wiele wykałaczek”.

Ogarnęła ją absurdalna ochota, żeby się roześmiać. Często mu mówiła, żeby nie dłużył w zębach, bo pewnego dnia powylatują z dziąseł. Cmokał wtedy ustami.

- I nadal będziesz mnie kochać? Nadal będziesz do mnie robiła słodkie oczy, kiedy stanę się starym, bezzębnym thathą?

Dewi wyciągnęła prawą nogę, żeby przestąpić próg domu Kambejmadów. Ustawiła nad paleniskiem garnek z wodą, a potem zaprowadzono ją do południowo-zachodniego krańca domu, by zapaliła ceremonialną lampę. Naznaczyła czoło świętym popiołem i pochyliła się, żeby dotknąć stóp starszych domowników.

Kobiety zabrały ją do ozdobionego kwiatami pokoju nowożeńców, przepaszając za niedbałe dekoracje - wszystko organizowano w tak wielkim pośpiechu! Posadziły ją na ogromnym, palisandrowym łożu i chichocząc, udzielały młodej żonie sprośnych rad, a potem popra-

wiły jej welon i zostawiły Dewi, by czekała na męża. Drzwi sypialni zamknęły się i po raz pierwszy od ranka poprzedniego dnia nastąpiła cisza.

Rozejrzała się w osłupieniu, patrząc na wielki pokój, na masywne krokwie z drewna tekowego. Jej wzrok błędził po bogato rzeźbionych belkach na ścianach, po malowanych porcelanowych lampach rzucających światło na wszystko, z wyjątkiem najdalszych zakamarków, po dzbanku z mlekiem i orzechach arekowych wysypanych dla nowożeńców na srebrny półmisek. Kolumny łóżka ozdobiono gałązkami jaśminu, które wisiały także wzdłuż ścian i leżały na pościeli. Było ich tyle, że słodki zapach stawał się wręcz nieznośny. Wbiła paznokcie w dłonie, żeby się nie zakrzusić. Obok łóżka wisiało owalne lustro. Wpatrywała się w swoje odbicie, w bladość skóry, w rozszerzone źrenice. Ogarnięta zmęczeniem, zamknęła oczy.

157

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi, które wyrwało ją z odrętwienia. Zaczęła dygotać, ogarnięta nagłym przerażeniem, a usłyszawszy drugie niepewne pukanie, skuliła się przy wezłowiu łoża. Gałka w drzwiach powoli się przekręciła. Do środka wszedł przygarbiony Dewanna. Zamknął drzwi i oparł się o nie, jakby nogi nie były w stanie go utrzymać. - Dewi - powiedział i oddech uwiązał mu w piersi. - Dewi, ja... - Zaczął płakać.

Łkając, mówił, że ją kocha, że bardzo ją kocha.

- Gdybym mógł cofnąć czas... Nie byłem sobą, Dewi. Nancy... Oni... Byłem taki bezradny, Dewi. Wiem, że przyjdzie mi zapłacić za to, co ci zrobiłem. Słono za to zapłacę. - Słowa bezładnie wypadały mu z ust. Powtarzał tylko, że bardzo mu przykro. - Wiem, że nie jestem tego godzien - wyznał głosem oschłym z obrzydzenia do samego siebie - ale proszę, Dewi. - Błagał o przebaczenie, zdawał się na jej łaskę już do końca życia.

Jej duże oczy skupiły się na nim. Przebłyski tamtego pamiętnego poranka, rozgrzane do czerwoności i palące, wprawiły jej dłonie w drżenie. Palce zaciskały się, otwierały, skubały złote nici sari, chwytaly i puszczały jedwab. Wpatrywała się w Dewannę, nie potrafiąc odwrócić wzroku. Jego twarz, wykrzywiona bólem, była skrajnie wynędzniała.

- Przepraszam, Dewi, tak bardzo mi przykro...

Powoli przerażenie goszczące w jej sercu zaczęło ustępować, pozostawiając po sobie ciemne, styksowe zimno, które odbierało wszelką nadzieję i wyrывało z korzeniami każde marzenie.

- Powiedz coś - błagał. Zrobił krok naprzód, wyciągając ręce, ale przystanął, kiedy gwałtownie się odsunęła. - Powiedz cokolwiek. - Znowu rozpaczliwie pragnął jej wytłumaczyć, co zaszło w internacie. - Tamtego dnia nie byłem sobą. Martin...

- Nic nie usprawiedliwia tego, co zrobiłeś - przerwała mu. Zadrzała. - Nic. Nigdy ci nie wybaczę. Dopóki żyję. Dopóki nie zakończą się wszystkie życia, które są mi pisane.

Usta Dewanny otworzyły się i zamknęły, gdy usiłował coś odpowiedzieć, ale po chwili bezradnie pokiwał głową. Ściągnął kołdrę z małżeńskiego łoża, strącając z niej gałązki jaśminu, i zwinął się w kłębek na podłodze.

Gdy Maću wrócił z Kerali z wołami objuczonymi olejem kokosowym, suszonymi rybami i solą, które dostał w zamian za ryż, dowiedział się o nagłym ślubie Dewanny i rozczarowującej decyzji kuzyna o porzuceniu studiów.

- Kogo my tu mamy? - zagrział jowialnie, wchodząc do domu. -

Dlaczego nowa żona nie przyniosła mi jeszcze czegoś do picia?

Z kuchni wyłoniła się milcząca Dewi. Pochyliła się, żeby dotknąć stóp Maću i jego twarz zrobiła się biała jak kreda.

- Swami, kapad - powiedział odruchowo. - Obyś żyła jak najdłużej.

Dewi była odurzona smutkiem, przejmującą rozpaczą, której nie sposób wyrazić ani ukoić. Maću trzymał się od niej z daleka, dokładając wszelkich starań, by ich drogi się nie krzyżowały.

Wykorzystywał każdy pretekst, aby zniknąć z domu Kambejmadów, często na długie tygodnie. Gdy znów nastał czas, by rodzina wysłała mężczyzn na posterunek przy wejściu do lasu, zgłosił się na ochotnika. Gdy najak Kambejmada postanowił podarować nowemu komisarzowi Maj-suru piękny sztylet pićekathi wykonany ze srebra, Maću natychmiast zaoferował swoje usługi. Gdy służący oznajmili, że widzieli bawołu, Maću od razu zarzucił strzelbę na ramię, nie zważając na niepewne źródło tych wieści ani na odległość dzielącą go od wskazanego miejsca.

W ciągu dnia Dewanna i Dewi prawie się nie widywali, a noce upływały im w milczeniu. Ojciec Dewanny próbował poniewczasie odbudować więź z synem, usiłując zainteresować go rolnictwem. Uparł się, by codziennie rano Dewanna szedł z nim na pola ryżowe i na plantacje kawy, a popołudniami chłopak prowadził księgowość, wykonując zadania przydzielone mu przez najaka. Poza tym nieustannie zjawiali się mieszkańcy wioski, prosząc Dewannę o wyleczenie gorączki lub opatrzenie ran. Na początku, gdy Dewanna próbował im wyjaśnić, że wcale nie jest lekarzem, że studiował medycynę tylko przez dwa lata, ubłagali najaka, by przekonał wnuka do zmiany zdania. Najak Kambejmada nie przeboleał jeszcze druzgocącego rozczarowania, które poczuł, kiedy dowiedział się od najaka Pallady, że chłopiec nie zamierza kontynuować studiów.

160

Robił, co mógł, uciekał się do pochlebstw, a nawet do gróźb, od czasu do czasu szarpiąc się z przejęciem za wąsy, lecz niewzruszony Dewanna stał przed nim bez słowa.

W końcu najak znalazł częściowe pocieszenie w rozbrajającej wierze mieszkańców wioski w umiejętności jego wnuka. To ze względu na niego Dewanna w końcu skapitulował. Przyjmował pacjentów co wieczór, w cieniu ogromnego drzewa awokado na podwórzu, stawiając zdroworozsądkowe diagnozy. Najak śledził jego poczynania z werandy, z dumą wydymając usta.

Dewanna był zatem tak zajęty, że prawie nie widywał swojej świeżo poślubionej żony. Co wieczór przystawał w nogach łoża, rozpaczliwie wypatrując jakiegoś znaku, choćby najmniejszego, który świadczyłby o tym, że zaczęła mu wybaczać. Co wieczór odwracała jednak wzrok i znów kładł się na podłodze. Rankiem, kiedy ona już wstała, przenosił się do łóżka, żeby nikt się nie domyślił, że nowożeńcy śpią osobno. Pościel była jeszcze ciepła od jej skóry, a nad poduszką unosił się leciutki

zapach hibiskusa.

Dewi rzuciła się w wir prac domowych. Gospodarstwo Naćimandów było znacznie mniejsze. Wiele lat wcześniej Thimmaja i jego brat Bopu wyprowadzili się z wielopokoleniowego domu rodzinnego i wybudowali własny. Gdy kuzyni Dewi dorosli, oni także się wyprowadzili, jeden po drugim, a Bopu i jego żona powędrowali z jednym z nich. Teraz z taji i Thimmaja mieszkali jedynie Ćengappa, jego żona i synowie. Za to Kambejmadowie tworzyli tradycyjną, wielopokoleniową rodzinę. Najak Kambejmada spłodził jedenastu synów, którzy wraz ze swoimi rodzinami, braćmi najaka, ich dziećmi i wnukami mieszkali w rozległej, centralnej części domu i w przylegających do niej rzędach pokoi.

W tak ogromnej rodzinie, w której ponad pięćdziesięcioro członków mieszkało pod jednym dachem, a goście napływali nieustannym strumieniem, zawsze było coś do zrobienia. Oprócz codziennego przygotowywania posiłków - które już samo w sobie było gargantuicznym zadaniem - trzeba było kąpać, karmić, wychowywać i pielęgnować dzieci, komenderować świątą służących i doić całe obory krów. Rzędy pokoi czekały na zamiecenie i posprzątanie, sterty wypranych ubrań domagały się posortowania - „Czyja to bielizna? Wszystkie wyglądają tak samo” - psy nakarmienia, dziczyzna zasolenia, świnię utuczenia, ogródki wypielenia, a dynie, ogórki i oberżyny staranne ułożenia warstwami na liściach bananowców i rozwieszenia nad drewnianą podłogą strychu.

161

Dewi podjęła się zadania codziennego, rannego zamiatania podłóg i odkażania ich pastą ze świeżego łajna z obór. O tak wczesnej porze w domu panował całkowity spokój poprzedzający głośne rozmowy, stukot drewniaków w pokojach oraz podzwanianie garnków i patelni w kuchni.

Pracowała bezdźwięcznie, jak postać, która wyslizgnęła się ze snu. Codziennie rano przystawała, przestając na chwilę zamiatać, przed pokojem, w którym na rzędzie palisandrowych łóżek spali należący do rodziny kawalerowie. Zastanawiała się, czy wrócił stamtąd, dokąd wyruszył poprzedniego wieczoru. Kładła dłoń na drzwiach, jakby chciała poczuć żar jego oddechu, bicie jego serca pomimo dzielącej ich odległości. Stała i nasłuchiwała w skupieniu, aż ból w jej sercu stawał się nie do zniesienia. Potem odwracała się i znowu zaczynała zamiatać, bezgłośnie przesuwając szczotką po podłogach.

Rozmawiali tylko raz. Zaczepił ją, kiedy wracała z łaźni, gdzie uzupełniła zapas orzechów piorących.

- Dlaczego? - zapytał jadowitym tonem.

Stała i patrzyła na niego ogromnymi, ciemnymi oczami.

- Wiem, że coś musiało się stać. Co?

- Milcz - nakazała jej wcześniej taji. - Przysięgnij mi, że nie piśniesz słowa o tym, co się stało. Nikomu, absolutnie nikomu, nigdy. - Złapała Dewi za rękę i położyła ją sobie na głowie. - Przysięgnij na moje życie, że zachowasz to w tajemnicy, albo, na Iguthappę swamiego i na wszystkich przodków, niech będę przeklęta przez dziewięć następnych żyć. Niech się urodzę sługą, niech moje ciało nawiedzi ospa, niech smutek nie opuszcza mnie nawet na krok.

- Nie, taji - płakała Dewi - nie mów takich rzeczy...

- W takim razie przysięgnij, że będziesz chronić swoją reputację. Obiecuj mi, że nigdy, przenigdy nie powiesz nikomu o tym, co się stało tego ranka.

- Dlaczego, Dewi? - powtórzył Maću. Podszedł bliżej, zaciskając dłoń w pięści. - To była dla ciebie tylko zabawa?

Stała przed nim jak kołek. „Spójrz mi w oczy. Jesteś moim oddechem, moją istotą. Odgłosem moich stóp, cieniem mojej duszy. Spójrz mi w oczy i odczytaj w nich to, czego nie mogę powiedzieć. Wiedz, musisz wiedzieć, że nie potrafiłabym cię zdradzić, nawet gdybym próbowała”.

Otworzyła usta i z bardzo dużej odległości dobiegł ją jej własny głos.

- Ktoś może nas zobaczyć.

162

Zmarszczki wokół jego ust pobieleły.

- Ktoś może nas zobaczyć? Tylko tyle potrafisz powiedzieć? To twoje największe zmartwienie: co będzie, jeśli ktoś nas zobaczy? Dlaczego mówiłaś, że na mnie zaczekasz? - Był siny z wściekłości. - Dlaczego dałaś mi nadzieję? Byłem dla ciebie jedynie przelotnym kaprysem, kiedy czekałaś, aż twój lekarz w końcu zbierze się na odwagę i zaproponuje ci małżeństwo?

- Maću...

- Zaczekałaś, aż się odwrócę, aż wyjadę, a wtedy jak najszybciej się na niego rzuciłaś? Czy on o mnie wie, Dewi? Wie, że wymykałaś się w środku nocy, żeby się ze mną spotkać? Opowiadasz swojemu wykształconemu, inteligentnemu mężowi, kiedy czyta ci książki, opowiadasz mu w waszym wielkim małżeńskim łóżku, jak rozkwitałaś pod moim dotykiem?

Pochylił głowę, przysuwając twarz do jej twarzy.

- Powiedz mi - szepnął jej do ucha - czy on cię zaspokaja?

- Co się stało - usłyszała swój drżący głos - to się nie odstanie. Jeśli masz o mnie tak niskie mniemanie...

Maću się roześmiał. Ton jego głosu był chropowaty i przejmujący.

- To, co o tobie myślę, nie ma już większego znaczenia. Racja: co się stało, to się nie odstanie. No cóż, szwagierko - powiedział. - Życzę szczęścia tobie i twojemu mężowi.

Na wiejskim turnieju strzeleckim pod koniec tamtego miesiąca Maću był tak pijany, że ledwie podniósł strzelbę. Oddał chybiony strzał i spudłował o milę.

Powoli upłynął miesiąc, a potem kawałek następnego. Okres spóźniał się Dewi o trzy tygodnie, kiedy w końcu zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Wielokrotnie liczyła dni na palcach, ale nie mogło być mowy o pomyłce. Osunęła się na krawędź łóżka, drżąc z obrzydzenia.

Codziennie rano zakradała się do kuchni, gotowała cynamon i kurkumę, a potem, zanim ktokolwiek zdążył ją nakryć, pospiesznie wypijała napar dużymi łykami. Gdy to nie podziałało, zebrała niedojrzałe papaje, które leżały w warzywniku, ukryła je pod sari i w fałdach halki, a następnie zjadła w zaciszu sypialni. Dostała po nich takich skurczów, że jej jęki zbudziły w nocy Dewannę. Pospiesznie zapalił lampy i próbował ją zbadać.

163

- Co się dzieje? Gdzie cię boli? - pytał wystraszony, naciskając jej brzuch. Odtrąciła jego dłoń.

- Nie dotykaj mnie. Nigdy więcej mnie nie dotykaj, rozumiesz?

W końcu skurcze ustąpiły, ale krwawienia nadal nie było. Cięża przetrwała.

Tamtej nocy Dewanna był tak zaniepokojony, że nie mógł spać. Naza-jutrz po cichu poszedł za nią do kuchni, a kiedy zobaczył, jak wymiotuje za domem, domyślił się prawdy.

- Jesteś w ciąży? - Światło, które rozświetliło mu twarz, zgasło, kiedy zobaczył cynamonowy napar gotujący się na kuchni. - I chcesz ją przerw-  
wać. - Przelknął ślinę. - Dewi, proszę - dodał cicho. - Wiem, że zasłu-  
żyłem na każdą uncję twojej nienawiści. Wiem, że nigdy nie zdołam sobie  
wybaczyć tego okropnego czynu. - Jego oczy wypełniły się łzami. - Ale  
Dewi, błagam cię, nie mścij się na naszym dziecku. - Stał przed nią,  
nie dbając o to, kto może ich zobaczyć. - Ze mną postępuj, jak chcesz,  
ale nie rób> krzywdy niewinnej istocie.

Dewi odeszła bez słowa, ale od tamtego dnia zaprzestała prób wyrwa-  
nia ze swego łona życia, które przyczepiło się do niej jak rzep. W pierw-  
szych miesiącach ciąży jeszcze bardziej schudła, ale potem mdłości stop-  
niowo ustąpiły. Zaczęła się zaokrąglać w talii, napięta skóra na brzuchu  
przeobraziła się w małą wypukłość i już wkrótce kobiety w domu Kam-  
bejmadów domyśliły się prawdy. Gdy przy kolacji ogłosiły dobrą nowi-  
nę, mężczyźni zaczęli poklepywać Dewannę po plecach i rzucać sprośne  
uwagi. Maću nie odezwał się słowem i prawie nie tknął ryżu.

Przed połogiem Dewi przeniosła się do domu Naćimandów. Odwiedziła  
go po raz pierwszy od dnia ślubu. Thimmaja, nie mogąc wydusić słowa,  
złożył dłonie i pobłogosławił ją, kiedy się pochyliła, aby dotknąć jego stóp.  
Po wyprowadzce Dewi w domu zrobiło się cicho, zmieniło się światło  
wpadające przez okna, do środka zakradł się bezruch.

Przez całe wesele Thimmaja zachowywał stoicki spokój. Nie uronił ani  
jednej łzy, nawet kiedy orszak weselny wyruszył do domu Kambejmadów,  
zabierając jego ukochane dziecko. Złamał się tylko raz, wiele miesięcy  
później. W nocy nie mógł spać, jego myśli krążyły wokół Dewi, jak zawsze  
od dnia jej ślubu. Znowu sobie powtarzał, że wydanie córki za Dewannę  
było jedynym rozwiązaniem, jedynym sposobem pozwalającym ocalić  
164

honor jego córki. Znów ukazała mu się jej twarz, zupełnie pozbawiona  
wyrazu, gdy Dewi stała naprzeciw ślubnego ołtarza. Jej pusty wzrok,  
z którego zniknął dawny żar, i ledwie iskierka, kiedy błogosławił ją garścią  
ryżu i wsunął w dłoń złotą monetę. Poruszył się niespokojnie i pomyślał  
o Muthawwie.

- Co miałem zrobić? - cicho zapytał dawno zmarłą żonę. - Postąpi-  
łabyś tak samo.

Miotał się i wiercił, aż w końcu, porzucając nadzieję na zaśnięcie,  
wstał i postanowił rozpocząć orkę wcześniej niż zwykle. Na polu było  
pusto i spokojnie. Oddech Muthawwy unosił się w konarach, powietrze  
było przesycone wonią kwiatów drzewa radości. Orał z jednego końca  
na drugi, kierując wołami, a stopy tonęły mu w skapaniej deszczem ziemi.

- Staralem się - szeptał rozpaczliwie do zmarłej żony. - Dlaczego  
odeszłaś? Jak miałem być jednocześnie ojcem i matką? - Bryza nasiliła  
się, jakby w odpowiedzi, mierzwiąc mu włosy. - Staralem się - powtórzył.  
Oparł się o pług. Woły spokojnie machały ogonami, gdy z jego piersi

wydarło się łkanie. Nie słyszał go nikt z wyjątkiem cichutko wzdychającej bryzy.

- Na twój widok raduje się moje serce - powiedział teraz ze ściśniętym gardłem. - Radują się serca nas wszystkich.

Taji nigdy nie zapytała, kiedy dziecko zostało poczęte, przed ślubem czy po nim. Nie skomentowała też smutku malującego się w oczach wnuczki. „Najlepiej zapomnieć o przeszłości - pomyślała. - Dewi jest już dorosła, wkrótce odkryje sens życia. Bo czy istnieje na świecie takie zmartwienie, którego nie zdołałoby odpędzić niemowlę?”.

Mieszkańcy wioski przyszli w odwiedziny, przynosząc worki z ryżem oraz curry z dziewięcioma rodzajami mięs, kurczakiem i warzywami, którym tradycyjnie zaspokajano apetyt ciężarnych kobiet. Dewi dumnie uniosła głowę. Taji siedziała z boku i słuchała w milczeniu, jak wnuczka śmieje się trochę zbyt głośno i opowiada gościom o urokach małżeńskiego życia, o dobroci męża i wspaniałości domu Kambejmadów. O połaciach pół rozciągających się w każdym kierunku, daleko jak okiem sięgnąć za rzeźbionymi oknami, o licznej służbie i emaliowanych umywalkach sprowadzonych z Anglii. Wbrew temu, co głosiła plotka, nie było tam złotej spluwaczki, ale rodzina posiadała aż trzy inne, wykonane z kutej miedzi. Dziecko wyslizgnęło się z Dewi bez większego zamieszania, w środku dnia, poczekawszy na przybycie ze wsi akuszerki, jakby chciało sprawić matce jak najmniej kłopotu. Żona Tukry przyniosła z podwórza bełę siana, a żona Cengappy i taji wymościły nim kołyskę, kładąc na wierzch prześcieradło. Akuszerka rozsunęła kolana Dewi i delikatnie macając palcem między nogami, z zadowoleniem pokiwała głową.

- Już niedługo - powiedziała. - Przyj, kunji.

- Przyj! - kibicowali jej. Za piątym razem dziecko przyszło na świat.

- To chłopiec - zawołała taji. - To chłopiec! - Pochyliła się nad Dewi, odgarniając z jej czoła mokre kosmyki włosów. - Mój kwiatuszku, ach, moje kochane dziecko, jesteś matką. Matką zdrowego, ślicznego synka. Thimmaja wystrzelił na podwórzu ze strzelby - jeden raz, by przekazać wsi radosną wieść o narodzinach wnuka. Żona Cengappy zerwała kilka łodyg rycynusu rosnącego obok obory, po czym zrobiła z nich maleńki łuk i strzałę. Położyła je w kołysce obok dziecka.

- Obyś miał bystre oko, szybkie nogi i przenikliwy umysł - wyrecytowała słowa starego błogosławieństwa i pocałowała dziecko w pokrytą meszkiem główkę.

Taji z niepokojem spojrzała na Dewi, która leżała ze wzrokiem wbitym w krokwie.

- Potrzymaj go, kunji - powiedziała, kładąc dziecko w jej ramiona.

Dewi popatrzyła na czerwoną, pomarszczoną twarz, na maleńkie paluszki u rąk i nóg zakończone idealnymi półksiężycami paznokci. Stworzyła tę istotę. Z niedowierzaniem zerknęła na końcówkę pepowiny, która nadal wystawała z małego brzuszka, na penisa wielkości naparstka. Chłopiec wyskoczył z jej łędzwi, doskonale ukształtowany, pełny. Popatrzyła na szerokie, wysokie czoło, na wielkie oczy, które bez wątpienia odziedziczył po ojcu. Wstrząsnął nią ból, ogromne, obezwładniające fale smutku, i Dewi zaczęła płakać.

Dewanna popędził do domu Naćimandów, by zobaczyć syna. Niezdarne kołysał dziecko w ramionach, nie chcąc go oddać nikomu innemu,

aż w końcu taji zabrała mu je prawie siłą. Sterczał nad staruszką, kiedy ta podniosła dziecko, żeby mu się odbiło, a potem owijała je warstwami muślinu. Od czasu do czasu wyciągał rękę i gładził syna po główce, aż w końcu dziecko zacisnęło dłonie w pięstki i zapłakało na znak protestu.

- Daj mu spokój, Dewanno - zganiła go taji.

- „Oto synowie są darem Pana - zacytował Dewanna, uśmiechnięty od ucha do ucha - a owoc łona nagrodą. Jak strzały w rękę wojownika, tak synowie za młodu zrodzeni”\*.

\* Ps 127, 3-4.

166

Wtedy taji zapytała go, czy wszystko jest w porządku. Dewanna wbił wzrok w stopy, a uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

- Ona potrzebuje czasu, taji - powiedział w końcu bezbarwnym głosem. - Nasz syn... Będzie lepiej.

Dali dziecku na imię Nandzappa. Trzy miesiące później, gdy nadszedł czas, by Dewi wrócić do domu męża, taji mocno ją przytuliła. Zrobiła czarną kropkę za uchem wnuczki i taką samą pośrodku czoła dziecka.

- Wszystkiego najlepszego, kunji - powiedziała ze łzami w oczach. -

Bądź szczęśliwa, moje słońce, mój księżycu. Zapomnij o przeszłości, ona już minęła. Skup się na tym, co masz teraz, pamiętaj o licznych błogosławieństwach, jakie stały się twoim udziałem.

Kiedy przyjechali do domu Kambejmadów, rodzina powitała najnowszego członka swojego grona szczodrymi błogosławieństwami i złotymi monetami. Maću postarał się, by tego dnia być poza domem, lecz po powrocie on także podarował Dewannie ćwierć funta złota, aby uczcić narodziny jego syna.

Przed narodzinami dziecka Dewi mówiła tak niewiele, że nikt nie zauważył, jak bardzo stała się apatyczna. Wręcz przeciwnie, gdy urodziła syna, kobiety przyjęły ją do swojego tajemnego klubu, z którego istnienia nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Zaczęła uczestniczyć w rozmowach uzmysławiających jej, że praktycznie nie istniał temat, który mogłyby uznać za zbyt osobisty. W kuchni mówiono o wszystkim: o najbardziej intymnych szczegółach małżeństwa i o najbardziej osobistych dziwactwach mężów. Kiedy kobiety próbowały wyciągnąć z Dewi pikantne szczegóły jej pożycia z mężem, kręciła głową i tylko się uśmiechała.

Jej dniom zaczęło towarzyszyć dziwne znużenie. Miała wrażenie, że niczego nie czuje - ani radości, ani smutku, że nie potrafi się złościć ani śmiać. Nawet myślenie i pamiętanie o najprostszych rzeczach wymagało wysiłku. Codziennie rano patrzyła na swoje dziecko i ogarniała ją przytłaczająca obojętność. Synek leżał w kołysce, gaworząc i gruchając, a ona mechanicznie gładziła go po główce. Inne kobiety ciągle powtarzały jej, że jest taka szczęśliwa. Dziecko prawie nigdy nie płakało, istny aniołek. Mówiły, że wygląda jak wykapany ojciec, miniaturowy Dewanna, nawet z temperamentu. Mleko Dewi zniknęło, ledwie zdążyło się pojawić, lecz

I167

pod tym względem dziecko również okazało się niezwykle wyrozumiałe i bez zastrzeżeń zadowalało się rozrzedzonym mlekiem krowy.

Maću tak często opuszczał dom, że prawie w ogóle go już nie widywała.

A ona, pod pretekstem opieki nad dzieckiem, prawie nie wychodziła



z pokoju. Zastanawiała się, jaki sens ma to wszystko. To dziecko, to życie, to nużące następstwo poranków i wieczorów. Dewanna co noc dziękował jej za syna, stojąc niepewnie w nogach łóżka. Dewi za każdym razem odwracała się do ściany. Marzyła o tym, żeby przestał. Jego słowa nic dla niej nie znaczyły. Wszystko straciło sens.

Nawiedzały ją coraz czarniejsze myśli. Przypominała sobie słowa podsłuchane w dzieciństwie: „Jak kwiat”. Włosy Gauru akki unosiły się na wodzie jak kwiat o wielu płatkach. Dlaczego postanowiła wskoczyć do studni? - zastanawiała się Dewi, czując pustkę w głowie. Pomyślała o studni za domem Kambejmadów, o jej ziejącej paszczy, o obsydianowym połysku wody daleko w dole. Wyobraziła sobie, że wiruje, spadając, że porośnięte mchem ściany błyszczą od wilgoci, a słoneczny otwór nad jej głową staje się coraz mniejszy. Zadrzała.

Popołudniami, kiedy na polach robiło się pusto, zaczęła chadzać nad rzekę. Był to bezpośredni dopływ Kaweri, wartka wstęga wody zupełnie inna niż łagodny strumień na polach Naćimandów. Ostrzegano przed nią dzieci, mówiąc, żeby trzymały się od rzeki z daleka. „Gdyby ktoś do niej wpadł - pomyślała mimochodem pewnego popołudnia - woda poniosłaby go daleko, zanim znaleziono by ciało”. Stała nad brzegiem, zastanawiając się, co powinna zrobić. Postanowiła, że usiądzie. Tylko na chwilę, póki nie ustąpi ból głowy. Dziecko było nakarmione i spało, wypełniła już poranne obowiązki i nikt nie będzie jej szukał. Zamyślona usiadła nad brzegiem. Pędząca w dole woda wyglądała tak kusząco. Miała siłę, moc woli, którą Dewi już straciła. Kaweri amma, kapad.

Mówiono, że kiedy mąż Kaweri, wielki mędrzec Agastja, zalecał się do swojej ukochanej, Kaweri przyjęła jego propozycję małżeństwa pod dwoma warunkami. Po pierwsze, że nigdy, nawet na chwilę jej nie opuści. Po drugie, że nigdy nie będzie próbował jej okiełznać. Agastja spełnił obydwa warunki, lecz pewnego razu wezwały go pilne obowiązki i zamknął Kaweri w dzbanku. Postanowił, że żona zaczeka tam do jego powrotu. Jakże nie docenił niezależności swojej wybranki. Kaweri wpadła w furję. Rozsadziła dzban i uciekła, płynąc coraz szybciej. Skruszony mędrzec ją gonił, ale zniknęła pod ziemią. Mogła płynąć, dokąd tylko zapragnęła, wolna i nieskrepowana.

168

Dewi wpatrywała się w rzekę, przypominając sobie starą legendę.

Może tylko stopy, włoży do wody tylko stopy, żeby poczuć dotyk wody na skórze. Opuściła nogi, a silny prąd szarpnął je, chcąc ją pociągnąć za sobą. „Jak wasy lilii wodnej”. Delikatnie dotknęła palcami szyi, maleńkich, czarnych paciorków kartamani, ciemnego łańcuszka noszonego przez wszystkie mężatki. Woda szarpnęła jeszcze raz, trochę bardziej nagłaco, i Dewi zbliżyła dłonie do karku, żeby odpiąć łańcuszek.

- Nie wiedziałam, że też tu przychodzisz. - Dewi podskoczyła wystraszona, omal nie tracąc równowagi. - Oj, ostrożnie - zawołała kobieta. - W tym miejscu prąd jest wyjątkowo silny.

Była to jedna z ciotek Dewanny. Usadowiła się obok Dewi, nie czekając na zaproszenie.

- Ja też lubię tu przychodzić. Jest tak spokojnie.

Dewi pokiwała głową, spuszczając wzrok na wodę.

- Dziecko śpi?

Dewi znów potwierdziła skinieniem głowy.

- Dobrze, że w tej sypialni znowu zagościło życie. Szczęście. Po tym wszystkim, co się stało...

Spojrzała na zaskoczoną minę Dewi.

- Nic nie wiesz? - zapytała zdziwiona. - Kiedyś ten pokój należał do ojca i matki Dewanny.

- Do Gauru akki?

- Tak. Do Gauru. - Kobieta ze smutkiem spojrzała na rzekę. - Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni wymówiono tutaj jej imię.

Dewi spojrzała na swoje kostki, zniekształcone przez wodę. Gauru akka. Czuła się dziwnie, myśląc, że śpi w tym samym łóżku, w którym kiedyś Gauru leżała jako młoda żona. Zastanawiała się, czy Dewanna o tym wie.

Odwróciła się i spojrzała na jego ciotkę.

- Co się stało? - zapytała po prostu.

- Między Gauru i ojcem Dewanny? A cóż by innego? Ten sam stary dramat co zawsze. Niektórzy mężczyźni w tym domu, włączając swojego męża - zwierzyła się - zostali pobłogosławieni zbyt dużą jurnością. Wystarczy im sam dotyk kobiety, żeby zaczęli ryć w ziemi i prychać jak byk. - Westchnęła. - Czasami jedna żona po prostu im nie wystarcza. Potrzebują innych kobiet. Wielu kobiet. Gauru... ona za bardzo go kochała. Nie mogła znieść, że musi się nim dzielić. Wszyscy słyszeliśmy krzyki dobiegające z ich pokoju późnym wieczorem. Czasami nazajutrz

169

miała siniaka na ręce albo na policzku. A potem pewnego dnia odeszła. - Prychnęła. - Mężczyzna jest jak pies, wsadza nos w każdą dziurę, ale w końcu zawsze wraca do domu. Gdyby przymknęła na to oko, nadal by go miała. I na co jej przyszła ta wielka miłość do męża? Smutny koniec w mokrej studni. A on nie poczekał nawet pół roku, zanim ponownie się ożenił. - Kobieta jeszcze raz westchnęła. - Trzeba żyć, a nie uciekać od problemów. Trzeba walczyć o szczęście. Dla kobiety to nie jest łatwe, ja pierwsza mogę o tym zaświadczyć. Ale czy jest sens wszystko przekreślać? Trzeba walczyć.

Odwróciła się i spojrzała na dom, osłaniając oczy dłońmi.

- Powinam sprawdzić, co z obiadem - powiedziała, wstając z wysiłkiem.

Dewi zerknęła na nią i uśmiechnęła się.

- Idź - zachęciła. - Ja też zaraz przyjdę.

Przypomniała sobie, jaka łagodna była Gauru. Trudno było ją sobie wyobrazić, jak podnosi na kogoś głos. Czekwała. Dewi zrozumiała, że Gauru nadaremnie wyglądała, aż ojciec Dewanny przyjdzie i zabierze ją do domu. Włosy Gauru unosiły się na wodzie w studni jak kwiat, jak lilia o wielu płatkach... A potem życie biegło jak dawniej.

Trzeba walczyć o szczęście.

Dewi długo wpatrywała się w rzekę, w prąd namawiający ją, by skoczyła w toń. „Trzeba walczyć”. Powoli, ale zdecydowanie, wyjęła stopy z wody. Wstała, odwróciła się i ruszyła w stronę domu, a mokre ślady jej stóp zamigotały na trawie i po chwili zniknęły w słońcu.

Sari, które Dewi wybrała tamtego wieczoru, zostało uszyte ze zwykłej bawełny, ale miało delikatny, różowy odcień.

- Och, jaki ładny kolor! - zawołała jedna z ciotek.

Dewi się uśmiechnęła.

- Ktoś mi kiedyś powiedział - wyjaśniła cicho - że ten kolor przypomina mu dzikie róże porastające pagórki.

Maću skamieniał. Na dźwięk tych słów jego dłoń wykonała mały, gwałtowny ruch. „Jak róża - powiedział do niej kiedyś. - W tym kolorze wyglądasz jak górską różą”. Zacisnął usta, a potem zdecydowanie przysunął talerz i dalej jadł w milczeniu.

Nie było go przez dwa następne dni. W wieczór jego powrotu

Dewi, podając do stołu, rozmyślnie wylała mu na rękaw sos z curry z baraniną.

- Ojej, co ja narobiłam - zawołała, ze wstydem łapiąc się za policzki. - Pozwól, że to wytrę. - Z łomoczącym sercem sięgnęła po jego rękę i mocno ścisnęła jego palce, polewając plamę wodą.

Maću wyrwał dłoń.

- Nie musisz się tak kłopotać - powiedział beznamiętnym tonem, choć na jego brodzie spostrzegła drgający mięsień. - Plama zejdzie bez problemu.

Dewi stosowała takie sztuczki przez kilka następnych tygodni. Ustąpił mrok, który ją wcześniej spowijał, a na jego miejscu pojawił się jeden obsesyjny cel. „Maću”.

171

Myła włosy i siadała na podwórzu, by wysuszyć je tuż pod oknem pokoju, w którym spał Maću. Słońce wpadało między splątane, jedwabiste kosmyki, wplatając w nie połysk. Choć wcześniej w ogóle nie zaprzętała sobie głowy tym, w co się ubrać do obiadu, teraz rozpaczliwie przetrząsała całą szafę. Znowu zaczęła wsuwać kwiaty we włosy, a smukłe kostki ozdabiała srebrnymi łańcuszkami. Od czasu do czasu Dewannie zapierało dech w piersiach na jej widok, podobnie jak innym mężczyznom w rodzinie, którzy nieśmiało zerkali w jej stronę. Maću zaciskał usta i tylko po tym można było poznać, że w ogóle zauważył jej obecność.

Dewi nie wiedziała, co mu powie ani jak go przekona, zresztą nie wiedziała nawet, do czego powinna go przekonać. Możliwe, że zamiar, zaczątek tego, co miało nastąpić, już w niej tkwił, głęboko zakopany. Dewi nie była jednak skłonna do introspekcyjnych rozmyślań. Liczyło się dla niej tylko gorączkowe, naglące tu i teraz. Chwila obecna, każda minuta rozłąki, każda zmarnowana godzina, każdy dzień, który mogliby, który powinni spędzić razem.

Nie miała pojęcia, czyjej zabiegi zaskakują, szokują, czy może złością Maću. Jego jedyną reakcją było jeszcze większe wycofanie, jeszcze dłuższe nieobecności w domu Kambejmadów. Ale kiedy wracał, codziennie podczas porannego zamiatania podłogi przystawała pod pokojem kawalerów. Przykładała dłonie do zamkniętych drzwi i jej myśli, cała jej istota, przenikały przez drewno i skupiały się wyłącznie na Maću. „Jestem twoja. Twoja”.

Kilka tygodni później powrót Maću wywołał wielkie poruszenie wśród domowniczek. Od kilku dni był w Majsurze, a gdy wrócił w środku dnia, miał na sobie podartą i ubłoconą z tyłu kupję. Tkaninę szpeciły ciemne plamy czegoś, co wyglądało jak zaschnięta krew.

- To nic, to nic - zapewniał je. - Poślizgnąłem się i wpadłem do rowu, to wszystko.

- Z tego, co widzę, przy okazji porządnie się poobijałeś - zauważyła jedna ze starszych kobiet. - Zawołajmy Dewannę, on będzie wiedział, co zrobić.

-Nie!

172

- Nie - powtórzył, tym razem spokojniej. - Nie ma potrzeby nikogo wołać. Czy w kuchni jest kurkuma? Nic więcej mi nie potrzeba, to tylko zadrapanie, wierzcie mi.

- Kurkuma? Nie, nie, potrzebujesz czegoś skuteczniejszego. Spójrz, nadal krwawisz... - Jedna z kobiet pobiegła wystraszona do pokoju Dewi, która właśnie układała Nandzu do snu. - Dewi! Dewi! Gdzie jest twój mąż? Wrócił Maću anna, ranny...

Dewi zbladła i popędziła do kuchni. Maću nadal stał otoczony przez kobiety i dzielnie próbował je uspokoić. Wpatrywała się w niego zaniepokojona. Zerknął w jej stronę i natychmiast odwrócił wzrok.

- Proszę was, nie ma powodu do zmartwienia... Nie potrzebuję żadnych leków ani żadnych lekarzy. Dajcie mi tylko trochę kurkumy i już mnie nie ma.

- Kurkuma tu nie wystarczy. - Dewi z zaskoczeniem zauważyła, że jej głos brzmi zupełnie spokojnie. - Zgadza się, z tego, co widzę, nie ma potrzeby wołać... - zawahała się tylko przez ułamek sekundy, ale Maću od razu zauważył, że nie chciała wymawiać imienia męża. - Lekarz nie jest tu potrzebny - ciągnęła gładko - ale wiem, jakie lekarstwa trzeba podać. Są w moim pokoju.

- Nie kłopotz się - szorstko odparł Maću, kiedy wróciła z jodyną i rolką bawełny. - Daj mi tę buteleczkę, sam opatrzę sobie rany.

- Też coś! - zganiła go jedna z ciotek. - Przestań być taki uparty.

Przecież to twoja szwagierka, a nie jakaś wstydliva, niezamężna dziewczyna. Daj mi swoją kupję i stój spokojnie, a ona oczyści ci rany.

Maću wiedział, że nie ma szans. Z kamienną twarzą zaczął powoli odwiązywać kupję i skrzywił się, odrywając materiał od skóry na plecach. Kiedy się rozbierał, Dewi skromnie odwróciła wzrok i udawała, że bawi się buteleczką jodyny, ale gdy rozebrał się do pasa, jej serce załomotało.

- Usiądź - powiedziała po prostu i znowu zadziwił ją opanowany ton jej głosu. Serce biło jej tak mocno, że czuła lekkie zawroty głowy. Usiadł na taborecie, odwrócony do niej plecami. W każdym naprężonym mięśniu jego ciała widać było napięcie. Obstały go kobiety.

- Tak jak myślałam, rany nie są głębokie - mruknęła z ulgą Dewi.

Maću zacisnął usta.

- Przecież mówiłem.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego zaczerpnęła trochę wody bulgoczącej w garnku na kuchni. Zanurzyła w niej kawałek materiału, a potem go

173

wykręciła. Maću milczał, siedział wyprostowany z dłońmi zaciśniętymi na kolanach. Jego zmysły wyostrzyły się jak w największej gorączce, boleśnie świadome najdrobniejszych ruchów. Krople wody spadały, obracając się w locie i łapiąc światło kominka. Nad kawałkiem materiału

delikatnie unosiła się para, kiedy Dewi znowu zanurzała go w wodzie. Podzwaniało szkło, kiedy jej bransolety na nadgarstkach poruszały się w przód i w tył.

Zaczęła przemywać mu plecy. Najpierw poczuła, a dopiero potem usłyszała krótkie, szybkie wdechy, kiedy delikatnie muskała jego skórę opuszkami palców. Jego pięści otworzyły się, zacisnęły i znów otworzyły. Powoli usuwała żwir i błoto z poszarpanych ran, a otaczające ich kobiety od czasu do czasu wydawały okrzyki, wskazując drobiny, które mogła przeoczyć.

- Tam. Nie, tam. O, właśnie tu.

Dewi słyszała ich głosy, jakby dobiegały z bardzo daleka, jak pozbawione ciała głosy unoszące się nad stawem. Miała wrażenie, że jej pole widzenia nagle się skurczyło, a percepcja i świadomość ograniczyły się do kilkudziesięciu wąskich centymetrów przestrzeni, przez co widziała jedynie siedzącego przed nią mężczyznę. Żar jego ciała, które miała na wyciągnięcie ręki. Każdy mały włoszek na jego karku. Przesuwała mokry materiał po jego skórze - po karku, ramionach i krzyżu, delikatnie dotykając kręgosłupa paznokciami.

- Och, tylko popatrzcie, jak się spocił - powiedziała któraś z kobiet.

Maću skrzywił się i odruchowo otarł czoło przedramieniem.

Dewi oblała kawałek materiału jodyną.

- Zapiecze - mruknęła, delikatnie dotykając nim ran. Przez podwójną szybę świetlika wpadł promień słońca. Drżące drobinki kurzu wzbily się w powietrze. Pochyliła głowę tak blisko, że jej warkocz musnął jego ramię, tak blisko, że dostrzegła maleńkie pory w jego skórze. Włoski na ręce Maću stanęły dęba, w jego brodzie zadrgał mięsień. Dewi delikatnie dotknęła jego ramienia, jakby chciała odzyskać równowagę. Pochyliła się jeszcze bardziej i ściągawszy usta, delikatnie podmuchała mu na skórę.

- Dość tego - Maću zerwał się z taboretu. - Wystarczy - powiedział surowo. Jego zaciśnięte usta utworzyły cienką, napiętą linię. Pospiesznie podniósł podartą kupję z podłogi i wyszedł z kuchni.

Kobiety wybuchnęły śmiechem.

174

- Ech, ci mężczyźni! - wołały czule, błędnie odgadując przyczynę jego skrępowania. - Cóż za zabawne istoty. Bez namysłu staną twarzą twarz z najdzikszą bestią, ale gdy tylko lekko ich zapiecze, uciekają w popłochu!

Dewi milczała. Kiedy zamykała buteleczkę z jodyną, nadal miała przyspieszony oddech.

Po tym wydarzeniu Maću tak starannie jej unikał, że przez następny miesiąc prawie w ogóle go nie widywała. I kiedy już zaczęła wpadać w rozpacz, zgłosił się na ochotnika do zbierania pistoletowych kwiatów. Zbliżał się festiwal broni, więc każdą strzelbę, miecz i nóż w domu należało ozdobić jaskrawopomarańczowymi kwiatami.

Podczas kolacji Maću powiedział najakowi Kambejmadzie, że wyruszy nazajutrz z samego rana. Na początku tygodnia w dżungli rozkwitły kwiaty, a on wiedział, gdzie można znaleźć najdorodniejsze okazy. Nie, nikt nie musiał mu towarzyszyć. Zebranie kilku kwiatków nie jest przecież aż takie trudne.

Kiedy wyszedł z domu, było bardzo wcześnie. Chłodna mgła spowijała podwórze. Rozmyty księżyc, który wzeszedł poprzedniej nocy, co chwilę wyłaniał się zza chmur, gwiazdy markotnie połyskiwały we mgle. Maću zszedł różnym krokiem po kamiennych schodach wykutych z jednej strony podwórza, a potem ruszył ścieżką wiodącą przez pola w las. Pokonał już spory odcinek, gdy nagle zatrzymał się w pół kroku.

- Dewi? - zapytał wstrząśnięty. - Dewi?!

Stała na wpół spowita mgłą. Wymknęła się z domu wcześniej niż on. Wezbrała w nim wściekłość. Ruszył jeszcze szybciej i kilka sekund później był już obok niej. Nawet w tak słabym świetle nie można było nie dostrzec złości na jego twarzy.

- Oszalałaś?

Gdzieś na polach ryżowych poderwał się ptak, potem drugi, bijąc w ciemności bladymi skrzydłami.

- Co tutaj robisz o tej porze?

175

Nerwowo odrzuciła głowę do tyłu.

- W świetle księżyca prezentujesz się znacznie lepiej.

To samo powiedział jej dawno temu, kiedy poprosił o spotkanie na drodze prowadzącej do domu Naćimandów.

- Wracaj - powiedział szorstko. - Natychmiast. Kobiety w tej rodzinie, szwagierko, nie stoją w lesie, wyczekując na kawalerów.

Dewi skrzywiła się, a potem wzięła głęboki oddech i ruszyła w jego stronę.

- Nie zbliżaj się - ostrzegł. Zrobiła następny krok, a wtedy wyciągnął rękę, strącając tym gwałtownym ruchem strzelbę z ramienia. - Nie podchodź! Nie wiem, w co ze mną pogrywasz, ale jeśli myślisz, że będę twoim pionkiem, jesteś w wielkim błędzie.

- Maću - powiedziała drżącym głosem. - To, co się stało... Wiem tylko tyle, że bez ciebie... - bezradnie rozłożyła ręce - nic nie ma sensu, Maću. Bez ciebie nie ma nic.

Utkwiła w nim wzrok i bardzo powoli, lecz zdecydowanie, zrobiła kolejny krok. Krew w żyłach na jego szyi zaczęła wściekle pulsować.

- Czego chcesz? - W jego głosie pobrzmiwała dzikość, prawie rozpacz. - Ajappo swami, czego ty ode mnie chcesz?

Patrzyła na niego wielkimi oczami. Miała rozszerzone źrenice.

- Ciebie - szepnęła.

Zamarł w bezruchu. Wokół nich zaczynało się przejaśniać. Wystarczyła mała zapowiedź poranka, drobna zmiana, i noc zaczęła zrzucać swoje przezroczyste warstwy, jedną po drugiej. Dewi podeszła jeszcze bliżej, tak blisko, że poczuła jego oddech. Pochyliła się do przodu, a potem powoli, zdecydowanie zbliżyła usta do jego szyi. Chłonęła jej zapach, woń czystości, niezbyt słodką, jak świeżo skoszona trawa. Mimo woli zadrżał, kiedy przesunęła dłońią po jego piersi. Zaczęła całować go po szyi. Oczy zasły mu mgłą i samoistnie się zamknęły. Jej usta były miękkie, miękkie jak puch. Ajappo swami, dlaczego miała nad nim tak wielką władzę...

- Nie. - Brutalnie ją odepchnął, aż zatoczyła się jak pijana, pewna, że upadnie.

Zarzucił strzelbę na ramię, patrząc na nią z taką nienawiścią, że aż struchlała.

- Odejdź, po prostu odejdź, zanim... Odejdź!

Do jej oczu napływały łzy, po wcześniejszej odwadze nie został nawet ślad.

- Maću, proszę cię...

176

- Idź stąd! - Nie patrząc na nią więcej, z nieprzejednaną miną ruszył w stronę dżungli.

Czuł tak wielką wściekłość, że prawie nie był w stanie myśleć. Wiedział, że ona nadal tam stoi i odprowadza go zboląłym spojrzeniem.

Skręciłby jej kark, gdyby tylko spróbowała... Zaczęła płakać. Zawahał się przez chwilę, ale uparcie szedł naprzód.

Dewi szła do domu chwiejnym krokiem, a po twarzy płynęły jej łzy.

Ależ była głupia, tak strasznie głupia. Rozpacz minionego półtora roku przygniotła ją z miażdżącą siłą. Zaczęła gorzko płakać. Płakała tak mocno, że prawie nic nie widziała. On ją nienawidził. Nigdy jej nie wybaczy tego, co się stało.

I wtedy Maću się zatrzymał. Zacisnął zęby. Nienawidził władzy, którą nad nim miała, a jeszcze bardziej nienawidził siebie. Zawrócił i zwinnie jak kot dogonił ją kilkoma susami. Złapał ją za ramię i gwałtownie obrócił.

- Nie potrafię - płakała - nie potrafię... już dłużej...

Chwycił ją za ramiona i zaczął nią potrząsać tak mocno, że włosy wyślizgnęły się z luźnego koka. Jego dłonie zaplątały się w jedwabiste kosmyki i potrząsał nią dalej, a w jego oczach złość mieszała się z gorczyzą i ostrym, narastającym bólem. Potrząsał nią jak szmacianą lalką, w przód i w tył, w przód i w tył, a potem brutalnie uniósł jej twarz do góry i zmiażdżył jej usta swoimi.

Spotkali się w kotlinie obok strumienia, w gęstych zaroślach złotokapu, które wskazał jej Maću. Odsunęła gałęzie i przykucnąwszy, weszła wąskim wejściem. W środku była naturalna altana, wystarczająco wysoka, by dorosły mężczyzna mógł swobodnie stać, otoczona od tyłu fikusami, a od przodu i po bokach baldachimem kwitnących gałęzi. Na omszałej ziemi leżały zasy jaskrawych, żółtych płatków. Wysoko w górze słońce przeciskało się przez gęstą falę liści. Stali naprzeciw siebie, dziwnie onieśmieleni. Powiedział jej, że odkrył to miejsce jako chłopiec, kiedy gonił zającą. Z tego, co wiedział, nikt inny nie miał pojęcia o jego istnieniu.

Wybuchnęła zbyt wesołym, sztucznym śmiechem.

- Chciałeś powiedzieć: nikt oprócz twoich wcześniejszych zdobywcy.

Pokręcił głową i nie mówiąc już ani słowa, wziął ją w ramiona.

To było jak płynny ogień. Wgłębienie u podstawy jego kręgosłupa, zwierzące odgłosy, które wydawał, kiedy przygryzała mu ucho.

177

Wcześniej zawsze zachowywali czystość. Poczucie honoru zabraniało Maću robić coś więcej, niż tylko przywierać zbolętymi ustami do jej ust, by potem znowu się odsunąć. Teraz było inaczej. Ta przedłużająca się rozłąka pomimo mieszkania pod jednym dachem, ból serca, kiedy patrzył, jak ona co wieczór znika w pokoju innego, przejmująca potrzeba bycia z żoną krewniaka przelewały się przez niego jak fala poczucia winy i pożądania, aż w końcu nie był już pewien, czy czuje jej skórę, czy może własną. Jej zduszone okrzyki, nieokiełznana reakcja, która rozpaliała go, pobudzała, unosiła ich oboje jeszcze wyżej, nieznośnie

wysoko, gdzie smutek nagromadzony w ich sercach eksplodował w akcie miłosnego zespolenia.

„Mój. Na zawsze”.

Spotykali się, kiedy tylko mogli, wśród popołudniowej ciszy. Do oczu Dewi powrócił blask, jej krok nabrał sprężystości, a policzki rumieńców. Maću miotał się między dziką, gwałtowną euforią a palącym wstydem. „Co ja wyprawiam?”, zastanawiał się, leżąc rozbudzony w nocy i wpatrując się w sufit. Myślał o niej, o tym, jak przechyla głowę, kiedy na niego patrzy, marzył o aksamitnej miękkości jej skóry. „Postępuję słusznie - stwierdzał w końcu. - Nie może być inaczej. Nie może być złe coś, co wydaje się takie właściwe”.

Dewanna wziął piosenkę na ustach Dewi za znak, że jej serce nareszcie mięknie. Pewnego dnia zostawił jej na komodzie w pokoju bukiet kwiatów sampige owiniętych w liście i związanych sznurkiem. Wiedział, że go tam znajdzie. Dewi wpatrywała się w kwiaty z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Dziecko, zauważywszy matkę, radośnie zagruchało w kołysce. Odwróciła się i spojrzała na nie, a ono wesoło pomachało pulchnymi rączkami. Drżącymi ustami uśmiechnęła się do syna, czując nieopisany ciężar w sercu. Podniosła dziecko. Jego ciepłe ciało ufnie wtuliło się w jej ramiona i do oczu Dewi napłynęły łzy.

Tamtego wieczoru podczas kolacji Dewanna zobaczył, że wplotła w warkocz jego kwiaty, i serce zabiło mu z nadzieją. Wieczorem, kiedy leżała na łóżku, przysunął się do niej i nieśmiało pogładził ją po włosach. Dewi struchlała.

- Jak śmiesz - powiedziała do niego, drżąc na całym ciele. - Nie waż się mnie tknąć. Nigdy.

- Jak długo jeszcze? - zapytał z wyraźną urazą w głosie. - Jak długo będę musiał pokutować?

- Mów ciszej. Proszę, nie rób ze mnie pośmiewiska twojej rodziny.  
178

- Mam nie robić z ciebie pośmiewiska? Dewi, wiem, ile przeze mnie wycierpiałas. Codziennie żyję z tą świadomością i wiem, że kiedyś będę musiał za to zapłacić. Ale minął już ponad rok. Czternaście miesięcy. Jesteśmy małżeństwem, mamy syna. Jak długo będziesz mnie jeszcze karała? Powiedz mi, Dewi - zakończył zgnębiony - powiedz, co mam uczynić, żebyś mi wybaczyła.

Dewi odwróciła się od niego z łomoczącym sercem.

- Ucieknij ze mną - zaproponował jej kiedyś Maću.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek.

- I będziemy żyli w nieczystości? Wiesz, że byłbyś nieszczęśliwy. - Gdy tylko to powiedziała, ugryzła się w język. Wiedziała, jak bardzo ciąży mu złamanie przysięgi. Do końca dwunastu lat pozostał niespełna rok, a mimo to postanowił z nią być, wybrał ją zamiast swojego boga. - Poza tym - dodała pospiesznie, podnosząc głowę z jego piersi i zerkając spod przymrużonych powiek na migoczące w liściach słońce - tutaj jest twoja ziemia.

Długo milczał.

- Wiele lat temu - powiedział w końcu - kiedy byłem mały, odbyło się posiedzenie rady starców. Rozstrzygano o losie mężczyzny z sąsied-



niej wioski. Był oskarżony o kradzież, o przywłaszczenie dziewięciu akrów ziemi powierzonych jego bratu. Obradom przewodniczył najak Kambejmada. Pamiętam, że był już wieczór. Ze wszystkich stron, ze wszystkich wiosek podległych najakowi nadciągali ludzie, którzy zeszedli ze wzgórz i zmierzali na główny skwer. Bydło zaganiano na noc z powrotem do obór, widać było łby podskakujące na tle wzgórz i rozlegało się ciche podzwanianie dzwonek. Nie było słycać nic oprócz tego podzwaniania, bo wszyscy milczeliśmy, pogrążeni w całkowitej ciszy, i przytłoczeni powagą sytuacji czekaliśmy na wyrok, który nieuchronnie musiał zapaść. Mężczyzna stanął przed starszyzną, wyprostował się. Odebrano mu pićekathi i odikathi. Leżały z boku, na ziemi. Najak wstał i wyrecytował słowa oskarżenia. „Czy przyznajesz się do winy?”, zapytał. „Tak”, odpowiedział tamten z prostotą, pogardzając kłamstwem, gdyż prawda była wymalowana na jego twarzy. „Podjęliśmy decyzję - ciągnął najak ponurym głosem. - Za tę zbrodnię należy się kara. Od jutrzejszego

179  
poranka nikt nie może zaoferować winowajcy ani drzewa, ani wody, jak ta kraina długa i szeroka”.

Maću zamilkł ze wzrokiem skupionym gdzieś w oddali.

- Mężczyzna chwilę stał, a potem osunął się na ziemię, Dewi. Runął na ziemię jak bawół ugodzony w kolana. Całe jego opanowanie zniknęło, skulił się i zapłakał jak dziecko.

Ani drewna, ani wody. Dewi rozmasowała gęsią skórę, która pokryła jej ramię. „Ani drewna, ani wody”. Wiedziała, co to oznacza. Winowajca, który nie mógł prosić o pożywienie ani o schronienie w całym Kodagu, został wygnany, skazany na wieczną banicję.

- To twoja ziemia - powtórzyła smutno. - Tutaj jest twoje serce, wszędzie indziej zwiędnie.

- Przy tobie. Moje serce jest przy tobie.

Znowu wzięli się w ramiona.

Stali się bardziej lekkomyślni, spędzali w leśnej altanie coraz więcej czasu, trzymając się siebie nawzajem, dotkliwie świadomi upływających minut, lecz żadne z nich nie chciało być tym, które sprawi, że czar pryśnie.

Ostatecznie tym kimś zawsze okazywał się Maću.

- Powinniśmy już iść - mówił zrezygowany. - Zaczną się zastanawiać, gdzie jesteś.

Skradali sobie długie pocałunki na strychu, a czasami, wcześniej rano, na wewnętrznym dziedzińcu, pod nosami śpiącej rodziny. Stali się nieostrożni. Pewnego razu jedno z dzieci obudziło się z płaczem i przy sięgało, że widziało ducha przemykającego korytarzem. Innym razem Maću zostawił jej na szyi malinkę, która była zbyt wysoko, by dało się ją ukryć pod bluzką. Przełożyła warkocz przez ramię, ale kiedy podawała ryż, zsunął się na bok. Jedna z kobiet zauważyła malinkę i z figlarnym uśmiechem trąciła Dewi łokciem.

- Nie dawał ci w nocy spokoju, co? - zapytała, mrugając w stronę De wanny.

Dewi z łomoczącym sercem spojrzała na męża, ale na szczęście najak wciągnął go w dyskusję na temat księgowości i Dewanna nic nie usłyszała. W końcu dopadło ich nieuchronne, dotkliwe rozgoryczenie.

- Dotyka cię tutaj? - szepnął Maću, kreśląc szlak w dół jej szyi. - A tu-

taj? Albo tutaj? Potrafi sprawić, żebyś czuła się tak jak teraz?

180

- Przestań - powiedziała Dewi. - Prosiłam cię, żebyś nie mieszał do tego Dewanny

- Tak? - Maću cynicznie uniósł brew. - Więc teraz nie wolno nam nawet rozmawiać o twoim mężu?

- Jestem dla ciebie tylko zabawką, prawda Dewi? - zapytał po chwili, przerywając milczenie. - Kochankiem, z którym można flirtować, nie zapominając o wspaniałym mężu.

Dewi opuściła altanę cała we łzach.

- Dlaczego na mnie nie zaczekałaś? - zapytał z rozpaczą innym razem. Dewi w milczeniu spuściła wzrok na dłonie. Obiecała taji. Poza tym teraz było już za późno. Wiedziała, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała: ślepą, bezmyślną wściekłością na Dewannę. Wiedziała, jaki skandal wstrząsnąłby wkrótce całym Kodagu. Jaka hańba ciążyłaby na Nandżappie. Czyim on jest synem? - pytałiby złośliwie, patrząc na dziecko znaczącym wzrokiem. I spoglądaliby na nią z wyrzutem.

„Spróchniały ząb, w którym grzebało wiele wykałaczek”.

- Dewi - jeszcze raz zaczął Maću. Podniosła się i zamknęła mu usta swoimi.

Dni stawały się coraz chłodniejsze. Coraz częściej się kłócili. Niekończące się, wyczerpujące podstępny nie dawały im spokoju. Mały Nandżu potrafił już chodzić. Kobiety mówiły, że jest szybki jak sardynka i w mgnieniu oka potrafił się oddalić nie wiadomo dokąd. Krzewy okryły się złotymi, kulistymi kwiatami, a zimowe pochrzyny urosły gąbczaste i tłuste. Wkrótce w domu Kambejmadów znów nadszedł czas złożenia przodkom dorocznej ofiary błagalnej.

Mistyk zaproszony specjalnie na tę okazję aż z Kerali z namysłem przywdział na werandzie swój strój, a stado dzieci z rozdziawionymi ustami śledziło każdy jego ruch. Pomalował sobie twarz, zmieniając ją w przerysowaną maskę czerni, bieli, czerwieni i zieleni, a oczy podkreślił grubą czarną kreską, która sięgała aż do skroni. Jego pióropusz miał co najmniej trzydzieści centymetrów wysokości. Został wykonany ze zwiewnej siateczki w kolorze indygo, która połyskiwała w zmierzchu. Mistyk miał na sobie białą tunikę z długimi rękawami, a na niej obszerną spódnicę z suchej trawy sięgającą kostek. Na koniec opasał się paskiem z patyków, który zachodził na spódnicę, żeby nie odstawała od ciała. Do każdego patyka przywiązał mały mosiężny kubeczek, a Dewi i inne domownicy włożyły do nich bawełniane knoty i wlały po łyżce oleju.

181

Słońce zniknęło w kipiącej czerwieni i wieczorne świerszcze zaczęły z namaszczaniem pocierać skrzydełkiem o skrzydełko. Dzieci zostały wykąpane i nakarmione, a pokój modlitwy i kącik przodków udekorowano kwiatami. W środku unosił się zapach jaśminu. Czując lekkie mdłości, Dewi wyszła na werandę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Podwórze wypełniało się już ludźmi ze wsi Kambejmadów i z sąsiednich okolic, którzy przybyli po błogosławieństwo wyroczni. Rozejrzała się ukradkiem, ale nigdzie nie dostrzegła Maću. Poprzedniego popołudnia znowu się pokłócili. Nie udało jej się w porę wyrwać

z kuchni, a kiedy w końcu przyszła na spotkanie, był w wisielczym nastroju. Chcąc go udobruchać, obsypała go pocałunkami, ale był bardzo rozgoryczony.

- Byłaś w kuchni? A może zatrzymał cię mąż?

Wtedy pokłócili się wyjątkowo mocno. Teraz, kiedy sobie to przypomniała, łzy zaszczypały ją pod powiekami.

- Dlaczego? - zapytał po raz kolejny. - Przysięgłaś być ze mną, więc dlaczego nagle zmieniłaś zdanie?

Znowu nie miała nic do powiedzenia.

- Zakończmy to - zaproponował z głębokim smutkiem w głosie. -

Zakończmy to, Dewi, nie ma dla nas przyszłości.

Przygryzła usta i jeszcze raz rozejrzała się po podwórzu. Poprzedniego wieczoru Maću zniknął i nie było go cały dzień. Chyba nie opuścił ceremonii składania ofiary?

Noc rozlała się na wzgórza i pochodnie na filarach werandy rozbłysły żywym ogniem. Nad głowami śmigały nietoperze, a w ciemności rozlegało się powolne, miarowe bicie w bębny. Mistyk ciężkim krokiem wyszedł na podwórze. Tłum jak jeden mąż gwałtownie wciągnął powietrze. Mężczyzna stał i dygotał, kiedy kobiety zapalały knoty u jego pasa. Potężna postać wibrowała w rytm bębnow. Potem, kiedy bębniarze zwiększyli tempo, zaczęła się obracać: z początku powoli, a potem coraz szybciej, tworząc ogromny, ruchomy krąg światła na wysokości pasa, migocząc pióropuszem w świetle rzucanym przez ogień, z oczami błyszczącymi w umalowanej twarzy.

Mistyk okrążył w tym wirującym ogniu podwórze, raz, drugi i trzeci.

Wszedł do domu, wirując od pokoju do pokoju, oddał pokłon przed kącikiem przodków, a potem tym samym krokiem wrócił na podwórze. Wirował i wirował, ludzie przepychali się, żeby ofiarować trochę oleju, wlewając go w kubki u jego ognistego pasa przy akompaniamencie

182  
nieustannego bębnienia. Kamienie na podwórzu zrobiły się śliskie od rozlanego oleju. Zaspane dzieci brano na ręce albo kładziono do łóżek, a mistyk wirował i wirował, zapraszając najważniejszego przodka Kambejmadów, aby przemówił z jego ciała.

W końcu, wiele godzin później, ceremonia dobiegła końca. Wyrocznia przewróciła oczami, ukazując same białka, gdy przodek zstąpił do jej ciała. Potem mistyk przemówił. Poproszono gości, by zadawali pytania. Kiedy wyrocznia odpowiadała, Dewi ujrzała Maću. Zmaterializował się bezgłośnie w trakcie ceremonii. Nie miała pojęcia, gdzie się podziewał, ale teraz stał na werandzie, niespełna półtora metra od niej, i wpatrywał się w nią.

Posłała mu niepewny uśmiech. „Proszę, zapomnijmy o wczorajszym dniu”. Późna pora i cały dzień zazdrosnego zamartwiania się o niego obniżyły jej czujność bardziej niż zwykle. W oczach Dewi odmalowały się z całą siłą spiętrzone uczucia, każdy, kto by na nią spojrział, mógłby je zobaczyć. Stali tam, obydwójce, w obecności całej rodziny, i chłonęli się nawzajem wzrokiem. Po chwili Maću się odwrócił i powoli lecz zdecydowanie oderwał od niej wzrok. Dewi skrzywiła się, jakby wyciągnął dłoń i ją uderzył. Przełknęła ślinę i spojrzała w mrok, zrzucając winę za szczypanie oczu na dym.

Na drugim końcu werandy, w cieniu, nieruchomo stał Dewanna. Kiedy nadszedł czas, by Kambejmadowie zwrócili się do wyroczni o błogosławieństwa, pierwszy odezwał się najak. Podziękował przodkowi za to, że zstąpił z niebios, aby zaszczyścić ich swoją obecnością. Podziękował mu za obfite plony, za narodziny kolejnego wnuka, za trwający dobrobyt rodziny. Poprosił o błogosławieństwo i opiekę dla wszystkich Kambejmaków. Potem reszta domowników podchodziła do wyroczni, para po parze, aby zadać przodkowi pytania. Czy ich dziecko zda zbliżające się egzaminy? Czy podanie o pracę w Madikeri zostanie przyjęte? Czy córka dostanie propozycję małżeństwa?

Gdy w końcu nadeszła kolej Dewi i Dewanny, Dewi nie zauważyła, jak sztywno mąż kroczy u jej boku. Z ciężkim sercem pokłoniła się wyroczni.

- Co to? - zagrzmiała nagle wyrocznia, a tłum zamarł z przerażenia. - Powiedziałem mąż z żoną. Mąż z żoną. Gdzie twój mężczyzna? - zapytał, świdrując Dewi spojrzeniem przekrwionych oczu.

- On... on jest tutaj, wyrocznio.

- Nie. Nie! - zawołała zniecierpliwiona wyrocznia. - Gdzie jest twój mężczyzna? Ty... - Mistryk gwałtownie odwrócił się ku reszcie rodziny

183 i kompletnie zaskoczony gapił się na Dewannę. - Tragedia - zagrzmiął, drżąc na całym ciele. - Ostrzegam was! Wydarzy się tragedia!

Wpatrywali się w wyrocznię z rozdziawionymi ustami, a na podwórzu panowała zupełna cisza. Pierwszy otrząsnął się najak, który odciągnął Dewi i Dewannę od wyroczni i wypchnął naprzód następną parę. Znowu zadudniły bębny. Dewi drżała.

- Nie przejmuj się, kunji - pocieszył ją najak, choć sam także był zmartwiony. - Czasami tak się zdarza, wyrocznia mówi rzeczy, których nie potrafimy zrozumieć.

Dewanna milczała.

Dewi uciekła do domu, żeby się uspokoić. Przyciskając spocone ręce do policzków, stała roztrzęsiona nad kołyską śpiącego syna. „Gdzie jest twój mężczyzna?” - zapytał mistryk. Skąd wiedział? Zapach jaśminu zatykał jej nos.

Dewanna przyszedł za nią i zamknął drzwi. Dewi gwałtownie się odwróciła.

- To Maću, prawda?

Dewi spuściła wzrok na Nandzu. „Nie odzywaj się”, ostrzegł ją rozsądek.

- To Maćaija. Jak to możliwe, że nie zauważyłem wcześniej? Czy wy, czy wy oboje... - Dewanna urwał, nie potrafiąc nawet wymówić tych słów, ale już znał odpowiedź, odkrył tajemnicę szczęścia, którym od kilku miesięcy emanowała jego żona.

- Kochasz go?

„Nie odzywaj się”. Dewi powoli spojrzała na Dewannę i do jej oczu napłynęły łzy.

- Zawsze go kochałam. Od pierwszego wejrzenia. Pamiętasz tygrysie wesele... Zawsze go kochałam.

Usta Dewanny wykrzywiły się w uśmiechu.

- A ja zawsze kochałem ciebie. Odkąd sięgam pamięcią.

Stał i patrzył na nią z przeogromnym smutkiem w oczach.

- Jak do tego doszło? Ta nienawiść... Nie potrafię tego znieść, Dewi. Dewi pokręciła głową i przełknęła ślinę, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Dewanna, proszę. Ja... To był bardzo długi dzień. Czy możemy o tym porozmawiać jutro?

Zaczął coś mówić, ale zamilkł. Na jego twarzy znowu pojawił się wymuszony uśmiech, a potem pokiwał głową.

184

- Jeśli właśnie tego chcesz.

Dewi wytarła oczy.

- Powinniśmy wyjść na podwórze. Ludzie będą się zastanawiać... po tym wszystkim, co powiedziała wyrocznia...

- Tak. Ludzie będą gadać.

Odsunął się od drzwi i otworzył je.

- Idź - powiedział. - Za chwilę do ciebie dołączę.

Dewanna długo wpatrywał się w syna. Pochylił się i delikatnie pocałował pokrytą puszką główkę. W powietrzu unosił się zapach jaśminu. Zdecydowanym krokiem wszedł po schodach na strych i sięgnął po strzelbę wiszącą na haku. Światło z podwórza odbijało się dziwnymi, ognistoczerwonymi kształtami w oknach na strychu. Słyszał przytłumione bicie bębnow. „Zawsze go kochałam”.

- Jesteś wolna, Dewi - powiedział wyraźnie, a potem oparł strzelbę o podłogę i wycelowawszy lufę w pierś, pociągnął za spust.

3

1901

Maću po raz ostatni otarł krawędź ostrza o kamień. Uniósł je do światła i w świeżo zaostrzonym metalu odbiło się słońce, rozbłyskując na starannie wypolerowanej powierzchni.

Trzymał je tak przez chwilę, widząc iskierki tańczące na całej długości noża.

Nadszedł czas.

Powoli, lecz zdecydowanie pochylił się nad Kaweri i nabrawszy wody w złożone dłonie, opryskał nią twarz. Na chwilę zamknął oczy. Starał się o niczym nie myśleć, przed oczami miał czarną pustkę, wymazującą całą przeszłość. „Swamije Ajappo, zwracam Ci to, czym mnie obdarzyłeś”.

A potem, uniósłszy ostrze i zawierzywszy swojemu odbiciu w pomarszczonej wodzie, które miało poprowadzić jego rękę, Maću zaczął miarowym ruchem golić swojego misa, przywilej nielicznych, wasy, które nosił przez całą ostatnią dekadę, atrybut pogromcy tygrysa.

Polą były nagie, pozbawione zbóż, a ciemne podbrzusze gleby gołe i wystawione na zimowe słońce. Ziemia dzierżyła w dłoni spokój popołudnia. Nie słychać było żadnego zbłąkanego szczekania, ani nawet dalekiego podzwaniania dzwonka na krowiej szyi. W zasięgu wzroku nie znalazł się nikt, kto ciekawie popatrzyłby w jego stronę i spróbował zatrzymać jego dłoń.

„Weź to z powrotem, zabierz to wszystko, nie jestem tego godzien”.

Zimorodek zanurkował ku rzece. Lśniącą błękitną plamą przecięła taflę wody, a po chwili wynurzyła się zwycięsko z maleńką rybką koile

189

rozpaczliwie wijącą się w dziobie. Myśliwy i ofiara. Taki był naturalny

porządek rzeczy, prawda?

A on upolował tygrysa, największego spośród myśliwych. Lecz jakże łatwo pozwolił, by ktoś upolował i jego.

To przez jej kark. Pierwszy, śmiertelny cios. Urok gładkiej skóry przysłoniętej warkoczem, który kołysał się aż do bioder. Przepięła się obok niego nad stawem w świątyni Kaweri jak uosobienie determinacji, ale złość, którą poczuł, szybko ustąpiła miejsca rozbawieniu. Potem, kiedy wepchnęła się przed niego, spostrzegł, że nie potrafi oderwać od niej oczu. Śledził każdą zmianę światła i cienia, wzajemną grę mięśni pod przejrzystą skórą, kiedy wyciągała szyję na wszystkie strony. Na chwilę zamknął oczy i pomodlił się, a kiedy je otworzył, powoli osuwała się do wody. Jej smukła talia pasowała jak ulał do jego rozłożonych dłoni.

I tamten wstrząs, tamto przejmujące ukłucie, które poczuł, kiedy w końcu spojrzął na doskonałość jej twarzy.

Zdumiała go swoją bezpośredniością. „Tu jest moje miejsce - powiedziała na szczycie góry, gdzie jej sylwetka odznaczała się na tle chmur. - U twojego boku”. I te oczy, wpatrzone w niego bez śladu przebiegłości ani zakłopotania.

Próbował wybić sobie z głowy tę obsesję. Po festiwalu usiłował przekonać samego siebie, że wyidealizował ją we wspomnieniach, że nikt nie może być aż tak urzekający. „Jest rozpuszczona - powtarzał sobie, nawet kiedy nogi niosły go do domu jej ojca. - Kapryśna kobieta-dziecko”.

A potem wyszła na werandę z czerwonym kwiatem wplecionym w warkocz, i potrafił myśleć tylko o tym, żeby wyjąć ten kwiat, płatek po płatku, rozplatając te jedwabiste włosy, póki nie opadną swobodnie na plecy. Opuścił jej dom w pośpiechu, po raz pierwszy w życiu czując strach. Strach przed tym, co mógłby powiedzieć albo zrobić, gdyby zbyt długo była w pobliżu, wstrząśnięty żarem rozplywającym się w ustach i bezbronną wrażliwością, którą potrafiła w nim wzbudzić zaledwie jednym spojrzeniem spod długich rzęs.

Przynajmniej jego twarz niczego nie zdradziła, tego był pewien.

Potem zaczął się śmiać, zgięty w pół na drodze, śmiał się z gorzkiej absurdalności tej całej sytuacji. Ależ był głupi, zachowywał się jak usychający z miłości kmiot. Do końca przysięgi pozostały mu jeszcze trzy lata. Jak miałby ją prosić, żeby czekała tak długo? Przekonywał sam siebie, że to tylko nedorzeczna obsesja, która szybko minie.

190

Przez następne, wolno płynące miesiące uparcie trzymał się od niej z daleka, usiłując wymazać ją z pamięci. A wtedy czapła poderwała się do lotu, elegancko prostując szyję na tle chmur i przywodząc mu na myśl nieproszony obraz jej twarzy, od którego zamarło serce. „Jakie to głupie - powtarzał sobie, odwracając wzrok. - To. Zupełnie. Bez. Sensu”. Potem zobaczył ją na uczcie i wydała mu się jeszcze bardziej urocza, niż ją zapamiętał.

Gwałtowny przyptyk przyjemności, gdy poczuł, jak wodzi za nim wzrokiem, dreszcz, kiedy zdał sobie sprawę, że ona także nie potrafi zapomnieć. Z początku bawiły go jej jawne wysiłki, którymi chciała wzbudzić w nim zazdrość. Ignorował ją specjalnie, delektując się ich małą grą. Potem, wbrew sobie, wpadł w złość.

Dlaczego tak uparcie przeciągała strunę, robiąc maślane oczy do każdego głupca, jaki się nawinął? „Kapryśna ladacznica”, zaklął w myślach. Doskonale wiedziała, jakie wrażenie robi na tych nieszczęsnych idiotach. I na nim. A może wcale jej to nie obchodziło? Spojrzał na nią zmartwiony, ale akurat była zajęta czarowaniem jakiegoś prostaka wpatzonego w nią z otwartymi ustami. Dłoń Maću zacisnęła się na kubku.

Tamtego wieczoru spojrzała na niego na drodze prowadzącej do jej domu z tą samą szczerością, którą tak bardzo pragnął wymazać z pamięci. „Zaczekam na ciebie - powiedziała. - Już zawsze będę twoja”.

Był pogromcą tygrysa. A mimo to zrobiła z niego głupca.

Dłoń Maću zadrżała, prawie niezauważalnie, lecz to wystarczyło, by świeżo zaostrome ostrze przecięło skórę. Znieruchomiał, wstrząśnięty nagłym bólem po przełomowym odrętwieniu minionych miesięcy. Palce, które zbliżył do policzków, zabarwiły się krwią.

Tamtego wieczoru bębny na podwórzu dudniły tak głośno, że nikt nie usłyszał wystrzału na strychu. Zanim znaleźli Dewannę, jego krew zdążyła wsiąknąć w deski podłogi, tworząc ciemną plamę w kształcie grzyba, która trzymała się drewna jeszcze wiele tygodni później, mimo wielokrotnego szorowania solą kamienną i olejem lnianym. Kolonia mrówek żerowała już na jego poszarpanym ciele i nawet teraz, kiedy Maću to wspominał, włoski na jego karku stawały dęba.

Na szczęście było już późno. Tłum, który przybył na ceremonię złożenia ofiary przodkom, dawno się rozszedł. Znieśli ciało Dewanny na wewnętrzny dziedziniec i dopiero tam, ku swojemu zaskoczeniu i litościwemu przerażeniu, zauważyli, że pod miazgą z krwi i tkanki nadal można wyczuć słaby puls.

191

To Maću popędził po doktora Jamesona. Z podróży pamiętał niewiele, jedynie spocone boki konia pod swymi udami i zmienną poświatę księżycy, rozświetlającą niektóre odcinki drogi słabym blaskiem. Wpadł do domu, nawet nie zauważając protestującego stróża. Jameson wyszedł fioletowy z wściekłości, z przekrzywioną szlafmycą i z remingtonem w dłoni. Szybko jednak się uspokoił, poznając nazwisko najaka i roztropnie rezygnując ze snu na rzecz sowitej zapłaty. Spakował torbę lekarską, kazał osiodłać konia i narzuciwszy płaszcz na piżamę, popędził przez noc za Maću.

Pokręcił głową, mierząc Dewannie puls.

- Tak, żyje. Nie mam pojęcia, jak to możliwe. Cud. Kula... jeden centymetr w prawo i przebiłaby mu serce.

Wiele lat później Jameson, już od dawna na emeryturze w swojej angielskiej wiosce, bez końca powtarzał tę historię swoim kumplom w The Flying Owi, chociaż nikt już nawet nie udawał, że go słucha.

- Tak po prostu. Bum! Kula w serce, to ich ulubiony sposób. Czysty i szybki, przynajmniej tak im się wydaje. To bardzo częste zjawisko w tym pogańskim kraju, można by pomyśleć, że uczą ich tego od kołyski. No więc ten chłopak... ledwie zarośnięty na twarzy, najwyżej dwadzieścia parę lat, z jakiegoś tajemniczego powodu postanawia, że ma dość i chce z tym wszystkim skończyć. Wymyka się na strych, kiedy reszta rodziny uczestniczy w kolejnym bezbożnym święcie. Zdejmuje strzelbę z haka, ale... - Jameson urywa dla większego efektu i pociąga porządną

łyk piwa - ale biedaczysko wybiera akurat tę, która znosi w lewo! To była jakaś wyjątkowa strzelba, przechowywana jako pamiątka - wyjaśniał. - Pewnego razu powalono nią tygrysa i mimo fatalnej wady rodzina wysoko ją ceniła.

Przewieźli Dewannę do Kliniki Medycznej w Madikeri. Wytrzymał zarówno podróż wyboistą drogą, jak i kilka następnych miesięcy. W rodzinie zaczęły krążyć plotki. Ta dziewczyna, Dewi. Przecież wyrocznia ostrzegła ich przed niechybną tragedią, prawda? To ona była wszystkim winna, nie mieli co do tego wątpliwości. Tylko spójrzcie na jej biednego męża, uwięzionego w piekle na ziemi. Nie był nawet w stanie odebrać sobie życia z honorem. Co z niej za żona...

192

Maću słuchał plotek w milczeniu, lecz nie mógł stanąć w obronie Dewi, by nie pograżyć jej jeszcze bardziej. Zimne słowa krzepły mu na języku. W końcu to on sprowadził na nich przekleństwo. Złamał świętą przysięgę, porzucił swoją dharwę. W imię czego? By być zabawką zameżnej kobiety? By zawieść zaufanie krewniaka?

Znowu zaczął się golić, niedbale, nie zważając na rany pozostawiane przez ostrze.

Ile miał lat w dniu kobry? Siedem? Osiem? Wujowie zabrali go na polowanie. Nie szło im najlepiej. Po całym dniu polowania mogli się pochwalić jedynie jedną skruszałą dziką kurą. Tamtego wieczoru rozbili obóz, podzielili się kilkoma otti zabranymi z domu i upiekli kurę na rożnie, narzekając na włókniste mięso. Nazajutrz wyruszyli o świcie, ale dopiero wiele godzin później dostrzegli stado bawołów. Cicho, z największą ostrożnością, zaczęli zajmować pozycje. Nikt nie musiał mu mówić, co robić. Instynktownie zaszył się w krzakach, patrząc, jak wujowie celują do zwierząt. Jeden z bawołów spojrział w ich stronę krótkowzrocznymi oczami, a potem znów opuścił łeb. Wujowie przekazali sobie znak. „Wkrótce”. Na chwilę oderwał wzrok od bawołu i zmrużywszy oczy, zerknął na słońce świecące na nich znad drzew bochenkowych. Nagle rozległ się syk przypominający oddech rozsierdzonej staruchy. Noga zapiekła go tak bardzo, że krzyknął z przerażenia. Bawoły machnęły ogonami, natychmiast się odwróciły i uciekły z grzmiącym tętentem kopyt. Wujowie opuścili strzelby i podbiegli do niego.

- Kobra! Uważajcie, ostrożnie! - zawołali, dźgając węża.

Maću wiedział, że musi się jakoś zrehabilitować.

- Pozwólcie mi to zrobić, pozwólcie mi - prosił, dysząc z bólu. Ledwie widział, dłonie miał śliskie od potu, ale wiedział, że zmarnował polowanie. Wiedział, że musi zapłacić, że teraz sam powinien zabić węża. Wyciągnął pićekathi, sztylet zatoczył jeden elegancki łuk i przeciął gada na pół. To będzie bolało, ostrzegł wuj, przyklękając obok chłopca. Maću pokijał głową i zacisnął usta. Nawet nie pisnął, kiedy rozcinali mu nogę. Nawet nie stęknął, kiedy trwały męki związane z wyciskaniem rany, dopóki czarna, zatruta krew nie wylała się z żył, krzepnąc na nodze. Wujowie włożyli do dziury proch, a potem go podpalili, przyżegając ranę. Nawet wtedy w milczeniu zaciskał zęby.

- Naprawdę, ani razu nie krzyknął z bólu - opowiadali z podziwem wieczorem w domu Kambejmadów, poklepując go po plecach. - To dopiero chłopak, nawet nie pisnął!



Odwiedził go tylko raz, prawie dwa miesiące po tym, jak Dewannę przyjęto do kliniki w Madikeri. Przywiódło go tam poczucie winy i nieznośna nieobecność Dewi. Listopadowe nawałnice minęły i rozpoczynał się grudzień z mglistymi porankami i bezchmurnymi, rześkimi nocami. Za parę tygodni miał się zacząć 1901 rok. Madikeri szykowało się do sylwestra. Komitet Klubu postanowił, że tematem przewodnim będą „piraci i dziewoje”, a sklep Hansa wypełnił się roztrzepanymi kobietami i ich niechętnymi mężami oglądającymi najnowszą dostawę pasmanterii. Zbliżał się także festiwal plonów Puthari, na wiejskich skwerach do późna tłoczyli się roześmiani mieszkańcy, gdyż w całym Kodagu ćwiczone pieśni i tańce przygotowane na ten ważny festiwal nowego ryżu. W klinice panowała cisza, a jałowe powietrze utkwilo Maću w gardle. Tłum krewnych, który przybywał tu na początku, ograniczył się do dwóch młodych kuzynów pełniących wartę w pokoju Dewanny. Mały Nandzu dreptał tu i tam, a jego matka siedziała przy łóżku nieruchoma jak posąg. „Ta szyja, jej zaokrąglony powab”. Oddech Dewanny, stłumiony świst, jaki może wydawać z siebie zwierzę, kiedy z jego ciała ulatuje życie. Gwałtownie podniosła głowę. Nadzieja zalała jej twarz, zaróżowiły się blade policzki.

- Przyszedłeś.

Dał chłopcom po monecie i odesłał ich.

- Kupcie sobie coś słodkiego - powiedział. - Pobędę tu przez chwilę i popilnuję go.

- Przyszedłeś - jej twarz promieniała. - Wiedziałam, że mnie nie opuścisz, że przybędziesz. - Do oczu napłynęły jej łzy, pokręciła głową, nie zauważwszy jeszcze, że nie powiedział ani słowa.

Powolne, oskarżycielskie rżenie dobiegające z łóżka, z ust człowieka uwięzionego między życiem i śmiercią.

- Zabierz mnie stąd - powiedziała zrozpaczona. - Zabierz mnie stąd, Maću, tak po prostu. Ucieknijmy, nieważne dokąd, uda nam się, będziemy tylko my dwoje.

Kiedy go dotknęła, podskoczył jak oparzony.

- Tutaj leży twój mąż.

- Nic nie rozumiesz. - Wyciągnęła ręce, próbując ująć jego twarz w dłonie, ale je odtrącił. - On to zrobił dla mnie, nie rozumiesz? Znam Dewannę, chciał naprawić zło... Zrobił to dla nas.

Ogarniała go niemoc. Oddech Dewanny odbijał się echem w jego uszach jak oddech schwytanego w pułapkę zwierzęcia, które błaga, żeby je uwolnić. „Jestem pogromcą tygrysa”. Poczul w kościach ciężar tygrysa.

- Wiedział? Wiedział o nas?

To on zabił Dewannę, równie dobrze mógł sam pociągnąć za spust.

- Nie rozumiesz, Maću. - Jej oczy płonęły, słowa z łatwością wychodziły z ust. - On próbował wszystko naprawić.

Maću pokręcił głową, usiłując wyswobodzić się z pajęczyny.

- On o nas wiedział. Dowiedział się w wieczór wyroczni, prawda?

- Chciał, żebyśmy...

- Dość. Poślubiłaś go, Dewi. Wybrałaś jego! A mimo to ja... ty... Dość już wyrządziliśmy krzywd. - Oddech sprawiał mu ból. - Dość tego, Dewi.

Z nami koniec.

Kilka ostatnich włosów z jego bokobrodów spadło do wody, która od razu poniosła je w dół rzeki. Swędziała go szczeka. Powoli przesunął palcami po zadraśniętej, świeżo ogolonej skórze. Zrobione. Tamtego ranka w końcu znalazł rozwiązanie. Zapłaci, zwróci to, co mu się nie należało, żeby naprawić zło.

Przestał być pogromcą tygrysa, przestał być wybrańcem. Oddał wszystko, co posiadał.

Wyrzekł się wszystkiego, czym kiedykolwiek był.

Umył twarz. Zimna woda kołowała jego skórę.

„Postąp ze mną, jak zechcesz, swami Ajappo. Ale daruj mu życie”.

Stadko maleńkich koile popędziło po krople jego krwi wirujące w Kaweri.

Wieczorem obstała go oszołomiona rodzina.

- Ale dlaczego? - zapytał wstrząśnięty najak. - Dlaczego zrobiłeś takie głupstwo? Nazywasz się Maćaija Kambejmada. Jesteś pogromcą tygrysa.

Wiesz, jaki to honor dla rodziny. Jak mogłeś nim wzgardzić?

- To tygrys był prawdziwym bohaterem - odpowiedział Maću zmęczonym głosem. Wykonał gest w stronę tygryskiej skóry, nieco już postrzępionej na końcach, lecz nadal dumnie wiszącej na ścianie wewnętrznego dziedzińca. - Tak się złożyło, że trzymałem w dłoni nóż, ale to swami Ajappa... to On postanowił, że tygrys zginie. Ja byłem tylko narzędziem. Zabawką.

Deszcze zaczęły się w tamtym roku wcześniej i wyjątkowo zaciekle wypłukiwały pierwsze grona złotokapu, które nieśmiało zaczęły pokrywać zbocza wzgórz. Nad Kodagu zawisły złowrogie chmury. Chyba nikt nie umiał już sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział słońce. Lało prawie bez przerwy. Ledwie przemoczony ptaszek zatrzepotał skrzydełkami i zaczął szczebiotać, a znowu zaczynał się potop. Spokojne strumienie, które mknęły przez pola, zmieniły się w wezbrane, ryczące potwory, powalające drzewa pomarańczowe i połacie splątanych pnączy pieprzu, grożąc pochłonięciem wszystkiego, co napotkają na swojej żarłocznej drodze. Mieszkańcy Kodagu bez przerwy poprawiali przywiązane do rogów bydła paski niedźwiedziej skóry mające je uchronić od zła. Powtarzali wypasającym je Polejom, żeby byli czujni, karmili ich hojnymi porcjami ghi i ciecierzycy, chcąc ustrzec służących od gorączki. Mimo to dwadzieścia trzy krowy i sześć wołów przepadło, uniesionych przez wodę, mucząc z rozpaczą, podczas przeprawy przez jeden z tych fiordów. W strumieniach zaczęły się pojawiać krokodyle, a jeden zaczął się nawet na polu ryżowym. Innego, mierzącego pełne trzy metry, zastrzelono w mętnych wodach Kaweri. Gdy wyciągnięto go na brzeg i rozpruto mu brzuch, w środku znaleziono pierścionki na palce u stóp i srebrną bransoletkę.

Artretyzm Gunderta nasilił się i codziennie rano, gdy wielebny wstawał z łóżka, z jego ust wydobywał się mimowolny jęk. Czasami rwący ból w stawach był tak silny, że Gundert ledwie mógł klęknąć w kaplicy.

196

Zaniepokojone nowicjuski patrzyły, jak kuśtyka po szkole, ale odmawiał, gdy proponowały, że ulżą jego zaognionym kolanom ciepłym olejem rycynowym albo okładami z pasty z drzewa sandałowego. Traktował

ból jak mile widzianą formę samobiczowania.

Nie widział Dewanny od tamtego okropnego poranka. Napisał listy do obydwu najaków, gdyż był zbyt dobrze wychowany, aby postąpić inaczej. Wyjaśnił, że ubolewa z powodu niemożności wzięcia udziału w weselu, lecz zawiadomiono go z bardzo małym wyprzedzeniem, a w szkole miał mnóstwo obowiązków. Po tych słowach podpisał się i zrobiwszy piórem ostatni zakręt, zebrał całą siłę swojej woli, aby wymazać protegowanego z pamięci.

Lata, które poświęcił na nauczanie chłopca, na rzeźbienie przyszłego krzewiciela wiary, którego w nim widział. Ojcowska postawa, tak doskonale widoczna, gdy o nim mówił, budząc ukradkowe, życzliwe uśmiechy nowicjuszek.

- Mój Dew.

Ślepe oczekiwania wobec najukochańszej osoby, zarezerwowane tylko dla niej. Potworne wyznanie Dewanny i krew krzepnąca w żyłach Gunderta, kiedy go słuchał. „Nie jesteś taki jak ja. Nigdy nie byłeś i nigdy nie mógłbyś być”. Chwilę później przypląw wściekłości, wszechogarniającej, ślepej furii. „Zejdź mi z oczu! - krzyknął. - Wynoś się”.

To wszystko odsunął od siebie jak wątłe liście odrzuconego egzemplarza jakiegoś gatunku.

Wielebny znowu pograżył się w pracy. Bez uśmiechu, bez zmęczenia.

Słał do władz misji kolejne listy z prośbą o przeniesienie. Aż do dnia, w którym pobladła nowicjuszka przekazała mu wiadomość o tym, że Dewanna się zastrzelił. Ból w piersi był tak silny, że przez chwilę Gundert miał pewność, iż jego serce także stanęło.

Mineralny smród szpitala w Madrasie zawirował, przemierzył dziesięciolecia i wezbrał wokół niego. W uszach znowu rozbrzmiał mu kaszel Olafa wypływającego nieskończone ilości krwi. Gundert modlił się wtedy bez końca i wycierał flegmę z ust przyjaciela, zmywał pot z jego żeber.

„Ocal go, Panie, zmiłuj się, ocal go”. Ale Olaf nadal kaszłał, pierś zapadła mu się z wyczerpania. Na oczach Gunderta zakaszłał się na śmierć.

- Słyszałeś, wielebny? Nasz Dew, on... - Nowicjuszka zaczęła płakać.

Gundert zamrugał.

- Niech siostra... Niech siostra zostawi mnie samego - powiedział.

Jego głos brzmiał chropowato. Zardzewiały klucz opornie obracający  
197

się w zamku. „Dew odszedł, tak jak Olaf”. Gundert usiadł za biurkiem i utkwiał puste spojrzenie w drodze dojazdowej. Jego Dew. Palce wielebnego odruchowo, sztywno zbliżyły się do jedwabistego sznurka na szyi. Sięgnął po klucz, otworzył szufladę i wyjął jedwabne zawiniątko. Odwinął kwiat bambusa. Był taki wątły, nadal doskonały pomimo tych wszystkich lat. Ta delikatność w zarysie pręcika i słupka.

Drżąc, wstał. Rękaw sutanny zaczepił o cenny kwiat i stracił go z biurka. Jednak Gundert tego nie zauważył. Zamknął drzwi do swojego gabinetu i z urywanym, płytkim oddechem sięgnął po tomik poezji. Powoli, jak jękający się uczeń na jednej ze swoich lekcji, wodził palcem za słowami i czytał:

Jakże surowa jest rozpacz żałobnika,

Gdy zakrzepły w smutku nad trumną się chyli...

Dew odszedł. Zastrzelił się. Co takiego miał w sobie Gundert, że

wszystko, co umiłował, obracało się w nicość?

Gdy od pogardy odwraca się i znika,

By łzę uronić nad wspomnieniem miłym\*.

- Mój Dew.

Ostatnie namaszczenie. Gundert szybkim ruchem zamknął tomik.

- Siostro! - zawołał nagłym tonem. - Siostro Agnes, szybko, muszę mu udzielić ostatniego namaszczenia.

Potrzebna była siła przekonywania wszystkich zakonnic, żeby odwieść go od tego pomysłu.

- Nie, wielebny, nie można. On nie jest chrześcijaninem, jego rodzina wzięłaby to za złe.

Później, kiedy nadeszła wiadomość, że Dewanna nie umarł - był ledwie żywy, ale jakimś cudem przeżył - Gundert popędził do kaplicy i padł na kolana.

- Zlituj się - błagał. - Oszczędź tego chłopca. Okrutnie zgrzeszył... ale Panie, nie zsyłaj na mnie znowu tego smutku, nie po raz drugi. Zamiast jego życia, weź moje, oddaję Ci je, oddaję Ci wszystko, co posiadam. Klęczał przed ołtarzem, a jego błękitne oczy zasnuwał ból.

\* P.B. Shelley, Bereavement.

- Ja... - głos odmówił mu posłuszeństwa w obliczu ogromu tego, co zamierzał ofiarować. - Obiecuję... - zaczął jeszcze raz i znowu zamilkł, gdyż słowa uwięzły mu w gardle.

Potem, zbierając całą swą wolę, zawarł z Bogiem wymagający układ.

- Już nigdy więcej się do niego nie odezwę - przysiągł. - Do końca dni, które mi pozostały. Błagam cię, Panie, okaż mi w zamian Twoje miłosierdzie.

Powoli Dewanna zaczął wracać do zdrowia, nieświadomy targów, jakie odbyły się w jego imieniu z inicjatywy pogromcy tygrysa i księdza. Dewanna z misji i Dewanna z Kodagu zostali wykupieni od bogów, od tego chrześcijańskiego i od tego pogańskiego. Choremu ustabilizował się oddech, gorączka ustąpiła, a otwarta rana zaczęła się zasklepieć.

Doktor Jameson ze zdziwieniem kręcił głową. „Cud, ot co. Cud i zasługa młodego wieku pacjenta”. Wyglądało na to, że chłopiec wróci do zdrowia.

Pewnego deszczowego popołudnia Dewanna odzyskał przytomność.

„Deszcz bębni o dach. Kiedy przestanie? Pada już tyle dni...” Musiał iść, zobaczyć się z Dewi. „Kiedy deszcze ustaną?”

- Gdzie... - szepnął, czując suchość w ustach.

- Cii, monae. Nic nie mów. Musisz odpoczywać, byłeś bardzo chory.

Pomarszczone dłonie taji pogładziły go po czole. Czuł drapanie w gardle.

- Dewi...?

Stała przy oknie i patrzyła na niego. Te wielkie, urocze oczy były takie ciemne, przepełnione bólem. Dewanna zamrugał, przypominając sobie, co się stało. „Zawsze go kochałam”. Ta rozpacz w jej głosie była ponad jego siły. Świadomość, że pobrzmiwała tam przez niego. Twardy ciężar lufy na piersi. Musiał trochę pomanewrować, zanim odpowiednio ustawił strzelbę. Dźwięk bębnow, śpiewy na podwórzu.

Nawet to mu się nie udało.

Tego samego wieczoru Dewanna miał poważny udar. Jameson stwier-

dził zakrzep, który prawdopodobnie dotarł do mózgu. - Cóż za szkoda - powiedział - i to właśnie wtedy, kiedy wracał do zdrowia. - Naprawdę mi przykro - dodał, mierząc Dewi czujnym spojrzeniem. Młodziak miał szczęście, że trafiła mu się taka ślicznotka. - Przykro mi, ale pani mąż... Jedna połowa jego ciała została sparaliżowana.

199

W Kodagu nadal szalały deszcze, przemieniając zaorane pola w błotnistą pianę. Ze szczytu Bhagamandali nie było już widać Kodagu. Znad mgły wystawały jedynie wierzchołki gór jak samotne wyspy w bezkresnym, wzburzonym morzu.

W końcu przyszła zgoda na przeniesienie Gunderta, lecz on uprzejmie odrzucił propozycję. „Madikeri będzie moim ostatnim posterunkiem w misji - napisał do przełożonych. - Pozostanę tu tak długo, jak ojcowie uznają za słuszne”.

Gorączka zaczęła zbierać żniwo, odbierając życie to tu, to tam. Najak Pallada upadł na polu, gdy pomimo protestów synowych przyszedł obejrzeć sadzonki. Krzyczał na Polejów: „Aaj, osły, macie kamienie zamiast oczu? Nie widzicie, że sadzonki potrzebują więcej nawozu?”. Nagle dostał ataku kaszlu, poślizgnął się w błocie sięgającym kostek i upadając, uderzył głową w kamienie okalające pole. Nie odzyskał zdrowia, pogrążył się tylko w coraz głębszej nieświadomości. Nie powiedzieli o tym Dewannie. Stan Dewanny stopniowo poprawiał się i wypisano go z kliniki. Mimo to Jameson zaznaczył, że pacjent nie powinien się zanadto oddalać. - Tak na wszelki wypadek, rozumieją państwo? Często zdarzają się nawroty.

Najak Kambejmada kupił Dewi i Dewannie dom w Madikeri. Była to niska, ciemna i niefortunnie rozplanowana budowla wzniesiona przez mużułmańskiego kupca. Mężczyzna ciułał, odkładając pieniądze, które zarobił najpierw na sprzedaży ryb z rzeki, a potem na handlu kurczakami i tłustymi połaciami koziego mięsa. Z upływem lat jego oszczędności przełożyły się na ni mniej, ni więcej, trzy domy, które wybudował w Madikeri, oraz na dobrze prosperujący sklep odzieżowy - „delikatne ślubne jedwabie, bawełniane lungi, najlepszy muślin pogrzebowy” - w samym centrum miasta. Choć jego talenty nie obejmowały architektury, dom miał jedną pozytywną cechę: rząd ogromnych okien w salonie z szybami z importowanego, tłoczonego szkła, za którymi roztaczał się widok na panoramę miasta. Dewi prawie tego nie zauważyła. Rzuciła tylko okiem na nowe otoczenie i upomniała mężczyzn, którzy wnosili do środka Dewannę: „Ostrożnie, nieście go delikatnie. Ostrożnie! To inwalida”. Thimmaja oddał córce służącego Tukrę, który razem ze swoją żoną, dawną sprzedawczynią sardynek, wprowadził się do małej przybudówki.

200

Codziennie rano Tukra robił Dewannie masaż gorącym olejem kokosowym, ugniatając i rozciągając zwiotczące mięśnie oraz zalewając inwalidę nieprzerwanym potokiem słów podczas kąpieli i pudrowania skóry talkiem. Paplał o wszystkim i o niczym, wygadywał bzdury, jak stuknięty. Przekazywał najnowsze plotki z targu, dzielił się rozpaczliwą tęsknotą za pozostawionymi polami ryżowymi - w mieście było tak tłoczno, zbyt wielu ludzi jak dla Tukry, brak miejsca, gdzie można by się położyć na plecach i patrzeć na niebo - zdawał też zdecydowanie jednostronne

relacje z kłótni z żoną. Sprzedawczyni ryb na zawsze pozostanie sprzedawczynią ryb, skarżył się Dewannie. Już zawsze będzie miała płuca przekupki rozwinięte dzięki głośnemu zachwalaniu towaru.

Tukra wiedział, że wygaduje mnóstwo głupot, ale Dewanna anna lubił te jego monologi, Tukra to czuł. Człowiek potrzebuje kogoś, kto będzie do niego mówił. A Dewi akka... Oczywiście Tukra nigdy nie śmiałyby powiedzieć o niej złego słowa, nie na tym polegała jego rola, ale pani nie spędzała z mężem tyle czasu, ile powinna. Była taka zajęta, ciągle miała coś do roboty. Pilnowała, żeby Dewannie podawano starannie przygotowane posiłki, tylko jej wolno było rozgniatać dla niego banany albo gotować kleik ryżowy, ale żona powinna czasami położyć rękę na ramieniu męża, prawda? Usiąść przy nim, oprzeć głowę na jego piersi.

Gdy Tukrę nawiedzały te niepokojące myśli, topił je w jeszcze większym potoku słów, paplał, ubierając Dewannę i sadzając go w szerokim fotelu plantatora ustawionym naprzeciw okien w salonie. Dewi nie lubiła, kiedy je otwierano, narzekała, że deszcz w Madikeri zacina prawie poziomo, że wystarczy ledwie minuta, by zalał całą podłogę. Tukra wiedział jednak, że Dewanna lubi deszcze. Ostrożnie uchylał okna, tylko odrobinę, by wpuścić świeże, przesycone wilgocią powietrze. Siedzieli, czując, jak ta wilgoć tańczy im na skórze, Tukra przycupnięty obok Dewanny i przerywający w pół monologu, żeby wytrzeć ślinę, która zbierała się w kąciku ust jego pana. Siedzieli, dopóki nie wpadła Dewi, która od razu zatrzaskiwała okna z ostrym okrzykiem zniecierpliwienia.

Dlaczego Tukra mitręży czas przed oknami? Czyżby miał za mało pracy? A kto pójdzie kupić mleko? Ona?

Zakłopotany Tukra umykał, a Dewanna zdawał się niczego nie słyszeć. Siedział w swoim wiklinowym fotelu i tępo patrzył przed siebie, podczas gdy wiatr tłukł o zamknięte okna, a nad miastem unosiło się ociężałe bicie dzwonów w misyjnym kościele.

201

Tylko kiedy Dewi sadzała mu na kolanach Nandżu, udawało się wzbudzić u Dewanny jakąś reakcję. Nandżu wyciągał małe, grubiotkie rączki i klepał ojca po policzkach, obsypując jego twarz pocałunkami małego dziecka. Wtedy Dewanna powoli się ożywia, próbował się uśmiechnąć do syna i przez jego zeszywniałą twarz przebiegał skurcz. Dewi przystawała, odrywając się na chwilę od pochłaniającego ją rygoru sprzątanania, odkazania i gotowania, który sama sobie narzuciła. Tkwiła na progu i patrzyła na nich z czułym, niemal tęsknym wyrazem twarzy. Złość, która wiła się niewypowiedziana pod jej językiem, pozbawione sensu lata, które miała przed sobą - to wszystko na chwilę cichło na widok syna wyciągającego ręce do ojca. Potem, wprawiona w ruch nagłym przyływem gorczy, podchodziła do nich i zabierała Nandżu.

- Czas na drzemkę. Tukra, zanieś go do łóżka.

Dewi zaczęła uprawiać dynie, zieleninę i pomidory na małym skrawku ziemi za domem. Większość plonów wykorzystywali w kuchni, lecz to, co zostało, zaczęła sprzedawać na targu, żeby trochę zarobić. Niestety, popełniła błąd i chodziła na targ sama. Kiedy mieszkańcy Kodagu zdali sobie sprawę, kim jest sprzedawczyni, przestali kupować.

- Nie chcę, od niej nie kupię - mruzcili, przypominając sobie skandal

na ceremonii składania ofiary przodkom u Kambejmadów. - Zresztą tylko spójrzcie - zrządziły kobiety, zwracając się do swoich mężów. - Czy ona nie ma wstydu, żeby tak tutaj stać wśród tych wszystkich mężczyzn? Ostatecznie została zmuszona sprzedawać plony pośrednikowi za bezcen.

Gaje bambusowe znowu nie zakwitły. Na deszczu urosły jednak wysokie i ich wielkie, kolczaste masy sięgały dwudziestu, dwudziestu pięciu, a czasami nawet trzydziestu metrów. Pierzaste końce splatały się ze sobą, tworząc kolumnady kopuł, nawy, arkady i łuki niczym w jakiejś ogromnej, asymetrycznej katedrze gotyckiej. Polejowie wzięli się do ścinania młodych pędów, delikatnych i z żółtą skórką, które kiełkowały w gajach. Dewi posłała tam również Tukrę, uzbrojonego w sierp i przywiązane do kostek woreczki z solą mające odstraszyć pijawki. Sprzedane na targu pędy bambusa pozwoliły im trochę zarobić, choć i tym razem miała nadzieję na znacznie więcej pieniędzy

Później Dewi zajęła się robieniem koronek. Nauczyły ją tego zakonnice w szkole misyjnej. Była to mrówcza robota polegająca na odtwarzaniu skomplikowanych wzorów przy użyciu licznych warstw materiału. Na koniec powoli zdejmowało się wzór i materiał, pozostawiając kawałek

202  
cieniutkiej koronki. Koronki Dewi nigdy nie były równie delikatne ani kształtne jak te wyrabiane przez zakonnice, lecz mimo to udało jej się sprzedać sporo sztuk w sklepie Hansa. Od czasu do czasu dostawała zamówienia od stałych klientek, żon białych plantatorów, które potrzebowały nakryć do uroczystych lunchów, ocieplaczy na imbryki z herbatą i serwetek obszywanych koronką. To przedsięwzięcie także nie spodobało się mieszkańcom Kodagu. Kto to widział, żeby kobieta chodziła sama do sklepu! Dewi była jednak zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. W końcu monsuny ustały. Woda zaczęła wolniej kapać z liści i ukazało się mokre, mrugające słońce. Nieśmiało zaśpiewał ptak, potem następny i jeszcze jeden, a wkrótce zmiękzone deszczem powietrze wypełniło się melodią. Strzyżyki, bulbule, kukułki, ziarnojady i gajówki skakały po drzewach i fruwały w żywopłotach lantan z gardłami opuchniętymi od śpiewania. Na werandach i parapetach jak za sprawą czarów znowu pojawiły się koty, mruczac w promieniach słońca. Nawet domy zdawały się stać prościej, wyzbywszy się zawilgotniałego przygarbienia, gdy ich dachy załśniły ciepłą czerwienią, a ze ścian wyparowały mokre plamy. Z całego Kodagu i z sąsiednich stanów znowu zaczął napływać wartki strumień wiernych zmierzających na górę Bhagamandala na festiwal Kaweri. Maću był już w połowie drogi, kiedy gwałtownie zawrócił. Kilka miesięcy później, gdy na polowaniu przydzielono mu tę samą co zawsze doskonałą pozycję strzelecką, odmówił, oświadczając, że ktoś inny powinien dostać szansę. Odsunął się na skraj kręgu, na kiepską pozycję, która najczęściej przypadła w udziale żółtodziobom.

- ... stracił zimną krew - dotarli do jego uszu pogardliwe słowa dwóch innych myśliwych, ale udał, że nie słyszał, i tylko przesunął palcami po gładko ogolonej brodzie.

- Niech gadają, co im się podoba - pocieszył się. - Opinie są jak dziury w tyłku, każdy ma własną.

Większość czasu zaczął jednak spędzać w polu. Mimo obecności czapli,

które nadal budziły w jego sercu tępy ból, tylko tam, pod bezkresnym niebem, udawało mu się znaleźć odrobinę spokoju.

Ryż na polach urósł wysoki, ale rzadki. Wczesny atak monsunów spowodował kiepskie plony. Spichlerze wypełniły się ledwie do połowy. Za to także rodzina winiła Dewi. Przecież wyrocznia ich ostrzegła...

203

Skrzep w mózgu Dewanny zaczął stopniowo ustępować, a odrętwiałe komórki nerwowe powoli się regenerowały. Wracało mu czucie, ożywiony ruch szpilek i igieł na koniuszkach palców i na podeszwach stóp. Żdźbła ryżu rosły jeszcze wyżej, stopniowo dojrzewając na złoto pod zimowym słońcem, i Kodagu znowu szykowało się do Puthari, festiwalu żniw. Dziedziniec domu Kambejmadów wypełnił się skwierczeniem pieczonego mięsa. Trzy lochy, które tuczono od kilku miesięcy, zostały zabite zgrabnym strzałem w głowę, ich mięso zamarynowano w czosnku, kminie i gęstym, czarnym occie z garcynii, a potem pieczono nad płonącymi bierwionami. Ogromny spichlerz za domem wypełnił się gwarem, kiedy kobiety Polejów ścierały na proch kolejne worki surowego ryżu. Drobnutki, biały ryżowy pył wisiał gęsto w powietrzu, wywołując kaszel u kobiet i zachwyt u dzieci, gdy opadał na wszystko wokół: na skórę, ubrania i włosy.

- Małpie dzieci, nie przeszkadzajcie służącym, mają mnóstwo roboty - ganiły je udręczone synowe, bez przerwy się krzątając. Niektóre zносиły niekończące się półmiski mąki ryżowej ze spichlerza do kuchni, a inne zostały zaangażowane do wyrabiania ciasta z kardamonem i syropem z cukru palmowego. Na werandzie obok kuchni leżały już długie rzędy liści bananowca z kulami tego ciasta czekającymi na wyciągnięcie ze strychu garnków do gotowania na parze. W innych częściach domu na zewnętrzne mury nakładano świeżą warstwę wapna, myto klosze lamp, a olbrzymią skórę tygrysa zdjęto ze ściany, by wywietrzyć ją i natrzeć jej wewnętrzną stronę ałunem.

Mimo tej całej krzątanimy czegoś brakowało. W całym domu panowała ponura atmosfera. Trudno było zapomnieć o przepowiedni wyroczni i o tym, że Dewanna targnął się na swoje życie.

Potrzebny jest jakiś wielki gest, uznał najak Kambejmada, jakaś doniosła decyzja, która zetrze ponure miny z twarzy domowników i utwierdzi ich w przekonaniu o potędze Kambejmadów. Ale co by to mogło być? Złote bransolety dla wszystkich kobiet? Nie, to zbyt tandetne. Może wycieczka, na przykład do Majsuru? Zbyt niebezpieczna. Przecież już od miesiąca gazety rozpisywały się o zarazie, która nawiedziła Madras. Donoszono o piętnastu tysiącach zmarłych. Majsur uchronił się przed epidemią, ale mimo to najak, posiadacz wybrednego i ostrożnego umysłu, uznał, że nieroztropnie byłoby narażać rodzinę na tak wielkie ryzyko. Zresztą szczycił się tym, że przez całe życie nie postawił stopy poza granicami Kodagu. Nie miał zamiaru popaść w dziecinnienie i zepsuć tak wspianiałego wyniku.

204

Składając wizytę komisarzowi w Madikeri, nadal szukał najlepszego rozwiązania. Dwóch gońców wykonywało właśnie polecenia zaafowanego adiutanta, umieszczając wspianiałe zdjęcie królowej Wiktorii dokładnie pośrodku ściany. Najak gładził się po wąsie, podziwiając obfitą pierś matrony, i nagle doznał olśnienia. Wpadł na wspianiały pomysł -



wezwie najlepszego europejskiego fotografa z Majsuru, żeby uwiecznił całą rodzinę.

Maću pracował w polu, kiedy przybiegł po niego jeden z Kambejmadow. Najak Kambejmada chciał, by Maću wyruszył do Majsuru i przywiózł do wioski fotografa.

- Wszystkich? - zapytał Maću, kiedy krewniak przekazywał mu szczegóły. - Chce sfotografować wszystkich członków rodziny?

- Tak, wszyscy mają być obecni. Chociaż chyba nie do końca. Dewanna nie doszedł jeszcze do siebie. A ta jego Dewi nie będzie chyba aż tak bezczelna, żeby pokazać się bez męża. Nie po tym, co zrobiła.

Maću pokiwał głową i w zamyśleniu wyłuskał palcami ziarno z kłosa.

Dewi natychmiast wysłała Tukrę z odpowiedzią. Jej mąż nie będzie w stanie przybyć, lecz ona i jej syn dziękują najakowi za ten zaszczyt. Z całą pewnością skorzystają z zaproszenia.

Dewi ubrała się z tej okazji z wielką dbałością, nakazawszy Tukrze wyciągnąć spod łóżka kufer z najładniejszymi sari. Przerzucała warstwy jedwabiu, które tak długo leżały nienoszone, a liście drzewa nim, które taji rozsypała w środku, żeby odgonić rybiki, wyschły i kruszyły się w palcach. W końcu zdecydowała się na sari w kolorze głębokiego różu, z szerszą niż rozpiętość jej rąk złotą krawędzią. Obwiązała głowę welonem z różowego jedwabiu. Haftowany rąbek zatknęła za uszy, by reszta materiału swobodnie opadła na plecy. Dwa naszyjniki - kartamani z czarnymi paciorkami i złoty, supelkowy dzomale. Wysadzana rubinami podwójna bransoleta dżodi-kadaga na prawym nadgarstku i sześć złotych bransolet na lewym. Para rubinowych kolczyków dżhumki dyndających w uszach. Idealna cynobrowa kropka wysoko na czole, sadza zmieszana z olejem migdałowym dla podkreślenia oczu. I na koniec, na piersi, broszka z pazura tygrysa. Dostała ją w ich kryjówce ze złotokapu jako prezent na zgodę po jednej z kłótni. Spojrzała na niego rozpromieniona.

- To pazur twojego tygrysa?

205

Roześmiał się.

- Tak, mojego tygrysa. Dla mojej tygryscy.

Dewi przesunęła teraz palcem po jego gładkiej powierzchni, nieśmiało naciskając na zeszlifowany koniuszek. Przygryzła usta. Czy on w ogóle to zauważy?

Nic na to nie wskazywało. Tylko jego wystudiowana obojętność świadczyła o tym, że jest świadomy jej obecności. Podczas lunchu omijali się z daleka, zachowując oficjalny dystans i starannie unikając swoich spojrzeń. Kambejmadowie byli nadzwyczaj uprzejmi, okazując jej grzeczną gościnność, z jaką przyjmuje się gości, i sprawiając, że jej policzki płonęły ze złości. „Prosimy, nałóż sobie dokładkę ryżu z ghi”. „Nie, nie bierz tego kościstego kawałka kurczaka, powinnaś raczej skosztować mięsa z piersi”. Kobiety nie pozwoliły Dewi choćby kiwnąć palcem. „Nie - powiedziały zdecydowanie, kiedy chciała im pomóc. - Musisz się opiekować dzieckiem”. Dewi zagotowała się ze złości, naliczywszy co najmniej sześć kobiet, które bez wysiłku nosiły swoje maluchy na biodrze, kursując do kuchni i z powrotem.

„Nie jesteś jedną z nas - znaczyło to oficjalne zachowanie. - Nie jesteś mile widziana w tej rodzinie”. Trzymała głowę wysoko i kołysała Nandzu

na kolanach.

Później, podczas zawodów w strzelaniu do kokosa, najak uroczystym tonem poprosił Maću o oddanie pierwszego strzału. Maću pokręcił głową.

- Co się z tobą dzieje, Maćaija? - zapytał najak surowym tonem, tracąc w końcu cierpliwość. - To nie jest prośba, to rozkaz.

- Daj spokój. Nie tym razem.

- Aaj, to tylko kokos, Maću, nie żaden pisać - zawołał jeden z jego kuzynów. Wszyscy się roześmiali i Maću zeszywniał. Najak rzucił mu strzelbę. - Łap. Nie bądź niemądry.

Maću stał nieruchomo z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała. Patrzyła na niego, czuł jej wzrok na plecach. „Pogromca tygrysa”. A mimo to jeszcze niedawno był uległy jak glina, bezwolny jak letnie chmury.

- Nie - powtórzył cicho.

- Na Iguthappę swamiego! Trzymaj. - Najak obrócił się na pięcie, miotając przekleństwo, i cisnął strzelbę w ręce kogoś innego. - Trzymaj. Pokaż mi, że nie wszyscy Kambejmadowie stracili męskość.

Tłum znowu zachichotał i zrozpaczona Dewi wycofała się z jego obrzeży, skąd obserwowała zajście. Postąpiła głupio, przyjeżdżając tu. Wyszła boczną bramą, przecięła gaje bananowe i pomarańczowe oraz

206  
gąszcz palm arekowych, niosąc w ramionach ciężkiego Nandżu. Wszystko się zmieniło. „Trzeba walczyć o szczęście”. O co mogła jeszcze walczyć? Jej nogi poruszały się, wiedzione własną wolą. Minęły strumień. To koniec. Koniec. Z zaskoczeniem spostrzegła, że stoi przed altaną ze złotokapu. Drzewa były już nagie, dawno zrzuciły kwiaty. Mimo to unosił się między nimi fioletowy miodojad i zaciekle bijąc skrzydełkami, szukał czegoś w konarach.

„Kwiaty widma”.

Nandżu niespokojnie wiercił się w jej ramionach, więc pokazała mu ptaka.

- Popatrz - powiedziała. - Popatrz...

Drzewa zrzuciły już liście. Mimo to w ich sokach nadal tkwił ślad kochanków, którzy niegdyś pod nimi leżeli. A przynajmniej tak jej się wydawało. Szumiąca w trawie bryza szeptała ich imiona. „Ma-ću”. Dewi wzięła Nandżu za rączkę i wcisnęła się przez wąskie wejście do altany.

- Ma? Amma? - niepewnie zapytał Nandżu. Miał gorącą i spoconą buzię. Do policzka przykleiła mu się odrobina brokatu w miejscu, w którym przycisnął go do jej bluzki. Dewi odgarnęła mu włoski z czoła i delikatnie podmuchała w twarz.

Wcale się nie wystraszyła, kiedy do środka wepchnął się Maću, odgarnąwszy gałęzie zasłaniające wejście.

- Szukają cię.

Bryza przybrała na sile i gwizdała w altanie. Dewi zauważyła, że się postarzał. Jego skronie przyprószyła siwizna.

- Nie słyszałaś? Wszyscy cię szukają. Fotograf czeka.

- Dlaczego je zgoliłeś?

Jego dłoń odruchowo zbliżyła się do szczęki, a po chwili opuścił ją zniecierpliwiony.

- Fotograf...

- Powiedz im, że nie przyjdę.

Maću się zdenerwował.

- Nie wygłupiaj się. Przecież przyjęłaś zaproszenie, chociaż wiedziałaś, że nie jesteś tu mile widziana. W takim razie dokończ to, co zaczęłaś. Idź i pozwól się sfotografować razem z resztą rodziny.

Nie odpowiedziała. „Ma-ću”.

- Ogłuchłaś? - Nadal tylko na niego patrzyła. - Dobrze. Jak chcesz. Ja wychodzę.

207

- Winią za to mnie, prawda? Za to, co się stało? - Jej oczy wypełniły się łzami i spuściła wzrok na ziemię.

- Na Ajappę swamiego, Dewi... proszę. Posłuchaj mnie. Oni chcą zrobić to zdjęcie. Wiesz, co sobie o tobie pomyślą, jeśli się nie pokażesz? Ze złością otarła łzy grzbietem dłoni.

- A ty się zastanawiałaś, co sobie pomyślą, zanim zgolifeś galla misa?. Znowu to napięcie w jego ramionach.

- Nie twoja sprawa.

- Masz rację, nie moja. To nie moja sprawa, nie mamy ze sobą nic wspólnego, wyraziłeś to bardzo dobitnie, Maćaija. A mimo to czuję ból, patrząc na to, jakim człowiekiem się stałeś.

Nie odpowiedział. Jego dłoń znowu odruchowo zbliżyła się do szczęki.

- Nawet kokosa, Maću? - zadrwiła. - Pogromca tygrysa boi się strącić zwykłego kokosa? Jak mogłeś pozwolić, żeby ci ludzie się z ciebie naśmiewali?

- To bez znaczenia. Oni i tak będą gadać.

- A kiedy to przestało cię obchodzić, co gadają? Daj spokój, Maću, dlaczego nie powiesz prawdy?

Podeszła do niego, trzymając Nandżu tak mocno, że dziecko zaczęło się wrywać.

- Prawda wygląda tak, że ukrywasz się przed samym sobą. Gdzie się podział ten pogromca tygrysa, którego kiedyś znałam? Co z nim zrobiłeś?

- Ukrywa się... Proszę - powiedział lodowatym tonem. - Nie bądź niemądra. - Odwrócił się, żeby wyjść.

- Niemądra? Widzę to w twoich oczach, Maću. Żyjesz połową życia, stałeś się zaledwie cieniem mężczyzny, którego znałam.

- Dość! - Jego usta otworzyły się w brzydkim grymasie, doteczek smutno wciął się w policzek. - Nie wyobrażaj sobie, że mnie znasz. Nie znasz mnie.

- Naprawdę? - Podniosła głos, ale nie obchodziło jej, kto może ich usłyszeć. - Więc powiedz mi, Maćaija, skoro twierdzisz, że wcale cię nie znam, i skoro wszystko z tobą w porządku, skoro z nami koniec i skoro nie raczysz nawet na mnie spojrzeć, choć wiem, że każdy por twojej skóry czuje moją obecność, skoro to wszystko jest prawdą, to dlaczego jeszcze się nie ożeniłeś?

Przez chwilę myślała, że ją uderzy. Nandżu zakwilił, wystraszony tą zacieklą wymianą zdań. Maću spojrział na dziecko, jakby dopiero je zauważył.

208

- Postąpiłaś niemądrze, przyjeżdżając tu - powiedział z nieobecny wzrokiem. - Tylko zrobiłaś z siebie widowisko. Ale skoro już jesteś, do-

kończ to, co zaczęłaś. Wszyscy czekają na zrobienie fotografii. - Poszedł do domu, nie odwracając się za siebie.

Przepełniała go zimna, wściekła furia. Jak ona śmie? Jak ona śmie? Przez całą sesję zdjęciową czuł tak wielką złość, że nie zauważył w porę błysku aparatu i w decydującej chwili zamknął oczy. Jest cieniem mężczyzny?

Za kogo ona się uważa?

Wieczorem, kiedy rodzina Kambejmadów zmierzała na pola, nadal czuł rozgoryczenie. Księżyc był w pełni, lekka bryza rzeźbiła z pól falujące, srebrzyste morze.

- Poli, poli Dewa! Więcej, jeszcze więcej, Boże! - wołali członkowie rodziny, a ich głosy niosły się echem w wieczornym mroku. Przy akompaniamencie grzmiących strzelb ścięto pierwsze snopki źdźbeł i włożono je do wiklinowego koszyka, żeby najstarsza synowa najaka zaniósła je do domu. Młode źdźbła przywiązano potem do lampy wiszącej w kąci modlitwy oraz do drzwi, filarów i kolumn przy łóżkach w całym domu. „Oby nigdy nie zabrakło nam ziarna”. Maću prawie nie zauważył odpalonych na podwórzu petard, ale gdy podano alkohol, od razu opróżnił dwa pękate kieliszki.

Kiedy nazajutrz poinformował najaka, że będzie reprezentował rodzinę na wieczornym paria kali, najak z zadowoleniem pogładził się po wąsie. Magia fotografii okazała się skuteczna - od razu zaczęła działać! Maću z kamienną twarzą tańczył taniec kołata na skwerze wioski razem z innymi mężczyznami. Poruszał się w skomplikowanych, coraz mniejszych kręgach przy akompaniamencie miarowego bicia w bębny. Cienkie, czerwone patyki w dłoniach wydawały mu się lekkie w porównaniu z ciężarem odikathi. Dzwoneczki na końcach cicho podzwaniały, kiedy patyki wzbijały się w górę i opadały. Miał pustkę w głowie, o niczym nie myślał, doświadczał tego samego stanu nieważkości, który dawniej ogarniał go w dżungli. Bębnienie stawało się coraz szybsze, zdyszani mężczyźni z patykami śpiewali w jego rytmie. Powoli większość tancerzy odsuwała się, aż w końcu pozostali tylko zawodnicy paria kali.

Paria kali to pradawna technika walki, przekazywane z pokolenia na pokolenie serie specjalnych pchnięć i ciosów odpierających atak. Została

209

oswojona, przeobrażając się w rodzaj gry organizowanej podczas Put-hari, i czasami bywała sposobem rozstrzygania sporów przez starszyznę: każdy zawodnik dostawał bambusową tarczę i parę patyków, którymi mógł smagać przeciwnika jedynie poniżej kolan. Mimo to te toczone na niby walki często budziły wielkie emocje i nierzadko starszyzna musiała interweniować, żeby któryś z mężczyzn nie odniósł poważnych ran.

Kiedy zawodnicy stanęli naprzeciw siebie, mieszkańcy wioski zaczęli ich zagrzewać do walki okrzykami. Maću okrążył przeciwnika jak dziki kot, przypatrując mu się uważnie i prawie nie mrugając. Szmer tłumu, kurz wzbijający się kłębami wokół stóp. Wzrok utkwiony w przeciwniku, uporczywe spojrzenie śledzące każdy krok. Mężczyzna przypuścił atak i Maću zwinnie zablokował go tarczą, sięgając ku goleniom przeciwnika. Patyki zabarwiły się krwią. Nie potrzebował myśleć, liczył się tylko ten taniec, wieczny taniec myśliwego i ofiary. Czy istnieje coś czystsze? Bębny biły szybciej, ale Maću już ich nie słyszał, skupiony na świszczących w powietrzu patykach. Szczypanie krwi na nogach, patyki tańczące

w dłoniach. Coraz szybciej. Euforia krążąca w żyłach.

„Jestem pogromcą tygrysa”.

Łydki przeciwnika coraz bardziej krwawiły, a tłum powoli cichł. Mężczyzna z okrzykiem bólu odrzucił tarczę na ziemię.

- Dość! - zawołał. - Mam dość. Zwyciężyłeś.

Maću zamrugnął, gdy w tłumie rozległ się donośny okrzyk: „Maćaija Kambejmada! Maću! Maću zwyciężył!”. Spojrzał wprost na Dewi. Poruszała ustami. Była zbyt daleko, żeby usłyszał, ale patrzyła na niego, promieniejąc z dumy, z oczami świecącymi od łez.

Mężczyźni się uścisnęli.

- Jesteś niezwykłym! - zawołał z żalem jego przeciwnik. - Ale powinienem był wiedzieć, że nie należy zadzierać z pogromcą tygrysa. „Jestem pogromcą tygrysa. A mimo to byłem uległy jak glina na kole garncarskim. Bezwolny jak letnia chmurka, gnana tam i z powrotem przez wiatr”.

- Byłeś godnym przeciwnikiem - powiedział Maću. Nie mógł oderwać od Dewi oczu, nadal stał zakleszczony w jej spojrzeniu. Zadrżał i wziął głęboki oddech. - Niczego nie pragnę bardziej, niż scementować naszą przyjaźń, udzielając jej błogosławieństwa święta Puthari. Masz siostrę, prawda? Za zgodą twoich rodziców, chciałbym się z nią ożenić.

1904

Podłoga z terakoty była gładka i zimna jak kamień z Kaweri. Nandźu leżał spokojnie, badając jej fakturę policzkiem. Po chwili podniósł głowę i obrócił ją, żeby przyłożyć do podłogi drugi policzek. „Ona nie lubi kwiatów”, powtarzał w myślach. Powinien był wiedzieć, że jego matka nie lubi kwiatów.

Wczesnym wieczorem Dewanna skinął do niego, pokazując roślinę za oknem salonu. Był to pierwszy kwiat w sezonie, rozkwitły wysoko na drzewie sampige. Większy niż jego pięść i przesycony zapachem piżma.

- Może w takim razie podarujesz go mamie? - zapytał Dewanna i Nandźu z zachwytem klasnął w dłonie. Ojciec i syn, dwaj wspólnicy, poprosili Tukrę, żeby wspiął się na drzewo. Dewanna pokazał Nandźu, jak delikatnie dmuchać w pręcik kwiatu, i gładząc palcami zdrowej dłoni jego kremowe, smukłe płatki, strzepnął z nich mrówki. Wysłał Nandźu, żeby podarował kwiat Dewi.

- Ojciec cię do tego namówił? - zapytała. Chłopiec energicznie pokręcił głową, nie potrafiąc powstrzymać szerokiego uśmiechu.

Dewi bez słowa wzięła kwiat z jego dłoni i położyła go w kącie modlitwy.

- Nie, awwaija - zaprotestował Nandźu. - Wsuń go we włosy tak jak inne panie.

- Nie mam czasu na głupstwa, Nandźappo. Powiedz to ojcu.

Nandźu posmutniał. Awwaija nie lubi kwiatów. Musiał zapamiętać, że ona po prostu ich nie lubi. Markotnie podreptał na korytarz. Appaija też

211

zamilkł. Nandźu był pewien, że to wszystko przez niego, i nie wiedział, jak naprawić swój błąd, więc znowu wczołgał się pod łóżko.

Nie pamiętał, jak i dlaczego zaczął się tam ukrywać. Wiedział, że nie powinien tego robić, w końcu miał już prawie pięć lat, był dużym chłopcem. Mimo to miejsce pod łóżkiem pozostało jego tajemną kryjówką, w której

mógł się schować jak w kokonie pośród cynowych kufrów wypełnionych jedwabiem i miedzianymi naczyniami. Ukryty przed wzrokiem dorosłych, patrzył na ich poruszające się stopy, wchodzące do pokoju i wychodzące na korytarz. Na smukłe, delikatne stopy awwaii ozdobione parą srebrnych pierścionków. Na popękane i poplamione czarną ziemią pięty Tukry. Na powolny, powłóczyisty krok appaii, który wybierał jakiś tom spośród tęczowych stert książek piętrzących się w pokoju i w innych częściach domu. Nandżu znowu odwrócił głowę. Ze swojej kryjówki wyraźnie widział nogi fotela, na którym siedział appaija. Fotel jak zwykle stał naprzeciw okien w salonie. Nandżu doszedł do wniosku, że appaija w ogóle się nie ruszał. Siedział tam cały wieczór, patrząc w milczeniu przez okna, na drogę biegnącą przed domem i na skrawek trawnika z zapuszczonym, słodko pachnącym drzewem sampige.

W domu znowu zapadła cisza.

Przez większość dnia dom był zamknięty. Awwaija zawyrokowała, że na zewnątrz jest zbyt dużo kurzu i nieznośny hałas. Powtarzała, że appaija potrzebuje spokoju. Dom stał w muzułmańskiej dzielnicy miasta i awwaija nie utrzymywała kontaktów z sąsiadami ani nie zachęcała ich dzieci do zabawy z Nandżu. Mimo to nie przypominał sobie, żeby cisza kiedykolwiek mu przeszkadzała. Wiele lat później, kiedy ludzie mówili Nandżu, że jest milczący, nigdy nie wiedział, jak zareagować. Zawsze wolał spokój ciszy, przestrzeń, którą dawała myślom.

Właśnie to zapamiętał najlepiej z domu w Madikeri: ciszę. Nieustająca paplanina Tukry nie miała znaczenia. Nandżu słuchał jej praktycznie od kołyski i przyzwyczał się do niej tak jak inne dziecko mogłoby przywyknąć do tykania zegara. Szemrała w tle. Mieszanina słów delikatna jak kleik appaii.

Oczywiście rozmawiała z nim też awwaija. Codziennie rano Nandżu stał przed matką, kiedy ta poprawiała mu przedziałek. Zawsze powtarzała, że powinien być prosty jak strzała. Robiła mu na czole kropkę z wibhuti, świętego popiołu z kącika modlitwy, i pytała, czy pamiętał o umyciu zębów. Uśmiechała się, kiedy kiwał głową, i to chwilowe zmiękczenie jej ust sprawiało, że serce Nandżu jaśniało jak słońce.

212

Tak wyglądały dobre dni. Zdarzały się również złe, kiedy przez cały ranek była szorstka, bardzo się starała na niego nie warczeć, ale do jej słów i tak wkradał się cierpki ton, bez względu na to, jak starannie się uczesał. Albo co gorsza stawała się zaskakująco milcząca, a jej wymizerowaną twarz wypełniał smutek, który sprawiał mu ból. Jakże wtedy pragnął móc wyciągnąć rękę i usunąć to nieszczęście z jej oczu. Wiernie stała w oknie, odprowadzając go wzrokiem, lecz w takie dni ledwie zauważała, jak się odwracał, żeby jej pomachać. Miała nieznośnie smutne oczy, skupione na czymś, co było zbyt daleko, by mógł to dostrzec.

Nigdy nie potrafił przewidzieć nastroju awwaii, przeczuć dobrych dni ani przygotować się na te złe. Dlatego, kiedy zobaczył zaniepokojonego Tukrę, który pewnego popołudnia czekał przed szkołą misyjną, od razu poczuł dojmujący strach. Widząc, jak Tukra skubie i wykręca ścierkę do kurzu, która zawsze wisała na jego ramieniu, domyślił się, że stało się coś złego.

- Awwaija?

- Nie, nie, Nandżu anna, twojej matce nic nie jest. Chodzi o twojego pradziadka. Dziś w nocy umarł najak Kambejmada. Musisz pojechać z mamą do wioski Kambejmadów.

Umarł! Nandżu nigdy nie znał nikogo, kto umarł. Próbował sobie wyobrazić najaka leżącego na katafalku, lecz umysł podsuwał mu jedynie obraz ogromnych wąsów. Dawniej Nandżu wpatrywał się w najaka, zafascynowany nieustannym gładzeniem tych długich, srebrnych wypustków. A teraz najak był martwy...

Wracał do domu ciężkim krokiem, bojąc się widoku zrozpaczonej matki, którą spodziewał się zastać. Ku jego uldze, Dewi powitała go jednak niemal radośnie.

- Nandżu, monae? Chodź, szybko. Niedługo wyruszamy. Wezwałam fryzjera. Potem musisz się przebrać. Na twoim łóżku czekają koszula i szorty. Szybko, szybko. I nie wypačaj ubrania. Podczas pogrzebu musi być nieskazitelnie białe.

Fotel appaii został wytoczony na trawnik przed domem, gdzie fryzjer ogolił mu głowę szybkimi, wprawnymi ruchami. Dewanna zabawnie wyglądał bez warstwy włosów. Nandżu nigdy wcześniej nie zauważył, że twarz ojca jest wykrzywiona w jedną stronę.

- Mogę dotknąć? - zawołał. - Pozwól mi dotknąć, appaija.

Dewanna uśmiechnął się blado, przechylając głowę. Fryzjer zaczął robić świeżą pianę i Dewanna ciężko poklepał syna po ramieniu, żeby

213  
go pocieszyć. Nandżu wcale się jednak nie denerwował. Wiedział, że mężczyźni z rodziny zmarłego muszą poświęcić swoje włosy bogom, by ci otworzyli bramy do nieba. Siedział spokojnie, gdy brzytwa fryzjera szurała mu po głowie, i patrzył na spadające wokół pukle. Porażony nagłą myślą, odwrócił się i spojrzał na ojca, a niezadowolony fryzjer cmoknął pod nosem.

- Ty też jedziesz, appaija?

- Ja... - zaczął Dewanna.

- Nie! - przerwała mu Dewi, wychodząc z sypialni. - Nie, kunji - powtórzyła, tym razem łagodniej. - Wiesz, że dla twojego ojca to zbyt ciężka podróż. Pojedziemy tylko we dwoje, jak zawsze, tylko mój słodki chłopczyk i ja.

Dewanna się zawahał.

- Powinienem tam być - powiedział do niej cicho. - Ostatnie namaszczanie, odczytanie testamentu...

- Dobrze. Zatem jedź. Przecież doskonale wiesz, że nie jesteś jeszcze w stanie podróżować, tylko cię to wymęczy.

- Tak - przyznał zmęczonym głosem. - Masz rację. Nandżu, zaopiekuj się awwaiją, dobrze?

Nandżu pokiwał głową, patrząc z niecierpliwością na swą uroczą matkę. Pomyślał, że lśni jak perła. Śnieżna biel sari niemal stapiała się z kolorem jej skóry.

Mówiła przez całą drogę do wioski Kambejmadów, a jej dłonie tańczyły w powietrzu, dotrzymując kroku słowom. Opowiadała Nandżu o domu Kambejmadów, o masywnych młockarniach wyrzeźbionych na kształt końskich łbów, nad którymi pracowano aż trzy lata, i o lampach modlitewnych osadzonych w dwudziestoczerokaratowym złocie, tak

bogato zdobionych, że podobno nawet komisarz Majsuru patrzył na nie zazdrosnym okiem. Szczegółowo opisywała ogromną tygrysią skórę wiszącą na wewnętrznym dziedzińcu.

- Ta broszka - dotknęła palcem broszki na ramieniu. - Wiesz, że jest zrobiona z tygrysięgo pazura? Tak, przysięgam, kunji, z pazura prawdziwego tygrysa! Jako mała dziewczynka bawiłam się na tygrysim weselu - dodała ze śmiechem - wiele lat temu, kiedy byłam niewiele wyższa niż ty teraz.

Nandżu znał te historie na pamięć. Awwaija opowiadała mu je co roku, kiedy w grudniu jechali do domu Kambejmadów na święto Puthari. Nigdy nie przyszło mu jednak do głowy, żeby jej przerwać. Był ogromnie

214  
szczęśliwy, siedząc obok mamy i słuchając. Kiedy mówiła, lubił kłaść głowę na jej kolanach, a ona przytulała go ze śmiechem. Teraz też się rozpromienił, gdy czule objęła go ramieniem.

Nandżu był tak pochłonięty paplaniną Dewi, że zapomniał o przy-  
czynie ich wizyty. Kiedy dotarli do domu, tłumy żałobników podziały jak nagle, wstrząsające przypomnienie. Oszołomiony Nandżu patrzył na coś, co wyglądało jak mleczna rzeka. Chlupotała wokół kolumn domu, wylewała się na schody i na werandę - wszędzie siedzieli, stali, rozmawiali i płakali mężczyźni, kobiety i dzieci przybyli po to, by po raz ostatni oddać cześć w nieskazitelnej pogrzebowej bieli. Trzymał się blisko matki, kiedy przeciskali się przez tłum na wewnętrzny dziedziniec. Świeżo umyte ciało najaka zostało ubrane w jego najlepszą, aksamitną kupję i położone na macie. Jego wąsy namaszczone olejkiem i wspaniale podkręcono, a na posmarowanym pastą z drzewa sandałowego czole położono złotą monetę.

- Dotknij jego stóp, monae.

Palce martwego najaka były woskowate, przypominały przezroczyste kamforowe kulki, które awwaija trzymała w kąciku modlitwy w ich domu.

Nandżu pospiesznie cofnął dłonie i poszedł za Dewi, która usiadła wraz z innymi kobietami.

- Wyjdź na zewnątrz - zachęciła go. - Idź porozmawiać z kuzynami.

Nieśmiało pokręcił głową i oparł się o nią. Po chwili westchnęła i pogładziła go po ramieniu.

Ciągle napływali ludzie, tłoczyli się tak bardzo, że nie widział nawet przeciwległej ściany, na której wisiła skóra tygrysa. Grupa dzieci w różnym wieku siedziała na skraju dziedzińca i próbowała zachować powagę, ale od czasu do czasu któreś z nich się zapominało, więc szepotały i chichotały, póki ktoś z dorosłych nie upomniał ich surowo, żeby były cicho. Nandżu zerkał na dzieci zza swojej mamy. Kiwnęły do niego, żeby się przyłączył, ale on speszony odwrócił wzrok i jeszcze bardziej przylgnął do Dewi.

Miał wrażenie, że siedzą tam godzinami. Zaczął się wiercić.

- Siedź prosto - szepnęła Dewi. - Nie garb się jak Poleja. Czyim jesteś dzieckiem: Tukry czy moim?

- Jak długo jeszcze musimy tu czekać? - jęknął. - Jestem głodny, awwaija.

- Cii. Popatrz. - Na wewnętrzny dziedziniec weszła grupa jego wujów, którzy ogolili głowy tak samo jak on i appaija. - Nadeszła pora kremacji.



Nandźu patrzył z zacięciem, jak wujowie podnoszą ciało najaka, sadzają je na krześle i podźwigają na ramię. Rozległy się pogrzebowe bębny, a kobiety wstały i zaczęły płakać. Awwaija wyprostowała się jak struna, skupiając wzrok na mężczyznach niosących zmarłego. Powoli, ze wschodu na zachód, okrążyli dziedziniec raz, drugi i trzeci, Nandźu po cichu liczył. Głowa najaka opadła na pierś, turban się przekrzywił. Mężczyźni zeszli po schodach prowadzących na pola. Inni posepnie ruszyli za nimi.

Zdenerwowany Nandźu złapał matkę za rękę. Skrzywiła się wystraszona, jakby zupełnie zapomniała o jego obecności.

- Nandźu - powiedziała, jakby w ostatniej chwili przypomniała sobie jego imię - musisz iść razem z wujami na kremację.

- Nie... - zaczął wystraszony Nandźu, ale ona już podeszła do jednego z wujów.

- Zabierzesz ze sobą Nandźu?

- Awwaija, nie - jeszcze raz zaprotestował wystraszony chłopiec, ale wuj wziął go za rękę.

- No, monae! Przestań się chować za matczyną spódnicą. Znajdziemy ją, kiedy wrócimy. Teraz twoje miejsce jest tutaj, obok innych mężczyzn z rodziny.

Kiedyś Tukra powiedział Nandźu, co się dzieje z martwymi ciałami.

Dawniej Polejowie zostawiali swoich zmarłych w lesie, wkładali ich do dołu w ziemi, a potem przysypywali liśćmi i kamieniami, żeby nie mogły się do nich dostać dzikie zwierzęta. Z czasem zaczęli jednak naśladować tradycję mieszkańców Kodagu i kremować ciała. Tukra twierdził, że uczestniczył w wielu, wielu pogrzebach. Oj, cóż to była za niebezpieczna praca! Wszyscy wiedzieli, że duchy zmarłych tłumem opuszczają skwierczące ciało, fssst, o tak, by opętać kogoś z żałobników.

Nandźu wyśmiewał się z wyssanych z palca opowieści Tukry, ale teraz tamte słowa wydały mu się aż nazbyt prawdziwe. Spróbował się uwolnić z uścisku wuja, ale ten mocno go trzymał i nie dopuszczał żadnych fanaberii.

Nandźu powtarzał sobie, że jest mężczyzną - przecież sam appaija zauważył, jak szybko rośnie jego syn. Miał już prawie pięć lat i nie zamierzał się bać. Zaswędziała go głowa i potarł ją spoconą dłonią. To było gorące popołudnie. Kiedy niechętnie szedł w stronę pól, wokół podnosił się kurz. „Moje szorty” - wystraszony się, próbując je otrzepać wolną ręką. Awwaija powiedziała, że nie wolno ich pobrudzić.

Stos ustawiono na drugim końcu pola. Mężczyźni ułożyli ciało na bierwionach. Nandźu bardzo się starał nie patrzeć na pradziadka, żeby nie wzbudzić gniewu jego ducha, ale choć robił, co mógł, jego spojrzenie nieustannie wracało w to samo miejsce. Bierwiona lekko się przesunęły i ręka najaka bezwładnie opadła na bok. Z miejsca, w którym stał Nandźu, wyglądało to tak, jakby pradziadek wymierzył oskarżycielski palec prosto w niego. Chłopiec przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

Ku-ku, ku-ku, słodko zakukała kukułka w gałęziach nad jego głową. Nandźu spojrział w górę, ale po chwili jego wzrok znowu powędrował w stronę najaka. Trzech wujów okrążyło stos. Kiedy podpalili go po-

chodniami, ponownie dał się słyszeć głos kukułki. Trzaskające płomienie ruszyły w stronę ciała i w niebo wzbity się smużki dymu. Ogień liznął najaka, posmakował obszytej frędzlami szarfy. Z gardła Nandżu wydobył się cichy krzyk, gdy ogień powoli owinął się wokół rękawa jego kupji, który buchnął płomieniem. Płomienie pełzły wyżej, migocząc na szerokiej piersi. Nandżu stał jak zahipnotyzowany, nie był w stanie się odwrócić. Ogień szedł coraz wyżej, ogarniając brodę i spalając wspaniałe, lśniące wasy. Powolne skwierczenie, jak ryba na patelni. „Ku-kuuu”, zaśpiewał ptak, wymachując ogonkiem, i z nagłym „fssst!” cały stos stanął w płomieniach. Prerażony Nandżu spostrzegł, że ręka najaka uniosła się wśród płomieni i wskazała prosto na niego. Chłopiec wyrwał się wujowi, przecisnął między żałobnikami i wołając matkę, popędził na łeb, na szyję przez pola, z powrotem do domu.

- Awwaija! Awwaija!!!

Prerażona, gwałtownie się odwróciła i wytrzeszczyła oczy.

- Nandżu? Co się stało? Zrobiłeś sobie krzywdę? Co się stało, monae, co się stało? - Pokręcił głową, nadal czując zapach palonych włosów.

Bardzo się starał, żeby nie wybuchnąć płaczem. - W takim razie co...

Czy kremacja już się zakończyła? O co chodzi? Zmoczyłeś się? Nan-dżu.

Nandżu spojrział w dół. Policzki paliły go ze wstydu.

- Awwaija - wymamrotał, spuszczać głowę.

- Nandżu... - zaczęła Dewi, wiedząc, że kobiety patrzą w ich stronę.

- Trzymaj, monae. - Jedna ze stryjecznych babek zbliżyła się różnym krokiem z talerzem w ręku. - Wyglądasz na głodnego. Zjesz kilka otti? Inne dzieci już zjadły, pewnie ty też byś chciał. Wszystko w porządku, kunji. Zostań tu z nami i posil się.

Nandżu ciężko usiadł z talerzem w ręku, próbując zasłonić mokre plamy na szortach. Nadal trzęsły mu się kolana. Zaczął wpychać do ust

217  
kawałki otti, próbując wygnać z pamięci rozedrgane, kukielkowe ruchy, jakie zdawało się wykonywać ciało najaka pośród podskakujących płomieni.

- Doprawdy, Dewi - powiedziała cicho stryjeczna babka - co ci przyszło do głowy, żeby posyłać go tam samego?

Dewi zeszywniała, maskując poczucie winy wyniosłym odrzuceniem głowy w tył.

- On też należy do tej rodziny, prawda? To jego obowiązek.

- Obowiązek? Na wszystko przyjdzie czas i miejsce, nie powinnaś była... - Urwała, gdy podeszła do nich trzecia kobieta.

Kobieta uśmiechnęła się do Nandżu, a on nieśmiało odpowiedział jej tym samym, usiłując nie gapić się zbyt natarczywie. Była niesamowicie gruba!

- Dewi akka, jak się masz?

- Najwyraźniej nie aż tak dobrze jak ty.

Nandżu podniósł głowę i spojrział na awwaiję. Jej głos brzmiał dziwnie. Zobaczył, że matka się uśmiecha, ale był to jeden z tych udawanych uśmiechów, które nie docierały do jej oczu.

- Tak - roześmiała się kobieta. - Mineło kilka lat, ale mąż w końcu zrobił to jak należy. - Z zadowoleniem pomasaowała się po brzuchu.

- Widziałam, jak niósł ciało na pola - Dewi powiedziała pierwszą

rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Żona Maću spojrzała na nią zaskoczona i Dewi pospiesznie odwróciła się do Nandżu, żeby odzyskać równowagę. „Jest w ciąży”. Uśmiechnęta, szczęśliwa żona Maću nosiła w brzuchu dziecko. Dziecko, które powinno być jej. Ich. Przepelniona nagłą wściekłością, Dewi warknęła na Nandżu:

- A ty co się tak gapisz? Przestań się guzdrać i jedź otti. A może i to cię przerasta?

Tamtej nocy Dewi leżała rozbudzona, nie mogła ani spać, ani pomstować, ani płakać z obawy, że ktoś mógłby usłyszeć. Nie była na ślubie Maću. Na początku przysięgła sobie, że pojedzie. Postanowiła, że olśni wszystkich urodą, że pięknym wyglądem przyćmi pannę młodą. Ostatecznie nie była jednak w stanie wziąć w tym udziału. Siedziała zastygła na krawędzi łóżka, a sari, które tak starannie wybrała, leżało pogniecione na podłodze. Tukra musiał wiele razy powtarzać pytanie, zanim w końcu

218  
odpowiedziała. Nie, powiedziała bezbarwnym głosem, ostatecznie nie pojedą do wioski Kambejmadów.

Postanowiła, że w czasie Puthari będzie uprzejma dla jego żony. Gruba, powtarzała sobie, dziewczyna będzie gruba i prostacka. Jednak nawet ona musiała przyznać, że żona Maću jest ładna. Dewi musiała wykorzystać całą siłę swojej woli, żeby pogratulować dziewczynie opanowanym głosem. „Obyś żyła jak najdłużej” - powiedziała, nie będąc w stanie dokończyć błogosławieństwa: obyś żyła jak najdłużej, obyś była szczęśliwa, obyś umarła jako mężatka.

Maću znowu trzymał się od niej z daleka.

Mimo wszystko, gdy mijały kolejne lata, Dewi znajdowała pocieszenie w widoku płaskiego brzucha jego żony. Wprawdzie Maću powiedział Dewi, że to koniec, ale ona wiedziała, wiedziała po sposobie, w jaki się zachowywał, w jaki stał, kiedy była w pobliżu, że nie mogło być mowy o żadnym końcu. Że to się nigdy nie skończy. Co roku z niepokojem patrzyła na talię rywalki. Co roku ogarniało ją dojmujące poczucie zwycięstwa na widok dziewiczej pustki jej brzucha. Może nazywał siebie mężem, ale było jasne, że nie pożąda swojej żony. Zresztą ktoś mógł go winić? Wystarczyło spojrzeć na tyłek tej kobiety. Był płaski jak kamień do prania.

Jej oczy płonęły teraz na wspomnienie popołudnia, na wspomnienie ogromnego, brzemiennego brzucha. Pępek sterczał bezczelnie za fałdami sari, zwracając uwagę na pływające w środku życie. Na syna Maću. Ani przez chwilę nie wątpiła, że urodzi się chłopiec. W jej gardle wezbrała żółć. A czego się spodziewała? Że już zawsze będzie żył w celibacie? Przecież sama go zapytała, dlaczego jeszcze się nie ożenił.

Nandżu cicho jęknął, uwięziony w jakimś niespokojnym śnie. Przypomniało jej się popołudnie, czyste przerażenie malujące się na jego twarzy, kiedy przybiegł z pola. „Co ze mnie za matka?”, zastanawiała się smutno, patrząc na śpiące dziecko.

- Ile będziemy mieli dzieci? - zapytała kiedyś Maću.

- Sześcioro.

- Nie - odpowiedziała. - Ja chcę dziesięcioro. Pięciu chłopców i pięć dziewczynek, a kiedy urodzi się dziesiąte, ty i reszta wioski wyprawicie mi tradycyjną ucztę dla upamiętnienia narodzin dziesięciorga zdrowych

dzieci. Co, masz wątpliwości? - ciągnęła wesoło. - Tylko pomyśl, jaką wspaniałą będziemy rodziną: ty, pogromca tygrysa, i ja, matka dziesięciorga dzieci!

Szeroko się uśmiechnęła.

- Nieważne, czy będzie ich dziesięcioro, czy dwoje. Oby były zdrowe i szczęśliwe, to wystarczy.

- Hmm... - zastanowiła się. - Może masz rację. Mimo to pierwsze powinno być chłopcem, nie sądzisz? - Oparła brodę na jego piersi i uśmiechnęła się. - Chłopiec, tak jak ty.

Nandżu znowu jęknął, wtulając twarz w poduszkę. Przygryzła usta, żeby się nie rozpłakać, i ze znużeniem poklepała go po ręce. Poruszył się, zwinął w ciasny kłębek i znowu zastygł. Dewi odwróciła się do ściany. Obudziła się z zapuchniętymi oczami, zdezorientowana. Był szary, ołowiany poranek, anemiczna mgła unosiła się na wewnętrznym dziedzińcu. Warstwa chmur w każdej chwili groziła deszczem, przesywając jej czoło dokuczliwym bólem. Przez chwilę leżała nieruchomo, dochodząc do siebie. Musiała jeszcze tylko zadbać o jeden szczegół, a potem mogła wyjechać.

Kiedy mężczyźni z rodu Kambejmadów zebrali się na werandzie, drapiąc się po swędzących, ogolonych głowach, ze zdumieniem spojrzeli na Dewi, która wyszła, by do nich dołączyć. Czy ta dziewczyna nie miała poczucia przyzwoitości? Dla synowych nie było miejsca w dyskusjach o majątku.

- Mój mąż nie mógł przybyć - wyjaśniła Dewi. - Jestem... jestem tu w jego imieniu i w imieniu mojego syna, Nandżappy Kambejmady. - Ciasniej owinęła się sari, jakby chciała się odgradzić od ich dezaprobaty.

- Tak, no cóż. Zawiadomilibyśmy was o naszych decyzjach później. Udała, że nie słyszy. Spuściła wzrok i zdecydowanie stanęła pod kolumną. Mężczyźni zerknęli na siebie, nie wiedząc, co robić, a potem rozpoczęli naradę tak, jakby po prostu jej tam nie było.

Zgodnie przyznali, że czasy się zmieniły i stary system rodziny wielopokoleniowej przestał się sprawdzać. Najakowi udawało się utrzymać jedność rodu dzięki zwykłej sile woli. Kto zapewni pokój po jego śmierci? Będzie lepiej, jeśli każdy mężczyzna z rodziny weźmie swoją część ziemi albo jej równowartość w gotówce. Dom razem z otaczającymi go terenami przypadnie najstarszemu bratu najaka i jego rodzinie. Reszta majątku zostanie podzielona. Zaczęli przydzielać posiadłości poszczególnym członkom rodziny. Najstarszy brat dostanie pięćset akrów. Drugi brat czterysta akrów i szesnaście złotych monet. Trzeci brat... Gdy przyszła

220  
kolej na synów najaka, ojciec Dewanny dostał czterysta trzydzieści akrów. Rozpromienił się i pokiwał głową. To była uczciwa decyzja.

- A Dewanna Kambejmada zatrzyma dom, w którym obecnie mieszka.

Dewi gwałtownie podniosła głowę.

- To wszystko? A co z ziemią należną mojemu mężowi albo z jej równowartością w gotówce?

- Z ziemią? Nie ma żadnej ziemi. Po co Dewannie ziemia, skoro ledwie może chodzić? Dajemy mu dom.

- Dom nie zapewni nam dochodu. Pytacie, po co mu ziemia? Jest mu

tym bardziej potrzebna, skoro został inwalidą! Ma na utrzymaniu żonę i syna, prawda?

Członkowie starszyny spojrzeli po sobie. Cóż za zuchwała kobieta.

- Dewannie nie dano żadnej ziemi ani innego majątku - odparli oschle. - Jeśli jednak jesteś niezadowolona, powinnaś porozmawiać z teściem.

- Widzisz - ojciec Dewanny unikał jej wzroku - nie dostałem zbyt dużo ziemi. A jak wiesz, oprócz Dewanny mam jeszcze czterech synów.

- Czterech synów? - Głos Dewi brzmiał nienaturalnie wysoko, nawet w jej własnych uszach. Urwała, próbując nad sobą zapanować. - Czterech synów, teściu? Pozwolę sobie przypomnieć, że Dewanna jest twoim pierworodnym.

- Tak, kunji, wiem... - Nadal unikał jej wzroku. - Niestety, mam związane ręce. Dzisiaj wszystko jest takie drogie... W każdym razie zatrzymacie dom.

- Dom? Mój syn jest potomkiem Kambejmadów, a ma prawo jedynie do dusznej chałupy? Czy to sprawiedliwe?

Spojrzała na starszyny błagalnym wzrokiem.

- Proszę - powiedziała łamiącym się głosem. - Nie mamy zbyt wiele.

Najak co miesiąc przysyłał nam pieniądze, a nawet mimo to musiałam... Każde ziarno, liczymy każde ziarno, które wkładamy do garnka. Teraz, kiedy najak umarł, pieniądze przestaną przychodzić. Bądźcie uczciwi wobec mojego syna. Jak mamy przetrwać bez ziemi?

- Nie, kunji - wyjaśnił pospiesznie ojciec Dewanny. - Nadal będę wam przysyłał pieniądze. Ile potrzebujecie? Stu rupii? Dwustu?

- Nie chcę więcej jałmużny - wybuchnęła Dewi. - Po prostu dajcie mojemu synowi to, co mu się należy. Dajcie nam ziemię, do której ma prawo.

221

Z żalem pokręcili głowami. To najlepsze, co mieli do zaoferowania, w dodatku złożyli jej hojną propozycję. Powinna ją przyjąć. \_J W końcu zrozpaczona Dewi spojrzała na niego. „Maću. Przemów im do rozsądku”. Wstrząśnięta, zdała sobie sprawę, że on nawet na nią nie patrzy, zamiast tego spogląda na zielone pasma pól i tylko mały tik na brodzie zadawał kłam wystudiowanej, znudzonej minie, uświadamiając jej, jak bardzo Maću nie chce się za nią wstawić.

Dewi pokiwała głową i do jej oczu napłynęły łzy.

- Niech i tak będzie - powiedziała, odwracając się, by wejść do domu. - Zatrzymajcie swoją jałmużnę. Związę koniec z końcem bez waszej pomocy.

Wystraszony Nandżu spojrzął na Dewi. Zawsze była smutna, kiedy przychodziła pora, by opuścić dom Kambejmadów, ale jeszcze nigdy nie widział, żeby jego matka aż tak płakała.

- Awwaija? - zapytał przybity, patrząc na łzy płynące jej po twarzy. Pokręciła głową i spróbowała się uśmiechnąć.

- To nic, nic się nie stało. Chodź, zbring swoje rzeczy, musimy wracać do Madikeri.

Kazała mu poprosić o błogosławieństwo wszystkie starsze osoby w domu i sama również dotykała ich stóp, kiedy z kamienną twarzą życzyły jej powodzenia. Dopiero potem wsiadła do powozu. Kiedy od-

jeźdzali, Nandżu obserwował ją z niepokojem. Próbował znaleźć odpowiednie słowa.

- Nie smuć się, awwaija - zaczął z wahaniem. - Appaija powiedział, że powinniśmy pozwolić, by Kambejmada thatha odszedł. Powiedział, że thatha żył bardzo długo i że...

Dewi pokiwała głową.

- Tak, tak. Po prostu jestem zmęczona, Nandżu, to wszystko. - Dotknęła jego policzka, żeby złagodzić ton swojego głosu. - Awwaiję bardzo boli głowa. Czy mógłbyś przez chwilę pobyć cicho?

Nandżu zdecydowanie pokiwał głową. Cieszył się, że wyjeżdżają.

Chciał wrócić do spokoju Madikeri, do appaii. Spojrzał na matkę. Przynajmniej przestała płakać. Podciągnął kolana pod brodę i wyjrzał na zewnątrz. W domu będzie lepiej.

222

Chmury smętnie płynęły po niebie, a dom Kambejmadów po raz ostatni ukazał się między drzewami, po czym zupełnie zniknął.

Tukra właśnie minął trzeci zakręt, kiedy Nandżu podniósł głowę.

- Awwaija - pokazał palcem. - Patrz.

Do powozu podjechał Maću.

- Dewi. Dewi - powtórzył.

Z gracją wysiadła z powozu i stanęli na skraju drogi. Nandżu wyciągnął szyję, próbując usłyszeć, co mówią, ale większość ich słów została uniesiona przez bryzę.

- Gratuluję.

- Dziękuję.

- Jesteś szczęśliwy? - Próbowwała się uśmiechnąć. - To będzie chłopiec.

Chłopiec, tak jak ty.

- Dewi, to, co tam zaszło, nie było w porządku.

- A mimo to nie zrobiłeś nic, żeby temu zapobiec.

- Czy występowanie przeciwko armii kiedykolwiek przyniosło coś dobrego? Lepiej zaatakować z zaskoczenia albo pokonać jednego po drugim. Tak czy siak - z niecierpliwością machnął ręką - przyjechałem, żeby ci coś powiedzieć. Nie martw się. Dopilnuję, żebyś dostała to, co ci się należy.

Roześmiała się drwiąco i nieprzyjemnie.

- Nie wątpię, tak jak dopilnowałeś dziś rano.

- Dewi...

Pod powiekami zaszczypały ją łzy i znowu się roześmiała, żeby je ukryć.

- Masz. - Nandżu zobaczył, jak awwaija sięga do bluzki i kładzie coś na dłoni wuja.

- Dałem ci go.

- Tygrysi pazur dla twojej tygryscy? Tak, wiem. Ale teraz masz żonę, Maću, niedługo urodzi ci się syn. To... powinieneś to wziąć z powrotem. Włożył broszkę z powrotem w jej dłoń i mocno zamknął je w swoich.

- Jest twoja - powiedział twardo. - Zrób z nią, co zechcesz. Wrzuć ją do Kaweri, jeśli tego pragniesz. Ale ona jest tylko dla ciebie. Dla nikogo więcej.

Ku przerażeniu Nandżu, po powrocie do powozu awwaija znowu zaczęła płakać.

- Hurr... hurr... - popędził woły Tukra i powoli ruszyli przed siebie.  
223

- Awwaija - powiedział bezradnie. Przecież był już mężczyzną, prawda? Appaija kazał mu zaopiekować się matką i Nandżu wiedział, że nie może jej zawieść po raz drugi. - Awwaija, Kambejmada thatha...

- On odszedł, Nandżu - łkała. - Straciłam go na zawsze. - Przytuliła syna tak mocno, że zaboląły go żebra, ale wiedział, że nie wolno, że naprawdę nie wolno się poruszyć, nawet odrobinę.

Tego samego wieczoru Maću poszedł do starszyny.

- Postradałeś rozum? - zapytali z niedowierzaniem, kiedy usłyszeli, co ma do powiedzenia. Maću był jednak niewzruszony.

Dwa dni później jego żona zaczęła rodzić i powiła syna, tak jak przepowiedziała Dewi. Maću kołysał dziecko w ramionach, patrząc na nie z zachwytem.

- Jesteś szczęśliwy? - zapytała.

Jego syn wrzasnął donośnie i po raz pierwszy od bardzo dawna z serca Maću na chwilę ustąpił mrok.

Kiedy rodzina Kambejmadów zawiadomiła Dewannę, że dokonano nowego podziału majątku, Dewi wiedziała, że to wszystko zasługa Maću. „Dopilnuję, żebyś dostała to, co ci się należy”, obiecał jej.

Dewanna ze zdumieniem wpatrywał się w list, a potem przeczytał go jeszcze raz, chcąc się upewnić, że dobrze rozumiał.

- Mój ojciec! To pewnie jego zasługa... Nie spodziewałem się, nigdy nie przypuszczałem, że... Spójrz, Dewi - powiedział ochryłym głosem. - Sto akrów!

Dewi oszczędziła mu szczegółów obrad w domu Kambejmadów, tego, jak błagała starszynę, a zwłaszcza jego ojca, aby potraktowali go uczciwie. Teraz także nie powiedziała nic, co mogłoby rozwiać jego złudzenia na temat szczodroblewości ojca, ale gdy wpatrywała się w list, jej oczy płonęły dziką euforią. „Dopilnuję”, obiecał jej Maću.

Posłała Tukrę, by zaniósł do wioski Naćimandów wieści o tym nieoczekiwanym spadku, prosząc Thimmaję o bezzwłoczne przybycie. Już następnego dnia wyruszyli obejrzeć ziemię. Dewannie zapisano plantację kawy oddaloną od Madikeri o około pół godziny drogi. Kiedyś należała do plantatora ze Szkocji, a gdy ten opuścił Kodagu - „Dość już mam tych cholernych deszczy!”, krzyczał po wyjątkowo nieudanym sezonie - najak Kambejmada natychmiast ją od niego odkupił.

- Kup pole ryżowe, to nie pora, by inwestować w kawę - namawiali go koledzy, ale najak postawił na swoim.

225

- Ziemia to ziemia - stwierdził. - Przez jakiś czas może poleżeć odłogiem, póki ceny kawy nie pójną w górę.

Dewi nie miała o tym pojęcia, kiedy patrzyła na szeregi krzewów kawy, na połyskujący w oddali staw, na wielki, zapuszczony bungalow, do którego prowadził kręty żwirowy podjazd.

- Iguthappa swami znowu ma nas w opiece - powiedziała cicho do ojca. - Zacniemy... - urwała na widok jego zmartwionej miny. - O co chodzi? - zaniepokoiła się. - Co się stało?

Thimmaja pokręcił głową.

- Miałem nadzieję, że będzie przynajmniej kawałek pola ryżowego. Na tej ziemi rośnie tylko kawa.

- Tak. To dobrze, prawda? Będziemy mieli plantację kawy, tak jak biali. Thimmaja zerknął na Dewi, próbując stłumić niepokój w swoim sercu. Biedne dziecko, jak zdoła... Nie miała pojęcia o uprawie kawy. Nie wiedział nawet, od czego zacząć.

- Appajja? - jeszcze raz zapytała Dewi, wpatrując się w niego wielkimi oczami. - Proszę, po prostu mi powiedz. O co chodzi?

- Problem w tym, kunji, że zbiory kawy nie są... Od kilku lat są dość kiepskie. Kiedy założono pierwsze plantacje kawy, wiele lat temu, gdy taji była w takim wieku jak ty teraz, plantatorom kawy rzeczywiście wiodło się bardzo dobrze.

Plony uzyskiwane przez białych pionierów były tak duże, wyjaśnił, że do Kodagu napłynęło mnóstwo ich ziomek. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych plantacje w Kodagu mnożyły się jak grzyby po deszczu. Nawet rdzenni mieszkańcy zaczęli sadzić tu i tam ziarna kawy, rozsmakowując się w tym napoju do tego stopnia, że w żadnej kuchni nie mogło zabraknąć dzbanka mocnej, czarnej kawy posłodzonej cukrem palmowym i bulgoczącej nad ogniem. Najbogatsi z nich, tacy jak najak Kambejmada, wycięli całe akry krzewów w lasach palisandrowych i przestawili się na uprawę kawy. Rośliny rosły doskonale, rodząc gęste kępy ziaren sezon po sezonie.

Później, mniej więcej na przełomie wieków, sytuacja uległa drastycznej zmianie. W całym Kodagu z nieznanego powodu plantatorzy kawy zaczęli zbierać kiepskie plony. Bez względu na to, jak bardzo pielili i przycinali, bez względu na to, czy ręce dbające o plantacje były białe czy brązowe, bez względu na to, ilu gleboznawców przyjeżdżało z Majsuru i ile kogutów ofiarowano leśnym duchom. Od kilku sezonów plantacje kawy w Kodagu przynosiły zaledwie kilka nędznych ton ziarna.

226

Na plantacji zaszumiła bryza, mierzwiąc liście kawy. Dewi przeknęła ślinę.

- Czy... - zapytała z wahaniem - czy sytuacja naprawdę wygląda aż tak źle?

- To piękny kawałek ziemi, kunji - próbował ją pocieszyć. - Spójrz, jak faluje wokół nas. Tyle tu drzew pomarańczowych.

- Nie wyżyjemy z samych pomarańczy - przerwała mu Dewi. - Proszę, appajja, po prostu powiedz mi prawdę. Czy z tą ziemią uda się cokolwiek zrobić?

- Tak - odpowiedział Thimmaja. - Sprzedaj ją. Cena za akr nie będzie wysoka, ale jest ich aż sto. Twój ojciec uprawia zaledwie dwańście. Sprzedaj tę ziemię i kup pola ryżowe albo kilka akrów kardamonu.

Rozejrzała się wokół, zawiedziona.

- Zajmę się tym - dodał. - Porozmawiam z nimi.

To Maću przemówił rodzinie do rozsądku. To on zdobył dla niej tę ziemię.

Wyciągnęła rękę w stronę krzewu kawowca. Jego liście zdawały się błyszczeć, gdy ocierały się o jej palce. „Maću zdobył dla mnie tę ziemię”, pomyślała jeszcze raz. To było wszystko, co jej po nim zostało.



- Nie sprzedam jej - powiedziała cicho.

- Daj spokój, kunji, myśl praktycznie. Z tego, co widzę, na tej plantacji nie pracowano od lat. - Wskazał drzewa pochylone nad ich głowami. - Popatrz, jak bardzo urosły drzewa rzucające cień. Nawet w sprzyjających czasach trzeba je przycinać co rok, żeby kawa dostawała wystarczająco dużo słońca.

Europejscy plantatorzy słynęli z fanatycznego przycinania koron tych drzew, a na niektórych plantacjach przeprowadzano masowy wyręb. Plantatorzy ostrzegali robotników, że jeśli pozostanie choćby jeden pień, natychmiast zwolnią winowajców.

- Są bardzo przerośnięte, kunji. Skąd weźmiesz pieniądze, żeby je przyciąć?

- Nie sprzedam ziemi.

- Nie wygłupiaj się, Dewi. Nawet ceny tarcicy są w tym roku niskie, prawie nic nie zarobisz na tych drzewach.

Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie prosz mnie, żebym sprzedała tę ziemię, appaija. Musi istnieć jakieś inne rozwiązanie.

227

Thimmaja bezradnie wpatrywał się w córkę. Na chwilę znowu ujrzał w niej małą dziewczynkę. Muthawwa ganiła ją za jakieś przewinienie, a ona biegła do niego na złamanie karku po ułaskawienie od gniewu matki. Kiedy kołysał ją wtedy w ramionach, patrzyła na niego z taką miną, jakby ojciec mógł zrobić wszystko, dosłownie wszystko, by osłonić ją przed złem świata.

Przesunął dłonią po pnączu pieprzu oplatającym pień drzewa. Pnącza także były zaniedbane. Wiedział, że z nich również nie będzie w tym roku większego pożytku.

- Niech ci będzie - powiedział w końcu. - Postaraj się przekształcić plantację w pola ryżowe. Zaczniemy wycinać kawę, akr po akrze. - Zabarwił ton tych słów pewnością, której wcale nie czuł, z determinacją ciągnąc gnijące pnącze. - Nie będzie łatwo, ale czy ciężka praca kiedykolwiek komuś zaszkodziła?

Nazajutrz zorganizowali na plantacji małą pudzę, rozłupując u wejścia kokos i wylewając mleko na glebę. Taji kazała Tukrze ukręcić łeb czarnej kurze i zakopać ją w rogu plantacji, żeby odpędzić przynoszące pecha pisaści.

- Potrzebujemy jakiejś nazwy, awwaija. Jak nazwiemy naszą plantację? - zapytał Nandzu, rozglądając się z zaciekawieniem.

- Nari Malai - odpowiedziała bez wahania jego rozpromieniona matka. Tygrysie Wzgórza.

Dewi sprzedała pomarańcze z plantacji, a za zarobione pieniądze zatrudniła trzech robotników do pomocy przy karczowaniu kilku akrów krzewów. Praca była powolna i mozolna. Zdrewniałe pnie kawowców należało porąbać, a potem wyrwać korzeń z ziemi. Dewi zdierała paznokcie, harując razem z robotnikami, a jej dłonie pokryły się odciskami. Mimo to, po miesiącach pracy od wschodu słońca do chwili, w której na wieczornym niebie rozbłysły gwiazdy, wykarczowali ledwie kawałek plantacji.

Pewnego wieczoru Dewanna patrzył ze swojego fotela, jak Dewi opada

na krawędź łóżka, tak zmęczona, że nie miała siły nawet myśleć. Przez te wszystkie miesiące nie powiedział ani słowa, choć gnębiła go świadomość, że ona tyra, a on nie jest w stanie jej pomóc, i choć denerwowały go ograniczenia jego chorego ciała.

228

- Przemów jej do rozsądku - prosiła go taji. - Ta plantacja to próżny trud. Sprzedajcie ziemię, póki jeszcze jest coś warta i kupcie zamiast niej pole ryżowe.

Dewanna się zawahał.

- Ta plantacja... Wydaje mi się, że Dewi pragnie tylko tej ziemi, taji, tej i żadnej innej.

Tak więc powstrzymywał się od udzielania rad i co wieczór, ogarnięty niepokojem, siedział przy oknie, czekając na jej powrót. Dewi nigdy nie dała po sobie poznać, że to zauważyła, a tym bardziej że docenia jego troskę. Mimo to czekał, udając, że pochłania go lektura jakiejś książki, podczas gdy ona sprawdzała, czy Nandzu jest dobrze przykryty kołdrą, brała kąpiel i zapalała modlitewne lampki. Zaczynał jeść dopiero gdy i ona w końcu zasiadała do kolacji. Posilali się w milczeniu. On grzebał w kleiku, a Dewi bez entuzjazmu połykała wszystko, co leżało na talerzu. W domu panowała taka cisza, że słyszeli skrobanie myszy w ścianę.

Tamtego dnia była tak wyczerpana, że od razu wycofała się do swojego pokoju. Dewanna zaczekał, a potem z wahaniem wstał z fotela. Pokuśtykał do drzwi, dysząc nawet po tak małym wysiłku.

- Dewi - wychrypiał. - Co się stało? Coś z plantacją? Mogę jakoś pomóc?

Dewi spojrzała na niego ze znużeniem.

- Pomóc? Naprawdę, Dewanno? Jak zamierzasz mi pomóc?

Mimo to opowiedziała mu o plantacji.

- Kawowce. Nic, tylko kawa - westchnęła rozgoryczona. - Po tych deszczach zgniły nawet pnącza pieprzu. Próba przekształcenia ziemi w pole ryżowe okazała się zbyt wielkim wyzwaniem. Pieniądze z pomańczy prawie się skończyły, a nie widać żadnych postępów. Ja... Nie wiem, co jeszcze można zrobić.

- Zamiast tego zacznij uprawiać kawę. W gazetach piszą, że w tym roku ceny są całkiem niezłe.

- Uprawiać kawę! Na plantacji nie pracowano od lat. Nawet drzewa znowu urosły. Appaija mówi, że wyrąb pochłonie mnóstwo pieniędzy. Skąd miałabym je wziąć? Zresztą po co te wszystkie wydatki? Dla kilku kwintali ziarna? - Spojrzała na swoje obolałe ręce. - Możliwe, że będzie trzeba sprzedać tę ziemię - dokończyła drżącym głosem.

Dewanna wpatrywał się w nią.

- Urosły drzewa? Ależ Dewi, możliwe, że właśnie tego potrzebujemy.

Nie zważając na kłujący ból w nodze, pokuśtykał do regału i sięgnął po atlas. - Spójrz - powiedział.

W ciągu ostatniego roku ciało Dewanny zaczęło się powoli scalać, ale daleko mu jeszcze było do zdrowia. Przechodził powolny, bolesny proces. Wyczerpywało go nawet przejście z pokoju do pokoju. Musiał potem przez dłuższą chwilę odpoczywać w fotelu z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Nadal był zbyt słaby, by odważyć się wyjść na dłużej

na zewnątrz, więc gdy zostawał sam i nawet Nandzu przebywał w szkole, rozpaczliwie szukał czegoś, co odciągnęłoby jego umysł od zbyt szczegółowego roztrząsania przeszłości.

Kolejny raz ukojenie znalazł w książkach. Co miesiąc przychodziły do niego ciężkie paczki od wydawców z Bangaluru, Bombaju, Madrasu i Londynu. Było to kosztowne hobby, ale mimo trudnej sytuacji finansowej Dewi nie odważyła się zaprotestować. Kiedy zdał sobie sprawę, jak bardzo takie zakupy obciążają ich budżet i przez prawie trzy miesiące nie zamawiał żadnych książek, od razu zauważyła.

- Dlaczego przestałeś? - zapytała surowo. - Nie wyglupiaj się. Zamów książki.

Tłumaczyła sobie, że robi to wyłącznie ze względu na Nandzu, że dorastanie wśród książek, w otoczeniu sprzyjającym nauce, wyjdzie mu na dobre.

Dewanna czytał jak opętany. O historii, geografii, filozofii, religii, matematyce i innych naukach. Czytał powieści, biografie, książki podróżnicze, a najchętniej sięgał do dziedziny, którą pokochał jako pierwszą: do botaniki. Zgłębiając informacje na temat uprawy kawy w Kodagu, skupił się na rozpracowaniu zagadki kiepskich plonów.

Z początku myślał, że chodzi o jakąś rozprzestrzenioną chorobę gleby, ale to nie miało sensu. W tym samym okresie pola ryżowe dawały obfite plony. Nie było również żadnych epidemii, żadnych chmar szkodników, które mogłyby wytłumaczyć skąpe zbiory. Nawet deszcz padał mniej więcej tak jak zwykle. Być może w niektórych latach było go trochę więcej, ale nie na tyle, by wywarł aż tak negatywny wpływ na uprawy.

Gdy czytał pamiętnik pewnego plantatora z Cejlonu, doznał olśnienia.

Czy to możliwe? Czyżby wyjaśnienie naprawdę było aż tak proste?

- Spójrz - powiedział do Dewi, wskazując atlas. Dewi podejrzliwie popatrzyła na stronę, na równoleżniki przecinające Indie i sąsiednie wyspy. - Tutaj - pokazał palcem. - Spójrz na Cejlon. - Powiedział jej, że plantatorzy w Kodagu popełnili poważny błąd w ocenie, zbyt wiernie naśladując plantacje kawy w Cejlonie. - Myślę, że wycinając tyle samo drzew co tam, popełnili zasadniczy błąd. Zapomnieli, że Kodagu leży wyżej niż Cejlon.

Kawowce w Kodagu dostawały zdecydowanie za dużo słońca.

Dewi popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Jesteś pewny? - zapytała.

Podekscytowany pokiwał głową.

- To tylko teoria, Dewi, ale tak, naprawdę myślę, że znalazłem rozwiązanie. Pamiętasz tamtą historyjkę ze szkoły misyjnej, tę o Jacku i olbrzymiej fasoli? - Gleba w Kodagu była tak żyzna, wyjaśnił jej, że w pierwszych latach nasłonecznienie nie miało znaczenia. Wsadź ziarno kawy w ziemię, a roślina wykiełkuje na następny dzień, bez względu na nadmiar słońca. Na początku plony były obfite. Z upływem lat początkowa przewaga zyskana dzięki dziewiczej glebie została osłabiona. Krzewy nie były w stanie wytrzymać nadmiernego nasłonecznienia i pąki więdły, zanim zdążyły się przeobrazić w owoce.

- Więc... chcesz powiedzieć, że... - Dewi analizowała implikacje tego odkrycia.

- Możliwe, że wcale nie musimy przycinać drzew. Jeśli moja hipoteza

jest słuszna, to właśnie pozwalając im rosnąć, możemy zapewnić tej plantacji najlepsze warunki.

Czy rzeczywiście miał rację? Dewi wpatrywała się w Dewannę, rozważając dostępne możliwości. Przypomniała sobie, że zawsze miał złoty umysł, że głowa Dewanny zawsze była wypełniona złotem. Wstała, czując nagły przypływ energii.

- Dobrze. Mamy tak niewiele do stracenia, że równie dobrze możemy skorzystać z twojej rady.

Zastawiła swoją biżuterię ślubną - bransolety po Muthawwie, naszyjniki i podwójny łańcuszek - u jubilera w Madikeri. Za zdobyte w ten sposób rupie na poważnie rozpoczęła prace mające zwabić kawę na plantację. Thimmaja miał pewne wątpliwości, lecz mimo to przyjeżdżał, kiedy tylko mógł. Pokazał córce odpowiednią mieszankę bydlęcych kości i nawozu, którą należało użyźnić glebę, i wyjaśnił, jak dbać o ziemię wokół roślin, żeby nie porastały jej chwasty. Dewi pracowała razem z Tukrą, jego zręczną żoną i kilkoma robotnikami, których udało jej się opłacić. Pieliała, spulchniała, kompostowała, nawoziła, rąbała, przycinała, stała, pochylała się, sięgała i zrywała, aż mięśnie w jej plecach i rękach kurczyły się z bólu.

231

Mimo to doświadczała wtedy czegoś w rodzaju katharsis. W pracy fizycznej, w słońcu grzejącym w twarz, była jakaś uczciwość. Dostrzegła szczerą w odciskach pozostawianych na dłoni przez motykę. Nie miała pojęcia, co zrobią, jeśli po tym wszystkim zbiory okażą się kiepskie. Wiedziała, że zawsze mogą zamieszkać u jej ojca, lecz obarczanie go swoimi problemami finansowymi nie było w porządku. Szkoła Nandzu. Jak zdoła opłacić chesne? Nawet jeśli obszyje koronką całą górę ręczników... W takich chwilach jeszcze zacieklej wyszarpy wała chwasty. Jedyne, co mogła zrobić, to pracować. Chciała pracować. Obiecała sobie, że będzie pracowała do upadłego. Tę ziemię dał jej Maću i zamierzała ją wykorzystać.

- Rośnijcie - szeptała z wściekłością do roślin, spulchniając motyką ziemię wokół korzeni i czując w ustach gorzko-słodki smak jego imienia. - Rośnijcie, słyszycie, co do was mówię?

Dotarły do niej pogłoski, że Maću rzekł się ziemi i wybrał spadek w formie gotówki, a potem ofiarował wszystkie pieniądze świątyni Ajappy. „Cóż za wierny wyznawca”, mówili ludzie z podziwem, lecz słysząc tę wieść, Dewi poczuła bolesne ukłucie. Nie zażądał ziemi. Celowo wybrał brak korzeni. Pieniądze wzięte w zamian i ofiarowane bogom nie były jedynie ofiarą, wiedziała o tym. To była pokuta, niekończący się akt skruchy za ich przeszłość.

Słyszała również o narodzinach dziecka. Maću miał syna, tak jak przewidywała. Musiała się bardzo starać, żeby zachować kamienną twarz i stłumić ból w głosie.

- Tak? Więc wszyscy czują się dobrze, żona i dziecko?

Tutaj, na plantacji, zostawiała to wszystko za sobą. Mogła udawać, że jest jak dawniej. Że nie została naznaczona losem ani sytuacją materialną, a jej serce pozostało dzięki i nieskrępowane niczym wiatr. Że liczy się tylko bieżące zadanie, okrywanie ziemi suchymi liśćmi, by zatrzymać jak najwięcej wilgoci, przycinanie krzewów i wybieranie z licznych kielków wyrastających z węzła trzech najbardziej obiec-

jących, którym pozwoli się rosnąć dalej. Czasami, kiedy spoglądała w górę, wydawało jej się, że widzi ramiona Maću zarysowane na tle drzew bochenkowych. Czasami słyszała jego głos, wyraźnie niosący się po wzgórzach.

232

Kilka miesięcy później okazało się, że teoria Dewanny była słuszna. Udało im się zagospodarować jedynie małą część plantacji, lecz mimo to akry pokryły się białymi, roziskrzonymi kwiatami. Ich zapach zdumiewał Dewi. Jej ojciec miał małe poletko kawy i już wcześniej zauważyła ich delikatne piękno, ale nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak czarodziejska jest wydzielana przez nie woń. Kiedy zakwitły, przez dwa odurzające tygodnie w powietrzu unosił się miodowy, sugestywny zapach.

Jagody, które się później pojawiły, były tak liczne, że za pieniądze z ich sprzedaży Dewi mogła pospłacać długi u właściciela lombardu i zostało jej wystarczająco dużo, by zatrudnić robotników na prawie całe sto akrów na następny sezon.

Rok później stała na czubku wzgórza, z którego roztaczał się widok na plantację, i podziwiała morze kwiatów kawy. Kilka dni wcześniej padał deszcz. Silne poranne opady zmyły pył z drzew i od razu złagodziły upał. Te ciepłe marcowe deszcze nazywano kwiatowymi. Tamtego roku pojawiły się w doskonałym momencie. Miesiąc wcześniej wyrosły pąki, małe zielone „kolce” wielkości ziarenka ryżu, kielkujące w wielkiej obfitości. Kolce powoli dojrzewały w słońcu, aż na ich powierzchni pojawiła się delikatna lepkość, znak, że dojrzały do kwitnienia.

I właśnie wtedy spadł kwiatowy deszcz.

Gdy przestało padać, kawowce zakwitły. Jak okiem sięgnąć widziała maleńkie śnieżnobiałe kwiatki upakowane tak ciasno, że całe gałęzie pokryły się kością słoniową, wytryskujące, nieskazitelne i podobne do żdźbeł. Plantacja rozciągała się u jej stóp, ciężka od zapachu, otulając wypukłości i zaokrąglenia ziemi delikatnie parującej w słońcu. Proste rzędy drzew - pomarańczowych, bochenkowych i dębów - z gracją oddawały pole otaczającej je dżungli. W oddali widać było błękitną mgiełkę gór z pióropuszem chmurek. Żaby kumkały w mokrej trawie wokół stawu, a owady o błyszczących skrzydełkach śmigwały wśród kwiatów kawowca.

Dewi przywlekła ze sobą taji, żeby staruszka zobaczyła te kwiaty, zwycięskie świadectwo bez mała dwóch lat ciężkiej pracy.

- Ależ kunji - protestowała babcia - moje kolana nie zniosą takiego wysiłku.

Dewi nie chciała jednak słuchać żadnych wykrętów i kazała Tukrze podjechać powozem prawie na szczyt wzgórza. Tam zwróciła się w stronę zasapanej staruszki.

- Spójrz, taji - powiedziała, wykonując gest z milczącą, zdecydowaną dumą. - To jest moje. To wszystko jest moje.

Taji rzuciła jej pytające spojrzenie, próbując złapać oddech.

- To ziemia Dewanny - przypomniała wnuczce.

Smagała je bryza, przylepiając sari do nóg. Dewi wzięła głęboki oddech zadowolenia i wciągnęła zapach kwiatów kawowca, lecz nie odpowiedziała.

Kwiaty znowu okazały się trafnym wskaźnikiem przyszłych zbiorów. Gdy nadszedł czas żniw, plony były tak ogromne, że podwórze, na którym suszono ziarna, leżało zajęte prawie przez miesiąc. Odnosiło się wrażenie, że jego powierzchnię nieustannie przykrywa dywan czerwono-brązowych jagód suszących się w słońcu. Wzdłuż krawędzi piętrzyły się góry jagód czekające na swoją kolej. Tukra siedział i łakomie spoglądał na tę obfitość, prychając z niezadowoleniem na Nandżu, który nurkował i turlał się w kopcach kawy.

- Och, daj mu spokój, Tukra - uspokajała go rozbawiona Dewi. -

Przecież to tylko dziecko. Poza tym mamy jeszcze mnóstwo kawy!

Osobiście wybrała się na Mincing Lane, żeby negocjować cenę plonów z hurtownikami z Europy. Prowadziła dyskusję swoją ograniczoną, lecz praktyczną angielszczyzną ze szkoły misyjnej. Dewanna, który czuł się coraz lepiej, uparł się, żeby jej towarzyszyć, nie pozwalając żonie jechać bez eskorty. Dewi nie stawiała oporu. O mało się nie przewrócił, próbując wsiąść do powozu. Wyprostował się w ostatniej chwili i z upartym wyrazem twarzy ciężko usiadł w środku. Jego półbuty i laska były wypolerowane na połysk.

Gordon Braithwaite, jeden z największych plantatorów w Kodagu, osłupiał na wieść o plonach, które zebrała Dewi.

- Koniec z królem kawy - oznajmił z żalem tamtego wieczoru w klubie. - W tym roku zaszczyt przypadnie dość ujmującej rdzennej mieszkance. Mamy zatem królową kawy.

Zazdrosne głowy z całego Kodagu zwracały się ku Dewi. Co za dziewczyna! Pojechała na Mincing Lane i sama rozmawiała z białymi. Czyżby nie miała poczucia przyzwoitości? Nic dziwnego, że uzyskała tak wysoką cenę - który mężczyzna zdołałby się oprzeć kobiecie potrzęsającej mu biustem przed nosem?

Taji próbowała przemówić wnuczce do rozsądku.

- Dlaczego musisz otwarcie przeciwstawiać się konwencjom, kunji? - zapytała zrozpaczona. - Nie jesteś już dzieckiem, lecz dorosłą kobietą. Pomyśl przez chwilę o nas i o tym, jak się czujemy, słysząc, co o tobie wygadują.

- Och, taji. Ludzie i tak będą gadać - odpowiedziała zniecierpliwiona Dewi.

- Pamiętaj, że musisz żyć w społeczeństwie, podobnie jak twoja rodzina. - Dewi się roześmiała. - Zrobiłaś się twarda, moje słońce i mój księżycu - powiedziała taji ze smutkiem. - Obyś nie stała się tak krucha, że roztrzaska cię jeden dotyk.

- Nie jestem twarda, taji. Jestem silna. - Dewi znowu pomyślała o Kambejmadach, o upokorzeniu, które czuła, błagając o należną Dewannie część majątku. - Jeśli człowiek nie jest silny, ludzie go podepczą. Trzeba walczyć o szczęście. O to, co się nam należy.

"I jeszcze raz to samo! - zawołał Maću, a niechlujny chłopak natychmiast I postawił przed nim następny dzbanek araku. Maću wgryzł się w kotlet barani przybrany czerwoną cebulą i chili, i popiwszy go mocnym trunkiem, czknął z zadowoleniem. Przynajmniej jedzenie w knajpie nadal było tak dobre jak kiedyś.

Anglicy mieli swój klub z aksamitnymi zasłonami, a rdzenni mieszkańcy Kodagu chodzili do knajpy krytej liśćmi palmowymi stojącej przy

wjeździe do Madikeri. Stara właścicielka prowadziła go ze sprytem. Wiedziała, że należy zapewnić klientom stały dopływ mocnego, pędzonego w domu araku i jednocześnie napełniać im żołądki hojnymi porcjami dosy, kotletów masala i smażonej wątróbki drobiowej, aby złagodzić ostrość trunku. Maću wypił kolejny łyk araku, czując, jak płyn wypala mu żyły. Wizyta w knajpie arakowej była jedynym jasnym punktem jego kiepskiego dnia.

Po tygodniach powrotów do domu z pustymi rękami upolował dwa zające i młodą sarnę. Obdarł zwierzęta ze skóry, a jego żona rozwieściła mięso nad paleniskiem, żeby uwędziło się w dymie kuchennego ognia. Maću natychmiast zawiózł skóry do Madikeri, żeby je tam sprzedać. Nie poszło mu najlepiej. „Dziesięć rupii”, powiedział kupiec z nieprzejeжданą miną i bez względu na to, co mówił Maću, nie ustępował.

Co mógł kupić za dziesięć marnych rupii? Przez cały sezon w lasach brakowało zwierzyny. Jeśli w takich czasach nie miało się ziemi albo

236  
państwowej posady, trudno było zapewnić byt rodzinie. Dziesięć rupii. Klnąc pod nosem, znowu zbliżył do ust dzban z arakiem.

- Maću, heej, Maću! - Odwrócił się i zobaczył znajomego. - A cóż to? Nie wybiła jeszcze czwarta, a ty już zacząłeś? - Mężczyzna ze śmiechem poklepał go po ramieniu. - Nieważne, smutek to czy radość, dotrzymam ci towarzystwa.

- Tak. Czy płacz, czy śmiech, nie pić to grzech - cierpko zrymował Maću, a jego znajomy zarechotał.

Kiedy Maću opowiedział mu o swojej transakcji, mężczyzna pokiwał głową.

- W dzisiejszych czasach wszystko jest zbyt trudne. Jak tu wyżyć? Ceny ryżu spadły prawie do zera, a kawa nadal nie daje dobrych plonów. A tak na marginesie - zdenerwował się. - Słyszałeś o tej Dewi? Maću się skrzywił. Słyszał. Wiele razy.

Jego znajomy wcale się jednak nie zniechęcił i rozpoczął kolejną opowieść o tym, jak Dewi udało się uzyskać niewiarygodnie wysoką cenę przy Mincing Lane. „Tylko nie dzisiaj”, pomyślał Maću. Nie, kiedy rozczarowanie towarzyszące sprzedaży skór dołączyło do problemów finansowych, które zdawały się nieustannie wisieć nad jego głową. Dzisiaj samo brzmienie jej imienia raniło go głęboko.

Maću wiedział, że znalazł dobrą żonę. Była prawa i oddana, na jej ładnej twarzy malowała się miłość do męża. Czegóż więcej mógłby chcieć mężczyzna? A mimo to prześladowała go inna, tańcząc kusząco w jego snach. „Co się stało? - szeptała żona, kiedy gwałtownie się budził, noc w noc. - Przynieść ci trochę wody?”. Maću nie odpowiadał i tylko leżał, tępo wpatrując się w mrok, a potem sięgał po nią i przyciągał do siebie. Brał ją z siłą zrodzoną z rozpacz, z namiętnością, która go wyczerpywała. A mimo to ciągle czuł gryzącą woń straty.

Przechylił dzban z arakiem i osuszywszy go, rzucił na podłogę.

- Dość - powiedział do towarzysza, przerywając mu niekończącą się paplaninę o cenach kawy. - Jeśli usłyszę jeszcze słowo na temat kawy albo plantacji Nari Malai, przeberze się miarka. Tak, nie mam ziemi. Myślisz, że żałuję? Ani przez chwilę.

- Przecież ja nigdy... - zaprotestował jego znajomy, ale Maću nie słuchał.

Wstał, stojąc twardo na nogach mimo chlupoczącego w żołądku araku.

- Myślisz, że nie potrafię utrzymać rodziny? To patrz. Hej! - Zawoławszy chłopaka, zanurzył dłoń w kieszeni i wyjął dziesięć monet, które  
237

zarobił rano. Odliczył jedną, dwie, trzy, cztery... pięć monet i zamasy-  
stym ruchem położył je na dłoni osłupiałego młodzika, który natychmiast  
padł do nóg swojemu dobroczyńcy.

- Wstawaj, wstawaj - zdenerwował się Maću, a potem, owładnięty  
nagłą myślą, dumnie uniósł głowę i zaczął nucić.

O przyjacielu, bądź błogosławiony i zechciej wysłuchać pieśni tej.

W głębi lasów, w samym sercu dziczy,

Przechadzał się zły tygrys, głodny całe noce i dnie.

Śpiewał tygrysią pieśń z wściekłym błyskiem w oczach, jakby wspo-  
minał coś, co bezpowrotnie odeszło. Barwa jego głosu nadawała słowom  
dzikie, nieskrępowane piękno, uciszając klientów knajpy. Po chwili, po-  
rażony absurdalnością sytuacji, Maću zaczął się śmiać. Przystanął tylko  
po to, by kiwnąć swojemu towarzyszowi na pożegnanie.

- Jeszcze zobaczysz. Zobaczysz! - zawołał, schodząc po schodach.

Mniej więcej miesiąc wcześniej zaczepił go jeden z żołnierzy, dla  
którego polował. Anglik powiedział, że armia szuka ludzi. Może Maću  
byłby zainteresowany. Wtedy od razu odrzucił propozycję. Wyjechać  
z Kodagu? Nigdy.

Teraz jednak zabrzmiało to całkiem sensownie. Maću wyprostował  
się, wysoko uniósł głowę i ruszył do miejscowego garnizonu.

Nawet kiedy arak przestał mu szumieć w głowie, Maću wiedział, że  
zaciągając się, podjął słuszną decyzję. Postąpił rozsądnie.

- Zacznę od początku -. powiedział pod nosem, wiążąc bryczesy. -  
Zacznę od początku.

Mimo to ciężko było wyjeżdżać, a zwłaszcza pożegnać się z synem.

Appu spojrział na niego pytającym wzrokiem dwulatka.

- Kiedy wrócisz?

- Niedługo, monae, obiecuję.

Przytulił syna do piersi.

- Opiekuj się matką - nakazał. - Będziesz się o nią troszczył, dopóki  
nie wrócę, dobrze?

Appu z powagą pokiwał głową.

- Kiedy wrócisz, chcę dostać zabawki. Mnóstwo zabawek.

Maću się uśmiechnął, w jego policzku mignął dołeczek. Złapał Appu  
w ramiona i huśtał go, dopóki malec nie pisnął z radości.

238

Spojrzał czule na żonę i pogłodził ją po głowie, kiedy przywarła do  
jego piersi i zapłakała.

- Już dobrze. Co to za niemądre zachowanie? Przecież niedługo wrócę.

Powiedz mi lepiej, jakiego koloru ma być to sari, które ci przywiozę.

Tamtego popołudnia Maću w milczeniu przekraczał granicę z Maj-  
surem razem z innymi rekrutami. Wziął głęboki oddech, nasycając  
płuca dzikimi zapachami mierzwy i zwierzyny, które kochał od dziecka.

Na niebie wisiały chmury, jego przodkowie tłoczyli się i przepychali,



żeby pożegnać potomka. Stado czapli cicho wzbiło się do lotu, ode-  
rwawszy się od jakiegoś tajemniczego wzgórza porośniętego ryżem.  
Maću patrzył ze ściśniętym gardłem, jak powoli i ospale suną nad  
kolumną.

Zostawiał za sobą wszystko, co kochał.

Ale nadszedł czas. Nadszedł czas, żeby zapomnieli o przeszłości.

Maću trafił do 20. Batalionu Lansjerów w Madrasie. Niespełna dwa ty-  
godnie później stał na baczność, patrząc prosto przed siebie, na ścianę.  
Była starannie pobielona wapnem, żeby lepiej wyeksponować wiszące  
na niej medale. Kwadratowe, gwiazdziste, okrągłe, owalne i prostokątne,  
wszystkie dumnie przypięte do aksamitu i rozłożone w szklanych gablo-  
tach. Żar równin przeciskał się przez otwarte okna i owijał wokół niego.  
Tamaryndowce na podwórzu stały całkowicie nieruchomo, a na ich ga-  
łęziach gwarki opadały z sił. W oddali nisko mrucało morze, objijając  
się o brzeg. Pot zbierał się wzdłuż kręgosłupa Maću pod koszulą koloru  
khaki i nieznośnie spływał po plecach.

- Więc jesteś uznanym myśliwym? - powiedział major Climo. - Za-  
biłeś tygrysa, używając jedynie noża?

Maću prawie zapomniał, jak mówi się w hindustani.

- Tak - odpowiedział beznamiętnym tonem.

- Mówi się „tak jest, sir”, żołnierzu.

- Tak jest... sir.

- W takim razie cieszymy się, że do nas dołączyłeś. - Major zdjął oku-  
lary i dmuchnąwszy po kolei na obydwie szkła, zaczął je polerować. - Masz  
zaszczyt służyć w 20. Batalionie Lansjerów. Jesteśmy dumnym batalionem  
sipajów, Maćaija. Jednym z najlepszych. - Wykonał gest w stronę ściany  
239

za swoimi plecami. - Sudan. Afryka Południowa. Kambodża. Widzisz te  
medale? Jest ich więcej. Nasi oficerowie i żołnierze zdobyli Krzyż Królo-  
wej Wiktorii, dwa Ordery Imperium Brytyjskiego i pięciokrotnie zostali  
wyróżnieni w rozkazie dziennym. Dokądkolwiek jechaliśmy, trzymaliśmy  
głowy wysoko i sialiśmy postrach w sercach wroga. Sabse accha. Dążymy  
do doskonałości, żołnierzu, do doskonałości. Jak myślisz, w jaki sposób  
osiągamy tak wyjątkowe wyniki? Dzięki dyscyplinie. Podczas wykony-  
wania wszystkich zadań, które wcale nie muszą przypaść nam do gustu.  
Widzisz tę ścianę, widzisz, jaka jest biała mimo morskiego powietrza?  
Jest bielona wapnem co niedziela. W każdą niedzielę, bez odwołania.  
Dyscyplina, żołnierzu.

Oczy Maću powędrowały ku olśniewającej bieli ściany, ale jego twarz  
nawet nie drgnęła. Major Climo ciągnął dalej.

- Do obowiązków żołnierza 20. Batalionu należy dbanie o oficera,  
któremu podlega. Musisz nosić mu wodę do kąpieli, ścielić wieczorem  
łóżko, rano przygotowywać ekwipunek i dbać, by jego buty i pas były  
w ypolerowane do połysku. Co więcej, będziesz czerpał z tego dumę,  
żołnierzu.

W brodzie Maću drgnął mięsień. Nie po to wstąpił do armii. Żołnierz  
powinien walczyć, prowadzić wojnę, żyć i umierać z dumnie uniesioną  
głową. Czy w szorowaniu cudzych butów była jakaś żołnierskość albo  
honor?

- Nie - odmówił tamtego ranka. - Nie jestem sługą.

Major Climo wezwał go do swojego gabinetu. Tam odłożył okulary i spojrzął na Maću.

- Więc jak? Mam cię posłać do paki za niesubordynację czy pójdiesz po rozum do głowy? No, żołnierzu. Jesteś lepszym mężczyzną, niż wskazywałaby ta małostkowość.

Maću nie odpowiedział.

- Zatem postanowione - rozchmurzył się major. - Przydzieliłem cię do porucznika Balmera. Powinieneś być dumny, że zostałeś jego ordynansem.

Maću stuknął obcasami, pobudzając wystraszone gwarki na tamaryndowcu do gwałtownego, zdyszanego trzepotania skrzydłami. Zsalutował oficerowi i wymaszerował z namiotu.

Słowa Climy zrobiły na nim wrażenie, ale nie było lekko. Dyscyplina, powtarzał sobie, dyscyplina. Jednak czasami, kiedy leżał rozbudzony

240  
w koszarach, upokorzenie wzbierało w nim jak wilgotna, gnijąca piana w leśnym leju. Pięści zaciskały się z niesmakiem. Jak nisko upadł. Pogromca tygrysa zdegradowany do sługusa.

Potem przypominał sobie, dlaczego tam jest. Pomyślał o żonie i o napiętych ramionach synka, kiedy machał mu na pożegnanie.

Przynajmniej porucznik Balmer był dobrym człowiekiem. Traktował Maću z ciekawą mieszanką szacunku i zwierzchnictwa, dostrzegając sztywną dumę starszego mężczyzny i postępując z godnością, która imponowała Maću wbrew jego woli. Pewnego razu Maću zapytał Balmera, ile ma lat, i ze zdumieniem pokręcił głową. Tylko dwadzieścia dwa? Ajappo swami!

Balmer się uśmiechnął.

- Dlaczego? Jestem niewiele młodszy od reszty tutejszych oficerów.

Maću pokręcił głową.

- Musi pan być naprawdę dobry, skoro w tak młodym wieku dowodzi pan tyloma mężczyznami.

Tamtej nocy Maću leżał i rozmyślał o poruczniku. Doszedł do wniosku, że wszystko sprowadza się do wykształcenia. „Spójrz na Dewanne, prawie został lekarzem. Lekarzem!” Maću ciągle pamiętał, jak wielkim szacunkiem jego krewniak cieszył się w rodzinie. Skrzywił się w ciemności. No tak, nawet Dewi wybrała... Dewi.

Umysł Maću nawiedziła nieproszona myśl. Leżeli na ziemi w leśnej altanie. Przed chwilą się kochali, patrzyła na niego błyszczącymi, roześmianymi oczami. Nagła bryza poruszyła drzewami złotokapu, strząsając garście płatków, które opadły na nich spiralnym lotem. Dewi usiadła i zafascynowana wyciągnęła rękę ku wirującej żółci. Płatki pokryły grubą warstwą jej włosy, uniesione czoło i wyciągnięte ręce, ześlizgiwały się po nagich piersiach, upodabniając ją do leśnego ducha, do istoty z innego świata, do figury bóstwa wyrzeźbionej z drewna. Odwróciła się do niego i powiedziała coś po angielsku.

- Co? - zapytał zdumiony Maću, a ona wesoło się roześmiała.

- To poezja - powiedziała. - Po angielsku. A hostoffgoldun daffadils.

Bardzo znany wiersz, powinieneś go recytować dla tych białych, dla których polujesz.

Zawstydził się swojej ignorancji i zamaskował to drwiną.

- Jak gdybyś znała angielski! Bełkoczesz coś bez sensu i myślisz, że uwierzę...

241

Ale ona miała zbyt dobry humor, żeby się na niego zdenerwować. Zebrała garście płatków z trawy i z kolan, a potem obrzuciła go nimi ze śmiechem.

Maću z wysiłkiem wrócił myślami do terażniejszości. „Dyscyplina - powtórzył - dyscyplina”. Leżał nieruchomo, próbując zapanować nad oddechem. Ajappo swami, kiedy to się skończy? Przesunął ręką po piersi. Nie widział jej już ponad dwa lata, a mimo to...

Siłą woli wrócił myślami do rozmowy z Balmerem i skupił się na żoździe rosnącym rupia po rupii. „Jeśli cokolwiek w życiu osiągnę - obiecał sobie - to dopilnuję, żeby Appu zdobył dobre wykształcenie. Może pewnego dnia - pomyślał - może pewnego dnia Appu też zostanie oficerem”.

Powoli, snując plany dla swojego syna i kolejnych dzieci, Maću zasnął. Tamtej nocy jego sny wypełniał deszcz płatków złotokapu, które lekko opadały na ziemię.

Wieczorem ciepły wiatr poruszał drzewami rosnącymi wzdłuż muru otaczającego podwórze do suszenia ziaren, strząsając z gałęzi płatki złotokapu. Płatki opadały na robotników ważących ziarna kawy, zabarwiając jutowe worki jaskrawą żółcią. Nadzorująca ważenie Dewi wyciągnęła dłoń w stronę opadających płatków. Uderzona nagłą myślą, przyjrzała się skórze na swoich rękach. Ależ się opaliła! Zaczęła spędzać na plantacji jeszcze więcej czasu i słońce nadało jej niegdyś porcelanowej skórze lekko oliwkowy odcień. Taji, appaija, Ćengappa anna - wszyscy powtarzali, że pracuje więcej, niż trzeba, ale oni nie rozumieli. Musiała być na plantacji, słońce czy deszcz. Inaczej leniwi robotnicy skorzystaliby z każdej okazji, żeby objąć się pod drzewami, paląc te swoje bidi.

Z zadowoleniem popatrzyła na rzędy worków wypełnione po brzegi kawą. W tym roku Iguthappa swami znowu był dla nich łaskawy. Zamierzała poprosić właściciela sklepu z materiałami w Madikeri, aby przysłał jej do domu wybór tkanin. Dewanna i Nandźu potrzebowali nowych koszul i spodni. Chciała też kupić koszule dla ojca i brata oraz parę sari dla taji. Nie mogła też zapomnieć o Tukrze i jego żonie. W tym roku okazali się niezastąpieni. „Koszula dla Tukry - pomyślała - i sari dla jego żony”.

- Hej! - krzyknęła na jednego z mężczyzn. - Zwiąż ten worek jak trzeba, bo w przeciwnym razie wysypie się całe ziarno. Czy wszystko

242

muszę robić sama? - Kręcąc głową, podeszła do robotnika i pokazała mu, jak należy zawiązać worek.

Kilka miesięcy później, po sprzedaniu plonów, dowiedziała się o dwóch innych plantacjach wystawionych na sprzedaż.

- Myślę o tym, żeby je kupić - powiedziała Dewannie. Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie. - To kawałek drogi stąd, ale damy radę. Dewanna pokiwał głową. Kiedy pojechali załatwić formalności, zarejestrował plantacje na nazwisko Dewi. Nie dała mu odczuć, że to zauważyła, ale przez całą podróż powrotną mocno ścisnęła dokument w dłoni.

Po tym zakupie i za sprawą znacznej poprawy ich sytuacji mate-

rialnej, pozycja społeczna Dewi wyraźnie się zmieniła. Zaproszenia na śluby, ceremonie nadawania imion i wprowadzania się do nowych domów, których przez kilka ostatnich lat prawie w ogóle nie dostawała, zaczęły płynąć wartkim strumieniem. Większość z nich odrzucała. Od dnia pogrzebu najaka nie odwiedzała nawet wioski Kambejmadów. Gdy w grudniu nastął czas Puthari, cicho powiedziała Dewannie, że powinien pojechać sam.

- Czujesz się wystarczająco dobrze - zauważyła. - Tukra ci pomoże. Weź Nandzu i jedźcie.

Na nią nic już tam nie czekało.

Nie pamiętała już wyraźnie twarzy Maću. Przyplływała do jej pamięci i odpływała z niej jak cienie rzucane przez popołudniowe słońce. Czasami, kiedy tęsknota była wyjątkowo dotkliwa, bezceremonialnie pytała o Kambejmadów. Czy wszystko u nich w porządku? Miała na głowie tyle akrów kawy, że nie było czasu na odwiedzin. Czasami pośród masy bezużytecznych wieści zdarzała się cenna informacja o Maću.

Podobno zaciągnął się do armii. Kilka tygodni stacjonował w koszarach w Madikeri, a potem został przeniesiony poza granice Kodagu. Jedni mówili, że do Madrasu, drudzy, że do Majsuru. Dewi zbierała każdą najmniejszą wieść, analizowała ją starannie pod każdym kątem, pochylona nad krzewem kawowca. Próbowała go sobie wyobrazić w gorącym, płaskim Madrasie. „Ależ musisz tęsknić za tymi wzgórzami”, myślała. Wiedziała, że morze oplukujące wybrzeże Madrasu będzie dla niego marnym pocieszeniem.

Tamtego lata widziała go w Madikeri. Najpierw zauważyła dziecko, które stało samotnie w cieniu sklepu z amunicją. Jedno spojrzenie i od razu wiedziała. Na chwilę zabrakło jej tchu. Te same złotobrazowe oczy, 243

identyczny dołeczek. Miniaturowy Maću. Przykucnęła przed chłopcem, nie dbając o to, że do sari przylepi się kurz.

- Jak masz na imię, monae?

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, bez cienia strachu i tej nieśmiałości, jaką okazałoby jej własne dziecko.

- Appu.

Z wysiłkiem pokiwała głową, powstrzymując się od zmierzwienia mu włosów.

- Powiedz mi, Appu Kambejmada, z kim tutaj jesteś?

- Z appają.

Dewi przełknęła ślinę.

- Z twoim ojcem? Naprawdę, kunji? Gdzie on jest? W sklepie? - Najwidoczniej Maću dostał przepustkę. - Dawno... dawno tam wszedł?

- Tak. Nie... nie wiem... - odpowiedział Appu, tracąc zainteresowanie. Nagle do głowy przyszła mu pewna myśl. - Masz zabawki? - zapytał.

Na ustach Dewi zadrgał uśmiech. Sięgnęła za bluzkę. Wyjęła plik rupii i wcisnęła mu do rączki dziesięciorupiowy banknot.

- Nie mam zabawek. Ale trzymaj, to dla ciebie. Powiedz ojcu, żeby ci kupił mnóstwo zabawek, dobrze?

Pospiesznie się wyprostowała, żeby dziecko nie dostrzegło łez w jej oczach, a potem przeszła na drugą stronę ulicy. Stała przed witryną sklepową, udając zauroczenie wyłożonymi za szybą czepkami. Zauważy

ją? Przejdzie na drugą stronę ulicy, żeby z nią porozmawiać? Jej włosy... Musi... Pospiesznie wsunęła pukle włosów z powrotem w warkocz, obserwując w szybie wychodzącego ze sklepu Maću, który wkładał do kieszeni pudełko grubego śrutu. Ze zdumieniem spojrzął na pieniądze w ręczce chłopca, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu tajemniczej dobrodziejki. Dewi wpadła do sklepu z łomoczącym sercem.

- Słucham? - zapytała zdumiona właścicielka, patrząc na postać odzianą w sari. - Interesują panią czepki?

- Nie... nie, ja tylko... - ze wzrokiem utkwionym w szybie patrzyła, jak Maću idzie ulicą i znika jej z oczu.

1908

Pół roku później, po tym jak pantera porwała ulubionego kota Clary Anderson, wielebny Gundert, ogarnięty na wskroś niezycziwą aurą poirytowania, patrzył, jak owa dama zmierza w jego stronę. Doprawdy, cóż jeszcze mógł powiedzieć tej kobiecie? Oczywiście musiała przeżyć ogromny szok. Brutalnie obudzona w środku nocy przez swojego wrzeszczącego pupila wyszła na werandę z lampą w jednej dłoni, ze szczotką do włosów w drugiej i z niezłomnym postanowieniem zemsty, a ku swojemu przerażeniu ujrzła kota, który właśnie zniknął w szczękach znacznie większego kuzyna. Nieszczęsna dama stała tam jak sparaliżowana, a pantera, rzuciwszy jedno spojrzenie na lampę, przeskoczyła przez murek i zniknęła w mroku wraz ze swoją ofiarą.

Kobieta naturalnie wpadła w rozpacz i w najbliższą niedzielę Gundert specjalnie poszedł do niej po nabożeństwie, by złożyć wyrazy współczucia. Ze łzami w oczach pokiwała głową, wykręcając i skubiąc chusteczkę, i tak bardzo starała się trzymać fason, że z wysiłku aż poczerwieniał jej nos. Gundertowi zrobiło się jej żal. Ale minęły już dwa tygodnie, więc cóż jeszcze mógł zrobić?

Mimo to Andersonowie byli dobrymi ludźmi. Nadając swej twarzy odpowiednią powagę, Gundert poszedł ich powitać.

- Słucham? - zdziwiła się pani Anderson w odpowiedzi na jego pytanie. - Och, nie, nie, wielebny, to nie Socks zaprzęta mi dzisiaj myśli, chociaż... .. - jej nos znowu poczerwieniał - chociaż nie było dnia, w którym

245

bym go nie opłakiwała. Niepokoją mnie jednak inne sprawy. Mój brat James został wezwany do Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej. - Zerknęła na męża, który stał u jej boku ze stoickim spokojem. - Oczywiście mamy nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży, ale mimo to nie możemy przestać się martwić, że... - zamilkła.

- Afgańczycy - zwięźle wyjaśnił jej mąż. - Sprawa jest jeszcze raczej poufna, ale z tego, co słyszałem w garnizonie, napadnięto na oficera sił przygranicznych. Na lokalnym bazarze. A w ubiegłym tygodniu próbowano przypuścić atak na skład amunicji. Oczywiście napastnikom się nie udało, ale cóż z tego. - Pokręcił głową. - A przecież od przeszło dziesięciu lat mieliśmy tu spokój.

Po okresie względnego spokoju buntownicy rzeczywiście zaczęli się uaktywniać wzdłuż najdalszych odcinków Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej. Z pozoru były to niepowiązane ze sobą incydenty, do których dochodziło tu i tam, lecz już raz, podczas wojen przygranicznych

w 1896 roku, spalono siedzibę brytyjskiego rządu. Wówczas w regionie pojawił się pewien zaciekły duchowny. Szalony Mułła, jak nazwała go europejska prasa, wygłaszał na bazarach porywające i wichrzycielskie kazania. Beształ emerytów anglo-indyjskiej armii, kiedy zachwycali się zasięgiem Imperium i jego wewnętrznym kodeksem honorowym, gwarantującym comiesięczny dopływ emerytury. Szalony Mułła warczał na nich, mówiąc, żeby nie byli ślepi.

- Płynie w was krew królów i potężnych wojowników - przypominał im. Wspominał starożytne imperium, znacznie potężniejsze niż to. Imperium, które rządziło połową ziemi, mnożąc swoich królów od Bagdadu po Delhi. Przypominał o czasach, w których islam, wolny i dumny, słuchał wołania Proroka. W których szerzył się na korytarzach najbogatszych pałaców i zajmował najwyższe szczeble władzy. W których gardziłby takim życiem, jakie wiódł teraz, zmuszony przez to harami Imperium, którym tak się zachwycali, do zaszcucia się w górskich jaskiniach i rudrach z gliny.

Afgańczycy zebrali się wokół Szalonego Mułły, a jego słowa poruszyły strunę głęboko zakopaną w pamięci. Racja, przecież zostali ograbieni! Odmówiono im należnego szacunku, Anglicy podstępem odebrali im prawowite miejsce na tym świecie. Z płonąącym sercem modlili się do Al-lacha, żeby postawił niewiernego w zasięgu ich prymitywnych karabinów Martini-Henry, aby mogli oddać strzał w odwecie za liczne upokorzenia, jakie spadły na islam.

246

- Nie - powstrzymał ich mułła - po co nadstawiać karku? - Zaoferował, że sam się tym zajmie. Czyż Prorok nie oddał pod jego rozkazy hord dzinnów i aniołów zemsty, by osiągnęli ten właśnie cel? Już teraz tłoczyły się w cieniach gór i nad brzegami szepczących jezior, czekając, aż da im sygnał, by rzucić się na brytyjskie siły.

Członkowie plemienia rozważyli tę informację. Jak mogli przegrać, mając po swojej stronie święte moce? Domagali się, by mułła zechciał skorzystać z ich wsparcia i Szalony Mułła ustąpił, choć wyraźnie pokazał, że robi to z wielką niechęcią. Pod jego dowództwem buntownicy przypuścili szereg krwawych ataków na obozy wojskowe w regionie.

Imperium dało się zaskoczyć. Zanim tryby rządowej maszyny zaczęły się poruszać wystarczająco szybko, by przysłać odpowiednie wsparcie, poświęcono blisko trzydziestu oficerów oraz dwustu pięćdziesięciu żołnierzy rekrutowanych spośród rdzennych mieszkańców.

Od tamtego czasu rząd był nieufny wobec Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej. Postanowił tłumić najmniejsze niepokoje społeczne, by wśród Afgańczyków znowu nie wybuchło zbiorowe poruszenie, które rozprzestrzeni się w całym regionie i wybuchnie Imperium prosto w twarz. Telegrafy z trzaskiem płynęły do każdego zakątka administracji, niosąc wieści o aktualnych niepokojach. Wszystkie oddziały, jakie można było poświęcić, zostały zaprzęgnięte do umacniania granicy.

Kiedy 20. Batalion Lansjerów otrzymał rozkaz przeniesienia się na północny zachód, natychmiast wyruszył w długą podróż. Maću odczuł ulgę. Wreszcie mógł opuścić grząski, duszny Madras i nieustanny szum morza. Pojechali pociągiem do Rawalpindi, stamtąd do garnizonu w Nowszerze, a następnie zaczęli marsz lądem do obozu w Chikdarze.

Górskie powietrze. To ono jako pierwsze zwróciło uwagę Maću. Było rześkie i zimne jak powietrze, które czasami zaszczycało swoją obecnością szczyt Bhagamandali po deszczu. Gwałtownie wciągnął je w płuca i rozejrzał się. Ale te góry... Nigdy nie widział czegoś podobnego. Legendarny Hindukusz, tron pradawnego Królestwa Kuszanów. Pierścień za pierścieniem, przykurzone brzozy i wypłowiałe zielenie, złowrogo wysokie i zwieńczone w oddali lśnącymi, lodowymi szczytami. W porównaniu z nimi nawet jego ukochane Ghaty Zachodnie kurczyły się do wielkości mrowisk.

247

Lansjerzy maszerowali przez dolinę otoczoną poszarpanymi, rozłupanymi wierzchołkami. Linie horyzontu przełamywały ostro zakończone granie i głębokie, złowrogie szczeliny lodowe. Deszcz wyłobił głębokie rowy w stokach gór, odsłaniając żyły czarnej lawy przypominające ślady łoż. Żołnierzy otaczała pierwotna cisza, przeszywana co jakiś czas lamentem orłów nad ich głowami.

Batalion parł naprzód miarowym krokiem, omijając nieliczne wioski, które urozmaicały krajobraz. Wioski były niezwykle proste, kilka chat skupionych razem i zapędzone do tyłu bydło, oraz grubo ciosane wieżyczki domu miejscowego chana. Za to natura przywdziała najpiękniejsze kolory. Gleba w dolinie była nadzwyczaj żyzna, dokarmiana co roku mułem zmywanym ze stoków gór. Maki, lilie i kępy pierwiosnków kołysały się w szorstkiej trawie. Otoczone torfem jeziora połyskiwały od ryb, a na drzewach dyndały rubinowe granaty. Miejscowi ostrożnie omijali żołnierzy z daleka, nie licząc kilkorga rumianych dzieci, które zerkały na nich zza skał.

Mimo ostrzegawczej mobilizacji i złych przeczuć pani Anderson kilka następnych miesięcy w Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej upłynęło spokojnie. W bazie w Chikdarze było wyjątkowo bezpiecznie. Mężczyźni, a wśród nich Maću, oddali się monotonnej rutynie wart i ćwiczeń polowych. Codziennie rano sumiennie wyruszali na zwiady i sporządzali raporty, a wieczorem popijali trunki w kantynie oficerskiej, zagryzając kotletami mielonymi z lokalnej baraniny i tabliczkami czekolady przysyłanymi przez rodziny w Anglii.

Oficerowie złożyli prośbę o zezwolenie na odwiedziny żon i zezwolenie zostało udzielone. Żona pułkownika z typowym dla siebie zaangażowaniem od razu przystąpiła do organizowania w obozie niedzielnego bazaru, na którym okoliczni mieszkańcy mogli sprzedawać swoje towary. Rozgrywano mecze polo pod niebem błękitnym jak skrzydła zimorodka, a w cieniu platanów wschodnich odbywały się niedzielne pikniki.

- Te drzewa są takie ładne, naprawdę. Myślicie, że to wschodni kuzyni platanów porastających esplanady Londynu i Paryża?

Nawet Afgańczycy wyglądali na odprężonych i przyzwyczaili się do obecności batalionu. Mężczyźni byli uprzejmi zwłaszcza dla rdzennych żołnierzy, pozdrawiając ich ze szczerym uśmiechem i machając na powitanie. Większość z nich znała podstawy hindustani. W końcu obydwaj kraje wiele ze sobą łączyło.

248

Pewnego wieczoru Maću przechadzał się po bazarze - po tym prawdziwym, rozległym, mieszczącym się w plemiennej osadzie poza woj-

skowym obozem, a nie wśród sterylnych straganów wznoszonych co tydzień w jego murach. Tutaj kurczaki drapały drewniane skrzynki, a kozy patrzyły oczami wielkimi jak spodki na przyszłych właścicieli, którzy ciągnęli je za rogi i szczypali w szyje, żeby sprawdzić grubość warstwy tłuszczu. Dzień był niezwykle ciepły, upał wydobywał z obór pierwotną, odpychającą woń. Widok bydła z nagłym, bolesnym ukluciem przypomniał mu o Kodagu. Przed wyjazdem kupił kilka kurcząt. Miał nadzieję, że wyrosły już z nich dobre nioski. Może tym razem po powrocie do domu kupi krowę.

Dotarł do stoiska sprzedawcy dywanów, które leżały zwinięte na drewnianej podłodze i stały w kątach.

- Zapraszam! - zawołał sprzedawca - niech pan spojrz na ten albo na tamten. - Rozwinął dywany na pylistej ziemi. Maću się roześmiał i otarł pot z czoła.

- Nie - powiedział, kręcąc głową. - Ja tylko oglądam.

Poszedł dalej, minął sprzedawcę herbaty i podszedł do stoiska z drewnianymi zabawkami. Podniósł konika, poobracał go w dłoniach. Zastanawiał się, czy spodobałby się Appu.

Sklepikarz obserwował go z głębi stoiska, wachlując się.

- Zapraszam do środka! - zawołał. - Tu jest za gorąco, zapraszam do środka.

Maću się zawahał, próbując przywyknąć do panującej w środku ciemności. Trudno było powiedzieć, kto jeszcze tam jest. Wszyscy żołnierze dostali wyraźne instrukcje.

Nie narażać się na niebezpieczeństwo.

Nie wchodzić w sytuacje, których nie można kontrolować.

Maću domyślił się, że na właśnie takim bazarze jak ten zastawiono zasadzkę na oficera, która wywołała alarm w całym Imperium.

- Za gorąco - powtórzył sprzedawca.

Rewolwer uspokajająco ciążył na biodrze. Maću zanurkował pod markizę i wszedł do sklepu, ściskając w dłoniach drewnianego konika. W środku było jeszcze więcej zabawek i ładne bluzki podobne do tych noszonych przez miejscowe kobiety.

- Kupi pan jedną? - zapytał sprzedawca, podsuwając Maću stertę bluzek. - Kobieta się ucieszy.

249

Zza kotary odgradzającej zaplecze sklepu wydobywał się smakowity zapach i zakłopotany Maću usłyszał głośne burczenie w swoim brzuchu. Sprzedawca się roześmiał. Jego oczy prawie zniknęły w mocno pomarszczonych policzkach. Odwrócił głowę i zawołał coś do osoby na zapleczu. Po chwili zza zasłony wynurzyła się delikatna dłoń z parującym talerzem. Maću spojrzał tęsknym wzrokiem na pieczywo nan i kebaby jagnięce, a potem pokręcił głową. Nie wypada.

- Co? Nie, musi pan.

Maću nie chciał obrazić staruszka, ale była to przecież strawa maho-metańska. Jeszcze raz z zalem pokręcił głową i sprzedawca westchnął.

- Skąd pan pochodzi? Z której części Hindustanu?

- Z południa. Z gór.

- Bardzo daleko od domu, rozumiem. No cóż, proszę usiąść. Porozmawiajmy chwilę, nawet jeśli nie chce pan z nami jeść.



Maću znowu się zawahał, ale sklepikarz już odsuwał bele dywanów, robiąc miejsce dla małego taboretu.

- Tytoniu?

Maću pokiwał głową i wciągnął dym z fajki wodnej. Otworzył usta, pozwalając, by dym leniwie uleciał z płuc.

- Byłem w Hindustanie. Wiele razy. Ostatnio nie, moje nogi są już zmęczone, ale dawniej owszem. Macie tam wspaniałe miasta, nie? Dilli. Cóż za klejnot. I Bombaj. Wspaniała darija! Siedziałem na skałach i godzinami patrzyłem na wodę. Czy pana dom jest niedaleko Bombaju?

Maću pokręcił głową.

- Nie. Znacznie dalej na południe. Ale pamiętam, że jako chłopiec widywałem u nas pańskich ziomków. Przyjeżdżali sprzedawać konie.

- Ach, nasze konie. Koran nazywa je El Kheir - sprzedawca zaciągnął się dymem. - El Kheir, największe błogosławieństwo. Podobno zanim Allach stworzył człowieka z ziemi, najpierw stworzył konia z wiatru. - Wykonał dłonią zamaszysty gest. - „Zagęść się”, rozkazał Allach południowemu wiatrowi. „Chcę powołać do życia stworzenie z twojej istoty”. Wiatr zgęstniał i Allach stworzył z niego wspaniałego konia! „Będiesz najwspanialszym spośród zwierząt”, powiedział Allach do swojego dzieła. „Tylko ty będziesz umiał latać bez skrzydeł. Błogosławieństwa całego świata spoczną między twoimi oczami, a zwycięstwo na zawsze będzie wplecione w twoją grzywę”. - Starzec się uśmiechnął. - W mojej wiosce są piękne konie.

250

- Gdzie jest pańska wioska? Z którego pochodzi pan plemienia? - zapytał Maću.

- To mała wieś, kilka mil stąd. - Machnął ręką. - W tamtą stronę, między górami.

Maću wiedział, że Pasztunowie tworzą wiele plemion.

- Nic z tego nie będzie - twierdził porucznik Balmer. - Tych plemion jest tyle, że nie trzeba wiele, by sojusze się rozpadły. A jak ty uważasz, sipaju? - zwrócił się do Maću, który właśnie przygotowywał mu kąpiel. - Mam rację? Plemiona są podzielone tyloma wewnętrznymi konfliktami, że wystarczy najmniejszy nacisk ze strony naszych sił, żeby je rozpędzić.

Maću zawahał się, ostrożnie dobierając słowa.

- Tam, skąd pochodzę - powiedział w końcu - dawniej między klanami także dochodziło do licznych sporów. Ale gdy atakowały maho-metańskie wojska z Majsuru, zawsze stawaliśmy ramię w ramię. Wojna, przymusowe obrzezania, uprowadzenia, masowe egzekucje... sułtani z Majsuru nie wahali się przed niczym, próbując złamać naszego ducha i nasze szyki. Ale jeszcze bardziej nas tym jednoczyli. Odpieraliśmy ich armie rok po roku, przez wojny trwające całe pokolenia.

Zaspany Balmer ziewnął.

- Oni się nie zjednoczą - powtórzył. - Zapamiętaj moje słowa. Dwaj współplemieńcy mogą ucisnąć sobie dłonie i spojrzeć głęboko w oczy a następnego dnia wieczorem zapragną porąbać się na kawałki. - Pokręcił głową, rozpinając koszulę. - Nie wytrzymają zbyt długo jako sojusznicy - powtórzył.

Maću nic więcej nie powiedział.

- U nas też są klany - oznajmił sprzedawcy zabawek. - W dawnych czasach często ze sobą walczyły.

- A teraz? Zawsze panuje między nimi zgoda?

Maću się roześmiał.

- Przeważnie tak. Teraz używamy strzelb do polowania. Ale od czasu

do czasu wybuchają spory, których nie można rozstrzygnąć inaczej... -

Wzruszył ramionami, spojrzął na konika, którego nadal trzymał w rękach i pogładził kciukiem jego jaskrawoczerwoną powłokę. - Ile kosztuje?

Starzec był jednak zainteresowany dalszą rozmową.

- Spory? Z jakiego powodu?

- Chodzi o honor. Czasami o kobietę. O ziemię.

Usta Afgańczyka rozchyliły się w zaraźliwym, szczerbatym uśmiechu.

251

- O ziemię! Wie pan, w jaki sposób rozstrzygamy spory o ziemię w tej części świata?

Sprzedawca wyjaśnił Maću, że starszyzna wioski nakazuje obydwu pretendentom przejść się po spornej ziemi. Obaj dostają do ręki Koran, by idąc, przysięgali na świętą księgę, że ziemia, po której kroczą, należy do nich i do nikogo więcej. Uzurpator zawsze wsypuje do butów odrobinę ziemi z własnego pola. Dzięki temu może spokojnie iść po polu sąsiada, gorliwie przysięgając, że stawia stopy na własnej ziemi.

Maću się roześmiał i uderzył dłonią w kolano.

Sprzedawca z szerokim uśmiechem obserwował go spod przymrużonych powiek, zza kłębu dymu z fajki wodnej.

- Jako że obie strony doskonale znają tę praktykę - dodał - zazwyczaj spór kończy się porządną bijatyką.

Maću znowu się roześmiał i pokiwał głową.

- A skoro mowa o porządnej bijatyce. Myśli pan, że już niebawem dojdzie do porządnej bijatyki także w tych górach?

Sprzedawca westchnął.

- Któż może to wiedzieć? Przywódcy mówią wiele rzeczy, jednego dnia to, a drugiego coś zupełnie innego. W dawnych czasach, gdy w moim ciele płynęła jeszcze gorąca krew, sam stanąlbym do walki. Ale teraz... Gdy człowiek się napatrzy na żałobę, walka zaczyna tracić swój blask. Honor, raj... takie rzeczy są dobre dla młodych. Starość ma mniejsze wymagania.

Chciałbym ujrzeć jeszcze kilka poranków. Zobaczyć się z rodziną w wiosce. I raz, jeszcze tylko jeden raz, ujrzeć przed śmiercią dariję w Bombaju. -

Starzec posmutniał. - Siedziałbym godzinami na skałach i patrzył na wodę.

Ten błękit, jak niebo rozsmarowane na ziemi. Można by go przemierzać

przez dziesięć żyć, a mimo to nie znaleźć drugiego brzegu. - Pokręcił głową. - Prosty ze mnie człowiek, co? Zwykły sprzedawca u kresu żywota.

Nie wiem, w którą stronę zawieje wiatr. Mogę tylko sprzedawać swój towar i mieć nadzieję, że Allah odłożył dla mnie jeszcze kilka poranków.

Maću spojrzął na zabawkę w swoich rękach.

- Ten koń - powiedział wreszcie, pokazując go sprzedawcy. - Ile pan za niego chce?

Starzec lekko się uśmiechnął.

- Nic. Jest pan moim gościem. Proszę go dać dziecku wraz z błogosławieństwem.

- Ubijmy interes - zaproponował Maću. - Wezmę konika, bluzkę, tę czerwono-niebieską, dla żony, i tę kurtkę dla mojego synka. Za nie jednak 252

zapłacę. - Przysunął talerz z jedzeniem, który cały czas leżał przed nim nietknięty. - Będę zaszczycony, mogąc zjeść z panem posiłek. - Owinął kebaby w ciepły nan i zaczął jeść.

Dni były coraz gorętsze i wiosna rozplynęła się w rozkołysanym, prażącym lecie. Słońce wypalało kwiaty na łądych, a krajobraz nabrał wyblakłego, smętnego wyglądu, przełamwanego motylami o cieniutkich skrzydełkach, których kolory połyskiwały w słońcu niczym plamki przezrzystego metalu. Na granicy nadal panował spokój.

Maću dostał roczną przepustkę. Ruszył z powrotem do Kodagu, niosąc prezenty zakupione na bazarze i dwie tabliczki stopionej, ale cennej czekolady Cadbury, które porucznik Balmer przesyłał dla Appu.

Przystanął na chwilę przy wjeździe do Kodagu, zdjął koszulę i wyjął z torby kupię, wymieniając uprzejmości z żołnierzami pełniącymi wartę na posterunku, którzy zebrali się wokół, żeby go powitać. Mężczyźni przekazali mu wieści z ostatniego roku - ryż dał dobre plony, ceny kawy też poszły w górę. W wiosce Makkandur urodziło się sześcioro dzieci, a dzik zmasakrował dwóch myśliwych podczas polowania.

- Uważaj na słońce - ostrzegli go. - Po tej stronie lasu grasuje stado.

Nie dalej jak dwa dni temu widzieliśmy słońca idącego w tę stronę. Myśleliśmy, że to jakiś wielki głaz, lecz potem zauważyliśmy, że to słoń, który przysiadł na zadzie i zjeżdża z góry.

Słuchał szczęśliwy, a jego serce radowało się, gdy czuł intensywną, rzeczną woń ziemi tej krainy. Tutaj też zawitało lato, lecz zaciekłość słońca łagodniała pod leśną pokrywą, która rozpraszała jego żar. Maću spojrział na niebo. Było czyste jak woda w jeziorze, poplamione na brzegach lekkimi strumieniami bieli. Przodkowie przybyli, aby go powitać. W jego wnętrzu coś drgnęło i jakaś część znów spoczęła na właściwym miejscu, kiedy zarzucił plecak na ramiona i szybkim krokiem ruszył w stronę domu.

Następne tygodnie upływały w atmosferze niezmałonej radości. Maću nie mógł się nadziwić, jak bardzo jego syn urósł w ciągu roku.

- Wygląda dokładnie jak ja - szepnął do żony, kiedy stali i patrzyli na śpiącego Appu.

Cichutko się roześmiała.

253

- Ma nawet dołeczek w policzku. Uwielbia sport. Wygrywa wszystkie zawody w wiosce, pokonując nawet znacznie większych chłopców.

Patrzyła na Maću, który trochę bardziej rozchylił kołnierz kurtki synka, by chłopiec mógł swobodniej oddychać. Dziecko uparło się, żeby bez przerwy nosić prezent od ojca. Na początku matka go strofowała. Czy nie widzi, że kurtka się brudzi? Zainterweniował Maću.

- To nic - powiedział. - Następnym razem przyniosę drugą.

- On bardzo za tobą tęskni - powiedziała, kiedy tak stali nad łóżczkiem. Po twarzy Maću przemknął cień, kiedy odgarniał włosy z czoła Appu.

- Niełatwo być tak daleko od domu. Ale jak trzeba, to trzeba.

- Tak... A słyszałeś o tej kobiecie?

Maću spojrział na nią gwałtownie, ale głos miał opanowany.

- O jakiej kobiecie?

- A jak myślisz? O Dewi. Podobno w tym roku też zebrała wyjątkowo dobre plony. Słyszałam o niej najprzeróżniejsze rzeczy. Że wezwała tantrycznych czarowników z Kerali, którzy zakopali w ziemi magiczne talizmany. Że musiała za to zapłacić, wyrzekając się następnych dzieci, i dlatego ma tylko jednego chłopca.

Maću się roześmiał.

- Daj spokój. Ludzie plotą trzy po trzy, to wszystko.

- Niektórzy twierdzą, że śpi z białymi i dlatego dostaje takie wysokie ceny.

- Nie gadaj bzdur - uciął szorstko. - Ciężko pracowała i się opłaciło.

Usta jego żony zadrżały.

- Tak, bierz jej stronę, czemu nie. Po prostu powtarzam ci to, co mówią ludzie. Czy inni nie pracują? Dlaczego nie zbierają tak dobrych plonów jak ona? Ale kimże ja dla ciebie jestem, jedynie żoną...

Maću pojednawczo objął ją w pasie i przysunął do siebie.

- Dość, kobieto. Dlaczego tracimy czas, skoro możemy robić coś innego? - Szeroko się uśmiechnął. - Ciągłe mówisz o dzieciach. Może teraz nad nimi popracujemy?

Tamtej nocy leżał w łóżku i wpatrywał się w gwiazdy, czując na piersi ciężkie ciało żony.

- Więc mówisz, że dobrze jej idzie?

- Komu?

- Dewi... dobrze jej idzie? Co mówią ludzie?

Żona odwróciła się i spojrzała na niego.

254

- Ma teraz trzy plantacje. Trzy! - Urwała, próbując odczytać w półmroku wyraz jego twarzy. - A wszystko - dodała - zaczęło się od tamtych pierwszych stu akrów.

Maću nie powiedział nic więcej, ale trzy dni później, kiedy wracał z Madikeri, gdzie kupił pićekathi dla porucznika Balmera, poddał się impulsowi i skierował konia na zachód. Drzewa gulmohar właśnie kwitły, eksplodując wzdłuż pylistej drogi olśniewającym strumieniem czerwieni i żółci.

Galopujący Maću prawie ich nie zauważył. „Moja wizyta na plantacji nie ma nic wspólnego z nią”, zapewniał sam siebie. Przejedzie tamtędy i tylko rzuci okiem. Chyba miał prawo do odrobiny ciekawości?

Najprawdopodobniej nawet jej tam nie będzie, pomyślał, popędzając wierzchowca.

Zatrzymał się przy wjeździe, poklepał konia po szyi i spojrział na plantację. Zainstalowano nową bramę, która zastąpiła zwyczajne bambusowe listwy sprzed lat. Była wysoka, ładnie rzeźbiona i najwidoczniej droga. Wyciągnął rękę w stronę sztachet i brama ustąpiła pod naciskiem jego dłoni, lekko się otwierając. Koń potrząsnął grzywą, z niecierpliwością czekając na drogę powrotną, a Maću pogłodził go po boku.

- Hej, El Kheir - mruknął z przekąsem. - Może masz dobre oczy i zwycięstwo wplecione w grzywę, ale przydałaby ci się także odrobina cierpliwości w kopytach.

Pogłodził zwierzę po czole, uspokajając je, i nagle sam się zaniepokoił.

Na plantacji było cicho i wydawała się pusta, nie licząc niskiego bzy-  
czenia ważek. Rzędy starannie przystrzyżonych krzewów kawy błyszcząły  
w cieniu głęboką, połyskliwą zielenią, znikając w oddali. Maću zsiadł  
z konia, przywiązał wodze do bramy i wszedł do środka. Zauważył, że  
drzewa rosną tam znacznie gęściej niż na innych plantacjach, co jednak  
wydawało się zabiegiem celowym, a nie wynikiem zaniedbania. Ścieżka  
była dokładnie przystrzyżona, a gleba wokół kawowców ogołocona  
z chwastów. Wykonała dobrą robotę. Ruszył dalej, wchodząc głębiej  
w zimną, cichą plantację.

Dostrzegł Tukrę, na chwilę zanim Poleja zauważył jego.

- Kto tam?! - zawołał groźnie Tukra. Rozpoznawszy Maću, opuścił  
bambusową pałkę, którą przed chwilą wymachiwał. - Zaszła pomyłka,  
anna - powiedział z ulgą. - Nie widziałem wyraźnie.

255

- Nic się nie stało - odpowiedział Maću życzliwym tonem. - Moja  
żona twierdzi, że zbrązowiałem jak kora drzewa i trudno mnie poznać.  
Właśnie przejeżdżałem i pomyślałem, że... - Odchrząknął. - Jesteś tu  
sam? - zapytał beztrąsko.

Tukra pokiwał głową i ponuro wbił wzrok w ziemię.

- Aha - powiedział Maću i nie wiedząc czemu, poczuł rozczerowa-  
nie. - No cóż, nieważne, rozejrzę się i jadę.

- Nie powinno cię tu być, anna - wypalił Tukra. - On... Dewanna  
anna... to nie w porządku.

Maću odwrócił się i zmroził go spojrzeniem.

- Co powiedziałaś?

Tukra mimowolnie zrobił krok w tył.

- Nic, nic... nie powinienes tu przyjeżdżać, anna! - Słowa bezładnie  
wypadały mu z ust, odbijając się od siebie w zalęknionym głosie. - To  
ziemia Dewanny anny. Dewi akki i ty... Wiem, że wy dwoje...

Maću z kamienną twarzą zbliżył się do Tukry. Przysunął lufę strzelby  
do brody Polei i uniósł jego twarz.

- Wiesz, co mogę z tobą zrobić, Polejo? Mógłbym cię od razu zastrzelić  
za tę bezczelność i całe Kodagu biłoby mi brawo. Jeśli jeszcze kiedyś, kie-  
dykolwiek, odważysz się niewłaściwie mówić o swojej pani, nie zawaham  
się tego zrobić. Zrozumiałaś?

Tukra skulił się, ogarnięty paniką.

- Zaszła pomyłka, anna, wielka pomyłka z winy Tukry. Padam ci do  
nóg... Dewi akka... ona prawie nie rozmawia z Dewanną anną... Ja też  
mam żonę, moja żona gada aż za dużo, była kiedyś sprzedawczynią ryb,  
a teraz gada, gada i gada, ale czy Dewi akka nie powinna przynajmniej  
czasami odezwać się do Dewanny anny? Dewi akka... Jako chłopiec  
tańczyłem dla niej w trawie, w Madikeri nie ma na to miejsca, ale  
jestem drogi jej sercu, wiem o tym. Przecież to właśnie mnie chciała  
za tobą wysłać, nikogo innego, tylko mnie, żebym cię znalazł przed  
ślubem. Oczywiście, że możesz pospacerować po plantacji, anna. Zaszła  
pomyłka.

- Co? Co? Cicho! - krzyknął Maću na Tukrę. Opuścił strzelbę. - Po-  
słuchaj, nie zamierzam zrobić ci krzywdy.

Tukra upadł na ziemię i zaczął pochlipywać.

- Posłała po mnie? Kiedy?

- Chciała. Tamtego ranka. Dzień przed ślubem. Tukra usłyszał, jak rozmawia z taji akką. Taji płakała, a Thimmaja anna... jak on krzyczał!  
256

On nigdy nie krzyczy, w przeciwieństwie do jego syna, który krzyczy zawsze. Tukra zrób to, Tukra zrób tamto...

Maću przypomniał sobie, że tamtego ranka wyruszył do Kerali z ryżem na wymianę.

- Dlaczego? - zapytał bezbarwnym głosem. - Dlaczego chciała po mnie posłać?

- Nie wiem. Ona... - Tukra zamilkł. - Nie, nie, Tukra zawsze gada głupoty, wszyscy to mówią. Chodźmy, pokażę ci plantację. Proszę, anna, nie mów Dewi akce, że ci to powiedziałem, nie powinienem był słuchać tamtej rozmowy. Taji tak bardzo wtedy płakała, i Dewi akka... Tyle łez...

Maću już odjechał.

- Dewi.

Zamarła w pół kroku, nagle zabrakło jej tchu. Minęły prawie cztery lata, odkąd po raz ostatni zamienili ze sobą słowo, a nawet odkąd stali tak blisko siebie. Słońce pogłębiło tekowy odcień jego skóry, nadając jej barwę głębokiego, leśnego brązu. Od razu dopadł ją dawny ból, jej ręce pragnęły unieść się, dotknąć, poczuć, spocząć na jego brodzie. Zacisnęła dłonie, wbijając paznokcie w skórę.

- Słyszałam, że wróciłeś.

Patrzył na nią z dzikim błyskiem w oczach.

- Dlaczego na mnie nie zaczekałaś?

- Co? - Jego głos, ten głos, jak rozgrzany w słońcu kamień rzeczny, przemykał po jej skórze. Pasemka siwizny w kręconych włosach wystających zza rozpiętej kupji, małeńkie górki na płatkach uszu, gdzie dziurki zarosły skórą. Słyszała, że armia nie zezwala na kolczyki. Przetknęła ślinę i rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy. Na alejce prowadzącej do banku często tłoczyli się ludzie. Roześmiała się. Jej cichy śmiech przypominał dźwięk marmuru toczącego się po podłodze. - Jak... Skąd wiedziałeś, że tutaj będę? Od jak dawna jesteś w Kodagu?

Maću uśmiechnął się bez cienia wesołości.

- Tym razem mi odpowiesz, Dewi. Dlaczego na mnie nie zaczekałaś? Dewi uniosła drżącą dłoń do twarzy, jakby chciała osłonić oczy przed słońcem.

- Maću, proszę. To już bez znaczenia. Minęło dziewięć lat, masz żonę.  
257

- Odpowiedz mi - powiedział, zaciskając zęby. - Dlaczego chciałaś po mnie posłać przed swoim ślubem?

Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Jak... Skąd o tym... - Odwróciła wzrok, rozpaczliwie próbując nad sobą zapanować. Pozdrowił ją jakiś przechodzień, ale go nie zauważyła. - Jak się o tym dowiedziałeś?

Maću podszedł jeszcze bliżej i do jej oczu napłynęły łzy.

- Przestań - szepnęła. Jego zapach, woń drewna i piżma. Dotknąć go jeszcze raz, jeszcze tylko jeden raz, znowu utonąć w jego objęciach, niech czas się zatrzyma.

- Odpowiedz. Bo jeśli nie odpowiesz, pójdę prosto do twojej rodziny.

Do twojego ojca, babci, brata... Nieważne kto, ale ktoś w końcu mi wyjaśni, co się naprawdę stało.

- Nie! Tylko nie do nich, nie po tylu latach. - Zaczęła płakać bezgłośnie, bezradnie. Łzy płynęły jej po policzkach. Pociągnęła za chustkę osłaniającą jej włosy, zsuwając ją głębiej na twarz. - Nie mogłam ci powiedzieć - wyszeptała tak cicho, że musiał wyteńczyć słuch, by cokolwiek zrozumieć. - Skoro... skoro wiesz już tyle, niedługo dowiesz się reszty. Mój syn - zaczęła drżeć. - On nie...

Okropne słowa utknęły jej na języku.

- Co? Twój syn co?

Uniosła załzawioną twarz i spojrzała na niego.

- Mój syn nie został poczęty za moim przyzwoleniem.

Maću znieruchomiał, jego twarz zbladła.

- Twój syn nie został... Dewanna? Czy Dewanna... ? - Uderzył pięścią w mur.

- Zrobisz sobie krzywdę, przestań.

Odwrócił się do niej wzburzony.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Bez końca pytałem: Dlaczego, Dewi? Dlaczego na mnie nie zaczekałaś? Dlaczego, mimo że do końca przysięgi pozostało tak mało czasu? Wiedziałaś, jak mnie ranisz swoim milczeniem, a mimo to nie powiedziałaś ani słowa.

- Powiedziałabym ci i co potem? - zapytała zrozpaczona. - Po czymś takim nie zechciałbyś mieć ze mną nic wspólnego.

- Co? - Maću wyciągnął do niej rękę, ale przypomniawszy sobie, że toczą tę rozmowę w miejscu publicznym, cofnął dłonie i wściekle przeczesał nimi włosy. - Jak mogłaś pomyśleć, że bym cię opuścił?

258

-Taji... powiedziała, że... - załamał jej się głos. Pokręciła głową, bezgłośnie płacząc. Bezbrzeżny smutek przenikał ją aż do szpiku kości. - Było już za późno.

- Ty... - Maću przeczesał włosy palcami i utkwiał w niej spojrzenie, a potem głucho się roześmiał. - Przez cały ten czas. Przez te wszystkie lata, pomimo tego, co się stało, mimo krwi Dewanny, za którą się obwiniałem. Bez względu na to, jak bardzo próbowałem się od ciebie oddalić. Bez względu na to, jak bardzo próbowałem zapomnieć albo jak bardzo temu zaprzeczałem, nosiłem cię w sobie jak ryba hak. Jak kulę, Dewi, jak kulę, która na stałe utkwiała w moim ciele. A mimo to nie ufałaś mi na tyle, żeby mi powiedzieć, co się stało? Dla ciebie... - wykrzywiła mu się twarz. - Dewi, dla ciebie zламаłem przysięgę. Dla kilku chwil z tobą wyrzekłem się mojego boga.

Tamtej nocy na północnym zachodzie zawrzało. Przypuszczono atak na obóz wojskowy w Nowszerze. Okoliczni mieszkańcy byli zaskakująco dobrze uzbrojeni w karabiny Martini, a nawet w granaty. Oficjalnie rozpoczęła się wojna. Telegrafy przekazywały tę wieść. Maću ponuro się pakował, obserwowany przez wystraszoną żonę.

- Dlaczego musisz tam jechać? Jesteś na przepustce, prawda? Dlaczego musisz wracać, dlaczego właśnie teraz, kiedy zrobiło się tak niebezpiecznie?

- Nie wygłupiaj się. To mój obowiązek.

- A jeśli... a jeśli po prostu im powiesz, że o niczym nie słyszałeś?

Przecież to tak daleko. Powiesz, że nikt cię nie zawiadomił.

Maću w milczeniu pakował się dalej.

Jego żona pokiwała głową, próbując zdusić łzy.

- Rozumiem. Musisz iść. - Poszła do kącika modlitwy, przyniosła święty popiół i zrobiła mu znak na czole. - W takim razie dobrze - powiedziała, siląc się na uśmiech. - Idź. I wróc do nas jak najprędzej jako jeszcze większy bohater.

Batalion niestrudzenie maszerował naprzód pod lejącym się z nieba żarem. Żołnierze już teraz poddawali się nieznośnemu upałowi.

Nieustannie układano omdlałych mężczyzn na skraju drogi, gdzie lekarz spryskiwał ich drgające twarze taką ilością wody, jaką można było poświęcić. Wiedział, że niewiele to pomoże, a jednak nie ustawał w wysiłkach i gdy batalion maszerował dalej, trwał u boku umierających mężczyzn wraz ze swoimi sanitariuszami. Była to wykańczająca praca. Miał wrażenie, że ledwie dogonił batalion, mdlał kolejny żołnierz, tocząc pianę z ust i przewracając oczami. Nawet juczne muły i konie znalazły się na skraju wytrzymałości.

Maću zmrużył oczy i zmęczony spojrzał na słońce. Zdawało się wypalać mu gałki oczne, przyzegając wszystkie myśli, wszystkie wspomnienia mgiełką oślepiającej bieli. Cóż za furia. Bóg słońca Surja ramię w ramię z bogiem ognia Agnim. Stali w wojennych rydwanach i miotali ogniem w zjednoczonej świetności okutej w diamentową zbroję. Chyba nic nie mogło się równać z nagą mocą afgańskiego słońca. Żar zdawał się promieniować z każdej powierzchni, z pofałdowanych stoków gór i ze zdradliwych, wypełnionych kamieniami wąwozów, lejąc się z brutalnego, bezchmurnego nieba. Spod kopyta konia idącego tuż przed Maću strzeliła iskra i wystraszone zwierzę gwałtownie uniosło łeb.

- Hurr... hurr... - Maću uspokoił swojego wierzchowca, gładząc go po spoczonej szyi.

260

Nie powinni byli podróżować w tym napastliwym skwarze dnia. Zerknął za siebie, wycierając pot zalewający mu oczy. Batalion falował na drodze, tworząc długie pasmo khaki i stali, widoczny na kredowym szlaku niczym pluskwy na białej pościeli. Maću rozejrzał się niespokojnie, kierując wzrok ku poszarpanym graniom wzdłuż drogi, ale na wychodniach skał było pusto. Na razie.

Wróg podróżował inaczej. Korzystał z chłodu wieczorów i nocy, przemieszczając się szybko po znajomych górskich szlakach pod osłoną ciemności. Batalionowi jednak rozpaczliwie brakowało czasu. Porucznik Balmer przyznał to rano, gdy Maću szykował dla niego pas oficerski, bryczesy koloru khaki i hełm korkowy.

Maću dotarł z powrotem na granicę z kompletnym mętlikiem w głowie. Trzy dni wcześniej, a może cztery? Nie był do końca pewien. Buchający parą pociąg jechał na północ, niosąc żołnierzy, amunicję i zboże. Patrzył nieobecny wzrokiem, jak pociąg pędzi przez wieś. Cały czas miał przed oczami twarz Dewi. Tę uroczą twarz, zapłakaną, gdy spojrzała na niego z rozpaczą w oczach. „Było już za późno”.

Oparł głowę o metalową kratę okna. „To bez znaczenia - powtarzał sobie. - Nie mogło być inaczej”. Pomyślał o swoim synu, o żonie. Była dobrą kobietą, miał szczęście. Skąd zatem ten ból, Ajappo swami, skąd



ten smutek przypominający rozgrzany do czerwoności młot tłukący go w serce?

Pociąg pędził naprzód, uporczywe klekotanie jego kół było jedynym stałym elementem w bezkształtnym, zmieniającym się świecie, który przemykał za oknami. Maću zamknął oczy. Miał pomarszczoną, zmierzniałą twarz.

Regulamin. W wojsku dużo się mówiło o regulaminie. Ale tak naprawdę nie było żadnych zasad. Mężczyźni ustanowili je, żeby wprowadzić do swojego życia jakieś pozory porządku, pojęcie kontroli. Kompas, zgodnie z którym mogli nakreślić swoje istnienie.

Honor.

Kara.

Odkupienie.

Czy którekolwiek z nich miało jakieś znaczenie?

Zdawało mu się, że życie otacza go pustym chaosem. Przeżyte lata, Pokonane odległości, przebyte mosty i rzeki, przez które przebrnął - to wszystko było pozbawione znaczenia.

261

Kodeks honorowy, który - jak sądził - został przez niego złamany.

Lojalność wobec krewniaka, której - jak sądził - osobiście się sprzeniewierzył. Druzgocące poczucie winy ciężące mu przez te wszystkie lata, tak kwaśne, że trawiło rdzą wszystko, co za sobą zostawiało. Wszystko, czego się wyrzekł, by naprawić zło, które rzekomo wyrządził.

Wszystko, co miał, wszystko, czymkolwiek był.

A tymczasem...

Kto był prawdziwą ofiarą, kto tak naprawdę został skrzywdzony i jak zapłacił za odkupienie? Gdyby tylko wiedział, co się stało. Gdyby dłoń Dewanny sięgnęła po inną strzelbę. Ale wybrała jedyną w całym domu, która zносиła w lewo. Strzelbę pogromcy tygrysa.

Gdyby tylko mu o wszystkim powiedziała. Gdyby tylko uwierzył w to, o czym w głębi duszy cały czas wiedział. Ta szczerść w jej oczach, kiedy stali obok siebie na górze Bhagamandala, mając całe Kodagu rozciągnięte u stóp. „Jesteś mój - powiedziała mu. - Zawsze będę na ciebie czekała”. Pociąg pędził przed siebie, a jego koła obracały się, wydając charakterystyczny odgłos. W uszach Maću ten dźwięk składał się tylko z jednej, uporczywej nuty. „Mój - zawodziły koła. - Byłeś mój”.

Dołączył do batalionu w obozie. Wojna wisiała w powietrzu, wokół czuło się jej naładowaną adrenaliną piżmową woń. Od czasu jego wyjazdu atmosfera w obozie uległa dramatycznej zmianie. Żony żołnierzy zniknęły, odesłane w bezpieczne miejsce, gdy tylko gruchnęła wieść o rewolcie. W koszarach gęstniało napięcie. Niektórzy mężczyźni chodzili tam i z powrotem, przechwalając się liczbą Afgańczyków, których zamierzają uśmiercić, inni zbyt głośno opowiadali dowcipy albo zagubieni w myślach siedzieli na pryzkach.

Batalionowi przydzielono dwóch nowych oficerów. Obydwaj zgłosili się na ochotnika, a na ich bladych twarzach malowało się podniecenie na myśl o nieuchronnej walce. Gdy tylko zaczęły się kłopoty na północnym zachodzie, zapragnęli w tym uczestniczyć, podobnie jak ich rówieśnicy w całym kraju. Odświeżyli zakurzone koneksje, pociągnęli za wszystkie możliwe sznurki i machnęli długie pisma do władz, błagając o powołanie

do walki.

Wojenna gra szła o wysoką stawkę, a potencjał zysku był jeszcze większy. Pochwała za odwagę, medal, a nawet wzmianka w rozkazie dziennym mogły mieć decydujący wpływ na karierę, mogły się stać katalizatorem, który wybawi ich od nudnej, papierkowej roboty na dalekich rubieżach Imperium, oferując coś, co ma prawdziwą wartość. Człowiek niemający

262  
żadnych koneksji rodzinnych, żadnego majątku, za który można kupić karierę, mógł sięgnąć całkiem przyzwoitych wyżyn dzięki drobnemu udziałowi w boju. Oficerowie, którzy zgłosili się na ochotnika do 20. Batalionu Lansjerów czuli, jak bardzo im się poszczęściło, że zostali tu odkomenderowani, nawet jeśli nie byli do końca pewni, czy to, co pulsuje w ich żyłach, to wyczekiwanie czy strach.

Kiedy weszli do namiotu porucznika Balmera, Maću spojrzeli na nich. Nie rozumiał, co mówią, ale nienaturalna piskliwość ich głosów, sposób, w jaki lekliwie spoglądali na szlak prowadzący w góry, powiedziały mu wszystko, co musiał wiedzieć.

„Tak naprawdę to bez znaczenia - chciał uzmysłwić tym chudzielcom. - To wszystko nic nie znaczy. Chwała, której pragniecie, jest nic niewarta. Kto tak naprawdę jest myśliwym, a kto ofiarą? Kreślimy swoje linie śmierci w piasku, planujemy bitwy bez znaczenia. A bogowie patrzą na to rozbawieni i kpią z nas z dalekich szczytów gór”.

Nawet porucznik Balmer był coraz bardziej napięty, kiedy czekali na rozkaz do ataku, ale przez dwa następne dni nic się nie wydarzyło. Jedyne major Climo wydawał się jak zwykle dziarski i niewzruszony. Codzienne zwiady stawały się coraz częstsze, umocniono garnizon i okopy, ale na szlaku nadal było pusto.

I wtedy nadeszły rozkazy. Bardzo wielu Afgańczyków zebrało się w Mohmand, trzydzieści sześć mil na północ. Z właściwym sobie szczególnym rodzajem galanterii dwa dni wcześniej ostrzegli brązowoskórych koniuszych, by uciekli z gór. „Nadciągają kłopoty”, wyjaśnili. Nie mieli nic przeciwko zwykłym żołnierzom, a jedynie przeciwko białym, którzy nimi dowodzili. „Uciekajcie - apelowali - wracajcie do Hindustanu, to nie wasza wojna”.

Nazajutrz rano na wzgórzach otaczających Mohmand zaroilo się od Pasztunów. Na skałach łopotwały proporce o przeróżnych kształtach i kolorach. Były jeszcze daleko, ale się zbliżały. W obozach gorączkowo zawirowały telegrafy, prosząc o wsparcie. W odpowiedzi natychmiast wysłano 20. Batalion Lansjerów.

Lansjerzy maszerowali cały dzień. Ich gardła trawił płomień, a stopy pokrywały się odciskami i krwawiły w butach. W końcu słońce zaczęło się ześlizgiwać w dół. Tuż po zachodzie dotarli do obozu w Mohmand. Wszystko wskazywało na to, że bitwa jest nieunikniona. Proporce wroga otaczały obóz nieregularnym półksiężycem - rozległe bohomyzy głębokiego błękitu, bieli i czerwieni na pylistych wzgórzach. Szaty

263  
Pasztunów - białe plemion ze wschodu, błękitne ich sąsiadów oraz czerwone i musztardowe pozostałych sojuszników - zapowiadały wiele tysięcy mężczyzn zebranych do walki.

Bazar na środku obozu zrównano z ziemią, a drzewa wysadzono w po-

wietrze, by zyskać dobry widok. Garnizon został umocniony wszelkimi dostępnymi materiałami: belkami i workami z piachem, który wypełniał nawet puszki po herbatnikach z pasterkami i nienaturalnie rumianymi dojarkami błogo uśmiechającymi się z pokrywek.

Oficerowie 20. Batalionu zameldowali się i uścisnęli dłonie wyczerpanych rodaków, rzucając niezbyt udane dowcipy o szampanie, który odkorkują, kiedy już się rozprawią z bezczelnymi buntownikami i zakończą tę całą tamaśę. Ich śmiech był jednak wymuszony. Ciężko na nim wspomnienie trzech mężczyzn, którzy zaginęli w drodze do Mohmand. Najgłośniej śmiali się oficerowie ochotnicy z nosami boleśnie obciążonymi ze skóry pomimo maszerowania w korkowych hełmach.

Przekazano i sprawdzono plany bitwy, a wśród żołnierzy rozdzielono obozowe obowiązki. Ci, którzy od trzydziestu sześciu godzin stali na warcie, zostali zwolnieni na kilka godzin snu, a żołnierze z 20. Batalionu, pomimo wyczerpującego marszu, zajęli ich miejsce.

Powoli zapadała noc. Obóz spowijała czujna cisza, od czasu do czasu przerywana szuraniem juczych mułów w zagrodach albo niespokojnym rżeniem konia. Maću pełnił wartę na małej wychodni skalnej z lewej strony obozu. Gwiazdy jasno świeciły, rzucając zimne, precyzyjne światło na wymarły krajobraz. Ogniska przygasły do kilku jaśniejących punkcików, a wzdłuż wszystkich granic obozu połyskiwały niebiesko-białe bagnety.

- Pięknie, prawda? - zwalisty sikh przydzielony do pełnienia warty razem z Maću odchrząknął i splunął na ziemię. - Nocą ten kraj wydaje się nieskalany jak pieprzona dziewczica.

Maću pokiwał głową.

- Zupełnie inaczej niż w mojej wiosce. Tam jest zielono. Bardzo zielono. To przez pszenicę - dodał sikh tytułem wyjaśnienia. - Uprawiamy pszenicę.

Wlokła się godzina za godziną.

- Słyszałeś o tych przeklętych dezterach? - zapytał nagle sikh. Maću znowu pokiwał głową. Wczesnym wieczorem z obozu zniknęli dwaj afgańscy żołnierze.

- Czy można ich winić? W końcu to ich kraj.

264

Wieczorem Maću zapytał o to Balmera. Co by się stało, gdyby znaleziono dezterów? „Zostaliby rozstrzelani - odpowiedział Balmer z prostotą. Był dziwnie zamyślony. - To ich kraj, Maćaija. Ich ojczyzna. Czegóż innego mogliśmy się spodziewać, wchodząc w konflikt z ich rodakami? To zbyt ciężka próba dla ich lojalności”.

Sikh, najwidoczniej złąkniony rozmowy, odchrząknął jeszcze raz.

- Słyszałeś o dezterach z poprzedniej wojny? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. - To dopiero historia!

Powiedział, że dziesięć lat wcześniej, podczas wojen przygranicznych zdezterowało pięciu afgańskich żołnierzy, zabierając swoje karabiny i przydział amunicji. Oficer dowodzący dostał napadu furii. Wezwał dwóch pozostałych afgańskich żołnierzy i kazał im zdjąć mundury, tłumacząc, że postępowanie ich rodaków nie pozostawia mu innego wyboru. Kiedy zapewnili go o swej lojalności, rzucił im wyzwanie. Obiecał, że zostaną przyjęci z powrotem i dostaną zaległy żołd, pod warunkiem

że znajdą i zwrócą kwaterze głównej tamtych pięć skradzionych karabinów. Minęły tygodnie, a potem miesiące. Przelano krew, wojna została wygrana, sytuacja na granicy opanowana, lecz nadal nie było śladu po tamtych dwóch żołnierzach. Wydawało się oczywiste, że oni także zdezerterowali, choć co prawda raczej nie z wyboru, lecz zmuszeni przez okoliczności.

A potem, prawie trzy lata później, dwóch okropnie wychudzonych, zmizerniałych Afgańczyków zjawiło się w obozie i poprosiło o spotkanie z dowódcą. Byli to tamci dwaj żołnierze. Nieszczęśnicy przez cały czas prowadzili swoją prywatną wojnę. Pokonali Bóg wie jakie przeciwności losu, by zwrócić pięć skradzionych karabinów.

Maću się zaśmiał, cicho i długo.

Przez chwilę milczeli, a potem Maću się ożywił.

- Wiesz, jakieś dwieście lat temu żył jeden z moich przodków. Nie-wiarygodnie sprawny człowiek, jako myśliwy nie miał sobie równych. Był bardzo wysoki. Rodzina zachowała jego tunikę. Dziś prawie nic z niej nie zostało, ale nadal leży w domu przodków. Od dnia jego śmierci nie narodził się mężczyzna, na którego by pasowała. Powiadają, że był nieustraszony. Nadal krążą opowieści o jego wyczynach z czasów wojen, które prowadziliśmy z Majsurem. Ten wspaniały przodek był jednak tylko człowiekiem. Wiele lat po zawarciu pierwszego małżeństwa, kiedy najlepsze lata, w których takie sprawy uchodzą za normalne, miał już dawno za sobą, zakochał się na zabój w młodej kobiecie. Z początku

265  
próbował trzymać się od niej z daleka, powtarzając sobie, że postępuje niemądrze. Jednak bez względu na to, jak bardzo się oddalał i jak bardzo próbował wymazać ją z pamięci, wspomnienie tamtej kobiety zdawało się wypalone w jego ciele. Niczym kula, która wkradła się do serca. Niczym hak, który przebił mu trzewia. Niczym szczątkowe ślady trującego jadu węża, które podobno nadal krążyły mu w żyłach. W końcu, nie potrafiąc z tym dłużej walczyć, zrobił jedyne, co mógł uczynić. Poślubił uroczą dziewczycę, tłumacząc sobie, że pierwsza żona okaże wyrozumiałość. Że zrozumie jego obsesję, przyjmując nową żonę jak siostrę. „Przecież to ja jestem panem tego domu. Któż może mi mówić, ile mam mieć żon?“, powtarzał sobie. Pokrzepiwszy się takimi argumentami, wrócił do domu w ślubnym stroju i z zarumienioną panną młodą u boku. Powitała ich pierwsza żona. Stała na schodach, wzięła się pod boki i zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, dierząc w dłoni miecz.

Maću szeroko się uśmiechnął i w ciemności błysnęły jego zęby.

- Nasze kobiety to tygrysyce. Bez względu na to, jak bardzo błagał nasz nieustraszony bohater, jak bardzo groził i prosił i ile obiecywał klejnotów, żona nie chciała go wpuścić do domu. Zrezygnowanemu panu młodemu nie pozostało nic innego, jak tylko zbudować identyczny dom, tuż obok pierwszego. Właśnie tam zamieszkała jego druga rodzina.

Maću zamilkł z nieobecnym wzrokiem.

- Ostatecznie wszystko się ułożyło - dodał. - Potem w zasadzie żyli w zgodzie, a przynajmniej tak mówią ludzie.

Przechylił głowę i spojrzał na gwiazdy.

- Kończę z wojskiem - powiedział nagle. - Po tej wojnie składam

papiery o zwolnienie do domu.

- Wrócisz do swojej wioski, co? Dużo tam zieleni?

- Mnóstwo. Jest piękna, sardardzi, tak piękna, że za każdym razem, kiedy na nią spoglądam, czuję ból w sercu.

Nastała pora zmiany warty. Wyczerpany Maću padł na posłanie. Leżał przez chwilę, całkowicie nieruchomo. Wracając do domu. Na jego wyniszczoną twarz stopniowo spływał spokój. Zamknął oczy i po raz pierwszy, odkąd opuścił Kodagu, prawie natychmiast zapadł w głęboki, pozbawiony marzeń senny sen.

266

Miał wrażenie, że ledwie zamknął oczy, znowu go obudzono. Trzeba było iść na zwiady. Garstka żołnierzy pod dowództwem porucznika Balmera miała wyruszyć na szlak prowadzący w góry, aby sprawdzić, w jakiej odległości od obozu znajdują się rebelianci. Kiedy zebrali się obok strażników, pochylił się do niego sikh, z którym rozmawiał poprzedniego wieczoru.

- Rozerwę ich na strzępy - szepnął z entuzjazmem do Maću, dźgając palcami powietrze. - Niech no tylko któryś stanie mi na drodze.

Maću uśmiechnął się wbrew sobie, a w jego policzku błysnął dołeczek.

Zerknął na pozostałych żołnierzy. Przydzielono im jednego z ochotników, który teraz, zerkając w stronę szlaku, lekko zieleniał na twarzy.

Wymknęli się z obozu pod osłoną resztek nocnej ciemności. Gwiazdy powoli gasły, przypominając maleńkie punkciki światła na fioletowym niebie. Powietrze było chłodne - ostatni oddech świeżości, zanim znowu rozpetają się burze pyłowe, wypełniając oczy i buty piaskiem.

W milczeniu pokonywali szlak. Z obu stron otaczały go ostre kamienie, które w chwili nieuwagi mogły rozpruć jego bose stopy. Szlak skręcił, skierował się ku górze i w jednej chwili stracili obóz z oczu. Wszystko trwało w bezruchu. Brakowało nawet tłustych jaszczurek, które pełzały po skałach w upale dnia, a teraz spały jeszcze zwinięte w swoich jamach.

Maću maszerował w blednym świetle księżyca, a cisza, która panowała wokół, spajała jego myśli. To nie jego wojna. To nie jego ziemia.

Złożył papiery o zwolnienie, pomyślał znowu. Zaoszczędził trochę pieniędzy, jakoś sobie poradzą. Dewi... serce zabiło mu szybciej.

Na szlaku powiała chłodna bryza i porucznik Balmer zadrżał wbrew sobie. Przez myśl przebiegł mu kawałek wiersza: „Ucichły cymbały i trąbki dźwięk, fujarki i werble milczały...”. Za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, co było dalej. „... fujarki... fujarki... fujarki i werble milczały. ...” nagle poczuł, że koniecznie musi sobie przypomnieć dalszy ciąg.

Ach! „Ucichły cymbały i trąbki dźwięk, fujarki i werble milczały.

Gdyby nie tupot i broni brzęk, niemy byłby marsz cały”\*. Poprawił pas karabinu i w milczeniu szedł dalej na czele zwiadowców.

\* W. Scott, The Lady of the Lake.

267

Góry, spowite krystalicznym cieniem, w zamyśleniu spoglądały na maszerujących.

Byli już co najmniej milę od obozu. Szlak przeszedł w wąski wąwóz o ostrych krawędziach, w którym ledwie mogli się zmieścić dwaj mężczyźni stojący ramię w ramię, a potem ostro skręcił w lewo. Balmer

postanowił, że przeprowadzą rozpoznanie za zakrętem, a potem wrócą do obozu. Dał żołnierzom znak i ruszyli wąwozem.

Cisza trwała jeszcze przez ułamek sekundy. Obie strony były zbyt zaskoczone, by zareagować. A potem nieludzki wrzask, zwierzęcy, krwiożerczy, odbił się rykoszetem od pradawnych grani i wpadł do aksamitnych dolin.

Zwiadowcy natknęli się na wroga, na tysiące mężczyzn skradających się chyłkiem przez wąwóz ku śpiącemu obozowi.

20. Batalion od razu otworzył ogień, oddając do wroga serie strzałów z bliskiej odległości. Odpowiedział im wściekły ryk Pasztunów, którzy szybko dobyli swoje karabiny.

- Odwrót, odwrót! - zawołał Balmer. Wycofywali się krok za krokiem, cały czas strzelając. Od skał odbijał się ogłuszający hałas.

20. Batalion wycofał się, zajmując pozycje przed zakrętem i wąskim wąwozem, za poszarpaną wychodnią. Pierwsza linia obrony klęczała, a druga stała za nią, przeładowując i strzelając, przeładowując i strzelając do wroga, który nieustannie próbował pokonać zakręt. Kiedy kule uderzały w skałę, sypały się odłamki. Wąski wąwóz zaczął się wypełniać ciałami, lecz mimo to Afgańczycy parli naprzód. Wdrapywali się po ciałach swoich towarzyszy, uwalniając dzikie serie pocisków, zanim sami zostali skoszeni. Lecz ciągle napływali nowi: na miejsce każdego zabitego Pasztuna zjawiali się dwaj kolejni. Ich kule zaczęły docierać do celu - dosięgły żołnierza stojącego tuż obok Maću, po lewej stronie, a inny trafiony w szyję, zakrzusił się krwią i z przerażeniem w oczach chwycił za gardło, padając na ziemię.

Zwiadowcy odpalili racę, żeby ostrzec obóz, i jej gryząca woń zaszczyptała ich w nosy. Raca rozbłysła wysoko nad ich głowami i na chwilę oświetliła rozgrywającą się tuż przed nimi rozpaczliwą scenę. Maću zobaczył, że Pasztunowie posuwają się naprzód. Żołnierze 20. Batalionu kontynuowali ostrzał, lecz było ich zbyt mało, aby utrzymać dystans przez dłuższy czas. A kiedy Pasztunowie wydostaną się zza zakrętu i wpadną na szlak... Zerknął na Balmera i w jego twarzy ujrzął niepokój.

268

- Odwagi, żołnierze, odwagi - krzyczał porucznik pośród wrzawy. - Wkrótce przybędą posiłki. Spokojnie, sipajowie.

Balmer zerknął za siebie, w stronę obozu. No, szybciej. Dlaczego posiłki tak długo zwlekają? Opatrzność wyświadczyła im chwilową przysługę, dając korzystną pozycję przed wąwozem, ale Balmer wiedział, że opatrzność to kapryśna sojuszniczka. Na razie zwiadowcom udawało się utrzymać pozycje na szlaku, ale to nie mogło długo trwać. Nie przy tak wielkiej przewadze liczebnej wroga.

Następny żołnierz wydał okrzyk bólu i upadł na twarz, wypuszczając z rąk karabin.

- Weźcie jego naboje! - zawołał Maću, ale ledwie starczało czasu na przeładowanie karabinów. Afgańczycy parli naprzód, otaczając szlak. Balmer sięgnął do ładownicy, ale nie znalazł więcej nabojów. „Potrzebujemy amunicji”, pomyślał zrozpaczony, spoglądając przez ramię na ciągle jeszcze pusty szlak. Gdzie się podziały posiłki?

Obok niego stał oficer ochotnik i strzelał jak opętany. Zza zakrętu wybiegało tylu wrogów, że nie musiał nawet precyzyjnie celować. Strze-

łał na oślepi i za każdym razem trafiał. A potem jego karabin także zamilkł. Maću zobaczył, jak odwraca się do Balmera i energicznie gestykuluje.

- Do obozu! - krzyknął Balmerowi do ucha. - Musimy się wycofać.

Balmer pokręcił głową, nie siląc się na odpowiedź. Maću wiedział, że nie miałoby wówczas szans, nie z taką zgrają depcząca im po piętach.

- Skończyła mi się amunicja! - zawołał ochotnik. - Co robimy?

Ostatnie karabiny 20. Batalionu zacharczały i ucichły. Na chwilę na szlaku znowu zapadła cisza. Afgańczycy w skupieniu nasłuchiwali zza zakrętu, a żołnierze oglądali się przez ramię, pragnąc ujrzeć nadciągające posiłki. Balmer wpatrywał się w swoich ludzi, chwilowo zagubiony. Maćaija mierzył go uporczywym spojrzeniem. Balmer zobaczył to i pełna napięcia rezygnacja na twarzy starszego mężczyzny wyraźnie mu uzmysłowiła, co ich czeka.

Balmer zamknął oczy na krótką, uspokajającą chwilę. W umyśle mignął mu długi rząd rododendronów, ogromny żywopłot otaczający ogród za ich domem. Matka siedziała w cieniu w białym wiklinowym fotelu, ze swoim ulubionym kotem mruczącym na kolanach. „Przepraszam, mamó”. Wziął głęboki oddech i wyciągnął rewolwer z kabury.

- Dobra, panowie - powiedział. - Pamiętajcie: chwała 20. Batalionowi!

269

Sikhowie zdjęli turbany z głów, a ich włosy, długie i zmierzwiłone, opadły na plecy.

- Wahe guru ki khalsa, wahe guru kifateh!\* - zawołali, wściekle unosząc bagnet. A obok nich rozległ się inny głos, który odbił się echem od gór.

- Ajappo swami!!! - ryknął Maću, wyskakując z resztkami oddziału zwiadowców na szlak za wychodnią.

Maću pchnął, przebijając Pasztuna bagnetem, a ten, padając na ziemię, próbował go ugodzić w ramię. Maću odsunął się i ostrze musnęło mu skórę, a potem upadło. Wykonał zwrot, pchnął bagnetem drugiego mężczyznę, wyjął ostrze płynnym ruchem i pchnął jeszcze raz. Unik, ruch, pchnięcie, odparcie ataku, pchnięcie, cofnięcie bagnetu, krok w bok, zwrot, pchnięcie, cofnięcie, pchnięcie. Dostał cios w głowę, zatoczył się, czując, jak ciepła ciecz zalewa mu twarz, a potem wyprostował się i pchnął.

Jego bagnet poruszał się w przód i w tył, nie było czasu na myślenie, tylko ten płynny taniec, myśliwy i ofiara. Jego ostrze zabarwiło się na ciemno, przecinając mięśnie i ścięgna. Pchnięcie i cofnięcie, pchnięcie i cofnięcie, odikathi wchodzący głęboko w tygrysie trzewia. Spod ryjących ziemię stóp wzbijał się gęsty pył, krzyki mężczyzn odbijały się echem od skał. Paskudny odór mimowolnie opróżnianych jelit poległych mieszał się z gryzącym zapachem prochu i mineralną wonią krwi. Kątem oka Maću zobaczył, jak pada oficer ochotnik. „Balmer - pomyślał. - Gdzie jest Balmer?”.

Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć osuwającego się na ziemię porucznika. Nad Balmerem stał Afgańczyk, który wysoko uniósł obie ręce, przygotowany do zadania śmiertelnego ciosu.

- SWAMIJE AJAAPPO! - Maću wbił bagnet w kręgosłup wroga i brutalnie przekręcił ostrze. Właśnie je wyciągał, kiedy podbiegł drugi

mężczyzna i ugodził go w rękę. Maću ryknął z bólu. Pochylił głowę i wyrznuwszy nią napastnika prosto w nos, raczej poczuł, niż usłyszał trzask zgruchotanej chrząstki. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, chwytając się za twarz. Maću złapał bagnet lewą ręką i przebił nim gardło Pasztuna. W oddali rozległ się dźwięk trąbek. Posiłki, nareszcie. Za plecami usłyszeli daleki ryk mężczyzn, wojenny okrzyk sikhów. Maću uśmiechnął się szeroko, drapieźnie. Na jego policzku zatańczył doteczek. Już niedługo. \* Chwała panowaniu jedyne go guru, zwycięstwo dla jedyne go guru (pendź.).

270

Stał nad Balmerem, nie mając pewności, czy porucznik żyje. Prawa ręka Maću była prawie przecięta na pół i bezużytecznie zwisała z boku. Twarz miał mokrą od krwi, która kapała mu do oczu, zasłaniając prawie cały widok. Nie było czasu na myślenie, został tylko ten taniec, ten wieczny, upojny taniec, pchnięcie i unik, pchnięcie, cofnięcie, pchnięcie. Tętent kopyt na szlaku. Maću głośno się roześmiał. - El Kheir! - zagrzemiał. - El Kheir! „Niech zwycięstwo będzie na zawsze wplecione w twoją grzywę...” Wracam do domu. Zza ściany krwi prawie nic nie widział, walczył wiedziony instynktem. Pchnięcie, cofnięcie, pchnięcie... kula ugodziła go prosto w pierś. Uderzenie było tak silne, że odrzuciło Maću w tył. Z zaskoczeniem poczuł, że nogi nie chcą dłużej podtrzymywać jego ciała. Runął na ziemię bez tchu. Wszystko ucichło, jakby nagle zatcano mu uszy puszkami bawełny. Otaczały go błyski mieczy. Błękitno-biały blask ich koniuszków, jakby tego ranka gwiazdy zawisły niżej niż zwykle. Rozpuszczone włosy sikhów wirujące wokół głów, kiedy i oni padali, jeden po drugim. Maću poczuł, że wypełnia go niewytłumaczalna ochota, żeby się roześmiać. To wszystko było takie absurdałne. Honor, chwała - wszystko podeptane na jakimś niedorzecznym szlaku. Wiedział, że koniec bitwy jest bliski, a ostatecznie skończy się także wojna. Świat się zmieni. Ludzie zapomną. A potem - było to tak pewne jak słońce, które nawet teraz wschodziło na niebie - te same bitwy zostaną stoczone na nowo, z powodów, które nie będą miały żadnego znaczenia. Kto będzie pamiętał krew, która splamiła ziemię. Kto zapłacze nad nadzieją, straconą na zawsze? Stanął nad nim mężczyzna z uniesionym nożem. Maću ścisnął bagnet. Afgańczyk uniósł dłoń jeszcze wyżej i wtedy Maću zanurzył ostrze w jego pachwinie. Napastnik runął jak głąz i nagle Maću odzyskał słuch. Krzyki za jego plecami przybrały na sile, słyszał konie pędzące szlakiem. Afgan - czycy zaczęli ustępować. Odrętwiały, zastanawiał się, ilu zabił sardardzi. Tyle tylko, że to nie miało żadnego znaczenia. Cała ta wojna była bez sensu.

Wracał do domu.

Wystrzały karabinów, śmiganie kul nad jego głową. A może to bryza szumiała w sitowiu? Powietrze stało w miejscu, tak czyste, że oddychając nim, czuł ból. Pola ryżowe właśnie się zieleńiły, ozdobny błysk zimorodka pośród krabich stawów. Spójrz tam, tuż za grzbietem tego wzgórze, stado czapli majestatycznych jak wiatr. Maću patrzył, jak wzbijają się w powietrze, i jego serce poszybowało z nimi, unosząc się ku niebu.

271

„Czuję się tak, jakbym miała parę skrzydeł - powiedziała mu. - Kochać cię to jak otrzymać dar latania. Dostać całe niebo do swojej dyspozycji,



by unosić się, dokąd tylko zechcę".

Powoli spływało na niego odrętwienie. Mocniej zacisnął dłoń na bagnecie, walcząc z ciemnością i starając się nie zamykać oczu. Tańczyły przed nim chorągwie ze złotego jedwabiu, łopoczące na wietrze. Prychanie koni, grzmiący tętent ich kopyt. Zimna, arogancka stal przecięła mu ciało. Ognista, pomarańczowa sierść tygrysa, który odwrócił się z rykiem, by spojrzeć mu w twarz, odcień nieba wczesnym rankiem, które nawet teraz zabarwiało wierzchołki gór. Wołała go, ich śmiech dźwięczał w bryzie. Pokręcił głową i z uśmiechem wyciągnął do niej rękę, lecz to było jak próba złapania żywego srebra. „Zaczekaj, wracam do domu.”

Potem próbował wymówić jej imię, czując, jak pierś gwałtownie wypełnia mu się ciecżą. Wysiłił się, zakaszłał, lecz kiedy w końcu udało mu się je wymówić, De-wi, było to zaledwie westchnienie, które nieusłyszane przez nikogo wślizgnęło się między skały. Spróbował jeszcze raz, usiłując resztką sił zaczerpnąć powietrza w płuca. Spostrzegł, że dotarli do nich posiłki, a Afgańczycy gromadnie uciekali przez wąski wąwóz.

- Tutaj! - krzyknął ktoś. - Znalazłem porucznika Balmera. Żyje!

Maću się uśmiechnął, w jego policzku mignął dołeczek i pierś zalała mu dzika radość.

- Jestem... - znowu zakaszłał i z ust wytrysnęła mu krew. - Wracam...

Pogromca tygrysa zastygł w bezruchu z otwartymi oczami, wpatrzony we wschodzące słońce. Jego uścisk rozluźnił się i bagnet w końcu wysunął mu się z dłoni, wzbijając kłęb pyłu, kiedy spadł na ziemię.

Setki mil dalej uderzając piękna kobieta zerwała się ze snu z sercem ściśniętym bezimiennym strachem. Pola wybuchły w eksplozji bieli, gdy czaple nagle wzbiły się do lotu. Woda stoczyła się po ich skrzydłach, dziobach i pazurach maleńkimi kropelkami, które, pędząc ku ziemi, odbiły pierwsze promienie słońca. Wyglądało to tak, jakby ptaki płakały, zalewając diamentowymi łzami miasto pogrążone jeszcze we śnie.

„Jestem twój na zawsze”.

Dewi stała w ogródku warzywnym, próbując pojąć, co się stało z pomidorami. Miała wrażenie, że urosły dosłownie przez noc.

Rośliny sięgały prawie tak wysoko jak drewniane patyki, do których zostały przywiązane.

- Poleciłem Tukrze, żeby pobielił je wapnem - cicho powiedział Dewanna, wskazując patyki. Zaczekał, a kiedy nie padła żadna odpowiedź, dodał: - Widzisz? Tutaj i tutaj, żeby nie zniszczyły ich termyty.

Rozejrzała się oszołomiona, jego słowa ledwie do niej docierały. Jak to możliwe, że urosły tak szybko? Przecież wyraźnie pamiętała, że posadziła je niespełna tydzień temu. Były wtedy krótsze niż dłoń.

- Chodź, Dewi, powinniśmy wracać do domu. Zanosi się na deszcz.

Nie odpowiedziała.

Takie dojrzałe, soczyste owoce. Wyciągnęła rękę w stronę wyjątkowo dorodnego okazu i sprawdziła jędrność miąższu.

- Pomidory... - powiedziała zamyślona, nadal na niego nie patrząc.

- Chcesz je zjeść na lunch? Tukra, zerwij kilka.

Pokręciła głową, ogarnięta nagłym zdenerwowaniem. Doprawdy, czasami potrafił być taki tępy.

- Pomidory. Nie widzisz, jak urosły? Posadziłam je raptem parę dni temu, a już... - Pomidory ciężko kołysały się na łodygach.

- Posadziłaś je trzy miesiące temu - wyjaśnił Dewanna łagodnym tonem. - Nie pamiętasz?

- Trzy miesiące? - gwałtownie się odwróciła. - Trzy miesiące?!

273

- Mamy już prawie październik, Dewi. Spójrz na niebo.

Niebo było delikatnie błękitne, wyblakłe od deszczu. Maću mówił, że niebo po deszczu ma kolor jaja majny.

- Październik? - zalała ją fala oszołomienia i Dewi zrobiła chwiejny krok w tył.

Tukra skoczył naprzód, gotów ją podtrzymać, ale znieruchomiał, gdy Dewanna pokręciła głową.

- Tak. Wkrótce nadejdzie pora festiwalu Kaweri - powiedział Dewanna ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy. Ostrożnie pokuśtykał w stronę żony. - Minęły trzy miesiące.

Dewi z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Nie. - To niemożliwe, że upłynęło już dziewięćdziesiąt dni. Wiedziała, że ją obserwują, wyczuwała ostrożność w ich spojrzeniu. „Idźcie sobie! - miała ochotę krzyknąć. - Wynoście się!”, ale nie powiedziała nic i tylko wpatrywała się w lśniącą czerwień spoczywającą w jej dłoni. Ścisnęła pomidora, który lekko ustąpił pod naciskiem.

- Dewi...

Jej dłoń zacisnęła się na owocu i pomidor wytrysnął, ściekając między palcami. Dewi odsunęła się od rośliny, patrząc z przerażeniem na poplamioną czerwień dłoń. Trzy miesiące, to niemożliwe, że upłynęły już trzy miesiące, odkąd... odkąd... W końcu odwróciła się do Dewanny i jej twarz zaczęła się wykrzywiać.

- Już dobrze, Dewi, już dobrze. - Stał obok niej i wycierał jej palce.

Dokładnie tak jak w dzieciństwie. Mówił coś i próbowała mu odpowiedzieć, ale dławił ją smutek i w końcu wtuliła się w niego i zaczęła łkać.

- Już dobrze - powiedział do jej włosów, trzymając ją mocno. - Chodź, musisz odpocząć. Niedługo Nandżu wróci ze szkoły, a przecież nie chcesz, żeby cię zobaczył w takim stanie.

Obudziła się w tej przejściowej porze między nocą a porankiem, kiedy w lesie panowała cisza, a zwierzęta odpoczywały już w swoich legowiskach, kiedy duchy tęsknie wzdychały do śpiących uszu, a bryza leżała skulona i czekała w koronach drzew. Głosy w głowie Dewi narazie ucichły, dzwonienie w uszach zamilkło. On odszedł. Smakowała tę prawdę, śledząc zimną stal słów. On odszedł, a jej pozostało tylko jedno. Leżała nieruchomo w łóżku, w kompletnym bezruchu czekała na poranek.

Dewanna próbował ją od tego odwieść.

- Dewi, co zamierzasz powiedzieć tej wdowie, na litość boską?

274

- Że ona nie ma pieniędzy, a ja tak. Że mogę zapewnić jej synowi znacznie lepsze życie niż ona. Tukra! - krzyknęła. - Zaprząłeś już konie, czy mam iść do wioski Kambejmadów piechotą?

- Ten chłopiec to jej jedyne dziecko - próbował jeszcze Dewanna.

- Tym bardziej powinna zadbać o jego dobro.

- Dewi...

- Dość tego. - Dewi odwróciła się do niego z błyskiem w oczach. Nie

wiedział, czy to błysk zdenerwowania, podniecenia, czy może czystego szaleństwa. - To nie twoje zmartwienie.

Nie chciała, żeby jej towarzyszył. Przez całą drogę do wioski siedziała wyprostowana jak struna z dłońmi złożonymi na kolanach. Znowu schudła, nabrała wręcz dziewczęcych kształtów. Obojczyki wystawały jej pod bluzką. Kogoś innego smutek mógłby postarzyć, ale u niej wyeksponował tylko przejrzystość skóry, sprawiając, że twarz wyglądała niemal eterycznie. Jedyne oczy, ciemne jak węgiel, zdradzały ukrytą w środku kruchość. Po śmierci Maću miała wrażenie, że świat stracił punkt oparcia. Był to odruch tak namacalny, że ledwie postawiła stopę na ziemi, grunt osuwał jej się spod nóg. Wspomnienie jego oczu, złotych, wypełnionych tak wielkim bólem. „Zostałbym przy tobie”. Ciemne ściany studni wirujące wokół niej, podziemny lej straty bez dna. Aż do ubiegłej nocy, kiedy nagle poczuła spokój.

„Appu”.

Wtedy zdała sobie sprawę, co powinna zrobić, wyczuła słuszność takiej decyzji w spokoju, który ogarnął jej kości. Maću odszedł. Ale Appu. To dziecko miało być jej, powinno było być ich synem. Po prostu chciała je zabrać do domu.

Dom był uderzająco mały. Dewi spojrzała na kurz pokrywający stół i zażenowana wdowa wyciągnęła rękę, żeby go zetrzeć. Potem kobieta się zarumieniła, kolor zabarwił jej policzki, gdy została przyłapana na tym małym akcie dumy.

- Więc po co przyjechałaś? - zapytała ze ściśniętym gardłem.

Właśnie wtedy weszło dziecko, ciągnąc za sobą drewnianego konika.

Dewi poczuła ukłucie w sercu. Był taki podobny do Maću. Chłopiec zauważył ją i przystanął, hałaśliwie ssąc kciuk. Wdowa wzięła go na kolana i delikatnie wyjęła krnąbrny palec z jego ust. Od razu spróbował

275  
włożyć go z powrotem, ale Dewi pochyliła się, próbując odwrócić jego uwagę.

- Nazywasz się Appu Kambejmada, prawda?

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Kim jesteś? - zapytał śmiało.

- Jestem... - zamilkła, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Mój ojciec zmarł.

Dewi przełknęła ślinę.

- Wiem, kunji.

- Muszę się teraz opiekować domem. Kazał mi, kiedy wyruszał w góry.

- Tak. - Uśmiechnęła się drżącymi ustami. - Popatrz, co tam jest.

Masz ochotę na cukierka? - Wskazała pudełko, które ze sobą przywiozła.

- Cukierki! Jakie? - niecierpliwie sięgnął po pudełko, ale wdowa odsunęła jego rękę.

- Nie. - Postawiła go z powrotem na podłodze. - Nie, Appu. Idź na podwórko i się pobaw. Grzeczny chłopczyk.

Przez chwilę rozczarowany Appu wyglądał tak, jakby zamierzał się kłócić, ale potem dzielnie pokiwał głową. Dewi przygryzła usta, nie potrafiąc oderwać wzroku od wychodzącego chłopca, który ciągnął za sobą postukującego na sznurku konika.

- Appu jest taki podobny do... Wygląda zupełnie jak... - zaczęła ochryplym głosem.

- Wypowiadał twoje imię - przerwała jej wdowa.

Dewi zastygła w bezruchu.

- Słucham?

- Maću. Wypowiadał twoje imię. - Oczy, które skierowała ku Dewii, były pozbawione życia. - W nocy, przez sen. A raz nawet, kiedy... Wypowiadał twoje imię.

Dewi spojrzała na nią wstrząśnięta, a kobieta roześmiała się bez cienia wesołości.

- Oczywiście nigdy się nie domyślił, że o tym wiem. Ach, ci mężczyźni! No więc - ciągnęła wdowa - po co tak naprawdę przyjechałaś, tyle miesięcy po śmierci mojego męża?

Dewi zaczerpnęła tchu, próbując nad sobą zapanować. Zmusiła się, by spojrzeć wdowie w oczy.

- Masz rację - powiedziała. - Nie przyjechałam jedynie po to, żeby złożyć kondolencje. Chodzi o Appu. Może zapiszesz go do szkoły misyjnej? Jest najlepsza w całym Kodagu, uczy się w niej mój syn. - Choć 276

starła się mówić spokojnie, słowa nerwowo wylewały jej się z ust, a ręce podskakiwały, dźgając powietrze. - Oczywiście opłacę chesne. Wiem, że szkoła jest zbyt daleko stąd, ale będzie mógł zamieszkać u mnie.

- Chcesz, żeby Appu... - Wdowa odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, który przypominał odgłos wydawany przez kredę przeciąganą po tabliczce. - Więc nie wystarczy ci, że zatopiłaś szpony w moim mężu, teraz chcesz także syna?

- Maću był szlachetnym człowiekiem! Po ślubie z tobą...

- Dzięki twoim czarodziejskim sztuczkom nawet po ślubie ze mną nie przestał o tobie marzyć. - Wdowa gwałtownie wstała. - Jestem zajęta. Musisz już iść.

- Zaczekaj! - Dewi gorączkowo szukała właściwych słów. - Pomyśl o dziecku. Nawet wojskowa renta... - wykonała gest w stronę zakurzonego stołu. - Mogę mu zaoferować znacznie lepsze życie niż ty. Wdowa przechyliła głowę i Dewi dostrzegła w tym ruchu coś, co przypominało kota.

- Czyżby? - zapytała przesłodzonym głosem. - Z tego co wiem, w szkole jest internat, prawda? Może w takim razie zapłacisz też za wikt i opierunek, a ja pošlę syna do szkoły?

- Nie! On potrzebuje domu. Przy mnie będzie...

Żyły na czole wdowy nabrzmiały, podkreślając wymizerowanie twarzy.

- Tutaj jest jego dom. Ja jestem jego matką.

Dewi wpadła w panikę. Tak łatwo się zdradziła. Zaczęła mówić jeszcze szybciej.

- Appu i mój syn będą dorastać jak bracia. Będziesz mogła go odwiedzać, kiedy tylko zechcesz.

- Oczywiście. Dostanie brata, twój mąż zastąpi mu ojca, a w dodatku będzie miał nie jedną, ale dwie matki. Dwie matki, które będą o niego walczyć, zmuszając do dokonania wyboru. Ja, rodzona matka, na zawsze zapamiętana jako ta, która go oddała, i ty, świątobliwa namiastka. Nie, nigdy.

- Proszę - rozpaczliwie zaklinała Dewi. - To dla dobra Appu, nie możesz mu zapewnić takiego życia jak ja. Maću chciałby tego dla swojego syna.

Po twarzy wdowy przemknął cień.

- Dla naszego syna - warknęła. - To także mój syn, nie wąż się o tym Zapominać. Twierdzisz, że możesz mu kupić życie, na jakie mnie nie stać? Pozwól, że coś ci powiem. Opowiadasz o swoim majątku z wielką

277  
pewnością siebie. A uprawiasz cudzą ziemię. Och, nie udawaj - dodała z goryczą, widząc kompletne zaskoczenie Dewi. - Nie zgrywaj takiej zaskoczonej, obie wiemy, że jesteś przebiegłą kobietą. Nari Malai. Czyż nie tak nazwałaś ziemię należącą do mojego męża? Tygrysie Wzgórza na cześć samego pogromcy tygrysa?

- To nie ma z nim nic wspólnego.

- Kłamiesz. To ma z nim bardzo dużo wspólnego.

- Nie - zaczęła Dewi, ale nagle urwała i krew odpłynęła jej z twarzy, kiedy fragmenty przeszłości w końcu zaczęły się układać w całość. „Dopilnuję - obiecał jej - żebyś dostała to, co ci się należy”. - Nie - szepnęła. - Niemożliwe, przecież to starszyzna...

- Ta ziemia należała do niego. Uparł się, żeby dali ją tobie. Nakłonił starszyznę, żeby wymyślili bajeczkę o datku dla świątyni, aby nikt nie poznał prawdy. - Wdowa gwałtownie siadła przy stole. A potem, chowając twarz w dłoniach, znowu zaczęła się śmiać.

- Ta ziemia była jego. Miał sto akrów i wszystkie oddał tobie.

Dewi siedziała oszołomiona w powozie wracającym do Madikeri i w uszach nadal pobrzmiwał jej ten okropny wdowi śmiech. Maću oddał jej swoją ziemię.

- Nari Malai - powiedziała nagle do Tukry. - Zawieź mnie na plantację.

Tukra odwrócił się i spojrzał na nią wystraszony.

- Ściemnia się, słońce...

- Do Nari Malai - powtórzyła podniesionym głosem.

Kazała Tukrze poczekać przy wejściu i otworzyła bramę plantacji.

Jego plantacji.

„To moje korzenie”, powiedział kiedyś, pokazując całe Kodagu rozciągnięte u ich stóp.

Wiatr zmienił kierunek i konie zatrzęsły grzywami, cicho prychając.

Dewi weszła na spowijającą się mrokiem plantację.

Zawsze wiedziała, że tutaj leży jego serce. Przygniecione czarną, ukochaną ziemią, otoczone lasami, na zawsze odcisnięte w tych wzgórzach.

„Twoje serce jest tutaj, wszędzie indziej byś usechł”.

A mimo to oddał jej swoją ziemię.

278

- Co ja narobiłam? - szepnęła, ogarnięta bólem. Nie musiałby wstępować do wojska, gdyby nie domagała się przynależnej Dewannie części majątku Kambejmadów. Nadal by żył. Tutaj. Chadzałby po tej ziemi. Opadała wieczorna mgła, spowijając okoliczne góry i kłębiąc się szaro nad ścieżką. Dewi potknęła się o wystający korzeń drzewa, zachwiała się, ale szła dalej. Wschodził księżyc w pełni, rzucając na mgłę pochyły blask. Zagłębiała się coraz bardziej, wiedzona nie tyle wzrokiem, ile instynktem.

W końcu zatrzymała się w samym sercu cichej plantacji.

- Maću! - zawołała. - Maću!

Mgła była coraz bliżej, przeciskała się między kawowcami i owijała wokół niej.

- Maću, wiem, że musisz... Twoje korzenie, twoje serce są tutaj. - Stała i czekała, lecz odpowiedziała jej tylko cisza. - Maću! - zawołała jeszcze raz, rozglądając się gwałtownie po spowitej mgłą plantacji. Zaczął padać chłodny deszcz. - Ty... Bez ciebie... - Deszcz padał, przyklejając jej włosy do głowy i tworząc strumyczki na plecach. - Wiem, że tutaj jesteś - powiedziała zrozpaczona. - Wiem. - Upadła na kolana, zacisnęła palce na mokrej ziemi, na jego ziemi, ryjąc paznokciami głęboko, głęboko, najgłębiej jak zdołała je wbić w czarną, piaszczysto-ilastą glebę, i zaczęła płakać. Dwa dni później Nandżu zobaczył, jak zbliżają się do domu w Madikeri.

- Awwaija! - zawołał. - Spójrz! - wskazał dwie postacie ledwie widoczne w deszczu, które podchodziły do drzwi. Deszcz smagał je, chłostał mocno, ale wdowa nie chciała wejść do środka.

- Obiecujesz, że dasz mu prawo przynależne z urodzenia? - zapytała tajemniczo, ale Dewi doskonale wiedziała, co wdowa ma na myśli. Nandżu z zaciekawieniem wyjrzał zza sari matki. Wdowa trzymała dłoń na ramieniu chłopca. Nandżu nie widział jego twarzy zasłoniętej podobnie jak plecy rozerwanym workiem jutowym dla ochrony przed deszczem.

- Nandżu, wracaj do środka - nakazała mu matka, więc niechętnie wycofał się do domu.

Następnie Dewi zwróciła się do wdowy.

- Tak - powiedziała, próbując nie wpatrywać się w chłopca i opanować drżenie głosu. - Obiecuję.

279

- Powierzam ci go. Zaopiekuj się nim, bo inaczej...

- Odwiedzaj nas - powiedziała Dewi i wesołość w jej głosie zabrzmiała fałszywie nawet w jej własnych uszach. - Kiedy tylko zechcesz.

Tajemniczy uśmiech wdowy nie objął jej oczu.

- Appu nigdy nie będzie musiał między nami wybierać.

Upadła na kolana i przytuliła syna, gładząc go po głowie i szepcząc do ucha czułe słowa. Następnie delikatnie wepchnęła go do domu, odwróciła się i zniknęła w deszczu.

Dewi zamknęła drzwi drżącymi rękami. Stała jak zahipnotyzowana, nadal nie wierząc w to, co się stało. Wpatrywała się nieobecny wzrokiem w kręte słoje drewna w drzwiach. Odwróciła się powoli, bardzo powoli, jakby nie była jeszcze pewna, czy to przypadkiem nie sen. Appu milczał, wytrzeszczając zalęknione oczy. „Ma twoje oczy, Maću”. W Dewi coś się poruszyło, bryza, która dotąd trwała w uśpieniu. Gorąca, pierwotna miłość zrodzona z jaskiń w dżungli i ze zwierzęcych matek. Silniejsza niż ta, którą darzyła Nandżu - gwałtowna, czuła eksplozja miłości rozkwitającej w pępku i płynącej ku temu dziecku. Delikatnie odwiązała woreczek zawieszony na jego szyi, ostrożnie rozplątując każdy supełek.

- Napijesz się gorącego mleka? - zapytała.

W odpowiedzi wsadził kciuk w usta.

- Chodź - powiedziała. - Dam ci trochę mleka, będzie bardzo gorące, na pewno zasmakuje mojemu kunji...

Appu odwrócił się w stronę drzwi, jakby dotarła do niego nieobecność matki. Jego piękne, płowe oczy wypełniły się łzami.

- No, już dobrze. - Dewi wzięła go na ręce. - Jesteś dużym chłopcem, prawda? - Smutno pokiwał głową. - W takim razie po co te łzy? Dużi chłopcy nie płaczą. - Pocałowała go w policzek i mocno przytuliła.

Wieczorem, kiedy dzieci położono spać i Nandzu usłyszał, jak Appu płacze w poduszkę, odwrócił się i poklepał go po ramieniu.

- Nie płacz - powiedział poważnie. - Moja awwajja jest bardzo miła. Zaopiekuję się tobą, zobaczysz. Powiedziała mi, że będziemy braćmi. Braćmi! Spij, a rano pokażę ci moje zabawki.

Ostatnie słowo należało do wdowy, która zadbała o to, by mimo zapewnionych przez Dewi warunków, na jakie jej nigdy nie byłoby stać, pierwsze miejsce w sercu chłopca na zawsze pozostało zarezerwowane dla

280  
rodzonej matki. Znalaziono ją trzy dni później na brzegu pola ryżowego. Jej ciało było wzdęte i obrzmiałe od gazu. Kremację zorganizowano w pośpiechu. Ciało eksplodowało na pogrzebowym stosie z głośnym hukiem. Dewi nic nie powiedziała, kiedy dowiedziała się o samobójstwie. Wzięła Appu na kolana, mocno go przytuliła i kołysała się w przód i w tył. Przerazenie i poczucie winy związane z samobójstwem wdowy przerodziły się w złość na tę kobietę, na jej tchórzostwo, a potem z powrotem w przerażenie i żal. Spojrzała na dziecko, próbując zapanować nad oddechem, i wtedy ta świadomość uderzyła ją z pierwotną siłą. Appu był już tylko jej. W końcu należał do niej.

Biedactwo, cmokali ludzie, rozmawiając o wdowie. Zawsze tak bardzo kochała męża, że nie potrafiła bez niego żyć. Jego długie nieobecności związane ze służbą w wojsku były dla niej wystarczającym ciężarem, a śmierć okazała się ponad jej siły. Skoczyła z chybliwego mostu nad Kaweri i zabiła się. „Cóż za bogini - powtarzali ludzie. - Ubóstwiona na ołtarzu miłości”.

Dewi zachowała swoje zdanie dla siebie, lecz choć stała się jedyną opiekunką Appu, takie słowa sprawiały jej ból. Dewanna dostrzegała cierpienie w jej oczach.

- Umarłym jest łatwo - pomstowali ludzie. - To żyjący cierpią po ich stracie.

Wiele lat wcześniej w szkole misyjnej wielebny Gundert opowiedział im historię o Chrystusie i jego najwyższej ofierze. Cała klasa zamilkła, oczarowana odmalowanymi przez wielebnego obrazami krwawiącego Chrystusa na krzyżu. Jedynie Dewanna wydawał się zakłopotany.

- Tak, Dew? - zapytał wielebny. - Chciałbyś o coś zapytać?

- Chodzi o to, że... co było z Maryją? Co się z nią stało po tym, jak Chrystus się poświęcił?

Nadal pamiętał cień, który przebiegł wtedy po twarzy Gunderta, nadając mu nagle wygląd osamotnionego człowieka.

- Ach, Dew - powiedział cicho. - Tylko nieliczni zadają to pytanie.

Masz rację: co się stało z Maryją? Ci, którzy odchodzą, cierpią, ale krótko. To ci, którzy pozostają, muszą tak naprawdę nieść krzyż.

1913

Nandzu! Gdzie się podziałeś? Aaj, Nandzu!

Zrezygnowana Dewi odwróciła się od kuchennych drzwi.

- Co za chłopak! Bez przerwy znika. Włóczy się nie wiadomo gdzie. Czternaście lat, wás mu się sypie, a nadal nie ma za grosz poczucia czasu.

Appu rozsiadł się przy oknie, zajęty ogromnym mosiężnym kubkiem mleka.

- Pewnie jest gdzieś w pobliżu - powiedział wesoło, stając w obronie Nandżu. - Może poszedł zajrzeć do prosiąt.

Dewi zacisnęła usta, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, z humkiem odłożył pusty kubek na parapet i beknął.

- A cóż to! - zganiła go Dewi, pociągając za ucho. - Czyżbym to ja cię nauczyła wydawać takie niegrzeczne odgłosy?

Appu znowu beknął, tym razem specjalnie, i szeroko się uśmiechnął.

- Małpie dziecko. - Dewi pokręciła głową, rozbawiona wbrew sobie. -

Idź poszukać Nandżu - powiedziała, odgarniając mu z czoła gęsty pukiel włosów. - Zanieś mu mleko. Tylko nie wypij go sam - dodała. - Już i tak wystarczająco się dzisiaj opileś.

Appu poszedł do ogrodu warzywnego. Rano Tukra zabił jamraja czającego się pod moringą. Był ogromny, wielki jak warchlak. Appu rozejrzał się z nadzieją, omijając poletko dyń, ale nigdzie nie zobaczył innych szkodników. Nieco zawiedziony zagwizdał na psy przywiązane do bud. Zaspiane otworzyły oczy i bez entuzjazmu zamerdały ogonami.

285

Pociągnął łyk mleka i powoli ominął kurnik i oborę, która o tej porze stała pusta, bo zwierzęta wyprowadzono na pastwisko. Zajrzał do chlewu, wywołując piszczącą, skłębioną i wirującą eksplozję podniecenia wśród prosiąt. Upił następny łyk mleka i zagwizdał na leżącą na boku starą maciorę, a ona wydała z siebie cichy pomruk. Gdzie był Nandżu?

„A! - pomyślał. - W ptaszarni”. Ruszył w stronę plantacji, mijając krzewy kawowców otaczające bungalów.

Ptaszarnia leżała w głębi plantacji, obok ogromnego pnia drzewa bochenkowego. Appu wolnym krokiem szedł wiodącą do niej prowi-zoryczną ścieżką, z nostalgią rozmyślając o słońiach. Tak naprawdę to właśnie przez nie zbudowano ptaszarnię.

Dwa lata wcześniej rozszalałe stado słońi stratowało plantację, zwa-bione zapachem dojrzewających dzakfrutów. Zjawiły się nocą i splądrowały plantację, podczas gdy robotnicy trzęśli się w barakach, a psy daremnie ujadły. Słonie otoczyły drzewa bochenkowe, by sięgnąć trąbą po kolczaste, dyndające owoce, a przy okazji stratowały mnóstwo krzewów kawowca. Appu uznał to zajście za dość emocjonujące, ale Dewi długo i głośno przeklinała słońie. Zatrudniła strażników, aby pilnowali granic plantacji, i uzbroiła ich w strzelby.

- Gdy tylko zobaczycie słońie, strzelajcie w powietrze - rozkazała.

Appu długo ją błagał, by pozwoliła i jemu patrolować plantację, ale nie chciała o tym słyszeć. Na wspomnienie tamtej odmowy zmarszczył brwi.

Z początku wszystko wskazywało na to, że strażnicy zdali egzamin.

Na dźwięk wystrzałów słońie zawróciły i poczłapały z powrotem, machając ze strachu uszami. Przez kilka następnych nocy mężczyźni stali na straży, ale nie było ani śladu słońi. Nie minął jednak tydzień i już w następny piątek stróże dali się zaskoczyć. Mieli właśnie dzień wolny i gromadnie wracali z knajpy, pijani i weseli. Później z przerażeniem



opowiadali Dewi, że słonie stały na środku drogi niczym sładzy samego Ganeśi, boga-słonia. Ogromne uszy przypominały liście jakiejś monstrualnej palmy, łopotały w przód i w tył, a masywne kły błysnęły, kiedy słonie wysoko uniosły trąby i zatrąbiły ku niebu. W tym momencie relacji Dewi dostrzegła Nandżu i Appu, którzy z rozdziawionymi ustami podsluchiwali zza drzwi.

- Wracajcie do domu - powiedziała surowo. - Natychmiast.

Później Tukra przekazał im resztę szczegółów. Słonie zaatakowały robotników, rozszarpując dwóch z nich na śmierć, a trzech następnych wrzucając do przydrożnego rowu.

286

Dewi próbowała przemówić robotnikom do rozumu. Wydarzyła się tragedia. Jednak w tych stronach nieustannie napotyka się słonie. W przypadku plantacji położonej tak blisko dżungli było to nieuniknione. „Nie - drżeli ci robotnicy, którzy przeżyli - to nie było przypadkowe spotkanie. To kara, precyzyjna i dobitna. Skąd słonie wiedziały, że należy zaatakować jedynie tych robotników, którzy pilnowali plantacji?" Nikt nie chciał dłużej stróżować i bez względu na to, co mówiła Dewi, mężczyźni nie dali się przekonać.

Pociągnęła wokół plantacji drut kolczasty wzmocniony zaostrozonymi kijami z bambusa i potłuczonym szkłem. Nazajutrz ślady słoni mówiły same za siebie. Zwierzęta wyrwały z korzeniami dwa athi, które podtrzymywały ogrodzenie. Padające drzewa pociągnęły za sobą część ogrodzenia. Wtedy słonie spokojnie weszły na plantację. Na odchodnym zostawiły Dewi prezent pożegnalny: rzędy podeptanych krzewów kawowca, wyrwanych z ziemi i z pogardą ciśniętych na bok.

Wiedziała, kiedy należy uznać swoją porażkę. Kazała pracownikom wyciąć drzewa bochenkowe, wszystkie co do jednego. Zaproponowała, by zabrali część owoców i zanieśli rodzinom. Dwanaście najdorodniejszych położyła w spiżarni: kilka do herbatki z miodem, parę na dżem, a resztę do posiekania w słupki, wysuszenia w słońcu, usmażenia na złoto w gorącym oleju i posypania solą oraz sproszkowanym chili. Większość owoców kazała ułożyć w kopcach na skraju plantacji. Był to pojednawczy gest, który słonie najwidoczniej przyjęły. Rankiem owoce zniknęły. Dewi z zadowoleniem pokiwała głową, patrząc na pozostawiony przez zwierzęta bałagan: rozrzucone zielone skórki, nasiona i kawałki niedojrzałych owoców.

- Spalcie to wszystko - rozkazała robotnikom. - A teraz, skoro słonie już wiedzą, że nie ma tu owoców, wytnijcie wszystkie drzewa bochenkowe, co do jednego.

Tamtego popołudnia chłopcy wrócili ze szkoły i powitał ich odgłos rąbania drewna. Appu od razu pobiegł w jego stronę, a Nandżu popędził tuż za nim. Appu patrzył zauroczony na robotników z piłami, którzy z potem ciekącym po plecach ścinałi drzewa, pracując w parach.

- Hej! - zawołał z błyskiem w oczach. - Ja też chcę spróbować.

Jednak gdy Nandżu ujrzał drzewa drżące pod ciosami robotników i lepkie soki wyciekające z rozerwanej kory, pobladł. Powoli się wycofał, mając w uszach ciągły, przejmujący jęk wydawany przez padające na ziemię drzewa. Gwałtownie zawrócił i pobiegł do domu.

287

- Nandżu! - zawołał zaskoczony Appu. - Dokąd biegniesz?  
Ruszył za nim, ale w tej samej chwili runęło kolejne drzewo. Z okrzykiem podniecenia odwrócił się do robotników.

- Słyszeliście, co powiedziałem? Dajcie mi piłę, ja też chcę spróbować!  
Dewi ze zdziwieniem podniosła głowę, kiedy do kuchni wpadł Nandżu.

- Co się stało? - zapytała. - Dlaczego twoja twarz zrobiła się mała jak u szczura?

-Drzewa - wybełkotał Nandżu. - Nie... nie mogę patrzeć, jak upadają.

Dewi wróciła do mieszania dżemu.

- To konieczne, kunji - powiedziała rozbawiona. - Chcesz, żeby za rok wróciły słonie?

- Wyglądały... te drzewa wyglądały jak starcy padający na ziemię.

- Och, nie gadaj głupstw! - Powiedziała to ostrzejszym tonem, niż zamierzała, ale czasami Nandżu naprawdę wygadywał straszne bzdury. - Starcy, też coś!

Stał, przygryzając usta i posepnie obracając w dłoni strąk fasoli, którą właśnie wyłuskiwała żona Tukry. Dewi westchnęła.

- Czasami zachowujesz się jak dziecko. - Otworzyła drzwi do spiżarni, wyjęła dwa laddu i położyła je przed synem. - Masz - powiedziała. - Jedz. - Pokręcił głową i zauważyła, że jest bliski płaczu. - Nandżu - zaczęła, próbując stłumić zniecierpliwienie pobrzmiewające w głosie, ale wtedy do kuchni wkuśtykał Dewanna.

- Co się stało? Cóż to za smutna mina?  
Nandżu powiedział mu o drzewach.

- Ach, wyrąb. - Dewanna przesunął łaskę i niezgrabnie się pochylił, żeby zmierzyć Nandżu włosy. - Widzisz, mama ma rację, musimy wyciąć te drzewa. Ale wiesz co? Zrobimy ptaszarnię. Appu, ty i ja. Wykorzystamy drewno z każdego drzewa, które zostało dziś ścięte. To będzie coś w rodzaju pomnika wzniesionego dla uczczenia ich pamięci. Co ty na to?

Nandżu spojrzął na ojca.

- Ptaszarnia? Jak to?

- Pomyślmy, potrzebujemy planu. Mam książkę, która bardzo nam pomoże. .. - Dewanna, nie przestając mówić, wyprowadził Nandżu z kuchni. Dewi wpatrywała się w nietknięte laddu na granitowym blacie i nagle przypomniało jej się pewne popołudnie sprzed lat. Chyba szakał wtargnął

288

wtedy do kurnika. Biedne pisklęta, tak bardzo po nich płakała. A po południu Dewanna zorganizował im pogrzeb. Połyskujący krabi strumień, trumna z liści i miękkich włókien drzewa...

Nagle ogarnął ją smutek i nie wiedząc, dlaczego to robi, podniosła laddu i wyrzuciła je do śmieci.

Dewanna powiedział chłopcom, żeby przeszli się po plantacji i znaleźli najstarsze powalone drzewo, takie, które ma najwięcej słoju w pniu.

- Obok niego zbudujemy ptaszarnię - zapowiedział.

Budowa zajęła prawie siedem tygodni. Powstała ogromna, zdobiona struktura wyposażona w liczne poidelka i karmniki. Dewanna pole-

cił Nandżu i Appu napełnić pojemniczki wodą, kukurydzą i ziarnami, a w każdej z rynienek umieścił małą bryłkę miedzi, żeby nie zarosły algami. Po kilku nieśmiałyach podejściach w ptaszarni pojawili się pierwsi goście. Dławiki z onyksowymi ogonkami i mniszki z białymi kuperkami, fioletowoskrzydłe centropusy, bułbule z czerwonymi baczkami i dzięcioły o oliwkowych dziobkach. Tłoczyły się przy pojemniczkach i wypełniały okolicę śpiewem.

„Na pewno znajdę tam Nandżu”, pomyślał teraz Appu, wchodząc głębiej w plantację.

- Nandżu!

- Cii. - Nandżu odwrócił się do niego na wpół rozgniewany i na wpół uśmiechnięty, zbliżając palec do ust. - Przestań hałasować jak słoń, wystraszysz ptaki.

- Nie słyszałeś, jak wołała cię awwajja? Masz, to twoje mleko.

Appu usadowił się na trawie obok brata.

Nandżu zauważył uszczuploną zawartość kubka i na żarty trzepnął Appu w ucho, strącając mu z głowy czapkę.

- Co?! - zawołał Appu, sięgając po czapkę, która potoczyła się po trawie. - Nic nie wypilem! - Wyrzepał czapkę i wesoło włożył ją z powrotem na głowę. - No, może odrobinę - wyznał z szerokim uśmiechem.

Rozbawiony Nandżu pokręcił głową. Pociągnął łyk, a potem wytarł usta grzbietem dłoni i podał kubek Appu. - Pij.

Odprężeni bracia oparli się od pień drzewa bochenkowego. Chłonęli Promienie słońca i podawali sobie kubek z mlekiem, słuchając gruchania i nawoływań ptaków, które pluskały się w wodzie, wzbijając w powietrze kropelki wody.

289

Minęły prawie cztery lata, odkąd przeprowadzili się na stałe do Nari Malai, wkrótce po tym, jak wdowa po Maću zostawiła Appu u Dewi. Wszyscy byli zdumieni tym, jak bardzo to dziecko odmieniło Dewi. Jego przybycie wyrwało ją z odrętwienia wcześniejszych miesięcy. Przepelniona nowym poczuciem sensu, kazała pomalować dom w Madikeri i zamówiła nowy komplet mebli z Majsuru. Mimo to czegoś brakowało. Wtedy doznała objawienia - problem tkwił w samym domu! Dewi nie lubiła go od chwili, w której się wprowadzili, lecz nie wiedzieć czemu przez te wszystkie lata nigdy nie przyszło jej do głowy go opuścić. Z początku brakowało im pieniędzy na zakup bardziej odpowiedniego domu. Ale nie wyprowadzili się także później, gdy mieli ich aż nadto. Po części była to wina apatii wynikającej z przyzwyczajenia, która z upływem lat otoczyła ich jak kokon. A po części celowo pogodziła się ze wstrętem do tego domu, z pogardą dla jego mrocznych, przyciasnych pomieszczeń. Przytuliła go do siebie jak cierń, a codzienne niedogodności stały się dla niej przewrotnym znamieniem wszystkiego, co było dawniej i co już nigdy nie miało powrócić. Appu okazał się zaklęciem, które zdjęło klątwę. Trzymając go w objęciach, Dewi spojrzała na dom z nowym niesmakiem. „Ciemno tu jak w ubojni”, pomyślała kąśliwie. Dzięki poprzedniemu właścicielowi woń ryb i kurzego tłuszczu zdawała się przenikać dom na wskroś. Dewi zastanawiała się ze zdumieniem, dlaczego wcześniej nie przyszło jej do

głowy, żeby się wyprowadzić.

- Nari Malai - radośnie oznajmiła rodzinie. - Przeprowadzimy się na plantację. Wiesz, że twój ojciec był pogromcą tygrysa, kunji? - zwróciła się do Appu. - Zabił tygrysa praktycznie gołymi rękami.

- Dewi... a co ze szkołą Nandżu?

Odpowiadając, nawet nie spojrzała na Dewannę.

- Wszystko już ustalone. Zamówiłam nowy automobil z Majsuru. Możemy zatrudnić kierowcę, który codziennie rano będzie woził chłopców do Madikeri.

Nari Malai! Chłopcy byli ogromnie podekscytowani wizją zamieszkania na plantacji, ale mimo to, gdy nadeszła pora, by opuścić Madikeri, Nandżu nagle posmutniał. Dewanna znalazł go zwiniętego w kłębek na podłodze pod łóżkiem. Odchylił narzutę i roześmiał się.

290

- Kogo my tu mamy? Wyjdź, mały uciekinierze, zanim znajdzie cię awwaija. - Przyciągnął do siebie Nandżu. - Wiem, jak się czujesz - powiedział z czułością w głosie. - W końcu to jedyny dom, jaki znasz. Ale teraz przeprowadzamy się do nowego domu, ty i Appu będziecie mogli się bawić na plantacji, kiedy tylko...

- Cieszysz się, że wyjeżdżamy, appaija? - zapytał Nandżu.

- Twoja matka się cieszy - odpowiedział Dewanna z prostotą - i tylko to się liczy.

I rzeczywiście, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Dewi czuła się szczęśliwa. To było szczęście, a nie jedynie brak nieszczęścia albo odgrodenie się od smutku niczym żelazna pokrywa naciągnięta na ziejącą paszczę studni. To było SZCZĘŚCIE. Niespodziewane, nieuzasadnione odepchnięcie - częściowe, ale mimo to odepchnięcie - wszystkiego, co się wydarzyło wcześniej. Budziła się w niej coraz większa radość, aż w końcu Dewi zamarła w pół śmiechu, przerażona, że znowu zostanie jej to wszystko odebrane.

W pierwszych dniach spieszyła do sypialni chłopców z łomoczącym sercem. Potem stała obok ich łóżka, śmiertelnie wystraszona, przepełniona szaloną pewnością, że Appu po prostu przestanie oddychać, najnormalniej w świecie, a ona straci go w mgnieniu oka. „Ja to wiem, ja to wiem...”, lecz po chwili Appu przewracał się na drugi bok, uśmiechając się do jakiegoś snu. Powoli panika ustępowała. Jego pierś unosiła się i opadała, unosiła i opadała, kołysząc jej oczy swoim hipnotycznym rytmem. Serce Dewi wypełniało się miłością tak gwałtowną, że ledwie mogła oddychać.

Prawie udało jej się zapomnieć, że Appu zrodził się z innej kobiety.

Tylko czasami, kiedy niespodzianie odwracał głowę albo patrzył na nią w ten swój charakterystyczny sposób, przypominała sobie o jego matce. Jednak nawet ten nagły przyptyw niepokoju został zduszony, kiedy Appu zaczął nazywać ją - i tylko ją - swoją awwaiją.

Pewnego razu, niedługo po jego przybyciu do Madikeri, wracała do domu z plantacji i Nandżu wybiegł, żeby ją powitać.

- Awwaija przyjechała, awwaija przyjechała!

Appu, owładnięty ogólną radością, zawołał razem z nim:

- Awwaija przyjechała!

Nandżu wybuchnął wtedy z nietypową dla siebie wrogością.

- To nie jest twoja awwaija! - zawołał. - Nie nazywaj jej tak.

291

Dewi nie zganiła Nandżu, roześmiała się tylko i wzięła Appu na rękę. Pocałowała go w policzek.

- Ależ niemądry ten Nandżu. Mówi, że nie jestem twoją matką. Oczywiście, że jestem twoją matką. A ty, moje słońce i mój księżycu, jesteś moim cudownym, ukochanym dzieckiem.

Przeprowadzka do Nari Malai stała się dla Dewi ostatnim elementem układanki. To była ziemia Maću. Jego syn powinien tam dorastać. Powinien poznać każdą wypukłość i każde wgłębienie plantacji. Drzewa powinny rozpoznawać tupot jego nóg, a bryza poruszająca krzewami kawowca zarys jego dłoni, barwę jego głosu.

Rodzina tak doskonale zżyła się z plantacją, że trudno było pojąć, iż kiedykolwiek mieszkała gdzieś indziej. Dewi kazała naprawić bungalow i zbudować nowy dach. Stary dół na śmieci, w którym roilo się od os, został zasypany, a na jego miejscu wzniesiono wychodek wyposażony w nocniki zdobione błękitną obwódką. Zatrudniła artystę z Majsuru, żeby namalował na ścianie w pokoju dzieciennym ogromnego tygrysa, który z błyskiem w oku obserwował śpiących chłopców.

Nandżu i Appu polubili życie na wsi jak dwie ryby wypuszczone ze stawu do bezkresnego jeziora. Biegli na plantację, gdy tylko wzeszło słońce, i truchtali pośród kawowców, aż ziemia zaczynała pulsować od ich śmiechu. Dewi słuchała tego, stojąc na werandzie, i uśmiechała się. Czasami, kiedy spoglądała na niebo, wyobrażała sobie niewyraźny zarys sylwetki wojownika ze strzelbą spoczywającą w jednej ręce i z wysoko uniesionym odikathi w drugiej.

- Twój syn jest w domu, Maću - szeptała wtedy. - Nasz syn... jest tu, gdzie jego miejsce.

Często opowiadała Appu o Maću.

- Zginął w boju - mawiała, kiedy przechadzali się po zielonym areale, ona i jej chłopcy. Nandżu i Appu milkli, gdy opowiadała o bitwie stoczonej w dalekich górach. - To najbardziej honorowa śmierć, śmierć wojownika. Twój ojciec... umarł jako bohater, kunji. - Mały Appu szedł wyprostowany i słuchał, nieświadomie wypinając pierś, zaciskając pięści u boku. Brała go wtedy za rękę, delikatnie otwierała zaciśniętą dłoń i zataczała ręką szeroki łuk. - Teraz jest jednym z nich, jednym z wirów, które chronią tę ziemię.

292

Kiedy Appu skończył sześć lat, Dewi zadbała o to, by również został przyjęty do szkoły misyjnej.

- Porozmawiaj z wielebnym - powiedziała do Dewanny. - Nie wiem, dlaczego nie utrzymujesz z nim kontaktu. Kontakty to ważna rzecz. Dewanna nie odpowiedział, ale za jej namową w końcu usiadł, aby napisać do wielebnego list. Było to trudne zadanie. Później, odrzuciwszy wiele wersji, zdecydował się na oficjalny ton i ograniczył się do przedstawienia niefortunnnych okoliczności, w jakich Appu trafił pod ich opiekę. Opisał heroizm ojca chłopca, a nawet zaferował, że w razie potrzeby postara się o referencje z batalionu. Stalówka na chwilę zawisła nad listem, zanim go podpisał. W końcu zdecydował się na: „Z wyrazami szacunku, były uczeń Dewanna Kambejmada”.

Dewanna wpatrywał się w kartkę, a potem przedarł ją na pół i wyrzucił list do kosza. Wieczorem, kiedy Dewi zapytała, czy go wysłał, chwilę się zawahał, a potem wymijająco machnął ręką.

Mijały tygodnie i nie doczekawszy się odpowiedzi na nigdy niewysłany list, Dewi spróbowała innej taktyki. Ubrała Appu w najlepszy strój: nowiutkie szorty i koszulę przywieziona z angielskiego sklepu odzieżowego w Madikeri. Przygładziła mu włosy olejkiem kokosowym i wodą, a Dewanna nauczył chłopca, jak powitać wielebnego po angielsku. Dewanna próbował się wymigać od wizyty w misji, ale Dewi nie chciała o tym nawet słyszeć.

- Musisz z nami jechać - nalegała. - Byłeś ulubieńcem wielebnego.

Musisz z nim porozmawiać w imieniu Appu.

Dawne nowicjuszki, teraz już zakonnice, otoczyły Dewannę niczym pulchne, siwiejące gołębie w habitach. Dewi z dziwnym rozczuleniem patrzyła, jak nad nim gruchają.

- Czuję się dobrze, czuję się dobrze - zapewniał je z uśmiechem, a jego twarz nagle straciła mizerny wygląd. - Proszę spojrzeć - ciągnął, wypuszczając łaskę z dłoni - potrafię stać bez oparcia, a nawet zrobić kilka kroków.

- Gdzie się podziewałeś, dziecko? - dopytywały się. - Zupełnie o nas zapomniałeś. Mieszkasz tak blisko, a przez te wszystkie lata ani razu nas nie odwiedziłeś. Nie chciałeś się zobaczyć z wielebnym? Postarzał Się» potrzebuje towarzystwa młodych ludzi.

- Słyszałem, że miał udar... - powiedział z wahaniem, a jedna z zakonnice pokręciła głową.

- Dwa. Dwa udary, jeden po drugim. Z bożą pomocą przeżył obydwaj, ale tak bardzo nas wystraszył. - Westchnęła. - Teraz już prawie nie wychodzi, siedzi w gabinecie i pracuje. Ale po co ja tyle paplam? Będzie zachwycony, że przyjechałeś.

Popędziła korytarzem wyłożonym kafłami na wzór szachownicy, a po drodze zawołała do Dewi:

- Dewi, twój syn Nandzu to uroczy chłopiec! Tak bardzo przypomina nam swojego ojca. - Czułość w oczach Dewi natychmiast zgasła. Dewi spojrzała przez okno na kołyszące się gerbery.

Po chwili zakonnica wróciła, nerwowo skubiąc habit.

- Dziecko - zaczęła zakłopotana - wielebny... on... on jest teraz zajęty.

Czy mógłbyś... czy mógłbyś zostawić mu list?

- Jeden już wysłał - wtrąciła się Dewi - i nadal czekamy na odpowiedź.

Och, to śmieszne. - Nie czekając, ruszyła korytarzem.

- Dewi! Dziecko! Nie możesz tak po prostu tam wejść. - Wystraszone zakonnice łopotały habitami, biegnąc za Dewi i próbując ją odwieść od powziętego zamiaru, lecz ona już pukała do drzwi wielebnego.

Zaskoczony odwrócił się od regału.

-Kto...?

- Dewi. Być może mnie wielebny nie pamięta, ale z pewnością pamięta mego męża, Dewannę Kambejmadę. Dawniej wielebny nazywał go De w.

Wielebny spojrzął ponad jej ramieniem na stojące z tyłu zakonnice.

- Wszystko w porządku - powiedział do nich. - Czy mogłyby siostry zamknąć drzwi?

- Dewanna napisał list. Dlaczego wielebny nie odpowiedział?  
Zaskoczony Gundert zmarszczył brwi, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Dewi ciągnęła dalej:

- Czekaj na zewnątrz. Dlaczego wielebny nie wyszedł, żeby się z nim zobaczyć?

Gundert spuścił wzrok na książkę, którą trzymał w dłoni. Słońce wlewało się do gabinetu przez wykrochmalone zasłony, których szydełkowe krawędzie rzucały na ściany i podłogę ząbkowane wzorki w kształcie kółek i serc. Światło odbiło się od pochylonej głowy wielebnego, ukazując patchwork różowej skóry pod rzednącymi siwymi włosami.

- Jestem zajęty.

- Zbyt zajęty, żeby się przywitać? On tak wielebnego podziwiał. Bez przerwy o wielebnym mówił. Myślał tylko o tym, czego się tutaj uczył.

O drzewach, kwiatach i poezji. Do dzisiaj go to fascynuje. A wielebny nawet nie wyjdzie, żeby go zobaczyć?

Gundert tak mocno ścisnął książkę, że jego palce zrobiły lekkie wgłębienia w skórzanej okładce.

- Rozumiem - skwitowała Dewi, kiedy nie odpowiedział. - Niech i tak będzie. Przejdźmy zatem do konkretów. Buduje wielebny nowe skrzydło szkoły, prawda? Słyszałam o zbiórce datków na sfinansowanie tego przedsięwzięcia. Ile wielebny potrzebuje?

Gundert spojrzał na nią. Kiedy przemówił, ton jego głosu był zupełnie bezbarwny.

- Tysiąc.

- Załatwione. - Dewi odwróciła się do drzwi. - Polecę bankowi, żeby się tym zajął. W zamian trzeba przyjąć do szkoły pewnego chłopca. - Głęboko się ukloniła. - Miłego dnia, wielebny.

Dewi opuściła szkołę, nie oglądając się za siebie, ale Dewanna przystanął przy bramie i osłonił dłonią oczy, by spojrzeć na okna w gabinecie wielebnego. Stał, a jego serce boleśnie pompowało krew, lecz w żadnym z okien nie dostrzegł Gunderta. Odwrócił się i na jego twarzy znowu odmalowało się dawne napięcie. Nie zauważył lekkiego poruszenia firany w gabinecie. Ruchu, jaki może wywołać starzec, który stoi z ciężkim sercem, a potem pospiesznie odsuwa się od okna, żeby nikt go nie zauważył. W powozie w drodze do domu Dewanna zapytał o wielebnego. Czy dobrze wyglądał?

Dewi pokręciła głową.

- Wydawał się bardzo słaby. Był taki skurczony. Załamane oczy. Nie mogę uwierzyć, że kiedyś tak bardzo się go bałam.

- Czy on... to znaczy, czy on...

Dewi wahała się tylko przez chwilę.

- Pytał o ciebie - powiedziała wesoło. - Chciał się dowiedzieć, jak się miewasz, jak sobie radzisz. Porozmawiałby z tobą, ale właśnie przyjmował w gabinecie jakichś gości.

Dewanna pokiwał głową, wiedząc, że skłamała, ale mimo to odczuł dziwną ulgę.

Następne lata upływały im w spokoju, otulone swobodnym językiem młodości i dokonaniem dwóch wspaniałych synów. Choć żaden z chłopców nie dorównał akademickim zdolnościom De-

wanny, Appu bardzo wcześnie wykazał się wyjątkowym talentem sportowym, zostając najmłodszym uczniem w historii szkoły misyjnej, który dostał się do drużyny juniorów krykieta. Kiedy w Kodagu zapanowała moda na hokej, dziesięcioletni Appu od razu się nim zachwycił. Rok później bez większego wysiłku dostał się i do tej drużyny juniorów. Młodzi hokeiści przeszli przez turniej okręgowy, budząc tak wielkie poruszenie wśród lokalnych mieszkańców, że w dniu finału wokół boiska brakowało nawet miejsc stojących. Wyglądało to tak, jakby całe Kodagu postanowiło obejrzeć mecz i na własne oczy ujrzeć talent młodego Kambejmady, o którym tak dużo słyszeli. Appu nie sprawił im zawodu, zdobywając dwa kluczowe gole.

Dewi nie potrafiła ukryć dumy, kiedy Appu odbierał puchar dla najlepszego zawodnika turnieju.

- Spójrz na niego, tylko na niego spójrz! - szeptała rozradowana do taji i staruszka odpowiedziała jej uśmiechem.

- Co za mecz! - powiedział ktoś, podchodząc, by pogratulować Dewannie. - Ten chłopak ma wrodzony talent, musisz być z niego dumny.

- I to bardzo - odpowiedział rozpromieniony Dewanna.

- Szczęściarz z niego - ciągnął mężczyzna, spoglądając zazdrośnie na półbuty Dewanny. - Gdzie by dzisiaj był, gdyby nie ty? Żadnych

296  
rodziców, żadnej ziemi, żadnych perspektyw... Miał szczęście, że go przygarnąłś.

- Appu jest moim synem tak samo jak Nandżu - odpowiedział zakłopotany Dewanna. - To my, ich rodzice, jesteśmy szczęściarzami.

- Cóż, miał wielkie szczęście, że znalazł takich opiekunów. Cóż za hojność...

- Appu nie jest podopiecznym, to mój syn - oschle wtrąciła Dewi. - Jego ojciec był pogromcą tygrysa. Bohaterem wojennym. Widział pan, jak Appu gra? Jak pan zauważył, ma wrodzony talent. Ma go we krwi. Żadna hojność nie zdołałaby go zastąpić.

- Dlaczego mówisz takie przykre rzeczy? - zganiła ją później taji.

Dewi zmarszczyła brwi. Nadal była zasmucona słowami tamtego mężczyzny. Minęło tyle lat, a ludzie nadal nie chcieli uznać Appu za jej syna. Dzień był parny, w ciężkim powietrzu wisiała groźba burzy. Ból głowy, który ignorowała przez cały poranek, gwałtownie się nasilił.

- O co ci znowu chodzi?

- Przy każdej okazji szybko podkreślasz, że Dewanna nie jest ojcem Appu. Pomyśl, jak Dewanna musi się wtedy czuć. Traktuje Appu jak własnego syna od dnia, w którym chłopiec zamieszkał w waszym domu.

- Appu jest synem Maću - oznajmiła Dewi beznamiętnym głosem.

- A ty jesteś jego matką? Rozumiem. W takim razie gdzie tu jest miejsce dla Dewanny? Albo dla Nandżu?

- Co masz na myśli? Nandżu też jest moim synem.

- Daj spokój, Dewi. Wiesz, że faworyzujesz Appu, zawsze tak było. A czy mimo to Dewanna choć raz się temu sprzeciwił? Nigdy, pomimo bólu, jaki musi mu to sprawiać.

- Pytasz, czy się sprzeciwił? - Dewi przycisnęła palce do pulsujących skroni i nagle wypełniła ją złość. - Z jakiego powodu miałby się sprzeci-



wiać? Chcesz porozmawiać o Nandżu? Dobrze. Przyjrzyj mu się uważnie, taji, i przypomnij sobie, tak jak ja przypominam sobie za każdym razem, kiedy na niego patrzę, w jaki sposób nasienie jego ojca zakiełkowało w moim łonie.

Taji zbladła i odwróciła się do zlewu.

- Dlaczego się odwracasz? To dla ciebie zbyt bolesna prawda?

Taji zaczęła odkładać garnki i patelnie, głośno nimi pobrzękując.

- Dość tego. Dlaczego ciągle wracasz do przeszłości? Ona już minęła, Dewi.

297

- Masz rację. Odsuńmy ją zgrabnie na bok i udawajmy, że nic się nie stało. Tak, przeszłość już minęła. Maću też odszedł na wieki. A Dewanna kuśtyka po tym domu i... i ciągle mi przypomina o wszystkim, co straciłam.

Za oknem robiło się ciemno. Nagle ucichł śpiew ptaków, które pospiesznie odleciały ku swoim schronieniom.

- Dewanna zawsze cię kochał - powiedziała zrozpaczona taji i. - Odkąd byliście mali.

- Kochał mnie. Widocznie kochał mnie jakąś niewydarzoną miłością, skoro przysporzył mi tyle cierpienia.

Ręce taji zadrżały.

- Co się stało, to się nie odstanie. Przeszłość minęła. Spójrz przed siebie, w przyszłość. Ta gorzycz... Mój pączusku, moje kochane dziecko, bądź jak kwiat. Piękno kwiatu tkwi w słodczy, którą ma w sobie, w zapachu, którym dzieli się z wiatrem.

Zagrzmiało, kiedy pierwsze krople deszczu rozprysły się na piasku, a od strony plantacji zapachniało chłodem świeżo zwilżonej ziemi. Dewi znowu pomasowała skronie.

- Moja głowa - powiedziała zmęczonym głosem. - Pójdę chwilę odpocząć. Masz rację, taji, powinnam patrzeć w przyszłość. Iguthappa jest łaskawy i zostałam pobłogosławiona. Syn Maću. Appu... Bóg podarował mi przyszłość.

Za kuchennymi drzwiami Appu wynurzył się z cienia i cicho odszedł, stapiając się z mrokiem domu.

Dewanna obudził się w środku nocy z uśmiechem na ustach. Po omacku przeszukiwał umysł, próbując odtworzyć zapach, który spowił jego sny, lecz ta nęcąca woń, kropla po kropli, wyciekła mu między palcami. Pamiętał, że przeskakiwał przez krabi strumień, że jego nogi odbijały się od mokrego błota. Ona się śmiała, jej śmiech miał barwę wody, czystego, nieskażonego srebra. Zaspany odwrócił głowę. Za oknem sypialni migotały świetliki, kreśląc wzory na nocnym aksamicie. Świeciły i gasły, przesuwając się i mijając zgodnie z kodeksem niezliczonych iskierek. Kwiat bambusa! Dewanna gwałtownie otworzył oczy. Kwiat, który wiele lat temu pokazał mu wielebny. Pamiętał zapach uwięziony w wysuszonych płatkach, jego odurzającą pełnię.

298

Głębszy niż woń róży.

Bardziej piżmowy niż zapach jaśminu.

Bambusea. Indica. Dewi.

Jak mógł o nim zapomnieć przez te wszystkie lata?

Tamtej nocy już nie zasnął. Gdy tylko pierwsze promienie słońca przecięły niebo, niecierpliwie zastukał laską w podłogę, żeby Tukra pomógł mu wstać z łóżka.

- Szybko, Tukra, czeka na nas kwiat, który trzeba odkryć.

Kiedy Dewi zeszała na dół, ku swojemu zdumieniu ujrzała robotników z plantacji, którzy z powagą zebrali się wokół Dewanny na trawniku. Wyjaśnił im, że poszukuje pewnego kwiatu. Wielkiego jak pięść i wydzielającego boski zapach.

Kwiat był rzadki, bardzo rzadki, i rósł ukryty w bambusowych zaroślach.

- Znajdźcie go dla mnie - powiedział - a zostaniecie hojnie wynagrodzeni. Ale pamiętajcie, potrzebuję całej rośliny, z korzeniami i ze wszystkim.

Robotnicy pokręcili głowami, speszeni tak dziwacznym żądaniem, ale pragnęli pomóc swojemu panu, który zawsze miał dobre słowo dla nich i dla ich dzieci, kiedy cierpliwie opatrywał im rany, otarcia i leczył z różnych chorób. Zapewnili go, że popytają krewnych, którzy pracują na innych plantacjach, oraz tych, którzy nadal żyją w dziczy. Kwiat z pewnością zostanie znaleziony.

Nandżu i Appu domagali się udziału w przedsięwzięciu. Z przejęciem włączyli się po plantacji i przetrząsali bambusowe zarośla otaczające staw, lecz oprócz dwóch przerażonych węży, które natychmiast zostały rozszarpane przez psy, niczego nie znaleźli.

- Ale gdzie, gdzie on rośnie? - pytał zniecierpliwiony Appu, a Dewanna się uśmiechał. Unosił laskę i pokazywał góry, zamglone w oddali.

- Prawdopodobnie tam. Ale niemądrze byłoby przeoczyć go tutaj, na naszej własnej plantacji, prawda?

Dewanna znowu zaczął prowadzić rejestr znajdowanych roślin, rozprasowując okazy, kiedy zbyt zdrętwiałe palce uniemożliwiały malowanie. Poświęcał całe godziny na szukanie informacji w książkach i porównywanie ich, utrwalając gatunek i rodzaj każdego okazu na miedziorycie, który czasami podskakiwał i wyslizgiwał się w połowie bez względu na to, jak bardzo Dewanna próbował zapanować nad dłońmi.

299

Kiedy wyczerpał możliwości znalezienia nieudokumentowanego zarodnika na terenie Nari Malai, jego spojrzenie padło na sąsiedni las. Co piątek, po południu, kiedy robotnicy mieli wolne, Tukra wioził go na jeden ze szlaków. Chłopcy zdążyli już stracić zapał. Dewi zauważyła rozczarowanie na twarzy Dewanny, kiedy ich zawołał i nawet Nandżu nie chciał mu towarzyszyć.

- Jedźcie z nim, małpie dzieci - zgaśniła ich. - Ciągłe włączycie się po plantacji jak jakieś obdartusy, więc czemu nie możecie pospacerować z appaiją?

Dewanna się uśmiechnął.

- Nic nie szkodzi. Skoro nie chcą iść, nie zmuszaj ich.

Dewi teatralnie wzruszyła ramionami, jakby chciała się zdystansować od wsparcia, którego właśnie udzieliła mężowi.

- Jak sobie chcesz. Nie rozumiem tych twoich obsesji. Łazić po lesie! Bądź ostrożny. Zapomniałeś, że grasują tam słonie?

Dewanna znowu się uśmiechnął i zaczął coś mówić, ale Dewi weszła do domu.

Również i tym razem kwiat bambusa nie chciał mu się ukazać. Mimo to las oferował bogactwo roślin. Dewanna znalazł orchidee ze szkarłatnymi koniuszkami, które posadził wokół drzew otaczających dom. Natknął się na przepastne, ukryte łąki dzikich kwiatów, których naręcza przynieśli żonie Tukry, aby ozdobiła lampki modlitewne i wypełniła mośiężne urny w pokojach. Pewnego razu znalazł wgłębienie wypełnione młodymi drzewkami sampige, które potem posadził wzdłuż trawnika w Nari Malai. Innym razem wrócił z mnóstwem dzikich róż. Powoli, mimo braku konkretnego planu, prawie przez przypadek, zaczęły powstawać ogrody Nari Malai, które miały budzić podziw przez wiele dziesięcioleci.

Tkwiło w nich dziwne, dzikie piękno. Do Dewanny nie przemawiała wypielęgowana doskonałość rabat i treliarzy. Była tam ściana wonnych *Cestrum nocturnum*, a obok niej zwarty gąszcz dzikich kwiatów. Rozrastały się nieokiełznane u podstawy ogromnego banjanu, któremu pozwolono na rozpostarcie szerokich, ozdobionych papugami gałęzi nad trawnikiem. Był tam również pełen zakamarków ogródek skalny upstrzony miniaturowymi bonsai pomarańczy i dzikich drzew mango. Dewanna kazał robotnikom przynieść gładkie czarne kamienie rzeczne i zbudował z nich zdumiewający, wielopoziomowy staw. Zaczynał się u góry, tworząc ogromny owal, który zwężał się u podstawy w szeregu

300  
coraz mniejszych, równo rozplanowanych półokręgów schodzących w dół. Dewanna zasadził lotosy na różnych poziomach i kwiaty pulsowały kolorem na tle głębokiej czerni kamieni.

Zaprojektował altanę z drewna, którą obsadził nie różami, lecz wspinałymi, spienionymi bugenwillami. Jeśli wiedziało się, gdzie spojrzeć - w górę, na sam szczyt altany - dostrzeżało się napis delikatnie wyryty w drewnie i prawie całkiem przysłonięty kwiatami:

Kocham cię z namiętnością, jaką w życia próg  
Wchodząc, miałem dla trosk mych. Iz ufnością dzieci\*.

Były tam dzikie orchidee o piżmowym zapachu i pstrych kolorach, udrapowane na gałęziach. Dewanna kazał wzniesć dwie następne ptaszarnie i w końcu o ogrodach w Nari Malai, rozbrzmiewających ptasim trelem, rozmawiano we wszystkich kręgach towarzyskich, zarówno tych indyjskich, jak i europejskich. W ogrodach było tylko jedno miejsce, które pozostało puste. Znajdowało się w najwyższym punkcie plantacji.

- Rozkwitnie tam pewna roślina - wyjaśnił zapytany o nie Dewanna. - pewnego dnia zasadzę tam bardzo wyjątkowy kwiat. Pewnego dnia.

- Jak tu pięknie - zachwycała się taj i, rozglądając się wokół. Zerknęła na Dewi. - Wiesz, że stworzył ten ogród dla ciebie, prawda?

Dewi skrzywiła się, ale nie odpowiedziała. Siedziała pochylona nad księgami rachunkowymi.

- Nie zauważyłaś? Ten dobór kwiatów, to wszystko... Ten ogród to ty, Dewi. - Wtedy Dewi spojrzała na kwiaty. - Widzisz, kunji? - ciągnęła taji. - Nie ma jaśminu. Wie, że go nie znosisz. Spójrz tam. Zamiast jaśminu zasadził drzewa sampige. Popatrz na ogródek skalny, pełen twoich ulubionych owoców. A tam...

Taji wskazywała wszystkie drobne szczegóły tworzące ogród, na które Dewi nie zwróciła uwagi.

Stała tam taczka, którą bawili się jako dzieci, przekształcona w wielką, ruchomą donicę lilii. W ogródku skalnym tkwiły małe fioletowe kamyki, które można było znaleźć w wiosce Palladów. A dalej rosła młoda

\* E. Barrett Browning, Poezje wybrane, tłum. L. Marjańska, Warszawa 1976, s. 142.

301

szczepka z mangowca, który rósł przed domem jej ojca. Dewi rozejrzała się zdumiona, a po chwili kąciki jej ust zaczęły podrygiwać od śmiechu.

- Co? - zapytała taji z uśmiechem. - Co cię tak bawi?

Dewi śmiała się coraz głośniej, rozglądając się wokół. Śmiała się tak bardzo, że z jej oczu trysnęły łzy.

- Spójrz na nas, taji - wysapała. - Tylko spójrz. Gestem ręki wskazała kwiaty. - On haruje tu całymi dniami, najwidoczniej dla mnie. A mój świat leży dalej, tam, na plantacji. Doskonała z nas para! Mamy za panokciami tę samą ziemię, ale każde z nas tworzy własny pomnik przeszłości. Nari Malai! Powinniśmy to raczej nazwać Tadź Mahal. - Znowu się roześmiała, przyciskając dłonie do oczu. - Ach, Dewanna, Dewanna. Zbudował ten ogród, zbudował go dla mnie. Mogłoby się wydawać, że pomyślał o wszystkim. Ale wiesz, jakich kwiatów tu brakuje, taji? Złotokapów. Maślanożółtych złotokapów obracających się w podmuchach wiatru.

;1915

Przykro mi, wielebny - powiedział komisarz policji. Rozłożył ręce przypominające niedźwiedzie łapy.

Gundert wpatrywał się w niego bez litości, oczami przypominającymi dwa odłamki niebieskiego lodu.

Komisarz policji był w Kodagu od niedawna.

- Dostaliśmy rozkazy - dodał i tym razem w jego głosie zabrzmiała ostra nuta. - W końcu nasze kraje toczą wojnę.

Na zachodzie rzeczywiście szerzyła się wojna, spowijając Europę cieniem. Kontynent się podzielił, okopy pobruździły ziemię niczym blizny.

Gazety nazywały ją największą wojną w historii ludzkości. Pierwsza wojna światowa. Wojna o tak dalekim zasięgu, że jej odór przeniknął cały glob, a kościste palce rozpościerały się i sięgały aż do Kodagu.

Gdy tylko wojna zaczęła się na dobre, brytyjski rząd zamknął granice Indii, odmawiając wszelkich kontaktów z Niemcami. Przełożeni misji zaprotestowali, podkreślając, że główna siedziba misji jest w neutralnej Szwajcarii, a nie w Niemczech, ale mimo to do kraju nie wpuszczano ani ludzi, ani zaopatrzenia, ani pieniędzy. Dekret przeważnie budził współczucie. Plantatorzy z Kodagu mobilizowali się, organizując różne loterie, by zgromadzić potrzebne fundusze, i przysyłali misji anonimowe datki. Wzruszony Gundert patrzył, jak tydzień w tydzień, po niedzielnej mszy, taca wraca tak wyładowana monetami, że trzeba było dwóch zakonnic, by ją zanieść do jego gabinetu.

303

Wojna ciągnęła się dalej, brutalna i bezlitosna. Niemiecki rząd, próbując pozbawić Wielką Brytanię kolonii, zaczął wspierać finansowo indyjskich buntowników. Knuli na potajemnych spotkaniach w Berlinie, Ameryce i w Londynie, dostarczając buntownikom broni i pieniędzy,

które miały wyprzeć Brytyjczyków z Indii. Rozwścieczony brytyjski rząd odpowiedział zdecydowanym ograniczeniem przywozu wszelkich towarów z Niemiec. Uznawszy Przedsiębiorstwo Gospodarcze Misji Bazylea za organizację niemiecką, skonfiskowano wszystkie fabryki i placówki przemysłowe utworzone przez misję w Indiach - zakłady tkackie, fabrykę płytek z terakoty, a nawet prasę drukarską, nad którą tak niestrudzenie pracował Gundert. Cały personel misji miał zostać internowany w trybie natychmiastowym.

Komisarz policji niechętnie złożył tę przekłętą wizytę w misji, gdzie usiłował wyjaśnić Gundertowi, że to wprawdzie tylko formalność, lecz biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, byłoby najlepiej, gdyby wielebny powstrzymał się na jakiś czas od opuszczania Madikeri.

- Tak - Gundert cierpko się uśmiechnął. - Pański mundur, komisarzu - dodał, a komisarz ze zdumieniem spojrzał na swoje spodnie. - Bryczesy koloru khaki. Wie pan, że ten barwnik został wynaleziony przez mojego poprzednika w misji? Pierwsze tkaniny koloru khaki, jakie pojawiły się na świecie, wyszły z naszych krosien. Z zakładów tkackich, które otworzyliśmy w Indiach. Dokładnie z tych samych, które teraz postanowili sobie przywłaszczyć pańscy rodacy.

- Wojna... - zaczął komisarz, ale Gundert sięgnął po laskę i podźwiął się z krzesła.

- Dziękuję panu za wizytę - powiedział wyniośle.

Tamtego popołudnia wybrał się do sklepu misyjnego i zastał Hansa nerwowo krążącego tam i z powrotem.

- Wielebny! - zawołał sklepikarz i zatroskanie na jego twarzy ustąpiło miejsca uśmiechowi. - Dawno tu wielebnego nie widywaliśmy. Proszę, proszę siadać, napije się wielebny wody? Misja jest kawał drogi stąd. Gundert zbył jego troskę machnięciem dłoni, choć ciężko dyszał z wysiłku.

- Tutaj też była policja?

- Powiedzieli, że codziennie rano muszę się meldować w garnizonie.

Apel - Hans pokręcił niedźwiedzią głową.

- Chyba lepiej, żebyś przez jakiś czas unikał rozgłosu, Hans - powiedział zaniepokojony Gundert.

304

- Ach, nie ma się o co martwić. Przecież potrzebują tego sklepu w Madikeri, a? Nic mi nie robią. Poza tym - dodał z prostotą - jestem tutaj pod opieką wielebnego.

Gundert zamrugał, a potem odwrócił się w stronę wnętrza sklepu, żeby ukryć wzruszenie, które wywołały te słowa. Wskazał laską opustoszałe półki.

- Przychodzą jakieś dostawy?

- Nieliczne. Przeważnie od dostawcy na Malajach. W dzisiejszych czasach trudno cokolwiek sprowadzić z domu. Mimo to - dodał sardonicznie - zarobiłem mnóstwo pieniędzy. Interes się kręci.

Wojna okazała się dobrodziejstwem dla Kodagu i jego kawy. Alianci, jakby nie mogąc nasycić się aromatycznymi ziarnami, zamawiali ogromne ilości kawy dla swoich oddziałów, konę z Hawajów, robustę z Brazylii i nieprzebrane kwintale łagodnej, ale mocnej arabiki z Kodagu. Ceny kawy już i tak były dobre, lecz podczas wojny poszybowały na bezprecedensowe

wyżyny, na których miały pozostać przez następną dekadę. Na fali tego dobrobytu wyłoniła się w Kodagu nowa elita niczym młode, zielone podszycie w dostojnym, dzikim zagajniku. Byli to potomkowie najbardziej szanowanych miejscowych rodzin, chełpiący się dziejami przodków sięgającymi daleko i głęboko jak wezbrana Kaweri. Wykształcili się w Madrasie i w Bombaju, a niektórzy nawet w Anglii. Jeden z nich studiował papiernictwo w Japonii, a dwaj inni byli w Nowym Jorku.

Wrócili do domu z lekko zmienionym akcentem oraz z kuframi pełnymi porcelany, dobrych cygar i starych numerów „Racing News”. Zażądali swojej części rodzinnego majątku i wzniesli piętrowe budynki w europejskim stylu, otoczone nie bujnymi bananami, palmami arekowymi i gajami pomarańczowymi ze swojej młodości, lecz przystrzyżonymi trawnikami doskonałymi do popołudniowego meczu krokieta. Ślęczeli nad katalogami z Jermyn Street i Savile Row, zamawiali całe komplety mebli chippendale i często zaglądali do sklepu Hansa, gdzie kupowali nieskończenie wiele gramofonów, malowanych lamp i zarumienionych lalek.

Mężowie wiercili żonom dziurę w brzuchu, domagając się od nich „nowoczesności”, i kobiety ulegały, ścinając sięgające pasa warkocze, by

uczesać się w najmodniejszego boba. Ich domeną stało się sączenie piwa z lemoniadą połączone z paleniem papierosów i cmokaniem w policzek bez dotykania oraz organizowanie cudownych herbatek i umiejętność tańczenia tanga. Marszcząc nosy na dźwięk tradycyjnych imion mieszkańców Kodagu - tres oldfashioned, non'? - czym prędzej się przechrzcili, osiągając mieszane rezultaty. Dećamma, Kalamma, Nilamma i Nalawwa zmieniły się w Polly, Kitty, Titty i Pussy, a ich mężowie w Jacka, Joe-boya, Tarzana i Timmyego.

Ten nowy dobrobyt nie uszedł uwagi pragmatycznych Anglików. Zatem komitet Klubu Madikeri, jednogłośnie postanawiając przedłużyć członkostwo wielebnego mimo jego niemieckiego pochodzenia - w końcu to chrześcijański misjonarz, psiakość! - przyjął również bezprecedensowy wniosek, wpuszczając do swojego grona wybranych członków lokalnej społeczności.

Był to rygorystyczny proces. Każdy pretendent i jego żona musieli przetrwać trzy wieczory w Klubie, podczas których poddawano ich intensywnym oględzinom, biorąc pod uwagę wszystko: od sposobu, w jaki mąż wymawiał „h” i trzymał kieliszek brandy, po wypiełgnowane koniuszki palców jego żony. Jeśli parę uznano za wystarczająco cywilizowaną, zapraszano męża na dwugodzinną rozmowę w sali króla Edwarda. Komitet zasiadał plecami do okna albo do buchającego kominka (w zależności od pogody) i przepytывał nieszczęsnego kandydata z polityki, sprawdzając jego kręgosłup moralny i zdolność wniesienia wkładu - w gotówce lub w usługach - na rzecz klubu. Mimo tych rygorystycznych zasad w 1915 roku, pierwszym po wprowadzeniu zmiany, członkami Klubu Madikeri zostało aż piętnaście par.

Komitet zwrócił się również do Dewanny. Kambejmada był przecież jednym z najbogatszych lokalnych mieszkańców. Przesłano mu zaproszenie na grubej, kremowej papeterii z wytłoczonym bordowym

wzorem, pytając, czy Dewanna wraz z żoną zechcą wziąć udział w wieczorze klubowym organizowanym w środę za dwa tygodnie o szóstej wieczorem? R.S.V.R\*

Ku zdumieniu członków klubu, Dewanna odrzucił zaproszenie. Dewi zacisnęła usta, ale nic nie powiedziała. Do klubu chadzał Gundert. Wiedziała, że po tym, jak wielebny odmówił spotkania z Dewanna, kiedy pojechali poprosić o przyjęcie Appu do szkoły misyjnej, Dewanna pró-

\* R.S.Y.P. (skrót fr. Repondez s'il vous pla.it) - proszę odpowiedzieć.

306  
buje oszczędzić dawnemu mentorowi zawstydzienia podczas przypadkowego spotkania. Poza tym Dewi miała niewiele wspólnego z kobietami z Kodagu, które spędzały wieczory w klubie. „Stado papug - myślała. - Ćwierkają w pożyczonych piórkach”. Jej świat był tutaj, na plantacji, przy dzieciach. Kluby i im podobne rozrywki... Skąd miała wziąć czas na takie dyrdymały?

W Kodagu od dawna nie było cudowniejszego lata. Hybryda fikusa posadzona przez Gunderta wzdłuż muru misji była w pełnym rozkwicie, ścieląc kamienie różem i fioletem. Wyprzedaż Biały Słoń zorganizowana na tle kwiatów przez panie z kościoła odniosła oszałamiający sukces, a po domowej roboty winie z agrestu i imbiru wszyscy wygłupiali się jak dzieci. Tymczasem wojna trwała dalej. „Coraz bardziej szerzą się wrogie nastroje”, napisał Zarząd Misji do wszystkich placówek na świecie, wzywając misjonarzy do powrotu do domu. Gundert odmówił.

„Moja praca - napisał do przełożonych artretycznymi, zbolałymi palcami - jest tutaj”.

Pewnego słonecznego, złocistego wieczoru Dewanna kuśtykał do domu, niosąc torbę pełną skorupki jaj, które rozsypywał wokół róż. Nagle przystanął, osłonił oczy i spojrzał na podjazd. Stał tam zaparkowany austin. Czarny połysk podwozia odznaczał się pomimo pyłu. Dewanna westchnął. Kolejny gość chcący obejrzeć ogród. Z ociąganiem podszedł do werandy, ale mina Dewi od razu mu uświadomiła, że goście przybyli w zupełnie innym celu.

- Dzień dobry, panie Dewanno. - Był to Gordon Braithwaite z jakimś przysadzystym nieznajomym u boku. - Chciałbym przedstawić pułkownika Biddersa.

Dewanna uściśnięła nieznajomemu dłoń, mruknąwszy słowa powitania, i niezdarnie usiadł w trzcinowym fotelu.

- Z pewnością słyszał pan o Akademii Biddersa? - ciągnął Braithwaite. Dewanna słyszał. Była to bardzo prestiżowa szkoła dla chłopców na wzgórzach Utakamand, mniej więcej sto pięćdziesiąt mil na południe od Kodagu. Pokiwał głową i z zaciekawieniem spojrzał na pułkownika. Okazało się, że Bidders prowadzi poszukiwania. Szkoła działała już od jakiegoś czasu, a pięć ostatnich roczników dość dobrze radziło sobie w Trinity i w Balliolu. Niemniej jednak, powiedział, upijając porządny

307

łyk świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, chciał, by zapisywało się do niej więcej Indusów.

- Słyszał pan o kapitanie Balmerze? - zapytał. Speszony Dewanna pokręcił głową. - Jest już na emeryturze. Na wcześniejszej emeryturze, na którą przeszedł po walkach na granicy w 1908 roku. Widział akcję

w Mohmand, służył wtedy w lansjerach. Wszyscy twierdzą, że to była wielka bitwa. Potem natychmiast awansował, ale obrażenia wojenne uniemożliwiły mu dłuższą służbę. Teraz mieszka w Anglii. Porządny facet, poznałem go w Londynie na początku tego roku. - Pociągnął następny łyk. - Powiedziałem mu, że niebawem wybieram się do Kodagu, a wtedy on wspomniał o swoim ordynansie. On także stąd pochodził... - Pułkownik pogmerał w kieszeni i wyciągnął karteczkę. - A tak, nazywał się sipaj Maćajja. Balmer jest przekonany, że zawdzięcza temu sipajowi życie. Twierdzi, że po bitwie starał się o pochwałę za odwagę dla tego człowieka. Niestety, przeżyło zbyt mało osób, brakowało naocznych świadków, mieli jedynie relację Balmera, który został ciężko ranny i z trudem odróżniał to, co wydarzyło się naprawdę, od wytworów swojej wyobraźni... Ale kiedy mu powiedziałem, że zamierzam odwiedzić Kodagu... Wspaniale się tutaj poluje - wtrącił rozpromieniony pułkownik - tydzień temu ustrze- liłem dwa bawoły... Balmer powiedział mi o synu sipaja. Dowiedziałem się, że wzięli państwo sierotę pod opiekę. Może chcieliby państwo zapisać go do mojej akademii?

Zaniepokojony Dewanna zerknął na Dewi. Siedziała w fotelu wypro- stowana jak struna, miętosząc w dłoni rąbek sari.

- Oczywiście nie ma potrzeby podejmować decyzji natychmiast - do- dał Bidders, wachlując się hełmem korkowym - ale proszę rozważyć tę propozycję. Nasza akademie może zaoferować chłopcu znacznie więcej niż miejscowa szkoła, bez obrazy dla misji.

- No cóż - Braithwaite uderzył dłońmi w uda. - Jak zwykle miło było panią zobaczyć, pani Dewannowo - powiedział z uśmiechem. Odwró- cił się w stronę Dewanny. - Czy nie sprawię panu kłopotu, jeśli przed wyjściem rzucę okiem na pański floks? Żona tyle o nim słyszała, że wypadałoby przekazać jej relację z pierwszej ręki.

- Tak, tak, oczywiście... - Dewanna wstał i pospiesznie sięgnął po laskę. Zrobił krok i drgnął zaskoczony, kiedy pod stopą rozległ się głośny chrupot. - Nic się nie stało - uspokoił Braithwaite'a, który pospieszył z pomocą. - To tylko skorupki jaj... do róż, zupełnie o nich zapom- niałem.

308

Dewanna oprowadził gości po ogrodzie i podarowawszy im na pożeg- nanie kilka floksów i orchidei, czekał z uniesioną dłonią, aż austin minie bramę. Dewi siedziała na werandzie, tam, gdzie ją zostawili, i smutno patrzyła przed siebie.

- Dewi - powiedział. - On wcale nie musi tam jechać.

- Słyszałaś, co mówił ten pułkownik - odpowiedziała z westchnie- niem. - To jedna z najlepszych szkół w regionie.

- W internacie... - zaczął i twarz Martina Thomasa nagle wyłoniła się z przeszłości. Pacnął pszczołę, która, upojona zapachem, przyleciała za nim od floksów. - W internacie - powtórzył, próbując zapanować nad głosem - kotowanie potrafi... bywa trudne do zniesienia.

Obojętnie wzruszyła ramionami, nadal błędząc gdzieś posepnym wzrokiem.

- Przecież wiesz, że Appu potrafi o siebie zadbać.

- Nie. Nie rozumiesz, nie masz pojęcia, jak tam bywa okropnie. On nie musi tam jechać. - Dewanna mówił teraz ostrym tonem. - Szkoła



misyjna jest w porządku, przynajmniej mamy go przy sobie.

Odwróciła się i spojrzała na niego, nadal rozkojarzona.

- Kotowanie - podjął Dewanna. - Jeśli zaczną go tam prześladować...

- Wszyscy lubią Appu - powiedziała zmęczonym głosem, a potem wstała i weszła do domu.

Tydzień później ogłosiła decyzję przy stole podczas obiadu.

- Akademia Biddersa? Naprawdę?

- Tak. - Próbowała się uśmiechnąć, nakładając kolejne otti na wypełniony po brzegi talerz Appu. - Rozpoczniesz naukę w przyszłym semestrze.

- Akademia Biddersa? Awwajja, mają tam trenerów hokeja i tenisa, a do tego basen!

- Tak, tak... Nandżu - z bladym uśmiechem spojrzała na drugiego syna, który przysłuchiwał się rozmowie - wiem, że do końca szkoły misyjnej został ci tylko rok, ale skoro twój brat idzie do akademii... Jeśli chcesz, możesz jechać razem z nim...

- Tak, tak, Nandżu! - wtrącił się Appu. - Musisz ze mną jechać.

Wystraszony Nandżu pokręcił głową.

- Nie - wypalił. - Nie opuszczę Nari Malai!

309

Na myśl o wyjeździe Appu nad Dewi zawisła ponura chmura smutku.

Tamtej nocy leżała w łóżku i nie mogła zasnąć, choć już dawno pogaszono lampy. Nawet dom, cicho skrzypiąc i pojękując jak starzec kładący się na spoczynek, w końcu zapadł w sen, lecz Dewi wciąż nie mogła zasnąć.

Odrzuciła kołdrę i podeszła do okna. Księżyc świecił tak jasno, że widać było nawet kolory kwiatów, noc zabarwiał nieziemski błękit. Myśli Dewi znowu poszybowały w stronę martwych żołnierzy. Dewanna codziennie rano czytał na głos gazety i z widocznym przygnębieniem podawał liczbę poległych. Indie wysłały na wojnę wielu żołnierzy. Ponad czterdzieści tysięcy z nich zginęło. W Turcji, Al-Kut, Afryce, Francji... Myśl o poległych mężczyznach głęboko poruszała Dewi. „Kto ich skre- muje? - zastanawiała się. - Ich matki, żony... Muszą tak bardzo cierpieć”. Jej wzrok powędrował nad żywo płótem rozkwitłym masą wonnego *Cestrum nocturnum*, prześlizgnął się obok altany porośniętej bugenwillą i minął mały zagajnik drzew sampige. „Tak wielu zginęło”, pomyślała jeszcze raz. Co się stanie z ich duchami, zastanawiała się, z wirami uwięzionymi na obcej ziemi, na której znalazły się wbrew swojej woli? Na szczęście ciało Maću odesłali do domu, przypomniała sobie z ciężkim sercem.

Smutno spojrzała na lotosowy staw i na srebrnouse kwiaty porastające jego brzeg. Widziany z okien na piętrze staw nie był już abstrakcyjnym tworem. Miał wyraźny i oczywisty kształt. Dewanna nadał mu kształt kobiecej głowy. Długi, wijący się warkocz opadał z tyłu kaskadą. Dewi odruchowo dotknęła swoich włosów. Czy Appu dostanie w szkole na śniadanie wystarczająco dużo jajek? Lubił jajecznicę z imbirem i pomidorami. Potrafił spałaszować siedem otti za jednym zamachem, z trzema, czasami czterema kawałkami świeżego masła...

Za oknem przemknęła sowa. Dewi zamarła. Mawiano, że jeśli krzyk sowy brzmi jak tikki-per, tikki-perrr, to dobry znak. Natomiast kutticzuu,

kutticzuu... oznaczał śmierć i pożogę. Śmierć i pożogę. Z łomoczącym sercem patrzyła, jak ptak cicho frunie nad trawnikiem i znika. Podeszła do toaletki i sięgnęła po słoiczek z kremem, który stał tam, lśniąc w świetle księżyca.

Po śmierci Maću Dewi na długie lata straciła zainteresowanie swoim wyglądem. Tuż po jego odejściu zanikły jej miesięczne krwawienia. W zasadzie jej to odpowiadało: osobisty znak żałoby, wewnętrzny nagrobek przeszłości. Nawet nie pomyślała, żeby zasięgnąć porady lekarza.

310

Powoli wracały jednak ślady dawnej próżności. Codziennie przed kąpielą żona Tukry masowała dłonie i stopy Dewi ciepłym olejkiem kokosowym. Na umywalce stała mała ceramiczna miseczka mąki z ciecierzycy do mycia twarzy. Kiedy robotnicy zdobywali plastry z ogromnych uli zwisających z gałęzi drzew na plantacji, Dewi zawsze rezerwowała sobie trochę miodu do nacierania skóry.

To Dewanna wiele lat temu zamówił dla niej pierwszy słoiczek kremu do twarzy z katalogu Selfridges. Nie wspomniał o nim słowem, prosząc Tukrę, aby po prostu postawił powleczone różowym lakierem i perfumowany różami prezent przy łóżku Dewi. Dewi także nie wspomniała o podarunku, ale kilka miesięcy później napomknęła przy śniadaniu, że zbliża się do dna słoiczka.

Nie miała nic przeciwko, kiedy Dewanna zamówił następny, ani kiedy zaczął to robić ze staranną regularnością, raz na pół roku. Dewi dokładnie myła puste słoiczki. Dwa trzymała na toalecie, przechowując w nich agrafki i wsuwki do włosów, trzy następne wykorzystwała w pokoju modlitwy, na wibhuti, kamforę i sproszkowane drzewo sandałowe. Pozostałe, co do jednego, przechowywała w kufrze pod łóżkiem, tłumacząc sobie, że robi to tylko dlatego, że ich krystaliczna, zewnętrzna powłoka jest stanowczo zbyt ładna, by wylądowały w śmietniku.

Podrzucała teraz słoiczek z ręki do ręki, przyciskając palce do wyrytych po bokach gwiazdek, i dalej rozmyślała o Appu. Czy w szkole będą umieli zatamować krwotoki z nosa, na które cierpiał w porze monsunu? Czy każą mu się wtedy położyć z zimną łyżką przy plecach? I co ze świeżym mlekiem bawolicy, za którym tak przepadał? Zamartwiała się bez końca, słuchając, jak stary zegar na dole wybija kolejne godziny, aż w końcu, z westchnieniem odkładając słoiczek, skuliła się na łóżku i spróbowała zasnąć.

Mineło kilka tygodni. Dewi uparła się, żeby odwieźć Appu do szkoły, odrzucając sugestię Dewanny, że to on powinien towarzyszyć chłopcu.

- Dewi, skoro naprawdę musisz jechać, pojedę z tobą. Nie powinnaś wybierać się w tak daleką podróż bez opiekuna.

- Nie wygłupiaj się. Kto się zajmie Nandżu, jeśli i ty pojedziesz?

Kiedy nadeszła pora pożegnania, przez chwilę chłopcy wyglądali tak, jakby mieli się rozpłakać. Ale potem Appu dał Nandżu kuksańca w ramię i mignął dołeczkiem w policzku.

- Wiesz, że będziesz tego żałował. Gdy wrócę i opowiem ci o tym, co robiłem w Uta...

311

W odpowiedzi Nandżu trzepnął go w ucho.

- Jasne. Nie mogę się doczekać odrobiny ciszy i spokoju, kiedy

w końcu przestaniesz się tłuc po Nari Malai.

- Appu, pamiętaj - zwrócił się do chłopca Dewanna z posepną miną. - Jeśli ktokolwiek będzie ci tam dokuczał, nie odpłacaj mu tym samym. Po prostu daj mi znać i wszystkim się zajmiemy, słyszysz?

- Też coś! - obruszyła się Dewi. - Po co wygadujesz takie głupoty? Posłuchaj mnie, Appu - dodała wojowniczo. - Jeśli ktoś zacznie ci dokuczać, dokuczaj mu jeszcze bardziej!

Dewi wyglądała tak bojowo, że Nandzu i Appu spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

Dewi i Appu pojechali do Uti nowym austinem. Przez całą drogę Dewi wesoło paplała, lecz w końcu zamilkła, kiedy samochód pokonał zakręt, a ich oczom ukazały się budynki z czerwonej cegły i rozległe trawniki szkoły.

- Bidders! - zawołał Appu, wystawiając głowę przez okno, by wiatr zmierzwił mu włosy.

Szofer zaniósł jego kufry do dormitorium, a Dewi i Appu przespacerowali się wokół szkoły, oglądając basen, korty tenisowe i boiska. Appu czule przesunął dłonią po nowym kiju do hokeja, prawie nie słuchając Dewi, która po raz kolejny przypominała, żeby „dużojadł-codzienniesięczesał-dobrziesięczył-modliłsięcowieczór-iczęstopisałdodomu”.

- Dobrze, awwajja - potakiwał. Nie mógł się doczekać, kiedy wypróbuje kij. Delikatnie zakołysał nim w przód i w tył, ważąc drewno w dłoni. Gdzieś w głębi internatu rozbrzmiał dzwonek. Nauczyciele zaczęli sugestywnie chrząkać i rodzice, zrozumiałwszy aluzję, z ociąganiem ruszyli do wyjścia. Dewi odgarnęła włosy z czoła Appu.

- Bądź grzeczny, słyszysz, kunji? I pisz do nas często, będę czekała na twoje listy.

- Dobrze, awwajja - powiedział, rysując kijem w piachu.

- Moje ukochane dziecko. Moje słońce i mój księżyc, moje słońce i mój księżyc - powtórzyła i odwróciła się, żeby nie dostrzegł jej łez. Ledwie samochód zniknął z podjazdu, Appu wielkimi susami pojechał ku boiskom.

- Hej! - zawołał za nim jeden z chłopców. - Nie słyszałeś, co powiedział dyrektor? Mamy się stawić za piętnaście minut.

Appu szeroko się uśmiechnął, nie zadając sobie trudu, żeby odpowiedzieć, i zniknął za internatem.

- Stop - rozkazał zamiataczowi, który leniwie oczyszczał boisko z liści. - Niech pan się odsunie, chcę pograć.

Zamiatacz po chwili zawahania odłożył miotłę i odsunął się na skraj boiska.

Appu położył piłkę i szybko się rozejrzał, prostując się i podziwiając boisko. Z wprawą zakołysał kijem, pochłonięty ciężarem spoczywającym w dłoniach. Skupił wzrok na piłce i zaczął dryblować. Z początku powoli, a potem coraz szybciej, wykrzywiając usta w szerokim, podświadomym uśmiechu, gdy kij zaczął współpracować z jego dotykiem. Appu biegał po boisku tam i z powrotem, balansując na boki i bez wysiłku kierując piłką.

Gdy dyrektor internatu zauważył go przez okno i krzyknął: „natychmiast do środka, młodzieńcze!” Appu nawet nie podniósł głowy, skupiony wyłącznie na grze. Rozwścieczony dyrektor zbiegł po schodach i wpadł

na boisko.

Połowa nowych uczniów wychyliła się przez okna internatu, żeby na nich popatrzeć.

313

- Stuknięty gnojek! - współczuli Appu, kiedy dopadł go dyrektor. - Doigrał się!

Ale Appu nawet nie mrugnął. Odwrócił się i uprzejmie uśmiechnął do dyrektora.

- Nie, proszę pana, nie słyszałem dzwonka - powiedział dość rozsądnie.

- Nie, proszę pana, nie wiedziałem, że boisko jest zamykane o szóstej wieczorem.

- Tak, proszę pana, oczywiście, natychmiast. - Zabrawszy piłkę zręcznym ruchem kija, schował ją do kieszeni i popędził z powrotem do internatu, pogwizdując pod nosem.

Dyrektor z poirytowaniem patrzył na oddalającą się postać, świadomy tego, że chłopak sprytnie rozładował napięcie, ale nie mając pewności, jak tego dokonał.

- Hej, ty! - krzyknął, odwracając się z wściekłością do zamiatacza. - Dlaczego pozwoliłeś mu grać, niezdaro? Nie wiesz, że o tej porze nie wolno uprawiać sportu?

- Tak jest, pszepana, tak jest - wymamrotał mężczyzna, po czym chwycił miotłę i zaczął energicznie zamiatać, dwa razy szybciej niż do tej pory.

Kapitan Balmer przysłał Appu pęką paczkę czekolady Cadbury i list, w którym gratulował przyjęcia do akademii. „Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem - napisał. - Jeśli dorównasz mu choćby w połowie, będę miał pewność, że i tak przewyższasz większość ludzi. Będę z uwagą śledził twoje postępy w Akademii Biddersa. Gdybyś czegokolwiek potrzebował, proś bez wahania”.

Rok upłynął w niezwykle przyjemnej atmosferze. Appu emanował swobodnym, naturalnym przywództwem i nie istniała chyba taka dyscyplina sportu, w której nie byłby najlepszy. Został środkowym napastnikiem drużyny hokeja juniorów. Był gwiazdą biegów przełajowych oraz ważnym członkiem drużyn: pływackiej i tenisowej. A w tak oszalałej na punkcie sportu szkole jak Bidders to wszystko wyniosło go na szczyty popularności.

Nie zaszkodził również fakt, że dostawał kieszonkowe, na widok którego innym oczy wychodziły z orbit. Wystarczyło, że zatelegrafował do

314

awwaii. Na początku tłumaczył, że to na lekcje tenisa albo na szkolną wycieczkę, ale wkrótce przestał udzielać nawet takich wyjaśnień. Nie były potrzebne. Telegraf mówił tylko: dwadzieścia rupii albo piętnaście, albo trzydzieści, i nim minął tydzień, pieniądze jak za sprawą czarów pojawiały się na jego koncie. Dewi nigdy nie przyszło do głowy, żeby domagać się wyjaśnień. Na cóż mogło wydawać pieniądze takie dziecko? Może na parę dodatkowych ciastek w sklepie ze słodyczami. Nie było w tym nic zdrożnego.

Popularności przysparzała Appu także wrodzona hojność. Każdego, kto poprosił, częstował czekoladkami i mlecznymi cukierkami. Wkrótce

odkrył jednak znacznie bardziej ekscytujące przywileje, które można zdobyć za pieniądze. Szkoła zatrudniała młodych chłopaków z okolicznych wiosek, którzy dbali o teren szkoły, sprząтали w kwaterach nauczycieli i stróżowali przy bramie. Tajemnicą poliszynela było w internacie to, że za odpowiednią cenę każdy z tych przedsiębiorczych młodzieńców, a zwłaszcza stróż, może przemycić fajki, komiksy, a nawet alkohol. Appu natychmiast skorzystał z ich usług. Miał nad nimi niesamowitą władzę, identyczną jak ta, którą Dewi roztaczała nad swoimi robotnikami - wyższość tak dobrze zakorzenioną w oczywistym uprzywilejowaniu, że stróże od razu się jej podporządkowali.

Wielu zbieraczy kawy w Nari Malai pochodziło z regionów poza Kodagu i oprócz języka kannada, którym władał biegle, Appu liźnął trochę malajalam i tamilskiego. Stróże byli zachwyceni, że młody pan potrafi z nimi rozmawiać w ich własnym języku.

- Przyjdź do naszej budki, anna - zapraszali i Appu często ich odwiedzał po szkole. Przykucał i palił bidi.

Po zakończeniu każdego semestru Appu natychmiast wyruszał z powrotem do Nari Malai z kuframi wyładowanymi trofeami sportowymi, które Dewi polerowała do połysku pastą tamaryndową i stawiała w wykonanej na zamówienie gablocie w korytarzu. Bez przerwy się o niego zamartwiała.

- Ależ ty schudłeś, masz nogi jak kurczak! Płacę takie wysokie chesne, a nie mogą cię tam porządnie nakarmić?

- Po prostu urosłem, awwaija - tłumaczył rozbawiony Appu, ale Dewi nie zwracała na niego uwagi i pędziła do kuchni. Wtedy Nandźu spoglądał na Appu, trochę zazdrosny o to całe zamieszanie. Nie potrafił się jednak długo złościć, bo Appu komicznie mrugał do niego za plecami matki.

315

- Jak kurczak? Nawet nie jak kogucik, tylko jak kurczak? Więc wychodzi na to, że awwaija jest starą, zabawną kurą, co, Nandźu? Kooo, ko, ko...

I tak doskonale naśladował lamenty Dewi, że Nandźu parsknął śmiechem.

Idylla wakacji dobiegała końca i Appu wracał do akademii z kieszeniami ciężkimi od gotówki i z kuframi wypełnionymi słodyczami. Dewanna pisał do niego regularnie, a raz na jakiś czas przychodził mozolnie napisany list od Nandźu. Nandźu pisał o college u, do którego wybierał się za rok. Wypełnił już formularze. Ludzie mówili, że to dobra instytucja, jako jedna z nielicznych w kraju akredytowana przez rząd.

Dewanna przedstawił Appu szczegóły dalszej nauki Nandźu. Chłopiec miał skończyć studia rolnicze na uniwersytecie w Majsurze. Król Majsuru wysłał swoich ekspertów w pięcioletnią podróż po świecie i uniwersytet miał działać zgodnie z zasadami propagowania oryginalnych badań (Uniwersytet Chicago), poszerzania wiedzy (Uniwersytet Wisconsin) oraz upowszechniania systemu kształcenia, który przygotowuje studentów do życia politycznego i społecznego (uniwersytety w Oksfordzie i Cambridge).

Listy od Dewanny zawsze kończyły się tak samo: „Matka przesyła ci wyrazy miłości i błogosławieństwo. Prosi, żebyś dobrze się odży-

wiał i bez skrupowania prosił o dokładkę, jeśli będziesz głodny. Synu, informuj nas o swoich postępach. I od razu daj mi znać, gdyby ktoś cię źle traktował".

Na drugim roku studiów Appu dowiedział się o programie KCIO\*. Latem 1918 roku, po powrocie do Kodagu, przekazał rodzinie ważną wieść.

- Awwaija - powiedział podniecony - zamierzam złożyć podanie o przyjęcie do Kings Commission.

Dewi wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

- Do czego?

- Do programu KCIO... Królewskich Oficerów Indyjskich - wyjaśnił

Dewanna. - Z powodu wojny, w której tak wielu indyjskich żołnierzy

\* KCIO (ang. Kings Commissioned Indian Officer) - oficer brytyjskiej armii w Indiach posiadający królewski patent oficerski i mogący dowodzić brytyjskimi oddziałami.

316

oddało życie, indyjscy politycy agitowali na rzecz dopuszczenia Indusów do stopni oficerskich, by nie byli jedynie zwykłymi szeregowcami. Pisano o tym w gazetach. Program jest bardzo selektywny, co roku obsadza się jedynie kilka miejsc, a proces rekrutacji służy z surowych zasad. Nieliczni wybrańcy otrzymują królewski stopień oficerski i mogą dowodzić nawet brytyjskimi oddziałami.

- Tak! - entuzjastycznie potwierdził Appu i włosy opadły mu na oczy. - KCIO, awwaija! Pewnego dnia mógłbym zostać generałem!

Dewi się uśmiechnęła.

- W wojsku? Jak twój ojciec? Zobaczmy, zobaczmy...

- Zostać generałem, wyobrazasz sobie? Aaj, Tukra! - zawołał Appu do Polei, który krzątał się w jadalni, ścierając z parapetów popołudniowy kurz. - Słyszałeś? Lepiej się naucz salutować.

- Salutować? - zainteresował się Tukra. - Jak wygląda to salutowanie? Appu zeskoczył z krzesła, obrócił Tukrę i przysunął jego dłoń do czoła.

- O tak. To się nazywa salutowanie. A teraz stój prosto, żebyśmy mogli cię podziwiać.

Tukra wyglądał tak śmiesznie, gdy sztywno stał na baczność z palcami rozczapierzonymi w pokracczej próbie salutowania, z nieodłączną ścierką do kurzu przewieszoną przez ramię jak jakiś wybrakowany epolet, że wszyscy parsknęli śmiechem.

- Och, nie słuchaj go, Tukra - powiedziała rozbawiona Dewa. -

Panie generale - zwróciła się do Appu - niech pan usiądzie i dokończy lunch.

Polityczne naciski na rząd były tak uporczywe, że wkrótce wdrożono politykę KCIO i w październiku 1918 roku pierwsza grupa indyjskich kadetów została przyjęta do programu. Dewanna przesłał Appu wycinek z gazety. Przewidziano zaledwie pięćdziesiąt miejsc. Zgłosiło się siedemdziesięciu chętnych z całego kraju, potomków najwspanialszych rodów, nawet tych, w których płynęła królewska krew: Kapurthalów, Barodów, Dżamnagarów i Dżindów. Choć było pięćdziesiąt miejsc, jedynie czterdziestu dwóch kandydatów uznano za wystarczająco obiecujących, aby mogli zostać przyjęci do programu, a wśród nich znalazł się jeden mieszkaniec Kodagu. „Dziewiętnastoletni Kariappa - napisał Dewanna - znajdzie się wśród pierwszych oficerów KCIO w kraju. Jeśli dobrze się spisze, przetrze szlak dla twojej aplikacji".

Balmer zdecydowanie wspierał ambicje Appu. „Nic nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej i nie wzbudziłoby we mnie większej dumy. Gdyby 317

twój ojciec nadal żył, byłby tego samego zdania, jak mniemam. Jeśli będziesz potrzebował rekomendacji - dodał. - Będę zaszczycony, mogąc ci ją napisać”.

Miesiąc później zakończyła się wojna i rozejm zaczął obowiązywać od godziny jedenastej jedenastego listopada 1918 roku - od jedenastej godziny jedenastego dnia jedenastego miesiąca, prawie dokładnie w środku trzeciego roku nauki Appu w Akademii Biddersa. Dyrektor dał chłopcom pół dnia wolnego, by mogli uczcić zwycięstwo aliantów. Niespokojny i poriryrowany z powodu braku wieczornego treningu hokeja, Appu poszedł do budki stróżów. Głęboko zaciągnął się bidi i gryzący dym zaszczypał go w płuca. Nagle uderzyła go pewna myśl.

- A wy co robicie, kiedy chcecie się rozerwać? - zapytał wartowników, spoglądając na nich zza kłębow dymu. - Nie, nie chodzi mi o gilli dandę. Bierzecie mnie za idiotę? Nie mówię o zabawach dla dzieci. Co robicie, żeby naprawdę się zabawić?

Stróże spojrzeli na siebie, trochę zaczęli się jękać, a potem opowiedzieli mu o walkach kogutów w wiosce.

Oczywiście tak naprawdę ich nie organizowano - przecież zostały zakazane przez lokalny magistrat. A stróże byli przyzwoici i przestrzegali prawa. Każdy mieszkaniec wioski żarliwie zapewniał, że nigdy nawet nie spojrzął na walczącego koguta, a już z pewnością nie miał nic wspólnego z chodzeniem na walki ani z ich organizowaniem. Ale kiedy księżyc wisiał wysoko, a pędzony w domach arak płynął wartkim strumieniem... od czasu do czasu zdarzało się złamać tę zasadę.

Zapraszano miejscowych policjantów, by poczęstowali się alkoholem i wzięli część zysków, a nazajutrz: „Walka kogutów? Jaka walka kogutów?”.

Kiedy w internacie rozeszła się wieść, że Appu jakimś sposobem zorganizował zakazaną walkę kogutów, jego już i tak jasna gwiazda rozbłysła nad starszymi uczniami. Hojnie wynagrodził stróżów, więc zbiorowe sumienie kłuło ich tylko przez chwilę. W wieczór walki za szkolną bramę wymknęła się spora grupka chłopców.

- Szybko, chodźcie - nerwowo ponaglał przystany z wioski przewodnik, prowadząc ich ku naturalnemu zagłębieniu w ziemi sąsiadującemu z osadą. Prowizoryczny ring zbudowano z patyków i oświetlono 318

pojedynczą lampką z trzciny. Dwa żyłaste koguty zostały wypchnięte na ring i gdy rozległ się jakiś cichy gwizd, walka oficjalnie się rozpoczęła. Z początku ptaki próbowały uciec, rozpaczliwie machając związanymi skrzydłami, ale bezceremonialnie spychano je z powrotem na ring. W końcu pogodziły się z faktem, że nie ma drogi ucieczki i przypuściły brutalny atak, drapiąc, dziobiąc i szarpiąc specjalnie zaostrzonymi dziobami. Chłopcy stali jak zahipnotyzowani, niektórzy pobladli, inni zarumienieni, nie mogąc oderwać wzroku od poszarpanych piór i strużek ciemnej krwi gęstniejących na żyłastych nogach ptaków. Krzyczeli razem z wieśniakami, wydając ochryple ryki podniecenia i zachęty, podjudzając, klnąc, pragnąc, by wyczerpane i ślaniające się na nogach koguty atako-

wały, póki w końcu jeden z nich nie padł na ziemię.

W tłumie rozległ się zwycięski okrzyk i pieniądze gładko przeszły z rąk do rąk, gdy po zręcznym ukręceniu łbów ciała obydwu kogutów, pokonanego i zwycięzcy, odrzucono na bok.

Później, kiedy jeden ze starszych studentów sięgnął do kieszeni, musiało minąć kilka sekund, zanim Appu w końcu pojał, co mu podarowano.

Oczywiście o nich słyszał, jak każdy chłopak w Biddies. Jeden ze starszych studentów zwędził taką miniaturkę z biblioteki ojca. Appu wiedział, że była na niej kobieta w cudownym stanie roznegliżowania. Kolega z grupy twierdził, że udało mu się na nią zerknąć, zanim starszy student, którego pokój właśnie sprzątał, zauważył to i porządnie trzepnął go w ucho. Niestety, obrazek leżał odwrócony do dołu i chłopak niewiele zobaczył.

Była to stara miniatura mongolska. Kość słoniowa, na której ją namalowano, zmatowiała i pożółkła z upływem lat, a gdzieś tam brakowało lapis lazuli wzdłuż obramowania.

Muzą artysty była młoda kobieta rozkoszująca się kąpielą. Odchyliła głowę, eksponując pojedynczy sznur pereł oplatający gardło. Oczy miała zamknięte, a czerwone jak pąk róży usta lekko rozchylone. Na jej ciele leżał zwiewny szal, który więcej odsłaniał, niż ukrywał. Poza tym była nieskrępowanie naga.

Serce Appu zaczęło gwałtownie bić, kiedy pożerał ją wzrokiem: patrzył łakomie na koniuszki piersi, alabastrową biel brzucha. Loczki wyzierające spomiędzy nóg.

- Przyznaj się, młody - zarżał starszy kolega - jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałeś, nie?

319

Appu oniemiał. Tamtej nocy prawie w ogóle nie spał. Pochłonięty tym, co zobaczył, nieprzyjemnie pocił się w łóżku. Następnego dnia wieczorem poszedł do budki stróżów i złożył im propozycję. Ktoś z ich rodzin z pewnością pracował na okolicznych plantacjach herbaty. - Erotyka - powiedział - świniestewka. - Najprawdopodobniej znajdują je w gabinecie pana albo w jego sypialni.

- Niech zajrzą do szuflad - poradził. - Jeśli zwędzą dla mnie kilka sztuk, dobrze zapłacę.

Stróże wydali zduszony okrzyk.

A jeśli ktoś ich złapie?

Appu się roześmiał.

- Bez obaw. To jedyna kradzież, jakiej nie zgłasza się policji. Pomyślcie, jaki byłby wstyd. Bez obaw - powtórzył niefrasobliwie. - Gwarantuję, że się opłaci.

Nastaly święta Bożego Narodzenia i Appu znowu wyruszył do Kodagu.

- Awwaija - powiedział nagle pewnego popołudnia podczas lunchu - powinniśmy zmienić nazwę plantacji. Nari Malai brzmi tak prowincjonalnie. Nazwijmy ją Tiger Hills. Po angielsku.

- Co? Daj spokój, Appu, nie zrobimy czegoś tak... - zaczęła Nandzu, ale Dewi z czułością spojrzała na swojego wspaniałego syna.

„Maću - pomyślała - byłbyś taki ubawiony”.

- Nie - powiedziała do Nandzu. - On ma rację. Powinniśmy iść z du-



chem czasu. Niech będzie Tiger Hills.

Nandźu nic więcej nie powiedział, ale później, kiedy Appu znalazł go siedzącego obok ptaszarni, był wyjątkowo milczący. Kiedy Appu dokończył długą i szczególnie uszczypliwą opowieść o jednym ze studentów Biddies i Nandźu nawet się nie uśmiechnął, Appu spojrzał na niego zdziwiony.

- Nandźu - powiedział beztrąsko - skoro to dla ciebie takie ważne, nazywaj plantację Nari Malai. To był tylko pomysł.

Nandźu wzruszył ramionami, udając zainteresowanie ptaszarnią.

- Daj spokój, stary, jesteś...

- Czy istnieje cokolwiek, czego by dla ciebie nie zrobiła? - zapytał nagle Nandźu. - Może następnym razem poprosisz ją o słońce razem z księżycem i ze wszystkimi gwiazdami na niebie?

320

Appu zachichotał i odrzuciwszy głowę do tyłu, zaczął śpiewać piosenkę, którą ułożyli w Biddies. Była to oda do drakońskiej pielęgniarki pracującej w izbie chorych. Nauczył słów Nandźu, ale kiedy Dewi albo Dewanna byli w zasięgu głosu, chłopcy zamieniali kluczowe słowo. Zresztą Dewi i tak by nie zrozumiała, o co chodzi.

Bogata używa wazeliny,

A biedna woli smalec,

Piguła stosuje zwykły smar,

Broszkę ma twardą jak zakalec.

Usta Nandźu zaczęły podrygiwać wbrew jego woli. Westchnął, a potem, dając bratu lekkiego kuksańca zatwierdzającego bezczelną zmianę tematu, przyłączył się do śpiewania.

Wiosną, prawie pod koniec roku akademickiego, stróże w końcu przekazali Appu wiadomość. Chłopiec usługujący na jednej z plantacji znalazł coś, co może zainteresować młodego panicza. Opłacało się czekać, stwierdził Appu, oszołomiony łupem przyniesionym przez stróżów.

Był to plik dagerotypów w uroczej, pozłacanej obwódce. Zobaczył na nich dwie kobiety, delikatnie rozbierające się nawzajem. Kremowe ramię odsłonięte w jednej ramce, w drugiej trzepoczące palce i kawałek nogi. Powoli rozwiązywany gorset. A w końcu leżały z rozrzuconymi rękami i nogami na koronkowej narzucie, oddając się baraszkowaniu pod serduszkami i sękami wezłowania.

Te dagerotypy na stałe wpiły się w historię Biddies. Przez wiele lat absolwenci przekazywali je młodszym kolegom, przedmioty te były czule głaskane przez tyle dłoni, że pozłacane obwódki zmatowiały, a tożsamość dwóch ślicznotek wzbogaciła się o wytwory setek bujnych wyobraźni.

Dagerotypy na dobre ugruntowały pozycję piętnastoletniego Appu w szkole. Nazywano go teraz Dags, jako tego, który dał im wszystkim dagerotypowe dziedzictwo. W pewnym kręgu społecznym Appu na zawsze pozostał Dagsem, nawet kiedy jego członkowie byli już starzy i siwi i ledwie starczało im sił na chodzenie.

321

Początek lata 1920 roku był wyjątkowo upalny i duszny. Kodagu prażyło

się pod bezchmurnym niebem. Już dwa razy w ciągu roku wybuchł pożar w dżungli. Może gdzieś w wysuszonej dżungli zwiędła dzika agrest. Owoc spiekł się w uporczywym słońcu i wreszcie, odrętwiała, oderwał się od gałęzi i spiralnym lotem spadł na ziemię. Może uderzył o kamień i wysuszony owoc był tak twardy, że rezultat przypominał wystrzał z procy w kamień ze znacznej odległości. Uderzenie wywołało iskrę, od której zajęła się trawa. Podszycie było suche jak rozpałka i pożar dotarł daleko, zanim w końcu został opanowany przez Wydział Leśnictwa. Ludzie przez wiele lat opowiadali sobie o tym, co pozostało po tym pożarze. O pasmach sadzy, które wisiały w powietrzu tygodniami. O czarnych, powykrecanych zwłokach zwierząt, które były zbyt słabe albo za małe, aby uciec. Niektórzy twierdzili nawet, że widzieli tantryka odstawiającego zwycięski taniec w płomieniach, ale oczywiście nigdy tego nie dowiedziono.

Fala upałów nie ustępowała, rzeki kurczyły się do strużek błotnistej wody. Z drzew spadały martwe ptaki. Mieszkańcy Kodagu rozłupywali całe góry delikatnych kokosów, spragnieni ich słodkiej, chłodzącej wody, a biali pochłaniali kolejne dzbanki mrożonej herbaty.

Ogromny dzban stał na stole w apartamencie wielebnego. Jego gość westchnął, nalewając sobie następną szklanekę. Był to znajomy misjonarz działający w regionie. Po zakończeniu wojny wrócił do Indii.

- Berlin zmienił się w miasto upiórów, Hermannie. Po wojnie nie ocalał prawie żaden mężczyzna, a ci, którzy przeżyli, wystają na ulicach. Większości brakuje kończyn: ręki, nogi, czasami czegoś więcej. Nie ma dla nich pracy, fabryki pozamykano. Nasi żołnierze sprzedają, co tylko mogą: zapalki, szczotki do włosów, sznurowadła, kwiaty skradzione ze świeżo wykopanych grobów, benzynę z zaparkowanych samochodów. Serce się kraje na ich widok. „Ode mnie! - krzyczą. - Niech pan kupi ode mnie!”. Gundert słuchał, przepełniony głębokim smutkiem. W weekend po ogłoszeniu rozejmu poprowadził o północy mszę w kościele. Za wszystkie stracone życia, za wszystkich rozdzielonych.

Amen.

Potem w klubie zorganizowano tańce, aby uczcić zwycięstwo aliantów. Przesłano Gundertowi uprzejme zaproszenie, ale nie był w stanie pójść.

322

- Z tego co słyszałem, spędziłeś tu całą wojnę? - ciągnął znajomy. -

Czy... dobrze cię tu traktowano?

- Ja. - Gundert odwrócił się, żeby spojrzeć na ogród. Trawnik wysechł i zbrązowiał.

Nagle pomyślał o swojej wiosce, o jodłach pokrytych szronem. Jego matka grzała wino ze skórkami pomarańczy i z przyprawami, wypełniające dom smakowitym aromatem gałki muszkatołowej i goździków. W czasie świąt czasami częstowała nim Gunderta. Były to jedne z jego najmilszych wspomnień: Olaf i on wchodzili do domu roześmiani, oblepieni śniegiem. Powietrze było tak zimne, że oddychanie sprawiało ból. Miał sztywne, zmarznięte palce, a potem dostawał wino, które rozgrzewało dłonie oplecione wokół lekko parującego kubka.

- Roztopiły się wszystkie kostki lodu - powiedział smutno. Sięgnął po dzbanek, żeby zamieszać herbatę i rozproszone światło padło mu na skórę. - Poprosić o więcej?

Appu znowu przyjechał do domu na wakacje. Pewnego wieczoru kolega ze studiów zaprosił go do klubu.

- Chodź ze mną, nie jesteś ciekawy, co się dzieje w tym supermodnym klubie? - namawiał Appu brata, ale Nandżu nie chciał o tym słyszeć.

- Nie, ani trochę. Co ja bym tam robił? Nie, Appu, jedź sam.

Appu wszedł do klubu, a jego swobodny chód, szerokie ramiona i imponujący wzrost pomagały uwierzyć, że ma siedemnaście lat. Nawet Dewi zdumiała się tym, jak bardzo urósł w ciągu ostatniego semestru. Ledwie sięgała mu teraz do piersi, musiała stawać na palcach, żeby odgarnąć mu włosy z czoła, a i to udawało jej się jedynie wówczas, gdy pobłażliwie pochylił głowę. Mimo to Appu uniknął tyczkowatej postury właściwej chłopcom w jego wieku. Dodatkowe cale mu służyły.

Rozejrzał się ze zblazowaną miną, jakby chadzał do klubu przez całe życie. Spojrzał na grube, czerwone zasłony, na chmurę dymu wiszącą nad stolikami do gry w karty i na kelnerów, którzy trwali w gotowości tuż obok lamp.

- Sala bilardowa - zaproponował ojciec przyjaciela. - Chcielibyście spróbować swoich sił, chłopcy?

Appu pochylił się nad stołem bilardowym i patrząc na bile pędzące po Zlelonym suknie, można było pomyśleć, że uprawia ten sport od dziecka.

323

Po zakończeniu gry rozległy się głośne brawa. Ktoś zaproponował chłopcom drinka.

- Ach, w porządku, chłopcy, jesteście już wystarczająco dorośli. Nie tak dawno temu młodzieńców w waszym wieku powoływano do wojska, prawda?

Płynny ogień. Appu uniósł szklaneczkę whisky do światła, przyglądając się wirowaniu bladej złotej alkoholu. W nagłym przypływie dobrego humoru odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Rok wcześniej przeszedł mutację i od tamtej pory mówił głębokim, dźwięcznym barytonem.

Jego śmiech był tak przenikliwy, że dotarł aż do sali kobiet. Kate Burnett zerknęła w stronę tego dźwięku. Patrząc na szeroką bryłę ramion Appu, zastanawiała się, kim jest ich właściciel. Otaczała go aura młodości niczym woń rozwiniętego wiosną listka.

Appu podchwycił jej spojrzenie. Zarumienił się, widząc tak otwarte zainteresowanie. Odwrócił się zmieszany, a po chwili, zdenerwowany tym, jak łatwo wytrąciła go z równowagi, obrócił się na stołku barowym w stronę tej kobiety. Upijając długi, zmrożony łyk drinka, odwzajemnił jej spojrzenie, przeczesując zuchwałym wzrokiem każdy cal jej ciała, od włosów lśniących niczym wypolerowany mahoń, po zastrzone czubki butów.

Kate uniosła brew, widząc taką bezczelność, ale jednocześnie kąci jej ust lekko się uniosły, okazując rozbawienie.

Odwróciła się do kobiet, ignorując go. Ku swojemu poirytowaniu Appu przyłapał się na tym, że przez resztę wieczoru jego wzrok wciąż ku niej wędrował.

Nie potrafił o niej zapomnieć. Kiedy tydzień później przyjaciel znowu zaproponował wizytę w klubie, skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Ubrał się starannie, każąc lukrze pucować buty przez dobrą godzinę, lecz ku

jego rozczarowaniu, tamtego wieczoru nie było jej w klubie.

- Pani Burnett? Taka ładna, z brązowymi włosami? Pewnie została w domu. Z tego co słyszałem, jej mąż sporo podróżuje - z roztargnieniem powiedział jego przyjaciel.

Appu był zaskoczony tym, jak wielki zawód sprawiła mu jej nieobecność. W następnych dniach często rozmyślał o pani Burnett. Pokazał Nandżu opakowanie kondomów, które kupił „tak na wszelki wypadek”.

- Wiesz, do czego służą, prawda?

Zmieszany Nandżu pokiwał głową.

324

-Tak.

Appu dał mu kuksańca w ramię.

- Chcesz kilka? Dla ślicznotek z college ul Nie ma sprawy, mam więcej. Musiał odwiedzić klub jeszcze trzy razy, zanim w końcu ponownie ujrzał panią Burnett. Spojrzał na nią z pewną obawą, ale ku jego ogromnej uldze okazało się, że go pamięta. Przechyliła głowę w przewrotnym pozdrowieniu, a jej kolczyki delikatnie zakołysały się na tle włosów. W połowie wieczoru kelner podał mu liścik. Appu przeprosił towarzyszy i wyszedł do toalety, gdzie rozłożył karteczkę. Wiadomość była krótka i prosta: „PLANTACJA BELVEDERE. Jutro o trzeciej po południu”. Papier delikatnie pachniał jej perfumami. Appu zbliżył go do nosa i zamknąwszy oczy, wciągnął powietrze. A potem zgniótł liścik w kulkę i wyrzucił go do nocnika.

1920

Catherine Burnett była znudzona. Od jej przyjazdu do Kodagu minęło już prawie pięć lat. Poznała Edwarda na przyjęciu w Londynie, gdzie jego rosła postać od razu wpadła jej w oko. Wkrótce potem zaręczyli się i słał jej listy ze swojej plantacji w Indiach, opisując chłodne, bujne Kodagu, gęstą dżunglę i stare, zapomniane świątynie z kamienia, wodospady, które spływały po stokach gór, i wieczory pełne światełków. Kate była oczarowana i czar ten przetrwał jeszcze spory kawałek małżeństwa. A potem, stopniowo, sama nie była pewna kiedy i dlaczego, róża jej miłości zaczęła blednąć.

- Kawa - poprawiała się, żartując ze smutkiem. - Kawa zaczęła tracić aromat.

Edward kupił następną plantację, tym razem na południu Kodagu, gdzie gleba była niezwykle żyzna, a kawa dawała wyjątkowe plony. Niestety, oznaczało to, że nie będzie go całymi dniami, a Kate zostanie sama w ich rozległym piętrowym domu. Z początku nie miała nic przeciwko temu - i tak zamierzała zmienić wystrój, a poza tym rozłąki wprowadzały do ich małżeństwa pewien... dreszczyk. Kiedy jednak skończyła przemeblowanie, a ogrody zostały zaprojektowane i wypielęgnowane do doskonałości, do jej życia zakradła się nuda.

Edward wracał do domu zmęczony i obciążony problemami związanymi z nową plantacją. Z roztargnieniem całował ją w czoło, nie zauważając nowej sukienki, którą włożyła specjalnie dla niego. Kiedy

326

był w mieście, regularnie chadzali do klubu, ale i to w końcu jej spowszedniało. Ciągłe te same twarze, te same plotki.

Tamtego wieczoru, kiedy zauważyła Appu, „poróżniła się” z Edwar-

dem (wolała nazywać ich kłótnie w ten sposób). Była - och, sama nie wiedziała - może odrobinę podenerwowana tym, że za dwa dni mąż znowu wybierał się na drugą plantację. Znowu cierpliwie tłumaczył, że plantacja wymaga jeszcze sporo pracy, ale być może już za rok...

- Za rok? - oburzyła się. - Edwardzie, kolejny rok takiego życia to dla nas po prostu zbyt wiele. Prawie nigdy cię nie ma, prawie się nie widzimy... to zdecydowanie za długo.

-Daj spokój, Katie - powiedział tym swoim spokojnym tonem, który odbierał jej pewność siebie. - Naprawdę musisz tak dramatyzować? Spędzamy z sobą mnóstwo czasu. Przecież jestem tu od dwóch tygodni.

Wpatrywała się w niego, ogarnięta frustracją, a potem westchnęła.

Kiedy przedstawiał to tak racjonalnym tonem, jej wybuchy rzeczywiście wyglądały nieco śmiesznie. Mimo to pragnęła coś zrobić, na przykład roztrzaskać jakąś porcelanę albo cisnąć wazonem o drzwi. Może wtedy podniósłby głos.

Dziwne podenerwowanie towarzyszyło jej nawet w drodze do klubu i prawie nie zauważyła zachodu słońca, który wlewał się przez okna samochodu. Uśmiechnęła się blado do Edwarda, kiedy odprowadził ją do sali dla kobiet, „Dziękuję, kochanie”, i dołączyła do pań pochłoniętych analizowaniem butów, które ktoś włożył na letni piknik.

- Miały zdarte obcasy, zauważyłaś?

- Od razu można rozpoznać dobre pochodzenie. Wystarczy spojrzeć na buty, mawiała moja matka, one powiedzą ci wszystko, co chcesz wiedzieć o człowieku...

Kate rzuciła ukradkowe spojrzenie na swoje lakierowane T-bary.

Pilnowała, by służący trzymali w schowku na rękawiczki flanelową ściereczkę, ale tamtego wieczoru była tak zmartwiona, że zupełnie zapomniała przetrzeć nią buty przed wyjściem z samochodu i czubki czółenek były

wyraźnie przykurzone. Zgrabnym ruchem wsunęła stopy pod sofę i odwróciła się, żeby spojrzeć na salę bilardową.

Dokładnie w tamtej chwili się roześmiał. „Kto to taki? - zastanawiała się z zaciekawieniem. - Z pewnością nie żaden stały bywalec. Oczywiście Jest bardzo młody, ale w jego brodzie, w kształcie głowy jest coś...”.

327

Odwrócił się, spojrzał jej w oczy i zakłopotany uroczo się zarumienił.

W Kate rozbłysła jakaś iskierka. Może chodziło o świadomość władzy, jaką roztoczyła nad tym ni to chłopcem, ni to mężczyzną, świadomość, że wystarczy jedno jej spojrzenie, by krew uderzyła mu do głowy. Kobiety wokół niej nadal paplały, kiedy nieznajomy obrócił się na stołku barowym, żeby jej się przyjrzeć. Kate wiedziała, że powinna spuścić wzrok, ale nie zrobiła tego. Wytrzymała jego spojrzenie i nawet nie mrugnęła, kiedy powoli oglądał ją od stóp do głów. Gdy w końcu się odwróciła, ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że łomocze jej serce.

- Pięć lat - powiedziała jej kiedyś kuzynka podczas rozmowy w Londynie. - Musi upłynąć pięć lat, zanim tubylcy wydadzą ci się atrakcyjni. Ale, Katie, kiedy już ci się spodobają, nie ma odwrotu. - Kate roześmiała się nerwowo i spojrzała przez ramię, żeby się upewnić, czy w pobliżu nie ma matki, a potem wycisnęła z kuzynki więcej szczegółów. Kuzynka

mieszkała w Kenii. „Inny kontynent, ale łączy nas kawa”, zaznaczyła. - W Afryce dzieje się to stopniowo - zwierzyła się. - Na pierwszy rzut oka tubylcy wydają się odrażający. Mają tak smolistą skórę, że wyglądają prawie jak z innego świata, jak zupełnie inny gatunek niż ty i ja. Dostrzega się tylko ich kręcone włosy i płaskie nosy. A potem oczy powoli przyzwyczajają się do afrykańskiego światła i otwierają się na piękno tubylców. Zaczynasz się zachwycać połyskiem ich skóry. Widzisz szlachetność ich rysów i zazdrościsz im bieli zębów. Dostrzeżesz grację, z jaką się poruszają na otwartej przestrzeni, ich głębokie przywiązanie do tej ziemi, i w końcu dochodzisz do wniosku, że to my tam nie pasujemy. Ach, Katie, Katie. Zanim się obejrzysz, zaczynasz pragnąć ich dotyku. To jak swędzenie, które powoli rozkwita gdzieś w głębi ciebie.

Z Kate było dokładnie tak, jak przewidziała kuzynka. Wprawdzie kiedy przyjechała do Kodagu, nie czuła obrzydzenia na widok tubylców, ale też nie wydali jej się atrakcyjni. W ciągu ostatnich miesięcy zaczęła jednak zauważać rzeczy, których wcześniej nie widziała. Przyglądała się mężom kobiet z Kodagu w klubie, płynności ich ruchów, gęstym włosom okalającym czoło. Skórze pozbawionej piegów, zabarwionej jak herbata ze śmietanką, złotej jak miód albo ciemnej jak ponura, mocna kawa. Gapiła się na ich dłonie, na ich kształt i obwód, z poczuciem winy wyobrażając je sobie na swoim ciele. Zaczęła z nimi flirtować. Pozwalała sobie tylko na znaczące spojrzenie, zbliżenie się w tańcu nieco bardziej, niż wypadało, kiedy szeptała im coś na ucho.

328

To wszystko było oczywiście nieszkodliwe i absolutnie dyskretne. Po prostu dobrze się bawiła.

No więc przesłała Appu liścik. „To tylko herbatka - tłumaczyła sobie - w gościnności nie ma przecież nic złego. Zresztą co to przeszkadza, że Edwarda nie będzie w domu?” Mimo to, by zdusić poczucie winy, wieczorem powiedziała o tym mężowi.

- Hmmm? - mruknął, zajęty rachunkami. - Tak, oczywiście, kochanie, jak sobie zyczysz...

Być może zirytował ją właśnie ten jego całkowity brak zazdrości.

W każdym razie następnego dnia Kate bardzo zadbała o wygląd: umalowała usta głębokim, czerwono-brunatnym odcieniem i skropiła się perfumami za uszami i w zagłębieniu pod szyją.

Appu dołożył jeszcze większych starań. Nikomu nie powiedział o schadzce, oznajmił jedynie Dewi, że wybiera się do Madikeri. Zarekwirował austina, którego nauczył się prowadzić rok wcześniej, i z niecierpliwością kiwał głową, kiedy Dewi zaklinała go, żeby jechał ostrożnie. Drżał z podniecenia, prawie kręciło mu się w głowie. Wiedział, jak to się odbywa - przecież w ubiegłym roku Bobby MacGowan wrócił do Biddies z całą masą sprośnych historyjek o swojej sąsiadeczce.

Na myśl o pani Burnett jego serce boleśnie załomotało. Oczywiście wiedział, co robić, ćwiczył pocałunki na przedramieniu i na poduszce, ale mimo to... Otarł rękawem kropelki potu zbierające się na czole i jeszcze raz zerknął na paczuszkę leżącą na siedzeniu samochodu. Był to komplet koronkowych chusteczek, który ktoś podarował awwaii. Nawet nie zauważył, że zniknęły. „Wszystko będzie dobrze”, powtarzał sobie,

poklepując kondomy schowane w kieszeni płaszcza.

Stała na progu, uspokajając psy i osłaniając dłonią oczy przed słońcem. Powitała go radosnym okrzykiem. Wyglądała oszałamiająco. Miała sukienkę z jakiegoś diabelskiego materiału, który połyskiwał, kiedy się poruszała. Ucałowała go w policzek, przyjmując chusteczki, i ten delikatny dotyk sprawił, że ścisnęło go w żołądku. Posadziła go w pokoju z fortepianem, zadając mnóstwo pytań o szkołę, o wiek - skłamał, że ma osiemnaście lat - i o rodzinę. Appu posłusznie odpowiadał na wszystkie Pytania, kręcąc się niespokojnie na sofie na małych nóżkach, sącząc kawę i próbując nie gapić się na nogi Kate. Potem, ku jego bezgranicznemu zmieszaniu, wstała, wyciągnęła chłodną dłoń i odprowadziła go do drzwi. - Musimy to powtórzyć - powiedziała wesoło. - Było ab-so-lut-nie uroczo.

329

Kate zaprosiła Appu na herbatę jeszcze trzykrotnie. Za każdym razem osobiście nadzorowała menu, zaglądając do kuchni z nietypową dla siebie częstotliwością. Kanapki z ogórkiem i pomidorem, z odciętą skórką, pokrojone w trójkąty. Babeczki z rodzynkami i custard. Kawowa babka marmurkowa, tartaletki z dżemem i maleńkie, koktajlowe kiełbaski, które dostarczano do sklepu Hansa w puszkach. Potrawki z jajkami i letnie musy z owocami morwy z plantacji.

- Zapamiętaj, zwilż serwetkę, zanim zawiniesz w nią kanapki - poinstruowała kucharza. - Och, i możesz wziąć wolne popołudnie. Reszta służby też.

Rzucił jej znaczące spojrzenie tak przepełnione bezczelnością, że na chwilę zamilkła.

- Co to ma znaczyć? - warknęła, wskazując stertę skórek warzyw. - Nie życzę sobie, żeby moja kuchnia wyglądała jak chlew. Posprzątaj to, natychmiast.

Popędził spełnić polecenie.

- Tak, proszę pani, już je zbieram, proszę pani. - Lecz mimo to, kiedy wymaszerowała z kuchni, płonęły jej policzki.

Appu skwapliwie przyjmował zaproszenia, pocąc się pod kołnierzykiem i wciskając jej do rąk bukiet dzikich kwiatów z ogrodów Tiger Hills albo puszkę jaskrawych cukierków. Bawiła się nim, za każdym razem troszkę bardziej, pozwalając, by rąbek sukienki powędrował nieco w górę, by cekiny na wysokości kolan odbijały światło, kiedy pochylała się nad nim, sięgając po łyżeczkę. Zapach jego skóry przypominał świeżo skoszoną trawę. Woń wiosny.

Za każdym razem pokusa zwilżała jej nogi i prześlizgiwała się przez wnętrzości, kiedy Kate rozważała ostateczne przekroczenie granicy.

W końcu Appu podjął decyzję za nią. Jej pytania coraz bardziej go denerwowały, denerwowała go ta ich głupia gra. Po entym bezsensownym pytaniu z brękiem odstawił filiżankę, rozlewając kawę na porcelanowy spodeczek. Podszedł do Kate i ściągnął ją z krzesła.

- Och - zaczęła zdumiona Kate, ale zamknął jej usta swoimi.

Mimo wszystkich ćwiczeń Appu, ten pierwszy pocałunek miał w sobie więcej żarliwości niż umiejętności. Ale choć usta Appu były zbyt mokre, Kat zaczęła ciężko i szybko oddychać, a potem go odepchnęła. Uniosła

rękę i uderzyła Appu w twarz, wkładając w to całą siłę wytrenowanej na korcie tenisowej dłoni i bijąc tak mocno, że zachwiał się na obcasach, a włosy opadły mu na czoło. Ruszyła w stronę drzwi.

- Pani Burnett - zaczął Appu drżącym głosem, ale po chwili zamilkł, bo Kate nie wybiegła z pokoju, jak się tego spodziewał, ale zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

„Taki młody”.

Wzięła głęboki oddech i znowu uniosła ręce, tym razem w geście przypominającym błaganie.

- Mów mi Kate.

Podbiegł do niej i zaczął gmerać przy sukience, próbując ją rozpiąć, a w końcu ściągnął ją przez głowę. Odrzucił ją na bok i sukienka opadła na podłogę, zalewając ją poszeptem szyfonu i jedwabiu. Zamroczone spojrzał na biustonosz, a ona nerwowo się roześmiała. Tak bardzo zaschło jej w ustach.

- To symington, wiązany z boku - szepnęła, oblizując wargi. - Doskonale spłaszczła biust, nadając kobiecie idealną sylwetkę.

Jej serce biło jak szalone, a nogi tak bardzo miękkie, że ledwie stała.

Miał tak niedorzecznie długie rzęsy. Wzięła go za ręce, gładząc kciukiem półksiężycy jego paznokci i żyły pulsujące w nadgarstkach. Zbliżyła jego dłonie do swojej piersi, patrząc mu głęboko w te ciemne, otoczone rzęsami oczy.

- Tutaj - powiedziała. - Rozwiąż te koronki.

Appu nie mógł spać, jeśli nie widział Kate dłużej niż tydzień. Przewracał się wówczas na łóżku i rozdrażniony warczał na wszystkich wokół, nawet na zdumioną Dewi. Nandzu próbował wyciągnąć go z domu, ale Appu był jeszcze mniej chętny niż wcześniej do spacerów po plantacji albo do pomocy w sprzątaniu w ptaszarni.

- Potrzebujemy członkostwa w klubie - oznajmił nagle pewnego wieczoru przy kolacji, a Dewi tak bardzo się ucieszyła, że wreszcie się odezwał, że natychmiast wyraziła zgodę.

Snuł się wokół stołów bilardowych w klubie, bo stamtąd miał najlepszy widok na salę kobiet. Nie mógł się zdecydować, co jest gorsze: nie widzieć jej, czy wiedzieć, że jeśli przyjechała do klubu, to na pewno towarzyszy jej mąż.

331

I nagle, bez ostrzeżenia, jeden z kelnerów wsuwał mu w dłoń liścik.

„Czw. 10.00”. Appu znowu czuł radość w sercu.

- Zagraj dla mnie - powiedział pewnego razu, a ona zasiadła do fortepianu, zdziwiona tym, jak wygodnie siedzi się na stołku nago. Był to wielki fortepian, który Edward sprowadził dwa lata temu z Londynu z okazji jej urodzin. Jak co roku zapytał ją, dokładnie miesiąc wcześniej, co chciałaby dostać w prezencie.

- Zaskocz mnie, kochanie! - zawołała. - Podaruj mi cokolwiek, ale mnie zaskocz!

Dość rozsądnie zauważył, że to bez sensu - a jeśli prezent jej się nie spodoba?

- Będzie prościej, jeśli po prostu mi powiesz, co chciałabyś dostać - powiedział. - W ten sposób będę mógł ci podarować dokładnie to, czego



pragniesz.

Powtarzając sobie, że Edward ma rację i że nie powinna się wygłupiać, Kate w końcu zasugerowała fortepian. Sześciu mężczyzn musiało go przywieźć wozem zaprzęgniętym w wołu, by pokonać krętą drogę, a potem kazała wstawić instrument do salonu z widokiem na trawniki i otaczające je klatki z królikami.

Granie na fortepianie stało się dla Kate i Appu czymś w rodzaju rytuału. On leżał wyczerpany, a ona grała, cokolwiek przyszło jej do głowy. Rozmarzone, błędne sonaty, nudne utwory kameralne albo złożone walce. Za przejrzystymi szybami okien niebo zmieniało kolor, a chmury kształt.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach - powiedziała kiedyś, kiedy na niej leżał. Appu wzruszył ramionami.

- W zasadzie wszystko już wiesz. Ojciec przed wypadkiem chciał zostać lekarzem, a matka zarządza plantacją...

Przesunęła dłoń po jego ciepłych, jedwabistych plecach.

- Chodziło mi o twoich prawdziwych rodziców, głuptasie. Opowiedz mi o nich.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Ojciec zginął w walkach przygranicznych. - Mówił chłodnym tonem. - Matka umarła wkrótce potem, a rodzice... ciotka i wuj, wzięli mnie pod swoje skrzydła.

- Jak umarła twoja matka?

Appu prawie niedostrzegalnie zeszytniał.

- Zachorowała - skłamał gładko. Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią. - Ale dość już tych pytań.

- Jak to...

332

Przesunął palcem po jej brzuchu, a ona gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Dość tych pytań - powtórzył, pochylając się nad nią.

Kate nigdy się nie dowiedziała, w jaki sposób Edward odkrył prawdę: może zdradził ją kucharz o rozbieganych oczkach, a może inny służący. W zasadzie jej mąż nigdy nie powiedział tego wprost, ale pewnego dnia, kiedy wróciła z ogrodu, atmosfera w domu była jakaś... inna. Odłożyła rydel do kosza z narzędziami ogrodniczymi i pocałowała męża w policzek.

- Witaj. Nie słyszałam, jak wchodzisz.

- Od jak dawna? - zapytał tylko, nie patrząc w jej stronę.

Potem rozmawiali. Rozmawiali tak, jak od dawna im się nie zdarzało.

Obiad stygł, a zielony groszek zakrzepł w sosie. Oświadczył jej, że jeśli chce, może odejść.

- Najwidoczniej cię zawiodłem. Zwracam ci wolność. Nie będę ci stał na przeszkodzie. Czy ty... - Lekko zadrżały mu dłonie, widelec, który trzymał w ręku, brzęknął o talerz. - Kochasz tego człowieka?

Kate wybuchnęła płaczem, zaskakując samą siebie.

- Kocham ciebie! - zapewniła męża. - Tylko ciebie kocham. Proszę - błagała, klękając przy jego krześle i ujmując jego twarz w dłonie. - Kochanie, proszę, spójrz na mnie. Tak bardzo cię kocham. Tęsknię za tym, co nas łączyło. To... to NIC dla mnie nie znaczy. Byłam... sama nie wiem... Tak bardzo za tobą tęskniłam. Och, Boże, Edwardzie, kocham cię.

Appu okropnie cierpiał. Kate przestała się do niego odzywać. Nie wstawał

z łóżka i ożywał się dopiero wieczorem, kiedy nadchodziła pora kolejnej wizyty w klubie. Kręcił się w sali bilardowej z dobrym widokiem na salę kobiet, ale nigdzie nie było śladu Kate. Ospałość syna tak bardzo martwiła Dewi, że w końcu wezwała lekarza.

- Nic mu nie dolega - stwierdził doktor. - Młodzieńcze rozleniwienie i tyle.

Na początku Nandżu dał mu spokój, zostawiając brata sam na sam z jego myślami, ale gdy zobaczył, że melancholia Appu nie ustępuje, spróbował innej taktyki.

333

- Wyglądasz jak bawół domowy - zauważył. - Leżysz tu całymi dniami... - Rozsunął zasłony, zalewając pokój światłem. Appu się skrzywił i przykrył głowę poduszką. - No, bawole - ciągnął Nandżu, siadając na łóżku. - Mamy dziś piękny dzień. Pójdziemy na ryby? - Czekał, ale nie było odpowiedzi. - Aaj - dodał wtedy czule. - Coś się stało w klubie? Chodzi o tę kobietę, prawda? O tę, o której opowiadałeś?

Appu nie odpowiedział. Prawie nie oddychał.

Nandżu westchnął.

- Appu - zaczął, a potem pokręcił głową. - Dzień jest naprawdę piękny - powtórzył z prostotą. Zaczął się podnosić i Appu w końcu drgnął. Z twarzą ciągle schowaną pod poduszką, poruszył stopą. Nie mówiąc ani słowa, w milczeniu przesuwał ją pod kołdrę, dopóki nie natrafiła na nogę Nandżu. Nandżu spojrział na brata i na jego twarzy odmalowała się czułość zmieszana z niepokojem i odrobiną złości. A potem zmienił pozycję, odsuwając się lekko na bok, tak, że kiedy znowu usiadł, jego kolano mężnie spoczęło na stopie Appu, ciepłe i pocieszające, jakby chroniło jakieś ukryte, bezbronne zwierzę.

ilr

W końcu Appu nie mógł tego dłużej znieść i ignorując ostrzeżenie Kate, która zabroniła mu kontaktować się z nią bezpośrednio, pojechał na plantację Belvedere.

- Dags - szepnęła przerażona Kate. - Po co tu przyjechałeś?

Appu słuchał, kiedy mu wyjaśniała, że nie mogą się dłużej spotykać.

- Dlaczego? - powtarzał. - Dlaczego?! - krzyknął wreszcie, nie czekając na odpowiedź, i zamaszystym ruchem strącił ze stołu bibeloty, które roztrzaskały się na podłodze.

Dłoń Kate podskoczyła do gardła.

- Dags! Uspokój się, chyba nie myślałeś, że... przecież wiedziałeś, że to tylko chwilowe?

- Kocham cię - wyznał zrozpaczony łamiącym się głosem.

- Kochasz mnie? Kochasz?! To, co nas łączyło, nie było miłością, tylko pożądaniem. Spójrz na nas, na miłość boską. Pochodzimy z dwóch różnych światów, a poza tym jestem od ciebie z dziesięć lat starsza, to nie...

Wtedy spróbował ją pocałować, ale ona wyrwała się z jego objęć.

334

- Na miłość boską. Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz? To koniec.

Stał w jej salonie pełnym jedwabnych falban i szukał właściwych słów, żeby się przy niej nie rozplakać.

- Ty... ty... - Po chwili odwrócił się i pobiegł do drzwi. - Ty kurwo! -

krzyknął przez ramię. - Pieprzona biała kurwo! - Wskoczył do austina i jak najszybciej odjechał.

Niedługo potem Kate i Edward Burnettowie wyjechali z Kodagu.

„Kauczuk”, wyjaśnili przyjaciółom. Słyszeli, że kauczuk to żyła złota, więc sprzedali plantację i popłynęli na Malaje. Przez parę tygodni rozmawiano o nich w klubie. Krążyły plotki, że Kate spotykała się z kimś za plecami Edwarda. Oczywiście niczego nigdy nie udowodniono, ale przecież nie ma dymu... Kokietka z tej Kate, zawsze flirtowała z mężczyznami pod nosem ich żon.

Wkrótce nawet plotki ucichły i zniknęły prawie wszystkie ślady obecności Burnettów w Kodagu.

Mimo to Kate pozostawiła pewną spuściznę. To ona wprowadziła Appu do towarzystwa. To ona go nauczyła, jak należy trzymać kieliszek i rozpoznawać prawdziwy kryształ po charakterystycznym dźwięku, jaki wydawał trącony paznokciem. To ona mu uświadomiła, że zawsze należy mieć w pogotowiu chusteczkę w butonierce, porządnie uprasowaną i skropioną wodą kolońską, na wypadek gdyby potrzebowała jej jakaś dama. To ona pokazała Appu pagórki i krągłości kobiecego ciała, prowadząc jego dłonie do tajemnych miejsc, których większość mężczyzn nigdy nie odkrywała. Czuły płatek ucha. Wgłębienie z tyłu kolana, delikatną skórę po wewnętrznej stronie przedramienia.

To ona uzmysłowiła Appu, jaki był naiwny, kiedy odstłonił serce przed drugim człowiekiem.

Nandżu siedział i patrzył, jak Appu pakuje się przed wyjazdem.

- Wszystko w porządku?

- A dlaczego miałoby nie być w porządku?

- Daj spokój, Appu. Wiem, że coś się stało.

Appu dalej wpychał koszule, spodnie i buty do kufra.

- Nie, nic się nie stało.

Nandżu westchnął.

- Jak sobie chcesz. Ale uważaj na siebie, słyszysz?

- Nic mi nie dolega - powiedział Appu, nadal nie patrząc bratu w oczy. - Nie wiem, dlaczego uważasz, że jest inaczej.

335

I rzeczywiście, po powrocie do Biddies Dags wydawał się aż nazbyt zadowolony, częstując kolegów szczegółami swoich eskapad. Dokładnie opisał Kate i każdy, nawet najmniejszy aspekt ich schadzek. Kiedy odarł ją z ostatniego kawałka godności, kiedy rozebrał ją słowami, w końcu poczuł się lepiej. „Miała rację - powtarzał sobie. - To było tylko pożądanie”. Wypchnął Kate ze wspomnień jak wodę przez sito, a na końcu pozostały mu jedynie szorstkie resztki. Esencja wydestylowana z ich wspólnych chwil, ulepiona wyłącznie z przyjemności ciała. Wymyślił nawet wierszyk upamiętniający ich romans, i wyśpiewywał go na całe gardło do melodii szkolnej piosenki.

Katie, Katie, pokaż uda

Mniej więcej jard nad kolanem,

Rozłóż nogi, wypnij tylek

I zabaw się ze swym panem.

Kiedy wymknął się do wioski, doskonale wiedział, o co prosić.

- Kobiety - powiedział. - Starsze, młodsze, jakiegokolwiek macie.

Dobrze zapłacę.

W ostatnim roku nauki Appu całe Biddies oszalało na punkcie córki dyrektora. Rosemary D'Costa była smukła i miała migdałowe oczy. Przyjechała na uczelnię razem z matką, która okazała się zbyt chorowita, by dłużej wytrzymać w Madrasie. Postanowiono, że Rosie będzie kształcona w Biddies. Studenci oczywiście wyłazili ze skóry, rywalizując o względy jedynej dziewczyny w akademii. Zostawiali jej na biurku ciastka, liściki miłosne i najróżniejsze kwiaty, a Rosie przyjmowała to wszystko z uroczym uśmiechem, zachowując neutralność w obdarzaniu sympatią, którą okazywała wszystkim, nikogo nie wyróżniając.

Tylko Dags traktował ją z grzecznym dystansem. Uprzejmie otwierał przed nią drzwi, ale kiedy zwracała ku niemu oczy z najmiłszym, najbardziej rozbajającym uśmiechem, patrzył w jakiś punkt nad jej głową. I oczywiście to on zaintrygował Rosie najbardziej. Zaczęła chadzać jego ścieżkami, wpadała na treningi hokeja i kibicowała drużynie pływackiej, aż w końcu dla każdego, kto zadał sobie trud, by to zauważyć, stało

336

się jasne, że Rosie D'Costa nie widzi nikogo poza kapitanem drużyny pływackiej, kapitanem drużyny hokeja, forsiastym Dagsem.

Rosie dostała obsesji na jego punkcie. Im bardziej wzdychali do niej inni chłopcy i im bardziej unikał jej Dags, tym mocniej go pożądała, aż w końcu nie potrafiła myśleć o niczym innym. Appu miał doskonale wyczucie czasu: rozpalił ją prawie do granic wytrzymałości i kiedy w końcu przypuścił atak, była słodka i uległa jak dojrzała gujawa.

Korzyszał z wdzięków Rosie prawie przez cały semestr. Ich potajemne schadzki sprawiały, że inni studenci zielenieli z zazdrości, a tym nieszczęśnikom, którzy naprawdę kochali się w Rosie, robiło się niedobrze. Appu nie dostrzegł jednak, że jak każda przedstawicielka klasy średniej, Rosie nie lubiła zmian. Gdy pewnego popołudnia oznajmił od niechce- nia, że to koniec, przeżyła szok. Potok łez i żarliwe błagania sprawiły jedynie, że Appu zacisnął usta z lekkim obrzydzeniem.

- Już dobrze, już dobrze - powiedział, klepiąc ją po ramieniu. Ukradkiem zerknął na zegarek, zastanawiając się, kiedy w końcu będzie mógł wrócić na boisko.

Gdy stało się jasne, że nie zamierza zmienić zdania, zapłakana i zrozpaczona Rosie padła w objęcia matki. Poczciwa rodzicielka pobiegła oczywiście do męża, a przerażona Dewi czym prędzej przyjechała do Uta, by uchronić ukochanego syna przed natychmiastowym wydaleniem z akademii.

Trzeba było długich negocjacji, pociągnięcia za wiele sznurków i wysokich datków, by w końcu Biddies pozwoliło Appu dokończyć semestr. Wstrząśnięta Dewi natarła synowi uszu i nie dała się udobruchać, nawet kiedy mignął dołączkiem w ujmującym uśmiechu i sypnął paroma żarcikami. Rosie natychmiast odesłano do Madrasu, a kiedy dostała okres, jej matka zaszlochła z ulgą. Koniec końców cały skandal został dość dobrze wyciszony.

Dopiero kiedy Appu zaczął składać papiery do programu KCIO, dosięgły go pełne reperkusje poprzedniego semestru. Gdy napisał do kapitana Balmera, prosząc o rekomendację, kapitan przysłał ponury list, wyrażając swoje ubolewanie. Pułkownik Bidders doniósł mu o nie-

fortunnym incydencie w akademii. Bez wątplenia zawsze istnieją dwie wersje historii, jednak w zaistniałych okolicznościach nie mógł z czystym sumieniem zarekomendować Appu. Było mu naprawdę przykro - wiązał z chłopcem wielkie nadzieje, ale w tej sytuacji... Program KCIO 337

obejmował rygorystyczny proces rekrutacji i było jasne, że po tym, co się stało, kandydatura Appu nie zostanie wzięta pod uwagę. Jeśli istnieje coś innego, co Balmer mógłby dla niego zrobić, uczyni to z przyjemnością. Istniały przecież inne możliwości poza armią.

Dewanna napisał do pułkownika Biddersa, lecz i on spotkał się z odmową. Chłopca omal nie wydalono z akademii. Pozwolono mu ukończyć naukę tylko dzięki wynikom, jakie osiągał w poprzednich latach. „Powinien Pan wiedzieć, sir - napisał pułkownik - że kamieniem węgielnym naszej akademii jest niesłabnące zaangażowanie w kształtowanie niezłomnego charakteru u naszej młodzieży. Zważywszy na niedawne zajścia, nie pojmuję, jak może Pan oczekiwać, że polecę Pańskiego podopiecznego komisji najbardziej prestiżowego programu we współczesnej armii”. Mimo to Appu nie tracił nadziei. Wszystko rozejdzie się po kościach, na pewno.

- Przyjedź, awwaija - namawiał matkę. - Porozmawiaj z dyrektorem. On ci nie odmówi.

Dewi jeszcze raz pojechała do Biddies, ale na próżno.

- Ten stary głupiec nie ustąpi - powiedziała rozzłoszczona do syna. - Sam się o to prosiłeś, Appu. Musiałeś wybrać akurat córkę dyrektora? Appu przeczesał włosy palcami.

- Co teraz? Program KCIO... - W końcu do niego dotarło, że bez względu na to, co zrobią, tym razem nie zdoła postawić na swoim. Drzwi KCIO zatrzaśnięto mu przed nosem.

Dewi przygryzła usta i jej złość ulotniła się na widok oszołomienia i niedowierzania w jego oczach.

- Appu - powiedziała czule. - Są inne możliwości poza armią.

- Musi istnieć jakiś sposób, awwaija. Może gdybyś porozmawiała z pułkownikiem Biddersem osobiście, zamiast pisać list...

- Appu. Posłuchaj. To koniec. Zapomnij o tym.

- Nie - zadrżał mu głos. - Wojsko. Muszę się dostać do wojska.

- Dlaczego? - zapytała cicho. - Ze względu na ojca? Nie, nie musisz.

Twój ojciec wstąpił do wojska, bo nie miał innego wyjścia.

- Był bohaterem.

- Był bohaterem, na długo zanim znalazł się w armii. Był pogromcą tygrysa, Appu. Pogromcą tygrysa.

Czekała, ale nie odpowiedział.

- Serce twojego ojca, nawet kiedy był daleko od Kodagu, zawsze pozostawało tutaj. Tygrysie Wzgórza to twoja spuścizna, Appu. Będą

338

twoje na zawsze. Zapomnij o KCIO. Nie wiedzą, co tracą, odrzucając mojego syna.

- Mój ojciec oddał w armii życie. - Appu mówił ze ściśniętym gardłem.

- Z listów kapitana Balmera dowiedziałem się, jak wspaniale walczył.

- Zaciągnął się tylko dlatego, że musiał - powtórzyła Dew. - Jego korzenie...

- Och, przestań, na miłość boską, przestań, awwajja - gwałtownie się odwrócił, przerywając jej. - Skąd możesz wiedzieć? Nie byłeś jego żoną, nie jesteś moją... - Zamilkł, zanim powiedział, że nie jest jego matką, ale brakujące słowo zawisło między nimi.

Dewi przełknęła ślinę, próbując stłumić dotkliwie ukłucie bólu, który wzbierał w jej sercu.

Odprowadził matkę do samochodu i pochylił się, by dotknąć jej stóp. Zawahała się przez chwilę, jakby chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie zmieniła zdanie i powoli wsiadła do samochodu.

Zaczekał, aż samochód się oddali, a gdy w końcu zniknął mu z oczu, odwrócił się, wyprostował i utkwiał wzrok w rozłożystej bryle szkoly z czerwonej cegły.

Wieść niczym pożar rozprzestrzeniła się w całym internacie: Dags, ten wspaniały Dags, nie będzie mógł się ubiegać o przyjęcie do programu KCIO.

- E tam - beztrąsko prychnął Appu w rozmowie z kolegami. - Zresztą komu potrzebna armia? Te wszystkie bufony. Dziękuję, nie skorzystam. To samo powiedział Nandzu po powrocie do Kodagu, ale Nandzu nie dał się zwieść.

- Co się stało, to się nie odstanie. Może zamiast tego wyjedziesz za granicę? Do Anglii? Postudiujesz tam. Z takimi osiągnięciami w sporcie na pewno dostaniesz się na dobrą uczelnię. Zapomnij o wojsku.

Appu się rozchmurzył. Tak. Wyjedzie za granicę, jeszcze im wszystkim pokaże. Zasypał kolegów z klasy lawiną telegramów: „Prześlijcie formularze, Oksford i Cambridge, szybko”.

„Terminy składania podań już minęły, Dags”, odpisali przyjaciele.

- I co z tego? - zapytała Dewi. - Zostań na jakiś czas w Tygryśnich Wzgórzach, będziesz mógł złożyć podania w przyszłym roku. Powiemy wszystkim, że musiałeś odłożyć studia o rok z przyczyn osobistych.

Po grążony w milczeniu Appu gapił się przez okno jadalni. Wzbierała w nim fala rozczarowania. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, Przygotowywałby się teraz do rozmów kwalifikacyjnych w KCIO.

339

- Appu? Słuchasz mnie? W tym roku zostań w domu.

Miał wrażenie, że w jego głowie rozlega się tupot maszerujących butów.

Wpatrywał się w plantację, w niekończące się, proste rzędy kawowców.

Odgłos maszerujących w jego głowie oddalał się i milknął w oddali.

Kawowce zaszumiały, poruszone nagłym podmuchem bryzy, a potem znowu ucichły. Appu poczuł, że się dusi, że został osaczony, jakby wokół piersi zaciskała mu się żelazna obręcz.

- Madras - powiedział nagle. - Mniejsza o zagranicę. Koniec z tym wszystkim. Pojadę do Madrasu. Do Kolegium Prezydenckiego.

- Dobrze - zgodziła się Dewi. - Jak chcesz. Pojedź do Madrasu i ucz się pilnie. Za rok znowu spróbujemy cię posłać na któryś z zagranicznych uniwersytetów.

1927

Banjan wyglądał jak rozsadzony dymem i cieniem, jego kontury

były zamazane niczym znak wodny w porannej mgle. „Węgiel

i łupek - pomyślała Dewi - kolory leżące między nocą i świtem.

Zimny ogień, zapomniany głaz”. Owinęła się ciaśniej szalem i zbliżyła

palce do skroni.

Zwykle była to jej ulubiona pora dnia. Kiedy ogród leżał jeszcze na wpół uspiiony, orchidee po cichu rozwijały płatki, trawa drżała i ugiwała się pod rosą. Wirowie patrzyli z cieni, gdy w milczeniu szła po plantacji. Miała wrażenie, że wszędzie wokół jest Maću, że tam, o tam, stoi wyprostowany i wysoki wśród drzew, jak płynna prawda odznaczająca się w wilgoci, zmieniająca kształty poranka.

Dziś ból głowy trącał ją jednak brutalnie w skronie, ścisnął głowę ostrymi jak igły palcami. Gdy niepewnie snuła się po ogrodzie, ożywiły się papugi siedzące na banjanie. Uniosła dłoń, by jeszcze raz rozmasować czoło, i ruszyła w stronę domu.

- Dewanna! - zawołała niespokojnie. - Dewanna!

- Zeuzera coffeae - przeczytał na głos Dewanna. - Torzyśniad, wiertacz kawowca to najgroźniejszy pasożyt żerujący na plantacjach w całych Indiach, na Malajach i w Brazylii. Znany również jako wiertacz kakaowca, wiertacz łodyg herbaty i kawowy cieśla. Motyle atakują nawet teki, eukaliptusy i winorośl. Młoda larwa wchodzi w gałązki kawowca, a gdy krzew rośnie, pasożyt przemieszcza się ku większym gałęziom. Ponieważ draży

341  
drogę we wnętrzu rośliny, o zniszczeniach świadczą otworki upstrzone owadziemi ekskrementami...

Dewanna urwał, by zerknąć na Dewi zza półksiężyców swoich okularów.

- Czyli odchodami - wyjaśnił. - Zaraz, gdzie ja skończyłem... upstrzone owadziemi ekskrementami oraz rośliny charakteryzujące się ogólną kruchością i wyniszczeniem. Larwa przepoczwarza się w tych tunelach, a każdy dorosły osobnik płci żeńskiej składa od stu dziewięćdziesięciu do tysiąca stu trzydziestu czterech jaj. Poważne zniszczenia prowadzą do śmierci całej rośliny.

- To z pewnością przydatne informacje - cierpko stwierdziła Dewi. - Ale czy mógłbyś mi podsunąć jakieś rozwiązanie?

Martwiła się o plony. Jakość zbiorów podlegała cyklicznym zmianom: po obfitości w jednym roku następował zwykle słabszy sezon. Przeważnie nawet gorsze zbiory były dość zadowalające, ale w ubiegłym roku plantacje Dewi po raz pierwszy ją zawiodły.

Ziarno było dobre, ale nie wystarczyło go, by zapłacić za urządzenia opryskowe, które zainstalowała po ubiegłorocznych żniwach. Dyrektor banku okazał się dla niej łaskawy i przedłużył okres spłaty pożyczek o następny rok, ale Dewi wiedziała, że nie można liczyć na takie ustępstwa przez dwa lata z rzędu. Trzymała kciuki i z niepokojem czekała na deszcze. Te, dzięki Iguthappie swamiemu, spadły obficie, i Dewi odetchnęła z ulgą. Mimo to, nie chcąc się zdawać na ślepy los, na wszelki wypadek zasilila glebę wszystkich trzech plantacji nawozem złożonym z gnoju i bydłowych kości. Kawowce obsypały się gęstym kwieciami, a plantację upstrzyły tysiące maleńkich, miódopłynnych kwiatów.

I właśnie wtedy, kiedy wszystko wyglądało tak dobrze, zaatakował torzyśniad.

W tamtym roku szkodnik nękał całe Kodagu. W regionie rozpleniły się wszelkiego rodzaju owady, zachęczone nietypowo ciepłą pogodą po

porze monsunów: nieszkodliwe szare robaczki, które łąziły po ścianach i wciskały krągłe ciała w szczeliny ramek zdjęć i drewnianych podłóg, czerwone i gładkie jak aksamit dżdżownice, które dzieci wyjmowały z trawy i hodowały w szklanych słojach, stonogi o puchatych nóżkach i podłużne pareczniki, czerwono-brunatne jak oficjalne barwy Kolei Indyjskich.

342

Niestety, napiętnowany torzyśniad również uwielbiał taką pogodę i gromadnie zaatakował krzewy kawowca, niestrudzenie przewiercając się przez kolejne plantacje.

Z początku jego ofiarą padło tylko kilka krzewów na skraju Tygryskich Wzgórz. Ich pnie pokryły się otworkami, a gdzieś w powietrzu beztrudnie unosiły się motyle. A potem, nagle, niemal w mgnieniu oka, torzyśniady opanowały całą plantację. Niesamowite, jak szybko się rozprzestrzeniały. Wkrótce zaatakowały następną plantację Dewi.

Kazała robotnikom potrząsać gałęziami krzewów z nadzieją, że postrącają larwy. Gdy owady nadal się mnożyły, wyznaczyła nagrodę za ich stalowoszczękie głowy, oferując dwie rupie za sto schwytych motyli. Robotnicy skwapliwie przystąpili do masakry, ale na miejsce stu zabitych motyli pojawiała się jeszcze więcej następnych. Potem, za radą Dewanny, zastosowała oprysk z odpadów zasadowych za pięć rupii za akr. Mimo to krzewy nadal marniały.

Rozpacz w bambusowym regionie była tak wielka, że na licznych europejskich plantacjach przystąpiono do ostatecznego, desperackiego palenia zainfekowanych krzewów. Słyszała, że w niektórych posiadłościach zlikwidowano nawet połowę upraw i zastąpiono je „zapasami”: młodymi sadzonkami kawowców. Był to rozpaczliwy krok. Sadzonki potrzebowały co najmniej siedmiu lat, by osiągnąć dojrzałość i zacząć rodzić owoce. „Nie - upierała się Dewi - musi istnieć jakiś lepszy sposób”. Znowu przeanalizowała sytuację. Dwie z jej plantacji, w tym również Tygryskie Wzgórze, były opanowane przez torzyśniadę, co zagrażało ponad połowie rocznej produkcji. Na szczęście trzecia plantacja, rozłożyste dwieście akrów na południu Kodagu, nie została zaatakowana przez pasożyta. Najwyraźniej motyle wolały otwarte przestrzenie i łagodne wzgórza północy od gęstych lasów południa.

Gdyby plantacja na południu przyniosła dobre plony i gdyby zahamowali rozprzestrzenianie się szkodnika na dwóch pozostałych plantacjach, mogliby przetrwać do następnego roku.

Przez kilka następnych miesięcy musieliby zacisnąć pasa, ale mieli spore pole manewru. Zrezygnowałaby z tymczasowych pracowników do zbioru owoców, których zazwyczaj zatrudniała do pomocy, a to pozwoliłoby zaoszczędzić trochę rupii. Rodzina mogłaby pomóc, zwłaszcza Nandzu i Appu. Poza tym porozmawia z Appu, żeby ograniczył wydatki... Dewi westchnęła.

343

Minął już prawie rok, odkąd Appu wrócił na dobre. Dewi przygryzła usta i wbiła wzrok w trawnik. Ta cała historia z KCIO... Dokładnie rok po tym, jak Appu ukończył Biddies, do programu przyjęto dwóch następnych mieszkańców Kodagu. Appu z pewnością o tym słyszał, bo jeden z chłopców, Timmy, był również absolwentem Kolegium Prezy-



denckiego. Jej syn nie skomentował tego jednak ani słowem. W zasadzie przestał mówić o wojsku. Wszystko wskazywało na to, że interesują go już tylko wyścigi konne i imprezy. Podczas nauki w Madrasie tak bardzo zagustował w lokalnym życiu towarzyskim, że ostatecznie porzucił zamiar studiowania za granicą. Trzy lata później, po ukończeniu studiów, rozpoczął praktyki w przedsiębiorstwie eksportującym herbatę. Szybko się nimi znudził i niespełna pięć miesięcy później rzucił tę pracę, a potem wrócił do Tygryśich Wzgórz.

Dewi nie miała nic przeciwko temu. Kilka lat wcześniej Nandzu ukończył studia rolnicze i też czym prędzej wrócił do domu. Powierzyła mu zarządzanie plantacją na południu Kodagu. Chłopak ciężko pracował i starał się ją zadowolić. „Appu też się nauczy - pomyślała. - Będzie patrzył na pilnego starszego brata i wkrótce zmęczy go hulaszczy tryb życia”. Ku jej rozgoryczeniu, Appu nie wykazywał jednak najmniejszego zainteresowania niczym, co wymagałoby większego wysiłku niż wizyta w klubie.

Obróciła warkocz w palcach, nie dostrzegając czułego spojrzenia Dewanny, który obserwował ją znad książki. W wieku czterdziestu ośmiu lat Dewi wydawała mu się jeszcze bardziej urocza niż wcześniej. Lata zmówiły się, by wytrzebić delikatną nadobność młodości, lecz w zamian oddawały nagie, odsłonięte i wyczelowane piękno. Włosy, które swobodnie kręciły się przy skroniach, prawie w ogóle nie posiwiały, a skóra, pomimo delikatnych zmarszczek wokół ust, nadal była miękka jak jedwab. Policzki się zapadły, lecz podkreśliło to tylko rysy twarzy z ich cyplami dumnych, wystających kości policzkowych.

- Nie chcę palić zarażonych roślin - powiedziała nagle do Dewanny, niemal błagalnym tonem. - Znajdź jakiś inny sposób, musi istnieć lepsze wyjście.

Westchnął i sięgnął po laskę.

- Zobaczę - powiedział. - Mam książkę o ajurwedzie...

- Uważaj, żebyś nie upadł - ostrzegła odruchowo, kiedy kuśtykał po werandzie. - Płytki są śliskie od rosy.

344

Zmysły Gunderta były już przytępione i zawodne. Z początku w ogóle nie zauważył, że upadł. Ostatnio często zdarzało mu się zwracać do cienistych postaci, które z bliska okazywały się jedynie wydętą zasłoną albo zwodniczym snopem światła. Słuch również go zawodził. Gundert domyślił się tego, widząc zdumione spojrzenia zakonnic, kiedy rozmawiał z nimi głośniejszym, niż zamierzał. Jego ciało powoli się poddawało - niczym worek, który służył zbyt wiele lat.

Kilka tygodni temu obudził się z uśmiechem. Łowił z Olafem ryby w wiejskim jeziorze, szukając wielkiego okonia, który ukrywał się pośród kamieni. Ciepła woda obmywała mu nogi i budziła uśmiech na twarzy. Musiało minąć kilka minut, zanim zdał sobie sprawę, że to był tylko sen i że to nie jezioro z czasów dzieciństwa, lecz coś zgoła innego zmochyło mu nogi. Odrzucił kołdrę z okrzykiem obrzydzenia, usiłując się uwolnić od nasiąkniętej pościeli. Jego noga, nieprzywykła do tak pospiesznych ruchów, nie wytrzymała. Gundert padł na podłogę i próbując odzyskać równowagę, wyrzwał łokciem o stół.

Zacisnął zęby z bólu, próbując się podźwignąć. Pościel ciągle wysuwała mu się z rąk, aż w końcu został zmuszony do uznania porażki.

- Siostró Agnes! - zawołał, nie mogąc znieść drżenia w swoim głosie. - Jest tam kto?

Zakonnice wpadły do jego sypialni z okrzykiem przerażenia. Pomogły mu usiąść w fotelu, udając, że nie widzą nocnej koszuli, która podczas upadku podciągnęła się w górę, odsłaniając nagie uda.

- Niech się wielebny nie przejmuje - powiedziała siostra, radośnie zmieniając pościel. - Mojemu wujowi też się to zdarzało. Zdarza się wielu z nas, cóż począć? Nie ma się czym przejmować.

Nie odpowiedział i ciężko dysząc, masował obolały łokieć. Czuł rwanie w kostce, które jednak było niczym w porównaniu z niekończącymi się upokorzeniami starczego wieku. Agnes wyparowała z pokoju z przemoczoną pościelą, nie przestając mówić.

- Chwileczkę, wielebny, zaraz wracam. Za moment znowu położymy wielebnego do łóżka.

Był niebezpiecznie blisko też.

Po incydencie ze zmożeniem łóżka Gundert odmawiał sobie szklanecki mleka przed snem w obawie, że płyn pobudzi niesforny pęcherz.

345

Przemieszczając się chybliwym krokiem między swoim apartamentem a kaplicą, zawsze pilnował, by być blisko ściany albo oparcia krzesła. Wiedział, że siostry się nad nim litują, słyszał to w ich głosach. Zastanawiały się, dlaczego nie wróci do ojczyzny. Jego zadanie zostało wykonane, poświęcił życie misji. Chyba Jezus nie będzie miał mu za złe spędzenia ostatnich dni życia w otoczeniu rodziny? Właściwym dla tubylców poufałym tonem zapytały go, dlaczego nie wyjedzie. Uczyniły to bez najmniejszego śladu zakłopotania. Nie przyszło im do głowy, że to nie ich sprawa. Zabolało go, że siostry traktują jego kraj i swoją ojczyznę jako dwa odrębne światy. Spędził w Indiach tyle lat. Młodość, wiek średni, a teraz starość z towarzyszącym jej zniedołężnieniem. Ani razu nie wziął urlopu, ani jednego wolnego dnia. Andere Ldnder, andere Sitten\*. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać tak jak one. Właśnie tak uważał. Czyż nie przytulił tego kraju do serca - jego tradycji, zwyczajów i spraw? Tyłu młodych ludzi ukształtował pod dachem tej szkoły, swojej szkoły. A mimo to pytały, czemu nie wraca do swojego kraju. Jakby był tu jedynie intruzem, obcym przechodniem.

W Schwarzwaldzie nic już na niego nie czekało. Rodzice dawno umarli, a on, podobnie jak jego ojciec, był jedynakiem. Wszystko, co miał, wszystko, co kiedykolwiek kochał, było tutaj.

Misja przysłała nowego księdza, by stanął u steru szkoły - rumianego, energicznego mężczyznę o wielkich, żółtych zębach i donośnym śmiechu, który niósł się po całej szkole. Komitet przysłał urzędnika z oficjalnym wyjaśnieniem.

- Dobrze się wielebny spisał - powiedział ten człowiek, poklepując Gunderta po ramieniu - ale chyba czas na odrobinę świeżej krwi, ja7.

Gundert przygotował się na to spotkanie. Dziesiątki razy powtarzał w myślach argumenty, które przedstawi gościowi. Kiedy jednak otworzył usta, jego głos zabrzmiał piskliwie, marudnie.

- Świeżej krwi? Czy misja nie wie, ile lat tu spędziłem?

- Oczywiście, że wiemy. Dobrze się wielebny spisał - zapewnił go mężczyzna - ale praca wielebnego dobiegła końca. Niech wielebny wraca do domu. Bóg mi świadkiem, że gdybym to ja miał taką możliwość, wyruszyłbym choćby jutro.

Gundert nie potrafił sobie przypomnieć żadnej z ciętych odpowiedzi, które tak starannie przygotował. Siedział zrozpaczony w fotelu. Kiedy

\* Co kraj, to obyczaj (niem.).

346

przedstawiciel misji wstał, szykując się do wyjścia, wyraźnie poczuł drżenie ściskającej mu dłoń ręki staruszka.

Pozwolili Gundertowi zostać w apartamencie, ale wiedział, że niebawem przyjdzie pismo, w którym, w uprzejmych słowach, poprosi się go o odejście. Dręczony uporczywym strachem, że w końcu ktoś z misji postanowi go odesłać z powrotem do Niemiec, Gundert zaczął się modlić o wybawienie. Codziennie rano, o świcie, z bólem kuśtykał do kaplicy, gdzie, kurczowo ściskając różaniec i książeczkę do nabożeństwa, błagał o błogosławieństwo.

- Dość - szeptał. - Weź mnie do siebie, póki jeszcze mam władzę nad zmysłami.

Gdy po raz kolejny, powłócząc nogami, szedł do ołtarza, upadł, potknąwszy się o jutowe linoleum, które spleśniało i postrzępiło się na brzegu. Nagła utrata równowagi tak bardzo go zaskoczyła, że dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że leży na podłodze. Dolną część pleców przeszył rwący ból i Gundert zemdlął.

Więść o jego upadku rozniosła się jak ogień w dżungli, wzmocniona odległością i relacjami osób trzecich, aż w końcu do misji zaczęły napływać tłumy ludzi przekonanych, że wielebny leży już na łożu śmierci. Hans zamknął swój sklep i uparł się, by pełnić wartę przy łóżku chorego, gdzie donośnie płakał i wydmuchiwał nos, poklepywany słabą dłonią wielebnego, który próbował go pocieszyć.

Lekarze orzekli, że pacjent jest słaby, ale jego stan w zasadzie pozostaje stabilny. Po jakimś czasie wartki strumień odwiedzających wysechł. Przysyłano jednak kartki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, które zakonnice przyklejały pastą ryżową do ścian w sypialni Gunderta, a także słoiki z dżemem i placki z owocami, które rozdawano uczniom. Upłynęło trochę więcej czasu i to również się skończyło. Zakonnicom udało się nawet pokrzepić zapłakanego Hansa i ku uldze całego miasta rodak wielebnego ponownie otworzył swój sklep.

Gundert nadal był przykuty do łóżka. Miał wrażenie, że po upadku coś w nim pękło, jakby z dnia na dzień żelazna determinacja, którą zawsze potrafił z siebie wykrzesać, stała się porowata i słaba. Lekarze powtarzali, że ma szczęście, bo nie złamał żadnej kości, ale mimo to podźwignięcie się z łóżka wymagało straszliwego wysiłku.

Pielęgniarki przyniosły mu basen i Gundert nie znalazł w sobie siły, żeby się sprzeciwić. Gdy poczuły stęchłą woń niemytego ciała, uparły się, by kąpać go codziennie rano. Gundert leżał bez ruchu, kiedy przemywały

347

go gąbką od stóp do głów, i odwracał wzrok, żeby nie widzieć litości na ich twarzach. Utrata kontroli nad kończynami, godna noworodka zależność od uprzejmości innych ludzi. Wiedział, że w ten sposób Bóg zmiękcza

kokon spowijający jego ciało.

- Bądź wola Twoja - powtarzał cicho, pomstując na upokorzenie związane ze sprowadzeniem go do roli dziecka obracanego rękami, które pudrują mu tyłek talkiem. - Panie, wezwij mnie do siebie.

Drzewa goździkowca, które posadził w ogrodzie misji, właśnie kwitły, a ich słodki zapach przyciągał bzyżące pszczoły. „Kwiaty mają dwa na cztery cale i przeważnie składają się z około trzystu charakterystycznych pręcików. Zazwyczaj występują w skupiskach utworzonych z czterech do pięciu sztuk”.

- Musi się wielebny przewrócić - powiedziały pielęgniarki.

Z goździkowców spadły kwiaty i ich konary ugięły się pod dojrzewającymi owocami, które wydziały delikatną woń wody różanej. Zakonnice zerwały kilka z nich dla wielebnego, by ugotować je z żółtkami jaj, mlekiem i cukrem na custard, który Gundert zawsze uwielbiał. Rozchmurzył się, kiedy przyniosły mu miseczkę, i ujął ciepły custard w dłoń, delektując się różaną parą. Ledwie jednak połknął marne dwie łyżki, ścisnął mu się żołądek i Gundert zwymiotował na pościel.

Lekarz zalecił lekkie potrawy. Żywność dla dzieci: owoce i rozgniecione na papkę warzywa z bardzo niewielką ilością soli, bez przypraw. Żadnego nabiału, żadnych jaj.

- Nie wybierasz się do wielebnego? - zapytała Dewi Dewannę. Poczowała ukłucie smutku na wieść o upadku Gunderta. Sześć lat wcześniej zmarł jej ojciec, niespodziewanie, we śnie. Dewi gorzko płakała, lecz mimo to była wdzięczna, że Thimmaję ominęły zgrzyoty starości. Biedny wielebny, opiekują się nim obcy ludzie. - Pojeźdź do niego - zachęcała Dewannę. - Na pewno się ucieszy.

- Nie - mruknął Dewanna, ściskając książkę tak mocno, że nabrzmiały mu żyły w nadgarstkach. Wielebny wyraził się bardzo jasno: nie chciał mieć z Dewanną nic wspólnego. Dewanna wiedział, że gdyby Gundert chciał go zobaczyć, już dawno by po niego posłał.

Ciało Gunderta nadal opadało z sił. Jelita przestały pracować. Żołądek napiął się i wypełnił gazem, więc zakonnice często musiały wsuwać mu palec w zatkany odbył, by wykopać twarde jak kamienie ekskrementy, których nie był w stanie samodzielnie wydalić. Cumy, których tak zaciekle trzymał się przez te wszystkie dziesięciolecia,

348  
zaczęły się zrywać, jedna po drugiej, i Gundert co rusz zanurzał się w przeszłości.

Zaczął prowadzić rozmowy z duchami, które czaiły się w jego pokoju. Ogromnie martwiło to zakonnice, lecz Gundert przestał się tym przejmować. Czyżby nie widziały jego matki, która siedzi w fotelu przy kominku i jak zwykle zimą coś dzierga? Schnee von gestem\*. Gundert wiedział, że to śnieg sprzed lat, ale czy przez to stawał się mniej prawdziwy?

A tam, spójrzcie, jego ojciec. Obracał w dłoniach swój monokl i próbował lepiej osadzić szkło w ramce. Parę razy zdawało mu się nawet, że widzi Olafa - tam, tuż za zasłoną, ale nie... jeszcze nie. Jeszcze nie. Przy biurku Gunderta czaił się Korama. Ksiądz zachichotał pod nosem. Przebiegły dzikus wiedział, och, wiedział doskonale, ile jest wart kwiat, który spoczywa w szufladzie. Myśli wielebnego poszybowały. Tak

długo szukał tego kwiatu. „Nad wzgórzem i nad doliną, przez zarośla, przez ogrody, nad zagrodą, rozpadliną, przez płomienie i przez wody.. .”\*\*

Ale nie zawsze szukał sam. Dew... jego Dew. Gundert odwrócił głowę do okna, zatopiony w szczęśliwszych czasach.

Dewanna przypomniał sobie, że mimo jego upadku tamten poranek był owocny. Razem z wielebnym przemierzali nisko położone wzgórza na zachód od Madikeri. Wracali z mnóstwem obiecujących roślin i właśnie wtedy zza zakrętu, z donośnym podzwaniem dzwonków, wyłoniło się stado krów. Z pochylonymi łbami galopowały przed kościstym pastuszkiem, który najwyraźniej się spieszył.

- Chodź, Dew - powiedział rozbawiony wielebny - odsuńmy się na bok, zanim nas stratuja.

Dewanna poślizgnął się na syrkim żwirze. Na szczęście upadł do przodu, na ręce i kolana, więc nie licząc paskudnie wyglądającego zadrapania na kolanie, nic mu się nie stało.

Mimo to wielebny się zmartwił. Byli co najmniej dwie godziny od miasta, a w takim otoczeniu szybko dochodziło do zakażenia. Oczyszczył ranę najlepiej jak potrafił chusteczką do nosa.

Wczorajszy śnieg (niem.).

W. Shakespeare, Sen nocy letniej, tłum. M. Słomczyński, Kraków 1982, s. 26. 349

- Masz trochę wody? - zapytał pastuszek, który, zupełnie zapomniawszy o wcześniejszym pośpiechu, przystanął, żeby przyjrzeć się jego zabiegom.

Chłopak pokręcił głową. Z jednej dziurki w nosie zwisał mu zielony gil, który wyglądał, jakby w każdej chwili mógł się oderwać. Pastuch pochylił się, żeby obejrzeć ranę Dewanny, a potem, zostawiwszy krowy, podbiegł do pobliskich zarośli.

Po chwili wrócił, niosąc w brudnych dłoniach pięć cebulek świeżo wyrwanych z ziemi.

- Dzika kurkuma! - zawołał wielebny. - Oczywiście. To naturalny środek odkażający. Dlaczego sam na to nie wpadłem?

- Jederjeck ist anders - powiedział zamyślony, kiedy pastuch rozgniół cebule kurkumy na skale i posmarował pastą kolano jego protegowanego. - Każdy szaleniec jest inny. Nigdy nie zapominaj, Dew, że każdy idiota jest wyjątkowy i może cię czymś zaskoczyć.

„Kurkuma!”, pomyślał teraz Dewanna, wyrwany z zadumy. Może sprawdzi się w walce przeciwko torzyśniadowi? A gdyby tak dodatkowo wzmocnił jej działanie liśćmi drzewa nim, następnego naturalnego środka antyseptycznego? Dewanna przygotował pastę z kurkumy i nim, którą robotnicy posmarowali gałęzie zaatakowanych kawowców. Przez dwa następne dni z niepokojem przyglądali się roślinom, ale nie zaszła żadna zmiana. Trzeciego ranka podekscytowani robotnicy zawołali Dewi. Pobiegnęła na plantację. Wokół każdego posmarowanego krzewu leżało coś, co przypominało okrągłe białe bobki.

- A co to...? - Dewi pochyliła się i spojrzała przez okulary. - Ten chłopak... - powiedziała, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego. - Ma mózg ze złota, ot co.

Pasta z kurkumy dokonała niemożliwego, zatruwając larwy, które rozpaczliwie próbowały się wydostać z gniazd i upadały na ziemię wokół

roślin. Dewi poczuła przyptyw wielkiej ulgi. W tym roku plony będą uratowane. Spojrzała w górę, na zachmurzone niebo. „Damy radę”. Poleciała zarznąć dwa kurczaki i własnoręcznie starła kokosa na curry.

Ilfiś

Plantacje powoli wracały do dawnej formy. Dewanna nie znajdował jednak pocieszenia w roli, jaką odegrał w ich ocaleniu. Przygnębiony kuśtykał po ogrodzie, rozmyślając o wieściach, które nieustannie

350

nadchodziły z Madikeri i z misji. Wielebny marniał w oczach, jakby stracił wolę życia.

- Biedny wielebny - szeptały między sobą zakonnice, ocierając łzy.

Gundert leżał cały dzień z twarzą zwróconą do okna i patrzył na bramę misji. „Gdzie jest Dew? - zastanawiał się niespokojnie. - Dlaczego nie przychodzi z wizytą?”. Po chwili, z ukłuciem bólu przypominał sobie, że nie wolno mu się spotykać z chłopcem. Pamiętał jak przez mgłę swoją część umowy... Wspomnienie ulatywało jednak w pajęczą sieć spowijającą zakamarki pamięci i wzrok Gunderta znowu wędrował ku bramie.

- Wielebny umiera - napomknął Nandzu. - Tak mówią w Madikeri.

- Wezwij mnie do siebie, wielebny - cicho błagał Dewanna. - Daj mi jakiś znak. Proszę, tylko malutki znak, że mi przebaczyłeś.

Zakonnice przyprowadziły szkolny chór do sypialni wielebnego.

- Spójrz, wielebny - powiedziały, tuląc jego głowę w dłoniach. - Chór chciałby dla ciebie zaśpiewać. - Zakonnica dyrygująca dziećmi uniosła batutę i głosy, czyste jak dźwięk dzwonu, zawirowały wokół wątego księdza.

Od razu, odkąd pierwszy raz spojrział na Dewa, wiedział, że to wyjątkowe dziecko. Był uczniem, którego szukał przez te wszystkie lata. Jego nadzieją, jego spuścizną.

- Pewnego dnia mnie przewyższysz. Ja to wiem.

Przed oczami wielebnego stanął obraz. Udręczona, mokra od łez

twarz Dewa. Okropne wyznanie, jego piekący żar. „Głupi Hermannie.

On nie należy do ciebie, nigdy nie należał. Głupi, niezdarny Hermannie, znowu cię porzucono”. Wszechogarniająca wściekłość na myśl, że Dew,

jego Dew, wcale nie był jego. Na to wspomnienie ciałem Gunderta wstrząsnął dreszcz i wielebny zadygotał w objęciach zakonnicy. Wściekłość, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewał, a potem gładka, czarna skorupa gorczy.

Pocisk wyrwał w tym pancerzu wielką dziurę. To był wypadek, mawiali ludzie, broń wypaliła, kiedy Dewanna ją czyścił. Ale Gundert wiedział lepiej. Jego chłopiec miał zbyt łagodne serce, by interesować się strzelbami i tym podobnymi rzeczami. To nie był żaden wypadek.

„Możesz mi się zwierzyć ze wszystkiego”, obiecał mu. A kiedy się zwierzył... Tak srodze zawiódł tego chłopca.

Chór śpiewał dalej, hymny wzbijały się i wznosiły, wylewając się na Schody do ogrodu i na mury misji. W głosach dzieci było tyle piękna, że Urzeczeni przechodnie przystawali, aby ich posłuchać.

351

W ramach pokuty wyrzekł się wszelkich roszczeń. „Już nigdy na niego nie spojrzę, tylko proszę, pozwól mu żyć”.

Zakonnica otarła łzy ciekące z oczu Gunderta i kołysała go, jakby był

niemowlęciem. „Der Gott, bitte nicht mehr. Dłużej już nie mogę. Proszę, Panie - modlił się Gundert - zmiłuj się. Pozwól mi po raz ostatni na niego spojrzeć, nim wezwiesz mnie do siebie”.

To Appu znalazł kwiat bambusa.

Pod wpływem kolegów z klubu Appu odkrył w sobie ogromny apetyt na polowanie. Jechali do dżungli uzbrojeni w nowe, gładkie, wykalibrowane strzelby, krótkie cygara wetknięte w kieszenie koszuli i w srebrne flaszki z brandy dla uczczenia zdobyczy. Nikt nie był zaskoczony, gdy się okazało, że i do tego Appu ma wrodzony talent.

Tamtego ranka wyruszyli z Tygrysich Wzgórz o świcie, ale nie upolowali niczego z wyjątkiem dwóch mizernych kaczek. Pod wpływem chwili Appu postanowił przenocować w lesie.

- Będzie super - powiedział. - Zostawmy dżipa tutaj, żaden pojazd nie sforsuje tej drogi. Możemy rozbić obóz, a jutro rano znowu wyruszymy na polowanie. Moja matka spakowała nam tyle jedzenia, że starczyłoby dla całej armii. Do jutra spokojnie wystarczy.

Wysłał dwóch służących z powrotem do Tygrysich Wzgórz, żeby przekazali wieść o zmianie planów, a potem zarzucił strzelbę na ramię i zaszył się w dżungli. Podniesieni na duchu zapewnieniami i dziarskim krokiem Appu, myśliwi wlekli się za nim, lecz mimo połamanych krzaków, które sugerowały obecność dzika, nie znaleźli niczego, co wynagodziłoby im ten wysiłek. Przed zmrokiem rozbili obóz przy kępie bambusów, gdzie służący przygotowali ogromne ognisko, i wzięli się do pieczenia ptactwa. Nazajutrz Appu obudził się wcześniej rano. Snop słońca, nadal jeszcze wahając się przed przypuszczeniem ataku, zdołał się prześlizgnąć przez pokrywą drzew i świecił mu prosto na powieki. Appu burknął pod nosem i odwrócił głowę, ale jego sen został przerwany. Leżał przez chwilę, a potem westchnął i otworzył oczy. Właśnie wtedy dostrzegł kwiat wystający ze smukłej łodygi bambusa. Chłopiec podźwignął się na nogi i w kucki zbliżył się do rośliny, a potem, używając kieszonkowego noża, zaczął popychać płatki na różne strony. Kwiat był ogromny, większy niż wszystkie, jakie kiedykolwiek widział. A ten zapach...

352

Appu wprawnym ruchem ściał kwiat i owinął go chusteczką. „Taki drobiazg z pewnością przyda się wieczorem w klubie - pomyślał. - Podażę go jednej ze ślicznotek”.

- Ruszać się, leniwe dupki - ryknął, rozkopując popiół. - Pora się stąd wynosić.

Już prawie mieli wyruszać, kiedy pomyślał o Dewannie. Może kwiat zainteresuje również staruszka? Podeszedł do bambusa i zaczął uparcie ciągnąć za łodygę, aż w końcu udało mu się wyrwać roślinę z ziemi. Na jednym z węzłów drżał pojedynczy, ledwie otwarty pąk.

Kiedy wrócił do Tygrysich Wzgórz, w bramie powitała go rozwścieczona Dewi. Prawie nie spała ze zmartwienia. Cała noc w dżungli, czyżby oszalał? Chciał przedwcześnie wpędzić ją do grobu? Czy tylko dlatego, że jego ojciec był pogromcą tygrysa, wydawało mu się, że także może spacerować po dżungli, kiedy mu się podoba? Czy nie słyszał, że niespełna dwa tygodnie temu rozjuszony słoń zabił jednego z pracowników sąsiedniej plantacji?

- Daj spokój, Dewi, wrócił cały i zdrowy - odezwał się Dewanna, próbując złagodzić jej gniew, ale zamilkł na widok rośliny, którą jak gdyby nigdy nic pokazał mu Appu.

Kwiat leżał na całunie białego jedwabiu. Dewanna pragnął po niego sięgnąć i dotknąć wyblakłych płatków, ale wiedział, że wielebny by tego nie pochwalił.

„Może ty, Dewanno - powiedział kiedyś Gundert - będziesz tym, który pomoże mi go znaleźć”.

- Kwiat bambusa - wychrypiał Dewanna. - Wielebny... Znak... - znowu się uśmiechnął, a jego uśmiech wyrażał szczęście tak absolutne, że rozgonił cień spowijający oczy.

Ręce drżały mu jeszcze bardziej niż zwykle, kiedy przygotowywał woreczek z ziemią mający pełnić funkcję tymczasowego domku dla korzenia rośliny. Do okazu dołączył liścik, który składał się tylko z trzech słów, ale dodatkowe wyjaśnienia były zbędne.

Wysłał kierowcę do misji z wyraźnym poleceniem wręczenia rośliny zakonnicy i dopilnowania, by przesyłka dotarła do wielebnego. Tamtego Popołudnia nie mógł się skupić, w zamyśleniu pielił ogród, a w końcu się poddał i tylko kuśtykał po podjeździe, czekając na wezwanie z misji. Było widać, że zakonnica, która otworzyła drzwi, płakała. Zakłopotany kierowca spuścił wzrok na ziemię i podał jej roślinę. Przyjęła ją odruchowo. Po jej policzkach płynęły łzy, kiedy wyjaśniał, że jego

353  
pan przysłał tę roślinę wielebnemu. Dodał, że pan kazał mu poczekać na wiadomość.

- Niech mu pan powie... Proszę powiedzieć Dewowi, że... nie jest dobrze. - Znowu się rozpląkała, a zmieszany kierowca zaczął przestępować z nogi na nogę, nie wiedząc, jak powinien zareagować. Zakonnica zatrzasnęła drzwi i kierowca, nie widząc innego wyjścia, wycofał się do samochodu. Czekał godzinę, a kiedy nikt się nie pokazał, zapuścił silnik i wrócił do Tygryskich Wzgórz.

Zakonnica zaniósła roślinę do sypialni wielebnego, wycierając oczy.

- Wielebny? - powiedziała. Ostatniej nocy Gundert przeżył trzeci udar. Rano, kiedy zakonnice przyszły go umyć, zastały go w głębokiej śpiączce, z głową zwróconą ku bramie.

- Proszę spojrzeć, wielebny, nasz Dew, nasz mały Dew coś dla wielebnego przysłał. - Otworzyła liścik i zmieszana zmarszczyła brwi. - Barn... bambusea... indica... olafsen - przeczytała z wysiłkiem. - Bambusea indica olafsen - powtórzyła, zastanawiając się, co to znaczy. Pogrążony w śpiączce ksiądz leżał nieruchomo, a oddech chrobotał mu w płucach. Położyła liścik na stoliku nocnym, opierając go o lampę. Pogładziła przesłany przez Dewa pęk. Nawet jej opuchnięte, nabrzmiące oczy dostrzegły jego piękno. Delikatnie ucięła łodygę i zaniósła kwiat do kaplicy, by położyć go na ołtarzu.

- Panie, zmiłuj się.

Resztę rośliny - pozostałą część łodygi, korzenie i tak dalej - poleciała sprzątaczkowi wyrzucić na śmietnik.

Kierowca wrócił do Tygryskich Wzgórz. „Nie”, odpowiedział zakłopotany na lawinę pytań Dewanny. Był pewien, że o niczym nie zapomniał. Tak, dał roślinę zakonnicy. Nie, nie przekazano żadnej wiadomości.



Gundert nadal rzeźił w łóżku. Kwiat bambusa rozkwitał w ciemnej, chłodnej kaplicy, rozwijając się powoli, aż w końcu zrobił się wielki jak pięść mężczyzny. Jego zapach długo spowijał rzędy ławek, a dziewiątego dnia, kiedy kwiat zaczął więdnąć, Gundert umarł.

Nad Madikeri rozległo się bicie kościelnych dzwonów i wzrok mieszkańców ponuro powędrował w stronę misji.

Wielebny był dobrym człowiekiem. Niech jego dusza spoczywa w spokoju.

354

Wielebny Hermann Gundert żył w latach 1840-1927 i został pochowany na cmentarzu w Madikeri. Krzyż, który stanął na jego grobie, był prosty i pozbawiony zdobień, dokładnie taki, jakiego by sobie życzył. Jedenaście dnia po jego śmierci - tego samego, w którym, jak wspominali później stali bywalcy klubu, Tamiza tak nietypowo wezbrała od opadów, że całkowicie zalała fosę Tower of London - na całe Kodagu spadł gwałtowny, niespotykany o tej porze roku deszcz. Ulewa trwała przez cały tydzień i była tak silna, że porwała mosty i wypłukała węże z dziur w drzewach. Nieustający deszcz pozrywał źdźbła młodego ryżu i wywołał epidemię gorączki, która rozszalała się pośród wzgórz.

Najbardziej padało na południu Kodagu. Nandżu dostał wysokiej gorączki od bezustannej pracy na plantacji, gdzie na próżno próbował rozciągać nad kawowcami połączenie brezentu. Wiatr zrywał okrycie, a kiedy ulewa wreszcie ustała, plantacja Dewi, podobnie jak plantacje jej sąsiadów, stała pogrążona na cztery i pół stopy w błotnistej wodzie.

Gorsze, znacznie gorsze były jednak straty w spichlerzu. Nandżu był tak zajęty próbami ocalenia roślin, że zupełnie zapomniał zajrzeć do miejsca, gdzie magazynowano ziarno kawy. Dach spichlerza wytrzymał zaledwie parę dni, a potem się zapadł. Gdy Nandżu wreszcie się tam wybrał, ziarno od wielu dni gniło w wodzie, a jego powierzchnię pokrywała czarna, meszkowata warstwa pleśni.

Dewi słuchała z kamienną twarzą, gdy Nandżu opowiadał o rozmiarach zniszczeń. W tym roku nie będzie plonów z plantacji na południu. Zabezpieczenie, z którym wiązała nadzieje, wspaniały plon, jaki miała przynieść ta plantacja, stały się nierealne. Biorąc pod uwagę zniszczenia dokonane wcześniej przez torzyśniada, pozostało im niewiele pieniędzy na spłacenie pożyczek.

Po tylu latach niestrudzonej, ciężkiej pracy, mimo starannego planowania, Dewi z przerażeniem odkryła, że są zrujnowani. Dyrektorzy banków byli współczujący, ale stanowczy. Przypomnieli jej, że już dwukrotnie wydłużali okres spłaty, więc, najzwyczajniej nie mogli tego zrobić trzeci rok z rzędu. Poza tym, w zasadzie prosiła ich o kolejne Pożyczki na odbudowę zalanej plantacji. Było to po prostu niewykonalne. Mogli odroczyć termin spłaty odsetek, ale ostrzegli, że jeśli nie zdobędzie przynajmniej jednej trzeciej kapitału, jaki jest im winna, będą zmuszeni przejąć nieruchomość.

Jedynym ustępstwem, jakie udało jej się uzyskać, była odrobina czasu.

355

- Piętnaście tygodni - oświadczył dyrektor banku. -I to tylko dlatego, że od dawna jest pani naszą klientką.

Kiedy wyszła z banku, mżyło. Stała na ulicy, oszołomiona zakończoną przed chwilą rozmową.

- Dewi akka! - Młoda para przeszła przez ulicę, zbliżając się do niej, więc Dewi przykleiła uśmiech do twarzy. Patrzyła, jak mąż wkłada szarmancki kciuk pod łokieć żony (w miejscu publicznym każdy śmielszy gest byłby niestosowny) i przytrzymuje jej nad głową parasol, ostrożnie prowadząc damę po błocie. Dewi poczuła ostre, gorzkie ukłucie zazdrości. Pochylili się, by dotknąć jej stóp. Nagle, przypomniawszy sobie o mokrym sari, Dewi przeprosiła ich i odeszła. Głęboko odetchnęła, wyprostowała się i poszła do samochodu. Znajdzie jakieś rozwiązanie. Zaplanowała sprzedaż dwóch pozostałych plantacji, ale oferowane ceny okazały się groteskowe. Nikt nie chciał kupić plantacji zainfekowanej przez torzyśniada. Tłumaczyła, że zapanowali nad szkodnikiem, że udało im się dzięki paście z kurkumy, lecz gdy tylko potencjalni nabywcy dostrzegli zdradliwe otwory w gałęziach, natychmiast się wycofywali. Nabywcy przyznawali, że plantacja na południu Kodagu przyniesie obfite plony, ale dodawali, że dopiero za trzy lata. Deszcze wypłukały większość żyznej ziemi z górnych warstw gleby. Zanim plantacja zacznie przynosić zyski, będzie wymagała starannego nawożenia, a może nawet kosztownego błota z dżungli.

Niemniej jednak... nabywcy spoglądali łakomie ku Tygrysim Wzgórzom. Tam stał piękny, parterowy budynek. I te ogrody. Słyszeli o nich wszyscy, od Madikeri po Majsur. Ile pani Dewannowa chciałaby za tę nieruchomość?

- Więcej, niż byliby panowie w stanie zaoferować - odpowiedziała Dewi beznamiętnym tonem. - Tygrysie Wzgórza nie są na sprzedaż. W ciągu następných miesięcy sprzedali obydwie samochody, a Appu nie uregulował rachunku w klubie. Nandżu stał się milczący i przygnębiony, był pewien, że matka obarcza go winą za aktualne problemy. Dewanna próbował go pocieszyć.

- Nie mogłeś nic zrobić, monae - powiedział łagodnym głosem. - Takie rzeczy się zdarzają.

Po bezskutecznym oczekiwaniu na rozsądniejsze ceny, Dewi sprzedała obie plantacje pomarszczonemu, staremu magnatowi kawowemu z Majsuru. Zastawiła całą biżuterię, zatrzymała jedynie bransolety matki i tygrysią broszkę podarowaną przez Maću. Mimo to gotówka nadal 356

topniała, aż w końcu Dewi musiała wstrzymać wszystkie prace w Tygrysiach Wzgórzach.

- Weźcie sobie urlop - powiedziała robotnikom. - To tylko tymczasowa przerwa.

- Ale jak nam zapłacisz, akka? - zapytali wystraszeni. Dewi ze wstydem spuściła wzrok na ziemię.

Zwolnili całą służbę z wyjątkiem Tukry i jego żony, którzy się rozpłakali, kiedy zasugerowała, że powinni pomyśleć o odejściu.

- Dokąd mamy odejść, akka? - zapytał zrozpaczony Tukra. - Tu jest nasz dom.

Piętnaście tygodni wyznaczonych przez bank zbliżało się do końca. Przysłano rzeczoznawcę, by wycenił Tygrysie Wzgórza.

- Nie - powiedziała mu Dewi. - To nadal mój dom. Nie chcę tu pana

widzieć.

- Ależ proszę pani - zaczął i wtedy coś w niej pękło.

- Wynoś się pan - warknęła - zanim poszczuję psami.

- Postępuje pani niemądrze - ostrzegł. - Został niespełna tydzień.

Niedługo i tak tu wrócę. A wtedy nic pani na to nie poradzi.

Miał rację i Dewi o tym wiedziała. Jej akt brawury był zupełnie bez sensu. Trzy dni - tylko tyle im zostało, a potem bank przejmie Tygrysię Wzgórza. Jeszcze trzy dni i zostaną wyrzuceni z własnego domu. Wycofała się do sypialni i opadła na łóżko. „Powiedz mi, co zrobić, Maću, próbowałam już wszystkiego”.

Zastony obojętnie zaszeleściły i w końcu Dewi zaczęła płakać. „Zawiodłam cię, zawiodłam nas wszystkich”.

Dwa dni później złożył im wizytę pan Stewart.

Wyjaśnił, że przyjechał autobusem z Majsuru do Madikeri, a potem wynajął powóz do Tygrysię Wzgórz.

Dewi pokiwała głową.

- Chodzi o bank? Jest pan z banku?

- Z banku? Nie, proszę pani - powiedział zdumiony, wycierając czoło. - Jesteśmy niezależną firmą, niezwiązaną z żadną instytucją finansową.

Hmm... czy zastałem pana Dewannę? Muszę z nim porozmawiać.

Dewanna niechętnie powitał gościa, ale okazało się, że przybysz nie chce obejrzeć ogrodów ani złożyć oferty na zakup Tygrysię Wzgórz.

- Przybyłem w sprawie testamentu, panie Dewanno - wyjaśnił. -

Chciałbym omówić testament wielebnego Hermanna Gunderta. Nie otrzymał pan mojego telegramu? Zmarły - tłumaczył, gdy oszołomiony  
357

Dewanna kręcił głową - miał dość duży majątek w Niemczech. W Szwarzwaldzie, podobno bardzo malowniczym regionie. W testamencie polecił sprzedać wszystkie nieruchomości.

Dewanna spojrzała na dokumenty, które podsunął mu prawnik.

- Pan, panie Dewanno, został wskazany w testamencie jako jedyny spadkobierca zmarłego.

Dewanna wpatrywał się w mężczyznę, kompletnie oszołomiony.

- Zostałem... Co pan powiedział?

- Spadkobiercą wielebnego Gunderta - cierpliwie powtórzył prawnik. - Wszystko, co miał, zostawił panu.

Mężczyzna wyjaśnił, że musiało upłynąć trochę czasu, zanim sprawy wielebnego zostały uporządkowane. Gdyby nie to, przybyłby wcześniej. Przejrzał dokumenty, szeleszcząc kartkami.

- Szczegóły zostały zawarte w tych dokumentach. Suma stu trzydziestu tysięcy funtów szterlingów zostanie przelana na wskazane przez pana konto przez bank w Berlinie. Jest tylko pewien warunek. Pan - zerknął ukradkiem na laskę Dewanny i ciągnął bez zająknięcia - albo upoważniona przez pana osoba musi osobiście stawić się w banku przed wykonaniem przelewu. Ach - dodał - jeszcze coś. - Sięgnął do teczki i wyciągnął paczuszkę impregnowaną lakierem olejnym. - Zmarły pozostawił dla pana również to.

Dewanna pokiwał głową z nieobecny wzrokiem i wziął paczuszkę.

Appu pochylił się do przodu.

- Chce pan powiedzieć, że te wszystkie pieniądze są nasze, tak po

prostu? - Jego oczy błyszczały.

- Są pana Dewanny. Tak. Należą do niego i może z nich korzystać wedle własnego uznania. Zatem, panie Dewanno, gdyby zechciał pan tu podpisać... i tutaj... cudownie. Cóż, w takim razie na mnie już czas. Dewi odprowadziła prawnika do drzwi i wróciła na werandę, gdzie siedziała reszta rodziny, oszołomiona wieściami. Dewanna wpatrywał się w ogród, obracając w dłoni impregnowaną paczuszkę. Dewi jeszcze raz powtórzyła w myślach tę liczbę. Sto trzydzieści tysięcy funtów. Sto trzydzieści tysięcy funtów!

Wystarczająco, by rozwiązać ich wszystkie problemy finansowe, a i tak sporo zostanie. Tygrysie Wzgórza były bezpieczne - więcej niż bezpieczne.

- No cóż... - powiedziała drżącym głosem. - To... - zaczęła jeszcze raz, szukając odpowiednich słów. A potem po prostu odrzuciła głowę  
358

w tył i głośno się roześmiała. Nandżu i Appu zeskoczyli z krzesel, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, a Tukra i jego żona przybiegli z kuchni zobaczyć, co się stało.

W zamieszaniu, które nastąpiło po wizycie prawnika, nikt nie zauważył, że Dewanna zniknął. Pokuśtykał do ogrodu, ściskając lakierowaną paczuszkę w dłoniach. Jedyne spadkobierca. Wielebny uczynił jego, Dewannę, swoim jedynym spadkobiercą. Dewanna usiadł na drewnianej ławce w altanie. Wielebny go wybrał.

Długo tulił paczuszkę do piersi, nie mogąc się zdobyć na jej otwarcie. Pierwszą rzeczą, jaką z niej wyjął, była książka z kolekcji wielebnego. Dewanna natychmiast rozpoznał piękną okładkę z wiśniowej skóry i złote litery wzdłuż grzbietu. Grube, kremowe kartki lekko trąciły naftaliną, przenosząc go wiele lat wstecz. Wypełniona słońcem sala. Gardłowy głos wielebnego pobudzający słowa do życia. Dewanna przełknął ślinę, czując, jak ściska go w gardle.

Kalotypia leżała wsunięta za okładkę. Dwaj mężczyźni w ramce stali rozpromienieni. Jeden z nich śniady, a drugi jasnowłosy. Ich twarze tętniące obietnicą przyszłości. Dewanna podniósł kalotypię i pod spodem zauważył dedykację na pierwszej stronie książki. Był to cytat z Biblii napisany staranną kaligrafią wielebnego. „Oto synowie są darem Pana - przeczytał - a owoc łona nagrodą”. Oczy Dewanny wypełniły się łzami. W paczuszce było coś jeszcze, jedwabne zawiniątko, delikatne i po- zółkłe od upływu czasu. Rozchylił je drżącymi rękami. Ususzony kwiat, wielki jak książka, cieniutki jak bibułka. Pogładził delikatne pręciki kciukiem, przebiegł palcami wzdłuż pergaminowych płatków i zaniósł się niepohamowanym płaczem. Od kwiatu wzbil się leciutki, wysuszony zapach. Zawisł w powietrzu. Słodszy niż woń róży, bogatszy niż zapach jaśminu, z piżmową nutą orchidei.

Perspektywa podróży do Niemiec budziła w Nandżu mnóstwo obaw. Przede wszystkim nigdy nie wyjeżdżał dalej niż do Bangaluru. Co więcej, bał się, że nie wszystko pójdzie zgodnie z planem. Po fiasku na plantacji i zalaniu spichlerza pragnął, żeby matka była z niego dumna. Wyprawa do Niemiec miała objąć podróż pociągiem z Bangaluru do Madrasu, a następnie rejs parowcem do Europy i podróż koleją lub autobusem do Berlina. Zajrzał do biblioteki w misji, gdzie znalazł stare

rozmówki niemiecko-angielskie, które rozpadały się ze starości.

- Guten Morgen, guten Tag, guten Abend, gute Nacht - mamrotał pod nosem w kąpieli. - Wie heissen Sie? Ich heisse Nandzappa, ich komme aus Indien. - Studiował plakaty rozwieszane w sklepie Hansa, reklamy zachwalające uroki Sprewy i Nadrenii. Z myślą o podróży kupił sobie nawet nowy kapelusz, szarą fedorę, taką samą, w jakich paradowali szykowni dżentelmeni na plakatach.

Tak bardzo się starał, by dopiąć wszystko na ostatni guzik, że nawet nie przyszło mu do głowy, iż Dewi może wybrać Appu, a nie jego. Nad Tygrysimi Wzgórzami zapadł mrok. Jaszczurki o onyksowych oczach przemykały po ścianach i sufitach, polując na ćmy, które fruwały wokół lamp. Rodzina zebrała się przed wieczorną modlitwą. Dewi uderzyła w mały mosiężny dzwonek, by odpędzić złe duchy, które mogły krążyć w pobliżu, a następnie przesunęła dłonie nad płomieniem modlitewnej lampki. Zanurzyła palec wskazujący w kryształowym słoiczku wibhuti i naznaczyła świętym popiołem czoło Appu.

360

- Swami, kapad - mruknęła, kiedy Appu pochylił się, żeby dotknąć jej stóp. - Niech bóg cię błogosławi. Nie zapomnij o zdjęciach, kunji - dodała, kiedy się wyprostował. - Musisz je zrobić jutro, prawnicy powiedzieli, że są absolutnie niezbędne do wyrobienia dokumentów podróжных. Nandzu był pewien, że się przestyszał.

- Dokumentów podróжных? - zapytał, spoglądając to na Appu, to na Dewi. - Jakich dokumentów podróжных?

- Swami, kapad - powiedziała matka, błogosławiąc Nandzu. Z westchnieniem zakreśliła słoiczek i odstawiła go na półkę. - Dokumenty muszą być bez zarzutu. Tyle papierów, żeby jeden chłopak mógł pojechać do Berlina.

Głos Nandzu zabrzmiał piskliwie nawet w jego własnych uszach.

- Appu jedzie do Berlina? Appu?

- No cóż, tak, ktoś musi reprezentować twojego ojca w banku, zapomniałeś?

- Wybrałaś Appu? A co ze mną? - zapytał wstrząśnięty. - Dlaczego nie mnie?

Dewi spojrzała na niego, na wpół rozbawiona, na wpół zaskoczona.

- Będzie najlepiej, jeśli pojedzie Appu - powiedziała. - Wiesz, że radzi sobie z białymi lepiej niż ktokolwiek z nas.

- To ja powinienem jechać. Jestem starszym synem, prawda? To ja powinienem reprezentować rodzinę - oznajmił Nandzu ze ściśniętym gardłem.

- Nandzu. Daj spokój, co to ma znaczyć? - Rozłożyła ręce. - Nigdy nie chciałeś jeździć nawet do Bangaluru, a co dopiero wybierać się w tak długą podróż. Nawet nie przyszło mi do głowy, że chciałbyś pojechać do Berlina. Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś?

- Nic się nie stało, awwajja - wesoło wtrącił Appu. - Może w takim razie pojedziemy razem?

- Tak, oczywiście, ale skąd weźmiemy pieniądze na bilety? Ledwie uciulałam na twoje. Za co miałabym kupić drugi komplet? Dopóki bank w Niemczech nie prześle nam pieniędzy... - Dewi pokręciła głową. - Nie, tym razem tylko jeden z was może tam pojechać.

- To mój ojciec - powiedział wtedy Nandzu. Odwrócił się do Dewanny ze wzrokiem wyrażającym nieme wołanie. - Appaija jest moim ojcem.

- Och, przestań, Nandzappa - warknęła Dewi, tracąc cierpliwość. - Dość tego. Skoro tak bardzo chcesz podróżować, to gdy przyjdą pieniądze, 361

ciebie także pošlę za granicę, dokąd tylko zapragniesz. Ale tym razem do Berlina wybierze się twój brat.

Dewi odwróciła się od niego i machnęła ręką nad lampką, gasząc płomień.

Dewanna znalazł syna nad lotosowym stawkiem. Nandzu trzymał w dłoni swoją nową fedorę i miarowo obracał rondo w palcach.

- Nandzu - zaczął z wahaniem. - Monae...

Nandzu spuścił wzrok na kapelusz. Przesunął kciukiem po jedwabnej podszewce, gładząc jej oliwkową miękkość.

- To przez powódź - powiedział do ojca. - Przez zniszczoną kawę.

Wiem, że nadal jest na mnie zła. Powierzyła mi jedno, jedyne zadanie, prawda? Miałem się opiekować plantacją. I nawet tego nie potrafiłem. Jak mogłaby mi zaufać i wysłać mnie aż do Berlina?

- Nie, to nie tak. Twoja matka...

- Nieważne, appaija - przerwał mu Nandzu. Próbował się uśmiechnąć. - Jak powiedziała, będą inne okazje. - Gwałtownie wstał i wydając cichy, nieokreślony dźwięk, wyrzucił fedorę. Kapelusz poszybował w powietrzu, zakreślił szary łuk na tle nocnego nieba i wpadł prosto do stawu. Przez chwilę kołysał się na powierzchni, jakby próbował się pogodzić z nagłą zmianą swojego położenia, a potem z bulgotem poszedł na dno. Dewi nie miała złudzeń co do Appu. Wiedziała, że gdy wyjedzie do Europy, nieprędko wróci do domu, chyba że ona da mu jakiś dobry powód. Tak doskonale rozumiała syna, że od razu wiedziała, czym go skusić. Córka Ćengappy, Baby, wyrosła na olśniewająco piękną młodą kobietę. Rodzina Naćimandów musi to mieć we krwi, mówili ludzie, bo czyż ciotka Baby, Dewi, nie była jedną z najbardziej uroczych kobiet swojego pokolenia?

Mimo częstych wizyt w domu Naćimandów Dewi nie spędzała z bratanicą zbyt dużo czasu. Gdy Baby miała jedenaście lat jej babka ze strony matki doznała udaru. Żona Ćengappy wyruszyła do swojej wioski, aby opiekować się niedomagającą matką, i zabrała ze sobą czworo młodszych dzieci, między innymi Baby. Na miejscu stwierdziła, że lokalna szkoła jest lepsza niż ta w wiosce Palladów, gdyż chełpiła się zatrudnionym na pełny etat nauczycielem, który mówił płynną, choć nieco zbyt śpiewną angielszczyzną. Wraz z mężem postanowili posłać tam młodsze dzieci 362

i żona Ćengappy spędzała większą część roku szkolnego z dala od domu męża.

Dopiero gdy Baby skończyła szkołę, ciotka ponownie ją zobaczyła. Pewnego popołudnia Dewi odwiedziła taji i Baby przyniosła jej kubeczek kawy. Nawet z natury krytyczna Dewi zdumiała się na widok takiej urody.

- Ależ ona wyrosła! - zawołała, kiedy onieśmieszona Baby pochyliła się, by dotknąć jej stóp, a potem z powrotem zniknęła w domu. - Pa-

miętam ją z pogrzebu appai, była jeszcze dzieckiem.

Taji zakaszlała i ciasniej owinęła się kocem.

- Zapominasz, jak szybko dorastają dzieci. Mam wrażenie, że jeszcze wczoraj biegałaś po tym podwórzu utyłana w błocie i patrzyłaś, co by tu napsocić.

Dewi się roześmiała. Sięgnęła po rękę babci.

- A ty wcale się nie zmieniasz. Ciągłe traktujesz mnie tak, jakbym była dzieckiem. Powiedz, taji - ciągnęła - myślisz, że Baby byłaby odpowiednią żoną dla Appu?

- Dla Appu? Nie masz na myśli Nandżu? Przecież jest starszy, powinien się ożenić jako pierwszy.

Dewi westchnęła.

- Nandżu nie przejawia większego zainteresowania, kiedy napomykam o małżeństwie, ale wiem, że najwyższy czas znaleźć mu żonę. Tylko że teraz najbardziej martwi mnie Appu. Chcę, żeby się zaręczył przed wyjazdem do Europy. Po jego powrocie będziemy mogli wyprawić wesela. Dzięki temu zyskam mnóstwo czasu, żeby znaleźć uroczą żonę dla Nandżu.

Tak jak przypuszczała, Appu spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Zaręczyny? Daj spokój, awwaija, miej litość! - zawołał. - Ledwie skończyłem dwadzieścia cztery lata!

- Doskonale cię rozumiem - powiedziała Dewi - ale już uzgodniłam to małżeństwo z bratem.

- Co? Awwaija! Nie. Nie zamierzam w tym uczestniczyć, nie możesz tak po prostu...

Nie chciała tego słyszeć.

- Poczekaj, aż ją zobaczysz, kunji - powiedziała tylko.

363

Serce na chwilę zamarło mu w piersi. Appu był pewien, że kiedy po raz pierwszy ujrzał Baby, jego serce naprawdę na moment przestało bić. Nigdy, ani w klubie, ani w Madrasie, ani w Bangalurze, ani w całym Kodagu nie widział kogoś równie pięknego. Miała tak świetlistą skórę, że kiedy uniosła szklanekę, żeby się napić, prawie widział wodę spływającą jej gardłem.

Nandżu także się w nią wpatrywał i też wyglądał jak rażony gromem.

Baby siedziała przed nimi w jasnoblękitnym sari, z koralową gałązką dzikich róż wplecioną w warkocz. „Zupełnie jak obłok - pomyślał oszłomiony Nandżu - albo perła owinięta w jasnoblękitne morze”.

Siedzieli jak skamieniały i gapili się na nią.

„Niech no tylko zobaczą ją kumple z klubu!”

„Cóż za czystość, coś za nieskażona niewinność - nawet kwiaty w jej włosach wyglądają na jej tle tandetnie”.

„W dodatku jest smukła, nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, jak wygląda w sukience”.

„Te oczy, Iguthappo swami, te oczy”.

„Będziemy tworzyć ładną parę”.

„Jak perła, jak niezrównana perła”.

- No więc, kunji - zwróciła się Dewi do Appu z niezmaconą powagą. - Pochwalasz mój wybór?

Baby się zarumieniła i spuściła wzrok na stopy, ale jej pełne, kupidynowe usta zadrgały w uśmiechu.

- Kunji? - powtórzyła Dewi. Mówiła uroczystym tonem, ale jej oczy figlarnie błyszczały. - Czy coś się stało? Pochwalasz mój wybór, prawda?

- Tak - odpowiedzieli obaj, Nandżu i Appu jednocześnie, nadal wpatrzeni w Baby.

Ale to Appu mówił dalej:

- Tak. Tak, tak!

Odbyły się oficjalne zaręczyny Appu i Baby. Nandżu patrzył w milczeniu, jak wiejski kapłan zerka do almanachu i proponuje ślub dwunastego listopada. Dewi wyjęła z uszu złote, proste kolczyki, jedyną biżuterię, jaką jeszcze nosiła, nie licząc tygrysięj broszki. Położyła kolczyki na dłoniach bratanicy.

- Weź je, kunji. Kiedyś należały do mojej matki. Do twojej babki ze strony ojca. W tej chwili nie mogę ci dać niczego poza tym, ale - pociągnęła Appu za ucho, jakby był małym chłopcem - kiedy ten twój narzeczony wróci z Niemiec, dostaniesz więcej. Znacznie więcej.

364

Zbliżał się dzień wyjazdu Appu i Dewanna postanowił spróbować porozmawiać z Dewi w imieniu Nandżu. Może byłoby lepiej, gdyby Nandżu pojechał zamiast Appu...

Dewi zareagowała niedowierzaniem.

- Nie chcesz, żeby wszystko poszło gładko? Przecież wiesz, że Appu lepiej sobie poradzi z prawnikami i z białymi.

Później Dewanna próbował rozmawiać z Appu i obracając rączkę laski, zasugerował, by Appu rozważył zrezygnowanie z podróży na korzyść brata. Lecz mimo zauroczenia narzeczoną, miłość - albo pożądanie - nie zdołały przytępić umysłu Appu.

- Mam nie jechać?! I przepuścić olimpiadę? - Szeroko się uśmiechnął. - Przykro mi, appaija, ale nic, naprawdę nic nie jest w stanie mnie powstrzymać od dopingowania naszej drużyny w Amsterdamie. Daj spokój, appaija. Przecież to indyjska drużyna hokeja. Po raz pierwszy na olimpiadzie! Muszę tam pojechać.

Appu wyruszył do Madrasu w kwietniu. Wizja jego wyjazdu wtrąciła Baby w tak czarną depresję, że trawiona gorączką wylądowała w łóżku, ale przedtem zdążyła posłać trzysta trzydzieści trzy holige, każde doskonale usmażone i starannie owinięte w liście bananowca, aby Appu miał się czym posilać w podróży. Dewi nalegała, by syn spakował je razem z resztą bagażu. Spełnił prośbę matki, po czym oddał ciężką paczkę pierwszemu żebrakowi napotkanemu w Bangalurze. Jak mogła oczekiwać, że zataszczy holige na parowiec? Już widział, jak zagaduje towarzyszy podróży: „Może małe holige do cygara, stary?”.

Mimo to, wzruszony troską Baby i nawet trochę zatrwożony widoczną głębią jej uczuć, Appu zamówił dla niej w Madrasie parę olśniewających i niedorzecznie drogich kolczyków z szafirów i czarnych pereł.

- Proszę je dla mnie przechować - powiedział jubilerowi. - Niedługo prześlę pieniądze z Europy.

Wszedł na pokład Arcot, parowca zmierzającego do Kolonii przez Kolombo, Karaczi, Suez, Dżibuti i Port Said. Była to niemal dokładnie



ta sama trasa, którą ponad sześćdziesiąt lat wcześniej, w odwrotnym kierunku, pokonał Gundert.

- Dzi-bu-ti, Ka-ra-czi - czytał na głos Hermann z listy portów pośrednich, a Olaf stał za jego plecami i szeroko się uśmiechał.

365

W każdym porcie Olaf wrzucał do wody feniga.

- Żebyśmy pewnego dnia tu wrócili, Hermannie. - Oczywiście nigdy nie powrócili. Większość rzuconych monet, o których istnieniu Appu nie miał pojęcia, nadal leżała tam, gdzie upadła dziesiątki lat wcześniej, i apatycznie rdzewiała pośród różnych świństw i szlamu, kiedy nad nimi przepływał Arcot.

Appu dotarł do Berlina 18 maja 1928 roku. Berlińskie lato przypominało ciepły listopadowy poranek w Kodagu. Miasto rozkwitało: szerokie, obsadzone drzewami aleje, kwitnące parki i rozległe, eleganckie skupisko budynków w korzystnym, pełgającym świetle. Była to era jazzu i najlepsze lata kabaretu, łabędzi śpiew Republiki Weimarskiej przed dojściem Hitlera do władzy. Wiele lat wcześniej Olaf szukał ekscytujących wrażeń w Indiach, ale gdyby zakosztował weimarskiego Berlina, pewnie nigdy nie wyjechałby z kraju. Było to miasto artystów i intelektualistów, filozofów, wędrowców i poszukiwaczy fortuny, przyciągające ze wszystkich zakątków rozwiniętego świata ludzi bystrych, poranionych psychicznie i najpiękniejszych.

Imprezowicze wylewali się z kawiarni na każdym rogu, paląc, śmiejąc się i rzucając garście monet muzykom grającym pod otwartymi oknami. Appu gapił się z otwartymi ustami na odziane w spodnie kobiety z monoklami, które spacerowały ulicami pod rękę i nie kryły wzajemnej czułości. Z murów, płotów i słupów lamp krzyczały plakaty. Bez końca widział na nich słowo „Kaberette”, reszty nie rozumiał, ale ilustracje powiedziały mu wszystko, co musiał wiedzieć. Pary nieokreślonej płci leżały splecione na ławkach w parku i wciśnięte w mury alejek. Appu zarumienił się, kiedy jakaś kobieta przyłapała go na obserwowaniu jej i puściła do niego oczko znad ramienia swojego oblubieńca. Szybko się odwrócił, a potem wybuchnął głośnym śmiechem. Wyglądało na to, że w Berlinie wszystko jest dozwolone.

- In der Luft - zachwycano się weimarskim Berlinem - to zasługa tutejszego powietrza. - I Appu od razu wpadł w jego wir.

Zameldował się w hotelu poleconym przez prawnika, skromnym i bez zbytków, ale nawet najmniejszy depozyt, który trzeba było wnieść w recepcji, pochłonął prawie wszystkie pieniądze, jakie ze sobą przywiózł.

Nazajutrz wczesnym rankiem popędził do banku, gdzie po męczącym

366

i śmiertelnie nudnym dniu wypełniania formularzy, podpisywania dokumentów i składania pisemnych oświadczeń dochody ze sprzedaży majątku wielebnego zostały w końcu przekazane w jego posiadanie. Natychmiast wysłał pieniądze do domu, potrącając tysiąc marek na własne wydatki. Potem, stukając butami o marmur, zbiegł po schodach banku i wyruszył na podbój miasta.

- Pić - pokazał na migi pracownikowi hotelu. - Muszę się napić. -

I ten dobry człowiek od razu wskazał mu drogę do kabaretu.

Appu siedział w kącie zadymionego klubu, zahipnotyzowany długim rzędem tancerek tańczących shimmy na scenie. Bębnił palcami o stół do taktu, a muzyka z każdą chwilą rozbrzmiewała głośniejsze. Dziewczyny tupwały coraz szybciej i wirując wokół, zrzuciły z siebie różne elementy garderoby. Tu górę sukienki, tam pas do pończoch. Skąpe spódniczki fruwały im nad udami. Appu przyglądał się z zapartym tchem, a krew szumiała mu w uszach. Orkiestra zamilkła po ostatnim, zwycięskim uderzeniu w cymbały i Appu poderwał się z miejsca.

- Brawo! - ryknął razem z resztą tłumu. - BRAWO! - Dziewczyny dwa razy wracały, żeby się uklonić, a gdy w końcu zeszły ze sceny, Appu zarechotał i opadł na krzesło. Pstryknął palcami na kelnerkę i zamówił następnego drinka.

- Mówisz po angielsku?

Kobieta, która powiedziała mu to na ucho, wybrała krótką chwilę ciszy między występami. Appu odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Owszem, mówię.

Marzyła o aktorstwie.

- Ruchome obrazy, kochanie - wyjaśniła, wydmuchując mu w twarz kółeczka dymu. - Można zarobić mnóstwo forsy. Potrzebuję tylko jednej szansy, a potem...

Roześmiał się i zamówił następną kolejkę.

- Ruchome obrazy! No cóż, kiedy już dotrzesz na szczyt sławy, kochanie, z pewnością przyjdę cię obejrzeć.

Powiedziała, że nazywa się Ellen Antonia Hicks, lady Ellen Antonia Hicks, uściśliła, spoglądając na niego buńczucznie, jakby chciała sprawdzić, czy odważy się zakwestionować jej słowa. Appu pokłonił się z powagą.

367

- Bardzo mi miło, lady Hicks.

- Z Londynu - ciągnęła. - Przyjechałam pięć lat temu. - Rozejrzała się i wykonała dłonią szeroki gest. - Czy można mnie winić, że zostałam aż tak długo?

Appu spojrział na wymyślnie odziany tłum, który pił, palił, śmiał się i pieścił, jakby reszta świata zupełnie go nie obchodziła. Szeroko się uśmiechnął.

- In der Luft. Tak to nazywają, prawda?

Uniósł szklankę do ust i znowu zlustrował tłum wzrokiem. Jego uwagę przykuła wyjątkowo urodziwa twarz, której owalny zarys przypominał mu o Baby.

- Och, na twoim miejscu dałabym sobie spokój! - krzyknęła mu Ellen na ucho. - To nie żadna dama, przyjacielu, tylko baron Ludwig. Wielbiciel ładnych chłopców i jedwabnej bielizny.

Appu zamrugał wstrząśnięty, kiedy zdał sobie sprawę, że miała rację. Urodziwa dziewczyna wcale nie była dziewczyną.

- Są wszędzie - skwapliwie wyjaśniła Ellen. - Ten tam. Szef jednego z największych banków w Berlinie. I tamten. Wysoki urzędnik Reichstagu. Tak, to sami mężczyźni. - Zastukała długim, polakierowanym paznokciem w gardło. - Jabłko Adama, kochanie, trzeba spojrzeć na jabłko Adama. Żaden makijaż go nie zamaskuje. A tam, widzisz tego dżentelmena? Akurat on to tak naprawdę ona.

Zaciągnęła się papierosem.

- Kogut to czy kura? Chłopak czy dziewczyna? Dość masz tabu i grzechu? Przyjedź do Berlina! Seks - ostatnie słowo wypłynęło z jej ust na poduszce z powietrza. Appu zerknął na jej wargi, na ich ognistą, satynową czerwień, a potem odwrócił wzrok. - Wiesz, kiedyś niedaleko stąd tańczyła Anita Berber, całkiem golusienka, kochanie, do melodii Debussy'ego, Straussa i Delibes'a. Wciągała kokainę i morfinę, miewała przeróżne, bardzo publiczne romanse zarówno z mężczyznami, jak i z kobietami. Seks - powtórzyła, sznurując te miękkie, krwiste usta. - Do tego nie potrzeba ani pieniędzy, ani pozycji społecznej. Rozdaje się go za darmo i dla zysku. Zrównuje wszystkich berlińczyków. Spójrz - znowu wykonała gest dłonią - najbogatsi i najbardziej wpływowi zadają się z artystami, homoseksualistami i transwestytami. Kobiety ubrane jak mężczyźni, mężczyźni odwiedzający kluby i oglądający mecze bokserskie w damskich ciuszkach, w makijażu tak doskonałym, że gdyby nie jabłko Adama...

368

Appu poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie. Nie był pewien, czy to wpływ alkoholu, długiej podróży, czy może otaczającej go nowości. Pod wpływem nagłego podejrzenia niepewnie zerknął na gardło Ellen, ale nie, bezsprzecznie była kobietą. Pochyliła się bliżej i Appu drgnął, kiedy jej naszyjnik musnął jego ramię.

W powietrzu uniósł się gryzący zapach. Ktoś zapalił skręta. „Jasne, In der Luft - pomyślał Appu. - Zapach seksu i dym marihuany, oto co wisi w berlińskim powietrzu”.

Nagle poczuł się bardzo osamotniony, dryfował w tym mieście, które ciągle zmienia kształt. Kodagu, awwaija, Baby... to wszystko wydawało mu się takie odległe. Tutaj był inny świat. Opróżnił szklanekę i zwrócił się do Ellen:

- Za dwa dni wyjeżdżam do Amsterdamu - powiedział z prostotą. - Na olimpiadę. Pojedź ze mną.

ty

Ellen wygładziła gazety na kolanach, powstrzymując się od powachlowania nimi twarzy i wyciśnięcia z poranka odrobiny bryzy. Stadion olimpijski pękał w szwach. Zbudowano go specjalnie z okazji olimpiady i miał bezprecedensowe trzydzieści cztery tysiące miejsc siedzących. Na finałowy mecz hokeja, który za chwilę miał się zacząć, sprzedano wszystkie bilety.

Od wielu dni w gazetach pełno było doniesień o zdumiewającej waleczności indyjskiej drużyny hokeja i o jej zachwycającym środowym napastniku Dhyanie Chandzie.

„Indusi noszą niebieskie koszule z białymi rękawami i kołnierzykami. Oglądani z góry przypominają tancerki rewiowe, ale tak naprawdę to mężczyźni ze stali. Za to kiedy grają, ich kije przeobrażają się w łyżki, widelce i noże. A czasami w tacę. Poza tym indyjska piłka zdaje się nie zważać na prawo grawitacji. Wzbija się ze świstem, a oni łapią ją zewnętrzną stroną kija i leży tam posłusznie jak w koszyku do robótek, unoszona z prędkością pociągu ekspresowego. Wzbija się ze świstem, a oni porozumiewawczo do niej mrugają i wtedy piłka zbacza z prostego kursu, zepchnięta albo przyciągnięta jakąś pozaziemską mocą w lewo

lub w prawo, a potem siada na kiju jak kanarek na żerdzi, bo gdzieś w pobliżu zawsze czeka indyjski kij".

369

Appu niespokojnie poruszył się na krzeselku, bębniąc palcami w kolano. Ellen się uśmiechnęła. Od rana przypominał dziecko, niemogące doczekać się meczu.

Bez końca powtarzał jej te same historie: o tym, jak indyjska drużyna zdobywała pozwolenie na grę. Z początku brytyjski rząd był niechętny, ale potem zdał sobie sprawę, że uczestnictwo kolonii w olimpiadzie będzie czymś w rodzaju zabiegu public relations. Świadectwem szlachetności brytyjskich rządów. Rok wcześniej drużyna grała na festiwalu Folkestone w Londynie, gdzie wygrała wszystkie mecze. „Zdobyli siedemdziesiąt dwa gole - powiedział jej Appu. - A ten Dhyan Chand!". Odnosiło się wrażenie, że kij hokejowy smukłego Chanda pokrywa warstwa kleju - tak doskonale zawodnik panował nad piłką. Zdobył ni mniej, ni więcej, tylko trzydzieści sześć z siedemdziesięciu dwóch goli indyjskiej drużyny.

Drużyna kontynuowała nienaganny występ na olimpiadzie. Dzięki Appu Ellen była tak doskonale poinformowana, że znała nawet dotychczasowe wyniki Indusów. Liczba rozegranych meczów: cztery, wygranych: cztery, strzelonych goli: dwadzieścia sześć, straconych goli: zero.

- Co tak długo? - narzekał Appu, a Ellen wzruszyła ramionami i z uśmiechem wsunęła mu dłoń pod ramię. Uniósł napój pod słońce i światło nadało płynowi ciemny, lekko musujący kolor czerwieni. Pociągnął łyk i beknął, bąbelki prawie wyszły mu nosem.

- Przepraszam. Jakiś dziwny ten napój - zamyślił się. - Nie potrafię się zdecydować, czy mi smakuje, czy nie. Mimo to jego nazwa ma swój rytm, nie uważasz? Co-ca Co-la. - Jeszcze raz uniósł butelkę pod słońce, zakołysał nią w prawo i w lewo, a potem zerwał się z miejsca z nagłym rykiem, omal nie oblewając Ellen.

Brama boiska otworzyła się i dwie drużyny, holenderska i indyjska, wyjechały na taflę.

- Naprzód, Indie!

Na stadionie rozległy się głośnie okrzyki, a po nich grzmiące brawa.

- NAPRZÓD, INDIE! - zagrzmiął znowu Appu. - DHYAN CHAND, naprzód Dhyan Chand!

Nawet Ellen dostrzegła artyzm gry Chanda. Zdobył dwa z trzech goli indyjskiej drużyny, prowadząc rodaków do eleganckiego zwycięstwa 3:0. Po zakończeniu meczu Appu skakał z radości. Skakał, krzyczał i chwycił Ellen w ramiona, zamykając ją w niedźwiedzim uścisku i z miażdżącą siłą tuląc do piersi.

370

Kilka dni balowali w Amsterdamie, a potem wrócili do Berlina. Appu od razu wynajął dla nich pokój w hotelu przy Dormendstrasse. Stali na środku placu, Ellen kurczowo trzymała kapelusz, żeby nie porwała go bryza, i śmiała się, kiedy próbowali wybrać najatrakcyjniejszy hotel przy ulicy.

- Tamten - pokazał Appu. - Ten z niebieską markizą. Der... - Zmrużył oczy, próbując odczytać nazwę. - Der Blaue Bast. Niebieski...

- Aksamit - dokończyła Ellen, odgarniając włosy z czoła. - Der Blaue

Bast. Niebieski Aksamit.

Znów zaczęła mu pokazywać Berlin. Szybko stali się stałymi bywalcami wszystkich nocnych lokali w mieście. Ellen wszędzie miała przyjaciół: nieco podejrzanych artystów, dziewczyny próbujące zrobić karierę w rewii, wysokich urzędników Reichstagu, polskich imigrantów i grube ryby z sektora bankowości. Zawsze znalazł się ktoś chętny, by obejrzeć mecz bokserski i wyścig kolarski, wpaść na premierę w teatrze i na małą orgietkę oraz by spędzić pijane, wrzaskliwe godziny w Spiegel-tent i w Eldorado.

Appu został przyjęty do tego grona z otwartymi ramionami. Lata dwudzieste przyniosły nawrót zainteresowania Wschodem. Codzienna prasa pełna była kolumn pisanych przez ekspatriantów mieszkających niegdyś od Kalkuty po Penang, którzy przedstawiali swoje poglądy na wszystko, poczynając od Kamasutry, a kończąc na Buddzie. Hermann Hesse wydał swoje wielkie dzieło Siddhartha, które spotkało się z bardzo dobrym przyjęciem. Publiczność waliła do Wintergarten na hot dogi i zimne piwo, by podziwiać indyjskich „świętych” rozłożonych na łózkach ze srebrnych gwoździ. Przyjaciele Ellen spoglądali na Appu z autentycznym zainteresowaniem i wypytywali go o życie w Indiach.

- Śpię w domku na drzewie - informował ich z powagą - a lokaj przynosi mi posiłki, huśtając się na pnączach. Kiedy chcę gdzieś wyjść, wystarczy, że zagwiżdżę, a pod drzewo przybiega tresowany słoń. To piekielnie wygodne.

Ellen kopąca go pod stołem, ale on, niezrażony, ciągnął dalej.

- Węże? Oczywiście, że mamy węże. Zawsze śpię z nożem u boku.

A pod naszym drzewem nieustannie pełni wartę zaklinacz węży.

371

Pieniądze przekazane w testamencie dotarły na rachunek w banku w Madikeri i Dewi zaczęła spłacać długi. Dewanna zasugerował, by odkupiła dwie sprzedane plantacje, lecz ona zainwestowała dwie trzecie kapitału w towarzystwo ubezpieczeniowe w Bombaju oraz w konglomerat tekstylno-herbaciany w Kalkucie.

- Te plantacje przyniosły nam pecha - wyjaśniła. - Nie chcę ich w naszej rodzinie. Kupię jeszcze jedną posiadłość, spory kawałek ziemi dla Nandzu. Ale to i Tygrysie Wzgórza w zupełności nam wystarczą, dostałam nauczkę. Już nigdy nie będziemy tak bezbronni jak wtedy. Koniec z kawą. Do Tygryskich Wzgórz wrócili robotnicy i oczyścili ścieżki z chwastów, które rozpanoszyły się w ciągu ostatnich miesięcy. Dewi kupiła żonie Tukry parę złotych bransolet i cienki złoty łańcuszek. Tukrze podarowała parę spodni i ciemnobrązowe skórzane sandały z Majsuru. Tukra był niezmiernie wzruszony tymi prezentami, zwłaszcza obuwem. Zbliżył sandały do nosa i wciągnął zapach nowej skóry. Potarł kciukiem grube podeszwy, zachwycając się ich sprężystością, i z zadowoleniem spojrzął na stalowe sprzączki. Nazajutrz Dewi zauważyła jednak, że Poleja nadal przechadza się po podwórzu na bosaka.

- Aaj, Tukra! - zawołała. - Gdzie się podziały twoje nowe buty?

Tukra wydawał się zawstydzony, ale zanim zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się jego żona.

- A jak myślisz, Dewi akka? Przy naszym łóżku, oto, gdzie je trzyma.

Nie chce ich wyjmować z pudełka. Twierdzi, że są zbyt piękne jak na jego nogi.

Bez względu na to, jak bardzo się śmiali i jak bardzo Dewi namawiała Tukrę, żeby włożył buty („Kiedy się znoszą, kupię ci następne”), Tukra nie chciał ustąpić. Sandały leżały nietknięte w pudełku, tuż obok materaca, by codziennie rano mógł je podziwiać.

W ramach przygotowań do ślubu, chcąc zrobić Appu niespodziankę, Dewi postanowiła przeprowadzić generalny remont domu w Tygryśich Wzgórzach. Miał zostać przebudowany i wzbogacony o nową fasadę wzniesioną na obecnym fundamencie. Miał być największym i najnowocześniejszym domem w całym Kodagu.

Remont stanowił źródło nieustających plotek, zarówno w klubie, jak i pośród rdzennych mieszkańców Kodagu. Sprowadzono architekta

z Bangaluru, aby zaprojektował dwupiętrową strukturę. Miała zostać zbudowana wyłącznie z materiałów dostępnych na plantacji. Postawiono ogromny piec, by wytwarzać cegły z błota. Zatrudniono fachowców z Kerali, by przygotowali specjalną miksturę do malowania ścian, składającą się z wapna i żółtek aż dwudziestu ośmiu tysięcy jaj.

- Szybko, szybko - poganiała robotników Dewi. - Mój kunji wkrótce wróci, wszystko musi zostać zrobione przed jego przyjazdem.

Zaczęła na poważnie szukać żony dla Nandżu.

- Znajdźcie mi kogoś - namawiała rodzinę i znajomych. - Najładniejszą dziewczynę, jaką napotkacie, najmiłszą i najlepiej wykształconą. Mój starszy syn może dostać tylko to, co najlepsze.

Dewi znowu zaczęła nucić, chodząc po domu, i jak zwykle beznadziejnie fałszowała. Dewanna przycinając bonsai, słuchał jej przez otwarte okno i uśmiechał się pod nosem.

Baby oparła się o okno, pozwalając, by nocna bryza schłodziła jej czoło. Na niebie widniał zaledwie mały obrzynek księżyca, ale deszcz gwałtownie ustał i powietrze było tak czyste, że w świetle gwiazd jej wzrok sięgał aż do pól ryżowych.

Okropnie tęskniła za Appu. Wiedziała, że przesłał już pieniądze z Niemiec. Kiedy w końcu przyszły, Dewi mawi odczuła tak wielką ulgę, że kazała zarznąć dwie kozy i podarowała wiosce barana razem z kokosami z palm w Tygryśich Wzgórzach. Nandżu powiedział jej, że Appu obejrzał finałowy mecz hokeja. Odwiedził w tym celu jakiś inny kraj o nazwie, którą ciągle zapominała... Amsta... jakoś tam. A potem wrócił do Niemiec. Baby była niepokieszona. Czyżby za nią nie tęsknił? Czyżby nie chciał czym prędzej wrócić do domu, by być u jej boku?

„Pytał o mnie?”, chciała zagadnąć Nandżu, ale słowa uwięzły jej w gardle.

- Niedługo wróci - cicho powiedział Nandżu. - Przecież nie może...

Wie, jakim jesteś skarbem. Wróci.

Bryza szarpnęła jej halkę. Wszyscy ciągle jej powtarzali: „Ale z ciebie szczęściara. Masz bardzo bogatą ciotkę. A dom, który buduje... Zamieszkaż w pałacu!”

Oglądanie domu męża przed ślubem przynosiło pecha, ale Baby tak uważnie słuchała opowieści, że wyraźnie go widziała oczami wyobraźni. Cegły były ciemnoczerwone, każda starannie obrysowana

białym wapnem. Palisandrowe drewno drzwi pochodziło z plantacji, a nad każdymi drzwiami tkwiły witraże rzucające kolorowe wzory na

373  
podłogę. Na lewo od drzwi była weranda, z której roztaczał się wspaniały widok na ogrody, otoczona tradycyjnymi, mosiężnymi naczyniami z wodą, które Baby postanowiła zawsze ozdabiać świeżymi kwiatami. „Kanakambara czy radżakirita7.", zastanawiała się. Który kwiat będzie wyglądał ładniej?

Był tam komplet trzcinowych krzesel i stolik do kawy dla białych gości. Rdzenni mieszkańcy Kodagu za nic w świecie nie chcieliby na czymś takim usiąść, woleli tradycyjne aimary wycięte z grubych kłoców drzewa i ustawione wzdłuż krawędzi werandy. Do domu wchodziło się korytarzem. Pod schodami umieszczono szafkę, w której Baby miała przechowywać męzowskie buty do spacerów, gotowe zawsze, gdy Appu nabierze ochoty na przechadzkę. Jadalnia była po lewej. W drzwiach tkwiły fasetowe szyby pomalowane z jednej strony na niebiesko, a z drugiej na gołębio. Salony mieściły się po przeciwnej stronie: dwa ogromne pomieszczenia oddzielone małą przegrodą. Baby słyszała, że podłogi są z drewna. Zastanawiała się, jak pobrzękują łańcuszki na kostkach, kiedy chodzi się po drewnie. Będzie musiała uważać, żeby nie wbić sobie drzazgi. Jej skóra zwykle pękała pod najmniejszym naciskiem.

A na piętrze... Baby zarumieniła się, chociaż była sama. Na piętrze były sypialnie. Tuż przy schodach mieściła się jednak biblioteka z wielkimi oknami wychodzącymi na plantację. Po obu stronach korytarza było łącznie sześć sypialni. Znowu się zarumieniła, wyobrażając sobie ogromne łóżce z czterema kolumnami, które wykonano na zamówienie Dewi. „Appu będzie na nim siedział codziennie wieczorem, na śnieżno-białej pościeli - pomyślała Baby - a ja będę mu masowała nogi olejkami arnikowymi, poiła go mlekiem z kardamonem...”

Uśmiechnęła się i przyglądała halce. Niedługo Appu wróci do domu.

Tiger Hills, Murnad, Kodagu

23 sierpnia 1928

Drogi Appu,

gdzie jesteś? Wysłaliśmy Ci trzy telegramy i prawnik twierdzi, że wszystkie zostały przekazane przez bank do Twojego hotelu. Nie otrzymaliśmy jednak żadnej odpowiedzi.

Awvajja chce wiedzieć, kiedy zamierzasz wrócić. Od Twojego wyjazdu minęły już ponad cztery miesiące. Pomyśl o Baby. jeśli nie nam, to choć jej okaż jakieś względy. Musisz wrócić.

374

Poza tym wszystko w porządku. Jeden z robotników zbierających, kokosy spadł z drzewa. Głupiec złamał obojczyk i skręcił kostkę, ale nie ma się czym przejmować.

Naprawdę, Appu, to nieładnie. Pomyśl o Baby. Kiedy ją widzę, ciągle mówi tylko o jednym, jak się czuje Appu, gdzie jest Appu, kiedy wróci Appu. Wykaż odrobinę rozsądku. Wracaj do domu.

Twój kochający brat

Nandżu

Ellen przeczytała list na głos, gdy Appu z zamkniętymi oczami leżał w poprzek łóżka.

- Baby to... twoja narzeczona, jak się domyślam?

Nie odpowiedział.

- Zatem kolczyki ze skrzydełek chrząszcza są dla niej? - Wybrali je razem mniej więcej miesiąc temu w małym butik. Wracali do hotelu podchmieleni po lunchu zakrapianym szampanem i sklepik wpadł Appu w oko.

- Świecidełka dla mojej pani! - zawołał, a potem przytrzymał jej drzwi i uklonił się, kiedy wchodziła do środka.

Oglądali rzędy biżuterii i wzrok Ellen padł na te kolczyki.

- Cóż za nowatorstwo.

Właścicielka powiedziała, że zrobiono je z prawdziwych skrzydełek chrząszcza. Pochyliła się, a dekolt bluzki odsłonił imponujący rowek między piersiami.

- Panu - mruknęła uwodzicielsko do Appu - sprzedam za dobrą cenę.

Appu się uśmiechnął, ale Ellen wcale nie była rozbawiona.

- Kolczyki - warknęła do kobiety. - Proszę mi podać lusterko, chciałabym je przymierzyć.

Była to kaskada opalizujących, niebieskozielonych skrzydełek spiętych złotym drucikiem.

- Urocze... Jak z bajki. Co ty na to, Dags?

- Ja, ja - powiedziała właścicielka. - Bajkowe kolczyki dla księżniczki z bajki.

Ellen, udobruchana pochlebstwem, roześmiała się, ale po chwili zamilkła. Dags wpatrywał się w kolczyki z nieobecnym wyrazem twarzy.

- Dags? Halo...? Dags?

375

Spojrzał na nią, już bez tej nostalgii w oczach, tak ulotnej, że równie dobrze mogła być wytworem jej wyobraźni. Sięgnął po metkę z ceną i pokręcił głową.

- Zbyt tanie jak dla kogoś tak bezcennego jak ty. Chodź kochanie, znajdziemy coś lepszego.

Zawahalała się, a potem przymierzyła wysadzany kamieniami wisiołek, który jej podał.

Kupił go dla niej, ale kupił także kolczyki. Kiedy posłała mu pytające spojrzenie, lekko pocałował ją w czoło.

- To dla kogoś w domu - powiedział beztrąsko. - A dla ciebie... -

Wysunął z pudełeczka wisiołek na łańcuszku, a potem pomógł jej go założyć.

- Piękny - powiedziała Ellen, nadal myśląc o kolczykach i ich bezimiennej właścicielce. Spuściła wzrok, próbując opanować drżenie głosu, wstrząśnięta tym, jak bardzo ją to przygnębiło. - Piękny, kochanie, cudowny.

- Te kolczyki, Dags - powtórzyła teraz. - Kupiłeś je dla Baby?

Appu delikatnie pomasaował jej nogę.

- Mhmm...

- Zamierzasz... Czy w takim razie planujesz niedługo wyjechać?

Przez chwilę milczał, a potem przewrócił się na plecy i podrapał po brzuchu. Wyciągnął rękę po skręta.



- Jeszcze nie teraz.

Kilka dni później umówili się na spotkanie z grupą imprezowiczów.

Appu jak zwykle wiódł prym. W pewnej chwili Jurgen Stassler odciągnął go na bok.

- Jesteś przy kasie, ja?

Appu uniósł brew.

- Nie musisz odpowiadać, wystarczy cię posłuchać. Powiedz, słyszałeś o Adolfie Hitlerze? Chciałbyś się czegoś dowiedzieć o Hitlerjugend?

Appu poszedł ze Stasslerem na jeden z wieców, tak dla zabawy. Stassler gadał przez całą drogę.

- Kiedyś Niemcy były dumnym krajem - powiedział. - Jednym z najwspanialszych w Europie. - Pogardliwie machnął na dziwkę, która łypała na nich okiem. - A spójrz na nas teraz. Miasto rozpaczy. Berlin stał się podstarzałą kurwą. Ma szeroko rozłożone nogi, jego wyzywający urok blednie.

376

Appu był zaskoczony. Stassler parafrazował coś, co ubiegłego wieczoru powiedziała Ellen, perorując z papierosem w dłoni.

- Berlin jest jak podstarzała tancerka z kabaretu - powiedziała. -

Nieco zrozpaczona, choć w jej tandetnym uroku została jeszcze odrobina magii. Tłumy wielbicieli nadal przychodzą, by tańczyć tak, jak im zagra, i wdychać marzenia spowite złotym pyłem.

- No cóż... - zaczął Appu, ale Stassler gwałtownie się zatrzymał i zapukał do masywnych, drewnianych drzwi. Bez ceregieli wciągnięto ich do środka i wskazano wielki, dobrze oświetlony hall. Byli tam sami mężczyźni, młodzi, w wieku mniej więcej czternastu lat, oraz starsi. Podszedł do nich jakiś oficer i wskazując Appu szpicrutą, warknął coś po niemiecku. Najwidoczniej zadowolony z odpowiedzi Stasslera, kiwnął głową i oddalił się sztywnym krokiem. Ktoś wszedł na mównicę i w sali zapadła cisza. Zaczęły się przemówienia. Appu prawie nic nie rozumiał, ale od czasu do czasu oficer łąpał mikrofon i krzyczał:

- Sieg!

- Heil! - odpowiadał mu chórem tłum.

- HEIL! - krzyczał z nimi Appu. - Napijmy się! - zawołał do Stasslera, kiedy przemówienia dobiegły końca. - Wspaniała sprawa ta Hitlerjugend. Heil! Nie bardzo wiem, o co im chodziło, ale brzmiało to niesamowicie.

Chodziło o Żydów, wyjaśnił mu Stassler przy piwie, o nich i o ich pazerne, chciwe łapska. Najwyraźniej uważał, że Żydzi z jakiegoś powodu ponoszą winę za powojenne bankructwo Niemiec.

- Wykupili naszą ziemię. Ziemię, która od wieków należała do naszych rodzin. Którą sprzedano z desperacji, prawie za bezcen, tym... tym... cudzoziemcom - Stassler gwałtownie wypluwał słowa.

Appu był ciekaw, jak zareagowałby Stassler, gdyby się dowiedział, że wielebny Gundert sprzedał swoje nieruchomości i cały dochód ze sprzedaży przekazał właśnie cudzoziemcowi.

- Moim zdaniem... - zaczął, ale Stassler grzmiał dalej.

Ellen się zmartwiła, kiedy później Appu o wszystkim jej opowiedział.

- Trzymaj się z dala od Stasslera - ostrzegła. - Nie pamiętam, jak do

nas dołączył, ale na jego widok zawsze przechodzą mnie ciarki. Gapi się na mnie tymi swoimi wylupiastymi oczami.

Appu ziewnął, rozpinając koszulę.

377

- Cóż, może w takim razie wyświadczysz nam wszystkim przysługę i się z nim prześpisz - powiedział wesoło. Uśmiechnął się i dołeczek wyrył w jego policzku głęboki rowek. - Seks rozwiązuje mnóstwo problemów. Mniejsza o Stasslera, powinni cię wpuścić na jeden z tych wieców Hitlerjugend, żebyś mogła roztoczyć nad nimi swoją magię.

Chichocząc, odwrócił się, żeby rzucić koszulę na sofę, i nie zauważył śmiertelnie urażonej miny Ellen.

Dewi z zadowoleniem pokiwała głową, patrząc na nową bibliotekę.

Remont dobiegał końca, sterty sypkiego żwiru usunięto z podwórza, ściany lśniły od mieszanki wapna i żółtek.

- Nigdy nie będą się łuszczyły, akka - zapewnili ją fachowcy. - Sto procent gwarancji.

Wyjaśnili, że korzystają ze starej receptury przekazanej im przez przodków. Słońce czy deszcz, na ścianach nie pojawi się ani jedno pęknięcie, pozostaną jak nowe przez trzy pokolenia i jeszcze dłużej. Dewi przesunęła dłonią po ścianie i palce pozostały czyste, na skórze nie było ani odrobiny wapna. Przynajmniej tym razem wszystko wskazywało na to, że budowniczcy mają rację.

Zamówiła biżuterię na śluby u złotników w Madikeri i Majsurze. Tylko to, co najlepsze dla oblubienic jej synów. Oczywiście diamenty i rubinowy adige, koralowy pathak i kokkethathi w kształcie półksiężyca. Jubiler pokazał jej komplet dżadau wysadzany nieoszlifowanymi kamieniami i absurdalnie drogi.

- Sprowadziłem go z dalekiej północy, akka - zaprotestował, kiedy Dewi prychnęła, usłyszawszy cenę. Gnębiła go i przymilała się, póki nie Przysłał na odrobinę rozsądniejszą sumę, a potem zamówiła drugi komplet. Były jeszcze wiktoriańskie kamee, grzebienie z kości słoniowej, sari z tak delikatnego muślinu, że całe dziewięć jardów mieściło się po złożeniu w kobiecej dłoni, jedwabne apaszki (wśród młodych dam zapanowała moda na wiązanie takich apaszek wokół szyi, tuż nad sari), satynowe

379

halki obszyte koronką, jedwabne koszule nocne, szlafroczy z flaneli i akсамitu oraz chusteczki wyhaftowane w zakonach Mangaluru ścięciem tak delikatnym, że nie sposób było odróżnić prawej strony od lewej. Chłopcom kupiła biało-złote turbany ślubne podszyte grubym, kremowym jedwabiem, białe kupje uszyte na miarę, zestawy piętnastu koszul i pięciu par spodni sprowadzone z Londynu, garnitury z Hardings and Sons w Bangalurze, robione na zamówienie buty z Connaught Circus w Dilli, kieszonkowe zegarki zamknięte w złotym filigranie, pomadę do włosów, flakoniki wody kolońskiej, pędzle do golenia ze srebrnymi rączkami oraz, na dokładkę, złożyła u dileru z Bangaluru zamówienie na dwa nowiuteńkie austiny.

Ledwie tydzień wcześniej w końcu udało jej się znaleźć plantację dla Nandżu. W ciągu ostatnich miesięcy doprowadzała pośredników do szału, odrzucając jedną posiadłość po drugiej. Gleba w jednej była zbyt sucha w dotyku, w innej okazała się widocznie nasiąknięta wodą.

Studnię w kolejnej wykopano w niefortunnej, północnej części plantacji, a jeszcze inna była zwrócona ku zachodowi. Nieruchomość, której poszukiwała, musiała być nieskazitelna. Przecież miała trafić w posiadanie jej najstarszego dziecka. I w końcu ją znalazła: piękną działkę na południu. Teraz musiała już tylko znaleźć Nandżu żonę i ściągnąć tego nicponia Appu do domu. Spojrzała na chmury szybujące po niebie. Gdzieś pod poplamionym nocą skrajem tego nieba spało jej dziecko. „Iguthappo swami, sprowadź Appu do domu”. Dewi oparła czoło o szybę w oknie. Miała przed sobą góry, ich wierzchołki ukryte przed wzrokiem. A pośród nich potężną Bhagamandalę i świątynię Kaweri. Patrzyła w dal, czując ucisk w gardle. Miała wrażenie, że to wszystko wydarzyło się w innym życiu: festiwal Kaweri, wdrapywanie się na szczyt... Wtedy przyszłość stała przed nią otworem.

W zadumie postanowiła, że wybierze się tam jeszcze raz. Weźmie synów i ich żony do świątyni i po raz drugi poprosi Kaweri amnę o błogosławieństwo.

Jej uwagę zwróciło jakieś poruszenie na dole i Dewi rozchmurzyła się, dostrzegając Nandżu na trawniku.

- Nandżu! - zawołała z uśmiechem. - Wejdz na górę, kunji, chcę ci coś pokazać.

Nie rozmawiali więcej o jego niespodziewanym wybuchu, kiedy zakwestionował jej decyzję o wysłaniu Appu do Niemiec. Dewi nie wątpiła, że postąpiła słusznie. Mimo to wiedziała, że mocno go zraniła. Nie 380

wspomniał o tym więcej ani słowem i przed wyjazdem brata czule go uściskał. Mimo to zauważyła, jak bardzo przygaśł w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy, i pragnęła naprawić ich relacje. Kiedy wszedł po schodach, rozpromieniła się.

- Słucham, awwaija?

- Proszę - podała mu plik dokumentów.

- O, znowu coś kupujemy? - Przejrzał papiery i cicho zagwizdał. - Sześćset akrów? To ogromna nieruchomość.

- Tak. I jest twoja.

Spojrzał na nią, nie wiedząc, o co chodzi, a ona roześmiała się uradowana.

- Spójrz na dokumenty, no, dalej. Ziemia jest zapisana na twoje nazwisko.

- Na moje?

Dewi znowu się roześmiała.

- Tak, mój wolno myślący synu, jest twoja, cała twoja. Widzisz? Na górze jest twoje imię i nazwisko.

- Ale... co z Tygrysimi Wzgórzami?

Pokręciła głową, nadal się uśmiechając.

- Jak to co?

- Tygrysie Wzgórza, awwaija. Ta plantacja. Co z... Jestem starszym synem.

- Tak, oczywiście. I dlatego otrzymasz większą plantację. Sześćset akrów, monae. Oddałam nawet próbkę ziemi do badania. Podobno jest bardzo dobra, kawa będzie...

- Nie, awwaija. Daj ją Appu.

- Co ty wygadujesz? Wiesz, jak długo twoja awwajja szukała tej plantacji? To najlepsza nieruchomość, jaka znalazła się na rynku od lat. Drzewa dające cień są wspaniałe. I spójrz na jej wielkość. Mając sześćset akrów, można...

- Nie chcę sześciuset akrów. Ani sześciuset, ani nawet tysiąca. Zawsze pragnąłem tylko Tygrysich Wzgórz. Daj tę plantację Appu, kup mu jeszcze dwie, jeśli chcesz, ale Tygrysie Wzgórz... Tygrysie Wzgórz są moje.

- Co to ma znaczyć, kunji? Tygrysie Wzgórz należą do Appu. Dostanie je Appu - powtórzyła przygnębiona, kiedy nie odpowiedział. - Tygrysie Wzgórz muszą być jego.

- Jak oddychanie. - Powiedział to prawie niedosłyszalnym głosem i z początku Dewi nie była pewna, czy dobrze usłyszała. - Jak  
381

oddychanie - powtórzył, wpatrując się w akt własności, który spoczywał w jego dłoniach. - Ta plantacja... Już jako chłopiec... Ta ziemia jest dla mnie jak oddychanie, awwajja. - Bezradnie spojrział na matkę. - Appu nigdy nie będzie jej kochał tak mocno jak ja, dobrze o tym wiesz.

- Na litość wszystkich bogów. Nandżu, proszę. Nie utrudniaj mi tego. Jej umysł nawiedziło nieproszone wspomnienie wdowy po Maću.

„Obiecujesz, że dasz mu prawo przynależne z urodzenia?“, zapytała tamta kobieta.

- Tygrysie Wzgórz dostanie Appu, musi tak być. Posłuchaj, tylko spójrz na posiadłość, którą ci kupiłam. Sześćset akrów. Jest znacznie większa niż Tygrysie Wzgórz. Powinieneś skakać z radości!

- Dziękuję, awwajja - powiedział wtedy. - Tygrysie Wzgórz... dziękuję - powtórzył smutnym głosem. Pochylił się i dotknął stóp matki. Dewi przygryzła usta. Ta rozmowa wytrąciła ją z równowagi.

- Swami, kapad. Boże, obdarz mojego syna wszelkim szczęściem.

A teraz, skoro już masz nieruchomość, dzięki której zapewnisz żonie utrzymanie, znajdę ci odpowiednią kandydatkę. Naprawdę uroczą, naprawdę dobrą. Mój syn zasługuje na to, co najlepsze.

Spojrzał na nią z dziwnym, powściągliwym uśmiechem.

- Równie uroczą jak Baby? - zapytał.

Słowa Nandżu zaniepokoiły Dewi bardziej, niż byłaby skłonna przyznać. Tak bardzo, że już następnego dnia złożyła wizytę taji.

- Proszę cię, kunji, przestań. Od tego twojego chodzenia kręci mi się w głowie. - Taji słabo poklepała miejsce obok siebie. - Chodź tu, usiądź.

Dewi zignorowała jej prośbę, ale przestała krążyć po pokoju i stanęła obok okna. Z wściekłością spojrzała na kurczęta dziobiące wilgotną ziemię.

- Ani słowa od Appu, taji. Może coś mu się stało? Kiedy zamierza wrócić do domu? Ani słowa. Czyżby Baby w ogóle go nie obchodziła?

A ja, jego matka? Nie rozumie, jak bardzo się zamartwiam?

Dwie kury wdały się w bójkę, głośno skrzecząc i gdacząc, więc Dewi zastukała w okienną ramę.

- Sio! - krzyknęła. - Sio! - I kury oddaliły się z niezadowoleniem, strosząc pióra. Odwróciła się do taji z nagłym przestrawem. - Appu... on wróci, prawda? Wróci do domu?

Taji westchnęła.

382

- Oczywiście, że wróci. - Znowu poklepała puste miejsce obok sie-

bie. - Usiądź.

Rozmowa z taji przyniosła Dewi odrobinę pocieszenia, lecz mimo to w drodze powrotnej nadal czuła przygnębienie. Zbliżyła dłoń do tygryskiej broszki i z nieobecny wzrokiem pogładziła jej gładką powierzchnię. Może posłanie tego chłopca za granicę rzeczywiście było pomyłką. Instynkt jej podpowiadał, że wpakował się tam w coś niedobrego. „Te wszystkie białe dziewczyny - pomyślała kąśliwie. - Zero marjadi. Za grosz poczucia przyzwoitości. Przecież Appu jest zaręczony, prawda? A pewnie mimo to się do niego łąszą...”

Samochód pokonał zakręt i jej oczom ukazała się dolina. Na polach rósł ryż, połyskujący, zielony meszek nad ziemią. Czaple przelatywały nad krabimi stawami. Wszędzie wokół rozciągały się szmaragdowe wzgórza. „To moje korzenie”, powiedział Maću, kiedy stali i spoglądali na Kodagu ze szczytu Bhagamandali. A mimo to oddał jej swoją ziemię. Markotnie patrzyła przez okno. Tygrysie Wzgórza zawsze należały do Appu. Jak Nandźu mógł w ogóle pomyśleć, że je dostanie?

„Jak oddychanie”, powiedział Nandźu. Mieszkanie w Tygryśich Wzgórzach było dla niego jak oddychanie. Najwyraźniej jej zazwyczaj powściągliwe dziecko nagle zmieniło się w poetę.

Samotna czapla wzbiła się do lotu, unosząc się nad polami w szpuli najczystszej bieli. Dewi śledziła jej lot, owładnięta melancholią.

Kochanie pełnią miłości, całkowite zanurzenie w kimś lub w czymś - tak, taka miłość sięgała głęboko. Mogła się wydawać równie naturalna jak oddychanie. Ale Nandźu nie wiedział, że miłość ma jeszcze głębszy wymiar. Zakorzenie ożywiane jedynie przez stratę.

Dewi pomyślała, że miłość jest jak oddech, to fakt, ale jest również tym, co następuje później, kiedy oddech cichnie i pozostaje jedynie milczenie. Miłość to woda, pragnienie morza. To drzewo, które musi być zakorzenione w ziemi, sięgając ku niebu. To cień, wystraszony nieobecnością, zakątek, w którym przestała kwitnąć radość. Miłość jest tym, co trwa przez lata, bękarcia pozostałością po stracie, której ona nie może nawet oplakiwać jako własnej...

Samochód pokonał kolejny zakręt. Czapla wzbiła się wyżej, przechyliła w locie i pofrunęła dalej.

383

Appu przechylił głowę i spojrzał na niebo. Tutaj, w Berlinie, gwiazdy wydawały się dalekie, przyćmione światłami miasta.

Przez cały wieczór Stasslera otaczała atmosfera tłumionego podniecenia. Najpierw spotkali się na drinku w hallu Niebieskiego Aksamitu, a potem poszli do kabaretu. W połowie wieczoru Stassler pochylił się i szepnął Appu na ucho:

- Później musisz ze mną gdzieś pójść.

Appu spojrzał na niego w zamyśleniu. Oczy Stasslera wydawały się jeszcze bardziej wyłupiaste niż zwykle, na skroni pulsowała żyła. Pokręcił głową, zaciągając się skrętem, i połknął chmurę dymu.

- Nie dzisiaj, Ellen jest zmęczona.

- Nie mówię o Ellen. Tylko ty. Musisz.

Na przekór sobie Appu poczuł zaciekawienie. Jeszcze raz zaciągnął się skrętem, czując, jak rozszerzają mu się płuca.

- A dokąd się wybieramy?

- Musisz ze mną pójść - powtórzył Stassler.

Appu był jeszcze bardziej zaintrygowany pod koniec występu, kiedy się okazało, że oprócz niego Stassler zaprosił tylko dwóch innych mężczyzn z towarzystwa, Henrika i Gustava, ekstrawagancką parę jak z żurnala, o zdumiewająco nieskazitelnej skórze. Henrik rozejrzał się, kiedy skręcili z Dormendstrasse w jedną z mniej znanych alejek.

- No więc gdzie jest ten wspaniały nowy klub, Jurgenie? - zapytał.

- Niedaleko - mruknął Stassler.

- Zwolnij troszkę, mój ładniutki - powiedział Henrik. - Obcasy w moich butach są zdecydowanie za wysokie jak na takie brutalne traktowanie.

Gustav czule się roześmiał, ale Stassler bez słowa pędził przed siebie.

Appu szedł obok nich, słuchając jednym uchem, jak Henrik papla o wieczornym występie. Rozejrzał się zaspianym wzrokiem. Wszystkie wypalone wieczorem skręty wypełniły mu płuca. W tym mieście było tyle świateł. Zielone... żółte... niebieskie, czerwone, pomarańczowe i w kolorach, których nie potrafił nawet nazwać. Wylewały się z ulicznych lamp i z kabaretów, odbijały w kolczykach przechodzących obok kobiet... a może mężczyzn? Appu uniósł dłoń i miał wrażenie, że zrobiła się przezroczysta. Kości połączyły się w siatce koloru.

Szli dalej, skręcając w tę lub tamtą stronę. Appu zauważył, że wirujące wokół światła powoli przygasają. Szli przed siebie coraz cichszymi ulicami. Nie było tam klubów. W zasadzie kiedy się nad tym zastanowił, 384

doszedł do wniosku, że okolica jest strasznie opuszczona. Znowu skręcili za rogiem i przepełniło go gwałtowne pragnienie zapalenia następnego skręta.

- Stassler - zaczął zdenerwowany - dokąd, na miłość boską... -

I wtedy ich zobaczył.

Mniej więcej pięćdziesiąt kroków dalej pod niedziałającą latarnią czekało z pięć postaci. Appu pokręcił głową, próbując odzyskać przytomność umysłu. Nie, nie pomylił się. Ci mężczyźni w cieniu kogoś wypatrywali.

- Stójcie - syknął. - To mi się nie podoba.

Henrik i Gustav objęli się, ogarnięci nagłym niepokojem.

- Stassler?

- Tutaj! - krzyknął wtedy Stassler ochryłym głosem. Jego ręce machały w powietrzu, nawołując czekających mężczyzn. - Szybko!

Appu zamarł, kiedy postacie wyłoniły się z cienia - jedna, druga, następna, a potem jeszcze dwie - i ruszyły biegiem w ich stronę. Coś krzyczały, ale nie rozumiał ich słów. Henrik wrzasnął ze strachu. A może Gustav? Rozległo się bezużyteczne stukanie ich obcasów, kiedy truchtali w popłochu.

- Bierzcie ich! - wrzeszczał stojący obok Appu Stassler z twarzą wykrzywioną nienawiścią. - Nie pozwólcie im uciec!

Zamroczony Appu uniósł pięści, nadal nic z tego nie rozumiejąc, ale napastnicy minęli go z wrzaskiem. Stał tak przez chwilę z pięściami zastygniętymi w powietrzu, a potem się odwrócił i patrzył jak przez sen na napastników dopadających jego dwóch ekstrawaganckich towarzyszy. Widział, jak upadają, Henrik-Gustav-Henrik, trudno było rozpo-

znać, kto jest kim, kłębowisko piszczącego jedwabiu i aksamitu. Odgłosy spadających pięści, oszpecających tę wypielegnowaną skórę. Przez jego umysł przemknął obraz: kozie mięso wiszące na hakach w sklepie rzeźnika w Madikeri. Wielkie połacie mięsa, obdarte ze skóry, zabarwione czerwienią i fioletem, żywe kolory poprzecinane marmurową siateczką kremowych żył tłuszczu. Bach, bach, bach, odgłos pięści uderzających w skórę jakby okładały mięso.

Wzywali pomocy.

- Dags! Bitte, bitte, mein Gott, bitte!

Jeden z napastników wyciągnął jakąś paskudną pałkę i zaczął nią okładać Gustava i Henrika. Stassler podbiegł do nich, śmiał się i zapamiętał. Kopał dwie postacie leżące na ziemi.

385

Appu nadal stał jak wryty.

- Dags! - wołanie było już słabsze. Usłyszał paskudny trzask łamanych kości. Wokół ciała rosła ciemna plama, czerwona, czarna albo brązowa, nie był w stanie rozróżnić. Wsiąkała w ulicę.

Appu obrócił się na pięcie i pobiegł, pobiegł, jakby się paliło, byle dalej od Stasslera i od Hitlerjugend.

Drżał, kiedy w końcu dotarł do Niebieskiego Aksamitu. Monety wyslizgnęły mu się z ręki, kiedy chciał dać napiwek portierowi. Ellen już spała. Roztrzęsiony usiadł na kanapie i odkorkowawszy karafkę brandy, wypił jej zawartość.

„Dags! Bitte, Dags”.

Powinien był coś zrobić, powinien był zrobić cokolwiek. Znowu przechylił karafkę, ale była już pusta. „To nie twoje miejsce. Nie twoje. To nie twój problem, to nie twój kraj”.

Wpatrywał się w Ellen, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Co on tutaj robił? Spojrzał na jędrne udo wysunięte spod kołdry, na cienkie, błękitne żyłki w zagłębieniu z tyłu kolana. Wydawała się taka tandetna.

Taka łatwa.

Zamknął oczy, próbując zapomnieć o wieczornym koszmarze, lecz nagle w jego umyśle pojawiła się Baby. Appu pomyślał o czekającej na niego narzeczonej, przypomniał sobie jej porażającą urodę. Taką nieskazitelną, czystą. Pewność, że żaden mężczyzna nigdy nie spojrzął na jej uda, że żaden oprócz niego nigdy tego nie robi.

Wywłócił kufer i zaczął się pakować, wrzucając do środka sterty bonzurek, butów, koszul, much i pilśniowych kapeluszy, co tylko wpadło mu w ręce.

Ellen obudziła się, zaskoczona hałasem.

- Dags? - zapytała ospale. - Dags? - powtórzyła wystraszonym, piskliwym głosem. - Co się dzieje? Dokąd... dokąd się wybierasz?

Tusz do rzęs rozmazał jej się na policzku, nadając jej wygląd przerażonego klauna.

- Dags! Co się stało? Dlaczego nic nie mówisz? Proszę cię, Dags.

Dokąd się wybierasz?

- Do domu, kochanie - powiedział Appu, nawet na nią nie patrząc. -

Do domu.

Mgła płynęła Po stokach wzgórz, spowijając żałobników. Pośrodku podwórza ustawiono trójnogi taboret. Jego także

•- otoczyły szare kłęby. Na mosiężnym talerzu postawionym na taborecie piętrzył się surowy ryż zebrany na polach Naćimandów. Na szczycie kopczyka migotał, jakby w takt pieśni żałobnej, płomień zapalanej mosiężnej lampki. Bębny dudniły powoli, żałośnie, a tancerze pogrzebowi z plemienia Poleja, trzymając się za ręce, falowali w kręgu wokół taboretu. Ukazywali się i znikali, wychodząc z mgły i z powrotem się w niej zatapiając.

Wiejski wyplatacz mat zrobił matę z wikliny specjalnie na pogrzeb. Rozłożono ją na werandzie i usiadły na niej wszystkie domowniczki z rozpuszczonymi włosami sięgającymi pasa, z jardami białego muślinu udrapowanymi i zawiązanymi wokół ramion. Ponuro, w takt bicia w bębny, pogrzebowi śpiewacy śpiewali żałobną pieśń.

To twój koniec, Tajawwa, twój ostateczny koniec.

Strata, którą poniosłaś, Tajawwa,

Och! Cóż to za straszna strata!

Zostałaś pokonana, Tajawwa, ostatecznie pokonana.

Dewi siedziała jak wyrzeźbiona w marmurze. Wyglądała tak, jakby wcale nie oddychała.

387

Tukra dotrzymywał kroku bębnom. Zdawał się tańczyć instynktownie, prawie nie słuchając dudnienia. Twarz miał wykrzywioną smutkiem, rysy zamazane i nachodzące na siebie nawzajem - może od mgły, a może przez łzy w jej oczach, Dewy nie była do końca pewna.

Uparł się, by zatańczyć na pogrzebie, choć żona go ostrzegła, że ucierpią na tym jego kolana.

- Jesteś już stary, zostaw taniec pogrzebowy młodemu - radziła, lecz on był niewzruszony.

- To dla taji - płakał. - Dla taji.

Teraz krążył wokół lampki, krok w przód, krok w tył. Głosy śpiewających otaczały żałobników, niosły się nad ponurymi wzgórzami.

Jak siedem sznurów złotych koralików Pana,

Zerwanych i rozsypanych, Tajawwa,

Tak i ty się rozsypałaś.

Jak jego zwierciadło,

Które wypadło z dłoni i się potłukło, Tajawwa,

O! Tak i ty się potłukłaś, Tajawwa.

Dewy wpatrywała się w ciało spoczywające na werandzie. Rano jej umyły i przyoblekli w biel. Zatkaną nos, uszy i sflaczały pępek bawełnianymi puszkami. Pośrodku szerokiego czoła lśniła złota moneta.

Jak Jego złota igła,

Która pękła przy uchu, przy uchu, Tajawwa,

O! Tak i ty pękłaś, Tajawwa.

Obok leżała taji. Taji. Jej taji. Martwa. Najpierw awwaija, potem Maću, potem appaija, a teraz taji. Przytłoczył ją wielki ciężar, który niczym kamień młyński powoli kołysał jej się na piersi, zgniatając płuca. Dewy wstała i chwiejnym krokiem weszła do domu.

W środku było cicho i pusto. W palenisku można było rozpalić dopiero jedenaście dni po... po kremacji. Dewy stała i patrzyła na przyciemnione sadzą ściany.

„Dewy kunji. Kwiatuśku! Trzymaj, to gorące otti”. Wysoki, beztroski



śmiej dziecka. Dewi drgnęła, ale w domu nikogo nie było. Tylko duchy przeszłości.

- Opowiedz mi jakąś historię, taji.

388

- Chcesz usłyszeć historię, moje słońce i mój księżycu? No cóż, pomysłmy. .. Ludzie powiadają, że wiele, bardzo wiele lat temu, zanim wybudowano świątynię Kaweri, kiedy potężne leśne drzewa kuliły się jeszcze w uśpionych nasionach, wybuchła wielka wojna. Toczone ją o córkę króla, najpiękniejszą księżniczkę, jaką kiedykolwiek widziano. Tak, mój kwiatuśzku, równie piękną jak ty. Trwała wojna, jakiej nikt z nas nigdy nie zaznał. Gdy dobiegła końca, nasi bohaterowie leżeli bez ruchu na polu bitwy z oczami utkwionymi w niebo, a nasze królowe zniknęły w dymie. Powiadają, że ci nieliczni spośród nas, którzy przeżyli, uciekli, zostawiając za sobą skały i złote piaski splamione grabieżą i padliną. A gdy odeszli, rozległo się nieziemskie westchnienie niczym powiew zimnego wiatru. Przemierzyło całe pole bitwy i omiotło tłące się ruiny fortu, a niebo poszarzało od chmury dymu. Była to długa podróż, wzdłuż rzek, przez równiny i parujące dżungle, wiecznie ocienione płaczącymi chmurami, aż w końcu zatrzymali się zdumieni. Przed ich oczami rozciągała się piękna kraina. Pełna połyskliwej wody i cienistych wzgórz, płynąca owocami, mlekiem i miodem. Stali zachwyceni i nagle ukazała im się dziewczica. „Stójcie”, powiedziała, a jej głos był jak szemranie strumyka. Oznajmiła, że ma na imię Kaweri i że opiekuje się tymi wzgórzami. Nikt nie przejdzie bez jej pozwolenia. Potem wysłuchiwała ich opowieści o straszliwej wojnie i przechyliła głowę, a pukle jej włosów spłynęły niczym woda. „Możecie tu zostać - powiedziała - na tej nierównanej ziemi, ale najpierw musicie mi coś obiecać. Co roku, kiedy ponownie wyłonię się na ten świat z góry Bhagamandala, musicie mnie powitać. Wrzucicie do moich wód kwiaty i kokosy, a w zamian na zawsze oddam wam tę ziemię. Będę płynęła przez wasze osady rzekami pełnymi słodkich ryb i tłustych, czarnych krabów. Będę nawadniała wasze pola, wypełniając je strumykami i kałużami, które ugoszczą wdzięczne białoskrzydłe ptaki z waszej ojczyzny. Będę zbiegać z tych wzgórz tysiędem wodospadów i pilnować, by w lasach zawsze roilo się od zwierzyny”. Nasi przodkowie obiecali pięknej dziewczicy, że uczynią, jak powiedziała. Uśmiechnęła się, a jej uśmiech był jak słońce świecące z głębi strumienia. „Będziecie błogosławioną rasą - powiedziała. - Rasą podobną do perły, rasą dzielnych mężczyzn i honorowych kobiet. Niech na waszych polach zawsze dojrzewa ziarno, niech wasze kwiaty nieustannie kwitną”. Spojrzała na nich. „Dlaczego jesteście tacy smutni?” I wtedy opowiedzieli jej o zmarłych, o tych wszystkich, których zostawili za sobą. Spojrzała na nich czule oczami, które miały barwę ocienionej sadzawki w dżungli. Wskazała palcem niebo i między chmurami błysnęła

389

piorun. „Wasi wirowie będą żyć dalej. W niebie, w wieczornych mgłach, w cieniach za drzewami. Wasi przodkowie - pobłogosławiła - już zawsze będą się wami opiekować”. Jej słowom towarzyszyło długie westchnienie przypominające powiew bryzy. Chmury nad głowami naszych przodków się rozstały i w koronach drzew przemknęły cienie. Liście na drzewach zaszeleściły, choć nie było wiatru, a potem zaszeleściły jeszcze raz i zapadła cisza. Kiedy się odwrócili, dziewczica zniknęła. Nasi przodkowie osiedli

tutaj, w tej krainie połyskliwych wód i otwartego nieba. Ludzie mawiają, że czasami, kiedy rozstępują się chmury i deszcz spada niczym srebro wirowie wychodzą z cieni, by znowu zapuścić pośród nas korzenie. Na zewnątrz nadal dudniły bębny. Dewi stała milcząca jak statua, biel jej sari i skóry zdawała się połyskiwać w słabym świetle, a włosy falowały jej wokół ramion.

Poprzedniego wieczoru do Tygrysich Wzgórz dotarła wiadomość Taji kiepsko się czuła i lekarz powiedział, że zostało jej niewiele czasu. Wstrząśnięta Dewi popędziła do domu Naćimandów. „Gorączka”, oznajmił Ćengappa ze smutkiem w oczach. Uparta gorączka zapuściła w taji korzenie i bardzo ją osłabiła. Uznał, że najlepiej będzie wezwać całą rodzinę.

- Gdzie się podziewałaś, Dewi? - zganiał siostrę. - Pytała o ciebie.

Taji leżała na swoim pościeliu, a koce niemal połknęły jej skurczoną postać.

- Taji? - szepnęła Dewi. - Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze. Wzięła babcię za rękę. Staruszka wydawała się taka krucha, ledwie garstka skóry i kości.

Taji poruszyła się.

- Dewi kunji?

- Ciii - Dewi pogładziła ją po głowie. - Lepiej nic nie mów. Lekarz powiedział, że powinnaś odpoczywać.

- Nie pozostało mi już nic oprócz odpoczynku, kunji... Wody...

Dewi nalała do szklaneczki wody z glinianego naczynia.

- Nie mów tak. Po prostu masz gorączkę i tyle.

Taji pokręciła głową.

- To mój koniec. Czuję to w sercu. - Znowu położyła głowę na poduszkach, ciężko oddychając. - Gdzie... Tak długo nie przychodziłaś  
390

Dewi przygryzła usta.

- Wiem, po prostu...

- Appu. Bezpiecznie wrócił do domu?

Dewi niepewnie pokiwała głową.

-Tak.

Przysłał telegram ze statku: „Przyj. 20, Madras, późn. natychm. Kodagu”. Oczywiście kiedy telegram dotarł do Tygrysich Wzgórz, był już dziewiętnasty. Ledwie starczyło czasu na zamarynowanie kurczaka na pulao, kupienie świeżej ryby na targu i wysłanie służących na poszukiwanie ulubionych grzybów Appu, a on już przybył i stanął w drzwiach.

- Awwaija.

Obiecała sobie, że kiedy Appu wróci, potraktuje go wyniośle i z dystansem. Da mu nauczkę za te wszystkie miesiące milczenia. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na jego twarz, zmęczoną i wycieńczoną podróżą, by zmiękło jej serce. Odrzuciła chochlę, która nadal dymiła od gorącego pulao. Kiedy się pochylił, żeby dotknąć jej stóp, przyciągnęła go do siebie, ujmując jego twarz w dłonie.

- Bałam się, że już nigdy... Dobrze, kunji - dodała. - Dobrze mieć cię tu z powrotem.

Nadal był dziwnie obcy, kiedy dotykał stóp Dewanny. Dopiero gdy z plantacji wrócił Nandzu, po twarzy Appu przemknęły prawdziwe emo-

cje. Jego oczy niespodziewanie wypełniły się łzami i rzucił się starszemu bratu na szyję, zamykając go w niedźwiedzim uścisku.

- Nandżu.

Nandżu niezdarnie poklepał Appu po plecach.

- Wróciłeś. W końcu wróciłeś do domu.

Spał. Spał jak zabity, prawie przez cały dzień. A potem obudził się w środku nocy głodny jak wilk. Dewi też wstała i siedziała naprzeciwko niego przy stole, kiedy jadł. Patrzyła, jak je, jak bez końca napełnia talerz, póki wreszcie nie zaspokoił głodu. Chciał natychmiast wyruszyć do Baby i Dewi się roześmiała.

- Jakiś ty niecierpliwy. Nie, kunji, do ślubu pozostało jeszcze tylko Parę tygodni. Pan młody nie powinien widzieć panny młodej przed ślubem.

Myślała, że będzie się kłócił, ale pokiwał głową.

- Zorganizujmy ślub najszybciej, jak to możliwe - powiedział tylko. Dewi potarła dłonie taji, próbując tchnąć trochę ciepła w sztywne Palce.

- Chciałam przyjechać wcześniej... mniejsza z tym. Jestem tu teraz i nie opuszczę cię, póki nie wstaniesz z tego posłania.

Zbyła Ćengappę, który namawiał siostrę, żeby odpoczęła, bo nazajutrz czeka ich długi dzień.

-Nie.

Usiadła przy posłaniu babci i przecierała jej czoło ściereczkami namoczonymi w wodzie różanej, a godziny mijały i taji nadal rzeziła w łóżku. Od czasu do czasu posapywały psy na podwórzu, ale poza tym panował spokój.

Dewi po cichu targowała się z bogami.

- Piętnaście złotych monet - zaproponowała Iguthappie swamiemu. - Piętnaście monet na świątynię, albo i pięćdziesiąt, nieważne, bylebyś tylko pozwolił mojej taji wyzdrowieć. Dwie świnie - obiecała duchom wirów - każę dla was zabić najtłustsze, największe wieprze w całym Kodagu i tyle kur, ile tylko zechcecie.

- Zawsze pragnęłam tylko twojego szczęścia.

- Słucham? - Dewi usiadła zaskoczona, ocierając sen z oczu. - Mówiłaś coś, taji?

- „Niech jej wszystkie grzechy spadną na moją głowę, Iguthappo swami”, modliłam się. „Obdarz ją szczęściem i tylko szczęściem”. - Taji zaczęła kaszleć. Usta miała tak blade, że wydawały się wręcz niebieskie.

- Odpocznij trochę, taji, proszę cię - powiedziała Dewi drżącym głosem.

- Jak ona się czuje? - Żona Ćengappy cicho weszła do pokoju. - Chcesz, żebym na chwilę cię zastąpiła?

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziała Dewi. Zmusiła się do uśmiechu i spojrzała na bratową. - Odpocznij trochę.

Żona Ćengappy ścisnęła Dewi za ramię i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Dewi odwróciła się w stronę łóżka. Zasnute kataraktą oczy taji wypełniły się łzami.

- Gdybym mogła coś zrobić, gdybym mogła jakoś zmienić przeszłość... . Kiedy pomyślę o tamtym poranku, o twojej twarzy... Myślałam,

że jeśli wszyscy zapomnimy, jeśli nigdy więcej nie będziemy o tym mówić, zaczniesz żyć dalej. Myślałam, że to, co się stało, zostanie pogrzebane. Może postąpiłam niemądrze, ale wtedy takie rozwiązanie wydawało mi się właściwe.

- Cicho, taji - powiedziała Dewi ochryłym głosem. Przycisnęła dłoń babci do swoich ust.

- Wiem, że w głębi serca nadal czujesz wielką złość. Złość z powodu tego, co się stało, złość na mnie, że nie pozwoliłam ci pojechać po Maću. Znowu dostała ataku kaszlu.

- Każde... każde z nas ma swój przydział smutku i szczęścia. Igut-happa swami wydziela jedno i drugie. Przeszłość minęła, kunji. Spoglądaj w przyszłość. Bądź szczęśliwa i uszczęśliwiał innych. Dewanna także cierpi.

Dewi mimo woli się zjeżyła.

- Taji, przestań, nie chcę...

Taji położyła dłoń na policzku wnuczki. Nie potrafiła zapanować nad drżeniem palców.

- Wybacz mu, kunji. Minęło tyle lat... Wybacz mu.

- Mam mu wybaczyć? Wybaczyc mu? Wiesz jak to jest, taji, kiedy się kogoś opłakuje, dzień w dzień, i nie można nawet okazać tego smutku? W oczach całego świata nie mam do Maću żadnego prawa, nikim dla mnie nie był. Tylko ja wiem... - otarła oczy dłońmi. - Minęło wiele lat, to prawda, ale mnie wcale nie jest łatwiej. Ten ciężar robi się coraz większy, ta strata, o której nawet nie mogę mówić. Jak kamień u szyi, którego nie można nigdzie zostawić. A ty mi mówisz, żebym wybaczyła Dewannie?

- On też cierpi. - Taji zamknęła oczy. - Nosisz w sobie smutek. Ale on, twój mąż, również nosi w sobie ciężar.

Głos taji osłabł.

- Mój pączuszk... Tak często ci powtarzałam, że prawdziwe piękno kwiatu tkwi nie w wielkości ani w kolorze płatków, lecz w jego zapachu. Posłuchaj swojej taji. Bądź jak dziki kwiat, który, choć kwitnie niezauważony, nietknięty... oddaje bryzie słodycz. Moje kochane dziecko - szepnęła - moje najdroższe słońce i mój najdroższy księżycu, bądź jak orchidea, która nadaje zapach wiatrowi.

„Tysiąc złotych monet”, rozpaczliwie targowała się Dewi, nawet kiedy mężczyźni z rodziny zdjęli taji z łóżka i położyli na macie na podłodze. Przyniesiono bambusową buteleczkę wody Kaweri z kącika modlitwy. Wlano odrobinę do srebrnego naczynka, a potem włożono do niego kępki trawy garike i listki tulasi. Wlano też odrobinę świętej wody w sflaczałe usta taji, a potem Cengappa i jego żona zaczęli ściszym głosem umawiać tancerzy na pogrzeb.

393

Kiedy cienie na ziemi się skróciły i słońce wpęzło wyżej na niebo, taji w końcu wyślizgnęła się im wszystkim.

Dewi stała teraz sama w słabo oświetlonej kuchni. Zamknęła oczy i oparła się o drzwi, tak udręczona, tak rozdarta smutkiem, że nie potrafiła nawet zapłakać.

Na podwórzu zawiał chłodny wiatr, przecinając mgłę. Kobiety zadrżały i ciaśniej owinęły się szalami. Usta Dewi poruszały się w niemej modlitwie, gdy ze skrajnie wycieńczoną twarzą obserwowała mężczyzn

z rodziny przygotowujących stos. Dewanna pokuśtykał po werandzie, pragnąc stanąć u jej boku. Kiedy się zbliżał, na chwilę podniosła głowę i na moment ich oczy się spotkały, zasnuwane identycznym smutkiem. Delikatnie podniesiono ciało taji i złożono je na marach, a potem mężczyźni z rodziny, jeden po drugim, podchodzili, by podźwignąć nosze na ramię. Nandżu stał z przodu z oczami opuchniętymi od łez. Appu, ponury i zmizerniały, szedł obok brata, ale kiedy się pochylił, żeby podnieść trumnę, Nandżu gwałtownie wyciągnął rękę.

-Nie.

Jedno słowo, wypowiedziane całkiem cicho, lecz w chwili między kolejnymi uderzeniami w bębny, zabrzmiało jak strzelenie z bata.

- Co? - Appu pochylił się i jeszcze raz spróbował podźwignąć nosze. Nandżu znowu wyciągnął rękę.

- Więzy krwi, Appu. Więzy krwi - powiedział oschle. - Taji to moja krew, nie twoja. Znasz tradycję. Tylko krewni mogą dotykać noszy. Appu spojrział na zdumiony, obserwujący ich tłum. Odwrócił się do Nandżu i spróbował się uśmiechnąć, ale mięśnie jego twarzy zastygły zmrożone.

- Nandżu, daj spokój...

- Więzy krwi - powtórzył Nandżu. Zaciśnął usta. - To nie twoje zadanie.

- Była też moją prababcią - powiedział rozgoryczony Appu, ale w jego głosie zabrakło przekonania, jakby sam nie do końca wierzył w prawdziwość swoich słów. - Była moją prababcią tak samo jak i twoją. Szok wyrwał Dewi z odrętwienia. Patrzyła, jak jej dwaj synowie z ogolonymi głowami szykują się do bójki. „Równie urocza jak Baby? - zapytał Nandżu. - Równie ładna jak żona Appu?”. Jej twarz napięła się w gniewie.

394

- Odsuń się, Appu, nie zmuszaj mnie, żebym...

- Żebyś co? Do czego mam cię nie zmuszać? - Appu złapał Nandżu za koszulę i nagle ogarnęła go taka złość, że przestał zważać na żałobników. - Myślisz, że jesteś lepszy ode mnie, co? Ja, przygarnięta sierota to nie to co ty, prawowity dziedzic? Pozwól, że coś ci powiem o twoim prawdziwym pochodzeniu. - Podśluchane wiele lat temu słowa zatańczyły mu na końcu języka, rozgrzane jak węgle.

„Przyjrzyj mu się uważnie - powiedziała Dewi do taji, kiedy rozmawiały w kuchni. - I przypomnij sobie, tak jak ja przypominam sobie za każdym razem, kiedy na niego patrzę, w jaki sposób nasienie jego ojca zakiełkowało w moim łonie”.

Nie rozumiał wtedy, co oznacza to okropne wyznanie i odkrył to dopiero wiele lat później. Appu zachował tę wiedzę dla siebie, chroniąc Nandżu przed druzgocącym ciosem, jakim by dla niego była. Ale teraz... rozwścieczony patrzył na brata i słowa drżały mu w ustach. Po chwili złość nagle przeszła w zakłopotanie. Przecież to Nandżu.

Nandżu.

Po długiej podróży powrotnej z Berlina, po wszystkim, co tam zaszło... Mimo pierwszego, swojskiego widoku Tygryskich Wzgórz, mimo awwaii i appaii, dopiero gdy spojrział na Nandżu, naprawdę do niego dotarło, że wrócił do domu.

A teraz to właśnie Nandżu go obnażał. Appu spojrział na rzędy ga-

piących się twarzy. „Mój ojciec był pogromcą tygrysa! - miał ochotę krzyknąć. - Pogromcą tygrysa! Nie jestem żadną porzuconą sierotą, jestem synem Maćaii Kambejmady, najodważniejszego, najzaciejszego ostatniego pogromcy tygrysa w Kodagu”.

Jego uszy znowu wypełniły się odgłosem uderzanego mięsa. Bach, bach, bach. Dźwiękiem, o którym próbował zapomnieć, odkąd... Stał tam - on, syn pogromcy tygrysa - i patrzył, jak strojnisię są rozcierani na miazgę. Stał obok i nie zrobił nic. Nic. Zrozpaczony Appu rozejrzał się wokół. Oddychał szybko mimo chłodu w powietrzu.

- Nandżu - zainterweniował zasmucony Dewanna. - Co robisz? Appu to twój brat.

- Taji to moja krew, nie jego.

- Nandżu! - głos Dewi ciał jak nóż. - Odjęto ci rozum? - Podeszła do synów z wysoko uniesioną głową, lecz mimo to nadal ledwie sięgała im do piersi. - Skoro masz czelność robić scenę, wszczynać kłótnię z bratem

395  
akurat teraz, w najmniej odpowiednim momencie, to krew czy nie, wolę, żeby moim synem był on, nie ty.

Nandżu się skrzywił, jakby wyciągnęła dłoń i wymierzyła mu policzek. Rozejrzał się i spojrzał na wstrząśnięte twarze: na appaiję, wujów, ciotki, licznych kuzynów i oczywiście na Baby, Baby jasną jak perła.

Wyraz jej twarzy: szok, zniesmaczenie i jeszcze coś, coś nieznośnego... litość, kiedy na niego zerknęła, a potem odwróciła wzrok i spojrzała na Appu. Nandżu otworzył usta, próbował odpowiedzieć matce: „dlaczego mi to robisz, dlaczego ciągle mi to robisz?”, ale słowa uwięzły mu w gardle.

- Ogłuchłeś? Nosze. Ty i Appu, razem...

Nie patrząc ani w lewo, ani w prawo, Nandżu odsunął się od noszy. Obaj synowie zniknęli tuż po pogrzebie. Przez całą drogę do domu zalegało między nimi gęste, nieznanne napięcie.

- Muszę się napić - cierpko oznajmił Appu Tukrze, kiedy dotarli do Tygrysiich Wzgórz. - Powiedz im, że pojechałem do klubu.

Dewi i Dewanna zostali z rodziną kilka godzin dłużej, a potem także wrócili. Dewanna spojrzał na żonę zatroskanym wzrokiem, kiedy w milczeniu siedziała w austinie. Szyby w oknach samochodu były opuszczone. Zazwyczaj nie znosiła nawet najmniejszego podmuchu powietrza podczas jazdy - narzekała, że rozwiewa jej włosy na tuzin stron. Dzisiaj jednak, kiedy kierowca się pochylił, żeby podnieść szyby, uniosła dłoń.

- Nie - powiedziała cicho.

Rześka bryza przelewała się przez wnętrze samochodu, niosąc obietnicę wczesnej zimy, a włosy smagały twarz Dewi.

- Awwaija.

Nandżu czekał na nich na portyku.

- Nandżu... - zaczął zaniepokojony Dewanna.

- Awwaija - powtórzył Nandżu, przerywając Dewannie, a kierowca skoczył, żeby otworzyć drzwi samochodu.

- Awwaija - powiedział po raz trzeci i Dewi w końcu go usłyszała. - Obraziłaś mnie. Mówiłaś do mnie przy wszystkich, jakbym był sługą. Dewi spojrzała na niego ze znużeniem, a potem pokręciła głową i weszła do domu.

- Nie waż się odchodzić. - Jego słowa były jak kule, które odbiły

się rykoszetem od korytarza i zatrzymały Dewi w pół kroku. - Jestem  
396

twoim synem, awwaija. Twoim synem. Twoją krwią. To się dla ciebie  
nie liczy?

- Nie teraz, Nandżu - powiedziała zmęczona.

Załamiał mu się głos.

- Wiem, że zawsze bardziej kochałaś Appu, nawet kiedy byliśmy  
dziećmi. Leżałem w łóżku, ale wcale nie spałem. Wiedziałaś o tym? Uda-  
wałem, że śpię i patrzyłem, jak wchodzisz do naszego pokoju i stajesz  
obok łóżka. Zawsze po stronie Appu. Stałaś i patrzyłaś, jak śpi. A co ze  
mną, awwaija? Co ze mną?

- Nandżu, proszę. Cała ta scena...

- Ta scena? Zawsze, za każdym razem, najpierw myślisz o Appu. To  
ja jestem twoim synem. Ja.

- Obaj jesteście moimi synami, na równi - cierpko odpowiedziała  
Dewi. - Appu to twój brat, zapomniałaś?

- Nandżu, monae, co to wszystko ma znaczyć, co w ciebie wstąpiło? -  
zapytał Dewanna błagalnym tonem. - Uspokój się. Ledwie zdążyliśmy  
pożegnać taji, to naprawdę nieodpowiedni moment.

Nandżu odwrócił się do ojca i z jego ust wylał się potok słów.

- To nieodpowiedni moment, zawsze jest nieodpowiedni moment.

Cicho, Nandżu, sza, awwaiję boli głowa. Cicho, Nandżu, awwaija jest  
zajęta. A ty, appaija, co z tobą? Dla ciebie też nie ma czasu, żaden z nas  
nigdy jej nie obchodził, nie rozumiesz? Ani ty, ani ja, nigdy, bez względu  
na to, jak bardzo się staraliśmy. Dlaczego po prostu siedzisz i na to nie  
reagujesz?

Dewi poczuła, że coś w niej pęka.

- Tak, Dewanno, może odpowiesz naszemu synowi? - syknęła. - Wy-  
tłumacz mu, dlaczego to znosisz, dlaczego nie reagujesz. Powiedz mu,  
jak i dlaczego wzięliśmy ślub. Czemu tego nie zrobisz? - Gwałtownie  
odwróciła się do Nandżu. - Chcesz wiedzieć, czym dla mnie jesteś,  
Nandżappo? Jesteś przekleństwem. I codziennie, kiedy na ciebie patrzę,  
przypominam sobie o wszystkim, co straciłam. - Te słowa wylały się  
jak trucizna z jej ust, zaognionych od smutku. - Zawsze, kiedy na ciebie  
patrzę, przypomina mi się, jak mogło być. Przekleństwem i karą, oto,  
czym dla mnie jesteś.

Wszyscy troje stali wstrząśnięci, na chwilę zastygli po tym nagłym  
wybuchu. Gdy jednak do Dewi dotarło, co właśnie powiedziała, wyciąg-  
nęła do syna rękę.

- Nandżu - szepnęła.

397

Wpatrywał się w nią z ziemistą twarzą. Ukryte znaczenie matczy-  
nych słów przesuwalo się i wirowało mu na skórze. „Powiedz mu, jak  
i dlaczego wzięliśmy ślub”. Odwrócił się w stronę Dewanny, jakby szukał  
u niego wsparcia. Spojrzał na ojca, umiłowanego, ukochanego, który  
z pewnością nie miał nic na sumieniu, i zobaczył w jego oczach ból,  
poczucie winy.

- Kunji - prosiła Dewi - nie chciałam...

Twarz Nandżu wykrzywiła się. Gwałtownie wyciągnął rękę, jakby nie  
chciał, żeby matka do niego podeszła, i wbiegł po schodach.

Dewi wycofała się do swojego pokoju. To, co powiedziała, te słowa... Usiadła na skraju łóżka i drżącą dłonią sięgnęła po słoiczek z kremem. Obracała go w palcach, ale światło było przytłumione i gwiazdki na szkle wydawały się zmatowiały i nijakie. Słoiczek wyślizgnął jej się z rąk i potoczył po podłodze.

Wtedy w końcu zaczęła płakać. Nad wszystkim, co się stało, nad wszystkim, co straciła, nad taji - „taji, nie opuszczaj mnie, jeszcze ty, nie odchodź”. Podkurczyła nogi i zwinęła się w mały, osamotniony kłębek pod wełnianymi kocami. Po niebie płynęły chmury, gęste i bezkształtne, zaczął padać lekki deszczyk.

Wyraźnie wyrażony z równowagi Dewanna próbował uspokoić Nandzu.

- Monae, proszę, wszyscy jesteśmy przygnębieni, właśnie straciliśmy taji, twoja matka nie myśli trzeźwo. - Nandzu nie potrafił nawet spojrzeć na ojca.

- Nigdy mnie nie chciała.

- Ona cię kocha. Zawsze cię kochała. Jesteś jej synem.

Nandzu pokręcił głową, dzielnie próbując powstrzymać łzy.

- Muszę wyjechać. Muszę.

- Dokąd? Monae, proszę...

- Nie wiem. Nieważne. Nie mogę tutaj zostać.

Wyjechał tego samego popołudnia. Kiedy się pochylał, by dotknąć stóp ojca, miał bladą, zmizerniałą twarz. Dewanna wcisnął mu coś do ręki.

- Skoro nie chcesz zmienić zdania - powiedział z rozpaczą w głosie - przynajmniej weź to. - Był to stary srebrny amulet. - Kiedyś należał do twojej matki, nosiła go jako dziecko. Dała mi go wiele lat temu. - Amulet leciutko połyskiwał na dłoni, światło i cień zbierały się na wyblakłych słowach modlitwy rozciągniętych na jego powierzchni. - Nie było dnia, 398

żebym nie miał go przy sobie. Weź go - powiedział drżącym głosem - jako symbol naszego błogosławieństwa.

Przez chwilę Nandzu wyglądał tak, jakby miał odmówić, ale potem w milczeniu włożył amulet do kieszeni. Następnie wyszedł, zanurzając się w przelotny deszcz. Drzewa wzdychały, kiedy szedł podjazdem, jakby żegnały ukochanego syna, cichszego brata, który zawsze kochał je najmocniej. Gdzieś na plantacji zaczął śpiewać ptak i pośród kropel deszczu uniosła się jego melodia.

Kiedy Appu wrócił z klubu i usłyszał, co się stało, zacisnął usta. Bez słowa zawrócił i pojechał za Nandzu. Znalazł go w Majsurze.

- Skończyłem z Tygrysimi Wzgórzami - cicho powiedział Nandzu. - Powinieneś wracać.

- Skończyłeś z Tygrysimi Wzgórzami? Nie zachowuj się jak głab.

Dobrze wiesz, że kto jak kto, ale ty nigdy nie skończysz z tą plantacją. Właściwie dokąd zamierzasz pojechać?

- Do Bangaluru. Do Bombaju. Tamtejsze uniwersytety... mniejsza z tym.

- Jesteś przygnębiony. Jak my wszyscy - Appu urwał, próbując znaleźć odpowiednie słowa. Nadal był urażony tym, co Nandzu zrobił podczas pogrzebu. - Wracaj do domu.



Nandżu nie odpowiedział. Kiedy odwracał głowę, czuł ucisk w gardle. Appu pokręcił głową.

- W takim razie rób, jak chcesz. Wiem, że niedługo wrócisz. - Zmusił się do uśmiechu. - Skoro jednak wyruszasz w tę doniosłą podróż ku nieznanym brzegom, udzielę ci mądrej rady. - Pogroził bratu palcem i zaczął recytować:

Mój synu, Zabrołaka się strzeż,  
Co szponem drze, w paszcz chapal  
I dziubdziuba się bój! Zgroźliwego też  
Unikaj Bandrochłapa!\*

\* L. Carroll, Alicja w Krainie Czarów i po drugiej stronie lustra, tłum. R. Stiller, Warszawa 1986, s. 123.

399

Nandżu próbował się uśmiechnąć.

- Tak. Bandrochłap. Podobno pełno ich w Bombaju.

Stali i patrzyli na siebie. Appu dał bratu lekkiego kuksańca w ramię.

- Daj spokój, stary. To wszystko jest...

Nandżu się odwrócił.

- Powinieneś już jechać.

Kiedy Appu wsiadał do samochodu, Nandżu zawołał za nim:

- Dbaj o nią, słyszysz?! O Baby. Dbaj o nią!

Appu zmrużył oczy. Bez słowa zapuścił silnik i ruszył z powrotem do Tygrysich Wzgórz.

Upłynął prawie miesiąc, zanim otrzymali jakieś wieści o Nandżu. Napisał do Dewanny krótki, oficjalny list. Starał się o posadę nauczyciela w kolegium rolniczym w Bombaju. Decyzję miał poznać dopiero za kilka tygodni, ale był pełen nadziei. Dla całej rodziny stało się jasne, że Nandżu nie zamierza szybko wrócić do domu.

Dewi zrobiła to, co potrafiła najlepiej: wysoko uniosła głowę i stawiając stopę za stopą, maszerowała dalej. Zajął się przygotowaniem zaślubin Appu i Baby. Choć tradycja nakazywała odczekać rok po śmierci w rodzinie przed organizowaniem jakichkolwiek uroczystości, taji kazała im obiecać, że nie przełożą ślubu.

Dewi przyniosła do domu biżuterię z sejfów w Madikeri. Rozłożyła aksamitne pudełeczka na narzucie łóżka. Ich zawartość błyszczała w słońcu. Po dwie sztuki każdego świecidełka, jedna dla Baby, a druga dla przyszłej żony Nandżu. Markotnie pogładziła złotą monetę. Jak można tak traktować własną matkę? Czyżby ten chłopak oczekiwał przeprosin? Zgoda, powiedziała kilka ostrych słów pod wpływem chwili, ale przecież próbowała mu potem wyjaśnić, że nie miała nic złego na myśli. Czując narastający ucisk w gardle, zamknęła pudełeczka ze złotem.

W dniu ślubu niebo o poranku było krystalicznie czyste, a oprawa uroczystości tak wykwintna, że ustanowiła zupełnie nowy standard, na tle którego miano oceniać wszystkie śluby w Kodagu przez następne dziesięciolecie. Komentowano nieobecność Nandżu, jakżeby inaczej, ale dla odmiany machina plotek działała na korzyść Dewy. Biedna kobieta. Spójrzcie, co narobił ten jej starszy syn, zabrał się i uciekł do miasta.

400

Tacy cisi jak on zawsze coś knują. Podobno mieszka w Bombaju. Zaczął pracować jako nauczyciel. A może studiuje? Nie byli pewni...

Dewi przyjmowała wyrazy współczucia ze stoickim spokojem. Maskując smutek w swoich oczach, zbywała pytania paplaniem o pogodzie i o spodziewanej jakości tegorocznych plonów kawy. Nikt nie zauważył, jak bardzo jest spięta, ani że od czasu do czasu zerka w stronę podjazdu, jakby bezskutecznie próbowała przywołać nieobecnego syna.

W końcu plotkarze skupili się na ślubie. „Panna młoda jest boska!”, wołali. Podobna do swojej ciotki, te same kości policzkowe i ta sama delikatna skóra, która wygląda, jakby mogła zsinieć pod najlżejszym dotykiem. I jakie powitanie zgotowała jej rodzina pana młodego! Dwa komplety biżuterii ze wszystkich możliwych klejnotów - diamentów, szafirów, rubinów i szmaragdów - sznury pereł, naszyjniki-obroża i zwi-sające kolczyki, jedwabie, pościele i złote monety, których starczyłoby na wszystkie dni jej życia.

Baby skromnie spuszczała wzrok, kiedy kobiety unosiły jej welon, by zachwycić się urodą oblubienicy. Była całkowicie, cudownie szczęśliwa - mogłaby przysiąc, że jej stopy unoszą się kilka cali nad ziemią.

- Czeka cię długa noc - figlarnie szeptały przyjaciółki, kiedy odpro-wadzały ją do samochodu mającego zawieźć nowożeńców do Tygryskich Wzgórz. - Pan młody wydaje się silny jak byk, nie pozwoli ci pospać.

- Zatem do widzenia! - zawołał Appu przez okno i samochód zaczął wyjeżdżać z podwórza. Baby poczuła nagłe ukłucie bólu i odwróciwszy głowę, patrzyła, jak jej rodzina kurczy się do wielkości lalek i w końcu znika w oddali. Ze łzami w oczach zaczęła dyskretnie szukać chusteczki, którą matka włożyła jej do kieszonki bluzki.

- Dobrze się czujesz?

Zerkając nieśmiało na siedzącego z przodu wuja, który został wyzna-czony do pełnienia funkcji przyzwoitki, pokiwała głową.

- Dzielna dziewczyna - powiedział Appu i znowu rozparł się na sie-dzeniu.

Baby rozpaczliwie pragnęła coś powiedzieć, ale słowa wydawały się lepkie i poplątane. Pod wpływem nagłego impulsu, uniosła welon. Zwykle, dyskretny szelest jedwabiu obszytego cekinami, lecz gdy tkanina opadła, lekko spoczęła na jego palcach. Dłoń Baby, ukryta, przesunęła się pod jedwabiem i wstrząśnięta własną śmiałością dziewczyna położyła palce na palcach męża.

401

Wiedziała, nawet na niego nie patrząc, że Appu się uśmiecha. Jechali tak już do końca, nie odzywając się do siebie, ale z dłońmi ciasno sple-cionymi pod fałdami jej welonu.

Dewanna w oczekiwaniu na świeżo upieczoną synową zajął się deko-rowaniem Tygryskich Wzgórz i ożłocił ściany dziesiątkami lampek oliw-nych. Lamy sztormowe kołysały się na konarach figowca, a płomień tysięcy świec tańczyły wzdłuż alejek ogrodu i pod ścianami, topiąc dom i podwórze w świetle.

Baby jak urzeczona patrzyła przez okno austina, kiedy podjeżdżali do domu. Robotnicy zatrudnieni na plantacji zebrali się, by zobaczyć pannę młodą. Uśmiechnęła się za welonem, słysząc owacje, kiedy samochód minął robotników na podjeździe. Na portyku i werandzie roiło się od gości. Kierowca się zatrzymał i Appu wysiadł z samochodu, wyciągając szarmancko dłoń do panny młodej. Baby nieśmiało wysiadła i dotknęła

stóp rozpromienionej Dewi.

- Swami, kapad, kunji. - Teściowa pocałowała Baby w czoło. - Obyś żyła długo i obyś umarła jako mężatka.

Zaprowadzono pannę młodą do studni, żeby zaczerpnęła pierwsze wiadro wody. Potem, wyciągając prawą nogę raz, dwa, trzy razy nad progiem, Baby weszła do swojego nowego domu. Dewi się uśmiechnęła. - Jutro będzie wystarczająco dużo czasu, by ci pokazać resztę, ale teraz chodź, zobaczysz pokój modlitwy, a potem zaprowadzimy cię do twojej sypialni.

Posadzili Baby na ogromnym łożu z czterema kolumnami, przykrytym jedwabiem i brokatem. Po kolejnych aluzjach i chichotach, kobiety zostawiły ją samą, by czekała na męża. Baby cierpliwie siedziała na łóżku, mając wrażenie, że mija godzina za godziną, lecz odgłosy zabawy na dole wcale nie cichły. Od czasu do czasu ktoś do niej zaglądał.

- Cierpliwości, cierpliwości - mówili z szerokim uśmiechem. - Twój mąż zajmuje się gośćmi. Równie dobrze możesz trochę odpocząć, póki jest okazja.

Zajrzał do niej Dewanna, a zaraz potem, kiedy wyszedł, Dewi zapukała i weszła do środka.

- Kunji? - uśmiechnęła się i poprawiła welon wokół twarzy Baby. -

Wyglądasz dziś przepięknie. Nie zliczę, ile osób gratulowało mi tak wyjątkowej synowej.

- Wszyscy mówią, że jestem do ciebie podobna - nieśmiało powie działa Baby.

402

Dewi roześmiała się z zadowoleniem.

- Być może, być może, ale ja już jakiś czas temu straciłam rumieniec młodości. - Usiadła na łóżku obok Baby i przechyliwszy głowę, nasłuchiwała hałaśliwych odgłosów weselnej zabawy. - Appu i jego przyjaciele. Cóż za niesforne towarzystwo... - Poklepała Baby po policzku. - Ale teraz, kiedy zamieszkałaś w tym domu, mój syn na pewno zmieni ten swój styl życia. Czekam na wnuka, słyszysz?

Baby spłonęła rumieńcem, a Dewi się uśmiechnęła.

- Niech cię bóg błogosławi, kunji - powtórzyła. - Niech bóg pobłogosławi was oboje wielkim szczęściem. - Spochmurniała. - Szkoda tylko... Szkoda tylko, że nie ma tu całej rodziny. - Tak bardzo liczyła na to, że Nandżu przyjedzie na ślub. - Szkoda, że twoja prababka już nie żyje - dodała - i nie może pobłogosławić tego związku.

- Nie smuć się, mawi - cicho powiedziała Baby. - Taji jest tu razem z nami.

- Tak, kunji, wiem - Dewi wyprostowała się i próbowała się uśmiechnąć. - Oni wszyscy tu są. Taji, moi rodzice, ojciec Appu. Patrzą na nas wszyscy przodkowie.

Baby pokiwała głową, pragnąc ukoić ból teściowej.

- Tak, to prawda. Zwłaszcza taji. Widziałam ją dzisiaj, mawi - poważnie spojrzała na Dewi. - Stała tuż za gośćmi, kiedy wyruszyliśmy do Tygrysich Wzgórz. Taji. Stała i machała do mnie na pożegnanie.

Dewi wyglądała na zaskoczoną. Dziewczyna wpatrywała się w nią wielkimi oczami, czystym i klarownym wzrokiem. W piersi Dewi zaczęło kiełkować złe przecucie.

- Zrobiło się bardzo późno - powiedziała nagle, wstając. Znowu poklepała Baby po policzku. - Postaraj się trochę odpocząć. Z tego, co słyszę, upłynie jeszcze dobrych parę godzin, zanim przyjdzie do ciebie mąż. Kiedy Dewi wyszła, Baby przygryzła usta. Matka ją ostrzegała, żeby nie mówiła o duchach ani o zmarłych. „Ludzie nie rozumieją”, mówiła. Ale Baby próbowała jedynie pomóc. Wiedziała, jak bardzo nagły wyjazd Nandżu anny zmartwił Dewi... Poza tym naprawdę widziała taji. Zakłopotana Baby wstała z łóżka i pośród szelestu jedwabiu podeszła do okna. Światło wylewało się z salonu, rzucając na trawnik złociste plamy. Słyszała brzęk kieliszków. Śmiech, mnóstwo śmiechu, piskliwy głos jakiejś kobiety. Baby zmarszczyła brwi. Kiedy Appu przyjdzie na górę? Przepęłniła ją nagła, gwałtowna tęsknota. Otworzyła dłonie i zbliżyła je do światła. Kropki ślubnej henny barwiły jej skórę głębokim, nasyconym

403  
brązem. Obracała dłonie na wszystkie strony, oglądała je i w końcu na jej ustach pojawił się uśmiech. Mawiano, że im bardziej nasycona barwa, tym silniejsza będzie miłość męża do żony.

Kiedy Appu w końcu przyszedł, była już prawie czwarta nad ranem.

- Baby? - powiedział cicho. - Gdzie... a, tutaj jesteś, moja urocza żono. Co robisz przy oknie?

Spojrzała na niego z wyrzutem w obrysowanych proszkiem antymonowym oczach.

- Daj spokój. Cóż to? Przecież widziałas moich przyjaciół. Przyjechali z Madrasu, z Bangaluru, kilkoro aż z Bombaju. Nie mogłem tak po prostu ich zostawić i zniknąć, prawda? - Uśmiechnął się i uniósł jej welon, odsłaniając twarz. - Aaj, żono. Tam na dole myślałem tylko o tobie.

Znowu na niego spojrzała tymi swoimi czarnymi jak smoła oczami.

- Żono - powtórzył cicho, delektując się smakiem tego słowa.

Gdy pierwsze promienie dnia z rzadka przenikały przez koronkowe zasłony, Baby głośno się roześmiała. Appu zakrył jej usta dłonią.

- Ciii. - Szeroko się uśmiechnął i w jego policzku błysnął dołeczek. - Chcesz obudzić cały dom?

Pokręciła głową i jej oczy zatańczyły nad jego dłonią, ale gdy tylko cofnął rękę, znowu się roześmiała.

Pogładziła go po plecach, po ich wilgotnym cieple. Leżeli tak, splecieni: kończyny, tułowia i skóra. Trudno było powiedzieć, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna jej ciało. Jego zapach, jak mech w deszczu. Odwróciła głowę i wtuliwszy twarz w jego szyję, wciągnęła tę woń. „Przyjaciółki miały całkowitą rację”, pomyślała szczęśliwa. Czekają ją bardzo mało snu.

- Jeszcze raz - szepnęła, poruszając się pod nim powoli. - Jeszcze raz.

1930

Zachwycona Baby wpatrywała się w pierścionki na palcach u stóp, które założyła jako panna młoda. Ich srebro połyskiwało w słońcu, misterne zawijasy ogłaszały całemu światu, że teraz Baby jest czyjąś żoną.

- Znowu je podziwiasz, kunji? - zapytał rozbawiony Dewanna.

Baby się zarumieniła i z zakłopotaniem pokręciła głową. Dewanna zachichotał i odwrócił się z powrotem ku rabatom. Zerknęła na niego ukradkiem, a potem dotknęła palcem czarnych koralików wokół szyi.

Żona.

Zrywali z Dewanną kwiaty do domu. Stało się to ich cotygodniowym rytuałem. Ogród był w pełnym rozkwicie: bogactwo kolorów w każdym zakątku, paleta artysty odwrócona na ziemi. Baby westchnęła z zadowoleniem.

Liście drzew radości zaszeleściły trącane bryzą i Baby zmarszczyła brwi, przypomniawszy sobie nagle o Nandżu. Trzy dni temu były jego urodziny. Dewi zerwała idealny kwiat sampige i położyła go w kąciuku modlitwy.

- Trzydzieści jeden lat - powiedziała przy śniadaniu, wpatrując się w talerz. - Dzisiaj Nandżu skończył trzydzieści jeden lat. - Ani Appu, ani Dewanna nie odpowiedzieli.

Wisiał nad nimi smutek po wyjeździe Nandżu.

- Dlaczego po prostu nie pojedziesz do Bombaju i nie sprowadzisz go z powrotem? - zapytała kiedyś Baby męża.

405

- Bo moja matka potrafi być uparta jak osioł - odpowiedział Appu - i wygląda na to, że przynajmniej tę cechę odziedziczył po niej Nandżu. Wróci, ale dopiero, kiedy będzie gotów.

Baby znowu zerknęła na Dewannę. Bardzo polubiła swojego cichego, uprzejmego teścia i martwił ją smutek, który czasami zdawał się go otaczać jak całun. Nandżu wróci, w głębi serca wiedziała, że wkrótce na dobre wróci do domu. I wtedy wszyscy będą szczęśliwi.

- Baby! - głos Appu rozległ się nad trawnikiem, wrywając ją z zadumy. - Baby, spójrz, która godzina, musimy jechać!

- Daj - czule zaproponował Dewanna - zajmę się twoim koszykiem.

Lepiej się pospiesz. Wiesz, jak poważnie traktuje te swoje polowania. Krzyknęła do Appu, obiecując, że będzie gotowa za dwie minuty, nie dłużej, i pospieszyła w stronę domu, migocząc po drodze pierścionkami na palcach stóp.

Kiedy wrócili nieco później, przykurzeni i usmoleni, z sarną i dwoma bażantami wrzuconymi na tył dżipa, Appu zwijał się ze śmiechu.

- Żałujcie, że jej nie widzieliście! Jaka szkoda, że jej nie widzieliście - opowiadał Dewi i Dewannie. - Ledwie ustrzeliłem sarnę, a nasza dama już do niej pędziła. „Jestem bal battekarą!”, krzyczała, dając porządny wycisk innym kobietom. Gdyby nie moja kula, już same jej wrzaski mogłyby powalić biedne zwierzę!

- To nie było tak - zaprotestowała Baby. - Po prostu...

- Gnałaś jak błyskawica, zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć!

- Oj, cicho, przestań ją gnębić - powiedziała Dewi, zraszając ich oboje teli-nir, żeby odpędzić złe duchy. - Baby ma to we krwi - oświadczyła z dumą. - Kiedy ja byłam dzieckiem, zawsze zostawałam bal battekarą na polowaniach ojca.

W końcu wróciła piękna dziewczyna, witają cała bliska rodzina.

Na szyi dziewczyny rubiny lśniące... a na jej kostkach złoto błyszczące...

Przyszła do nas w deszczu, cała mokrusieńka, przyszła do nas wreszcie ta dziewczyna piękna.

- Co? - zapytała Dewannę zaskoczona Dewi. - Co tam mamrociesz w kącie?

- Baby - cicho powiedział Dewanna do swojej synowej, klepiąc ją po

policzku - czasami bardzo mi przypominasz kogoś, kogo kiedyś znałem-  
406

- Dewanno! - zawołała podekscytowana Dewi kilka dni później, pędząc do domu. - List, jest list! - W ciągu siedmiomiesięcznej nieobecności Nandżu od czasu do czasu przychodził od niego list z garścią informacji z Bombaju. Dewi rzuciła się na list, gdy tylko dostrzegła go pośród porannej korespondencji. - List - powtórzyła, kiedy w końcu znalazła męża. - Szybko, przeczytaj mi go.

Stała bez ruchu, kiedy Dewanna głośno czytał, a gdy skończył, jej twarz zasnęła się rozczarowaniem. Jak zwykle nie było żadnej wzmianki o odwiedzinach, żadnego gestu pojednania.

- To wszystko? - zdziwiła się. - Jesteś pewien, że nie ma nic więcej? - Nie czekając na odpowiedź, wzięła list od Dewanny i uniosła go pod światło, odwracając do przodu i do tyłu, tam i z powrotem, jakby szukała jakiejś wskazówki, jakiejś zapowiedzi powrotu Nandżu do domu, którą mógł przeoczyć Dewanna.

- Nieważne - powiedziała w końcu, czując ucisk w gardle. - Nieważne. Nigdy nie był zbyt wylewny.

Powoli ruszyła korytarzem. Miała nadzieję, że w tym liście w końcu... W jadalni rozległ się śmiech. Baby układała ogromne naręczce kwiatów, a Appu, oparty o ścianę, przyglądał się z rękami w kieszeniach. „Przynajmniej Baby - pomyślała ze smutkiem Dewi - wniosła do Tygrysih Wzgórz trochę śmiechu”.

Baby coś mruknęła i Appu znowu się roześmiał. Dewi gwałtownie zawróciła, ogarnięta rozpaczliwym pragnieniem odrobiny ciszy. Poszła do pokoju Nandżu. Dawniej był tam pokój dziecinny. Appu już dawno zajął jeden z większych na pierwszym piętrze, a Nandżu postanowił zostać w starym, w pokoju swojego dzieciństwa. Markotnie patrzyła na malowidło przedstawiające tygrysa, które nadal widniało na ścianie. Kiedy Appu wyjeżdżał do Biddies, przygotowała się na ból związany z jego brakiem. Na matczynej ból spowodowany rozłąką z dzieckiem - przypominający fantomowy ból brakującej kończyny, który przeszywa do głębi.

Z Nandżu było inaczej. Ból atakował powoli, ale okazał się niespodziewanie uporczywy. Jak zdeformowana noga, tylko odrobinę krótsza od drugiej, lecz nieustannie wleczona z tyłu. Dzisiejszy list... Tak bardzo  
407

liczyła na to, że przynajmniej teraz, po tych wszystkich miesiącach, pojawi się znak zapowiadający rychły powrót Nandżu do domu.

Dewi siedziała na starannie zasłanym łóżku i rozmyślała o synu.

- Dags! - zawołał Timmy Bopanna. - Na kogo stawiasz?

- Chodzi ci o puchar Agi Chana? - Appu podszedł do stolika bukmachera z Baby u boku.

Zimą 1929 roku, prawie rok po ślubie Appu i Baby, gazety trąbiły o wyzwaniu rzuconym przez Agę Chana. Mówili o tym wszyscy Indusi: Aga Chan ogłosił, że pierwszy indyjski pilot, który odbędzie samotny lot z Anglii do Indii, otrzyma nagrodę w wysokości pięciuset funtów. Podróż mogła się rozpocząć zarówno w Anglii, jak i w Indiach, ale musiała zostać ukończona w ciągu sześciu tygodni od startu. Konkurs miał trwać rok,

poczynając od stycznia 1930 roku. Zgłosili się trzej śmiałkowie: Jehangir Tata, lotnik amator, potomek jednej z najbogatszych rodzin z Bombaju, Manmohan Singh, absolwent Bristolu, i Aspy Engineer, następny kandydat z Bombaju.

A w klubie Madikeri z entuzjazmem przyjmowano zakłady, dając największe szanse sikhowi.

- Musi wygrać Manmohan, jest najbardziej doświadczony z nich wszystkich.

Appu pokręcił głową.

- Postawiłbym raczej na Jehangira. Spotkałem go raz na kolacji w Madrasie. Imponujący facet. Jeśli ktokolwiek mógłby to zrobić, to tylko on.

- Daj spokój, na pewno nie! Wygra Manmohan Singh. Jest najbardziej pakka, ma największe doświadczenie w lataniu...

Appu szeroko się uśmiechnął, pykając krótkie cygaro.

- Zdam się na moją uroczą żonę - oznajmił. - Kochanie? Na kogo powinienem postawić?

Baby się zarumieniała, kiedy skupiło się na niej zainteresowanie grupy, ale w głębi serca poczuła się zachwycona, że mąż wyróżnił ją w towarzystwie.

- Chyba... - spojrzała na ustawione na stoliku zdjęcia trzech śmiałków, wycięte z gazety i starannie zatknięte za menu - na niego - wskazała z uśmiechem.

408

- Na Aspyego?! Baby, chłopak nie ma jeszcze osiemnastu lat! - Widząc, jak posmutniała po tych słowach, Appu szarmancko się przed nią uklonił. - Niech będzie - oznajmił zgromadzonym. - Skoro moja żona wybiera Aspyego Engineera (szczęściarz z niego, że tak szybko zdobył jej względy), proszę bardzo! Stawiam dwieście, że wygra Aspy. Twarz Baby rozjaśniła się.

Trzej śmiałkowie wystartowali wiosną 1930 roku. Manmohan wyruszył z Croydon, dwaj pozostali z Indii. Media relacjonowały każdy odcinek ich lotu, który następnie analizowano w klubie.

- Same jednosilnikowce.

- DH-60 Moth bez radiowego systemu nawigacji.

- No, Timmy - zawołał uśmiechnięty Appu - ten twój Manmohan nie wygląda już na takiego bystrzaka w swojej Miss India?

Sikh nazwał swój samolot Miss India. Niestety, po wystartowaniu z wybrzeży Anglii musiał dwukrotnie zawracać i zaczynać od nowa. Gazety zauważyły, że dwuznaczność angielskiej nazwy jego maszyny okazała się bardzo trafna\*. Miss India faktycznie nie mogła trafić do Indii.

Za trzecim podejściem Manmohan Singh zaczął robić miarowe postępy. Leciał na wschód przez Lympe, Paryż, Rzym i Gazę, a Jehangir Tata i młody Aspy Engineer wściekle parli w przeciwną stronę. Singh wylądował na Drigh Road w Karaczi 12 maja 1930 roku. „Zwycięstwo! - trąbiły gazety. - Sikh zwyciężył!”. Aspy, deptając mu po piętach, wylądował w Anglii następnego dnia rano.

Więść o zwycięstwie Singha okazała się jednak przedwczesna. Organizatorzy odkryli, że awaryjne lądowanie Miss India na bagnach we

Francji spowodowało jednodniowe opóźnienie. Lot trwał sześć tygodni i jeden dzień. W końcu to Aspy Engineer, młody outsider i faworyt Baby, został ogłoszony zwycięzcą.

- A nie mówiłem! - zawołał Appu w klubie, zgarniając pieniądze. -  
Moja żona wygrała!

Dla uczczenia zwycięstwa kupił Baby diamentową broszkę w kształcie słońca i bransoletkę na ramię do kompletu. Kosztowały znacznie więcej niż zgarnął, ale przecież nie to było najważniejsze.

Baby zaszła w ciążę. A przynajmniej tak jej się wydawało, dwa razy w ciągu zaledwie pięciu miesięcy. Krzywiła się w płaczu, kiedy Miss India (ang.) znaczy także omijać Indie, nie trafiać do nich.

409

pojawiało się miesięczne krwawienie, okrutnie spóźnione o kilka dni, wystarczająco długo, by rozbudzić jej nadzieje.

- Nie przejmuj się - pocieszała Dewi płaczącą Baby. - Nie martw się, kunji, jesteście jeszcze bardzo młodzi, macie przed sobą mnóstwo czasu.

Appu usiadł obok Baby na łóżku i wziął ją w ramiona. Pocałował ją w czubek głowy.

- Aaj, moja urocza. Przestań płakać, no już. Może wyrecytuję ci wiersz?

Młoda żona z Bombaju, to nie tajemnica - zaczął z powagą,  
urodziła trzech synów: Cyca, Bica i Kica.

Miło było ich rodzić, ale karmić już gorzej,  
bo zabrakło cyca dla Kica!

Baby milczała, zastanawiając się nad jego słowami, a potem, wbrew sobie, zachichotała. Zaczęła okładać męża pięściami i oboje parsknęli śmiechem.

Listy od Nandżu nadal przychodziły sporadycznie - coraz bardziej chaotyczne, zarówno pod względem częstotliwości, jak i treści. Raz był to ledwie jeden akapit w całości poświęcony dźwiękom morza, odbijaniu się fal szarpących wybrzeża w Bombaju. Innym razem Nandżu przejmował się brakiem nocy. „Tutaj zawsze świecą światła - napisał do Dewanny. - Nie sposób odpocząć”. Nigdy nie wspominał o powrocie do domu.

Rok później, kiedy Appu obchodził dwudzieste siódme urodziny, Dewi złożyła w świątyni Iguthappy ofiarę za troje swoich dzieci: za Appu, Baby i Nandżu. Appu usiadł na jednej olbrzymiej szali wagi i wziął zarumienioną Baby na kolana, a kapłan władował na drugą szalę odpowiednią liczbę worków z surowym ryżem. Dewi złożyła dłonie w modlitwie, obserwując dwie szale, które osiągały idealną równowagę.

- Iguthappo swami, chroń moje dzieci.

Ofiarowali ryż świątyni, a potem Dewi dołożyła kapłanowi jeszcze sto rupii.

- Proszę o modlitwę za moich synów - powiedziała. - Za obu... Niech obaj będą w domu.

410

W drodze powrotnej do Tygryśkich Wzgórz siedziała zamyślona i prawie nie zauważała wertepów, na których podskakiwał samochód. Appu, który jechał z przodu, zwolnił i skręcił na pobocze, dając im znak, żeby się zatrzymali. Kiedy Dewi opuściła szybę, wycelował palec w lewą stronę.



- Wioska Kambejmadów, awwaija. Powiedziałem naszej damie, że leży przy tej drodze, a ona nabrała ochoty, aby odwiedzić stary dom moich przodków.

Dewi już miała im zwrócić uwagę, że robi się późno, ale Baby wychyliła się zza Appu z błyskiem w oczach.

- Możemy? - zapytała. - Proszę, tylko na chwilę. Obiecuję, że nie zabawimy długo.

- Och, w porządku - skapitulowała Dewi. - Jedźcie we dwoje. Nie, my nie. Późno już i jesteśmy zmęczeni.

Tamtego wieczoru Dewi usiadła przy toalecie, rozczesując mokre włosy. Nie mogła uwierzyć, że upłynęło tyle czasu, odkąd po raz ostatni odwiedziła dom Kambejmadów. Appu i Dewanna co roku jeździli na obchody święta Puthari, ale ona nie chciała. Dom, jego otoczenie... zbyt wiele wspomnień.

Odłożyła grzebień i wpatrzyła się w swoje odbicie w lustrze. Dotknęła palcem zapadniętej skóry pod oczami. Kiedy to się stało? Zamknęła oczy, ogarnięta nagłym zmęczeniem. Ceremonia w świątyni przygnębiła ją bardziej, niż myślała. Zabrakło tam Nandżu. A potem jeszcze wizyta Appu w domu Kambejmadów. Natychmiast obudziła wspomnienia przeszłości, psując jej już i tak kiepski nastrój.

Przepłynął przed nią obraz przedstawiający żółte kwiaty złotokapu błyszczące na tle bezchmurnego, turkusowego nieba. Przez chwilę siedziała bez ruchu, próbując się pozbierać, a potem smętnie sięgnęła po broszkę z tygrysięgo pazura. Leżała w jej dłoni - gładki, sfatygowany precinek słabo połyskujący w półmroku. Zmęczona przypięła ją do sari, a potem uniosła grzebień i znowu zaczęła rozczesywać włosy.

Usłyszała klakson samochodu. Kiedy sunął podjazdem, światło przednich reflektorów rozbłysło w okiennych szybach. Wrócili Appu i Baby. Dewi skręciła włosy w kok i powoli zeszła na dół. Appu rozwiązywał buty na werandzie i z szerokim uśmiechem patrzył na Baby, która pokazywała Dewannie jakąś dużą ramkę.

- Zobacz, co znaleźliśmy, awwaija. Moja urocza żona - wyjaśnił Appu - odkryła to na strychu. Oczywiście tylko ona mogła wpaść na to, żeby zapuścić się aż na strych, ale spójrz, co znalazła.

411

- Weszłam na górę, żeby się rozejrzeć, a to stało oparte o ścianę - dodała Baby. - Na samym końcu, pokryte kurzem. Jeden ze starszych mieszkańców domu przypomniał sobie, że trafiło na strych wiele lat temu. Powiedział, że chcieli to ponownie oprawić po śmierci najaka Kambejmady. Ale potem rozpoczął się podział majątku i wszyscy zapomnieli.

- To zdjęcie rodzinne, awwaija - powiedział Appu. - Spójrz, sama zobacz.

- Zdjęcie...? - Serce Dewi na chwilę zamarło. Usiadła na kanapie obok Dewanny i wsunęła na nos okulary. Była to stara fotografia w sepii. Białe mrówki i termyty przewierciły rozklekotaną, czarną ramę. Zza przybrudzonej szybki spoglądały na nią poważnie twarze z przeszłości.

- Majsur - powiedziała ze ściśniętym gardłem. - Najak Kambejmada wezwał fotografa z Majsuru.

„Minęło tyle lat, Maću”. Uniosła dłoń do ramki i lekko drżącymi palcami dotykała postaci, które w milczeniu tkwiły za szkłem. Jedną po

drugiej, a tę najbardziej utęsknioną zostawiła na koniec.

- Spójrz - Baby nie miała aż tyle cierpliwości. - Jesteś tutaj, z Nandź anną.

Tak łatwo się z niej wyślizgnął. Jedno parcie, potem drugie i już leżał na skraju słomianego materaca. Takie małe paluszki, idealnie ukształtowane stopki. „Jakie grzeczne dziecko - mówili o nim. - Prawie nigdy nie płacze, nie chce robić mamie najmniejszego kłopotu”.

Dewi sięgnęła w stronę smukłej młodej kobiety i dziecka o okrągłej buzi, które siedziało jej na kolanach. Była wtedy taka młoda.

- Był uroczym dzieckiem - powiedziała do Baby. - Prawie nigdy nie płakał, zawsze się uśmiechał... - Dewanna milczał, ale wiedziała, nawet na niego nie patrząc, że on też usiłuje zdusić łzy.

Dewi, czując ucisk w gardle, zaczęła pokazywać Appu i Baby innych członków rodziny.

- To najak Kambejmada. Twój pradziadek, Appu. Ależ on miał wąsy

- A ten? - Baby wskazała mężczyznę stojącego w ostatnim rzędzie.

Jaki wysoki. To ojciec Appu, prawda? Na pewno tak. Appu wygląda dokładnie jak on.

Wzrok Dewi powędrował w miejsce wskazane przez Baby.

„Twoja twarz. Spójrz na nią jeszcze tylko jeden raz”.

- On... - Urwała, próbując nad sobą zapanować. - Spójrz, monae powiedziała do Appu, rozpaczliwie starając się nadać głosowi radosny ton. - Zawsze ci mówiłam, że jesteś do niego bardzo podobny, prawda  
412

Baby obróciła zdjęcie w stronę męża. Jedynie Dewanna zauważył mimowolny grymas protestu na twarzy Dewi, która nie chciała wypuścić ramki z rąk.

Baby wbiła wzrok w zdjęcie.

- Jakie to dziwne. - Odwróciła zdjęcie z powrotem, żeby wszyscy zobaczyli, co ma na myśli. - Ojciec Appu. Wcale nie patrzy w stronę aparatu. - Wpatrywała się w twarz Maću, a potem się roześmiała i spojrzała na Dewi. - Wygląda prawie tak, jakby patrzył prosto na ciebie!

Wtedy Dewi zaczęła płakać, z oczu popłynęły jej łzy. Appu spojrzał na nią zdumiony i niespokojnie zaszurał nogami, a Dewanna włożył rękę do kieszeni i w milczeniu podał żonie chusteczkę.

Kazali wymienić ramę i wstawić nową szybkę, a potem powiesili zdjęcie w salonie. Codziennie rano, idąc do ogrodu, Dewi przystawała, by dotknąć twarzy Maću. Ponurej, zmęczonej miny i oczu, które były ciemne od gniewu, lecz zarazem wydrążone smutkiem. Patrzyły nie na fotografa, lecz na tył jej głowy.

„Powiedziałam ci tamtego dnia okropne rzeczy. Nazwałam cię cieniem mężczyzny, którego kiedyś znałam. Bardzo cię rozzłościłam. A potem wygrałeś walkę paria kali...”

Stała i na nowo przeżywała przeszłość. „Tyle lat, tyle czasu, Maću”.

Chłoneła tę ukochaną, dawno utraconą twarz, a plantacja szumiła i po ogrodzie snuła się senna mgła.

Dewi wiedziała, że zdjęcie to znak. Czuła to w kościach. Był to dobry znak, wskazywał, że już wkrótce cała rodzina znowu będzie razem. Pewnego popołudnia, siedząc na łóżku Nandźu, podjęła nagłą decyzję. To było niemądre. Cały ten dramat właściwie bez powodu. Zaczeka do następ-

nego roku. Do festiwalu Puthari, nie dłużej. Jeśli do tego czasu jej mały syn nie wróci, pośle po niego. Albo wszyscy pojedą do Bombaju i złożą mu wizytę. „Mocno pociągnę go za ucho - obiecała sobie - i pacnę po tym upartym czole. A potem przywiozę go do domu”.

Miała wrażenie, że ciężar spadł jej z piersi. Dewi z uśmiechem zamknęła za sobą drzwi.

- Aj, staruszkule - powiedziała do Dewanny nazajutrz rano, kiedy siedzieli na werandzie. - Nie ma potrzeby tak się smucić. Poczekaj i zobaczysz, sprowadzę twojego syna do domu. - Dewanna spojrzała na nią

413  
zdziwiony, a ona przytaknęła. Potem przechyliła głowę i zaczęła śpiewać. Śpiewała i śpiewała, fałszując, jak nigdy dotąd, a do tego komicznie poruszała brwiami, póki w końcu Dewanna nie wybuchnęła śmiechem.

W tamtym roku kawowcy dały wyjątkowo dobry plon, przyciągając mnóstwo szakali, które nocą żerowały na plantacji. Kurnik wzmocniono drutem, a psy - choć mogły alarmować domowników szczekaniem - zamknięto w środku, żeby szakale nie mogły ich dopaść. Szakale ciągnęły do dojrzewającej kawy, wywachiwały najśodsze, najbardziej soczyste jagody, które przechodząc nietrawione przez ich kiszki, dawały plonom najlepszy aromat. Oczywiście kasta panów nie dotykała odchodów ani nie używała takich ziaren, ale nakazywała Polej om grzebać w bobkach w poszukiwaniu ziaren na sprzedaż. W Tygrysiach Wzgórzach Tukra i inni służący także codziennie rano chodzili po śladach szakali i grzebali w ich kupach. W tamtym roku Dewi akka miała gest: powiedziała, że mogą sprzedać ziarno i zatrzymać pieniądze dla siebie.

Jehangir Tata, trzeci śmiałek w konkursie Agi Chana, jako pierwszy w kraju zaczął świadczyć usługi poczty lotniczej. Pierwszy lot odbył osobiście, sterując górnopłatem Puss Moth z Karaczi do Bombaju i dalej do Madrasu przez Ahmadabad i Bombaj. Na tę wieść twarz Appu zajaśniała z podniecenia.

- To dopiero początek! - zawołał. - Teraz, kiedy w kraju jest poczta lotnicza, niebawem przyjdzie czas na przewozy pasażerskie.

Z błyskiem w oczach wpatrywał się w zdjęcie Taty w gazecie.

- To musi być cudowne uczucie! Lecieć jak ptak, zupełnie wolny, i nie mieć wokół nic oprócz szerokiego, otwartego nieba.

Znowu zaczęło padać - liczne ciepłe deszczyki obramowane tęczkami.

W lasach było tak dużo grzybów, że na targu przez wiele tygodni sprzedawano je koskami. Grube, mięsiste grzyby wielkości męskiej pięści i o tak intensywnym zapachu, że człowiek nie tęsknił za mięsem.

Przyszedł następny list od Nandzu. Tym razem nie zawierał ani słowa.

Była to niepokojąca, pojedyncza kartka papieru kancelaryjnego pokryta w całości odbiciami amuletu, który podarował mu Dewanna. Jakby Nandzu położył na nim kartkę i z wściekłością zaczernił ją ołówkiem.

Prawą stroną do góry, do góry nogami, w poprzek, pionowo, wzdłuż krawędzi kartki, tak że list składał się z samych odbitek prostokątnego

414

amuletu o zaokrąglonych rogach i z wrytej na nim modlitwy. Dewanna wpatrywał się w ten dziwny list z niepokojem w oczach.

- To nic - powiedziała Dewi, próbując zamaskować własne obawy. - Pewnie nie wiedział, co napisać. - Wyglądziła palcami niepokojący

rysunek. - Pojedziemy do Bombaju - oznajmiła zdecydowanym tonem. - Niech tylko przestanie padać, a wszyscy pojedziemy do Bombaju i przywieziemy Nandżu do domu.

Baby znowu myślała, że jest w ciąży. Tym razem nie powiedziała Appu, w obawie że to kolejny fałszywy alarm. Minął cały tydzień, lecz mimo to zatrzymała wiadomość dla siebie. Z każdym dniem jej nogi stawały się cięższe i czuła w ustach dziwny, bawełniany smak, ale nikomu nie pisnęła ani słowa.

- Dobrze się czujesz? - zapytała zaniepokojona Dewi, dostrzegając bladość na twarzy synowej. Baby pokiwała głową, próbując się uśmiechnąć, ale ból w nogach stał się tak silny, że po południu w końcu się położyła, szczelnie otulona kocami. Jej głowa zrobiła się ciężka, niezdolnie ciężka. Baby wierciła się na wszystkie strony, próbując znaleźć wygodną pozycję i w końcu zapadła w niespokojny sen, z dłońmi oplecionymi wokół brzucha. Prawie natychmiast zaczęła śnić.

Szła na paluszkach przez jakiś ogromny budynek, ostrożnie, żeby nie zbudzić ludzi w zawilgoconych, słabo oświetlonych pokojach. Ktoś jęknął i Baby zdała sobie sprawę, że jest w szpitalu. Ten ktoś jęknął jeszcze raz. „Awwaija”, szepnęła i Baby ścisnęła skurcz, kiedy rozpoznała głos Nandżu. On lekko się poruszył i skrzywił z bólu. „Awwaija”, powtórzył, ale nagle urwał, zawstydzony, że ktoś mógłby usłyszeć. Leżał tam z tak nieznośnym cierpieniem w oczach, że Baby zebrało się na płacz. Jakby czuła na własnej skórze miazdzący ciężar jego rozpacz. Usiadł i skrzywił się. Bezradnie patrzyła, jak spuszcza nogi na ziemię i chwiejnym krokiem przechodzi obok niej, a potem znika za drzwiami.

Obudziła się spocona. Przez chwilę leżała, a potem poczuła, że jej serce zaczyna gwałtownie bić. Sen był tak wyrazisty, że dopiero po kilku sekundach zauważyła wilgoć, która zebrała się między jej udami.

- Nie - wystraszyła się i wszystkie myśli o Nandżu uleciały jej z głowy. Wiedziała, wiedziała, jeszcze zanim sięgnęła tam ręką i jej palce wróciły ciemne od krwi.

415

Dewi westchnęła, przeglądając korespondencję. Baby od dwóch dni leżała w łóżku. Znowu pojawiło się miesięczne krwawienie. Dziewczyna była tak załamana, że dostała niepokojąco wysokiej gorączki. I strasznie płakała.

- Już dobrze, kunji - pocieszała ją Dewi, maskując własne rozczarowanie. - Uspokój się. Przecież nie zapadły się góry ani nie wyschła Kaweri. To nie koniec świata. Jestem pewna, że w przyszłym miesiącu...

Ale Baby dalej płakała, jakby miało jej pęknąć serce. Zasmucony Appu chodził po sypialni tam i z powrotem, aż w końcu Dewi musiała go praktycznie wygonić na dół.

Teraz nieobecny wzrokiem spojrzała na sufit. Na górze panowała cisza.

- Niech bierze coś na uspokojenie - doradził wcześniej lekarz. Baby twardo spała pomimo gramofonu, który Appu nastawił w salonie. W końcu przestało lać. Promienie słońca padały ukośnie przez korony drzew sampige, rabaty lekko parowały. Nandżu uwielbiał takie dni. Znikał wtedy, buszował bóg wie gdzie i zaglądał do ukochanych ptaszarni. Spojrzała na spoczywający w dłoni telegram. Był zaadresowany do Dewanny.

- Masz - powiedziała. - To do ciebie. - Przypuszczała, że to jakaś wiadomość z jednego ze sklepów, w których zamawiał książki.  
- Do mnie? - Dewanna poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu okularów.

Kot na werandzie ziewnął i zaczął lizać futerko.

- Na szyi - powiedziała Dewi, nie podnosząc wzroku. - Wiszą na szyi. - Dewanna spojrział na nią zakłopotany i rozerwał telegram. Dopiero kiedy go upuścił z ochryplym krzykiem, który tak bardzo wystraszył kota na werandzie, że zwierzę skoczyło jak oparzone, Dewi gwałtownie się odwróciła.

- Co? Co się stało?

Appu się pochylił i podniósł telegram. Przebiegł po nim wzrokiem i zbladł.

- Zda... zdarzył się wypadek.

Telegram nadano w Bombaju, na uniwersytecie, gdzie wykładał Nandżu. Informowano ich, że doszło do strasznego wypadku: „Monsun, wyboje. Pan Nandżappa nie żyje”.

Naburmuszony kot na werandzie sztywno podszedł do okna i wskoczył na parapet. Powoli znowu zaczął lizać futerko. Tuż nad jego głową przeleciał motylek, ale kot był tak pochłonięty swoim zajęciem, że go  
416

nie zauważył. Motylek wleciał do salonu, trzepocząc jaskrawożółtymi skrzydełkami wielkości paznokcia.

Dewanna coś mówił, ale były to nie tyle słowa, ile dźwięki. Sylaby smutku, najdotkliwszej straty. Litania rozpaczy.

Dewi uniosła dłoń i rozpuściła włosy. Upadły jej na ramiona, nadal gęste, gdzieniegdzie upstrzone siwizną.

- Mój syn - szepnęła. - Mój syn.

Motyl unosił się nad nimi wszystkimi i jasny niczym płatek złotokapu, dryfował w podmuchach bryzy.

Appu szybko wyruszył do Bombaju. Jego przyjaciel, zaręczony z kuzynką Jehangira Taty, pociągnął za odpowiednie sznurki. Appu wdrapał się na pokład pocztowego jednosilnikowca Taty w Madrasie i wcisnął się między paczki, zajmując jedyne dostępne miejsce w samolocie.

- Przesyłka ekspresowa - uśmiechnął się blade do pilota, rozpaczliwie próbując zażartować.

Pilot zerknął na niego z powagą i pokiwał głową.

- Słyszałem o pana nieszczęściu. Moje kondolencje.

Appu zamilkł. Siedział skulony między paczkami, z kolanami podciągniętymi prawie pod brodę, a Puss Moth celował nosem w niebo.

Ryk silnika wokół, głośny, błogosławiony hałas, wyganiał z głowy Appu wszystkie myśli. Po raz pierwszy w życiu leciał samolotem, ale prawie nie zauważał, jak Puss Moth nurkował i lawirował, pędząc przez spiętrzone, pudrowe chmury.

W Bombaju było gorąco i wilgotno - tak parno, że ciało Nandżu zostało już skremowane.

- Za bardzo śmierdzieć, proszę pan - skwapliwie wyjaśniono w kostnicy.

Po Nandżu nie zostało nic, co mógłby zabrać do domu.

Tygrysie Wzgórza przesiąkły żałobą. Dewanna pogrzyżł się w mil-

czeniu. Nie odzywał się słowem, nie wydawał żadnego dźwięku, siedział w fotelu, jakby przemienił się w kamień. Ogród zdziczał i zarósł. Dewanna najwyraźniej tego nie zauważał. Przez kilka pierwszych tygodni po przyjeździe telegramu pracował jak opętany, związując koniuszki róż, wyciągając z ziemi jedną łodygę, szczepiąc trzy inne. A potem padł wyczerpany. Nikt nie rozumiał magii, jaką zasiał w ogrodzie, lamentu, który wlał w ziemię, ale gdy róże rozkwitły, miały barwę najciemniejszego szkarłatu. Były tak smoliste czerwone, że niemal zupełnie czarne. Dewanna wypełnił nimi ogród, każdy dostępny skrawek ziemi. Czerwonoczarne róże niczym skrzepy krwi, jakby cały ogród popękał i krwawił. W końcu róże przekwitły i płatki opadły na ziemię. Łodygi, które należało przyciąć, sterczały zaniedbane. Wyrosły wysokie i dzikie, zwięzzone kolcami. Tukra sumiennie podlewał rośliny rano i wieczorem, ale to nie wystarczało.

- Co dzisiaj wypielimy? - pytał. - Trzeba coś poprzycinać? - Dewanna siedział obojętnie.

- Chodź, mawa - zachęcała Baby. - Chodźmy zerwać trochę kwiatów. Ty i ja, razem.

Wtedy spojrzął na zdjęcie Nandżu zawieszony w korytarzu, przed pokojem modlitwy. Na jego uśmiechniętą, szczerą twarz okoloną tak dziwacznie, tak okrutnie girlandami świeżych kwiatów, charakterystycznym znakiem zmarłych. Oczy Dewanny wypełniły się łzami.

418

Dewanna był milczący, lecz dom wypełniała muzyka. Mnóstwo muzyki wirującej, dudniącej, kręcącej się po pokojach. Appu puszczał ją prawie bez przerwy, jakby ta udawana wesołość mogła w jakiś sposób zrekompensować ciszę.

- Baby, ubieraj się! - wołał. - Jedziemy do klubu.

Z początku Baby myślała, że jej mąż ma dziwnie nieczułe serce. Kiedy nadeszły okropne wieści, Appu nie uronił ani jednej łzy. Dewi nie miała pojęcia, co się dzieje. To Appu wezwał fryzjera, który ogolił głowę jemu i Dewannie, to Appu posłał służących do wioski Naćimandów i jeszcze dalej, by zanieśli wiadomość o tragedii. To on zorganizował podróż do Bombaju. I ani razu nie zapłakał, był niemal obojętny.

Dopiero kilka tygodni później Baby gwałtownie się obudziła. Z początku nie potrafiła rozpoznać tego dźwięku. Stłumione krztuszenie się. Może je sobie wyobraziła? Nie, znowu rozległ się ten dziwny, zduszony odgłos dobiegający z łazienki. Zapukała do drzwi:

- Appu? - a kiedy nie odpowiedział, weszła do środka. Opierał się o lustro, ręce miał splecione wokół głowy. - Appu? - powtórzyła i wtedy się do niej odwrócił.

Widok jego twarzy zapał jej dech w piersiach. Taka zgnębiona, beznadziejna mina, mina człowieka, który przeszukał swoje serce i odkrył, że czegoś już zawsze będzie tam brakowało.

- Appu - powtórzyła cicho, a wtedy on pokręcił głową. - Już dobrze, już dobrze - powiedziała, ruszając naprzód, żeby go przytulić. Znowu rozległ się ten tłumiony dźwięk i Appu zaczął płakać. Pokryła jego twarz delikatnymi pocałunkami, usta, szyję, czoło, ogoloną głowę, a potem zaprowadziła go z powrotem do łóżka. Położył głowę na jej kolanach jak dziecko i płakał tak gorzko, że o mało nie pękło jej serce.

- Nic... - Pochyliła się, żeby lepiej słyszeć, co mówi. - Nie zrobiłem nic. Powinienem być go ściągnąć do domu, powinienem być nalegać... Nie zrobiłem nic, Baby, po raz kolejny nie zrobiłem nic.

W końcu zapadł w sen. Nazajutrz zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Kiedy próbowała z nim o tym porozmawiać, zaczął pogwizdywać jeszcze głośniejsze, zagłuszając jej słowa.

Potem już nigdy nie mówił o Nandżu.

Indyjska drużyna hokeja wyruszyła na olimpiadę w Los Angeles. Appu od razu zaczął śledzić jej postępy.

- Wiedziałem! - unosił w górę zwycięską pięść, uważnie słuchając radiowej relacji z finału. - Ech, Dhyana, Dhyana, co byśmy bez ciebie

419

zrobili! - wymawiał te słowa z niemal nabożną czcią. Wyglądało na to, że cztery lata, które upłynęły od olimpiady w Amsterdamie, nie uszczknęły nic ze skuteczności indyjskiej drużyny i jego ukochanego Dhyana.

- Appu - ganiła go Baby, zerkając na werandę, na której siedział Dewanna. - Może on śpi.

- Co? O dziesiątej rano? Co się dzieje w tym cholernym domu? Mamy olimpiadę, Baby. Olimpiadę! - Jeszcze bardziej podgłośnił radio.

Baby markotnie spojrzała na werandę, ale mimo kaskady dźwięków Dewanna nawet się nie poruszył.

W końcu zainterweniował Tukra.

- Dewi akka - powiedział, stając na progu pokoju Nandżu i skubiąc brzeg ścierki do naczyń. - Musisz zejść na dół. Nie może tak być. Dewanna anna w ogóle się nie odzywa, przestał dbać o ogród, nic nie je, a rośliny... Tylko popatrz, popatrz.

Dewi zamrugnęła i spojrzała na ogród, jakby po raz pierwszy. Gdzie się podziały wszystkie kwiaty?

- Musisz z nim porozmawiać - powtórzył Tukra. - Do mnie się nie odzywa. Pytam: „wyrwać chwasty wokół banjana, zagrabić liście?”, a on zupełnie nic nie mówi.

- Masz czworo dzieci, prawda, Tukra? - zapytała Dewi. Miał trzy córki i syna. Pomogła im wszystkich wyswatać. - Jesteś błogosławiony - powiedziała z prostotą.

- Nandżu anna... - Tukrze zadrżał głos. - Nadal masz syna. Jesteś matką Appu anny - powiedział ze łzami w oczach. - Nadal masz syna.

Dewi przeszył ból tak ostry, że w jej gardle wezbrała żółć. Przycisnęła czoło do okna. Tamta ostatnia, okropna rozmowa... „Patrzyłaś, jak Appu śpi, awwajja - oskarżył ją Nandżu. - Nie patrzyłaś na mnie, nigdy na mnie, tylko na Appu”.

Dewi skrzywiła się na to wspomnienie.

- Nieprawda - szepnęła. Mocno zamknęła oczy, przywołując obraz z przeszłości. Nandżu kunji śpiący w pokoju dziecięcym. Obaj jej synowie bezpiecznie opatuleni snami.

Wspomnienia były pogmatwaną mieszaniną obrazów. Światło lampy naftowej rozlewało się wokół jej stóp, rzucając upiorne kształty na okna i drewniane belki. Na ścianie warczał tygrys. Gdzieś pośród nocy długo pohukiwała sowa. A tu - tu jej synowie. Dwaj bracia pogrążeni w głębokim śnie. Nandżu zwinięty w kłębek...

I Appu. Z szeroko rozłożonymi rękami uśmiechał się do jakiegoś snu, a jego dołeczek był tak głęboki, że chciało jej się płakać.

- Iguthappo swami - modliła się, nie mogąc oderwać od niego wzroku - chroń go. Zabierz mnie, weź wszystko, co mam, ale zostaw mi to dziecko. „Patrzyłaś, jak Appu śpi, awwaija. Appu”.

Dewi gwałtownie otworzyła oczy.

- Na ciebie też patrzyłam - szepnęła udręczona. - Na ciebie też patrzyłam. - Przez okno wpadła lekka bryza, poruszając zasłonami. Dewi zadrżała.

Tamtej nocy Dewi także nie mogła spać, ale o świcie zebrała przynajmniej włosy, które tak długo nosiła rozpuszczone, i upięła je w kok. Otworzyła drzwi i chwyciwszy się balustrady, jakby bała się stracić równowagę, zeszła na dół. W domu było cicho, przez pokoje sączyło się rzadkie, szare światło. Przystanęła przy starym zdjęciu i najpierw dotknęła twarzy Maću, a potem dziecka na swoich kolanach.

Kiedyś, tuż po przyjściu telegramu, zapytała Baby, jakby od niechcenia:

- Mówiłaś, że widzisz tych, którzy odeszli, że ci się ukazują. Widziałaś mojego Nandżu?

Baby powoli pokręciła głową.

- Wiedziałam! - Dewi odwróciła się do ogrodu z dzikim płomieniem w oczach. - On nie umarł, to niemożliwe. - Bo gdyby nie żył, tłumaczyła sobie, jego duch z pewnością odnalazłby drogę do domu. „Jak oddychanie”, powiedział jej kiedyś. Tygrysie Wzgórza były dla niego jak oddychanie. Błysk w jej oczach gwałtownie zgasł, kiedy dotarła do niej absurdalność tej nadziei.

Teraz położyła dłoń na zdjęciu. „Nandżu kunji”.

Dewanna był na werandzie, jak zwykle rozparty w swoim fotelu.

Usiadła obok niego. Ciężko stąpił się ze światłem i papugi z figowca zaczęły sfruwać ku trawie.

- Wybacz mi - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Miał twój uśmiech. - Jego głos był chropowaty, bezbarwny. - Zawsze powtarzałaś, że jest podobny do mnie, ale uśmiech odziedziczył po tobie.

- Dewanno, ja...

- To powinienem być ja. Nie on. Ja.

Oczy Dewy wypełniły się łzami.

- Ty? Przecież to ja powiedziałam te wszystkie rzeczy, po których wyjechał.

Odwrócił się do niej z cierpieniem w oczach.

- Powinienem cię nienawidzić, Dewy? Za to, co powiedziałaś? Czy powinienem ci dziękować, że przez te wszystkie lata ukrywałaś przed Nandżu okoliczności jego przyjścia na świat? To ja byłem odpowiedzialny za jego narodziny, więc ja jestem odpowiedzialny za jego śmierć. „Rozlany jestem jak woda - zacytował głosem tak surowym, że prawie przecinał jej skórę - i rozłączają się wszystkie moje kości; jak wosk się staje moje serce, we wnętrzu moim topnieje”\*. On był esencją tego, co dobre we mnie i w tobie. Skoro i on odszedł, co nam pozostało? Co nam pozostało oprócz tych wszystkich rozpaczających kości?

W ogrodzie zaroilo się od ptaków, sędziolów i słodkogłosych kukalów,



które wypełniły plantację śpiewem.

- Zapominasz o jednym - powiedziała ochryplym głosem. Na wschodzie zaczęło się wznosić słońce, plamiąc chmury na różowo. - Masz jeszcze drugiego syna. Appu. On potrzebuje ojca. Jeśli dalej będziesz tak... to... - Urwała, walcząc z łzami. - Dewanno, mamy jeszcze jedno dziecko. Wtedy zaczął płakać, bezgłośnie, łzy płynęły mu po policzkach, a drżenie rąk tak bardzo się nasiliło, że nawet nie próbował go ukryć. Tamtego ranka zasiedli do śniadania, wszyscy razem przy stole w jadalni. Dewi wysunęła krzesło i zawahała się. Potem, zamiast jak zwykle siadać u szczytu stołu, zajęła miejsce Nandzu.

- Appu - rozkazała, by zamaskować ostre ukłucie bólu wywołane nawet tak prostą czynnością - przestań się guzdrać i wypij kawę, zanim wystygnie. I ścisź gramofon, na miłość boską! Co to ma być: hotel czy dom?

Baby myślała, że Appu się sprzeciwi, ale on szeroko się uśmiechnął.

- Dobrze, awwaija - zgodził się i w końcu wstał, a w jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga.

Latem 1934 roku do Kodagu przyjechał Gandhi. Mimo upału przyszło go posłuchać prawie dziesięć tysięcy osób. Tamtego poranka mówił prawie wyłącznie o niższych kastach. Jakże haniebna jest idea  
\* Ps 22,15.

422

nietykalności, powiedział. To, że człowiek ma dokądś wstęp lub go nie ma tylko i wyłącznie z powodu swojego urodzenia. W oczach Boga wszyscy są równi...

Porwani jego słowami, lokalni nacjonaliści zażądali, by starożytne świątynie w Kodagu zostały otwarte dla wszystkich, niezależnie od urodzenia. W całym Kodagu natychmiast rozgorzała dyskusja. Opinie rdzennych mieszkańców były bardzo podzielone, a Brytyjczycy obserwowali to wszystko z rozbawieniem.

- Istnieje tylko jedno sprawiedliwe rozwiązanie - mówili nacjonaliści. - Nieważne czy Poleja, czyjego pan. Każdy człowiek ma równe prawa do domu Boga.

- Cholerni głupcy - odcinała się stara gwardia. Dokąd zmierza ten świat, skoro panowie muszą teraz traktować Polejów jak równych sobie? Tych samych Polejów, którzy służyli im od pokoleń!

W końcu osiągnięto kompromis. Polejów wpuszczono do świątyń, ale osobnym wejściem. Pod żadnym pozorem nie mogli wchodzić do ich głównej części. Ostudzono zapędy nacjonalistów i feudałów, lecz był to niespokojny rozejm.

Kilka miesięcy później Timmy Bopanna zagadnął Appu w klubie.

- Zastanawiałeś się nad startem w wyborach, Dags?

- Ja i polityka? - Appu zarechotał. - Czyżbyś nie przyglądał się ostatnio politykom, stary? W dzisiejszych czasach trzeba przywdziać opaskę na biodra i ważyć nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, bo inaczej ludzie nie potraktują cię serio. - Pokręcił głową. - Ja i polityka? Chyba żartujesz.

Timmy się uśmiechnął.

- Całkiem trafne spostrzeżenie. Ale Gandhi to tylko twarz nacjonalistów, Dags. Ascetyczny, skromny haczyk, którym wyciąga się głosy. Za

kurtyną jest scena wypełniona takimi ludźmi jak ja i ty. - Pochylił się, żeby podkreślić swoje słowa. - Wykształconymi. Kulturalnymi. Ze starych, szanowanych rodzin o pewnym... statusie. - Wskazał salę bilardową i ściszył głos. - Jak myślisz, komu Anglicy powierzą stery władzy, kiedy w końcu wyjadą? Prostackim nacjonalistom? Czy ludziom takim jak my, obywatelom świata, którzy mogą wypalić z nimi cygaro i porozmawiać jak równy z równym?

Appu pstryknął palcami, przywołując kelnera.

- Jeszcze raz gin. - Rozbawiony odwrócił się do Timmyego. - A dlaczego mielibyśmy chcieć się w to mieszać?

423

- Ponieważ - powoli zaczął Timmy - pieniądze bez władzy stają się okropnie nudne. Dawne czasy minęły, Dags. Obaj pochodzimy z najbardziej szanowanych rodzin w Kodagu, ale nikogo to nie obchodzi. Te wszystkie nacjonalistyczne bzdety o równości panów i robotników... Cholerne dyrdymały. A będzie jeszcze gorzej, wspomnisz moje słowa. Chyba że tacy ludzie jak my wstaną i zaczną walczyć o to, co słusznie nam się należy. Spójrz, co się stało, kiedy Gandhi wygłosił swoje przemówienie: otwarto nasze świątynie! A to dopiero początek - ostrzegł Timmy. - Jeśli się nie upomnimy o to, co nasze, stracimy całe Kodagu. Appu nie czuł się przekonany.

- Daj spokój, Timmy. Nic takiego się nie stanie. Mniejsza o pieniądze bez władzy. Dzisiaj to ty jesteś okropnie nudny.

Timmy poczerwieniał.

- Co się z tobą dzieje, Dags? Nie chcesz sobie wyrobić nazwiska? -

Jeszcze raz wskazał zadymioną salę. - Mam rozumieć, że to ci wystarcza? Cóż, mnie z pewnością nie. - Wstał i odszedł naburmuszony.

Appu rozejrzał się, kołysząc w dłoni gin. Ta sama stara sala, przez lata prawie w ogóle się nie zmieniła. Stół bilardowy, aksamitne zasłony. Pobrękiwanie kieliszków, śmiech kobiet. Pomyślał o Kate. „Gdzie ona teraz jest? - zastanawiał się. - Gdzie się podziała rozpustna pani Burnett?” Kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, stał właśnie w sali bilardowej, prawda? Ogarnięty nagłym niepokojem opróżnił szklaneczkę jednym łykiem i pstryknął na kelnera.

- Jeszcze raz to samo.

- Dags! - zawołał go ktoś z drugiego końca sali. Udał, że nie słyszał.

Przynajmniej nie było tego faceta z KCIO, tego całego Kipperera Kariappy. Przyjechał do Kodagu na miesięczny urlop i Appu ciągle na niego wpadał w klubie. Na niego i na tę jego aurę nadętego absolwenta akademii wojskowej, oficera z KCIO.

„Nie chcesz sobie wyrobić nazwiska?”, zapytał z niedowierzaniem Timmy.

„Mój ojciec - ponuro pomyślał Appu - był pogromcą tygrysa. Bohaterem wojennym...”. Jego myśli uleciały, a wzbudzone przez nie poczucie wyższości nie trwało długo.

„Sam sobie wyrabiaj nazwisko, jeśli masz ochotę”. Nagle zapragnął się znaleźć gdzieś daleko stąd, nie wiedział gdzie, po prostu z dala od tych wszystkich klaunów.

424

- Dags! - znowu zawołał czyjś głos. Mamrocząc pod nosem przekleń-

stwo, Appu osuszył szklaneczkę, z hukiem odstawił ją na stolik i ruszył do baru.

- A gdybym jednak chciał się zająć polityką, od czego musiałbym zacząć?

Timmy odwrócił się z zadowoloną miną.

- A - powiedział - cieszę się, że pytasz.

- Namiestnik? - zapytał zdumiony Dewanna. - Tutaj? W Kodagu?

Appu pokiwał głową. Rodzina zebrała się w bibliotece przed kolacją. Był to nowy rytuał zapoczątkowany za namową Appu: „Odrobinę muzyki, awwajja, trochę kulturalnej rozmowy”. Sięgnął po płytę, wyjął ją z opakowania i lekko na nią dmuchnął.

- Tak - potwierdził. - Obecny namiestnik całych Indii Brytyjskich, jego ważność lord Willingdon, zwany też z największą czułością lordem Willie Ding Dongiem. Wieść głosi, że może dać się namówić na tę wizytę. Zaproponowałem kumplom w klubie, żeby wzniesć na jego cześć ratusz w Madikeri. Zaprosimy go na uroczyste otwarcie. Tacy ludzie najwyraźniej uwielbiają tego typu imprezy.

- A jeśli przyjedzie...

- Cóż, jeśli przyjedzie, ugościmy go w klubie i poruszymy sprawę przywrócenia dotacji dla plantacji kawy oraz budowy linii kolejowej łączącej Kodagu z resztą stanu.

Zdumiona Dewi spojrzała na syna. Od kiedy interesowały go dotacje?

- Za mało i za późno - powoli odpowiedział Dewanna. - Dotacje niewiele nam pomogą...

Ceny kawy spadły na łeb na szyję z powodu Wielkiego Kryzysu.

Plantator, który nie miał ogromnych połaci ziemi, musiał się porządnie nagimnastykować, żeby osiągnąć w Kodagu jakieś zyski.

Appu szeroko się uśmiechnął.

- Cóż, nie chodzi wyłącznie o kawę, prawda? - Postukał się palcem w skroń. - Prędzej czy później ten kraj wyzwoli się spod panowania Brytyjczyków. Pytanie brzmi, w czyich rękach zostawią wtedy ster administracji.

Dewi pokręciła głową.

- Od kiedy interesujesz się polityką, Appu?

425

- Chodzi o Kodagu, awwajja. Musimy się bardziej zaangażować w administrację, bo inaczej kiedy Brytyjczycy wyjadą...

- Rozumiem. Myślisz, że ten twój namiestnik spojrzy na ratusz i z wdzięczności mianuje cię swoim następcą? - Westchnęła i jeszcze raz pokręciła głową. - Ile będzie kosztowała ta przyjemność?

Wzruszył ramionami nieco dotknięty jej lekceważeniem.

- Dziesięć, piętnaście tysięcy? Na razie trudno powiedzieć. Obiecałem wyłożyć pięć.

- Pięć tysięcy? - zawołała zniesmaczona Dewi. - To mnóstwo pieniędzy.

- Oj, pewnie nie będziemy musieli dawać nawet połowy tej sumy. Ludzie już się pchają, by coś dorzucić. Każdy chce się zaangażować, awwajja. Opuścił igłę gramofonu na płytę i pokój wypełnił się muzyką.

- Dokąd zmierza Kodagu? - westchnęła zrezygnowana Dewi. - Ludzie z radością i bez mrugnięcia okiem wydają piętnaście tysięcy za przywilej

uściśnięcia dłoni temu białemu...

Appu wstał.

- Dosyć polityki na dziś wieczór - powiedział, delikatnie pomagając Baby wstać. - Może dla odmiany, moja uroczą żono, zatańczymy, zanim pojedę do klubu?

Appu mocno przytulił Baby, która nieśmiało zerknęła na Dewi i Dewannę. Potem położył policzek na głowie żony i zaczął śpiewać w tak muzyki.

Dewi zakotysała kieliszkiem i brandy złościście chlupnęła na tle kryształ. Wieczorny drink wszedł jej ostatnio w nawyk. Odkąd Nandzu.. pospiesznie upiła łyk brandy, wdzięczna za żar zalewający gardło. Bez alkoholu trudno było zasnąć.

Odwróciła się lekko, żeby spojrzeć na Dewannę. Przyglądał się tańczącej parze. Nie uśmiechał się - nie, na to było jeszcze stanowczo za wcześnie, zarówno dla niego, jak i dla niej - ale mimo to na jego twarzy malowała się pewna tkliwość, która wygładzała zmarszczki.

Appu obrócił Baby w ramionach, nadal śpiewając, i jej kolczyki błysnęły zielenią i złotem, odbijając światło.

Taka piękna para. „Proszę, Iguthappo swami - kiedy wirowali po salonie, Dewi zmówiła milczącą modlitwę. - Pozwól im... nie pozwól więcej... pozwól nam

Urwała, szukając właściwych słów, nie wiedząc już, jakimi modlitwami prosić bogów o wstawiennictwo.

426

Z początku wizyta namiestnika stała pod znakiem zapytania. Jego attache wojskowy uparcie twierdził, że w kalendarzu namiestnika najzwyczajniej brakuje czasu na wycieczkę do Kodagu. To Appu wpadł na pomysł z wyścigami. Plantatorzy przesłali namiestnikowi prezent, starannie wykonany srebrny pićekathi z rękojeścią inkrustowaną złotem. Sztylet owinięto muślinem i ułożono w mosiężnym kufrze wypełnionym prawie po brzegi brązowymi, idealnie rozłupanymi ziarnami kawy. Do podarunku dołączono zaproszenie na grubej, kremowej papeterii.

Plantatorzy kawy z Kodagu mają zaszczyt zaprosić

Jego Ekscelencję na inaugurację Derbów Madikeri.

Plantatorzy dodali, że gdy namiestnik będzie gościł w Kodagu z okazji wyścigów, z największą przyjemnością poczęstują go najlepszą kawą świata. Zaintrygowany namiestnik oznajmił skwaszonemu attache, że spędzą w Kodagu dwa dni.

Gdy przyjazd namiestnika został potwierdzony, fundusze na budowę ratusza zebrano w ciągu kilku tygodni. Datki były tak hojne, że z obiecanych pięciu tysięcy Appu wyłożył zaledwie kilkaset rupii. Choć zakończono przyjmowanie datków, ludzie ciągle przychodzili i powołując się na różne koneksje, prosili, by umieszczono ich nazwiska w księdze założycielskiej ratusza.

Zbliżał się dzień wizyty i przygotowania do derbów szły pełną parą.

Organizatorzy ufundowali imponującą nagrodę główną w wysokości pięćdziesięciu tysięcy rupii, więc zgłosili się najwspanialsii dżokeje z Madrasu, Kalkuty i Bombaju. Przyjechały konie, które ulokowano na terenie klubu. Z myślą o balu zatrudniono dodatkowych pomocników z siostrzanego klubu w Bangalurze i Appu namówił Dewi, żeby zasponsorowała

nowe tuniki z mosiężnymi guzikami dla wszystkich kelnerów. Kobiety specjalnie na tę okazję kupowały nowe sari, chusty i suknie balowe oraz oddawały najlepszą biżuterię do polerowania. Appu sam wybrał garderobę Baby, która nie zaprotestowała ani słowem na widok przygotowanej na bal sukni z odkrytymi plecami. Wiedziała, że wizyta namiestnika jest dla Appu ważna. Jako jego żona musiała wyglądać jak najlepiej.

427

Rankiem w dniu wizyty starannie włożyła szyfonową sukienkę z obniżoną talią, którą dla niej wybrał. Zapięła zdobione strasem sprzączki butów na obcasach i przygładziła włosy, układając je w kok, który potem oplotła sznurem idealnych, różowych pereł. Appu niespokojnie krążył w swoim garniturze, ćwicząc rozmowę z namiestnikiem.

- To dla nas zaszczyt, Wasza Ekscelencjo. Jesteśmy zachwyceni, że raczył nas Ekscelencja odwiedzić. Chciałbym przedstawić moją żonę...

Zatrzymał się w pół kroku, kiedy Baby wyszła z garderoby, a potem szeroko się uśmiechnął.

- Doskonałość. Co za widok! Baby, kiedy cię zobaczy, spadną mu skarpetki!

Świta namiestnika zjawiała się pośród ryku klaksonów. Namiestnikowi wręczono nożyczki, a on pełnym gracji, zamaszystym gestem przeciął wstęgę zawiązaną przy wejściu do ratusza, otwierając go przy akompaniamencie gromkich braw. Jego Ekscelencja odwrócił się i pomachał, a tłum wiwatował.

Kolejka posuwała się szybko i wkrótce nadeszła pora, by się przedstawić. Jego Ekscelencja słuchał Appu i z uznaniem zerknął na Baby.

- A oto - oświadczył z dumą Appu - moja żona Baby.

Baby nieśmiało się uśmiechnęła.

- Bardzo mi miło - powiedziała.

- Mnie również, moja droga. Zatem proszę mi powiedzieć, czy naprawdę pani uważa, że kawa z Kodagu jest najlepsza na świecie?

Baby wpatrywała się w niego z rumieńcem na twarzy. Powinna coś powiedzieć, wiedziała, że powinna. Nacisk dłoni Appu na jej plecach odrobinę się nasilił. Powinna coś powiedzieć.

- Tak, Wasza Wysokość - wybąkała. - To znaczy tak, Wasza Królewska Mość... tak, tak, sir Willie Ding Dongu.

Kłótnia, która wybuchła później w samochodzie, była najgorszą kłótnią od początku ich małżeństwa.

- Jak mogłaś? - zapytał Appu. - Jak mogłaś?! Zmieszałaś mnie z błotem, oto, co zrobiłaś. Przecież ci mówiłem, jakie to dla mnie ważne. Próbuję do czegoś dojść, Baby. Nic cię to nie obchodzi? Wspaniale: obraziłaś

428

namiestnika, cholernego namiestnika Indii, a w dodatku powiedziałaś mu to prosto w twarz, do diabła! „Willie Ding Dongu”?!

- Pomyliłam się, Appu - tłumaczyła Baby ze łzami w oczach. - Przecież sam go tak nazywasz.

- Ale nie w jego obecności.

- To była pomyłka - płakała. - Po prostu strasznie się denerwowałam...

- Denerwowałaś się? Czym? Nie potrafisz mówić, nie masz ust? Spójrz na Daisy, spójrz na inne kobiety, jak elegancko się zachowały. Wyglądały jak królowe. A ty...

- Po co w takim razie mnie tam zabrałeś? Wiesz, że nie czuję się dobrze na takich imprezach. Zresztą i tak wszystko wypadło znakomicie, prawda?

Mimo jej paskudnej gafy poranek rzeczywiście był udany. Derby zakończyły się wspaniałym sukcesem i namiestnik wyglądał na całkiem zadowolonego. Ale Appu nadal był roztrzęsiony. Kłócili się przez całą drogę do Tygryśnich Wzgórz. Dewanna rzucił jedno spojrzenie na zapłakaną twarz Baby i zapytał z obawą w głosie:

- Co się stało? Nacjonaliści...

- Och, protestujący nie sprawiali najmniejszego kłopotu. Ale twoja synowa nadrobiła z nawiązką wszelkie szkody, jakich nie spowodowali. Zapytaj ją, zapytaj, sama opowie.

- Daj spokój, Appu - powiedziała Dewi, kiedy usłyszała o gafie Baby. Jej usta lekko zadrgały. A potem, po raz pierwszy od śmierci Nandżu, zaczęła się śmiać. - Przecież sam go tak nazywasz!

Lekceważenie jedynie podsyciło złość Appu. Baby ze łzami w oczach oświadczyła, że nie może iść na wieczorny bal. Wszyscy będą się na nią gapić.

- Doskonale - warknął Appu. - Rób, jak uważasz, psiakrew.

Wściekły, przebrał się we frak i zupełnie zapomniawszy o czekającej w lodówce orchidei, którą miał włożyć do butonierki, pojechał na bal sam. Dewi westchnęła.

- Appu jest niemądry - pocieszyła dziewczynę. - Daj mu trochę czasu, uspokoi się.

1936

Dewi przygryzła usta, patrząc zatroskanym wzrokiem, jak Baby smaruje grzanekę dżemem bananowym. Na twarzy dziewczyny malowało się skupienie, a na niegdyś gładkim i idealnie zarysowanym czole widniały teraz zmarszczki. Baby mechanicznie przesuwiała nożem po chlebie, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

- Tym razem dżem się udał - powiedziała Dewi, próbując wyrwać Baby z zamyślenia. - Oczywiście wszystko zależy od bananów. Czerwona odmiana neindra nadaje się tylko do gotowania na parze. Należy używać średnich bananów mara, ale jeśli owoce będą zbyt słodkie, dżem i tak zamieni się w cukier. A jeśli będą zbyt dojrzałe, zrobi się wodnisty. Te banany były w sam raz: jędrny miąższ, odpowiednia ilość słodczy. Zerwaliśmy je w zagajniku w głębi plantacji. - Urwała, czekając na jakąś reakcję, ale uwaga Baby skupiała się na schodach.

- Baby! - zawołała Dewi i tak bardzo przestraszyła synową, że Baby upuściła nóż, który z brzękiem spadł na podłogę.

Dewanna zerknął na nią z drugiego końca stołu. Dewi dostrzegła dezaprobatę w jego spojrzeniu i spróbowała przybrać łagodniejszy ton. Mimo to nadal mówiła piskliwym, zaniepokojonym głosem.

- Co robisz, kunji? Szykujesz pudding? Spójrz na swoją grzanekę. Baby ze zdumieniem spuściła wzrok na grzanekę, która była tak obciążona pysznym dżemem, że zaczynała się rozpadać. Baby się zrumieniła.

- Nie zauważyłam...

430

- Jedz śniadanie, kunji - delikatnie wtrącił się Dewanna. - Appu niedługo zejdzie, wiesz, że lubi sobie pospać, kiedy późno wraca do domu.

- Późno? Jak późno? - złowrogo zapytała Dewi. - Ile razy mam mu powtarzać, żeby skończył z tymi nocnymi imprezami? Baby, powinnaś.. - urwała, próbując zapanować nad głosem, a potem sięgnęła nad stołem i dotknęła dłoni Baby. - Trzymaj go blisko siebie, przecież już ci to mówiłam. Ile razy mam powtarzać, kunji? To żonaty mężczyzna, nie pozwól, żeby o tym zapomniał.

Baby markotnie wpatrywała się w talerz.

- Tukra - powiedziała Dewi - idź obudzić Appu.

Wystraszony Tukra zaszurał nogami.

- Oj, lepiej nie! Appu bardzo się złości, kiedy go budzę. Mówi, że skręci mi kark. Nie żeby miał spełnić tę groźbę, ale tak właśnie mówi. Tukra, mówi, przysięgam, że skręcę ci...

- Och, na litość... Appu! Appu!!! - Dewi czekała, nasłuchując jakiegoś ruchu, odgłosu kroków albo jakiegoś odzewu, ale na piętrze uparcie panowała cisza.

- Co za chłopak! Wleje do gardła ledwie dwie krople alkoholu i prześpałby trzęsienie ziemi. - Odwróciła się do Baby, wyraźnie zasmucona. - Dlaczego pozwalasz mu wychodzić bez ciebie? Musisz mu towarzyszyć, cały czas być u jego boku.

- Jego przyjaciele...

- Jego przyjaciele to same bufony. I co z tego? Jesteś o wiele ładniejsza od tych kobiet. Ale... - Dewi wskazała sznur na bieliznę uginający się pod porannym praniem - te twoje bluzki! Pasowałyby nie na kobietę, ale na słońia! - Rażące w oczy ubrania kołysały się skromnie na sznurze, pokazując długie rękawy i małe dekolty.

Baby spojrzała udręczonym wzrokiem w stronę Dewanny. Wycofał się za rozłożoną gazetę, szarmancko udając, że nie słyszał ani słowa.

Dewi ciągnęła swoją tyradę:

- Wszystkie młode dziewczęta noszą takie malutkie, tycie bluzki, a ty uczepliłaś się ubrań, które spodobałyby się taji. Nie sugeruję, że powinnaś paradować w nieprzyzwoitym stroju, ale zlituj się, kunji! - Przycisnęła rękę do bolącej głowy. - Zrobimy tak: wezwę do domu krawca. Każę mu uszyć kilka bluzek w nowoczesnym stylu. - Z uznaniem spojrzała na figurę synowej. - Jesteś taka młoda. Kobieta w twoim wieku powinna się chwalić urodą.

Baby, zbyt zakłopotana, by podnieść wzrok, w milczeniu przytaknęła.

431

Appu też żartował sobie z jej bluzek i z halek, które nosiła pod spodem.

- A co to... ?! - pytał z niedowierzaniem, podciągając je do góry. - Nie gorąco ci pod tymi wszystkimi warstwami?

- Jestem już mężatką, prawda? Powinnam wyglądać przyzwoicie.

A może byś wolał, żebym paradowała jak bezwstydnica i pokazywała skórę każdemu mężczyźnie, który na mnie spojrzy?

Ze śmiechem sadzał ją na kolanach.

- Nie, nie każdemu. Ale może od czasu do czasu włożyłabyś coś bardziej podniecającego dla swojego męża?

Próbowała. Nosiła sukienki, które jej kupował, chodziła z nim na przyjęcia i próbowała rozmawiać z niewiarygodnie efektownymi żonami jego przyjaciół. Wszyscy głośno zachwycali się jej urodą. Nazywali ją rumianą różą Dagsa. Kilka kobiet próbowało ją wciągnąć do swojego kręgu, ale mówiły tak szybko, że trudno było nadażyć. Oczywiście znała angielski, uczyła się go w szkole. Mimo to posługiwanie się tym językiem wymagało czasu, musiała przetłumaczyć sobie słowa w głowie i dopiero potem ostrożnie spychała je z języka.

Najgorsze były rdzenne mieszkanki Kodagu. Zwróciła się w ich stronę, pewna, że od razu znajdą wspólne tematy, ale gdy je zagadywała w ojczystym języku, zawsze odpowiadały po angielsku z klasztornym akcentem. To subtelne odrzucenie wywoływało rumieniec na twarzy Baby.

- Musimy tam jechać? - nadała się pewnego dnia, spoglądając na Appu. - Może zamiast tego zostaniemy w domu? Coś ci ugotuję. Zrobię gulasz z baraniny z perłowymi cebulkami i gorącymi otti, mięciutkimi jak masło.

Appu pokręcił głową i się roześmiał.

- Żadnych otti, kochanie. Dziś wieczorem będą panierowane kotlety i karmelowy custard, a przynajmniej tak zapowiedział sekretarz klubu. - Wesoło klepnął ją w pupę. - No, pospiesz się, bo inaczej się spóźnimy. Tamtego wieczoru naprawdę się starała: powtarzała w kółko zdania, które ćwiczyła w tajemnicy: „Jak się czujesz, Ethel?”, „Bardzo ładnie dziś wyglądasz, Daisy”.

Daisy Bopanna się roześmiała.

- Nic nie zapewnia takich rumieńców jak dobre bzykanko. Dziś po południu Timmy był w nastroju. O co chodzi z tymi facetami z Kodagu? Wystarczy, że kobieta dotknie ich łokcia albo nawet muśnie paznokcie u nogi i pif-paf! Od razu startują jak konie w wyścigu!

Baby zrobiła się czerwona jak burak.

432

- Daj spokój, kochanie! - zawołała Daisy. - Nie rób takiej wstrząśniętej miny, przez ciebie czuję się grzeszna!

Appu podszedł do nich wolnym krokiem z kieliszkiem w ręku.

- Grzeszna? Baby, co takiego powiedziałaś uroczej Daisy, że poczuła się grzeszna?

- Że... ona... Appu...

Rozbawiona Daisy przerwała jej, machając papierosem.

- Właśnie wymienialiśmy uwagi na temat ogierów z Kodagu. - Oparła dłoń na piersi Appu i delikatnie pogładziła go po klapie marynarki. - I sądząc po rumieńcach na jej policzkach, wygląda na to, że twoja żona musi stawiać czoła wspaniałemu okazowi.

Appu szeroko się uśmiechnął i ująwszy dłoń Daisy, ucałował koniuszki jej palców. Baby patrzyła bezradnie, boleśnie świadoma swojej odmienności w towarzystwie lubującym się w swobodnych pogawędkach i błyskotliwych ripostach z podtekstem erotycznym.

- Appu! - zawołała teraz Dewi i wystraszona Baby aż podskoczyła na krześle. - Appu!!!

- Dobrze, dobrze, dobrze. Jesteś gorsza niż ten przeklęty kogut na podwórku, awwajja. Pewnego dnia skrucę mu kark, przysięgam. Ledwie zdążyłem zasnąć, a ten... - Appu chwiejnym krokiem schodził po scho-



dach.

- Kiedy zamierzasz wreszcie skończyć z tymi imprezami? - zapytała sfrustrowana Dewi. - Byłoby miło, gdybyś od czasu do czasu zjadł z nami kolację.

- To imprezy w szczytnym celu, awwaija. Wybory...

- Dlaczego nie zabierasz z sobą Baby? - Dewi nadała swojemu głosowi rozsądny ton. - Opanuj się, Appu, masz już żonę. Spójrz na nią, biedactwo, prawie nic nie zjadła. Siedzi tu tylko i czeka na ciebie.

Appu nie odpowiedział. Sięgnął po dzbanek z kawą, ale Baby była szybsza i napełniła jego filiżankę jednym płynnym ruchem.

- Baby... - Nie wiedzieć czemu Appu poczuł lekkie poirytowanie, ale ostatecznie postanowił nic więcej nie mówić.

433

Miał wrażenie, że tonie w fałdach materiału. Tak jak wtedy, kiedy jako dziecko wpadł do jednego z tych cholernych kufrów awwaii wypełnionych mnóstwem sari, których nigdy nie nosiła. Kiedy się szamotoł, próbując się wydostać, kolejne warstwy materiału zdawały się unosić i owijać wokół jego rąk i nóg, wciągając go w swoje fałdy, póki w końcu nie zaczął krzyczeć z przerażenia. Oczywiście był wtedy jeszcze dzieckiem. Na to wspomnienie zmarszczył brwi.

Czasami właśnie tak się czuł. Kiedy Baby błagała, żeby nie jechał do przyjaciół, żeby został w domu „tylko we dwoje, tylko ja i ty”.

Małżeństwo na jakiś czas stłumiło jego wewnętrzny niepokój. Przez kilka pierwszych miesięcy nadal cierpiał na koszmary, które zaczęły się po tym, jak... jak ten drań Stassler... Appu budził się w nocy zlany potem, zbyt wycieńczony, by odpowiedzieć na pytania w oczach Baby. Wtedy ona brała go w ramiona i nuciła na ucho piosenki, jakby był małym dzieckiem. Powoli okropne obrazy ustępowały i Appu odzyskiwał równowagę. A gdy budził się nazajutrz, leżał bez ruchu i zachwycał się nią, swoją uroczą żoną przypominającą różę. Miała lekko rozchylone usta, długie i gęste rzęsy oparte na porcelanowym policzku. Ten przeklęty kogut piał wystarczająco głośno, by zbudzić umarłych, a Appu leżał i zachwycał się spokojem, jaki czuł w sercu.

- To nie trwa wiecznie - mówili kumple z klubu. - Po ślubie one się zmieniają. Wszystko się zmienia. Najpierw seks. Po jakimś czasie nie ma w nim już nic nowego, „po prostu rób swoje” i „och, kochanie, pospiesz się, bo na kolację przychodzą goście”. A kiedy seks powszednieje, zaczyna się gderanie. „Naprawdę musisz tak przylizywać włosy? Musisz się śmiać tak głośno? Musisz robić właśnie to? Lepiej zrób tamto”.

Appu śmiał się z niedowierzaniem. Wiedział, że większość z nich mu zazdrości, widział to w ich twarzach, kiedy patrzyli na Baby.

Tamtego wieczoru ich słowa kąsały go jednak jak mrówki ustrzeloną kuropatkę. Czy naprawdę się sobą znudzą, tak jak zapowiadali jego przyjaciele? Na pewno nie. W nocy praktycznie rozerwał na niej koszulę, zostawiając ustami siniaki, kiedy gorączkowo kąsał i ssał tę kremową skórę. Ona reagowała podobnie, wbijając mu paznokcie w plecy, gryząc go w ucho i ciągnąc za dolną wargę, aż w końcu krzyknęli jednym głosem i opadli na łóżko w drżącej, spoczonej płataninie rąk i nóg. I serce Appu przepełniło się zadowoleniem.

Dawniej uwielbiał organizować przyjęcia w domu, w jadalni dla gości,

i obserwować ją kątem oka, ubraną w jedną z sukienek, które dla niej  
434

zamówił, z kołyszącymi się w uszach zielonozłotymi berlińskimi kolczykami ze skrzydełek chrząszczy.

Spośród wszystkich świecidełek, które jej podarował, najbardziej lubiła chyba właśnie te kolczyki. Kiedy je jej podarował, wpatrywała się w nie z zachwytem.

- Są ze skrzydełek? Naprawdę? - musnęła ich krawędzie palcem. - Jakie delikatne... Uniosła je do światła, patrząc, jak przesywają je zielone i złote iskierki. - Bajkowe kolczyki dla księżniczki z bajki.

- Co? - zapytał zdumiony Appu, pewny, że się przesłyszał. Czy właścicielka sklepu nie powiedziała dokładnie tego samego, kiedy je kupował? - Co powiedziałaś?

- Bajkowe... - Spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Sama nie wiem.

Te słowa po prostu wpadły mi do głowy. Kolczyki są przepiękne, Appu. Tylko pomyśl, z prawdziwych skrzydełek!

Nosiła je, kiedy tylko miała okazję, mimo że kupował jej znacznie droższą biżuterię. Kolczyki połyskiwały na tle jej włosów, gdy chodziła wśród gości, a kiedy mówiła, odbijały światło kominka, jakby chciały dotrzymać kroku jej łamanej, melodyjnej angielszczyźnie, która wydawała mu się tak pociągająca.

Gdzie zniknęły tamte dni? Już nie chciała z nim chodzić do klubu.

- Nie rozumiem, co mówią te kobiety. Tych ich sprośnych żarcików, którymi ciągle sypią, tych damsko-męskich rozmów. To nieprzyzwoite. A ta Daisy...

Z początku go to bawiło. Myślał, że Baby ma zły humor, może zbliżały się te dni miesiąca.

- Daj spokój, co znowu powiedziała Daisy? Cała sztuczka polega na tym, żeby nie brać jej zbyt poważnie. Poza tym ona naprawdę cię lubi. Przecież kiedy zachorowałaś, przysłała ci cały kosz zamówiony w sklepie Hansa.

Baby nie odpowiedziała. Kosz był wypełniony po brzegi sardynkami w puszcze. Kilka dni wcześniej kobiety dyskutowały w klubie o cenach w sklepie Hansa - to śmieszne, że nawet mała puszka sardynek kosztuje całą rupię.

- Ja co niedziela idę na targ rybny - uprzejmie wtrąciła Baby. - Są tam świeże ryby: mathi, katla, jakie tylko zechcecie. Powinnyście porozmawiać z moim zaprzyjaźnionym sprzedawcą. Zawsze daje mi dobrą cenę. Kobiety gapiły się na nią z niedowierzaniem, a po chwili parsknęły śmiechem.

435

- Targ rybny? Targ rybny?! - piała Daisy, ocierając łzy z oczu. - Och, Baby, nasza droga różyczko, czym jeszcze nas zaskoczysz? Naprawdę myślisz, że pójdziemy na targ? Może mamy zaprosić tego twojego sprzedawcę na herbatkę?

Tydzień później Baby udała gorączkę i wykręciła się od wizyty w klubie. Daisy przysłała kosz, życząc jej szybkiego powrotu do zdrowia. Było w nim całe mnóstwo sardynek w puszcze.

Nawet nie próbowała wyjaśnić Appu kpiny ukrytej w tym geście. I tak by nie zrozumiał.

- Monae - Dewi znowu próbowała przemówić synowi do rozumu - co mają znaczyć te późne powroty do domu? Kiedy zaczniesz się uczyć zarządzania plantacją, jest tyle do zrobienia...

- Później, awwajja, proszę, omówimy to i wiele innych spraw, kiedy tylko przestaniesz mnie boleć głową.

- Gdyby tu był Nandżu... - zaczęła Dewi, ale po chwili się opanowała i urwała w pół zdania.

- Tak? - oschle zapytał Appu. - Dokończ, awwajja. Co chciałaś powiedzieć?

- Dość, Appu - cicho wtrącił Dewanna.

Appu wzruszył ramionami i zaczął smarować grzankę masłem. Dewi nie chciała jednak dać za wygraną i skubiąc ściereczkę, czekała, aż Appu zje jajka.

- Tygodniówki. Usiądź dziś ze mną i razem podliczymy wydatki.

- Boże, awwajja. Naprawdę chcesz, żeby jeszcze bardziej rozboleła mnie głowa? Później. Może.

Dewi posmutniała.

- Nandżu zawsze był tak bardzo...

- Tak, tak, wiemy - przedrzeźnił ją Appu. - Nandżu to, Nandżu tamto. Idealny Nandżu, prawdziwy książę. Gdyby tu był, na pewno nie wracałby do domu o tak późnej porze. Gdyby tu był, już dawno przejąłby zarządzanie plantacją. Ale go tu nie ma, prawda?

- Powiedziałem dość, Appu! - warknął Dewanna z tak dla siebie nietypową złością w głosie, że wszyscy zamarli bez ruchu.

436

Przez chwilę Appu wydawał się zawstydzony. Otworzył usta, jakby chciał przeprosić, ale po chwili zacisnął zęby. Rozgoryczony rzucił serwetkę na stół, wstał i wyszedł.

Dewi przygryzła usta, niebezpiecznie bliska płaczu. Nie powinna była tak wychwalać Nandżu, wiedziała o tym, ale nie potrafiła się powstrzymać. Z każdym mijającym rokiem mówiła o nim częściej. W jej pamięci stał się wspanialszy, niż kiedykolwiek był w prawdziwym życiu. Bardziej kochający, bardziej sumienny, wyrzeźbiony przez smutek na niemożliwie idealne dziecko. Appu był urażony, kiedy mówiła o Nandżu w ten sposób, mylił jej peany z niewypowiedzianym rozczarowaniem jego osobą. Nie potrafił czytać między wierszami, nie dostrzegał poczucia winy spowijającego jej język. Poczucia winy matki, która przeżyła własne dziecko, miazdzącego ciężaru tej winy przytroczonego do jej pleców. Jeszcze gorsza od poczucia winy była okropna prawda. Prawda tak przebijająca, że Dewi nie przyznawała się do niej nawet przed sobą - świadomość, że bez względu na wszystko żyjącego syna kochała bardziej niż tego, który odszedł.

Strata przeorała jej pamięć, odkrywając zdarzenia z dawnych lat.

„Prawdziwy książę...” czy nie tak powiedział Appu? Kiedyś szkoła misyjna zorganizowała konkurs przebierańców. Mieszkali wtedy w Madikeri. To było jeszcze przed Appu, przed Tygrysimi Wzgórzami. Siedziała pochylona nad koronką, ścigając się z czasem, żeby ją skończyć przed porankiem. Nandżu ciągle pytał o konkurs.

- Ale za kogo się przebiore, awwajja? To konkurs przebierańców, po-

trzebuję kostiumu.

- Może pójdziesz przebrany za księcia? - rzuciła odruchowo.

- Co noszą księżęta? I kiedy mój kostium będzie gotowy?

- Później - obiecała. - Teraz awwaija jest zajęta, później uszyje ci kostium. - Tamtego wieczoru co chwilę do niej podchodził. Bolały ją plecy, piekły oczy, a koronka nadal nie była skończona. - Później. Powiedziałam: nie w tej chwili.

Aż w końcu wybuchnęła płaczem, po raz kolejny kłując się w kciuk.

Rozzłoszczona wstała z taboretu i chwyciła nożyczki.

- Chcesz kostium? - Podeszła do swojego ślubnego sari i zaczęła ciąć czerwony jedwab, zrywając złote cekiny. - To masz!

437

- Dewi! - powiedziała wstrząśnięta taji. - To twoje ślubne sari!

Dziecko oczywiście kompletnie nie rozumiało, co zrobiła. Nandżu stał, taki maleńki, i z zachwytem wpatrywał się w zniszczone sari.

- Mój kostium księcia.

- Wiesz, Nandżu zdobył drugą nagrodę w szkolnym konkursie przebierańców - powiedziała teraz Dewi do Baby. - Wyglądał jak księżę... - Umilkła.

Olimpiada w 1936 roku rozpoczęła się i skończyła.

- Może zorganizujemy wycieczkę do Berlina, Dags? - podsunęli kole-dzy z klubu. - Pojedziemy kibicować Dhyanowi i jego drużynie, okażemy im odrobinę wsparcia.

Nie zauważyli cienia paniki, który na wspomnienie Berlina przemknął po twarzy Appu, nawet po tych wszystkich latach.

- Nie sądzę, żeby magia Dhyana Chanda wymagała naszego dopingu - powiedział Appu, a potem zmienił temat.

Indyjska drużyna z Chandem na czele po raz kolejny zdobyła zwycięstwo, pokonując w finale Niemców 8:1. Hitler był pod tak wielkim wrażeniem ich gry, że na zorganizowanej później kolacji zaproponował Chandowi, skromnemu starszemu szeregowemu w indyjskiej armii, stopień pułkownika, pod warunkiem że wyemigruje do Niemiec. Dhyan grzecznie odmówił.

Małżeństwo Appu coraz bardziej zbaczało z toru i stopniowo ulegało rozkładowi, którego nie rozumiał ani nie potrafił zatrzymać. Z każdym mijającym miesiącem i po każdej nieudanej próbie zajścia w ciążę Baby trzymała się go jeszcze bardziej kurczowo, rozpaczliwie. „Zostań, Appu”. Im bardziej prosiła, tym bardziej się oddalał, zniesmaczony jej przywiązaniem i w głębi duszy zrozpaczony smutkiem, który malował się na jej twarzy, niemymi pytaniami o potencję, których w nim upatrywał. W Appu znowu zawrzała niepokój, ta kochanka o ostrych paznokciach, która nie pozwalała o sobie zapomnieć.

- Nie jedź - błagała Baby, kiedy się ubierał przed wyjściem do klubu. - Proszę, zostań ze mną.

- Pojedź i ty - powiedział bezradnie. - To kolacja powitalna na cześć nowego pastora misji. Powinnaś tam ze mną pójść.

- Nie mogę. To ponad moje siły.

438

Nadal płakała, kiedy poirytowany wyszedł z sypialni i lekko zbiegł po schodach.

- Cóż to za ponura mina, przystojniaku? - zapytała go później Daisy.

- A, nic takiego... nic.

Przez chwilę mu się przyglądała, a potem przysunęła się nieco bliżej. Właśnie przemawiał nowy pastor, dziękując członkom klubu za wystawne powitanie i wychwalając zalety chrześcijaństwa.

- A wiesz - powiedziała cicho - dlaczego Jezus nie mógłby się urodzić w Kodagu?

Pokręcił głową.

- Bo gdzie tu znajdziesz trzech mędrców i dziewicę?

Zaczął się śmiać, a ona przysunęła się jeszcze bardziej i szepnęła mu coś na ucho. Krótka chwila ciszy, speszone spojrzenie w stronę Timmyego, a potem Appu, z błyskiem w oczach, odpowiedział jej szeptem.

Po Daisy były inne, od czasu do czasu. Przełamywały monotonię.

Indyjski ruch niepodległościowy nadal rósł w siłę, rozprawiano o nim w salonach wyłożonych perskimi dywanami oraz w klubach spod znaku „Tylko dla białych, psom i Indusom wstęp wzbroniony” w całym kraju. „Ale chyba nic nie wyjdzie z tych wszystkich bzdur?”, pytali się nawzajem zaniepokojeni Brytyjczycy.

Appu, zapomniawszy o swoich początkowych oporach, całym sercem zaangażował się w polityczną walkę.

- Mógłbyś zostać premierem! - powiedział Timmy. - Z takim pochodzeniem i majątkiem, Dags, mógłbyś zostać premierem niepodległego Kodagu.

Nagle zabrzmiało to całkiem sensownie. „Jestem synem pogromcy tygrysa”.

Zaczął dużo podróżować ze swoją polityczną koterią. Odwiedzał siedziby rządów leżące wzdłuż korytarza Majsur-Bangalur-Madras, głosząc niezależność Kodagu. „Proponujemy wyważony kompromis - mówili. - Uzgodnimy to wszystko między sobą, jak dżentelmeni”.

Nie zabierał Baby w te podróże i już nawet nie oczekiwał, że będzie z nim jeździła do klubu. Z kolei Baby uparcie odmawiała chodzenia gdziekolwiek. Nie bywała nawet na galach organizowanych przez Appu

439  
w Tygrysiach Wzgórzach, przestała zabawiać gości. Przygotowywała przyjęcie, a potem, mimo rad zatroskanej Dewi, zostawała na górze i patrzyła na trawnik przecinany smugami świateł z samochodowych reflektorów.

„Dziecko - stwierdziła zrozpaczona Dewi. - Potrzebujemy tu dziecięcych głosików, które rozjaśnią nasze serca”.

Dziecko naprawiłoby relacje Appu i Baby, myślała, dotykając palcami tygryziej broszki, jakby szukała w niej pocieszenia.

- Trzeba walczyć o szczęście - przekonywała Baby. - Kiedy Appu zostanie ojcem... postaraj się, kunji. Musisz się bardziej postarać.

Baby się starała, tak bardzo się starała. Może nie tak często jak dawniej, ale mimo to zawsze, kiedy się kochali, napinała mięśnie, próbując zatrzymać w sobie soki, które do niej spływały. „Dziecko, proszę. Niech się urodzi dziecko”. Po kilku tygodniach zawsze jednak pojawiał się zdradziecki ból brzucha.

Dewi powiesiła za drzwiami swojej sypialni stary kalendarz.

- Posłuchaj - powiedziała do Baby - musimy dokładniej śledzić twoje miesięczne krwawienia. Kiedy się pojawią, zrób znaczek w kalendarzu. Miesiąc po miesiącu Baby w milczeniu stawała przed kalendarzem. Czytała modlitwę wydrukowaną na jego stronach. „Niech wiatr wieje ci w twarz, a słońce zawsze grzeje w plecy”. Miesiąc po miesiącu, czasami tydzień później, czasami prawie trzy, ale koniec końców zawsze wyruszała w powolną, markotną podróż do pokoju Dewi i zakreślała kolejny dzień.

Gdy nic nie podziałało, Dewi zasięgnęła rady tantryka z Kerali. Odmierzył trochę białego proszku i zawinął go w papierek.

- Niech mąż go zje dwudziestego dnia po pełni księżyca. Obiecuję, że urodzi się chłopiec.

Baby i Dewi ukradkiem wmieszały proszek do ryżu Appu i tamtej nocy Baby prawie nie zmrużyła oka.

Nazajutrz obudziła się z ospałym, lekko obolałym ciałem. W nocy było jak za dawnych czasów. Pomasowała brzuch, spojrzała na śpiącego Appu i uśmiechnęła się.

Cały tamten dzień wydawał się magiczny. Appu był trochę ospały. Po wyjściu z łazienki objął ją i przytulił.

440

- Żono.

- Odtąd będzie inaczej, Appu - powiedziała cicho, odgarniając mu włosy z twarzy. - Zobaczysz. - Nawet światło wydawało się inne niż zwykle. Drobiniki kurzu w jego smugach przemieniły się w kawałeczki pokruszonego, roztańczonego złota.

Rodzina zjadła niespieszne śniadanie przy płynących w tle dźwiękach gramofonu. Później Baby zerwała naręcza róż, lilii i lotosów, którymi wypełniła wszystkie porcelanowe i kryształowe wazony w domu. Od czasu do czasu dotykała brzucha i uśmiechała się pod nosem. Ich dziecko.

Po lunchu znowu się kochali, wolno i delikatnie. Appu patrzył jej w oczy i myślała, że za chwilę eksploduje jej serce. Później zasnęli, on na niej, a kiedy się obudziła, było już po piątej. Uśmiechnęła się, słysząc, jak fałszuje, pogwizdując w łazience.

Wyszedł, spojrzała na niego i uśmiech natychmiast zniknął jej z twarzy.

- Zamierzasz dzisiaj wyjść?

- Wieczór bilardowy, zapomniałaś? - Appu szeroko się uśmiechnął. -

Chyba nie zamierzasz się o to awanturować? A może - ukłonił się i wziął ją za rękę - może mnie zaskoczysz i zaszczycisz swoim towarzystwem?

- Appu? - zaczęła. - Appu... proszę, nie jedź.

Znowu zaczęli się kłócić, magia dnia zniknęła, przeobrażając się w chłodną nieustępliwość.

- Zostań ze mną. Tylko dzisiaj, nie jedź.

Prawie jej uległ, ale potem coś w nim pękło.

- Nie - powiedział. - Nie. Nie będę znowu przez to przechodził. Jadę.

Jeśli chcesz, możesz jechać ze mną, ale... - Zszedł po schodach.

Narzuciła halkę. Jej ciało nosiło jeszcze ślady popołudniowej miłości,

nadal nim pachniało - czystą wonią ziemi przypominającą mech po

deszczu. Włożyła bluzkę, jedną z tych dopasowanych, przed którymi

w końcu skapitulowała, i owinęła się sari z cienkiego, czerwonego jedwa-

biu, w którym zawsze mu się podobała. „Ma kolor twoich ust - mówił. - Moja urocza Królowo Śnieżko”.

- Królowo Śnieżko, Królowo Śnieżko - mruzczała Baby pod nosem i ze łzami w oczach odgarniała włosy z twarzy.

Podbiegła do okna, słysząc silnik samochodu.

- Appu! - zawołała. - Appu!

- Appu! - zawołała jeszcze raz, biegnąc do biblioteki, której okna wychodziły na podjazd.

441

Silnik austina zwiększył obroty i samochód ruszył.

- Appu! - zawołała Baby, owładnięta nagłą wściekłością. - Nie możesz jechać, zostań ze mną!

Austin jechał dalej, ale po chwili się zawahał i przystanął.

Appu wysiadł z samochodu, osłonił oczy dłonią i spojrzał na Baby otoczoną ramą bibliotecznego okna. „Skoro to dla niej takie ważne...”, pomyślał zmęczony.

- Nie możesz tam jechać! - krzyknęła, nie dbając o to, czy ktoś usłyszy.

Uderzyła pięścią w ramię. - Zostań ze mną, musisz ze mną zostać.

Stał na podjeździe, nie mówiąc ani słowa, i tylko na nią patrzył

Słońce zaczynało zachodzić, rzucając błyszczącą poświatę. Tak ślicznie wyglądała, kiedy tam stała. Jak róża, jego rumiana róża. A mimo to..

Nagle Appu ogarnął głęboki smutek. Stał i patrzył na nią, zupełnie nieruchomy. Ona też zamilkła. I w tej ciszy zaszło między nimi, między mężem i żoną, coś, czego nie sposób wyrazić słowami. Zrozumieli. Nie była to jeszcze pełna rezygnacji akceptacja, gdyż ona wymagała czasu lecz nieuchronna świadomość, że wszystko się zmieniło.

Słońce opadało coraz niżej. Szlifierze wędrownie zaczęły stukać nóżkami o drzewa, zapowiadając zmierzch. Setki tych owadów bzyczały i piłowały w całej plantacji i w otaczającej ją dżungli. Usta Baby bezgłośnie się poruszyły, ale nie musiał słyszeć, żeby wiedzieć, co powiedziała „Zostań”. Do jej oczu napłynęły łzy.

„Nie mogę - pomyślał ze znużeniem. - Nie jestem taki, nawet gdybym chciał”.

Odwrócił się i powoli wszedł do samochodu. Silnik zwiększył obroty, austin gwałtownie ruszył i zaczął się oddalać. Baby stała i patrzyła, a po twarzy płynęły jej łzy. Tkwiła samotnie w coraz ciemniejszej bibliotece kołysała w rękach brzuch i patrzyła przez okno, póki ostatnie światła samochodu nie zniknęły na drodze.

Nigdy nie urodziło im się dziecko. Tygrysie Wzgórza zatapiały się w rozwlekłym okresie suszy. Mieszkańców Kodagu to jednak nie przerażało. Deszcze padały co roku, czasami wcześniej, czasami późno i w pierwszym ataku zawsze były brutalne. Nasiona liczi, które Dewanna posadził na skraju plantacji, bujnie wykiełkowały, rodząc małe krzewy, sięgające wyżej z każdym mijającym rokiem. Zaczęły dawać owoce, w pierwszych latach cierpkie i pomarszczone, lecz w kolejnych sezonach dojrzewające w soczystość o słodkim miąższu.

Baby zdawała się jednak ciągle tkwić w jakimś nieruchomym, pozbawionym życia popołudniu. Stopniowo, prawie niezauważalnie, ulatywało z niej światło, aż w końcu nie potrafiła już sobie przypomnieć, jak to jest unosić się kilka cali nad ziemią. Rozczarowanie przykuło ją do cienia.

Ostatecznie Dewi zdjęła stary kalendarz wiszący za drzwiami. Nie zastąpiła go nowym.

Poczucie zbawienia, które ogarniało Dewi na widok Appu i Baby już dawno zniknęło, a radość, którą czerpała z ich jedności, odeszła w zapomnienie. Appu i Baby dryfowali niczym dwa równoległe prądy, czasami się spotykali, ale potem Appu niezmiennie odbijał w bok. Od czasu do czasu Dewi próbowała to zmienić. „Appu, dość tego - prosiła. - Dostyc bilardu na ten tydzień, dziś wieczorem zostań z nami w domu”. Przeważnie jednak milczała. Dopadła ją jakaś nowa słabość, niemal skurczyła się w sobie. Jakby to ostatnie rozczarowanie, ten rozpad doskonałej niegdyś unii Appu i Baby - „jaka piękna para!” - w końcu zdołały ją złamać.

443

Dewannę przepełniał smutek, kiedy patrzył na ten zduszony ogień w jej sercu, kiedy widział, jak siedzi nieruchomo z rękami złożonymi na kolanach i patrzy przed siebie. Spoglądał na tę idealną twarz, którą odcisnięte przez lata zmarszczki czyniły jeszcze bardziej uroczą, niczym słoje drzewa głęboko zakorzonego w dżungli.

Miał jej jeszcze tyle do powiedzenia.

„Bambusea indica devi - chciał jej szepnąć, kiedy pierwsze promienie słońca zaczynały się ześlizgiwać z drzew i ogród, jej ogród, wylaniał się z ciemności. - Właśnie tak zamierzałem kiedyś nazwać kwiat bambusa”. Spoglądał na nią i słowa zatrzymywały mu się w gardle. Pszczoły bzyczały nad rabatami, a lotosowy stawek szemrał w promieniach słońca.

Pewnego dnia przyszli do niego bardzo podekscytowani robotnicy z plantacji. Czy pamiętał tamten kwiat, którego tak bardzo kiedyś szukał? Kwiat bambusa? Wśród plemion Korama rozeszła się wieść, że bambusowe gaje zakwitły! Ile roślin potrzebował? Dewanna się zawahał, a potem powoli pokręcił głową. „Nie - powiedział cicho - nie zrywajcie ich”. Niektóre rzeczy lepiej pozostawić tak, jak są, niezniszczone. Na przykład dzikie kwiaty rosnące w dżungli. Latem 1939 roku gaje rozkwitły mnóstwem kwiatów. Wolne, nieskrępowane. Od czasu do czasu wiatr unosił ich miodowy zapach, spowijając nim całe Kodagu.

W Europie znów nadciągał czas wojny i ceny nawet najbardziej podstawowych towarów - bawełny, soli i ropy - poszły ostro w górę. Appu psioczył na II wojnę światową przede wszystkim dlatego, że odwołano olimpiadę w 1940 roku, która miała się odbyć w Sapporo. Ceny kawy, wspomagane wojennym popytem, znów poszybowały w górę. Plantatorzy, którzy przetrwali lata trzydzieste, czerpali pokaźne zyski. Niechętnie mówili o swoich fortunach zbitych na wojnie - to nie byłoby w dobrym guście. W Kodagu widać było jednak wyraźne ślady tego nowego, imponującego bogactwa. Gordon Braithwaite kupił żonie gruby naszyjnik - obrożę wysadzany diamentami. „W sam raz dla tej suki - prychnęła Daisy w klubie - jarmarczna obroża dla psa”.

Dewanna zaczął podupadać na zdrowiu. Miewał lepsze i gorsze dni czasami czuł się na siłach, by pracować w swoich ukochanych ogrodach; kiedy indziej był ospały, osłabiony uporczywą, niską gorączką. Tukra ponownie poświęcił się opiece nad Dewanną, ale upływ czasu dał się we znaki również jemu - nie był już w stanie samodzielnie za nieść Dewanny na fotel. Co rusz do Tygryśnich Wzgórz wzywano lekarza



Dewi stała w progu pokoju Dewanny i czekała, aż lekarz skończy badanie. Zawsze stawiał tę samą diagnozę: gorączka o nieznanym przyczynie. - Nie ma na to lekarstwa - wyjaśnił. - Po prostu trzeba dbać, żeby mu było wygodnie, karmić go gorącą zupą. - Dewi kiwała głową ze wzrokiem skupionym na Dewannie, śledząc zmarszczki pozostawione przez zmęczenie.

Wieczorem, po wizycie lekarza, Dewi zapalała lampkę modlitewną i siedziała chwilę w pokoju modlitwy ze złożonymi rękami. „Pozwól mu... - zaczynała. - Proszę, swami Iguthappo, pozwól mu...”, a potem milkła.

Indyjski ruch niepodległościowy nabierał coraz większego rozpędu, wsiąkając nawet w najmniejsze miasteczka i wioski. Pewnej parnej, bezksiężycowej nocy wandalę zbezczeszili kilka grobów na cmentarzu w Madikeri. Stróż przysięgał, że nic nie słyszał, ale ponieważ wszyscy wiedzieli, że zazwyczaj lubi sobie popić, jego zeznania nie miały większej wartości. Wandalę niszczyli groby jak popadnie. Przy jednym odrabali skrzydła aniołowi, a przy drugim dorysowali cherubinkowi gęste wąsiska i bokobrody. Nie oszczędzili nawet wielebnego. Zawiesili na jego grobie parę rozczłapanych kapci i zostawili na płycie hojną porcję ekskrementów.

Kiedy w samym środku niedzielnej nabożeństwa przez okno misyjnego kościoła wleciała cegła, przesłanie stało się jasne. Biali plantatorzy zaczęli mówić o rychłej niepodległości kraju. Myśleli, że z początku będą mogli zostać w Indiach, nawet po zmianie rządów - w końcu tam był ich dom, psiakrew! Do emerytury pozostało im jeszcze dobrych piętnaście lat, ale przecież wcale nie jest powiedziane, że będą musieli wracać do Anglii. Może wybiorą Bangalur albo Madras? Tłoczyli się razem w klubie, analizując dostępne możliwości przy szkockiej i ginie z tonikiem. Appu i inni rdzenni mieszkańcy przysłuchiwali się bez komentarza.

Podczas meczu hokeja zorganizowanego na terenie misji nacjonaliści w khadi kurtach i bawełnianych topi wtargnęli na boisko, krzyżąc: „Brytyjczycy, wynocha z Indii, wynocha z Indii!”. Zostali sumiennie otoczeni i wsadzeni do dwóch cel w sądzie w Madikeri, ale szef lokalnej policji, nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić, wypuścił ich, udzieliwszy jedynie reprymendy.

Ośmieleni nacjonaliści przypuścili atak na sklep Hansa. Potłukli porcelanowe lalki i dzbanki do herbaty, powyrywali kartki z książek

i podeptali dziesiątki puszek ze słodyczami. Hans wybiegł ze swojego mieszkania z wytrzeszczonymi oczami i przekrzywioną szlafmycą. Przywódca bandy bez wysiłku powstrzymał go jedną ręką, zanosząc się przy tym śmiechem. Na chwilę stracił jednak czujność, a wtedy Hans podniósł krzesło i wyrzucił nim chłopaka w głowę, rozłupując mu czaszkę. Banda rzuciła się na Hansa, w mgnieniu oka zmieniając się ze stada niesfornych studentów w warczącą, bestialską furię. Policja znalazła staruszkę następnego dnia rano w kałuży jego własnej krwi i wymiocin. Ciało zdażyło już zeszywnieć wśród kawałków pobitej porcelany.

Kiedy Dewi się o tym dowiedziała, wybuchnęła płaczem.

- Zabili go - łkała. - Zabili go. Taki nieszkodliwy staruszek, czy kiedykolwiek zrobił komuś coś złego? Te cukierki, które sprzedawał w swoim sklepie... - Płakała i płakała, jakby zamordowanie Hansa wyszarpnęło z niej ostatnie resztki siły. Potok jej łez wydawał się niemal groteskowo niewspółmierny do tego wydarzenia. Nalegała, by Appu wziął udział w czuwaniu przy zwłokach.

Plantatorzy zaczęli jeden po drugim sprzedawać swoje posiadłości i szykowali się do opuszczenia Kodagu. Odbywały się pożegnalne koktajle i lunche, przyrzekano sobie dozgonną przyjaźń - siostry aż po grób! - i ze łzami w oczach obiecywano pisać listy. Wyjeżdżający plantatorzy organizowali na trawnikach wyprzedaje. Fortepiany, złożone krzesła i rzeźbione ramy obrazów smętnie tkwiły na werandach pośród trocin i drewnianych pudeł. Mimo powolnego odpływu plantatorów wszyscy członkowie klubu przeżyli szok, gdy pewnego wieczoru Gordon Braithwaite oznajmił, że on także wraca z rodziną do Anglii.

- Tak to się kończy - powiedział smutno do żony, gładząc sterty jutowych worków. - Nasze życie, wszystkie spędzone tutaj lata, zapakowane do kilku pudeł, wracają do Anglii. Urzędnicy w koloniach przychodzą i odchodzą, ale my, plantatorzy... my zawsze zostawaliśmy. W czasie wojny i pokoju, zawsze zostawaliśmy.

Spojrzał na wypielęgnowane trawniki i jego oczy zaszyły melancholią.

- Kodagu... Mój dziadek przybył tu z pierwszymi... w 1843 roku.

Powiedział, że w Cejlonie jest zbyt tłoczno, więc dla odmiany wyruszył do Indii. Najwidoczniej już w chwili, gdy po raz pierwszy spojrzał na te wzgórza, był absolutnie pewien, że staną się jego domem. - Zamyślony Braithwaite powtarzał tę historię tysięczny raz. Jego żona zacisnęła usta, ale widząc smutek w oczach męża, postanowiła sobie odpuścić. - Pochowano go tutaj - ciągnął powoli - tak jak moich rodziców, Panie 446

świeć nad ich duszami. Widzisz ten hibiskusowy żywopłot? Posadziła go moja matka. Nazywano mnie królem kawy, królem kawy z Kodagu! Westchnął, spoglądając na szklarnię i na klatki z ptakami.

- Przypomnij ogrodnikowi - powiedział do żony - żeby wypuścił ptaki.

Timmy zaproponował Appu, żeby dołączyli do partii nacjonalistycznej mającej siedzibę w Bangalurze.

- To będzie nas sporo kosztowało, stary, ale brzmi sensownie. W liczebności siła i tak dalej.

Dewi zignorowała złe przeczucia i dała synowi pieniądze.

Kiedy pomimo wysłania kilku wiadomości nie było żadnych wieści od Timmyego Bopanny, Appu pojechał do niego do domu, żeby omówić dalsze działania. Powinni niedługo wyruszyć do Bangaluru, prawda? Przedstawić przywództwu partii swoją wizję Kodagu?

- Nie teraz, Dags. Cierpliwości, stary, sytuacja jeszcze nie dojrzała, potrzebujemy więcej czasu, zanim zaczniemy działać dla naszej sprawy...

W końcu Appu nie wytrzymał.

- Nie teraz? W takim razie kiedy, Timmy? Pieprzone bzdury! Dość już mam tego odwlekania. Jutro jedziemy do Bangaluru. A jeśli nie chcesz mi towarzyszyć, pojedę sam.

Timmy spuścił wzrok na dłoń.

- Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedział. - Dags - ciągnął, bawiąc się zegarkiem - jest coś, o czym powinieneś wiedzieć...

- Dasz wiarę? Wyobrażasz sobie, jaki z niego zuchwalec? - Później, kiedy Appu opowiadał Dewi, co się stało, był tak wściekły, że nabrzmiały mu żyły po bokach szyi.

- Uspokój się, Appu. Zawsze ci powtarzałam, że polityka to brudna gra.

- Z moimi plecami! Przez lata wspólnej kampanii. „Pewnego dnia mógłbyś zostać premierem, Dags”, mówił, a za moimi plecami cały czas prowadził własną kampanię.

447

- Kunji...

- Jadę do Bangaluru - postanowił nagle. - Jutro z samego rana.

- Do Bangaluru? Po co?

- Do przywództwa partii. Muszę się spotkać z tymi ludźmi. Może uda mi się sprawić, że zmienią zdanie.

- Jedź z nim - namawiał Dewanna, kiedy wieczorem Dewi przyniosła mu kolację. Oparł się o poduszkę i zamknął zmęczone oczy. - Tak się wściekł, że nie powinien tam jechać sam.

Wyruszyli do Bangaluru nazajutrz i Appu pojechał prosto do domu przywódcy partii.

- Nie wpuszczamy nikogo, kto nie był umówiony, proszę pana - powiedział strażnik.

Appu groził i krzyczał, ale strażnicy ustąpili dopiero po interwencji Dewi.

- To mój syn - powiedziała. - Dobre dziecko. Nie chce nikogo skrzywdzić, pragnie jedynie porozmawiać z waszym panem. Zaczekam z wami przy bramie, dopóki nie wróci. Które dziecko świadomie narażałoby własną matkę? A za fatygę - wytrząsnęła z torebki zwitek banknotów - każdy z was dostanie dziesięć rupii.

Czekała w samochodzie i miała wrażenie, że trwa to całe wieki.

W Bangalurze było parno, słońce prażyło w czarny samochód, przemieniając go w piekarnik. Dewi ocierała pot płynący z czoła i niespokojnie wpatrywała się w bramę. Kiedy Appu wyszedł, od razu wiedziała. Otworzyła drzwi samochodu i wysiadła.

- Kunji, nie przejmuj się.

Appu pokręcił głową tak zrezygnowany, że nie potrafił nawet na nią spojrzeć.

- W ogóle nie chciał mnie słuchać, awwaija. „Sprawa przesądzona”, mówił. Timmy...

- Nie przejmuj się - znowu próbowała go pocieszyć, ale tym razem język wysechł jej od braku wody. Niebo było jasnoblękitne, bezchmurne. Słońce tak mocno świeciło jej w oczy...

- Uważaj - usłyszała podniesiony głos Appu i poczuła, że uginają się pod nią nogi. Zemdląca.

Kiedy odzyskała przytomność, leżała na śnieżnobiałym łóżku kliniki i czuła na skórze dotyk chłodnej pościeli.

-Gdzie ja...? - Poruszyła się, żeby usiąść, ale kolano przeszył rwący ból.

- Spokojnie. - Głos brzmiał łagodnie. - Porządnie się pani poturbowała. Jestem doktor Ramaswami. Przywiózł panią syn. Nie ma się czym przejmować, po prostu spadło pani ciśnienie i tyle.

Zbył jej podziękowania machnięciem ręki.

- Przepraszam za śmiałość, ale czytając pani kartę, zauważyłem... - zastukał palcem w plik kartek, który trzymał w ręku - Czy to nazwisko z Kodagu?

- Tak - odpowiedziała Dewi. - Jestem z Kodagu. - Spróbowała wyprostować kolano.

- Spokojnie. Delikatnie, delikatnie... Dawno temu znałem kogoś z Kodagu - ciągnął lekarz. - Mojego kolegę z klasy, Dewannę. Wiele lat temu, kiedy jeszcze studiowałem w college ix medycznym.

Dewi uważnie mu się przyjrzała.

- Gdzie? Tutaj, w Bangalurze?

- Tak. - Pokręcił głową. - Słyszałem, że biedak popełnił samobójstwo. Zastrzelił się. Ale kto mógłby go winić po tym wszystkim, przez co przeszedł?

Dewi już chciała sprostować tę informację, powiedzieć, że to był wypadek, a Dewanna przeżył, ale jej uwagę przykuło drugie zdanie.

- Jak to? - zapytała zdziwiona. - Przez co przeszedł?

Doktor Ramaswami zdjął okulary i pochuchał na szkła. Zacisnął usta, przez co jego końska szczeka wydała się jeszcze większa.

- Kotowanie. W tamtych czasach bywało dość okrutne. Jeden ze starszych uczniów upatrzył sobie tego nieszczęśnika. Gnębił go dzień w dzień, bez przerwy. Bicie, maltretowanie albo jeszcze gorzej... - westchnął. - Czasami się zastanawiam, czy nie powinniśmy byli czegoś zrobić, na przykład zwrócić na to uwagę dyrekcji. Fajny był chłopak z tego Dewanny, i naprawdę wyjątkowo uzdolniony. Zakochał się po uszy w jakiejś dziewczynie ze swojej wioski, czasami o niej opowiadał. Pamiętam, że kiedyś przyniósł do internatu małą wiewiórkę. To było wbrew przepisom, ale dostał ją od tej dziewczyny, rozumie pani. Wiewiórkę malabarską. - Zmrużył oczy, próbując coś sobie przypomnieć. - Chyba nazwaliśmy ją Nancy. Urocze zwierzątko. A Dewanna miał bzika na punkcie tego maleństwa. Właściwie wszyscy je uwielbialiśmy, ale on najbardziej. Malutka wiewiórka. Dewi zapomniała o zwierzątku, które podarowała Dewannie. Nigdy o nim nie wspominał, a jej nie przyszło do głowy, żeby zapytać. Zbyt dużo się wydarzyło, zbyt wiele ludzkich losów zmieniło kształt.

Lekarz ciągnął dalej:

- Thomas, ten starszy uczeń, rozplątał wiewiórcę brzuch. Na żywca.

Biedny Dewanna, rzucił się wtedy na Thomasa, ale nie miał z nim szans.

Thomas zdobył w wojsku złoty medal w boksie... Żaden z nas nie dałby mu rady. - Patrzył przed siebie, zatopiony w przeszłości. - Tego samego dnia Dewanna rzucił college. Nie powinien był podróżować. Miał paskudny wstrząs mózgu i był okropnie zrozpaczony. Próbowaliśmy go powstrzymać, ale ciągle mamrotał o tej dziewczynie. Mówił, że musi ją znaleźć...

Dewi leżała bez ruchu.

- Co się z nim stało?

Doktor Ramaswami pokręcił głową.

- Z tego, co słyszeliśmy, popełnił samobójstwo.

- Nie, nie z Dewanną. Z nim. Z tym Thomasem. Co się z nim stało?  
Skrzywił się.

- Właściwie nie spotkała go żadna kara. Nikt nie zgłosił bójki z Dewanną. Trzymanie wiewiórki w internacie było sprzeczne z regulaminem i mówiąc o tym dyrekcji, wszyscy wpadlibyśmy w tarapaty. Poza tym, ściśle rzecz biorąc, to Dewanna wszczął tę ostatnią bójkę z Thomasem, to on zadał pierwszy cios. Thomas skończył college i wstąpił do wojska. Potem jeszcze kilka razy pakował się w kłopoty. Jedna historia była szczególnie potworna. - Rzucił Dewi przepraszające spojrzenie. - Podobno chodziło o sodomie.

- O sodo...? - zaczęła Dewi, ale po chwili, zrozumiałwszy znaczenie tego słowa, zarumieniła się. - Ach.

- Tak. Oddano go pod sąd wojskowy, tego jestem pewien, ale potem wybuchła wojna. 1916 rok... W tamtym okresie przydawał się chyba każdy lekarz. Najwidoczniej Thomas dobrze sobie radził w wojennych warunkach, zdobył nawet jakieś odznaczenie.

Zerknął na Dewi, która siedziała wyprostowana jak struna, całkowicie pochłonięta jego opowieścią.

- Teraz jest już emerytem, tutaj, w Bangalurze. Z tego, co słyszałem, ostro popija. Nigdy się nie ustatkował, nie założył rodziny ani nic z tych rzeczy. Parę razy wpadł na zjazd absolwentów, ale spotkał się z tak zdecydowaną niechęcią ze strony tych, którzy go znali, że w końcu przestał się pokazywać.

Znowu się skrzywił, odsłaniając te nieszczęsne zęby.

- Nawet dziś z tamtym okresem kojarzy mi się tylko Martin Thomas i piekło, prawdziwe piekło, jakie nam zgotował. A Dewanna ucierpiał 450

znacznie bardziej niż ktokolwiek z nas. Te późniejsze plotki o skłonności Thomasa do sodomii. Często się zastanawiałem... - Pokręcił głową.

- Dlaczego? - zapytała rozgoryczona Dewi. - Dlaczego akurat Dewanna?

Ramaswami westchnął i zamyślony wytarł stetoskop o rękaw fartucha.

- Któż to wie, proszę pani? Chyba czasami po prostu los rzuca nas na ścieżkę nieszczęścia.

Kiedy wrócili do Tygrysich Wzgórz, zapadła już noc. Dewi ostrożnie wysiadła z samochodu. Nadal bolało ją kolano.

- Nic mi nie jest - powiedziała słabym głosem do zaniepokojonego Appu. Wyciągnęła rękę i poklepała go po policzku. - Idź, Baby pewnie już czeka.

Stała, patrząc na fasadę domu. W cichym wnętrzu gdzieniegdzie migotało światło.

- Gorącej wody, akka? - Tukra wyszedł na portyk, szurając nogami. - Przygotować kąpiel?

Dewi pokiwała głową.

- I nakryj do kolacji. Jak się czuje Dewanna anna? - zapytała z wahaniem.

- Nie za dobrze. Jest w swoim pokoju. Jeszcze nie jadł, powiedział, że poczeka na ciebie, akka.

Przystanąła przy starej fotografii na korytarzu i dotknęła jej palcami. „Kochać cię, to jak mieć skrzydła”. Powoli ruszyła dalej. Drzwi do pokoju Nandżu, dawnego pokoju dzieciennego, były uchylone. Przystanąła i zajrzała do środka. Dawniej spali tam jej synowie, dwaj bracia. Nandżu i Appu, jej duma, jej serce, jej słońce i jej księżyc. Gwiazdy zaczęły migotać w atramentowej czerni nocy, przysłaniane przez mknące z wiatrem chmury, i ukazały tygrysa, który dumnie kroczył na ścianie. W półmroku miała wrażenie, że świdruje ją wzrokiem. „Dla ciebie wyrzekłem się swojego boga”. Płowe oczy, ogniste, ukochane na zawsze. Złote, roztańczone oczy i ta czułość w ich spojrzeniu.

W końcu się odwróciła, weszła po schodach, minęła pogrążoną w ciszy bibliotekę i skierowała się do pokoju Dewanny. Po chwili wahania zapukała do drzwi.

- Już wróciłam.

Posępnie spojrzął znad książki.

- Co z Appu?

- Nic. - Podeszła do łóżka. - Oczywiście nic z tego nie wyszło.

451

Zbliżyła dłoń do jego czoła, a on drgnął, zaskoczony tym dotykiem.

- Nadal masz gorączkę.

- To nic.

Usiadła na brzegu łóżka i spojrzała na niego. Mieli tyle do spraw omówienia. Wielki kawał przeszłości, ich przeszłości, leżał nietknięty. Tyle pytań nie zostało jeszcze zadanych.

- Poznałam... - zaczęła, czując ucisk w gardle - lekarza... - ciągnęła dalej, ale nagle urwała. Przeleciała przez nią fala zmęczenia. Dewi położyła się na łóżku i oparła głowę na piersi Dewanny.

Słyszała bicie jego serca, szybsze z powodu zaskoczenia. Zawahał się, a potem powoli, bardzo powoli, jakby się bał, że ją wystraszy, odłożył książkę na stolik i objął Dewi ramieniem.

W dzieciństwie byli nierozłączni. Bliscy jak dwa nasionka w strączku kardamonu, mówili ludzie. Zawsze mogła na nim polegać: wyjmował kolce z jej stóp, naprawiał świat.

„Zakochał się w tobie”, powiedział jej kiedyś Maću, a ona odrzuciła głowę do tyłu i głośno się roześmiała.

Ale mimo to wiedziała, prawda? Musiała wiedzieć.

Dewi leżała, czując pod policzkiem pocieszające wznoszenie się i opadanie jego piersi, jego ramię, które mocno ją obejmowało.

W jej uszach rozległ się głos taji: „Wybacz mu, kunji, on też cierpi”.

Była zmęczona, bardzo zmęczona. Od tylu lat przykuta do smutku i poczucia straty. Z kamieniem u szyi, który z upływem lat stawał się coraz cięższy, i którego nie mogła nigdzie zostawić.

Minęło wiele lat, żal pochłonął tyle czasu. „Nie bądź taka oschła - powiedziała taji - bo roztrzaska cię pierwszy piorun. Nie bądź drzewem, które nie może rodzić owoców”.

Urazy narastają. Jeśli nie zostaną świadomie odrzucone, narastają i karmią się sobą. Nasze serca twardnieją od nich, gęstnieją i wyżłabiają się. Z początku próbujemy zrywać strupy, by pozostać nieskalani i niewinni jak dawniej. Z czasem to jednak coraz trudniejsze. To wymuszone zrywanie bandażu, odświeżanie bolesnych wspomnień. Łatwiej je za-

mknąć, odsunąć, przemilczeć. Taszczyć je niczym niewidzialny kamień u szyi. Zostawiamy rany w spokoju. Nasza skóra twardnieje, warstwa po warstwie, aż w końcu pewnego dnia budzimy się i odkrywamy, że staliśmy się nieodwracalnie uodpornieni. Zakorzenieni w zabliznionej przeszłości, podczas gdy świat poszedł naprzód.

„Bądź orchideą z dżungli, która aromatyzuje wiatr”.

452

Zapomnieć o urazach, odrzucić gorycz. To jedyne wyjście. Odrzucić ból i dać nadziei jeszcze jedną szansę. Dryfujemy przez czas, raz w cieniu, kiedy indziej parzeni słońcem, odsłaniając się przed niebem. Aż w końcu zaczynamy wracać do zdrowia, brzegi naszych ran powoli się zrastają. Wypełniamy się światłem, łaską i znowu potrafimy otworzyć swoje serca i wpuścić kogoś do środka.

Znowu łapiemy wiatr w skrzydła.

- To dla ciebie - Dewanna odezwał się ledwie słyszalnym głosem. - Kiedy się ocknąłem, ciągle żywy, i zauważyłem, że chybiłem... że na tym polu również poniosłem porażkę, ogarnął mnie wielki wstyd. Gdybym mógł, podniósłbym strzelbę po raz drugi. Dopiero później do mnie dotarło, że tylko cudem uniknąłem śmierci. Wtedy myślałem, że to dla Nandżu, że to z jego powodu. Że zostałem ocalony przez wzgląd na naszego syna. Myliłem się - przełknął ślinę. - Po śmierci Maću zrozumiałem. Miałem się opiekować tobą. To dlatego zostałem ocalony: żeby się tobą opiekować.

Urwał, próbując nad sobą zapanować.

- To, co ci zrobiłem, Dew - powiedział drżącym głosem. - Gdybym mógł cofnąć czas...

- Dość - szepnęła Dew. Przesunęła rękę, odnalazła jego dłonie i ścisnęła jego palce w swoich. Pokręciła głową i nawet tak lekki ruch sprawił, że jej włosy wyswobodziły się z koka. - Dość - powtórzyła.

Zamknęła oczy i odprężyła się. Miętko zanurzyła się w przeszłości, płynąc ku niewinnym czasom, kiedy oboje mieli przed sobą nieskałane życie, lśniące od obietnic. Bezchmurne letnie niebo i dwoje dzieci biegnących ze śmiechem przez pola. Słońce połyskiwało nad krabim strumieniem, a woda wokół ich nóg przypominała stopione srebro. Kurze jelito zarzucone na przynętę, a potem wyciągnięte z wody, tak przejrzyste. Spójrz, sznur tłustych, czarnych krabów połyskiwał jak klejnoty.

- Złapaliśmy tamtego dnia mnóstwo krabów.

- Trzydzieści trzy.

- Taj i ugotowała z nich ćatni. A ty... tak się objadłeś, że potem zwymiotowałeś w krzakach.

Dewanna leżał nieruchomo. Po chwili uniósł rękę i delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy.

Epilog

Nad Tygrysimi Wzgórzami wisiał ranek. Dew patrzyła, jak noc, delikatnie niczym podnoszona kurtyna, zaczyna się rozstępować.

Z gór stoczyła się połyskliwa mgła. Światła fosforyzowały, migocząc nad rabatami kwiatów i bladezielonym kożuchem stawu. Cicho wołała ich po imieniu, wszystkich po kolei, tych, którzy odeszli. Aksamitne niebo przecięły pasma koloru i zapiał kogut.

Kilka mil dalej po krętej drodze miarowo wspinał się samochód. Je-

chał całą noc, światła reflektorów odbijały się w szarych zwałach mgły, rozbłyskując na chwilę wewnątrz pojazdu, a potem znów umykały w cień. Kierowca parł naprzód, niezrażony słabą widocznością, zdawał się raczej na pamięć niż na wzrok. Zerknął w prawo, ale w zasadzie nie zauważył wschodzącego słońca ani doliny ukazującej się oczom w niebieskich i złotych barwach. „Już niedługo, naprawdę niedługo”. Stopa nieświadomie wcisnęła pedał gazu, a potem znowu się uniosła. Samochód sunął naprzód, światło słońca muskało zderzak i rozpływało się w porannej mgle. W głębi plantacji wyczuwało się niespokojne wyczekiwanie, bryza zaczęła wprawiać kawowce w drzenie. Z początku nieśmiało, niepewnie, chwilę potem zawirowała jak naciągnięta sprężyna, wybuchając pośród mgły, tłukąc w otwarte okna w całym domu, wzbijając kłęby czerwonego pyłu na żwirowym podjeździe. Wytoczyła się przez bramę, strąsając chmurę karminu z ognistoczerwonych drzew rosnących wzdłuż drogi. Kwiaty migotały w powietrzu, unoszone na wszystkie strony, i jeden z nich wpadł przez otwarte okno samochodu. Zamyślony kierowca 454

sięgnął po niego i ścisnął płatki w palcach, a potem odrzucił go na bok i rozprostował dłonie na kierownicy. Słońce błysnęło w metalu na jego nadgarstkach: w zegarku na jednym i w starym, związanym sznurkiem srebrnym talizmanie na drugim. Kwiat przez chwilę unosił się w powietrzu i w końcu znowu pochwyił go wiatr. Samochód sunął ku Tygrysim Wzgórzom jak błysk koloru pod koronami drzew.

Nie pamiętał wypadku, tylko to, co było potem. Obudził się oszłomiony w łóżku jakiegoś ponurego szpitala. Ostrożnie się poruszył i nogę przeszył mu ból. Wtedy nagle przypomniał sobie wszystko, co do tego doprowadziło, wydarzenia ostatnich miesięcy, narzucone sobie wygnanie wzmocnione fizyczną bezbronnością. Leżał tak, a przez jego ciało przelewał się smutek, kiedy słowa, okropne słowa jego matki, bez przerwy pobrzmiwały mu w uszach.

„Przekleństwem, karą, oto, czym dla mnie jesteś”.

Wszyscy po kolei wyłaniali się z cieni. Awwaija. Appaija. Appu. Baby. W jego przyćmionym bólem umyśle każde z nich odwracało się później plecami i znikало. Zamknął oczy - ciężkie powieki - czując taki ucisk w piersi, że przez chwilę był pewien, że to koniec. Ale potem coś w nim ustąpiło. Usiadł i ignorując klucie w boku, postawił stopy na podłodze. Niewiele było trzeba, by przekupić lekarza. Potem wystarczył układ ze szpitalną kostnicą i akt zgonu, doskonale podrobiony.

„To jedyne wyjście, jedyne rozwiązanie”, powtarzał sobie. Nie miał pojęcia, dokąd pojedzie. Ruszył przed siebie, a potem skręcił i z pustką w głowie odsunął przeszłość, czując w piersi tak wielki ucisk, jakby coś wysssało mu z płuc całe powietrze.

W końcu nie zdało się to jednak na nic - ani odległość, ani czas. Bo nigdy nie opuścił go kształt tych pagórków, krajobraz tej ziemi. Ten mroczny zapach mierzwy i gleby w dżungli, który wzbierał mu w sercu. Jako dziecko wyobrażał sobie marmurową kulkę, która toczy się i kreśli mapę. Zaczynała na tylnej werandzie, toczyła się obok kuchni, mijała chlew, ogród, sunęła na południe pośród pierwszych kawowców, nabierała rozpędu, podskakując w stronę ptaszarni, a potem zwalniała, wdrapując się na wzgórze. Ostatecznie każdego z nas ciągnie do tego, co najbar-



dziej kocha. A on zawsze kochał to. Wieczorne mgły. Cienie południa i pierwszą poświatę księżyca. Szelest liści, wodę i kamienie, jaśniejące, węglowe skrzydła drzew. Melodia wzywająca go do domu właściwie nigdy nie ucichła, ani razu w ciągu tych wszystkich lat. Urosła do takiego crescendo, że pewnego dnia nie pozostało mu nic innego, jak tylko wrócić.  
455

Samochód zwolnił na moment przed otwartą bramą, jakby kierowca nie wiedział, jak najlepiej zapowiedzieć swój przyjazd. Wiatr wpadał przez okna, prawie poziomy, nieposkromiony, niosąc zarodniki deszczu. Nandżu wziął głęboki oddech i wcisnąwszy pedał gazu, ruszył żwirowym podjazdem.

W oddali, nad polami ryżowymi i srebrzyście połyskującym strumykiem, stado czapli wzbilo się do lotu. Wznosiło się cicho, jak strzała najczystszej bieli, odznaczając się na tle nieba. Poszybowało nad rzędami błyszczących kawowców, nad drzewami i nad czekającym domem.

Podziękowania

Pragnę gorąco podziękować następującym osobom:

Mojej uroczej matce, która czytała kolejne wersje tej książki z niesłabnącym entuzjazmem i wnikliwością.

Mojemu mężowi za bezgraniczną cierpliwość i wsparcie.

Mojemu ojcu za niezłomną wiarę w tę książkę.

Mojej siostrze za obiektywizm i niezawodną spostrzegawczość.

Chciałabym, aby podziękowania przyjęli także:

Jeff Willner, Sukanya Dasgupta i Biswarup Chatterjee. Niezwykli krytycy i prawdziwi przyjaciele.

Babcia Pussy, która odmalowała dla mnie wyrazisty obraz Madikeri z czasów przed moim urodzeniem. Wuj Mani, który podzielił się ze mną bezgraniczną wiedzą na temat wszystkiego, co ma jakiś związek z Kodagu.

Wuj Bobjee i ciotka Titi za nieocenioną kompilację Pattole Palame oraz za odpowiadanie na moje pytania ze szczodłą drobiazgowością. Moi teściowie oraz wszystkie ciotki i wujowie, którzy pokazywali mi domy przodków, pożyczali książki ze swoich biblioteczek i zapoznawali mnie z całą rzeszą ludzi, z którymi mogłam rozmawiać o Kodagu.

Cudowne kobiety z DGA - Heather Godwin, Charlotte Knight i Sophie Hoult, kompetentne i nadzwyczajne.

Kirsty Dunseath, pierwsza orędowniczka Tygrysich Wzgórz oraz najbardziej wnikliwa i skrupulatna redaktorka, jaką można sobie wymarzyć. Sara Weiss za ogromną wiarę w Tygrysie Wzgórza oraz za  
457

przenikliwe i inteligentne rady redaktorskie. Dzięki Wam ta historia stała się lepsza.

Diya Kar Hazra i Nicole Winstanley za niesłabnące wsparcie.

Rebecca Gray, Sophie Buchan, Lisa Milton, Susan Lamb, Claire Brett, Dallas Manderson, Meirion Todd oraz reszta zespołu W&N za wsparcie i pomoc. Każdy autor powinien mieć tyle szczęścia co ja.

Na koniec dwie osoby, którym bardzo dużo zawdzięczam - David Davidar, bez którego ta książka nigdy by nie powstała. I David Godwin, bez którego nikt by jej nie ujrzał.

Słownik

Adige - ślubny rubinowy wisior, charakterystyczny dla Kodawów.

Agni - staroindyjski bóg ognia ofiarnego, kiedyś jedna z ważniejszych postaci starożytnego panteonu. Obecnie uważa się go za jednego z ośmiu strażników świata. Przedstawiany jest jako brodaty mężczyzna o trzech głowach trzymający różaniec w jednej ręce i naczynie w drugiej. Wierchowcem Agniego jest baran. Bóg ten zanoszą modły wiernych innym bogom.

Agniçatra - *Laportea crenulata*. Kolczasta roślina o ostrych liściach, której korzeń wykorzystywany jest w medycynie.

Aimada - świątynia przodków, w której Kodawowie czczą pamięć założyciela swojego klanu.

Aimara - drewniana płyta umieszczona na przedłużonej przedniej części werandy typowego domu Kodawów, gdzie zwykle zasiada rodzina.

Ajappa - hinduistyczne bóstwo czczone w wielu miejscach, zwłaszcza na południu Indii. Przedstawiany jest jako asceta, a jego wyrzeczenia, celibat i samotna medytacja pomagają modlącym się do niego ludziom.

Ajja - panie. W języku Kodawów zwrot kierowany do mężczyzny starszego lub o wyższej niż mówiący pozycji społecznej. Wyraz szacunku.

Ajurweda - tradycyjna medycyna indyjska. Nauka ta, którą według tradycji przekazał ludziom boski lekarz Dhanwantari, rozwinęła się już w starożytności.

Zajmuje się zdrowiem fizycznym, psychicznym i duchowym.

Akka - pani. W języku Kodawów zwrot kierowany do kobiety starszej lub o wyższej niż mówiący pozycji społecznej. Wyraz szacunku.

459

Amma - matko. Wyraz pochodzenia sanskryckiego używany w odniesieniu do bogów i ludzi.

Anna - starszy bracie. W języku Kodawów zwrot kierowany do młodego, ale nieco starszego lub stojącego w hierarchii wyżej od mówcy mężczyzny, niekoniecznie krewnego.

Appaija - w języku Kodawów zwrot oznaczający ojca.

Aśoka - *Samca indica*. Jedno ze świętych drzew, którego czerwone kwiaty utożsamia się z bogiem miłości, Kamą. Drzewo to bardzo często występuje w indyjskiej literaturze, zwłaszcza miłosnej i erotycznej. Jest również symbolem płodności jako ulubione miejsce przebywania Jakszi, zmysłowych nimf leśnych.

Athi - *Ficus glomerata*. Charakterystyczne drzewo, którego owoce rosną bardzo blisko pnia. Opis rośliny pojawia się w wielu mitologicznych historiach i starych hymnach.

Awwaija - w języku Kodawów zwrot oznaczający matkę.

Bal battekara - w języku Kodawów wyrażenie oznaczające odważnego myśliwego, kogoś nieustraszonego i szybkiego.

Banjan - *Ficus benjamina*. Drzewo z charakterystycznymi nadziemnymi korzeniami. Ogromne rozmiary drzewa sprawiają, że często jest ono centralnym punktem wioski. Mieszkańcy odpoczywają i zwołują narady w cieniu jego ogromnych konarów.

Barfi - popularne indyjskie słodczyce robione ze skondensowanego mleka, które gotuje się z cukrem tak długo, aż zgęstnieje. Do barfi często dodaje się różnych orzechów (nerkowca, pistacji, kokosów, migdałów).

Bidi - papierosy zrobione z tytoniu zawiniętego w liść hebanowca koromandelskiego i związanego nitką.

Bramin - członek najwyższej z czterech tradycyjnych hinduskich warstw, zwanych warnami. To spośród nich wybiera się kapłanów. Pozostałe warny to: kszatrijowie

(królowie, wojownicy), wajsjowie (kupcy, rolnicy) i śudrowie (warstwa usługująca pozostałym). Cztery warny ewoluowały w liczne kasty, związane dziś głównie z wykonywanym zawodem.

Bulbul - Pycnonotidae. Ptak śpiewający, odmiana słowika.

Ćamunda - bogini czczona przede wszystkim w stanie Karnataka. Uważa się ją za straszliwy aspekt Durgi, żony boga Siwy, i przedstawia się jako wieloramienią, odzianą w skórę słonia, wychudzoną postać z naszyjnikami z ludzkich czaszek. W ezoterycznych naukach tantrycznych bogini ta reprezentuje intelekt.

Ćatni - gęsty sos używany w kuchni całych Indii. Przygotowuje się go z owoców i warzyw z dodatkiem czosnku, octu, rodzynek i musztardy. Jest to doskonałe

460  
uzupełnienie wszelkiego rodzaju potraw, a jego odmiany różnią się w zależności od osobistych preferencji; może być ostry albo bardzo łagodny, wręcz słodki.

Ćembuka - Centropus. Kukał, ptak z rodziny kukułek o pomarańczowym upierzeniu tułowia i czarnym głowy.

Ćhokra - pochodzący z języka hindustani obraźliwy termin oznaczający służącego, niewolnika.

Ćiroti - tradycyjne słodczy regionu Karnataki, wyrabiane z wielowarstwowego ciasta, podobnego do francuskiego. Smażone w głębokim tłuszczu, zwykle podawane są zamoczone w syropie lub posypane cukrem.

Darija - morze, wielka rzeka. Wyraz hindustani pochodzenia perskiego.

Dewi - ogólna nazwa wszystkich żeńskich mieszkank niebios z panteonu hinduistycznego i buddyjskiego. Dewa to określenie męskich bóstw.

Dharma - powinność. Ślusne wykonywanie zaleceń społecznych i religijnych. Dharma to również zbiór uniwersalnych praw rządzących ludzkim życiem.

Dilli - indyjska nazwa Delhi, stolicy kraju.

Dindul - Anogeissus latifolia. Drzewo, którego liście zawierają duże ilości taniny. Jest również wykorzystywane do produkcji indyjskiej gumy, zwanej ghatti.

Dosa - duży, niezwykle cienki, sztywny naleśnik, danie charakterystyczne dla kuchni południowindyjskiej. Zwykle serwuje się dosę z różnego rodzaju ćatni.

Dżinn - w przedislamskiej tradycji arabskiej duch stworzony z ognia bez dymu. Jest uosobieniem wrogich i niszczyielskich sił i może przybrać dowolną postać.

Dżadau - rodzaj biżuterii, w której drogie kamienie umieszcza się jak ćwieki.

Dżangir - rodzaj bardzo słodkiego deseru w kształcie spirali robionych z rzadkiego ciasta wylewanego prosto na gorący tłuszcz. Dżangir podaje się zanurzone w słodkim syropie.

Dżhumki - kolczyki z wisiorami w kształcie parasola, charakterystyczne dla wielu regionów Indii.

Dżodi-kodaga - złota bransoletka ciasno opinająca ramię. Zrobiona przynajmniej z dwóch połączonych ze sobą złotych obręczy. Kodawowie wierzą, że podwójna ozdoba noszona przez pannę młodą podczas uroczystości zaślubin symbolizuje połączenie małżonków.

Dżomale - złote korale długości około siedemdziesięciu centymetrów nawleczone na czarną nić, noszone przez panny młode ludu Kodawa podczas uroczystości weselnych. Czarna nić połączona z czarnymi bransoletami ma zapewnić szczęście.

Galla misa - zawinięte, długie wąsy wojownika Kodawów, który zabił tygrysa.

Canapati - jedno z imion boga Ganeśi.

Caneśa - hinduistyczny bóg, syn Siwy i Parwati. Jest odpowiedzialny za pomyślność i usuwanie wszelkich przeszkód, przez co stał się patronem podróżników, kupców, złodziei, a także ludzi nauki i literatury. Przedstawia się go z głową słonia.

Garike - *Cynodon dactylon*. Rodzaj trawy wykorzystywanej w tradycyjnej medycynie.

Ghaty Zachodnie - pasmo górskie na zachodnim wybrzeżu południowych Indii. Od strony Dekanu stoki wzgórz są łagodne, opadają jednak stromo od strony Morza Arabskiego.

Ghi - sklarowane masło używane w całym Indiach zarówno do sporządzania potraw, jak również przy rytualnym podtrzymywaniu ognia.

Gilli danda - popularna gra indyjskich dzieci podobna do krykieta.

Ginn - słodki, gęsty deser z tłustego mleka otrzymanego od krowy, która właśnie się ocieliła.

Gulmohar - *Delonix regia*. Niskie, rozłożyste drzewo o wielkich czerwonych kwiatach.

Harami - wyraz pochodzenia arabskiego oznaczający w języku hindustani coś niemoralnego, bezprawnego.

Hindukusz - pasmo górskie rozciągające się na terenie północno-wschodniego Pakistanu i centralnego Afganistanu.

Hindustani - język, którym posługiwano się w północnych i środkowych Indiach w czasach przed podziału kraju w 1947 roku. Obecnie nazwą hindustani określa się dwa tożsame języki, różniące się głównie alfabetem: hindi w północnych Indiach i urdu w Pakistanie.

Holige - rodzaj deseru przypominającego naleśniki; popularne w całym Indiach.

idli - specjalność kuchni południowych Indii, przekąska podobna do spłaszczonych bułek z mąki ryżowej i sfermentowanej soczewicy. Idli nie mają wyrazistego smaku, dlatego zwykle podaje się do nich ćatni.

Iguthappa - dosłownie: „dający pożywienie”; lokalne bóstwo Kodawów, utożsamiane z Subrahmanją, synem boga Siwy.

Indra - jeden z najważniejszych staroindyjskich bogów zamieszkujących niebo, odpowiedzialny za wojnę i zsyłający na ziemię zapładniający deszcz. Dosiadający słonia Indra uważany jest za jednego ze strażników świata.

Kailpodh - festiwal Kodawów, którzy jako waleczny lud proszą podczas obchodów o błogosławieństwo dla swojej broni.

Kanakambara - *Crossandra infundibuliformis*. Roślina ozdobna o pięknych, ciemnozielonych lakierowanych liściach i pełnych pomarańczowych kwiatach.

Kannada - język drawidyjski używany w stanach Andhra Pradeś i Karnataka. Lud Kodawa posługuje się dialektem tego języka.

Kanni - *Abrus precatorius*. Drzewo o czerwonych nasionach używanych do produkcji ozdób. Z rośliny tej pozyskuje się również truciznę.

462

Kapad - w języku Kodawów zwrot oznaczający prośbę o błogosławieństwo lub zmiłowanie.

Karnataka - nazwa stanu w południowych Indiach położonego na wyżynie Maj-suru na zachodnim wybrzeżu Subkontynentu Indyjskiego. Stolicą regionu jest miasto Bangalur.

Kartamani - naszyjnik z małych czarnych koralików noszony przez mężatki.

Katla - *Gibelion catla*. Ryba z rodziny karpiowatych z charakterystyczną wystającą dolną szczęką.

Kaweri - rzeka wypływająca z Ghatów Zachodnich, przecinająca stany Karnataka i Tamil Nadu, wpadająca do Zatoki Bengalskiej. Uważana jest za młodszą siostrę bogini Gangi, utożsamianej z Gangesem. Kodawowie oddają jej cześć i uwa-

żają za manifestację bóstwa opiekuńczego.

Kerala - południowoindyjski stan na zachodnim wybrzeżu Subkontynentu. Jest to region o bardzo rozwiniętym szkolnictwie i służbie zdrowia, zamieszkaany głównie przez wyznawców hinduizmu i chrześcijan. Dawna kolonia portugalska.

Khadi kurta - długa do kolan męska koszula, tradycyjny strój indyjski. Wiele osób, które stanęły na czele ruchu narodowowyzwoleńczego (np. Jawaharlal Nehru) porzuciło zachodnie stroje na rzecz narodowych.

Kodawa - grupa etniczna, która mieszka w dystrykcie Kodagu w stanie Karnataka. Lud ten słynie z militarnych tradycji, a jego religia oparta jest na kulcie przodków.

Koile - *Cyprinus carpio*. Ryba z rodziny karpiovatych o ozdobnych, kolorowych łuskach.

Kokkethati - naszyjnik noszony podczas ceremonii zaślubin. Jest to długi sznur złotych koralików zakończony wisiosem w kształcie księżycy. Wisior ozdobiony jest rubinami i morskimi perłami.

Kołata - taniec z dwoma kijkami w rękach wykonywany podczas święta Puthari.

Kriszna - jedno z awatar (wcieleń) boga Wisznu, bohater wielu legend i podań.

Kriszna czczony jest jako psotne dziecko, romantyczny kochanek i bohater.

Kulis - tragarz, który w południowo-wschodniej Azji zajmuje się przenoszeniem towarów i ludzi w lektkach. Obrażliwe określenie mieszkańców Indii często używane przez Europejczyków w czasach kolonialnych.

Kunji - dziecko. W języku Kodawów zwrot kierowany do dzieci, niekoniecznie spokrewnionych z mówcą.

Kupja - czarna, długa szata noszona przez mężczyzn ludu Kodawa jako okrycie wierzchnie.

Kuszanowie - lud pochodzenia irańskiego, który w początkach naszej ery włączył ogromne tereny północno-zachodnich Indii do swojego imperium. Kuszanowie zasymilowali się z miejscową ludnością i stali się gorliwymi wyznawcami

463 buddyźmu. Do dziś pozostało wiele buddyjskich zabytków pochodzących z okresu ich panowania.

Laddu - popularne w całym Indiach, uformowane w kulki słodyczne z mąki z soczewicy z różnymi dodatkami.

Lungi - strój męski noszony zwłaszcza w południowych Indiach. Długi kawał materiału owinięty wokół bioder jak spódnica.

Ma - mamo. Wyraz języka hindustani pochodzenia sanskryckiego.

Maćan - budowla Kodawów wzniesiona w lesie. Rodzaj myśliwskiej ambony.

Madh toppu - *Justicia wynaadensis*. Roślina będąca składnikiem słodkiej potrawy stosowanej przez Kodawów przy leczeniu gorączki towarzyszącej zwłaszcza malarii. Uważa się, że ma ona osiemnaście zastosowań w medycynie.

Malajalam - język drawidyjski używany przez mieszkańców Kerali i Lakszadiwów.

Mantra - święta formuła buddyjska lub hinduistyczna, która zawiera istotę bóstwa w dźwięku. Ma charakter magiczny i moc przywoływania bóstwa, które symbolizuje.

Marjadi - wyraz pochodzenia sanskryckiego określający kogoś, kto postępuje według zasad, żyje zgodnie z narzuconymi normami i wymaganiami społecznymi.

Masala - mieszanka przypraw używanych w indyjskiej kuchni.

Matni - Clupeidae. Mała ryba z rodziny sardynek.

Mawa - w języku Kodawów wyraz oznaczający teścia i zarazem zwrot, jakim się go powinno tytułować.

Mawi - w języku Kodawów wyraz oznaczający teściową i zarazem zwrot, jakim

się ją powinno tytułować.

Monae - w języku Kodawów wyraz oznaczający syna. Można go jednak stosować także do chłopców i młodych mężczyzn, z którymi mówca nie jest spokrewniony.

Muġa - honorowy tytuł nadawany duchownym muzułmańskim, oznaczający mistrza, przewodnika duchowego, nauczyciela.

Mundu - część kobiecego stroju Kodawów drapowana wokół bioder.

Najak - „ten, który pokazuje drogę”, przywódca.

Nan - rodzaj indyjskiego pieczywa, placek wypiekany w piecu tanduri.

Nandi - *Spathodea campanulata*. Tulipanowiec Afrykański.

Nari Mangala - „tygrysie wesele”. Ten z Kodawów, komu udało się zabić tygrysa, bierze udział w uroczystości podobnej do zaślubin, w której pannę młodą zastępuje martwe zwierzę. Ostatnią tego typu uroczystość zanotowano w 1873 roku.

Nim - *Azadirachta indica*. Miodla indyjska, drzewo, którego każda część (liście, kwiaty, nasiona, owoce, kora, korzenie) od tysiącleci wykorzystywane są w indyjskiej medycynie.

464

Odikathi - rodzaj szabli o bardzo szerokim ostrzu. Pierwotnie służył Kodawom do walki, obecnie jest ważnym elementem rytualnego tańca wojowników.

Otti - cienkie placki z mąki ryżowej.

Pajasam - deser znany w całych Indiach, mający jednak różne nazwy w zależności od regionu. Jest to ryż bardzo długo gotowany z mlekiem i cukrem z dodatkiem rodzynek, kardamonu, szafranu, pistacji i migdałów.

Pakka - pewny. Wyraz z języka hindustani.

Pathak - naszyjnik ślubny, obecnie noszony przez kobiety ludu Kodawa także na co dzień. Liczne sznurki drobnych, czarnych koralików zakończone są złotym wisiorom. Czern koralików chroni przed złem, na wisiorze zaś często graweruje się podobiznę zapewniającej szczęście i bogactwo bogini Lakszmi. Ważnym elementem wisiora są również kobry, legendarni strażnicy podziemnych skarbów.

Parćisi - starożytna indyjska gra planszowa popularna na całym Subkontynencie.

Pasztunowie - główna grupa etniczna Afganistanu. Jest to ludność muzułmańska, koczownicza, tworząca duże plemiona, które z kolei dzielą się na mniejsze rody.

Piękathi - krótki zakrzywiony nóż w ozdobnej pochwie, będący bardziej symbolem statusu społecznego mężczyzn ludu Kodawa niż narzędziem walki.

Pipal - *Ficus religiosa*. Święte drzewo, którego drewna używa się do rozpalania ofiarnego ognia. Hinduści łączą je z trójcą bogów (Brahmą, Wisznu i Siwą). Pod nim Budda osiągnął oświecenie, dlatego jest ono święte również dla buddystów.

Pisaći - bardzo złośliwe demony nawiedzające nieczyste miejsca.

Pudża - modlitwa i ofiara hinduistyczna, zarówno publiczna, jak i prywatna.

Pulao - potrawa znana w całych Indiach, ryż zmieszany z sosem i warzywami, z dodatkiem mięsa lub bez (w zależności od regionu).

Puthari - najważniejsze święto w kalendarzu Kodawów, obchodzone w listopadzie. Punktem kulminacyjnym obchodów jest ścięcie wiązek ryżu z pól w nocy przy pełni księżyca.

Radża - pochodzący z sanskrytu wyraz określający króla.

Radżakirita - królewska korona, królewska tiara. Wyraz z sanskrytu.

Sabse acćha - najlepszy ze wszystkich. Zwrot pochodzący z hindustani.

Sampige - *Michelia champaca*. Wysokie drzewo z gęsto rosnącymi liśćmi i dużymi, pachnącymi pomarańczowymi kwiatami.

Sanskryt - klasyczny język północnych Indii, wywodzący się z dialektów indo-

europijskich. Język ten, podobnie jak łacina, przestał się rozwijać, choć pisane w nim utwory literackie powstają nadal.

Sardardzi - wozu. Wyraz szacunku, którym powinno się zwracać do sikhów.

Sari - kobiety Kodawów noszą tradycyjne indyjskie sari. Zawijają je jednak nieco wyżej, wokół klatki piersiowej, i nie przerzucają końca przez ramię.

465

Sikh - wyznawca sikhizmu, religii założonej w 1469 roku przez guru Nanaka. Pochodzący głównie z Pendżabu wyznawcy sikhizmu są bardzo waleczni, dlatego wielu z nich do dziś wybiera karierę wojskową. Sikhów wyróżniają wspaniałe, barwne turbany, pod którymi kryją się długie włosy, gdyż jednym z podstawowych zakazów religijnych jest ich obcinanie.

Sipajowie - oddziały indyjskie dowodzone przez Europejczyków. Oddziały te zbuntowały się w 1857 roku, co zapoczątkowało wielkie antybrytyjskie powstanie, które przeszło do historii jako powstanie sipajów.

Surja - staroindyjski bóg słońca, prawdopodobnie pochodzenia irańskiego. Przedstawia się go z rozwianymi jasnymi włosami ubranego w strój irańskiego wojownika. Surja porusza się na rydwanie zaprzężonym w siedem koni, a czasami w jednego konia o siedmiu głowach.

Swami - honorowy tytuł nadawany filozofom hinduistycznym i mistrzom duchowym.

Śastra - reguła, zasada. Termin określający teksty sanskryckie, niereligijne, traktujące o wszystkich dziedzinach wiedzy i prawa, a także komentarze tekstów filozoficznych.

Tadź Mahal - grobowiec wzniesiony przez mogolskiego cesarza Szahdżahana dla jego zmarłej żony Mumtaz. Jedna z najsłynniejszych budowli świata, uważana za pomnik miłości.

Taji - w języku Kodawów wyraz oznaczający babcię.

Tamaśa - przedstawienie, dramat. Wyraz języka hindustani pochodzenia arabskiego.

Tamilski - język drawidyjski używany w południowoindyjskim stanie Tamil Nadu.

Tantra - ruch ezoteryczny, związany z kultem śakti, żeńskiej energii, który wyrósł na gruncie buddyjskim i hinduistycznym.

Teli-nir - święta woda.

Thatha - wyraz oznaczający w języku Kodawów dziadka.

Topi - tradycyjne nakrycie głowy.

Tulasi - *Ocimum tenuiflorum*. Bazylika azjatycka, święta roślina poświęcona Wisznu.

Wahe guru ki khalsa, wahe guru ki fateh - chwała panowaniu jedyne go guru, zwycięstwo dla jedyne go guru. Zagrzewający do walki okrzyk, typowy dla sikhów.

Waidja - znachor, szaman, człowiek posiadający tajemną wiedzę.

Wibhuti - święty popiół o białawym kolorze, którym wyznawcy hinduizmu naczynają czoło.

Wira - bohater, heros. Tytuł nadawany licznym bóstwom hinduistycznym, buddyjskim i dżajnijskim, a także postaciom historycznym i mitycznym.

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Wydanie I, 2011.

Druk: Colonel, ul. Dąbrowskiego 16, Kraków.